

L. PLATOW

# KRAINA SIĘDMIU TRAW



LEONID PŁATOW

**KRAINA  
SIEDMIU TRAW**

*Przełożyli  
Zofia i Stanisław Głowiakowie*

ISKRY

W A R S Z A W A · 1 9 6 3

Tytuł oryginału  
STRANA SIEMI TRAW  
**1954**  
Okładkę projektował  
MARIAN STACHURSKI  
Ilustrował  
ALEKSANDER WINNICKI



*KŁĘBEK I NICI*  
(Zamiast prologu)

Rozmaicie można by zacząć opowieść o wydarzeniach, które składają się na treść tej książki.

Można by zacząć od Muzeum Narodów ZSRR, gdzie w trzeciej od wejścia sali (na lewo) mieszczą się gabloty z różnymi przedmiotami. Można tam znaleźć wyszczerbiony grot strzały z rybiej ości, kawałek złamanej narty, amulet-medalion w kształcie małego słońca, dwie okrągłe, obciążone skórą tarcze, luźną skórzaną odzież z naszytą u dołu aplikacją i drewniany klocek brzoźowy, z takim samym ornamentem — trzy czerwone kółka, trzy czarne kreski i znów trzy kółka.

Pośrodku sali stoi w jednym szeregu kilka gablotek. Przechowuje się tu pod szkłem zeschnięte i pokurczone kawałki świetnie wyprawionej skóry reniferowej, zapisane drobniutkim, gęstym maczkiem, w dodatku z częstymi skrótami; widocznie ten, kto to pisał, musiał oszczędzać skórę, zastępując mu papier.

Wszystkie te eksponaty są starannie ponumerowane i zaopatrzone w szczegółowe objaśnienia wypisane na maszynie.

Jeśli zwiedzający zainteresują się bliżej owymi okazami i zapragną dodatkowych wyjaśnień, mogą się zwrócić do naukowego pracownika muzeum, starszego mężczyzny w okularach, który zwykle pracuje tuż obok, przy małym biureczku stojącym w kącie. Natychmiast odłoży na bok swój rękopis i z największą gotowością poprowadzi ich, kuśtykając, wzdłuż gablotek.

Zacnie naturalnie od wypchanej dzikiej gęsi, która stoi przy samych drzwiach i dlatego rzadko zwraca na siebie uwagę. Tymczasem — jak informuje przewodnik — właśnie dzięki tej niepozornej szarej gęsi muzeum wzbogaciło się o wyżej wymienione eksponaty...

Zresztą można by tą książką zacząć zupełnie inaczej.

Kilkoma mocnymi pociągnięciami pióra rzucić na papier szkic pejzażu. *Posępny brzeg polarnego morza. Wieczór. Z dala, od linii horyzontu, bezustannie nadbiegają spienione fale. Słońce wisi zupełnie nisko — można patrzeć na nie bez mrużenia oczu.*

Wzdłuż wybrzeża idą gęsiego ludzie odziani w reniferowe skóry. Niektórzy pochylają się nisko nad samą wodą i zaczerpnąwszy jej w dłonie, próbują, jaki ma smak. Dziwią się bardzo, że jest taka słona.

Nagle ci, co pochylali się nad wodą, podnoszą się, prostują. Co to? Foka? Głowa fok?

Wiele rzeczy ich dziwi, jakkolwiek obeznani są z morzem — regularnie raz na pięć czy sześć lat polują tu na fok.

Kołysząc się na falach, płynie ku nim jakiś okrągły przedmiot.

Kilku ludzi natychmiast rzuca się do wody, by wylowić ów przedmiot. Już go mają! To szklana kula. Odbijając promienie zachodzącego słońca, nieoczekiwanie rozbłysła w wyciągniętych, muskularnych rękach jak płonąca lampa...

Lecz można by zacząć równie dobrze od innego, zdumiewającego znaleziska.

Te same posępne, szare, bezustannie nadbiegające od horyzontu fale. Wybrzeże tak samo beznadziejnie smutne, lecz jeszcze bardziej płaskie. Tylko że słońce stoi znacznie wyżej nad wodą (teraz jest lato, nie jesień).

Po morzu płyną szklane kule. To tak zwane boje hydrograficzne, które wędrują po wszystkich zakątkach Arktyki, a służą do badań nad morskimi prądami.

Na brzegu, nie opodal zbudowanych z grubych bierwion domków, skupiła się załoga stacji polarnej. Właśnie przed chwilą spuszczone na wodę boje. A teraz polarnicy obserwują je uważnie przez lornety.

Naraz ogólne poruszenie. Obok pływających szklanych boi zauważono jakąś nową boję — przybłądę! Kule zbiły się w gromadkę, a pośród nich sterczy drewniany klocek, ociosany byle jak, zapewne w wielkim pośpiechu.

Natychmiast wypływa na morze łódka.

Klocek wylowiony, już jest na brzegu. Ale patrzcie! Co za

dziwne kolorowe znaki na drzewie! Musi w nim być jakiś schowek. Oczywiście! O, tu jest szparka! A tu ślady smoły!

Z zapartym tchem ktoś wsuwa ostrze noża w wąską szczelinę. Wieczko się unosi... Oczom wszystkich ukazują się gęsto zapisane kwadraciki reniferowej skóry...

Tak, rozmaicie można by zacząć tę opowieść, w której poważną rolę odgrywa i szklana kula, i klocek z kolorowymi znakami, i dzika gęś, co przyleciała z północy!

Dla mnie jest to coś w rodzaju kłęбка — wystarczy tylko ostrożnie pociągnąć jedną nitkę, by kłębek zaczął się wolniutko rozwijać...

Muszę się jednak przyznać, że w każdym odkryciu naukowym najbardziej interesuje mnie odkrywca — innymi słowy, nie problem, lecz człowiek, który się nim zajmuje, żyje nim, gotów dla swej pracy wszystko poświęcić.

Wypadnie więc chyba zacząć od Sawczuka: odsunąć na razie na bok szklane kule i wyszczerbione grotty z rybich ości (przyjdzie jeszcze i na nie kolej) i opisać nasze spotkanie na dworcu...

Lubię dworce! Być może dlatego, że z racji mego zawodu sam dużo podróżuję. W kajucie, w wagonie, w kabinie samolotu czuję się znacznie lepiej niż w domu, przy biurku z ciemnymi, masywnymi przyborami do pisania.

Lubię panującą na dworcach atmosferę ogólnego podniecenia, w której zarazem jest coś podniosłego. Moim zdaniem ludzie, którzy choćby tylko na krótki czas poczuli się podróżnikami, stają się lepsi, bardziej bezpośredni, uprzejmi. Lubię drażniący, ostry zapach pyłu węglowego i gwizd manewrujących parowozów, które nawołują się gdzieś w oddali, natarczywie wzywając do podróży.

Dwa magiczne słowa: „Znowu w drogę!” — przeobrażają wszystko dokoła.

Wydają mi się wówczas sympatyczni nie tylko solidni pasażerowie pociągów dalekobieżnych, z powagą kroczący ze swymi walizami, lecz nawet ruchliwi letnicy, którzy z zaaferowaną miną wymachując torbami, przebiegają truchcikiem przez perony. Są to bezsprzecznie najbardziej zdenerwowani ludzie na dworcu. Jadą zwykle nie dalej niż do Kłaźmy czy Tarasówki, ale obserwując ich można by pomyśleć, że pędzą na

*wyścigi odkrywać czekające na nich, a nie znane dotychczas  
ziemie w Arktyce...*

*A zatem — dworzec, jeden z wielu moskiewskich dworców,  
posiadający dwie nazwy — Jarosławski lub Północny!...*

# CZĘŚĆ PIERWSZA.

## 1. Przejazdem w Moskwie

1

Nikt nie oczekiwał mnie na dworcu. Zresztą, prawdę mówiąc, kto miał mnie oczekiwać? Liza wędrowała z grupą geologów gdzieś po Syberii, w dorzeczu Niżniej Tunguski. Andrieja też nie było w Moskwie — zimował na Przylądku Czeluskin.

Szkoda! Przecież jestem w Moskwie, można powiedzieć, przejazdem, zatrzymam się tu najwyżej dwa-trzy dni, póki nie załatwię skierowania, a potem — na południe, do Soczi, do Soczi...

— Szczęśliwej drogi! — usłyszałem za sobą. — Dobrego odpoczynku w Soczi!... I dobrej pogody!...

Odwrociłem się, by podziękować swym współtowarzyszom podróży, lecz tłum już ruszył ku wyjściu i rozdzielił nas. Wesoły marynarz, który jechał ze mną od samego Chabarowska, pomachał z daleka ręką, komicznie nadął policzki i zatoczył ręką wokół twarzy. Zrozumiałem: życzył mi, abym trochę przytył.

Nieprzerwanym strumieniem sunęli przez peron marynarze, polarnicy, żołnierze straży granicznej, poszukiwacze złota, drwale i geolodzy (przedstawiciele tych romantycznych zawodów przybywają do Moskwy, jak wiadomo, przez jej północną bramę — dworzec Jarosławski).

U siebie, na Ziemi Wietługina, odwykłem od ciasnoty. Tak się złożyło, że przeciskając się z walizami ku wyj-



ściu, przypadkowo potrąciłem wysokiego, młodego grubasa, który stał jak słup wśród rozkołysanej cizby i ze skupioną miną zapisywał coś w notesie.

— Przepraszam!

— Ach, to wy! — rzekł spokojnie, podnosząc głowę. — Właśnie czekam na was.

— Jak to? Na mnie?

— Tak. Jestem Sawczuk.

Sawczuk?... Ależ naturalnie! Przypominam sobie, spotkałem go kiedyś, dwa czy trzy razy, u Lizy.

— Nigdy bym was nie poznał — powiedziałem otwarcie, ściskając mu dłoń. — Zrobiliście się tacy... potężni... Brzuszek wam rośnie...

— Siedzący tryb życia — mruknął Sawczuk i wstydliwie usiłował zapiąć palto na wcale wydatnym brzuchu. — Całymi dniami w muzeum przy biurku...

— Ale też macie oryginalny sposób oczekiwania przyjezdnych — zażartowałem. — Gdybym was nie potrącił walizą...

Sawczuk odwrócił wzrok.

— Widzicie, przysłała mi do głowy pewna myśl, wyjąłem notes, by zapisać... i...

Wyrwał mi z rąk walizę.

— Nie, nie, ja poniosę. Jak można! Jesteście gościem.

— Dziękuję! Ale skąd wiedzieliście, że wracam właśnie dziś?...

— Liza wyjeżdżając prosiła, żebyśmy was oczekiwali. Ona jest teraz na Syberii.

— Wiem. Przed wyjazdem otrzymałem radiogram. Poleciała nad rzekę o śmiesznej nazwie — Wawa.

— Wiwi — poprawił Sawczuk. — To dopływ Niżniej Tunguski, niedaleko Tury.

— Ale doprawdy jest mi przykro. Zabieram wam czas...

— Nic podobnego! Przeciwnie! Bardzo się cieszę... Przyznam się, że potrzebuję waszej porady... Chodzi o to, że mam w rękach koniuszek nici... No, nie rozwiązana zagadka, czy jak to się zwykle w takim wypadku mówi...

Zaciął się i umilkł.

Więc to tak!... Sawczuk (jest zdaje się archeologiem czy etnografem?) nosi się z jakąś zagadką — jakże mogłem się od razu tego nie domyślić! Przecież sam kiedyś byłem w jego sytuacji, chodziłem jak nieprzytomny, wpadałem na przechodniów, a wszystko z powodu pewnej, dziś szczęśliwie już rozwiązanej zagadki. Ziemi Wietługina, czyli, po dawnemu, Archipelagu Wysp Znikających<sup>1</sup>. Czyżbyśmy wtedy tak samo wyglądał?...

Oczy Sawczuka wydały mi się zmęczone i niespokojne. Twarz miał byle jak ogoloną, w jego ubiorze uderzała niedbałość. Pasiasty krawat, na przykład, był związany tak, że wyzierała spod niego wątpliwej piękności mosiężna spinka. Spodnie — zauważyłem to od razu — prasowane były, z braku czasu, starym studenckim sposobem: przez położenie ich na noc pod materac, przy czym rolę żelazka spełniała osoba właściciela.

— Widzicie, przypadkiem natknąłem się... Pracowałem nad dokumentami archiwalnymi z siedemnastego wieku — ciągnął dalej mój rozmówca. Głos jego przybrał nieomal błagalne tony. — Ja już przedtem wiedziałem o pewnym legendarnym narodzie, który...

— Stop! Stop! — przerwałem mu ze śmiechem. — Konsultacja na peronie?... Przecież jestem „tranzytowym” pasażerem, tylko przejazdem w Moskwie. A przy tym, o czym nie zapominajcie, polarnikiem, hydrografem!.. Zagadnienia etnograficzne to dla mnie rzeczy tak odległe, jak... no, jak Ziemia Wietługina od Moskwy.

W tym wypadku okoliczności są naprawdę wyjątkowe... — zauważył Sawczuk.

— Ach tak!

— Z początku myślałem, że wzmianki o narodzie „iks” można zaliczyć do legend. Ale teraz, gdy przysłano do Moskwy obrączkowanego ptaka z listem na reniferowej skórze...

— Ptak?!... List!... Nic nie rozumiem!...

Wyszliśmy na plac Komsomolski.

<sup>1</sup> Niektóre nazwy geograficzne są fikcją autora.

W mokrym asfalcie wesoło odbijały się barwne plamy tramwajów i autobusów. Śniegu już nie było. Gorliwi dozorczy wyparli zimę z ulic i placów na podwórka, gdzieś między śmietniki i drwalki, gdzie zresztą zgodnie z kalendarzem było jej miejsce.

Dwudziesty szósty marca!

Marzec, pierwszy wiosenny miesiąc, młodość roku! Wszystko, wszystko jeszcze przed nami: i pachnąca wiosna, i rozkoszne lato, i złota jesień, uwieńczenie roku!...

Myślę, że każdy człowiek miewa chwile, kiedy czuje się dużo młodszy, niż jest. Ze mną bywa tak w marcu.

Nadłeci skądś wiatr — w marcu dmie on porywicie, jak gdyby wyskakiwał nagle zza węgła — dmuchnie w twarz i od razu coś się we mnie odmienia. Ulegam dziwnemu złudzeniu. „Nie — myślę — czy to możliwe? Czy to prawda, że mam już szmat życia za sobą? Może mi się to tylko śniło?...”

Zdaje mi się, że jestem znów młodym chłopcem, wracam z biblioteki z książkami pod pachą. Jest wieczór, wiosna, wiatr kołysze wiszące wzdłuż ulicy lampy. Przystanąłem pod latarnią, nie mogę pojąć, co się ze mną dzieje. A to tylko radość! Lecz radość niezwykła. Rozpierająca pierś, unosząca pod obłoki! Cóż to jest?... O, to tylko nabrzmiałe wzruszeniem oczekiwanie szczęścia...

Kto powiedział, że młodość jest niepowtarzalną? Brednie! Wystarczy tylko spotkać na swej drodze takiego, ot, starego przyjaciela — wiosenny, przesycony wilgocią, porywisty wiatr, wabiący za sobą i niespokojny.

I teraz, na placu Komsomolskim, nagła radość zapała mi dech w piersi.

Na wpół zapomniane, jakże miłe uczucie!...

Po długiej rozłące Moskwa przywitała mnie owym właśnie oczekiwaniem szczęścia!...

— Nie ulega wątpliwości — bębnił mi tymczasem nad uchem Sawczuk — że list ten pochodzi od współczesnego nam człowieka. Daty nie ma. Przypuszczam jednakże, iż został napisany nie wcześniej niż w tysiąc dziewięćset dziewiątym i nie później niż w tysiąc dziewięćset siedem-

nastym roku. Trudno go odcyfrować, ale... Weźmiecie oczywiście taksówkę?

Delikatnie popychał mnie łokciem w kierunku postoju taksówek.

— Po co? — zdziwiłem się. — Metrem będę prędzej. Mieszkam przecież koło Biblioteki Lenina.

— Taksówką jednak wygodniej.

Wyczułem w jego głosie rozczarowanie. Widocznie miał nadzieję, że w taksówce pozwolę mu się wygadać.

Spojrzałem na mego — miał tak zmartwioną minę, że się uśmiechnąłem. Żal mi się go zrobiło.

— Widzicie, Władimir... Władimir... — „Władimir Osipowicz”, odpowiedział. — Aha, Osipowicz... Pojutrze wyjeżdżam do Soczi — nie chcę przeciągać terminu skierowania — a w Moskwie mam milion spraw do załatwienia. Trzeba wpaść do domu, zameldować się w GUSMP 1, kupić koszulki trykotowe, trampki, w ogóle cały ekwipunek wczasowy. Wyobraźcie sobie, że pierwszy raz jadę do Soczi! Tak że czasu mam strasznie mało. Więc chyba jutro... Jesteście jutro wolni?

— Prawdę mówiąc, ja...

— To świetnie! A więc macie czas! No to idziemy do Teatru Wielkiego! Tam o wszystkim pomówimy...

Sawczuk westchnął:

Wolałbym, żebyśmy razem pojechali do muzeum.

Do muzeum?... Nic, wybaczenie, ale program został ułożony znacznie wcześniej. Bardzo dawno. Jeszcze na Archipelagu Wysp Znikających.

I na potwierdzenie tego wyjąłem notes, gdzie było zapisane: „Dwudziestego szóstego marca załatwić w Moskwie: 1. GUSMP 2. koszulki, trampki itd. 3. Teatr Wielki”.

— Widzicie teatr?... Nie, tylko do teatru! Od jesieni marzę o teatrze!... A dla was też byłoby wskazane ro-

<sup>1</sup> GUSMP — Głównoje Uprawlenije Siewiernego Morskogo Puti — Zarząd Główny Północnej Drogi Morskiej.

zerwać się trochę. Zaśniedzieliście już pewno w tym waszym muzeum pośród mumii.

— U nas nie ma mumii — bąknął Sawczuk.

— Czyżby? Patrząc na was, można by pomyśleć... Nie, nie, żartuję!... No, już dobrze!... Ogotcie się, doprowadźcie do porządku. Jutro o siódmej czekam przed Teatrem Wielkim.

Z tym człowiekiem należało prawdopodobnie mówić właśnie tak: stanowczo, krótko, rozkazującym tonem.

2

Czasu rzeczywiście miałem bardzo niewiele.

Przede wszystkim — do domu! Wziąć prysznic, ogolić się, zjeść śniadanie i — do GUSMP!

Na Ziemię Więtlugina latałem w charakterze konsultanta. Przed kilkoma laty — wkrótce po odkryciu Archipelagu — rozpoczęto tam ciekawą pracę naukową, związaną z badaniami „bieguna niedostępności”<sup>1</sup>, który znajduje się w pobliżu. Pracę tę ukończyli już moi następcy — młodzi polarnicy Sinicki i Wiachiriew. Świetnie wywiązali się ze swego zadania, o czym właśnie miałem złożyć raport w GUSMP.

Klucze od naszego pokoju były u sąsiadów. Tam też czekał na mnie list.

„Wybacz, kochany, że cię nie oczekiwałam. Złożyło się inaczej — pisała Liza. — Pilne zadanie, rozumiesz, bardzo ciekawe — chodzi o nowy materiał budowlany, mówiłam ci już o nim. Za godzinę odlatujemy! Wrócę w maju, wszystko opowiem. Mocno, mocno cię całuję, najmilszy! Odpoczywaj! Chodź do teatru!... Aha! Nie zapomnij zapłacić za mieszkanie. Już nie zdążyłam. Książeczka czekowa u Loli”.

<sup>1</sup> „B i e g u n niedostępności” — obszar Arktyki najmniej dotychczas znany i zbadany.

„Odpoczywaj!”, „Chodź do teatru!”... A więc nie wiedziała, że w GUSMP załatwiono już dla nas wczasy...

I jak bardzo to do niej podobne! Oczekiwała mego przyjazdu, przygotowywała się na moje przyjęcie, a tu masz — „pilne, bardzo ciekawe zadanie”! W mig zdecydowała się i poleciała!

List był pisany w pośpiechu, nieomal na stojąco. Wskazywała na to wielka ilość wykrzykników; końce wierszy uciekały do góry — widocznie nie było czasu na dzielenie i przenoszenie wyrazów.

Zresztą w ogólnych zarysach, mogłem sobie wyobrazić to „bardzo ciekawe, pilne zadanie”. W ostatnich czasach Liza zajmowała się problemem nowych materiałów budowlanych. Szczególnie interesowała ją owa mieszanina popiołu i strawionych ogniem minerałów, która pozostaje na miejscu wypalonych pokładów węgla<sup>1</sup>. Są to zwykle pozostałości dawnych pożarów, które miały miejsce jeszcze w okresie trzeciorzędu. W dorzeczu Niżniej Tunguski musi być tego pełno!

Otworzyłem drzwi do naszego pokoju.

Tak, „dom bez gospodyni — to jak ciało bez duszy”. Pokój wydał mi się w tej chwili pusty, nieprzytulny, jakby niezamieszkały. Serwetki na kredensie sprawiały wrażenie biednych sierotek. Krzesła stały byle gdzie, w nie-ludzie Nawet fikus kulił się smutny w kącie, zwisiwszy pokryte warstwą kurzu liście, jakby się czymś zafrasował.

Zrobiłem parę kroków i ze strachem się obejrzałem. Zapomniałem wytrzeć buty i zabłociłem parkietową podłogę,

„Trzeba wycierać nogi, wycierać!” — złażałaby mnie Liza.

Węstchnąłem. W pokoju było zbyt cicho. Nikt nie burczał na mnie, nie gderał...

Lecz po podróży trzeba zjeść śniadanie.

W tundrze rozpalilibym ognisko lub też, z braku czasu.

<sup>1</sup> W oryginale „gorielnik” — termin ten nie ma odpowiednika w języku polskim

odgrzałbym konserwy na maszynie spirytusowej. Tu miałem do dyspozycji maszynkę elektryczną. Ale w tej chwili jakoś nie bardzo mnie zachwycało nawet to cenne osiągnięcie elektrotechniki w życiu codziennym.

W pośpiechu jadłem „kawalerską”, nieco przypaloną jajecznicę, popijałem herbatą i słuchałem radia, nie bez ironii spoglądając na maszynkę elektryczną, stojącą obok czajnika na stole.

„Oto moje ognisko domowe — myślałem. — Przy nim Liza powinna by oczekiwać męża, niestrudzonego podróżnika polarnego, któremu sprzykrzyły się już sztormy wśród lodów i odgrzewane konserwy...”

Lecz nie było Lizy przy ognisku domowym.

Niespokojny duch! Wędruje gdzieś teraz po Syberii, nocując pod gołym niebem, przediera się przez nieprzebytą tajgę i szuka „nowego materiału budowlanego”.

Co robić! Czyż to dla mnie pierwszozna?

Stanowimy właściwie dość dziwną parę małżeńską. Ja — hydrograf, specjalista od prognoz lodowych, Liza — inżynier budowlany, zajmujący się problemem budownictwa w warunkach wiecznej marzłoci; oboje ciągle w drodze, w podróżach służbowych.

Obliczyłem raz, że najdłuższy okres czasu, jaki spędziłszy razem po ślubie, wynosił trzy i pół tygodnia. Wszystkiego trzy i pół tygodnia! Liza żartowała; ponieważ nie dane nam było przeżyć wspólnie nawet „miodowego miesiąca”, powinniśmy teraz — prawem rekompensaty — całe swe przyszłe pożycie małżeńskie przemienić w nieprzerwany „miodowy miesiąc”.

Czy to się nam udało? Osądźcie sami. Byliśmy już trzy lata po ślubie — ładny kawał czasu! Nie pamiętam jednakże ani jednej poważniejszej kłótni — co mówię, kłótni! — nawet najmniejszej sprzeczki.

Zresztą nie mam wcale zamiaru głosić wszem wobec, jakobyśmy byli idealnym małżeństwem. I ja, i Liza mamy oczywiście swoje wady. Lecz wady te w żadnym wypadku nie są dla nas jakąś przykrą niespodzianką. Znamy się przecież oboje od dziecka.

A może nie było kiedy się kłócić? Nie zdążyliśmy się dość nabiegać po wystawach, po teatrach, a nawet posiedzieć we dwoje w domu, w zacisznym kręgu osłoniętej abażurem lampy, a już znowu trzeba było pakować się i rozstawać — niekiedy na długo. Często rozłąki potęgowały jeszcze nasze wzajemne uczucia — stan duchowy dobrze znany marynarzom linii dalekomorskich, polarnikom i badaczom-geologom.

Po prostu umieliśmy cenić nasz czas. Staraliśmy się każdy wspólny pobyt w Moskwie przemienić w radosne święto.

W zeszłym roku Liza wróciła z Jakucka w końcu listopada. Ułożyliśmy, że spędzimy urlop razem — po raz pierwszy! Pojedziemy do domu wczasowego „Porzecze”, obok Zwienigorodu. Wymarzona okolica, gdzie można do woli jeździć na nartach. Przygotowałem już nawet deski. Okazało się, że niepotrzebnie!...

W grudniu musiałem polecieć nad Morze Wschodniosyberyjskie. „Na bardzo krótki okres — uspokojono mnie w GUSMP. — I nie żałujcie «Porzecza». W zamian otrzymacie skierowanie do Soczi. Dla was i dla żony. W styczniu kwitną tam róże...”

Mój pobyt na północy, jak to zwykle bywa, przeciągnął się. Do Moskwy wróciłem nie w styczniu, lecz w marcu, i Lizy już nie zastałem.

*Cóż, trzeba chyba samotnie spędzać urlop!*

Tak się jakoś złożyło, złożyło, że nigdy dotychczas nie byłem na Południu. Nawet palmy widziałem tylko na obrazkach lub w kinie. Wprawdzie na Ziemi Wietługina była jedna palma, lecz taka, której nie należało się zbytnio przyglądać. Zamiast ziemi, w kadzi były opilki, a samo drzewko — włochaty pień i szerokie połyskliwe liście — dość udatnie wykonane z masy papierowej.

— Czas, czas wygrzać się w podzwrotnikowym słońcu — powiedział do mnie lekarz, w zamyśleniu kręcąc głową. — Tak nie można. Całe życie albo na morzu, albo na zimowisku. Na tym swoim Archipelagu siedzieliście chyba ze dwa lata. — I dodał żartobliwie: — Zupełnie



już skostnieśliście! Po prostu bryła lodu, i to lodu kopalnego!

Wygrzać się — owszem, to by nie zaszkodziło.

Właśnie nasze strony ma na myśli spiker, gdy ponurym głosem obwieszcza przez radio o napływie zimnych mas powietrza z Arktyki. Od nas też zaczyna się komunikat meteorologiczny. Jako pierwsze wymienia się — Ojmiakon, Narjan-Mar, Ziemię Wietługina. Są to najzimniejsze okolice w całym Związku Radzieckim. Następnie spiker wylicza Czytę, Irkuck, Chabarowsk i pnąc się coraz wyżej po stopniach termometru, wesołym już głosem wymienia Soczi — błogosławioną miejscowość, gdzie jest zawsze ciepło.

Jakże często nieliczna załoga stacji, zebrawszy się wieczorem w kajucie ogólnej<sup>1</sup>, skupiona ciasno wokół pieca — na dworze termometr wskazywał pięćdziesiąt lub czterdzieści pięć stopni mrozu — z najżywszym zainteresowaniem wysłuchiwała radiowego komunikatu meteorologicznego.

— Jak, jak? — wykrzykiwał ktoś z podziwem. — W Soczi szesnaście stopni ciepła! A ile u nas? Oho!...

— Szesnaście stopni — to rozumiem! — odzywał się marząco drugi. — Na pewno teraz ludzie tam się kąpią, aż hej!..

—Skądże, za zimno na kąpiel.

—Przy szesnastu stopniach za zimno?

Zaczynał się spór, zresztą czysto teoretyczny, jako że obu dyskutantów — zarówno tego, któremu było zimno przy szesnastu stopniach, jak i tego, który się na to oburzał — dzieliła od Soczi odległość kilku tysięcy kilometrów.

Trzeba przeciąć na ukos cały Związek Radziecki, od północno-wschodnich krańców niemal aż do południowo-zachodnich, posuwając się cały czas za słońcem, minąć kilka stref klimatycznych, by dostać się znad Morza

<sup>1</sup> Jadalnia na stacji polarnej, podobnie jak na okręcie, nazywa się kajutą ogólną (przyp. autora).

Wschodnio-syberyjskiego nad Czarne, z owej chłodni, składu lodu kopalnego, jakim w istocie jest Ziemia Wietługina, na wiecznie zielone, wesołe wybrzeże czarnomorskie.

To właśnie była moja marszruta: Ziemia Wietługina — Soczi, z „popasem” w Moskwie.

3

Ten popas był bardzo pracowity.

W GUSMP zatrzymano mnie do wieczora, a stamtąd zaciągnięto do hotelu „Moskwa”, do siedowców; miałem wśród nich kilku przyjaciół. Stolica przeżywała radość spotkania z uczestnikami legendarnego dryfu, na „Siedowie”, którzy niedawno przybyli z Murmańska.

O, dużo wody upłynęło od czasu poszukiwań i odkrycia Ziemi Wietługina, wiele gór lodowych, kołysząc się na fali i zderzając ze sobą, przesunęło się przez Basen Arktyczny. Szmidt i Wodopianow wylądowali na biegunie północnym; papaninowcy, zagospodarowawszy się na krze, przydryfowali na niej na Morze Grenlandzkie; Czekałow, a po nim Gromow przelecieli nad biegunem z ZSRR do Ameryki; flagowy okręt floty arktycznej, łamacz lodów „Józef Stalin”, dokonał w ciągu jednego sezonu podwójnego rejsu - z Murmańska do Zatoki Opatrzności z powrotem. I wreszcie, po blisko trzech latach spędzonych w tajemniczych głębiach Arktyki, wrócili do domu siedowcy.

Wielka to była radość! Każdy gość odwiedzający siedowców spotykał się z niezwykle ciepłym, serdecznym przyjęciem. Toteż i ja przechodziłem z pokoju do pokoju, z jednych objęć przyjacielskich w drugie; w końcu czułem się tak zmęczony, że musiałem zanocować u pierwszego oficera, hydrografa, mego starego przyjaciela i kolegi po fachu.

Cały następny dzień wypełniła mi bieżączka po sklepach, telefony, starania o bilety — zwykła, wprawiająca

w przyjemne podniecenie przed urlopowa krzątanina... A jednak, mimo wszystko, stawilem się o umówionej godzinie przed kolumnadą Teatru Wielkiego. Siódma. Sawczuka ani śladu!

Doprawdy, niemożliwy człowiek!

Czy aby nie zapomniał o mnie wśród swych zakurzonych archiwalnych szpargałów, przejęty losem jakiegoś legendarnego czy wymarłego narodu? Cóż, tym gorzej dla niego! A więc nie opowie mi historii listu i ptaka.

Z rozkoszą wciągałem pełną piersią moskiewskie powietrze, od którego zdążyłem odwyknąć w Arktyce. Czuć w nim było benzynę, ale to mi nie przeszkadzało. Nawet w tej chwili sprawiało przyjemność. Jednakże było coś jeszcze w „bukiecie Moskwy”, jakaś dziwna domieszka, prawie nieuchwytna.

Zastanówmy się. Pierwszy składnik, bez wątpienia zapach wilgoci, deszczu. Drugi — benzyny. A trzeci? Czyżby kwiatów? w marcu — kwiaty?

— Kupcie, kupcie, obywatelu! — usłyszałem kobiecy głos.— Mimoza. Z Soczi. Tylko co przywieziona z lotniska.

Odwrociłem się. Obok stał kiosk kwiaciarki. Żółte, puszyste kuleczki, leżące na ladzie, roztaczały orzeźwiający zapach.

— Kupcie, kupcie — natarczywie powtórzyła sprzedawczyni. — Dla swojej damy.

— Nie mam damy — burknąłem, ale gałązkę kupiłem, ulegając hipnotyczno-przymilnej intonacji jej głosu.

„Po co mi kwiaty?” — myślałem, ze zdziwieniem obracając w palcach osypujący się żółty puszek. Lizy w Moskwie nie ma. Jej, oczywiście, ofiarowałbym tę mimozę. Szukałem tylko pretekstu, by móc kupować dla niej kwiaty. A gdy zaczynała zrzędzić, że mnóstwo pieniędzy wydaję na prezenty, odpowiadałem nie tracąc rezonu: „Odrabiam tylko zaległości. Czy dużo kwiatów otrzymałaś dotychczas ode mnie?”

Tak, nasz romans miał niezwykły przebieg. Uśmiechałem się na wspomnienie, jak to kiedyś ciągnąłem Lizę

za warkocze. (Te warkoczyki były dziwnie wyzywające, sterczały jak różki w obie strony i aż się prosiły, żeby pociągnąć!) Czyż mogłem wówczas przypuszczać, że przyjdzie czas, kiedy będę obdarzać kwiatami to nieznośne, zuchwałe, rudowłose stworzenie, że będę niecierpliwie go oczekiwać i tęsknić za nim?...

W roztargnieniu wsunąłem maleńką, pachnącą gałązkę do kieszeni płaszcza i przeszedłem się tam i z powrotem pod kolumnami.

Wiosenny wieczór spowił plac Swierdłowa, jak długi i szeroki, przejrzystą zasłoną zmroku. Kontury domów stawały się coraz bardziej mgliste. Na firmamencie przeważały tony zielonkawe, właściwe raczej niebu kwietniowemu niż marcowemu.

Naraz, w jednej chwili, jakby na znak dany pałeczką milicjanta kierującego ruchem ulicznym, zapaliły się wzdłuż bulwarów wiszące lampy. Z niepokojem spojrzałem na zegarek. Do rozpoczęcia przedstawienia pozostało dziesięć minut.

Sawczuk spóźnił się.

A niechże go!...

Od Lizy wiedziałem, że posiada on fenomenalny dar skupiania się w każdym, najbardziej hałaśliwym otoczeniu potrafił się zupełnie wyłączyć, gdy tylko przychodziło nań natchnienie.

Satawał się wówczas niemy i głuchy na wszystko, rzekłbyś, pogrążył się w głębokiej studni.

Dla mnie Sawczuk był jakimś dobrowolnym pustelnikiem, mieszkańcem podziemi.

Jest takie powiedzenie: „Odgrzebać coś spod pyłu wieków”. Oczywiście, przenośnia. Ale w mojej wyobraźni rysowały się mroczne sklepienia z pajęczyną po kątach, sterta bezładnie zwalonych na ziemię, zakurzonych foliów w skórzanej oprawie i pochyłony nad nimi gruby Sawczuk, z przekrzywionym krawatem, ze zbolałą miną, który sapiąc i wzdychając grzebie się w tej stercie.

Znów spojrzałem na zegarek. Cóż u licha! Jak długo

jeszcze mam podierać kolumny Teatru Wielkiego, czekając na tego archiwalnego mola?

Obok mnie przebiegły ze śmiechem dwie dziewczyny.

— Zwiodła, nie przyszła — głośno powiedziała jedna z nich, rzuciwszy mi z ukosa figlarne spojrzenie czarnych oczu.

— Bie-da-czek — śpiewnie przeciągnęła druga, potrząsając jasnym lokiem, wysuwającym się spod czapeczki.

Końca zdania nie dosłyszałem: drzwi teatru z łoskotem zatrzasnęły się za nimi.

Jak, jak? Biedaczek?... Jeszcze tego brakowało, żeby przechodnie zaczęli się litować nade mną!

Zrobiłem pół obrotu z zamiarem wejścia do teatru i w tym momencie ujrzałem nareszcie Sawczuka. Nieomal że biegł przez plac, z rozwianymi połami płaszcza, w cudacznych botach ze sprzączkami, w jakich chodzą dziś chyba tylko archijereje<sup>1</sup> i tenorzy. Mało tego! Nawet teraz, wybrawszy się do teatru, nie mógł się rozstać z teczką i jakimś długim rulonem papieru, który wystawał mu spod pachy.

— Nie spóźniłem się? — wołał jeszcze z daleka. — Dawno czekacie?

— Nie usprawiedliwiajcie się. Wiem, wiem, zatrzymały was myszy. No tak, myszy archiwalne. Ale dlaczego jesteście w botach?

— Jak to? Przecież jest mokro, marzec.

— Cudowny wiosenny miesiąc!

— Co też mówicie? — zdziwił się Sawczuk. — Najłatwiej złapać grypę. Zawsze choruję, jeśli jestem w Moskwie.

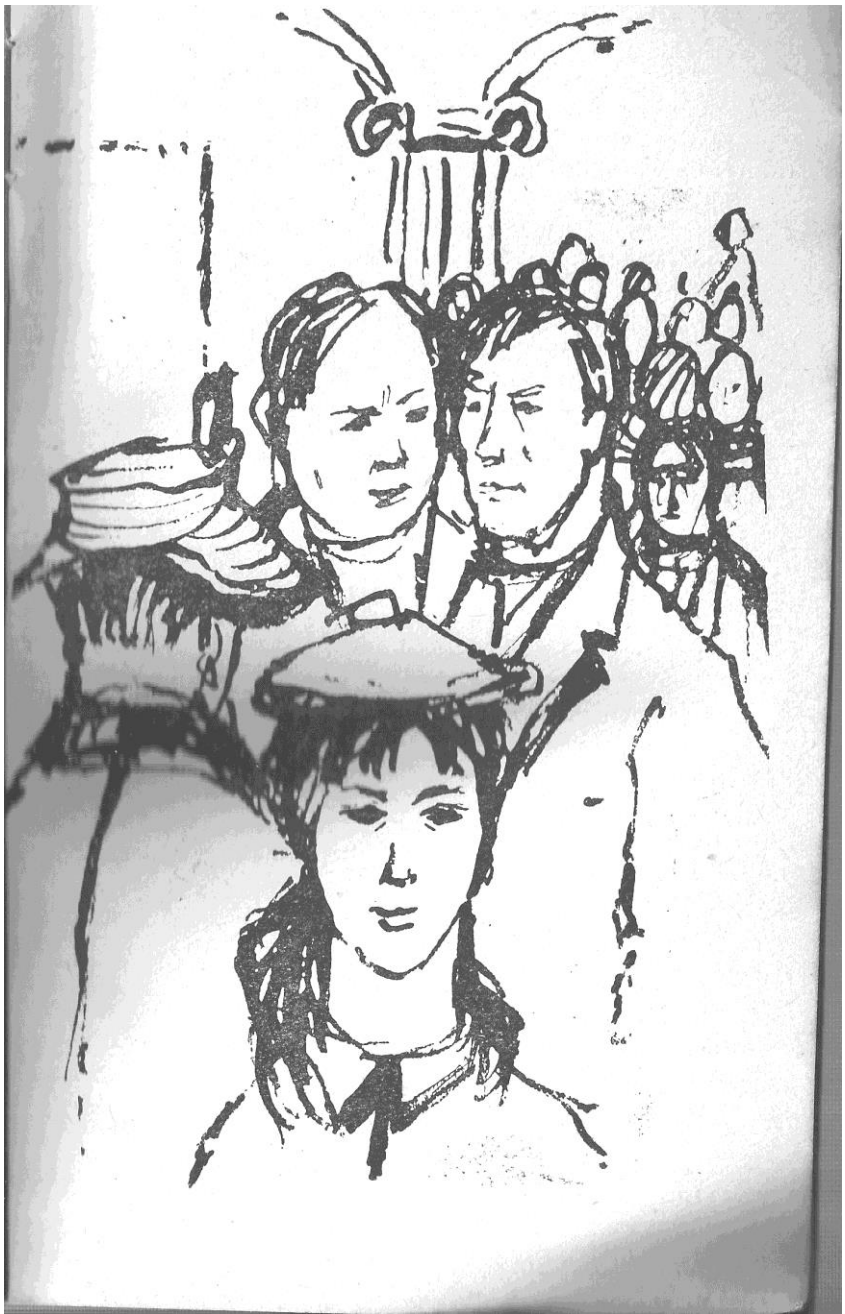
— Ale muszę was rozczarować. Dziś idzie nie opera, lecz balet — „Coppelia”.

— O, mnie wszystko jedno.

Chwyciłem go pod rękę i pociągnąłem do westybulu.

— Za pięć minut początek. Musimy się jeszcze rozebrać, wziąć lornetki...

1 Archijerej — arcybiskup w kościele prawosławnym.



— Mam jednakże nadzieję, że w antrakcie... Konsultacja zajmie dosłownie...

— Potem, potem!

— Tym bardziej że uchodzicie za najwybitniejszego znawcę Morza Karskiego, jak również Morza Łaptiewów. O ile wiem, dwukrotnie zimowaliście na Przylądku Czeluskin?

— Ciekawy z was człowiek!... — powiedziałem z westchnieniem. — Teraz znów pojawił się Przylądek Czeluskin...

I leciutko popchnąwszy swego towarzysza wszedłem razem z nim na rzęsiście oświetloną widownię.

## II. Kto to są „Dzieci Słońca“

1

Na widowni natychmiast zapomniałem o Sawczuku. Jestem w teatrze! Ten roziskrzony wszystkimi barwami tęczy zyrandol pod sufitem! Odświeżne, radujące oczy kolory — szkarłatnego aksamitu i złocień! Przytłumiony gwar publiczności, ogarniętej, podobnie jak ja, radosnym drżeniem oczekiwania!

A czy tak dawno?...

Jeszcze parę dni temu huczał dokoła pustynny ocean, termometr za oknem wskazywał trzydzieści stopni poniżej zera, a porywisty wiatr uderzał w drewniane ściany stacji polarnej; nie cichł ani na chwilę, dął już bez przerwy od miesiąca, z taką zaciekłością, jak gdyby chciał nas zmieść z Archipelagu. W marcu w naszych stronach wiatry osiągnęły diabelną siłę.

To wszystko zostało daleko poza mną. Gęste, przesycone zapachami powietrze jest nieruchome i ciepłe. Jestem w teatrze!...

Depcząc po nogach innym widzom i mrucząc słowa przeproszenia, odszukaliśmy w końcu nasze miejsca. Roz-

leży się długo oczekiwany, przejmujący wzruszeniem szelest.

Kurtyna wolno się rozsunęła...

Muszę zaznaczyć, że nie przepadam za baletem. Dla mnie to zbyt umowny rodzaj sztuki. A już w każdym razie wolałbym przemile „Jezioro Łabędzie” od kanciąstej Delibesowskiej „Coppelii”. Lecz nie miałem wyboru. Rozporządziłem zaledwie jednym, dzisiejszym wieczorem, więc rad byłem i „Coppelii”.

W tej chwili dobre było dla mnie każde widowisko, każda muzyka. Jak spragniony prowincjusz upajałem się samą świadomością, że znajduję się w Teatrze Wielkim.

Spojrzałem na Sawczuka. Siedział skulony w aksamitnym fotelu, poruszając wargami, z dziwnie nieprzytomną miną.

Złakłem się. Znałem ten rodzaj melomanów, którzy powtarzają całą partyturę na ucho sąsiadowi. Może i mój Sawczuk?...

Ale się omyliłem.

— Nie mogę wprost uwierzyć, że jesteśmy w teatrze — szepnąłem.

Oczywiście, ogromny kontrast z Arktyką — mruknął Sawczuk.

--- Jeszcze jaki!... Mam uczucie, jakbym wprost spod lodowatego prysznicu trafił do kojącej, ciepłej, wonnej kąpieli.

Sawczuk nic nie odpowiedział. Wyrwany na moment ze swego dziwnego stanu, znów się w nim pogрузzył, ledwo się tylko odwróciłem.

Mył czymś bardzo przejęty i coraz to wzdychał. Na czole wystąpiły mu kropelki potu. Przypominał w tej chwili kipiący czajnik. Wraz z westchnieniami z jego ust wychodziło jakieś niewyraźne bulgotanie.

Udało mi się pochwycić coś w rodzaju: „Au... Au...”

Zdziwiony zacząłem się uważniej przysłuchiwać.

— Ptak Mauch... Rauch... — doleciało mych uszu.

Biedaczysko! Nawet w teatrze nie mógł zapomnieć o swych strapieniach!



W czasie mojego poprzedniego pobytu w domu Liza mówiła, że Sawczuk pracuje nad dysertacją. Na jaki temat? Coś bardzo osobliwego. Ach tak! O wymarłych narodach Syberii. Też mi temat! O nieboszczykach!

Było dla mnie rzeczą niepojętą, jak można w naszych czasach entuzjazmować się etnografią. Grzebać się w zabobonach, w gadkach starych babek i poważnie traktować krasnoludki!

— Cierpliwości! — szepnąłem znowu. — W antrakcie was wysłucham.

Gdy skończył się pierwszy akt, zeszedliśmy do palarni. Błękitne, ruchliwe smugi zwiły się w ósemki między podłogą a sufitem. Sawczuk nie palił, lecz pokornie stanął w kącie przede mną i tylko z miną męczennika mrużył oczy od dymu.

— A więc — rzekłem zapalając papierosa — nie daję wam spokoju jakiś ptak. Wybaczcie, ale grała orkiestra, nie dosłyszałem wyraźnie — „Rauch”, „Mauch”?

— Mauk — poprawił Sawczuk.

Nadał policzki i westchnął. Wszystko wskazywało na to, że zanosi się na dłuższą rozmowę.

Przynagliłem go:

— Powiedzieliście, że uważacie mnie za znawcę Morza Karskiego...

— Morza? Ach tak, Karskiego. Naturalnie... Nie, przepraszam, nie można tak od razu... Trzeba was najpierw wprowadzić, wyjaśnić...

Próbował pomóc sobie płynnym gestem, lecz potarcił przy tym dwóch palaczy stojących obok; zmieszany, przeprosił i dalej ciągnął już szeptem:

— Rzecz w tym, że od dawna łamię sobie głowę nad pewną „białą plamą”... Tak, właśnie w etnografii. Na etnicznej mapie Syberii północna część półwyspu Tajmyr oznaczona jest białym kolorem. Ale mam wrażenie, że się znowu zbyt daleko zapędziłem? Może lepiej zacznę od odkrycia w bibliotece, jak sądzicie?

— Doskonale, zaczynajcie od biblioteki.

— Widzicie — rzekł Sawczuk — zawsze to czułem, że

właśnie w bibliotece czeka mnie jakieś niezwykle przeżycie.

Początek był ciekawy.

Okazało się, że Sawczuka interesuje pochodzenie ludów Syberii, bada, jakie było ich rozmieszczenie przed przybyciem tam Rosjan.

— Czy to jest tematem waszej dysertacji?

— Mniej więcej... Widzicie, odkryty przeze mnie naród nie jest wymieniony w żadnym ze starych dokumentów rosyjskich. Co więcej, zupełnie uszedł uwagi etnografów, zarówno radzieckich, jak przedrewolucyjnych. I wyobraźcie sobie, że naród ten żył, istniał realnie jeszcze w początkach naszego stulecia.

— To dziwne! Czyżby nie zachowały się żadne ślady?

— Bardzo znikome. Ornament na odzieży. Potem pewno podania, bajki. Głównie bajki.

--- Bajki! Hm! — chrząknąłem z powątpiewaniem. — Od kiedyż to bajki uważa się za wiarygodne źródła?

--- I ja nie wierzyłem. Ja też nie wierzyłem — gorąco zapewniał Sawczuk, w podnieceniu chwytając mnie za rękaw, - Ale musiałem uwierzyć, gdy przeczytałem list na reniferowej skórze... Zrozumcie, przecież to jest już dokument! Daty nie ma, lecz nie ulega wątpliwości, że pisany był w naszych. W każdym razie w dwudziestym wieku. Głowę daję za dwudziesty wiek!

Ludzie zaczęli się już na nas oglądać. Lecz w tej chwili rozległ się dzwonek przerywając wywody Sawczuka.

2

W czasie następnej przerwy poszliśmy do bufetu.

Byt nabity po brzegi. Udało nam się jednak precyzyjnie przycisnąć do stolika w kącie, skąd zacząłem dawać znaki kelnerkom, przebiegającym obok jak barwny wicher.

Tymczasem mój towarzysz przysunął do siebie kartę i w roztargnieniu zaczął wodzić po niej ołówkiem. Po

chwili papier od góry do dołu pokrył się rysunkami ptaków, mnóstwem niezgrabnych, fantastycznych sylwetek.

Odebrałem mu kartę.

— Przepraszam, zamyśliłem się — z zakłopotanym uśmiechem tłumaczył się Sawczuk. — Rysuję teraz na wszystkim, co mi wpadnie w ręce. To pomaga w myśleniu.

— No, słucham was — powiedziałem. — Skąd się wziął czcigodny Ptak Mauk, który zalecał aż na nasz stolik, na tę nieszczęsną kartę?

— Wyobraźcie sobie, że nie wiem... O, to sprawa bardzo zagadkowa!...

Z początku raz po raz ponawiałem próby przywołania którejś z kelnerek, lecz wreszcie dałem temu spokój i zwróciłem się twarzą do Sawczuka.

List na skórze reniferowej przybył do Moskwy ubiegłego lata.

Sawczuk w tym czasie całe dni spędzał w bibliotece muzeum, jako że kończył właśnie dysertację. Przychodził, gdy tylko otwierano, i wychodził o dziewiątej wieczorem, z ostatnim uderzeniem dużego ściennego zegara.

Panowała tu osobliwa, niemal nabożna cisza. Po jasnych parkietach snuły się bezgłośnie usłużne siwe damy, pracownice biblioteki. Słychać było tylko szelest odwracanych kartek. Czasem ktoś zakaszłał, ale ostrożnie, ledwo dosłyszalnie.

Usiadłszy przy swym ulubionym stoliku pod oknem, Sawczuk pogrążył się całkowicie w historii przyłączenia do państwa rosyjskiego Jukagirów, Tunguzów, Czuczów, Samojedów.

Przy pracy zwykle zapominał o całym świecie.

Toteż był bardzo zdziwiony, gdy ujrzał, jak czyjaś ręka ostrożnie wysuwa się spoza jego ramienia i kładzie przed nim pakiecik.

Obejrzał się. Za jego krzesłem stała pracownica czytelni.

— Na wasze nazwisko — powiedziała szeptem. — Dyrektor kazał natychmiast wam doręczyć.

Sawczuk skrzywił się. Na pewno znowu list od jakiegoś miłośnika krajoznawstwa. Wiele takich listów przychodzi do muzeum ze wszystkich stron kraju.

Nie miał w tej chwili do tego głowy. Nie wiadomo dlaczego pomyślał, że w paczce znajduje się informacja nie zasługująca na uwagę. Jakiś amator-krajoznawca znalazł w tundrze kiel mamuta i nie posiada się z radości, uważając, iż dokonał epokowego odkrycia. A w muzeum prawie pół sali zawałone tymi kłami...

Sawczuk podniósł wzrok ku oknu, zacienionemu zielonymi gałęziami. Wysokie okna muzeum otwierano w lecie na oścież. Pod nimi znajdowało się boisko, na którym grano w siatkówkę. Widać było piłkę, wlatującą do poziomu okna, słychać było głuchoe odgłosy uderzeń, śmiechy, okrzyki: „Aut”, „Serw z prawej!”, „Stan: dwa — zero!”

Te szczegóły utkwily mu w pamięci, gdyż tworzyły jakby oprawę dla jego odkrycia.

Przez jakiś czas zatrzymał wzrok na zielonym listowiu prześwietlonym słońcem. Potem westchnął i otworzył przesyłkę.

Nie, nie chodziło tym razem o kiel mamuta...

Z koperty wypadł na stół czworokątny kawałek skóry, bardzo mały i lekki, z wydrapanymi, na wpół zatartymi znaczkami. Przyjrzawszy się bliżej, Sawczuk stwierdził, że są to drukowane litery.

Szybko skierował na nie lupę.

„Tajmyr” — odczytał — „powietrznym śladem”, „w górnym dorzeczu...”, „Dziećmi Słońca...”, „Ptakiem Mauk...” „walka samowtór”, „żyję...”

Jeszcze jeden, czysto zewnętrzny szczegół: na kwadracik skóry padł ukośny promień zachodzącego słońca. Wiersze jakby naraz ożyły w snopie wirującego pyłu. „Słoneczna kursywa” — pomyślał Sawczuk, wpatrując się badawczo w ów dziwny tekst.

Niestety, nie mógł pochwycić związku między poszczególnymi słowami. Odłożywszy więc skórę, otworzył załączony list. Grupa młodych przyrodników z Lenkoranu

zawiadamią, że kolekcja ptaków przelotnych w lenkorańskim Domu Pionierów wzbogaciła się o dziwne trofeum myśliwskie. Mianowicie udało się im upolować dziwkę gęś, która miała jedną łapkę starannie owiniętą, jakby obandażowaną „załączonym kawałkiem skóry”. Widocznie ptak został zaobrączkowany — jeśli to można nazwać obrączkowaniem — dość dawno, gdyż niektóre słowa wypisane na skórze zupełnie się zatary.

Fakt, że dzikie gęsi spędzają lato na Tajmyrze, był Sawczukowi równie dobrze znany, jak pionierom. Zresztą mówiło też o tym pierwsze słowo na kawałku skóry, dające się odcyfrować. Gęś przebywała więc na Tajmyrze. Jakież wnioski należało z tego wyciągnąć?

Czyżby zapełniała się luka w etnografii, która go już od dawna dręczyła? Będzie można zakreskować „białą plamę” na etnicznej mapie Syberii?

Wyglądało na to, że północna część Półwyspu Tajmyrskiego, wrzynająca się klinem w Ocean Lodowaty Północny, jest zamieszkała! Tam, u źródeł jakiejś rzeki, żyje naród nazywający siebie „Dziećmi Słońca”, do tej pory nie znany etnografom!

Do samego wieczora Sawczuk przesiedział bez ruchu nad kawałeczkiem skóry przysłanej z Lenkoranu, nie tknąwszy nawet książki.

Musiał mieć dość dziwną minę, gdy przed zamknięciem czytelnicy zwracał książki. Kierowniczką, która darzyła go sympatią, spytała półgłosem:

— Jak się pracowało, Władimirze Osipowiczu? Mielicie dziś dobry dzień?

— Dobry dzień?... — Sawczuk spojrział na nią ze zdziwieniem. Nie zrozumiał w pierwszej chwili pytania. — Ach tak, dzień?... Nie wiem! Na razie jeszcze nie wiem...

Podniosłem głowę. Wokół rozlegał się hałas odsuwanych krzeseł. Przerwa się kończyła. Dzwonek wzywał znów na widownię.

— Cóż, trzeba iść — westchnął z żalem Sawczuk.

— Dokończymy rozmowy po przedstawieniu — pocieszyłem go.

Gdy przedstawienie się skończyło, Sawczuk pokornie wyszedł za mną do foyer.

Patrząc na jego pełną, zgnębioną twarz przypomniałem sobie, że Liza porównywała Sawczuka z Pierrem Biezuchowem Istotnie, było w nich obu coś, co ich upodabniało do siebie. I to nie tylko tusza. Wprawdzie Sawczuk nie nosił okularów jak Pierre, lecz spojrzenie jego oczu bywało niekiedy tak bezradnie nieobecne, tyle w nim było marzącej zadumy, że sprawiał wrażenie krótkowidza.

— Przejdźmy się — zaproponowałem. — Mam ochotę powłóczyć się trochę po mieście. Popatrzeć na Moskwę wieczorem.

Może jednak lepiej pójść do muzeum? — nieśmiało podsunął Sawczuk.

Co też mówicie! W nocy?... Nie, opowiecie mi resztę po drodze. Zrozumcie, stęskniłem się bardzo za Moskwą. Tyle razy wyobrażałem sobie na zimowisku: oto idę dół ulicą Gorkiego, sprawdzam czas na moim zegarku z zegarem pocztowym, skręcam w stronę uniwersytetu... Byliśmy już w szatni.

Sawczuk jak niedźwiedź dreptał koło mnie i usiłował pomóc mi się ubrać, w nadmiernej gorliwości wpychając mają rękę zamiast do rękawa, do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyszliśmy z teatru.

--- Brr, co wilgoć rzekł Sawczuk poprawiając szalik, którym miał co najmniej ze trzy razy owinięta

--- Ale co, znowu! Ja uważam, że jest cudownie. Ciepłuteńko!

Wstrętna pogoda! Zawsze w marcu muszę mieć gripę.

Dalibyście sobie spokój z gripą.

" Pierre Biezuchow — jedna z głównych postaci w powieści Lwa Tołstoja „Wojna i pokój”.

— Jak to — dać sobie spokój? Sądzicie, że udaję?

Kichnął i z niepokojem popatrzył na mnie. Roześmiałem się.

— Taki Herkules — z satysfakcją zmierzyłem go wzrokiem od stóp do głowy — i tak panicznie boi się grypy! Poowijał się szalem, obuł jakieś archijerejskie boty. Po prostu zniewieścieliście, mój drogi! Obejrzyjcie się lepiej za siebie!

Mokry asfalt jezdni odbijał wieczorne światła: jasne kwadraciki okien, zielone, żółte i czerwone kule sygnałów świetlnych, migotliwe fale neonów.

Moskwa przeglądała się w asfalcie jak w rzece. Od czasu do czasu przepływały obok nas trolejbusy, kołyszac się z boku na bok niczym naładowane po samą górę barokasy.

— Jakże tu pięknie! — westchnąłem z głębi wezbranej wzruszeniem piersi. — Wy tego nie możecie zrozumieć! Patrzycie na to co dzień, przywykliście. Na pewno, od kiedy ugrzęźliście w tym swoim muzeum, nie wyjeżdżaliście nawet z Moskwy?

— Prawdę mówiąc...

— Zostawmy, to przecież nie moja sprawa. Interesuje mnie coś innego. Jak to się stało, że dotychczas nikt nie odkrył istnienia „Dzieci Słońca” na Tajmyrze?

— A czy pamiętacie, jakie miejsce na mapie zajmuje Jenisej? — odparł Sawczuk pytaniem na pytanie.

— Jenisej? Co ma do tego Jenisej?

— Rzeka ta dzieli terytorium ZSRR mniej więcej na dwie równe części.

— Wiem.

— Otóż na zachód od Jeniseju pracowały dziesiątki uczonych etnografów, natomiast na wschód od niego — jednostki. Proporcja, oczywiście, niewłaściwa. W danym wypadku fakt ten wiele tłumaczy.

Argument wydał mi się przekonujący.

— Wybaczcie — spytałem — ale mimo wszystko nie rozumiem, jaki związek z moją osobą ma kawałek skóry, choćby nawet zapisany drukowanymi literami?

— Przecież bywaliście na Morzu Karskim! Liza mówiła, że studiowaliście specjalnie historię wypraw w tym rejonie Arktyki.

— Owszem, studiowałem.

— No widzicie! Właśnie wy moglibyście się zorientować... Jakiś rosyjski podróżnik dwudziestego wieku, przemierzając Tajmyr od północy, od strony morza, natknął się na „Dzieci Słońca” i za pośrednictwem „obrączkowanego” ptaka zawiadomił o swym odkryciu. Weźcie pod uwagę, że człowieka tego uważa się za zmarłego lub zaginionego bez wieści, inaczej w liście nie byłoby słowa: „żyję”.

Zamyśliłem się. Jakoś żadne nazwisko podróżnika, który by zginął lub przepadł bez wieści, nie przychodziło mi do głowy.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Zaczął mżyć drobny, dokuczliwy deszcz.

Najważniejszą rzeczą w tej chwili jest ustalenie chronologii wydarzeń — mówił dalej Sawczuk. Z irytacją strząsnął krople deszczu ze swego płaszcza. — W którym roku list został napisany? Data! Data! Dajcie mi datę!

--- Czy pokazywaliście tę skórę specjalistom garbarzom? Być może, iż ekspertyza fachowa...

--- Ekspertyza nic nie dała. Eksperci przesiedzieli nad nią cały tydzień i wszyscy orzekli zgodnie, iż mają przed sobą świetnie wyprawioną i oczyszczoną skórę renifera. Uderzający jest przy tym swoisty sposób wyprawy. To wszystko wiedziałem i bez nich.

--- A ornitologdy? Czy zwracaliście się do ornitologów? Jaki jest wiek „obrączkowanego” ptaka?

--- Muzeum poprosiło lenkorańskich pionierów o przysłanie wypchanej gęsi. Przybyła bardzo szybko.

— No i ?...

— Ornitologdy określili jej wiek w przybliżeniu na dwadzieścia pięć, trzydzieści lat.

— Doskonale! A więc mamy już dolną granicę daty. Ptak został zabity w ubiegłym roku, to znaczy w dziewięćset trzydziestym dziewiątym. Wobec tego „zaobrącz-



kowano” go nie wcześniej niż w dziewięćset dziewiątym, A górna granica? Czy nie można ustalić górnej granicy daty?

— To już jest ustalone. Dziewięćset siedemnasty rok.

— Na jakiej podstawie?

— Ortografia. List jest pisany według starej ortografii. To wskazuje w każdym razie na lata przedrewolucyjne.

— Tak, to jest argument — zgodziłem się. — Tylko dlaczego drukowane litery?

— Myślę, że ów podróżnik był po prostu przewidujący. List mógł wpaść w ręce mało wykształconych ludzi, którym łatwiej odczytać tekst drukowany.

— Niegłupi człowiek z tego waszego podróżnika — mruknąłem wzdrygając się: za kołnierz pociekła nieprzyjemna, zimna strużka. Deszcz powoli się wzmagał.

— Muszę wyznać, że zaczyna mnie ta sprawa interesować — powiedziałem szczerze. — Z tego wynika, że do waszego muzeum, do waszej biblioteki wtargnęła wieść od jakiegoś współczesnego nam rosyjskiego żeglarza? Gubię się w domysłach, kto by to mógł być... Ale przepraszam, przerwałem wam.

Szliśmy dalej mokrym, lśniącym chodnikiem.

— Gdzie my jesteśmy? — spytałem podnosząc kołnierz.

We mgle połyskiwała woda. Przed nami rysowały się imponujące kontury jakiegoś mostu.

— Most Krymski — rzucił Sawczuk w roztargnieniu.

Oho! Jak daleko zaszliśmy!

— Czy my obaj nie jesteśmy wariatami? — uśmiechnąłem się. — Zamiast spać, włóczymy się nocą po deszczu i rozprawiamy — o czym? O kawałku świetnie wyprawionej skóry renifera i Morzu Karskim! O Ptaku Mauk i jakichś mitycznych „Dzieciach Słońca”!

— I o zaginionym podróżniku rosyjskim.

— Tak, o zaginionym, dawno zmarłym podróżniku.

— O to chodzi, że człowiek ten, być może, żyje do dzisiaj.

— Żyje? Ale co też powiadacie... — rzekłem z niedowierzaniem.

— Tak. I prawdopodobnie w dalszym ciągu wysyła wieści znad źródeł swej rzeki. Ale to by trzeba, oczywiście, sprawdzić na miejscu, na samym Tajmyrze...

W zamyśleniu minęliśmy jeszcze parę ulic.

— Jak wygląda ten list na reniferowej skórze? Opiszcie mi go! — poprosiłem, wciąż jeszcze szukając w pamięci nazwisk zaginionych rosyjskich podróżników polarnych.

Sawczuk mruknął coś w szalik.

— Nie słyszę. Co mówicie?

— Powiadam, że najprościej byłoby, gdybyście sami go zobaczyli.

Przystanąłem. Obudziło się we mnie niejasne podejrzenie.

— Sawczuk, gdzie teraz jesteście?

Mój rozmówca zmieszał się i odwrócił wzrok.

— Na Wielkiej Kałuskiej. Niedaleko muzeum.

Nad nami we mgle, niczym malutki księżyc, migotała latarnia. W jej świetle wpatrzyłem się w zakłopotaną twarz Sawczuka.

— Ach, to tak! — rzekłem.

— Ależ...

— Dajcie spokój, niezły z was spryciarz! I co za narećtwo! Przyczepił się jak pijawka, po prostu pijawka!

Zaczął się usprawiedliwiać, że przyprowadził mnie tu przypadkowo, że nogi machinalnie, bez udziału świadomości zawiodły go do muzeum i że psychologom znane są podobne wypadki. W końcu umilkł nie mogąc wytrzymać mojego wymownego spojrzenia.

— Ale skoro już tu jesteście — zaczął znów, niemal szeptem.

— Skoro, skoro — przedrzeźniałem go. — Zwabiliście mnie w okolice muzeum...

— Ależ to nie potrwa dłużej niż kwadrans.

— Nie, wyście chyba oszaleli!

Sawczuk pochwycił jednakże w moim głosie nutę wa-

hania i zaczął jeszcze usilniej nalegać. Z niczym nie można porównać natarczywości takich właśnie z pozoru ospałych i gnuśnych grubasów, jeśli sobie czymś nabiją głowę.

— Jutro rano — powiedziałem.

— To niemożliwe. Nie będzie kiedy. Jutro wyjeżdżacie do Soczi, a ja lecę na Tajmyr.

— Na Tajmyr?... Po co?

— Przecież tłumaczę wam to przez cały wieczór! Szukać legendarnego, tajemniczego narodu — „Dzieci Słońca!” Poruczono mi zbadanie autentyczności listu na reniferowej skórze. Nie, musicie go bezwarunkowo zobaczyć.

— W nocy?... Do muzeum? — mruknąłem robiąc parę niezdecydowanych kroków. — Mimo wszystko zgodzicie się chyba ze mną, że to dość dziwne...

— Nie widzę w tym nic dziwnego. Dla nauki nie ma rzeczy dziwnych! Sami byliście przecież w takiej sytuacji i was męczyła kiedyś tajemnica, która...

To był istotnie nieodparty argument.

Gdy wstępowałem za Sawczukiem na schody muzeum, kuranty na Baszcie Spaskiej, powtórzone przez głośniki na placach, zaczęły wybijać północ.

### III. „Obrączkowana” gęś

Zwiedzanie muzeum o północy?... Słyszana to rzecz?! Iść do muzeum tylko po to, by popatrzeć na oblaźłego wypchanego ptaka i na wpół zetlały strzep reniferowej skóry!

Wlec się, diabli wiedzą gdzie, po deszczu, kiedy dawno już powinno się spać!

Jednakże, choć powtarzałem to w duchu i byłem wściekły na siebie, szedłem dalej za Sawczukiem.

W czasie, w którym rozgrywa się akcja powieści, Muzeum Narodów ZSRR mieściło się w gmachu przy Wiel-

klej Kałuskiej, zwróconym fasadą ku rzece Moskwie i parkowi zwanemu „Nieskucznyj Sad”.

Podczas gdy Sawczuk szukał dyżurnego, ja czekałem u wejścia.

W dole kłębił się gąszcz drzew. Miejscami pomiędzy pniami przezieriała woda. Wydawała się nieco jaśniejsza od drzew, lecz mimo wszystko była bardzo ciemna, nieprzyjazna.

Pomyślałem, że już wkrótce — za jakieś dwa, trzy dni — będę stał przy otwartym na oścież oknie sanatorium w Soczi; księżycowa dróżka biegnie od brzegu daleko, daleko, aż do widnokręgu, a z tarasu, wraz z miarowym szuraniem nóg, dochodzą dźwięki powolnego walca. Powolnego... Dlaczego właściwie powolnego?

To dziwne! W żaden sposób nie mogłem się „przestawić” psychicznie na urlop. Liza nieraz mi mówiła, że podobnie jak inni bardzo zapracowani ludzie, po prostu nie umiem wypoczywać. Być może. Lecz myśli o Soczi wciąż zakłócała myśl o liście na reniferowej skórze. Jakaś nieomal hipnotyczna siła, coś ogromnie niepokojącego było w tych oderwanych, nie wiążących się ze sobą słowach: „Tajmyr”, „w górnym dorzeczu”... I jak tam dalej? „Ptak Mauk” i „żyję”!

Co by to mogło znaczyć?...

— Dyżurny pozwolił! — rozległ się nagle za mną triumfalny okrzyk Sawczuka.

Drgnąłem. W tej chwili byłem tak daleko od dyżurnego i muzeum.

— Wszystko załatwione — tłumaczył zdyszczanym głosem Sawczuk. — Zaraz nam otworzą.

Ale wysokie, rzeźbione podwoje czekały widocznie na magiczne słowo „sezamie” i długo jeszcze nie otwierały się przed nami.

Wreszcie zjawił się niziutki, kudłaty, zaspany woźny. Nie wydawał się zachwycony. Postępując i ziewając wyszukał z ogromnego pęku odpowiedni klucz, i drzwi otwały się z przeciągłym skrzypnięciem.

Wionęło na nas chłodem. Jakbyśmy weszli do piecza-

ry — głębokiej, wysoko sklepionej, tonącej w gęstym mroku. Po kątach coś niewyraźnie połyskiwało — może skarby Ali Baby?

Szurając walonkami woźny podreptał naprzód, zapalając światła na naszej drodze.

Jedna po drugiej wyłaniały się z ciemności wysokie, obszerne sale. Za dnia bywało tu inaczej: słychać było stłumione, nieśmiałe głosy zwiedzających, wstrzymywane pokaszliwanie, władczy stuk pałeczki przewodnika. W tej chwili sale pogrążone były w sennej, nieruchomej jak stojąca woda ciszy.

Tak, bardzo dziwnie było nocą w muzeum.

Wydało mi się, że w jednym z kątów stoi człowiek. Gdy podeszliśmy bliżej, ujrzałem za szkłem gabloty postać rosyjskiego Kozaka z XVII wieku.

Wojowniczo sterczał szyszak na jego głowie, połyskiwała łuska kolczugi, w odrzuconej ręce tkwiło coś w rodzaju halabardy. Figurze potrafił ktoś nadać tak naturalną pozę, że zdawało się — tylko patrzeć, jak ożyją, rozprostują się potężne ramiona, a ręka w żelaznej rękawicy zsunie z czoła hełm, spod którego wyjrzy męzne i dobroduszne, czarnobrode oblicze.

Takimi zapewne musieli być pierwsi odkrywcy Syberii: przedsiębiorczy Jermak, śmiały Wasilij Bugor, nieustraszony Jelisej Buza, o których opowiadał mi w dzieciństwie — z jakim entuzjazmem i jak barwnie! — mój nauczyciel geografii.

— Nie zatrzymujcie się tutaj — popędzał mnie Sawczuk. — Powiedziałem wam przecież — nie siedemnasty, lecz dwudziesty wiek!...

Szybkim i pewnym krokiem przechodził obok mgliście połyskujących gablot, glinianych naczyń i drewnianych soch, gablotek z kolorowymi haftami i kamiennych bałwanów, które na nasz widok wyniośle mrużyły ślepia.

W końcu mój przewodnik zwolnił kroku.

— W następnej sali — rzekł półgłosem. (Północna pora również i jego nastroiła uroczyście).

Rozejrzałem się. To był kamienny wiek

— Jesteśmy w północnej Syberii. Epoka — wczesny neolit — objaśnił Sawczuk z szerokim gestem gospodarza.

Ze ścian patrzyły na nas spode łba rogate czerepy, prawdopodobnie reniferów. W kącie stał spękany odłamek potężnego żółtego kła, a obok leżały kamienne topory, groty strzał i krótkie noże z obsydianu — szkła wulkanicznego.

A przecież to wszystko służyło kiedyś człowiekowi. Grot z obsydianu dosięgał uciekającego jelenia, kamienny topór powalał byka. Każdy z tych przedmiotów mówił o człowieku; w nich to ucieleśniała się, materializowała jego uparta, twórcza, konstruktywna myśl, która wywyższyła go nad otaczający świat.

Ale co nas czeka w następnej sali?

Z uczuciem jak gdyby onieśmielenia przekroczyłem próg.

2

Ujrzałem przed sobą wypchanego orła.

Muszę przyznać, że był to wyjątkowy okaz. Rozpiętość skrzydeł dochodziła, tak na oko, do jakichś dwóch i pół metra. Potężne szpony wczepiły się w pąsowy aksamit podstawki. Z dala mogło się wydawać, że drapieżnik rozszarpuje rzucony mu kawał mięsa. Dziób miał szeroko rozwarty, tak że widać było koniec ostrego jak żądło języka.

Preparator, który wypychał ptaka, posiadał widocznie smak artystyczny: wygięcie szyi orła potęgowało jeszcze wrażenie złej i dumnej siły.

Z uznaniem i ciekawością pochyliłem się nad metalową płytką przybitą do podstawki.

„Orzeł-białogłów — przeczytałem — ustrzelony na Czukotce. Ofiarowany muzeum przez myśliwego Tywlianto dnia tego a tego”.

Odwrociłem się do Sawczuka, który patrzył na mnie ze zdumieniem.

— Co też mówicie? Nie chodzi o orła — powiedział.

Przyjrząwszy się uważniej zobaczyłem ukrytą w cieniu orlich skrzydeł, na osobnej podstawie, wypchaną gęś. Gęś jak gęś: z błoniastymi łapami, z wyciągniętą gęsim zwyczajem szyją. Zezowała na mnie żółtym okiem, zachowując przy tym zagadkowo-nieprzenikniony, a nawet rzecz można wyzywający wyraz długonosej, chytrej fizjonomii.

— Wolałbym jednak orła. Bo gęś, wiecie, jakoś nie tak romantycznie...

— Ależ to nie jest zwykła gęś, lecz „obrączkowana” — bronił jej Sawczuk,

— Nieomal zaczarowana...

— Zwiastun nieszczęścia — rzucił znacząco etnograf i ciągnął dalej. — W dawnych czasach ważne pisma pieczętowało się lakiem, do którego dodawano jeszcze kilka gęsich piór. Wiedzano już, że im więcej piór, tym ważniejsza wiadomość — tym szybciej pędził goniec.

— Gęsie pióra zamiast znaczków?

— Mniej więcej.

— Wobec tego pismo otrzymane z Tajmyru można by nazwać poleconym, gdyż dołączono do niego nie dwa, trzy pióra, lecz całą gęś. Ale gdzież jest ten „list polecony”?

— Oczywiście, że nie w dziobie gęsi. Pod siedmiu pieczęciami... Proszę dalej, przez te małe drzwi. Ostrożnie, schodki!...

Pismo przechowywane było w gabinecie dyrektora, w osobnej, hermetycznie zamkniętej szklanej szkatułce. Sawczuk nie pozwolił go wyjąć, ponieważ skóra pod działaniem czasu zetlała, stała się łamliwa i zupełnie biała na brzegach.

Usiadłem przy stole.

Kawałek skóry w kształcie czworokąta, z zaginającymi się do środka brzegami, zapisany był mikroskopijnymi drukowanymi literkami, z zachowaniem starej ortografii. Literki te wydrapano najpierw czymś ostrym (szydłem lub gwoździem), po czym powstałe w ten sposób wgłębienia w skórze wypełniono sadzą rozpuszczoną w wodzie.

Oto co udało mi się odczytać: „Tajmyr... idąc na po-

łudnie... śladem powietrznym... w górnym dorzeczu... nazyw...  
Dziećmi Słońca... Ptakiem Mauk... walka samowtór... żyję...  
pomocy...

— Nic z tego nie rozumiem — rzekłem z rozczarowaniem do Sawczuka.

— Trzeba czytać między wierszami.

— A wyście co wyczytali?

— Próbowałem. Zacząłem wypełniać luki między ocalałymi słowami, przerzucać logiczne pomosty...

— I jaki rezultat?

— Osądźcie sami.

Sawczuk wyjął z kieszeni zmiętą kartkę papieru, upstrzoną poprawkami i przeczytał:

--- Ja, X. Y., po rozbiciu okrętu dostałem się na Tajmyr. Idąc na południe za jakimś śladem powietrznym, po długiej tułaczce znalazłem się w górnym dorzeczu takiej a takiej rzeki i natrafiłem na ludzi, którzy nazywają siebie „Dziećmi Słońca”... No jak?

--- Całkiem składnie... A dalej?

Dalej już nie tak składnie. Ptak Mauk?... Na razie nie niani pojęcia, ca to za dziwo. Może: „Zetknąwszy się z Ptakiem Mauk”?...

--- Rpzumiem... „stoczyłem z nim walkę samowtór”?

--- Tak, coś w tym rodzaju. I wreszcie zakończenie:

„Uważa się mnie za zmarłego, lecz ja żyję i proszę o pomoc...”.  
Potem jak zwykle, nazwisko, data, współrzędne geograficzne.

--- Ale tego nie ma?

--- Niestety, nie ma. Brzeg listu jest oberwany.

W zamyśleniu przechyliłem się na oparcie krzesła.

— Zasadniczo to jest do przyjęcia. Nie ulega wątpliwości, że list został wysłany z Tajmyru.

A niektórzy etnografowie, wyobraźcie sobie, nie wierzą, uważają to za mistyfikację — żalił się Sawczuk.— Ukazał się nawet artykuł: „Dziwna mistyfikacja w Arktyce”. Mam wycinek z gazety. Chcecie przeczytać?

— Nie chcę! — parsknąłem.



Moja reakcja wyraźnie sprawiła Sawczukowi przyjemność. Uśmiechnął się.

— Mistyfikacja? — rzuciłem gniewnie. — Bzdura, bzdura!... Wybaczcie, ale nie mogę spokojnie... Ci sceptycy swego czasu dość mi krwi napsuli!... Jakie tu mogą być wątpliwości? List jest autentyczny! Wszystko przemawia za tym!

— Co mianowicie, waszym zdaniem?

Zacząłem wyliczać, zaginając palce:

— Zewnętrzny wygląd pisma, to raz! Ekspertyza garbarska, dwa! Analiza tekstu, trzy!

Etnograf uśmiechnął się z zadowoleniem i zatarł ręce:

— Bardzo się cieszę, że nie podajecie w wątpliwość autentyczności listu. Ale teraz zajmijmy się jego autorem...

Przechylił się przez moje ramię i postukał palcem po szkle szkatułki, w której leżała reniferowa skóra.

— Tak, zajmijmy się autorem listu. Kto to może być?...

— Mamy tak mało danych...

— Owszem, niewiele. Jednakże coś niecoś już można ustalić...

— A mianowicie?

— Nie ulega wątpliwości, że jest to Rosjanin, nie cudzoziemiec. Cudzoziemiec nigdy by nie napisał: „walka samowtór”, tylko: „pojedynek”. Przynajmniej inteligent — nie prosty myśliwy, nie zwykły marynarz, nie handlarz futrami. Z tego wniosek: rosyjski podróżnik, geograf, badacz Arktyki. Kto to może być?...

Po namyśle Sawczuk sprecyzował swoje pytanie:

— Który z rosyjskich podróżników zaginął bez wieści w okresie mniej więcej między tysiąc dziewięćset dwudziątym i dziewięćset siedemnastym rokiem, w tym rejonie, to jest na Morzu Łaptiewów lub na Morzu Karским, w pobliżu brzegów Tajmyru?

Milczałem.

Przypomniało mi to grę w piętnaście pytań, którą emocjonowano się w moich czasach studenckich.

Gra polegała na tym, że jeden z jej uczestników obie-

rał sobie w myśli jakąś znakomitą osobistość: pisarza, wodza, artystę, uczonego. Druga strona miała prawo zadać piętnaście pytań, dotyczących biografii owej osobistości. Odpowiadać było wolno jednym słowem: „tak”, „nie”.

Wypracowano przemyślną taktykę tego intelektualnego pojedynku. Do rozwiązania zagadki zmierzano jak gdyby po spirali, zwężając stopniowo kręgi, odrzucając wszystko, co okazywało się zbędne.

Zwykle zaczynało się od pytania: „Żyje”? Jeśli odpowiedź była przecząca, zakres zagadki od razu się kurczył — w rachubę wchodzili tylko nieżyjący. Wtedy przechodziło się w stulecie za stuleciem: „Umarł w dwudziestym wieku”, „W dziewiętnastym, osiemnastym?” W podobny sposób próbowano ustalić zawód owej osobistości, itp.

Przy ostatnim pytaniu, przyparłszy przeciwnika do muru, zgadujący z triumfem wykrzykiwał: „Ludwik Feuerbach!” czy „Cezary Borgia!”, czy „Anatolij Łunaczarski!”

O, gra w piętnaście pytań wymagała odczytania i wytrwałości! Trzeba było przetrząsać w pamięci wiadomości z najróżniejszych dziedzin.

Jednocześnie było w niej coś z hazardu. W tramwaju, na korytarzu uniwersyteckim, w stołówce, w foyer teatru można było spotkać przyjaciela, który przepychając się przez ciżbę, nagle rzucał się ku tobie z okrzykiem: „Żyje?” Znaczyło to, że gotów jest zgadywać.

— Cóż — zacząłem niezdecydowanie — przychodzi mi na myśl tylko Władimir Rusanow.

— Rusanow — powtórzył Sawczuk, jakby ważąc w myślach to nazwisko.

— Wiadomo wam, oczywiście, że postawił on sobie za zadanie przepłynąć Północną Drogę Morską?

— Tak.

— Ostatnia wieść od niego, jaka do nas dotarła, pochodziła z sierpnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Donosił, że znajduje się nieco poniżej cieśniny Matoczkin

Szar. Przypuszczalna marszruta: północno-wschodnie wybrzeże Nowej Ziemi i dalej na wschód...

— A potem?

— Potem mrok. Arktyka na wiele lat zapuszcza zasłonę. Nie jest wykluczone, że podróżnik zimował gdzieś na wschodnim wybrzeżu Nowej Ziemi, a w tysiąc dziewięćset trzynastym roku ruszył dalej i jego statek utknął w lodach na Morzu Karskim. Są też i inne przypuszczenia: że dotarł do Ziemi Północnej, o której istnieniu nie wiedział, i próbował opłynąć ją od północy lub też natrafił na cieśninę, nazwaną później Cieśniną Wilkickiego.

— I przepadł, znikł bez śladu?

— Nie. Natrafiono na ślad Rusanowa. I to niezbyt dawno.

— Gdzie?

— Na skjerach<sup>1</sup> zachodniego wybrzeża Tajmyru...

— W takim razie nie ulega wątpliwości, że...

— Przepraszam, nie skończyłem. Na skjerach Minina radzieccy polarnicy natknęli się na drewniany słup z napisem „Herkules” — nazwa statku Rusanowa — a nieco dalej na wschód, na tychże samych skjerach znaleźli rzeczy uczestników ekspedycji. Uważano, iż tu właśnie rozegrał się epilog polarnej tragedii Rusanowa...

Sawczuk podniósł rękę, chcąc widocznie zaoponować, ale nie dopuściłem go do głosu.

— Uważano!... Powiedziałem przecież: uważano!... Teraz, gdy widzę ten list na reniferowej skórze, skłonny jestem przyznać, że tam mogła być tylko przejściowa baza rusanowców.

— Aha!...

— I biedacy zginęli gdzieś w głębi Tajmyru, usiłując się przedostać do ludzkich osiedli.

— Dlaczego mieli zginąć?

Matoczkin Szar — cieśnina łącząca Morze Barentsa z Morzem Karskim, oddzielająca obie wyspy Nowej Ziemi.

<sup>1</sup> Skjery — skaliste wysepki i grupy podwodnych skal przybrzeżnych.

— Jak to? Przypuszczacie, że żyją?... Minęło tyle lat, ponad ćwierć wieku!

— Sami sobie zaprzeczacie — skrzywił się Sawczuk. — Życie daje wam lekcję optymizmu, a wy przechodzicie obok, nie chcecie tego widzieć. Pomyślcie: przez długi czas uważano, że Rusanow dopłynął tylko do wschodnich wybrzeży Tajmyru. Dlaczego by więc nie można przypuszczać, że on lub jego towarzysze żyją?...

— Ponoś was fantazja! Robicie z nich jakichś polarnych Robinsonów!

— Przecież prototyp Robinsona istniał w rzeczywistości. Człowiek ten spędził, o ile sobie przypominam, około dwudziestu lat na swej wyspie.

— Tak, ale pod jaką szerokością geograficzną! Nie zapominajcie o szerokości geograficznej, przyjacielu!... Tamten żył w strefie zwrotnikowej czy podzwrotnikowej — prawie jak na letniku. A tu chodzi o Arktykę. Czyż można w ogóle porównywać?... Tajmyr! Najbardziej na północ wysunięty kraniec naszego kontynentu! Tundra, góry, gniazdo antycyklonów<sup>1</sup>. Weźcie też pod uwagę, że rozbitkowie nie mogli posiadać ani zapasów żywności, ani psich zaprzęgów, ani nawet, być może, cieplej odzieży. Przed nimi setki kilometrów bezdroży, lodowaty wiatr, pustynia. Nieszczęśni nie mieli dosłownie gdzie głowy położyć.

— A „Dzieci Słońca”?... Znów zapomnieliście o wymienionym w liście tajemniczym narodzie, o „Dzieciach Słońca”!

Chwilę patrzyłem w milczeniu na Sawczuka, potem przeniósłem wzrok na swój zegarek i przerażony zerwałem się z krzesła.

— Za piętnaście trzecia! Cóż to, będziemy nocować w muzeum? Zadręczą mnie koszmarne sny wśród tych orłów, kamiennych bałwanów i kłów mamuta...

Sawczuk uśmiechnął się pobłaźliwie. Ależ nie miał by-

<sup>1</sup> Antycytlon — wiry powietrzne tworzące się wokół miejsca wysokiego ciśnienia (wyżu barycznego).

najmniej zamiaru skazywać mnie na nocleg w muzeum. Przeciwnie, zaprasza mnie do siebie. Mieszkanie jego znajduje się niedaleko, parę minut od muzeum.

## IV. Żyje?... umarł?...

1

W ciemnym przedpokoju potknąłem się o coś i zakląłem.

— Ach, przepraszam — zawołał zmieszany gospodarz. — Taki bałagan w mieszkaniu. Pakowałem się, nie zdążyłem sprzątnąć.

Zapalił światło.

Wszędzie porozrzucone paczki, plecaki, termosy. Brudny ręcznik wisiał nie wiadomo dlaczego na głośniku. Na środku biurka królowały wysokie gumowe buty z odwiniętymi cholewami, niczym fragment pomnika Piotra Wielkiego, obok leżały zapisane, zmięte papierki i kawałek nie dojedzonej bułki.

— Do licha! — mruknąłem szukając miejsca, gdzie bym mógł usiąść.

Gospodarz zakrzętnął się, wrzucił nie dojedzoną bułkę do otwartej szuflady biurka, z hałasem ją zasunął, przestawił buty na etażerkę z książkami, po czym z westchnieniem ulgi zwałił się na fotel: uważał widocznie sprzątanie za skończone.

— U mnie nie zawsze jest tak — zaznaczył, bez szczególnego zresztą przekonania w głosie. — Czasem przed odjazdem... A najważniejsze rozumiecie: wciąż tylko myśli, myśli!...

I postukał palcami w czoło.

Nie usiedział jednak nawet minuty; wyskoczył do przedpokoju i przytaszczył rulon, z którym się wszędzie nosił. Jak się okazało, były to mapy geograficzne.

— Ale mam głowę! — zawołał. — Nawet wam mapy

nie pokazałem. Na pewno chcielibyście zobaczyć na mapie...

Odsunął na bok zmiętoszone papierki i rozłożył na biurku mapę Syberii.

— Gdzieś tu — powiedział kładąc rozcapierzoną dłoń na Półwysep Tajmyrski.

— Gdzieś tu? Określenie raczej nieściśle.

Pod dłonią Sawczuka znajdowało się terytorium, na którym śmiało mogło się zmieścić jakieś europejskie państwo średniej wielkości.

— I tu ukryły się wasze „Dzieci Słońca”? — spytałem z powątpiewaniem. — Pośród tundry równej jak stół?

— Jak stół?... Co też mówicie!... A Putorana? A Wyżyna Północno-Wschodnia? A góry Byrranga?

— W liście jest mowa o górnym dorzeczu, o ile zrozumiałem? Gdzie jest ta rzeka?

— Mamy duży wybór!... Północny dopływ Piasiny, to raz. Spójrzcie tutaj!

— Tak. Początek bierze w odnogach Byrrangi.

— Rzeka Leniwa, to dwa. O tu!

— Wybrałbym raczej Górną Tajmyrę — powiedziałem wpatrując się w mapę.

— Dlaczego?

— Potężna rzeka. W samym sercu półwyspu. Wydaje mi się, że gęś z listem wyleciała właśnie stąd.

— Bardzo możliwe.

— A więc centralna część Byrrangi? Ale tędy przelatają samoloty.

— Cóż z tego? Arktyka to królestwo mgieł. Kto jak kto, ale wy najlepiej o tym wiecie! Ileż to razy lataliście nad Archipelagiem Wysp Znikających, a nigdy nie udało się wam zobaczyć go z góry.

— To jednak było na morzu. A tu — ląd stały, kontynent.

— Ale pustynia! — Sawczuk energicznie uderzył dłonią po mapie. — Według wszelkich danych demograficznych — pustynia. Jeden człowiek przypada na trzysta, czterysta kilometrów kwadratowych. Czy to tak trudno

się zagubić?... A jeziora północne — o tutaj! — prawdziwa „biała plama”. Nikt z podróżników tam nie był. Tu możliwe są takie niespodzianki...

— Owszem — zgodziłem się. — Lecz żeby tam cokolwiek odnaleźć, trzeba by przetrząsnąć cały teren, obmacać każdy wąwóz z osobna...

— Otóż to właśnie! — podchwycił Sawczuk. — Przykładu nie trzeba daleko szukać. Nie tak dawno Siergiej Obruczew odkrył na Syberii całą górzystą krainę o obszarze większym od Kaukazu... Do tej pory mówiło się: równina, żadnych gór tam nie ma. Na mapach oznaczało się ten teren zielonym kolorem, jak się oznacza niziny. A co się okazało? Przyszli, patrzą — a tam góry wysokości do trzech kilometrów! No?!...

Wiedziałem, naturalnie, o co mu chodzi. Mówił o odkryciu Gór Czerskiego. Bardzo trafny przykład!

Cóż, wszystko jest na tym świecie możliwe! Być może, iż na północy Tajmyru, gdzieś w nie zbadanych górach Byrranga po prostu zagubił się naród nie znany etnografom?

— Zgoda — powiedziałem. — Pustynia. Na razie jeszcze pustynia... Ale przecież powinny być jakieś wiadomości o „Dzieciach Słońca”. Choćby jakieś niejasne, mgliste pogłoski. Czy wiecie, jak się rozchodzą wieści po tundrze? Lecą na wyciągi z wiatrem!

Sawczuk zaczął rozprostowywać mapę na zgięciach.

— A dlaczego sądzicie — spytał — że nie przywiązuję znaczenia do pogłosek? Jeśli chcecie wiedzieć, właśnie to jest ów ślad, po którym pójdę. Tylko że to ślad szczególnego rodzaju.

— A mianowicie?

— Etnograficzny.

— Nie rozumiem.

— Mówiłem już o nim. Mam na myśli strzępy legend, podań, pewne ozdoby, ornament na odzieży. Pójdę tym śladem najpierw tu — Sawczuk wskazał na mapie punkt — potem tędy. Tu się zatrzymam. I dalej na północ...

Ołówek śmiało posuwał się po mapie. Nie było, zda się, żadnych przeszkód na jego drodze. Z łatwością forsował rzeki w tundrze, przeskakiwał przepaście, wspinał się po stromych zboczach Byrrangi. Naraz mapa wyrwała się spod palców i znów, z drażniącym uporem, zwinęła się w rulon.

— Do diabła! — zaklął Sawczuk i zwrócił się do mnie. — Nie macie tam czegoś ciężkiego pod ręką?

Pogrzebawszy w kieszeniach marynarki, położyłem na brzegu mapy scyzoryk, notes, wreszcie, po krótkim wahaniu, wyjąłem maleńki kompas w kształcie breloka.

— O! — Sawczuk zainteresował się kompasem. — Jakie śliczne cacko! Teraz się takich nie wyrabia... Skąd to macie?

— Prezent — odparłem krótko.

— Od kogo?

— Od przyjaciela.

— Od Zwonkowa?

— Nie.

— Ani od Lizy?

— Ani od Lizy.

Starłem się odwrócić uwagę Sawczuka od małego kompasu — nie byłem usposobiony do rozmowy na ten temat.

— Zmiłujcie się, Władimir Osipowicz — zaapelowałem do jego gościnności. — Minęła trzecia! Jutro mamy jechać — ja do Soczi, wy na Tajmyr. Kiedyż się wyśpimy?!

Potargowawszy się jeszcze trochę, kto ma spać na łóżku, a kto na kanapie, położyliśmy się wreszcie i zgasili światło.

— Spicie? — spytałem po chwili milczenia.

— Nie.

— Wiecie, o czym myślałem, gdy chodziłem z wami po muzeum?

— No?

— Czuję się tułaczem, zabłąkanym w czasie. „Dwudziesty wiek pozostał za progiem — powiedziałem sobie —



a my wędrujemy po salach muzeum jak po minionych stuleciach”.

— Ach tak?

Usłyszałem, jak sprężyny łóżka jęknęły pod Sawczukiem.

— Bardzo się cieszę — powiedział.

— Dlaczego?

— Zaczynacie pojmować romantykę pracy historyków. Tak, właśnie tułacze wędrujący po stuleciach!... Naród, który dawno znikł z oblicza ziemi, żyje w uczonym zajmującym się jego historią. Talent historyka — nazwijmy to skromniej: intuicja — polega, moim zdaniem, na tym, aby potrafił, choćby tylko na chwilę, wskrzesić w swej wyobraźni ów naród, poczuć się jemu współczesnym...

— Na tym polega talent pisarza.

— I naukowca!... Przypuśćmy, że „Dzieci Słońca” od dawna wymarły. Ale dla mnie one żyją! Rozumiecie — myślę o nich i one żyją we mnie...

Sprężyny znów zatrzeszczały. Sawczuk ułożył się wygodniej.

— Nie opowiadałem wam nigdy o tym, jak obrałem swój zawód? Nie? Widzicie, w dzieciństwie przeczytałem pewną książkę. Dziś nie pamiętam już ani tytułu, ani autora. Ale dobrze zapamiętałem sobie winietkę na pierwszej stronie. Dziurka od klucza, przypominająca bramę. W dali, po drugiej stronie bramy — wysokie drzewa, u ich stóp szalas, a na pierwszym planie ludzie w kosmatych skórach, z łukami i oszczepami w rękach. Chodziło, zdaje się, o to, że bohaterowie powiastki — dwóch chłopców i dziewczynka — posiadli tajemną sztukę przenikania przez zaczarowaną dziurkę od klucza, i za każdym razem, nieoczekiwanie dla samych siebie, trafiali w przeszłość, w dziewiętnasty wiek, w siedemnasty, a nawet w epokę kamienną. Od tego czasu datuje się mój pociąg do historii...

— Różnie bywa z wyborem zawodu... — mruknąłem sennie. Nie mogłem przewidzieć, że słowa Sawczuka o zaczarowanej dziurce od klucza brzmią nieomal proroczo. —

Moim, na przykład, natchnieniem był nauczyciel geografii. Tak, mój nie żyjący nauczyciel... — Ale wiecie co, drogi gospodarzu? — przerwałem sam sobie.

— Co?

— Przyszła mi do głowy nowa, nadzwyczaj oryginalna myśl!...

— No, no! — zainteresował się Sawczuk.

— Odłóżmy, przyjacielu, naszą rozmowę do rana. Noc jednak jest na to, żeby spać...

Sawczuk posłusznie zamilkł.

Po chwili doszło mych uszu miarowe, spokojne chrapanie. Być może, Sawczukowi śniło się, że odnalazł już „Dzieci Słońca” i wygłasza odczyt o swoim odkryciu na zjeździe etnografów.

Odwróciłem się na wznak i splótłszy ręce pod głową wpatrzyłem się w sufit.

A więc jeszcze dwa dni — i jestem w Soczi. Będę leżał na zielonej trawie pod palmą, zsunąwszy czapkę na czoło, i będę drzemał, marzył, pił błękit południowego nieba powolutku, kropla po kropli.

Wczasy! Wczasy!...

Od którego to roku nie byłem na wczasach?

Tak, chyba od 1935, od pierwszej nieudanej wyprawy na Ziemię Wietługina. Potem już nie było kiedy odpoczywać.

Cóż, zasłużyłem sobie na urlop, zrobiłem swoje!

Bo chociaż to tylko wszystkiego trzy kropki na mapie, ledwo dostrzegalne na błękitnym tle, jak drobniutkie zmarszczki na wodzie, jednak dla nauki Ziemia Wietługina, czyli były Archipelag Wysp Znikających, posiada duże znaczenie. Dla mnie zaś ich odkrycie to rezultat wytężonych wysiłków, plon dobrych dwudziestu lat życia...

Od najmłodszych lat nie dawała mi spokoju tajemnica tych wysp, pochłaniała wszystkie moje myśli, wszystkie

uczucia! I oto nie ma już tajemnicy. Trud dwóch pokoleń uwieńczony został odkryciem, zbadaniem i zabezpieczeniem przed zagładą trzech wysp na Morzu Wschodniosyberyjskim.

A przecież radość moja jest niepełna. O, gdyby mógł ją podzielać z nami — ze mną, z Liżą, z Andriejem Zwonkowem i innymi uczestnikami ekspedycji — uczonec, który przewidział odkrycie tych wysp, co więcej, wskazał ich współrzędne geograficzne. Wspaniały człowiek, jeden z wybitnych rosyjskich geografów i mój najlepszy przyjaciel. Niestety, zginął przedwcześnie!...

Odwrociłem się na bok i otuliłem szelniej kocem zamierzając pójść w ślady mego gospodarza, gdy nagle stwierdziłem ze zdziwieniem, że wcale nie chce mi się spać.

Historia z listem na reniferowej skórze podnieciła moją wyobraźnię.

Kto to był, ten rosyjski podróżnik, który przez dziką gęś wysłał wieść o sobie — wołanie o pomoc? Co nie pozwalało mu wydostać się z tundry, o ile jeszcze tam żył?...

Być może, iż jego los w jakiś sposób splótł się z losem tajemniczego narodu — „Dzieci Słońca”. Może trzymano podróżnika w niewoli? I co oznacza wzmianka o walce z ptakiem, który nosił imię Mauk?...

Nic z tego nie rozumiałem. Krótkie, oderwane słowa listu przypominały krzyk z daleka, zagłuszony i poszarpany przez wiatr.

Znów zmieniłem pozycję. Było mi niezbyt wygodnie na wąskiej ceratowej kanapce, chociaż na ogół nie jestem wymagający. Niech diabli wezmą te twarde wałki!

Nie, sen nie przychodził!...

Więc kto — Rusanow? Lub któryś z uczestników jego wyprawy na „Herkulesie”?

Rusanow zawsze mi imponował. Był rosyjskim patriotą, rewolucjonistą, socjaldemokratą, długo przebywał na zesłaniu, marzył o przeobrażeniu rosyjskiej Dalekiej Północy, badał Nową Ziemię, nawoływał w prasie do wykorzy-

stania mniejszych dopływów Peczory (co zostało zrealizowane w naszych czasach).

W jednej ze swych prac pisał: „Samotnie wędruję wśród skał. Tylko wiatr śpiewa mi w lufie karabinu...” Tak mógł powiedzieć tylko poeta. Był on też z natury poetą, jak zresztą większość rosyjskich podróżników, badaczy Arktyki.

Najwięcej jednakże sił poświęcił Rusanow sprawie ogromnej wagi dla państwa — utworzeniu Północnej Drogi Morskiej. Zginął w pół drogi, potknąwszy się o próg wysunięty daleko na północ — półwysp Tajmyr.

Nam, radzieckim polarnikom, trudno sobie wyobrazić warunki, w jakich Rusanow przedsięwziął swą śmiałą próbę.

Wystarczy powiedzieć, że nie miał radiostacji. Rząd carski chciał zaoszczędzić na radiotelegrafii. Zimując wśród lodów Rusanow nie wiedział nawet, że wybuchła pierwsza wojna światowa.

W takich warunkach ani on, ani ktokolwiek z jego towarzyszy nie mógł ocaleć, utrzymać się przy życiu, przedostać się w głąb półwyspu. Mówiło mi to wycucie podróżnika.

Skoro jednak nie Rusanow, więc kto?...

Powoli z mroku zaczęły się wyłaniać kontury przedmiotów — krzesel, stołu, łóżka, na którym spał Sawczuk. No tak! Już świt blisko, a ja do tej pory nie zmrużyłem oka.

Miarowe chrapanie Sawczuka zaczynało mnie drażnić.

Co prawda, nie chrapał tak jak inni, którzy w przerażeniu budzą się od własnego chrapania — nie, robił to zupełnie przyzwoicie. Były w tym subtelne modulacje tonu, pauzy i trele.

Lecz mnie oburzał sam fakt. Jak to? Ten człowiek śpi, gdy ja nie mogę oka zmrużyć?! Opowiedział o zagadce, która go męczyła, i od razu się uspokoił! Zwalił brzemie domysłów na moje barki, a sam ledwo głowę przyłożył do poduszki, natychmiast zasnął. Co za egoista!

W swym oburzeniu zapomniałem, że jutro — ściślej

mówiąc dziś, gdyż już świtało — Sawczuk wyrusza na kraniec świata po to właśnie, by rozwiązać niepokojącą nas obu zagadkę.

Żeby nie słuchać dłużej chrapania, które mnie coraz więcej drażniło, ubrałem się, na palcach wyszedłem z pokoju i szczelnie zamknąłem za sobą drzwi. W korytarzu usadowiłem się na szerokim okiennym parapecie.

Nie, to nie Rusanow był autorem listu! Więc kto w takim razie, kto?!...

Sięgnąłem do kieszeni po papierosy, bez których nie umiem myśleć. Palce natrafiły na coś chłodnego. A, to kompas — brelok!

„Cacko” — powiedział Sawczuk. Aha!

Ileż to razy dostało mi się za ten kompas. Jak często ludzie, nie znający jego historii, pokpiwali sobie ze mnie, że od ławy szkolnej nie rozstaję się z nim ani na lądzie, ani na morzu.

Znajome dziewczęta, dotykając go paluszkami, szczeniły się:

— Talizman? To bardzo interesujące!... — I kokieteryjnie mrużyły oczy: — Więc wy, Aleksiej Piotrowicz, wierzycie w talizmany?

Nie odpowiadałem. Nie lubiłem wdawać się z dziewczętami w rozmowy na ten temat.

Talizman. Niech będzie talizman. Można było chyba tak nazwać maleńki kompas, gdyż był to prezent od przyjaciela. Myśl o tym wspaniałym człowieku zawsze podnosiła mnie na duchu, dodawała energii i sił.

Położyłem kompas na parapecie okiennym. Jak w dzieciństwie czekałem cudu. Pragnąłem, by magnetyczna strzałka drgnęła i wskazała kierunek, w którym należy iść, aby odnaleźć tajemniczy naród — „Dzieci Słońca!”

— „Dzieci Słońca” żyją we mnie! — mówił Sawczuk.

I ja mogłem powiedzieć podobnie.

Kiedyś, dawno, żył człowiek, który podarował mi staromodny brelok w postaci kompasu. Teraz on „żył we mnie”, chociaż jego śmierć została potwierdzona przez

naocznego świadka, a jego nekrolog był zamieszczony w „Wiadomościach Geograficznych”.

Wiele razy towarzyszyłem mu w wyobraźni, gdy szedł w tłumie innych zesłańców szerokim traktem. Wędrowałem z nim z Jakucka do wioski Posledniaja, zwanej tak dlatego, gdyż dalej na północ nie było już osad. Pomagałem mu w pośpiechu pakować rzeczy w ów posępny poranek jego ucieczki, która zakończyła się dla niego tak tragicznie.

A jeśli?... Me, to jednak rzecz nieprawdopodobna. Najbardziej niewiarygodny domysł z wszystkich dotychczasowych! Chociaż...

Zapałem nowego papierosa, by zebrać myśli.

Przed oczami mej wyobraźni spoza ramienia Rusanowa wychyliła się blada, otwarta twarz. Jasny, niemal koloru słomy kosmyk spadał na czoło niezbyt wysokie, lecz szerokie i wypukłe. Przez staromodne, owalne szkła patrzyły na mnie nieco zmęczone, lecz niezmiernie dobre oczy.

Dopiero w tej chwili uderzyło mnie podobieństwo losów i charakterów tych dwóch ludzi.

Tak samo jak Rusanow mój przyjaciel przebywał na zesłaniu carskim, prowadził badania nad Arktyką, torując drogę dla następnego pokolenia badaczy — dla nas, radzieckich polarników.

Tak samo marzył o przeobrażeniu rosyjskiej Dalekiej Północy, wybiegając wzrokiem naprzód, poprzez dziesięciolecia.

I w równie tajemniczych okolicznościach zginął — jak kamień rzucony w wodę — w niemym przestworze Oceanu Lodowatego Północnego...

Czyż można sobie wyobrazić rzecz bardziej tragiczną: zginąć w jesieni 1916 roku, zaledwie na rok przed rewolucją październikową, w przeddzień wyzwolenia?

I tu los zadrwił sobie z niego.

W pamięci przechodziłem jeden po drugim epizody jego krótkiego życia. (W 1916 roku nie miał on, jak sądzę, nawet trzydziestu lat.)

W jednym ze swoich listów z Syberii nazwał on siebie „więźniem Rosji carskiej”.

W bardziej sprzyjających warunkach człowiek ten bez wątpienia stałby się jednym z największych uczonych rosyjskich. Jednakże ustrój kapitalistyczny w Rosji, jak zresztą na całym świecie, tłamsił, wdeptywał w błoto, zabijał setki i tysiące talentów.

Młody uczoney miał „haczyk” w ankiecie. Kiedyś brał udział w studenckim strajku. To wystarczyło, by unie-możliwić mu działalność naukową.

Na próżno pisał artykuły o swym odkryciu geogra-ficznym, wysuwał projekt ekspedycji, obijał progi kancelarii — wszędzie napotykał nieprzebyty mur tępych łbów.

W czasie pierwszej wojny światowej zbliżył się do bol-szewickiego podziemia, lecz wkrótce został aresztowany i zesłany: najpierw gdzieś pod Akmolińsk, w Bet Pak Da-la, w Step Głodowy, następnie do Jakucka i w końcu zupełnie już na kraniec świata, do starej rosyjskiej osady Posledniaja. Dalej na północ nie było i nie mogło być ludzkich osiedli: falowało tam już tylko ołowiane, zimne, pustynne morze. I tu, na brzegu morza, gubił się jego ślad...

Tak, wielokroć przemierzałem w myślach tę męczeńską drogę jak syn rozpamiętujący żywot ojca.

Ojca?... Jakże głęboką treścią nabrzmiałe jest to słowo!... Bo czyż naprawdę najważniejsze są związki krwi?...

Ojciec mego przyjaciela Andrieja Zwonkowa pił na umór, miał podejrzanę konszachty z nepmanami, bił syna przy każdej sposobności, po trzeźwemu i po pijanemu, a gdy ten wstąpił do Komsomołu, wypędził go z domu. Cóż łączyło z nim Andrieja poza nazwiskiem?

A mnie kazano uważać za ojca brzuchatego wujaszka-opiekuna, o zimnych, rybich oczach; pod ich spojrzeniem wszystko się we mnie wywracało.

Ciotka, u której się wychowywałem pukając napastrkiem w czoło, wbijała mi w głowę:

— Kochaj wujaszka, szanuj! Jesteś sierotą. Wuj zo-stawi spadek, dom. On zastępuje ci ojca...

A ja nie chciałem takiego ojca!

Wolałem stokroć człowieka, który z zapalem puszczał wraz z nami okręciki po wezbranej wiosennej wodzie i jak nikt inny umiał opowiadać o dalekich krajach.

Nie zostawił po sobie domu. Po cóż mi dom? Jego dziedzictwo było innego rodzaju — tajemnicze, śniegiem i lodem pokryte wyspy na północno-wschodnich krańcach naszej ojczyzny, których istnienie on pierwszy odgadł. I ja postarałem się odpowiednio rozporządzić tym „spadkiem”: dotarłem z Andriejem Zwonkowem do owych wysp i naniosłem je na mapę!...

3

Za oknem świtało. Coraz wyraźniej wylaniały się z mroku sylwetki drzew. Zaczynały połyskiwać dachy domów po przeciwległej stronie ulicy.

A ja wciąż siedziałem bez ruchu na parapecie; trzymając w ręce kompas-talizman, upajałem się widokiem Moskwy, która z każdą chwilą coraz bardziej się rozświetlała, nabierała kolorów. Wyglądało to, jakby ktoś kapnął wodą na kalkomanię. To, co w mroku wydawało się mgliste, bezbarwne, teraz — obmyte świeżą rosą poranka — z wolna się rozjaśniało, ożywało.

„Żyje we mnie”... Jak powinienem postąpić, jeśli on istotnie żyje? Jeśli to jego głos mnie wzywa, przedarłszy się z daleka, z głębi Arktyki?...

Zeskoczyłem z parapetu i zacząłem chodzić po korytarzu. Szans, oczywiście, jest bardzo mało. Ale choćby była tylko jedna na sto — nie wolno jej zmarnować!

Zabawa w piętnaście pytań?

Może! dla mnie w każdym razie nie była to zabawa.

Przed oczami znów mi stanęła otwarta, blada twarz z jasnym kosmykiem odrzuconym z czoła. Teraz na twarzy tej malował się męczący mnie wyraz niemego pytania, jakby oczekiwania.



Za ścianą rozległ się zawodowo rażny głos: „Oddychać równomiernie! Zwróćcie uwagę na oddech!”

Widocznie Sawczuk już wstał i włączywszy głośnik, gimnastykuje się...

Po chwili wyszedł z pokoju, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Opuszczone szelki przy każdym kroku były go po nogach.

— Wy tutaj? — zdziwił się. — Myślałem, że jesteście w łazience. Jak się spało?

— Jakby to wam powiedzieć...

— Przepraszam, a to co? — w zdumieniu pokazał na stos niedopałków leżących na parapecie. — Całą noc nie spaliście? Chorzy jesteście? Co z wami?

— Później wytłumaczę... Odpowiedzcie mi teraz na jedno pytanie. Czy macie już obsadzone wszystkie etaty waszej ekspedycji?

— No, ekspedycja — to zbyt szumnie powiedziane. Jadę właściwie sam jeden. W Nowotundryńsku wezmę przewodnika i ewentualnie najmę jeszcze kilku ludzi, jeśli okażą się potrzebni.

— Mógłbym wam polecić jednego. Obrotny. Nie pije. Bywał w Arktyce. Ręczę za niego, jak za samego siebie...

— Nie wiem, doprawdy... — odparł Sawczuk z wahaniem. — Po co miałbym go wieźć aż z Moskwy? A kto to jest?

Skłoniłem się.

— Żartujecie! — Sawczuk opuścił ręcznik. — Jako zwykły pomocnik? Wy? Jesteście przecież kandydatem nauk, byliście kierownikiem stacji polarnej!

— Wszystko mi jedno, byłem tylko mógł z wami pojechać.

— Ależ wy jedziecie do Soczi! Na urlop!

— Spędzę go na Tajmyrze.

— Nie, kpijcie sobie ze mnie! — rzekł Sawczuk obrażonym głosem.

— Zapewniam was, że nigdy nie mówiłem bardziej poważnie.

— Oczywiście, jeśli o mnie chodzi, bardzo się cieszę...

I w Instytucie Etnografii nie będzie sprzeciwów. Nie mogę tylko pojąć, wytłumaczyć sobie... W teatrze i w muzeum wasz stosunek do tej sprawy był zupełnie inny.

— Tak, to prawda. Zdecydowałem się później, tej nocy.

Starannie zgarnąłem niedopałki z parapetu i wsypałem do skrzynki na śmieci.

— Więc kiedy ruszamy?

— Odlot wyznaczony jest na godzinę dziesiątą. Ale chociażby pokrótce, w dwóch słowach...

Zza ściany dochodził głos spikera, podającego komunikat o stanie pogody:

— Nocą na Ziemi Wietługina — trzydzieści pięć stopni poniżej zera, w Narjan-Marze — dwadzieścia osiem...

Spojrzałem Sawczukowi w oczy.

— Widzicie, drogi Władimir Osipowicz — rzekłem — nie jest wykluczone, że autorem pisma na reniferowej skórze był mój nauczyciel geografii, znany wam ze słyszenia Piotr Arianowicz Wietługin...

## V. Na Tajmyr!

1

I cóż z tego, że na Ziemi Wietługina trzydzieści pięć stopni mrozu, a w Narjan-Marze — dwadzieścia osiem? To nieważne! Lecimy na Północ, do Arktyki!...

Wirujące śmigło podnosi wiatr na lotnisku. Stojący na ziemi Sawczuk coś woła do mnie, wymachując zawzięcie rękami, lecz ryk motoru głuszy jego słowa.

— Podać? — pytam. — Co podać?... Odebrać?... Sawczuka irytuje moja niedomyślność, jeszcze gwałtowniej wymachuje rękami. Jest bez czapki. Długie, proste włosy stoją mu dęba. Wiatr rozwiewa poły płaszcza.

— Aha! odebrać worek?

Pomagam pilotowi wziąć od Sawczuka worek z obwarzankami.

Uf-f!... Zdaje się, że już wszystko!

Pilot Żora patrzy na mnie z wyrzutem. Odlot opóźniony o trzy godziny — a wszystko przeze mnie.

Co robić! To nie taka prosta rzecz zmienić marszrutę z Soczi na Tajmyr, w jednej chwili zrobić obrót niemal że o sto osiemdziesiąt stopni!...

Dopiero około pierwszej w południe — zamiast o dziesiątej! — byłem wreszcie ze wszystkim gotów. Skierowanie na wczasy wróciło do zarządu stacji polarnych, a kupione na wyjazd do Soczi letnie koszuły — do szafy. Przydadzą się na przyszłe lato! Zamiast nich trzeba było znów wyjąć z waliz pamiętające niejedno rękawice, swetry, skarpety wełniane i resztę ekwipunku polarnego.

Nadspodziewanie gładko poszła sprawa etatu dla mnie. Dyrektor Instytutu Etnografii okazał się doświadczonym podróżnikiem, który przywykł do błyskawicznego podejmowania decyzji. Nie był wprawdzie znawcą zagadnień syberyjskich, lecz o Wietługinie czytał i gdy przedstawiwszy się mu, wyłuszczałem powód, dla którego tak nagle zmieniam marszrutę, od razu mnie zrozumiał.

— Tylko dlaczego jako zwykły pomocnik? — spytał. — To nie ma sensu. Przecież Sawczuk będzie miał ze sobą radiostację. Nie chcielibyście pojechać w charakterze radiotelegrafisty? Znacie się na tej robocie?

Na zimowiskach polarnych było przyjęte, że uczono się pokrewnych zawodów, aby — w razie potrzeby — każdy z załogi mógł zastąpić towarzysza. W swoim czasie pościadłem sztukę obchodzenia się z radiostacją.

— To świetnie! — ucieszył się dyrektor. — Pojedziecie jako radiotelegrafista. Nominacja zostanie wystawiona jeszcze dziś.

Pożegnalnemu uściskowi dłoni towarzyszyły bardzo dla mnie pochlebne słowa:

— Będziemy ogromnie wdzięczni za pomoc. Wasze cenne doświadczenie i wiedza... Wasza sława podróżnika polarnego...

Skłoniłem się, przekonany, że dyrektor instytutu widzi we mnie niańkę, która była potrzebna Sawczukowi.

Lecz Sawczuk wcale nie potrzebował niańki.

Już na lotnisku sprawił mi niespodziankę. Gdzie się podziła jego ociężałość i roztargnienie! Niemordowanie miało się między samochodem a samolotem, z łatwością przerzucając paczki i walizy i nawet huknął na mnie, gdy zagapiwszy się nie zdążyłem pochwycić w locie jego olbrzymich gumowych buciorów.

Nie obraziłem się. Tego dnia od samego świtu serce moje przepełniało uczucie jakiejś podniosłej radości.

Duszą byłem już w drodze!...

A wkrótce w ślady duszy poszło i ciało. Z łoskotem zatrzęsły się drzwiczki kabiny, i lotnisko, razem z odbiegającymi pospiesznie od samolotu technikami, ze starterem, trzymającym w ręce chorągiewkę, z pasiastą „kiełbasą”, wskazującą kierunek wiatru, zaczęło usuwać się w dół i uciekać do tyłu.

— No opowiedzcie teraz o Wietługinie — poprosił niecierpliwie Sawczuk, przysuwając się do mnie. — Znam częściowo jego historię z opowiadań Lizy i Owczarenki, towarzysza Wietługina z zesłania. Co się z nim działo po ucieczce? Dlaczego przypuszczacie, że można go odnaleźć na Tajmyrze?

Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Moje domysły i nadzieje były na razie jeszcze tak nieokreślone i mgliste!

Przyznam się, że nie miałem ochoty na rozmowę, pragnąłem pozostać sam na sam ze swymi myślami. Ale Sawczuk nie kapitulował. By zmienić temat, spytałem, jak się miewa jego grypa. Okazało się, że Sawczuk zostawił ją na lotnisku.

— Zawsze tak robię, gdy wyjeżdżam z Moskwy — wyjaśnił z szerokim uśmiechem. — Teraz już mnie nie dogoni!...

Jakże mogłaby dogonić!...

W szybkim tempie wracaliśmy z wiosny w zimę.

Za ogrodzeniem lotniska pozostała marcowa Moskwa, pachnąca deszczem i kaukaską mimozą. Pod nami czerniły się podmoskiewskie lasy. A w rejonie Jarosławia śnieg na polach utracił żółtawy odcień i roziskrzył się zupełnie po zimowemu. Potem trysnął spod skrzydeł

oślepiający blask. Tak witała nas lodowa tafla Zbiornika Rybińskiego.

Tu, w tych stronach, w zapadłym miasteczku powiatowym, które później stało się miastem nadmorskim, zaczynał się ślad Piotra Arianowicza Wietługina. Gubił się zaś, Bóg wie gdzie — na samym „krańcu świata”, tam, za mglistą linią horyzontu...

Żywo stanął mi w pamięci ów dzień, gdy wygnaniec, opuszczając Wiesjegońsk, żegnał się na rogatece ze swoimi małymi przyjaciółmi (dziewczynka żałośnie chlipała, chłopcy marszczyli czoła, ze wszystkich sił starając się opanować). We wzruszających słowach nauczyciel dziękował „za dzielną postawę, wierność, za wiarę w marzenie”. I już w kibitce spostrzegłszy się, że nie przygotował nic dla nich na pamiątkę, szarpnął łańcuszek swego zegarka i na wyciągniętej dłoni podał kompas, który służył mu za brelok.

Z niepokojem przesunąłem ręką po wewnętrznej kieszeni bluzy, gdzie w specjalnym skórzanym futeraliku spoczywa maleńki kompas. Czy w pośpiechu nie zostawiłem go na oknie w mieszkaniu Sawczuka? Nie, mam go przy sobie, jak zawsze.

Sawczuk coraz to spozierał na mnie, chrząkał, chcąc podjąć rozmowę, ale widocznie powstrzymywał go wyraz mej twarzy. W końcu oparłszy się o worki z pocztą, zajął się studiowaniem mapy. Mogę teraz bez przeszkód rozmyślać o Piotrze Arianowiczu, wskrzeszać w pamięci jego obraz, barwę jego głosu.

A tymczasem samolot mknie wciąż dalej i dalej na północ, a za nim, niby żrebię za matką, biegnie po śniegu małe cienie...

W Narjan-Marze Sawczuk pokazał, co potrafi.

Nasz samolot, jako pocztowy, miał otrzymać dodatkowy ładunek, a nam zaproponowano, byśmy zaczekali na następny, który powinien był przybyć za trzy dni.

Oczywista, było to nam bardzo nie na rękę i już zacząłem się denerwować. Ale obeszło się bez mojej ingerencji. Sawczuk tak długo nie odstępował komendanta portu lotniczego, póki ten, trzasnąwszy drzwiami, nie wypadł z biura i nie ryknął na całe lotnisko:

— Dobrze już, dobrze, lećcie tym samolotem! Poczta poczeka!

Z własnego doświadczenia znałem już upór Sawczuka.

Warto było obserwować mojego towarzysza w akcji. Przy jego potężnych rozmiarach przypominało to niekiedy lawinę śnieżną, toczącą się z góry i zmiatającą wszystko na swej drodze.

Sawczuk wyraźnie się ożywił i nabierał humoru w miarę zbliżania się do Tajmyru.

Gdy ulokowano nas na nocleg, etnograf, któremu ani śniło się spać, znów zaczął mnie męczyć pytaniami.

— Dlaczego właśnie Wietługin? — mruczał mi nad uchem; musieliśmy rozmawiać półgłosem, gdyż na łóżku obok spał nasz pilot Żora. — Rusanow to bym jeszcze rozumiał, ale Wietługin?... Absolutnie nie mogę tego pojąć. Dawna osada Poslednaja, dzisiejszy Okieańsk, i Półwysp Tajmyrski!... Dzieli je przecież olbrzymia przestrzeń, nieprzebyta tundra, mnóstwo małych, zagradzających drogę rzek, wreszcie Zatoka Chatańska!...

— Morzem jest bliżej — odparłem krótko.

— Morzem? Ale dlaczego morzem?

— Dlatego, że krę z Wietługinem zniosło na ocean.

— Tak, z tym się zgadzam!... Owczarenko to widział. Ale Wietługin musiał chyba zginąć?...

— Ja bym też tak myślał, gdybym nie był hydrografem. Mój zawód pozwala mi być optymistą.

— Nie rozumiem, co ma jedno z drugim wspólnego.

— Całkiem prosta rzecz. U wschodnich wybrzeży Tajmyru jest stały prąd przybrzeżny. Jeśli wiatry dmące w czasie ucieczki Piotra Arianowicza były pomyślne, kra, na której się znajdował, mogła przybić do brzegu. Gdzie, w jakim miejscu — trudno powiedzieć...

— Jednakże kra musiała długo pływać po morzu?

— Tak, kilka dni.

— Czymże się w takim razie żywił przez ten czas?

— Wiadomo, że Wietługin miał ze sobą zapas żywności.

Poza tym posiadał broń. Mógł upolować fokę lub białego niedźwiedzia. W tym wypadku starczyłoby mu na długo mięsa i tłuszczu.

— Pierwszy raz słyszę o możliwości podobnej podróży na krze!

— Widocznie nie jesteście obznajomieni z odpowiednią literaturą. Rusanow w swej książce wspomina o kilku takich wypadkach.

— Nie czytałem Rusanowa.

— Weźmy chociażby historię tego Nieńca... jak mu tam?... Uczu czy Upa, nie pamiętam już imienia...

— A co z nim było?

— Polował w mezeńskiej tundrze, zobaczył białego niedźwiedzia na krze, którą prądy przygnały do brzegu, i zabił go...

— Tak...

— Nim Uczu ściągnął skórę z niedźwiedzia, wiatr zmienił kierunek — kra z myśliwym i niedźwiedziem odplynęła od brzegu. Uczu rozejrzał się, a wokół już tylko woda. Co robić? Krę znosi na północny wschód, na otwarte morze.

— To powinien być wpływ!

— Gdzie tam!... Woda jak lód! A może nawet nie umiał pływać, nie wiem... Ale będziecie zdumieni, kiedy wam powiem, gdzie wreszcie ten Nieniec wylądował...

— No gdzie?

— A jak wy sądzicie?

— Na wyspie Kołgujew?

— Dalej!

— Czyżby w Narjan-Marze, gdzie się teraz znajdujemy.

— Znacznie dalej!

Sawczuk milczał z niedowierzającą miną.

— W Zatoce Obskiej — powiedziałem.

— Niemożliwe!

— Rusanow to uznany autorytet — podkreśliłem z naciskiem. — Jego informacje są zawsze wiarygodne, bezwzględnie wiarygodne.

— Ależ wcale nie zaprzeczam. Istotnie, olbrzymia odległość, setki kilometrów!... Kra, oczywiście, przepłynęła przez Jugorski Szar lub Karskie Wrota?

— O to właśnie chodzi, że nie. Nieniec opłynął na niej Nową Ziemię.

Sawczuk tylko chrząknął.

— Zdarzyło się to, zaznaczam, z początkiem lata. Myśliwy musiał, rzecz jasna, ściśle przestrzegać „niedźwiedziej” diety.

— Tak, upolowana zdobycz przydała się.

— Jeszcze jak! Tłuszczem i mięsem myśliwy się żywił. Skórą się okrywał.

— Kra z pełnym komfortem — mruknął Sawczuk w poduszkę, ale ja usłyszałem.

— Wciąż jeszcze nie wierzycie? Trudno! Po prostu nigdy nie badaliście prądów morskich. Są bardzo kapryśne... To prawda, że Nieńcowi się udało... Tak więc płynął, dojadając swego niedźwiedzia. I nagle pewnego dnia, wysunawszy głowę spod skóry niedźwiedziej, zobaczył ład. W dali, pośród chmur, widniały szczyty górskie, nagie i czarne, miejscami pokryte śniegiem. Uczu domyślił się, że to Nowa Ziemia.

— Straszny jednak kawał drogi!

— Powtarzam, co pisał Rusanow. Chcecie słuchać dalej?

— Tak, tak, to była po prostu tylko refleksja...

— No-o!... Otóż przez całe lato kra z Nieńcem płynęła wzdłuż zachodniego wybrzeża Nowej Ziemi. Pod jesień minęła Nową Ziemię i wpłynęła na Morze Karskie. Góry znikły sprzed oczu. W październiku myśliwiec znów zobaczył równinne, piaszczyste wybrzeże, przypominające jego rodzinną, mezeńską tundrę. Był oszołomiony. Czyżby, jak w bajce, powrócił do domu?... Mocno stopniała



kra podpłynęła blisko do brzegu i Nieniec w bród przedostał się na ziemię. Okazało się że wylądował na prawym, wschodnim wybrzeżu Zatoki Obskiej.

— Najbardziej niezwykła podróż, o jakiej kiedykolwiek słyszałem — orzekł Sawczuk po chwili milczenia.

— To znaczy, że po prostu nie słyszeliście nigdy o niezwykłych podróżach — zirytowałem się. — W Arktyce ludzie czują się na krze nieraz pewniej niż na pokładzie okrętu. Tenże sam Rusanow opowiada o pewnym myśliwym, porzuconym na pastwę losu pośród Morza Karskiego.

— Jak to?

— A tak! Polowano na foki na większym skupisku pól lodowych. Zerwał się sztorm. Właściciel statku stchórzył — zabrał na pokład tylko myśliwych znajdujących się w pobliżu, a do ostatniego, który był dalej, bał się podpłynąć. Wszyscy byli przekonani, że myśliwy ten zaginął. Tymczasem po upływie półtora czy dwu miesięcy zjawia się w domu zdrowiuteńki!

Jak się okazało, prądy nosiły go po całym Morzu Karskim. Ale to nic, zadomowił się na krze. Głodu się nie bał. Miał ze sobą naboje, broń, zmajstrował sobie wędkę... I jak myślicie, dokąd przybiła w końcu kra z tym szczęśliwcem?

— Sam już nie wiem, co mam myśleć.

— Do Półwyspu Tajmyrskiego, który jest celem naszej wyprawy. Myśliwy znalazł się na Wybrzeżu Charitona Łaptiewa, między ujściem Jeniseju i Przylądkiem Czeluskin... Uderzająca analogia! Dziwię się, że jej nie dostrzegacie!

— Analogia? Z czym?

— Z ocaleniem Wietługina! Z prawdopodobnym ocaleniem — poprawiłem się. — Różnica polega jedynie na tym, że kra z Wietługinem płynęła nie wzdłuż zachodniego, lecz wschodniego wybrzeża Tajmyru. Przecież Okieańsk — dawna osada Posledniaja — leży na wschód od Tajmyru.

— Mówiliście, że Wietługin miał ze sobą broń?

— Tak. I zapas sucharów. Niestety, list na reniferowej

skórze pisany jest drukowanymi literami. Od razu poznaliśmy charakter pisma Piotra Arianowicza...

— W liście nie ma żadnej wzmianki o krze.

— Piotr Arianowicz musiał być bardzo zwięzły. Pisał tylko o rzeczach najważniejszych... Ależ wszystko doskonale się mieści w tym schemacie! Chcecie, opowiem wam, jak sobie wyobrażam rozwój i kolejność wypadków?

— Słucham. Tylko mówcie ciszej — zbudzimy Żorę.

— Przecież ja wcale nie śpię — odezwał się pilot. — Już od dawna. No, więc jakże to było, waszym zdaniem?

— Wietługin i Owczarenko przebywali na zesłaniu w osadzie Posledniaja. Czytaliście o tym? — zwróciłem się do pilota.

— Nie, jakoś nie miałem okazji.

— W swoim czasie pisano o tej sprawie. Więc w tysiąc dziewięćset szesnastym roku zesłańcy postanowili uciekać. Umówili się z amerykańskim przemytnikiem Heavensem, który już drugie lato z rzędu kręcił się u ujścia rzeki, handlując potajemnie spirytusem i skupując za bezcen futerka. W zamian za obiecaną usługę dali mu pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lisich skórek — wszystko, co posiadali. Ale Heavens ich oszukał.

--- Szubrawiec! — orzekł krótko Zora.

— Zupełnie słusznie. O świcie — działo się to z końcem sierpnia lub nawet we wrześniu — Wietługin i Owczarenko zmyślali po lodzie przybrzeżnym w stronę okrętu. Nagle krzyki za nimi, strzały. Pogoń! Skąd znowu pogoń?

— To kozacy przybyli z Jakucka. Heavens uprzednio zawiadomił władze.

— Nie mówiłem, że szubrawiec!

— Tak, pomysłowy człowiek. Z zesłańców zdarł pięćdziesiąt skórek i jednocześnie przysłużył się władzom jakuckim... Zbiegowie widzą, że sprawa bierze kiepski obrót. Wietługin biegnie do okrętu, Owczarenko pozostał w tyle. A lód był jeszcze cienki, młody. Kra, na której się znajdował Wietługin, oderwała się od brzegu i natychmiast ją zniosło.

— Dokąd zniosło?

— Jak to dokąd? Na morze. Na otwarte morze.

— I Heavens nie spuścił szalupy?

— Nawet palcem nie kiwnął. Odpłynął na wschód, do Ameryki. A krę ze zbiegiem poniosło na zachód.

Żora splunął z odrazą, dodając pod adresem Amerykanina mocno obelżywą uwagę.

— Wyobraźmy sobie — ciągnąłem dalej — że kra z Wietługinem płynie na zachód. Płynie dzień, dwa, trzy, pięć — nie wiem ile... Jak okiem sięgnąć niezliczone pola lodowe, białe aż do samego horyzontu. Wietługin nie widzi ziemi, która być może jest gdzieś zupełnie blisko, tuż obok...

— Za lewą burzą — wtrącił pilot.

— Tego mógł się tylko domyślać. Pola lodowe to zatrzymują się, to znów ponawiają wędrówkę. Podczas jednego z takich „postojów” Wietługin na podstawie jakichś oznak, nie wiem jakich, zorientował się, że karawana pól lodowych przybiła do brzegu. I przedostaje się na ląd. Na południu widnieje sine pasmo górskie. To Tajmyr, góry Byrranga!

— Nawet nie polarny Robinson, ale jakiś Sindbad-Żeglarz — mruknął Sawczuk.

— Wybaczcie, lecz to jest równie prawdopodobne, jak wasze mityczne „Dzieci Słońca”.

— Nie rozumiem, co w tym niemożliwego? — nieoczekiwanie poparł mnie Żora. — Ileż to czasu papaninowcy dryfowali na krze? A Nieńcy-myśliwi, o których piszą w książkach? Dlaczegoż by Wietługin nie mógł przeżyć, ocaleć? Ja bym, na przykład, przeżył! — Spostrzegłszy się jednak, że może to wyglądać na przechwałkę, dodał pośpiesznie: — To znaczy, oczywiście, dołożyłbym wszelkich starań, ażeby przeżyć.

Ale Sawczuk milczał. Moszcząc się na wąskim łóżku, zawzięcie ubijał poduszkę i opatulął się kocem.

— Hm, jednak to dość śmiała hipoteza — mruknął pod nosem, pochrzäkując z powątpiewaniem. Czulem, że go nie przekonałem.

Kiedy wylecieliśmy z Narjan-Maru, było jeszcze ciemno. Teraz wzięliśmy kurs nie na północ, jak dotychczas, lecz na północny wschód. Gdy samolot wzbił się na dwa tysiące metrów nad ziemią, ukazało się słońce. Ogromny, czerwony dysk wolno wypływał spoza gór.

W głębokim milczeniu, siedząc każdy przy swoim oknie, obserwowaliśmy majestatyczny wschód słońca.

Niewiara w możliwość ocalenia Wietługina, której dał wyraz mój towarzysz, doprowadziła do małej sprzeczki między nami. Podczas śniadania, przy żywej aprobacie Żory, który bardzo wziął sobie do serca los Piotra Arianowicza, nazwałem Sawczuka mołem archiwalnym, człowiekiem papierowym, pozbawionym wyobraźni. Ten ostatni zarzut zdaje się szczególnie go dotknął, gdyż siedział naburmuszony i boczył się na mnie prawie przez całą drogę od Narjan-Maru do Dudinki.

A może istotnie zbyt się zagalopowałem? Moja wersja ocalenia Wietługina rzeczywiście była fantastyczna, sam sobie z tego zdawałem sprawę.

Dreńczyły mnie wyrzuty sumienia. Raz po raz zerkąłem na potężną postać w futrzanej szubie, skuloną przy oknie.

Pod skrzydła samolotu pchały się teraz posępne łańcuchy górskie. Był to Paj-Choj — górzysta kraina, północno przedłużenie Uralu.

Przelecieliśmy nad Półwyspem Jugorskim. Na lewo pozostała za nami Amderma i Chabarowo, na prawo — Workuta, nowe miasto przemysłowe, daleki polarny krewny uralskich miast przemysłowych.

Oto mamy już za sobą Paj-Choj. Przed nami — Azja, Syberia!

Pod skrzydłami zajaśniała szeroka smuga skutej lodem zatoki.

— Zatoka Obska — rzuciłem patrząc przez okno.

Sawczuk skinął głową.

— Wróciliśmy z marca w styczeń — ciągnąłem dalej.

— W styczeń?... Dlaczego?

Skwapliwie począłem mu wyjaśniać swą myśl. W Moskwie śnieg stał, mgła wisi nisko nad miastem, często mży deszcz. Tu zaś zima jeszcze w pełni krasy i sił. I lód obski jest twardy, z wyglądu mocny, nie to, co lód Zbiornika Rybińskiego, który już pokrył się ciemnymi plamami — zapowiedź rychłego ruszenia lodów.

Na naszym samolocie cofamy się w czasie. To tak, jakby się przerzucało wstecz kartki kalendarza.

— Cóż, zupełnie słuszna myśl, ale posiada ona jeszcze inny, głębszy sens — rzekł Sawczuk, z ożywieniem odwracając się do mnie. Pocziwiec, nie podejrzewał małego fortelu z mojej strony. Po prostu szukałem pretekstu do pojednawczej rozmowy.

Rozwinął rulon leżący przed nim na tobołach. Byłem pewny, że zobaczę znaną mi już mapę Syberii, coś w rodzaju zwierciadła, które odbija wszystko, co przesuwają się pod nami. Ale była to mapa historyczna. Kolorowe smugi przecinały ją we wszystkich kierunkach.

— Siedemnasty wiek — rzekł mój towarzysz. — Syberia przed naszym przybyciem, to znaczy przed przybyciem Rosjan.

— A więc mamy przed sobą mapę nie dzisiejszej, lecz dawnej Syberii? Przenikamy przez zaczarowaną dziurkę od klucza?

Sawczuk spojrział na mnie ze zdumieniem.

— Winietka w książce — pamiętacie?

— Ach tak, oczywiście! Tułacze zabłąkani w czasie!

— Na samolocie — w siedemnasty wiek!

— Kto wie, kto wie... — rzekł etnograf w zadumie. — A może jeszcze dalej...

Z niekłamaną ciekawością pochyliłem się nad mapą.

— Pomarańczowy kolor — to Jukagirzy, najdawniejsi mieszkańcy północnej Syberii — objaśniał Sawczuk. — Niebieski oznacza rozmieszczenie plemion nienieckich. Z południa nadciąga barwa żółta — to Ewenkowie...

— Widzę, że północna część Tajmyru w ogóle nie jest oznaczona żadnym kolorem.

— Dlatego tam lecimy.

— „Biała plama” w etnografii?

— Właśnie.

— A co oznaczają te czerwone strzałki?

— Szlaki, którymi posuwali się Rosjanie, pierwsi odkrywcy Syberii.

— Strzałki urywają się wpół drogi do „białej plamy”.

— W siedemnastym wieku nikt nie zapuszczał się w góry Byrranga.

— O ile wiem, nikt tam nie był ani w osiemnastym, ani w dziewiętnastym, ani nawet w dwudziestym wieku. Dlaczego? Czy góry te są aż tak wysokie, że stanowią przeszkodę nie do pokonania?

— Nie, nie są zbyt wysokie. Po prostu uważano — i do tej pory się uważa — że nie ma tam czego szukać.

Sawczuk wyjął z kieszeni niewielką książeczkę, przeczucił parę kartek i znalazł potrzebne mu miejsce.

— „Północna część półwyspu, poczynając od gór Byrranga — przeczytał — jest zupełnie bezludna”. To nowość wydawnicza — dodał — ostatnia praca o Tajmyrze, bardzo cenna. Autor — Aleksander Popow. Wydanie Akademii Nauk. Tytuł: „Tawgowie”.

— Co to za Tawgowie?

— Nazywa się ich też Nganasanami, ludem Nia. Stara nazwa — Samojedzi...

Szybko przeczucił parę stron:

— „Tawgowie to najbogatsi hodowcy renów wśród narodów Dalekiej Północy...” Nie, nie to! „Tundra jest żywiołem Tawga jak rozpalone piaski żywiołem Beduina...” Też nie to! Aha, tu: „Tawgowie stanowią najdalej na północ wysuniętą grupę etniczną Starego Świata”. Autor ma tu na myśli Europę i Azję.

Sawczuk opuścił książkę na kolana. Oczy mu błyszczały.

— Widzicie, to twierdzenie wymaga poprawki — oświadczył. — Najdalej na północy żyjącym narodem Związku Radzieckiego, a tym samym całej Eurazji, są nie Nganasanie, czyli Tawgowie, lecz „Dzieci Słońca”.

— Które odkrył w górach Byrranga Piotr Arianowicz

Wietługin, zbieg z carskiego zesłania — zakończyłem tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Sawczuk chwilę się wahał.

— Tak. Które odkrył w górach Piotr Arianowicz Wietługin — zgodził się dobrodusznie.

Na tych warunkach zostało zawarte między nami „przymierze”.

Nocleg w Dudince nad Jenisejem przeszedł spokojnie, ku wielkiemu zdziwieniu, a nawet pewnemu rozczarowaniu pilota Żory; bardzo mu się podobało być świadkiem sporu dwóch uczonych, wobec którego zachowywał filozoficzną postawę arbitra.

Świt następnego dnia był zimny i siny. Zastał nas już w kabinie samolotu.

Kiedyśmy się wznieśli nad Dudinką, nie zobaczyłem jej pożegnalnych świateł. Mróz solidnie zamurował okna kabiny. Podczas gdy chuchałem na szkło i śpiesznie zeszkrobywałem szron paznokciem, jak się to robi w tramwaju, żeby sprawdzić, czy nie przejechało się przystanku — miasto pozostało za nami. Tylko pomarańczowa łuna, obejmująca dobre ćwierć nieba, przypominała o Dudince. Wkrótce i ona znikła.

Nasz pilot, w obawie przed oblodzeniem, wzbijał się wciąż wyżej i wyżej. Pod skrzydłami zapieniły się obłoki.

Siedzący na tobołach Sawczuk ziewnął — już nie wiem po raz który! — i wstrząsnął się.

— Br-r! — mruknął, pochwyciwszy moje spojrzenie.

— Zimno?

— Jeszcze jak!

Jest rzeczą jasną, że trudno w takich warunkach prowadzić jakąś bardziej sensowną rozmowę.

Samolot bierze kurs na Nowotundryńsk — jedno z naszych najmłodszych miast polarnych, leżące na pograniczu lasu i tundry. Tam trzeba będzie się pożegnać z Żorą i przesiąść z samolotu na sanki zaprzężone w renifery. Cóż, odwrócimy się plecami do cywilizacji, do dwudziestego wieku i zagłębimy w epokę kamienną, w poszukiwaniu mitycznych „Dzieci Słońca”!

Wyobrażam sobie, jak zimno będzie na sankach!...

Słońce ukazało się o swojej porze. Nawet nieco wcześniej, gdyż lecieliśmy na bardzo dużej wysokości. Na skraj widnokregu wytoczyła się olbrzymia kula, którą ostrożnie otuliły falujące jak ocean obłoki. W tejże samej chwili, niby ślady bryzgów, pobiegły po obłokach od wschodu na zachód długie, czerwone smugi.

Zapatrzyłem się na grę promieni słonecznych. Na pewno przed nami od obrotu śmigła utworzył się kolorowy wir, tęcze koncentryczne kręgi.

„Dzieci Słońca”... Dziwna nazwa. „Dzieci Słońca”!...

Ku nim to szli, lecz nie doszli, pierwsi odkrywcy Tajmyru — dzielni strzelcy mangasejskiej warowni. Ku „Dzieciom Słońca” szedł i doszedł! — z północnego wschodu, od strony Morza Łaptiewów, zbiegły zesłaniec Wietługin. Ku nim zdążamy teraz i my.

W góry Byrranga, na Tajmyr, na Tajmyr!...

Grzejąc się na słoneczku przy oknie, zdrzemnąłem się.

Obudziła mnie cisza. Umilkł ryk motorów. Obok stał uśmiechnięty Sawczuk.

Co to już Nowotundryńsk? — spytałem zrywając się.

— To rozumiem! — rzekł mój towarzysz. — Nawet się człowiek nie spostrzegł, kiedy przyleciał. A ile to lat musieli wędrować, by się dostać na Tajmyr, dawni podróżnicy, pierwsi jego odkrywcy!...

— Przecież to było trzy wieki temu! — mruknąłem przecierając oczy i otrząsając się z senności.

## VI. Kino w tundrze

1

Nowotundryńsk, miasto rejonowe, leży na skraju lasu. Las nie urywa się nagle na granicy tundry. Karłowaty, krzywy modrzew — wszystko, co pozostało z potężnej syberyjskiej tajgi — jeszcze się czepia życia w dolinach



rzek. Tam schronił się przed wściekłymi wiatrami, tam znajduje wilgoć i substancje odżywcze, przyniesione przez wodę z góry, to znaczy z południa. Wiernie powtarzając każdy zakręt rzeki, smugi lasów ciągną się daleko na północ niby cypelki wrzynające się w bezleśny step arktyczny.

Właśnie Nowotundryńsk położony jest na jednym z takich cypelków.

Miasto było jeszcze zupełnie młode, dopiero się budowało. Na każdym kroku obok drewnianych domów spotykało się spiczaste czumy, kryte reniferowymi skórami, przypominające zwykłe namioty. Niektóre ulice były na razie po prostu pustkowiem i tylko deszczulki z nazwami świadczyły o tym, że tu w najbliższym czasie — może nawet tego lata — zostaną wzniesione domy.

Tundra rosła wzwyż, tundra się budowała!...

Do Nowotundryńska przybyliśmy po południu. Zanim odszukaliśmy zajazd, rozpakowali rzeczy i umyli się, już zapadł wieczór. (O tej porze roku dzień i noc za kręgiem polarnym następują po sobie tak samo, jak w strefie umiarkowanej.)

Warto byłoby trochę odpocząć, ale Sawczuk nie chciał nawet o tym słyszeć. Ledwo przekąsiliśmy coś naprędce, pociągnął mnie do nowotundryńskiego komitetu rejonowego partii.

— Do komitetu? Po co do komitetu? — zdziwiłem się.

— Zawsze tak robię. Pracę w terenie z zasady zaczynam od odwiedzin miejscowych organów partyjnych. Rozumiecie, to jest bardzo ważne dla orientacji: wskażą potrzebnych ludzi, doradzą, pomogą ustalić marszrutę...

Ta myśl wydała mi się słuszna. Mój towarzysz, jak widać, umiał nie tylko grzebać się w archiwach. Był w tej chwili w swoim żywiole!

Po drodze przystanąłem przed grupką modrzewi. Drzewo to można by śmiało nazwać „reniferem świata roślinnego” — tak jest niewybredne.

Zapuszcza korzenie w glebę zwykle nie głębiej niż na dziesięć centymetrów.

Dalej bowiem zaczyna się wieczna marzłoc. I na tej cieniutkiej warstewce rośnie drzewko — niewysokie, sięgające człowiekowi zaledwie do pasa, ale mocne, uparte, z gałęziami zwieszonymi ku ziemi.

— Przypomina wędrowca idącego pod wiatr — powiedziałem. — Czołem rozcina powietrze, pochylony ku przodowi szeroko rozstawia nogi, wytęża wszystkie siły i wciąż idzie naprzód!...

Staliśmy chwilę, z podziwem przyglądając się modrzewiom, po czym ruszyliśmy dalej.

Jednakże w komitecie nie powiodło się nam. Sekretarz był zajęty.

— Ma zebranie z budowniczymi miasta — wyjaśniła sekretarka w poczekalni. — Proszę przyjść za jakieś półtorej-dwie godziny. Jak mam zameldować?

Sawczuk podał swoje nazwisko.

Wyszliśmy na ulicę i przystanęli niezdecydowani. Dokąd teraz iść? Czyż zapewnić półtorej-dwie godziny?

Byłem zaskoczony ruchem panującym w Nowotundryńsku. Jeden za drugim przemykały obok nas zaprzęgi reniferowe. Na sankach siedzieli kołchoźnicy-Nganasanie w solidnych sokujących zdobnych różnobarwną aplikacją, z powiewającymi na plecach wstęgami czerwonego, niebieskiego i zielonego sukna. Nawoływali się wesoło, wymachując niezmiernie długimi chorejami<sup>2</sup>. I, rzecz dziwna, wszyscy jechali w jednym kierunku.

— Ruch, jak na ulicy Gorkiego w godzinach „szczytu” — zażartowałem.

— Jakieś święto? — dziwił się mój towarzysz. — Przecież dziś nie ma święta... Jarmark? I jarmarku też nie ma...

W końcu nie wytrzymał. A że znał język nganasański, skinął na jednego z jadących i poprosił go o wyjaśnienie.

‘Sokuj — wierzchnie okrycie.

‘Chorej — długi kij służący do poganiania renów.

Zapytany odpowiedział mu długim zdaniem. Sawczuk spojrział na niego ze zdumieniem, a potem odwrócił się do mnie.

— Sny na ścianie? — powtórzył po rosyjsku. — Oglądać sny na ścianie?...

Nganasanin jeszcze coś powiedział.

— Co on mówi? — zainteresowałem się.

— Sny przywozi się w okrągłych skrzynkach?...

— Ach, w okrągłych skrzynkach! — olśniło mnie nagle. — To przecież kino!

Nganasanin jak wicher pomknął na swych sankach, a my dalej staliśmy na środku ulicy.

— Kino? — powtórzył w zamyśleniu Sawczuk. — To musi być interesujące. Kino w tundrze! Nigdy jeszcze nie widziałem w tundrze kina. Może pójdziemy?

Ja jednakże byłem raczej za tym, by wrócić do zajazdu. Pilot Żora, z którym zdążyliśmy się w drodze zaprzyjaźnić, na pewno w oczekiwaniu na nas przygotowywał już „kawalerską” kolację. Przyjemnie byłoby pogrzać się przy piecu w suchych wełnianych skarpetkach, patrzeć w zadumie na przyskające iskry i słuchać, jak gospodarny Żora krząta się podzwaniając kieliszkami i talerzami.

— Jeszcze się pogrzejecie! — osadził mnie Sawczuk, w którego zachowaniu coraz wyraźniej zaczynał się przejawiać despotyzm. — Nie, chodźmy lepiej do kina!

— A jaki film będzie wyświetlany?

— Film? To przecież nieważne! Ciekawą rzeczą będzie obserwować widownię.

Z tym się zgodziłem.

2

W Nowotundryńsku nie było jeszcze sali kinowej, dlatego też seanse odbywały się w szkole; widoczna z daleka — dwupiętrowa, zbudowana z wyborowych bier-

wion — była bodajże najwyższym i najpiękniejszym budynkiem w całym mieście.

Wokół szkoły, jak mi się wydało, rosły jakieś krzaki czy karłowaty las. Dopiero gdyśmy się zbliżyli, zrozumiałem swoją omyłkę. Nie był to ani las, ani krzaki, lecz rogi reniferów, stojących i leżących na śniegu przed gankiem. Łagodne zwierzęta spokojnie czekały na swoich gospodarzy. Sądząc z ilości reniferów, przybyli tu ludzie co najmniej z pięciu lub sześciu nganasańskich koczowisk, by oglądać „sny na ścianie”.

Spóźniłiśmy się nieco — seans już się rozpoczął. Weszliśmy na salę, gdy już było ciemno. Musiała być szczelnie nabita. W powietrzu unosiła się silna woń rozparzonych skór.

Przysiadłem na brzeżku ławki. Sawczuk, sapiąc, usadowił się za mną.

Od czasu do czasu gorączkowe szepty zagłuszały potrzaskiwanie aparatu i przyspieszony oddech widzów. Niektórzy z obecnych już widzieli film i teraz wtajemniczali nowicjuszy w to, co będzie dalej.

Dziś wyświetlano kronikę filmową. Reakcja widowni była niezwykle żywa, żywsza chyba niż gdyby wyświetlano najbardziej porywający film awanturyczny. To, co było rzeczą codzienną gdzieś w kołchozie pod Kaługą czy Połtawą, przyjmowano tu jako coś oszalamiającego, jak jakieś czary.

No ekranie stała, z zażenowanym uśmiechem na twarzy, kobieta otoczona białymi kurczętami-leghornami i karmiła swych ruchliwych wychowanków. Przez widownię przetoczyła się fala podnieconych okrzyków.

Pomyślcie tylko: ptak nie ucieka przed człowiekiem, jak być powinno! Co więcej — je z ręki!

Dla Nganasanów, hodowców reniferów i myśliwych, którzy znają tylko dzikie ptaki, był to po prostu cud.

W oczach ćmiło się od chybotliwej bieli. Kury zbiegały się ze wszystkich stron. Niektóre wlatywały kobiecie na ramiona. Tonęła wśród nich jak w śniegu.

Mój sąsiad Nganasanin odwrócił się nagle, o mało nie strąciwszy mnie przy tym z ławki.

— Na co czeka ta kobieta? — krzyknął przenikliwie. Mówił dość poprawnie po rosyjsku. — Dlaczego nie chwyta ptaków, nie skręca im głów?

Nie zdążyłem odpowiedzieć — na ekranie ukazał się inkubator.

— Jak to? Zwykła skrzynka wysiaduje pisklęta?!

W sali rozbrzmiewał gwar i śmiech. Uczniowie szkolni dźwięcznymi głosami tłumaczyli coś swoim rodzicom, być może wyliczali ilość jaj, które wysiaduje jednorazowo ta osobliwa żelazna kwoka. Co za dziwy!

Ale najżywiej i najgłośniej objawiał swój zachwyt i zdumienie mój sąsiad. Był to, widać, jeden z tych poczciwców, którzy nie umieją przeżywać wrażeń sami, lecz muszą dzielić się z drugimi przepełniającym ich pierś uczuciem. Co chwila odwracał się do mnie, boleśnie szturchając mnie ostrym łokciem, to znów wstawał z miejsca i przez całą salę wymieniał uwagi ze znajomymi, aż zniecierpliwieni widzowie, siedzący za nim, musieli go ciągnąć za poły, by się uspokoił.

Podziw widzów doszedł do szczytu, gdy po ptasiej fermie na ekranie zobaczyli pola buraczane.

Cukier pojawił się w tundrze stosunkowo niedawno i wielu spośród widzów w prostocie ducha sądziło, że się go wydobywa jak węgiel, odłupując bryły z wysokości aż pod samo niebo Słodkiej Góry.

A teraz przekonali się na własne oczy, że jest inaczej. Buraki cukrowe rosną na polach. Wyrывa się je z ziemi, a potem wiezie do fabryki, gotuje, wyciska, przerabia, prasuje.

Mój sąsiad z wrażenia nie mógł usiedzieć w miejscu.

— Dość tego, przyjacielu — powiedziałem, chwytając się brzegu ławki, by nie spaść na ziemię. — Mógłbyś się wreszcie uspokoić!

Zabłysło światło. Rozejrzałem się po sali.

Licząc na oko było tu z osiemdziesiąt osób. Jak na tutejsze stosunki — tłumy ludzi. Dość dziwne wrażenie

sprawił widok dorosłych, którzy siedzieli w niziutkich szkolnych ławkach, skuleni w dziesięcioro, niemal z kolanami pod brodą. Siedzieli zresztą również w przejściu pomiędzy ławkami, na złożonych wierzchnich okryciach. Szpilki, jak się to mówi, nie było gdzie wsadzić. Spóźnialscy podpierali ściany, siedzieli nawet na parapetach okiennych.

Zerknąłem spod oka na niespokojnego sąsiada. Patrzył na mnie dobrodusznie mrugając malutkimi oczkami. Tego gładka, bez zarostu twarz pokryła się nagle drobnymi, promienistymi zmarszczkami. Uśmiechał się. Uśmiech widocznie miał być niejako wstępem do rozmowy.

Lecz w tej chwili ktoś go zawołał z drugiego końca sali:

--- Bojku-naku!

I mój sąsiad-wiercipięta pobiegł tam, niemal po głowach innych, na pewno po to tylko, by ucisnąć dłoń przyjaciela.

Usiadłem wygodniej w ławce.

W stożkowym snopie światła, padającym spoza naszych pleców, ukazały się teraz obrazy Soczi.

"Ale zaraz będzie krzyk!" — pomyślałem sobie. Jednakże, wbrew wszelkim oczekiwaniom, w sali panowała cisza. Widzowie nieufnie milczeli. Widocznie nazbyt już wiele drzew było na ekranie. Niełatwo w nie tak od razu uwierzyć.

Przed nami była plaża pokryta brązowymi ciałami. Mignęła spieniona fala przyływu, zakołysały się palmy, zatrzeszczały ich mocne, jakby blaszane liście. Bez odrobiny żalu pomyślałem, że dziś mogłem leżeć pod jedną z tych palm.

Ktoś wszedł do sali. Domyśliłem się tego po skrzypnięciu drzwi i po szmerze niezadowolenia wśród siedzących z tyłu widzów.

Na ekranie zajaśniały śnieżnobiałe sanatoria, podobne do skąpanych w słońcu lodowców, przewinęła się przed

oczyma i pomknęła w dal szosa nadmorska, obsadzona eukaliptusami.

Spóźniony widz zaczął się przeciskać do przodu, widocznie kogoś szukał. Stał obok nas i spytał szeptem.

— Przepraszam, czy to wy nazywacie się Sawczuk?

— Tak! — odezwał się etnograf.

— Powiedziano mi, żeście mnie szukali. Jestem sekretarzem komitetu rejonowego, Aksionow...

Sawczuk szybko wstał; ja również się podniosłem. Zamieniliśmy z Aksionowem niezręczne uściski dłoni, stojąc w ciemności przeciętej drżącą smugą światła. I niemal w tej samej chwili zapaliły się lampy.

3

Aksionow był to młody, niewysoki, o bardzo szybkich ruchach Dołganin<sup>1</sup> w czarnej bluzie wojskowego kroju, mocno ściągniętej wojskowym pasem. Jak zauważyłem, jest to ulubiony ubiór większości pracowników rejonowych, niezależnie od tego, gdzie mieszkają — czy w podmoskiewskiej Ruzie, czy w polarnym Nowotundryńsku.

Sawczuk przedstawił mnie i zaczął wyjaśniać cel naszego przybycia.

Aksionow słuchał uważnie, od czasu do czasu kiwając głową. Nagle twarz mu się ożywiła:

— Wspomnieliście, zdaje się, o Ptaku Mauk?... Przepraszam, że wam przerywam... W dzieciństwie słyszałem o tym ptaku. Matki straszły nim dzieci. To coś w rodzaju waszego buki<sup>2</sup>...

— O, to bardzo cenna informacja!... A więc nie tylko u Nganasanów, lecz i u Dołganów... — Sawczuk już wyjmował z kieszeni notes.

— Nie ma co zapisywać. Nic więcej, niestety, nie mogę dodać. Buka i tyle.

‘Dołganin — półwysep Tajmyr oprócz Nganasanów zamieszkują również Dołganie.

‘Buka — stwór fantastyczny, straszydło.

Ale przynajmniej wygląd zewnętrzny! — błagał etnograf. — Jak go opisują?

Aksionow zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Moim zdaniem — to jakaś poczwara. Bo ani sowa, ani gęś, ani kuropatwa. W ogóle do żadnego ptaka niepodobna... Po prostu potwór! Pamiętam, że mówiło się nawet — „potwór”.

Sawczuk zapisał to wszystko w notesie.

— Co się zaś tyczy ludzi, muszę was niestety rozczarować — mówił dalej Aksionow. — Nie ma w naszym rejonie innych narodowości prócz Nganasanów i Dołganów. Przecież byśmy wiedzieli.

— Ściśle mówiąc, chodzi tu o naród legendarny — ostrożnie sprecyzował Sawczuk. Naród z bajki, który żyje gdzieś w północnej części półwyspu, w rejonie Byrrangi.

Aksionow zamyślił się.

--- Byrrangi? — powtórzył. — Może, wobec tego, macie na myśli „kamiennych” ludzi, to znaczy ludzi z gór? U nas krąży o nich wiele bajek. Kraina Zmarłych — to chyba to, czego szukacie?

Przeniósł pytający wzrok na mnie, lecz ja w milczeniu wzruszyłem ramionami. Moskwa — Narjan-Mar — Dudinka - Nowotundryńsk Kraina Zmarłych! Ładna mi marszruta!...

Aksionow zaprosił nas do siebie, do komitetu, gdzie w dalszym ciągu omawialiśmy naszą sprawę. Wszyscy pracownicy komitetu skupili się wokół stołu, wtrącając swoje uwagi, udzielając rad.

Towarzysze, warto by pomówić z Bulczu — proponował któryś z nich.

Odpowiedzią był ogólny śmiech. Nawet Aksionow uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ja wcale nie żartuję — znów zabrał głos ten, który wysunął kandydaturę Bulczu. — Skoro już mowa o „kamiennych ludziach”, o Krainie Zmarłych...

— Jest tu u nas pewien staruszek, kiedyś był znakomitym myśliwym — wyjaśnił nam Aksionow. — Teraz



nie poluje, stary już, cóż mu więcej pozostaje, jak opowiadać bajki! No i wymyślił bajkę o „kamiennych ludziach”...

— Towarzysze z Moskwy sami się zorientują — z uporem obstawał przy swoim obrońca Bulczu. — Jeśli się podejdzie do bajek naukowo, rozumnie, dobrze się je przesiesie... Czy nie tak, towarzyszu?

Sawczuk potakująco skinął głową.

— Wyobraźcie sobie, co ten stary wymyślił! — z uśmiechem rzekł Aksionow. — Że niby to sam był w Krainie Zmarłych i widział „kamiennych ludzi”...

— Czyżby? — Sawczuk podał się całym ciałem do przodu, trzymając na kolanach otwarty notes.

— Myśliwskie bujdy! — mruknął ktoś z lekceważeniem.

— A więc Bulczu był w górach? Kiedy?

— Najlepiej spytajcie go samego. To długa historia... A wszystko z powodu ospy. W każdym razie on to tak tłumaczy...

— Bulczu jest dzisiaj w mieście — odezwał się jakiś głos od drzwi. — Na pewno siedzi w szkole, na filmie.

— Gdzie kino, tam i nasz Bulczu. Ani jednego nowego filmu nie opuści.

— Ale przecież seans już się skończył?

— On siedzi na wszystkich seansach pod rząd.

— No więc jak? — zwrócił się Aksionow do Sawczuka. — Posłać po niego?

— Naturalnie! Koniecznie! Bardzo o to prosimy!

Zaraz wysłano do szkoły komsomolca po Bulczu.

— Czy się tylko uda wyciągnąć go na rozmowę? — wypowiedział swe obawy Aksionow. — Widzicie, bardzo go tu wyśmiewano, razem z jego „kamiennymi ludźmi”. Nawet dano mu przydomek: „Człowiek, który zagubił swój ślad”. U Nganasanów nie wypada powiedzieć „kłamca” o starszym człowieku. A tak zawsze to brzmi trochę delikatniej, choć mimo wszystko też niezbyt pochlebnie.

— A staruszek jest ambitny, obrazliwy — wtrącił ktoś z kąta.

Jakże, kiedyś głośno było o nim na całym Tajmyrze! Najlepszy myśliwy! Jego fotografia nawet była zamieszczona w tygodniku „Ogoniok”.

— Ależ wy właśnie, jak mi się zdaje, siedzieliście obok niego na seansie w kinie — zwrócił się do mnie jeden z pracowników komitetu. — Dopiero potem znajomi go odwołali.

— Tego człowieka nazywano nie Bulczu, lecz Bojkunaku — odrzekłem.

Znowu się wszyscy roześmieli.

— Bojku-naku to nie jest imię — wytłumaczono mi. — Po nganasańsku to znaczy: „Dziadku”.

— Tak, to on — potwierdził ktoś inny. — Taki na oko niepokaźny, niziutki, ruchliwy, twarz jak piąstka.

Nie ulegało wątpliwości, że mowa o moim sąsiedzie kina, tym samym staruszką, który wybuchnął śmiechem, gdy biała kura, trzepocząc skrzydłami, wzleciała na głowę kobiety. Z podniecenia nie mógł usiedzieć na miejscu i przez cały czas wiercił się i podskakiwał, jakby go ktoś dzgał z tyłu szydłem.

W drzwiach stanął zdyszany komsomolec.

--- Pojechał! - OZNAJMIŁ Od progu. — Bulczu już pojechał! Kino się skończyło i...

--- Dogonimy go! - Sawczuk zerwał się przewracając

--- Nie dogonicie! - spokojnie powiedział Aksionow.— Bulczu ma najlepsze renifery na Tajmyrze. Ech, szkoda, przegapiliśmy okazję!... Teraz będzie objeżdżał brygady, opowiadać wszystkim krewnym o kinie. Gdzie on ma krewnych?

Okazało się, że Bulczu ma ich całą kupę. Trzech zięciów, mieszkających w takich a takich zimowiskach, a prócz tego jeszcze z pół tuzina bratanków i siostrzeńców. Tundra jest duża, a w czasie zimowego sezonu myśliwskiego koczowiska Nganasanów są rozrzucone daleko jedno od drugiego.

— Teraz trzeba się będzie za nim dobrze nauganiać —

powiedział ze współczuciem Aksionow. — To ci dopiero! Ile to kłopotu przez jednego dziadka! A może zostaniecie u nas, odpoczniecie, a my go wam sami dostawimy?

— Nie, nie, dogonimy go!

— A czy w ogóle warto sobie nim głowę zawracać? — rozległ się czyjś sceptyczny bas.

Pomyślałem sobie w duchu to samo. Jakoś ten stary Bulczu z jego myśliwskimi bajdami nie wzbudzał we mnie zaufania.

Lecz Sawczuk obstawał przy swoim.

— Naoczny świadek, naoczny świadek — powtarzał, w najwyższym podnieceniu wymachując notesem.

Aksionow obiecał przysłać nam do zajazdu reny i san-ki. Sawczuk postanowił natychmiast puścić się w pogoń za Bulczu.

— A ja czekam i czekam! — przywitał nas z radością Żora, podnosząc się od mocno rozpalonego pieca. — Słoninki nakrajałem. Konserwy otworzyłem. I herbatka — mocna jak koniak.

— Cóż z tego! — przerwałem mu rozgoryczony. — Za-raz wyjeżdżamy.

— Dokąd? Po co?

— Musimy dogonić pewnego człowieka — wyjaśnił Sawczuk, grzebiąc w swych rzeczach.

— A co mnie najbardziej złości — dodałem z iryta-cją — ten człowiek siedział obok nas przez półtorej go-dziny. Żeśmy go wtedy nie zatrzymali!

Żora zdaje się i tak nic z tego nie zrozumiał. Zresztą, kolację zjedliśmy — to bardzo niezdrowo wybierać się w drogę z pustym żołądkiem, zimno wtedy mocniej do-kucza. Lecz jedliśmy w pośpiechu — przed gankiem już rozlegały się głosy i skrzypiał śnieg pod płozami sanek.

Mróz był siarczasty, dwadzieścia pięć stopni. Na wy-sokim, ciemnym niebie iskrzyły się bardzo jasne gwiazdy, najpewniejsza oznaka, że do odwilży jeszcze daleko.

Pod wysokim niebem Północy, ze zdziwieniem spoglądającym na nas oczami gwiazd, pomknęliśmy na renife-rowych zaprzęgach w tundrę — w pogoń za baśnią!...

## VII. Naoczny świadek

1

Nganasański kołchoz „Leninowski szlak”, którego Bulczu był członkiem, rozbija zimą swe czumy wzdłuż granicy lasu, na stosunkowo wielkiej przestrzeni. Brygady hodowców renów chronią się pod osłonę lasu, gdzie zwierzętom mniej dają się we znaki gwałtowne wiatry. Natomiast brygady myśliwskie pozostają głębiej w tundrze, bliżej swych sideł i potrzasków i rozmieszczają się w dość dużej odległości jedna od drugiej.

Dopiero rankiem następnego dnia dotarliśmy do miejsca postoju Mantugany, jednego z zięciów Bulczu.

— Dzień dobry, Mantugana! — pozdrowił gospodarza Sawczuk, wchodząc do zadymionego, ciasnego czumu. — Jest tu Bulczu?

— Witajcie! Był. Raniutko wyjechał do siostrzeńca, do Dutadego...

Ten krótki dialog w nieznacznych odmianach powtarzał się potem w każdym następnym koczowisku. Od Dutadego niespokojny Bulczu pognął do Nakoptego, od Nakoptego do Bugoptego, od Bugoptego do Tadaptego, a stąd jeszcze do kogoś. Widać, ponosiło go, by się podzielić z innymi tym, co zobaczył w kinie, opowiedzieć wszystkim o przedziwnych ptakach, które jedzą z ręki człowieka, i o korzeniach, z których robi się smaczny biały cukier.

Pod wieczór zbliżyliśmy się do koczowiska ostatniego zięcia Bulczu.

Niebo nad nami stawało się coraz ciemniejsze, powietrze - jeszcze mroźniejsze. Naraz towarzyszący nam młody komsomolec - Nganasanin zatrzymał sanki i zaczął nasłuchiwać.

--- Renny biegną — oznajmił.

Rozejrzałem się dokoła, lecz choć wytężyłem wzrok, nie mogłem nic zobaczyć na wciąż tak samo pustynnej bieli tundry. Popatrzyłem pytająco na komsomolca.

— Zamknij oczy i słuchaj! — powiedział.

Uczyniłem, jak kazał. Po chwili doszedł mnie daleki tętent.

— Cicho tu u nas — z satysfakcją rzekł chłopiec. — Bardzo dobrze się słyszy.

Do naszych sanek podbiegł zaniepokojony Sawczuk.

— Co się stało? Dlaczegoście się zatrzymali?

— Gdzieś biegną reny — odparłem. — Jak daleko nie się się głos! Jak po wodzie. Przecież nic jeszcze nie widać.

— A ile renów? — spytał Sawczuk komsomolca.

— Czyżby i to potrafił określić ze słuchu? — zdziwiłem się.

Z kolei komsomolec spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Jakże! — odparł urażony. — Nie jestem przecież głuchy! Biegną dwa reny.

Nasłuchiwał jeszcze chwilę i dodał po namyśle:

— To na pewno reny Bulczu. Bardzo szybko biegną...

Odetchnąłem z ulgą. Nareszcie!

Jeszcze kilka pagórków i oto w dali zaczerniało pięć czy sześć czumów. To brygada Kamsego, najstarszego zięcia Bulczu.

Przed głównym czumem zaprzężone do sanek stały dwa rosłe, piękne renifery, robiące zapadniętymi bokami. Bulczu był tutaj.

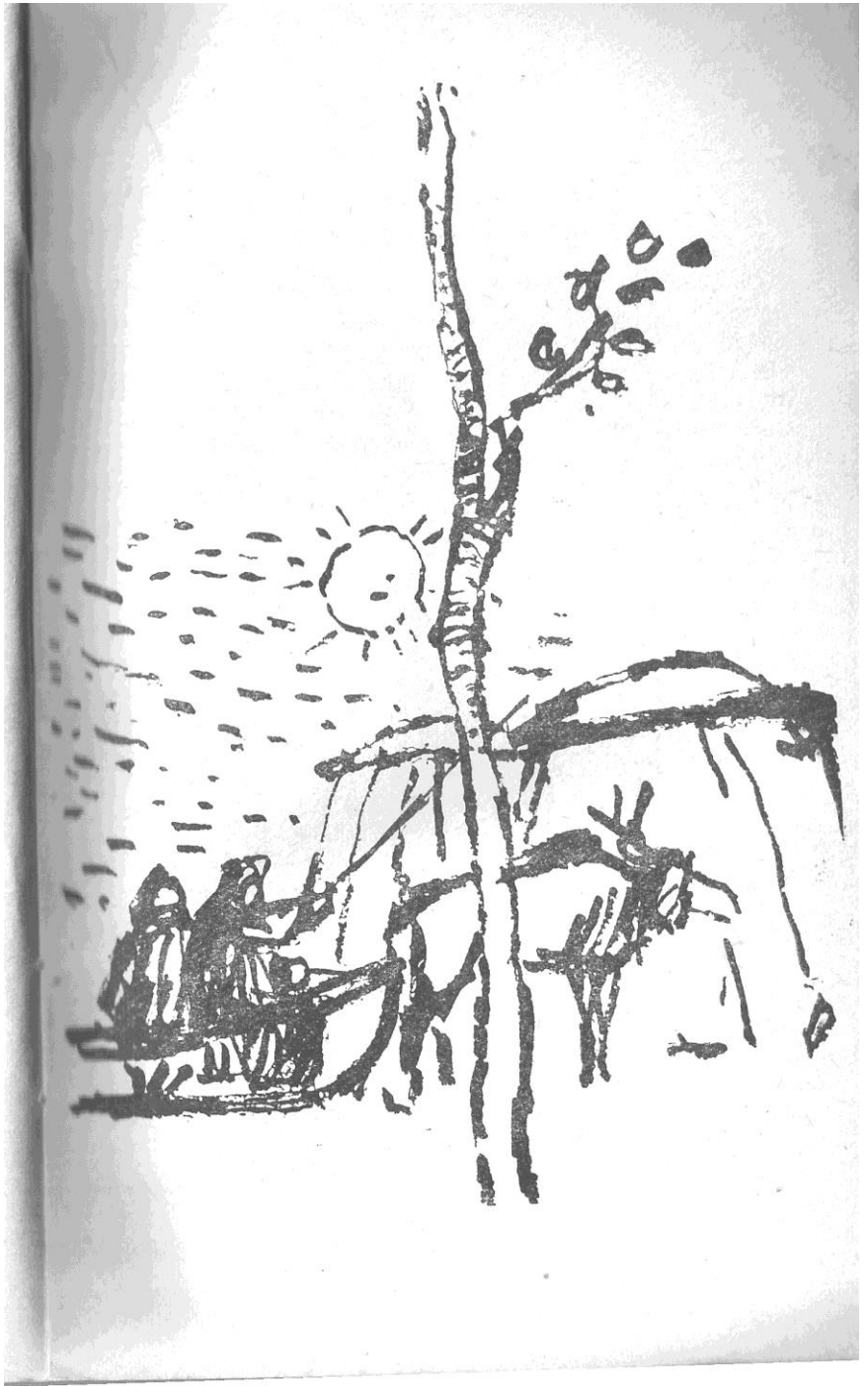
Starszy już wiekiem Nganasanin, widocznie jego zięć, odchylił przed nami futrzaną zasłonę zastępującą drzwi i ceremonialnie wprowadził nas do wnętrza czumu.

Przy ognisku, mrużąc oczy od dymu, stał mój sąsiad z kina. Tak, to on! Jego pomarszczona twarz była jak zaciśnięta piąstka, a oczy przypominały wodę powleczoną cieniutkim lodem. Gdy je podniósł na mnie, zrozumiałem, że jest bardzo stary.

Statecznie rozsiedliśmy się na skórkach wokół ogniska.

Zgodnie z surowymi wymaganiami miejscowej etykiety nie wypada od razu mówić o sprawie, w jakiej się przyjechało. Sawczuk wiedział o tym i zachowywał się odpowiednio, hamując niecierpliwość.

Potoczyła się rozmowa o sprawach kołchozu, padło



parę niepochlebnych uwag na temat pogody, chwalono renifery Bulczu. Potem Kamse spytał, czy widzieliśmy w Nowotundryńsku Konduego Sojmuwicza Turdagina. (Jak mi wyjaśniono półgłosem, był to znany działacz społeczny i pierwszy Nganasanin-komunista. Ani jedna rozmowa w tundrze nie obejdzie się bez tego, by nie wspomnieć jego imienia).

Chcąc zrewanżować się gospodarzom za uprzejmość, Sawczuk spytał Kamsego, jak się miewają jego synowie, wnuki obecnego tu Bulczu. Stary myśliwy uśmiechnął się, a Kamse z godnością skinął głową. Dziękuję, dobrze się uczą. Teraz są w Dudince, ale w maju wrócą do domu. Przecież w maju czeka ich wędrówka na północ, w przedgórze Byrrangi.

Nie spuszczałem oka z Bulczu. Dotychczas mieliśmy w rękę tylko pewne, że tak powiem, poszlaki. Teraz siedział przed nami żywy świadek.

— Naoczny świadek! Czy rozumiecie, jaka to dla nas ważna rzecz? — mruczał Sawczuk, ściskając mi ramię.

Milczałem. Naoczny świadek! Czy nie będzie zmyślał i przesadzał, jak to zwykle czynią wszyscy naoczni świadkowie!

Bulczu sprawiał wrażenie zupełnie „emancypowanego” mieszkańca tundry. Miał zegarek, który od czasu do czasu wyjmował z zanadrza i ze skupioną miną podnosił do ucha. Przy tym stary myśliwy głośno szczął kopertą.

Z początku myślałem, że zegarek się zepsuł. Jak się jednak okazało, Bulczu po prostu chciał zwrócić naszą uwagę na kopertę. Było wyryte na niej wymyślnymi zawijasami: „Najlepszemu myśliwemu, który przekroczył plan w r. 1928—1929, tow. Bulczu Niorchowowi od Integralsojuzu”.

Bulczu był wobec nas bardzo powściągliwy. Tylko wtedy, gdy ktoś z domowników zagadnął go o to, co widział w kinie, ożywał się. Zupełnie dziecięcy uśmiech obnażał wówczas jego bezzębne dziąsła. Widocznie wciąż jeszcze był pod urokiem czarownych „snów” oglądanych na ścianie.

Tymczasem gospodyni, najstarsza córka Bulczu, z należąca chwili uroczystą powagą szykowała kolację.

Były czasy, kiedy głód w tundrze uważano za normalne zjawisko, zwłaszcza na wiosnę. (Według świadectwa przedrewolucyjnych badaczy wymierały z głodu całe koczowiska).

Dziś należy to już do historii.

Władza radziecka pomogła mieszkańcom tundry przejść na znacznie wyższy stopień kultury materialnej. Okazało się, że tundra, którą dotychczas nazywano „skąpą”, tundra, gdzie ongiś głodowali Jukagirzy, Czukcze, Nieńcy, Nganasanie, może doskonale ich wszystkich wyżywić.

Było też jadła w bród u naszych gospodarzy.

Gościli nas szczerze, wciąż podsuwając półmiski z reniferowym mięsem i gęsiną.

Chwilami ta ich gościnność stawała się aż uciążliwa.

Widocznie od pierwszego wejrzenia spodobałem się Bulczu, gdyż stary myśliwy przysiadł się do mnie i z przyjaznym uśmiechem zaglądając mi w oczy, raz po raz próbował włożyć do mojej miski (z pięknej porcelany) kawałek dość brudnego sadła. (Szczyt uprzejmości według nganaszańskich!)

Picie herbaty, którym niezmiennie kończy się w tundrze każde śniadanie, obiad i kolacja, to można powiedzieć nie kończąca się procedura. Ale oto brygadier i jego teść wypili po ostatniej szklance i sapiąc rozwalili się na skórach. Naczynia zostały uprzątnięte. Gospodarze zapalili fajki. Teraz można już mówić o celu naszych odwiedzin.

Sawczuk zaczął dyplomatycznie.

Obecny tutaj czcigodny Bulczu to znakomity myśliwy, znany na całym Tajmyrze. Dużo o nim słyszeliśmy. Przecież nawet w gazecie „Ogoniok”, którą drukuje się w Moskwie, była zamieszczona jego fotografia...

Początek był dobry. Stary myśliwy jeszcze raz pokazał nam swe dziąsła, zięć z uznaniem poklepał go po ramieniu, a córka skwapliwie wyjęła z woreczka niedużą fotografię, obrysowaną chemicznym ołówkiem, i podała nam.



— Ta fotografia?

— Tak, ta sama.

Fotografia krążyła z rąk do rąk. Najdłużej lubował się nią sam Bulczu. To odsuwał swą podobiznę na odległość wyciągniętej ręki, to znów przybliżał do samych oczu. Sądząc po szerokim, błogim uśmiechu, podobał się sobie z każdej odległości.

Jednakże gdy tylko Sawczuk, skończywszy z etykietą, wspomniał o Krainie Zmarłych, stary od razu przestał się uśmiechać, i nachmurzył się.

Gospodarz czumu czym prędzej zmienił temat, kierując rozmowę na myśliwskie wyczyny teścia. Kiedyś był on rzeczywiście znakomitym myśliwym. I teraz pomaga mężczyznom swego kołchozu, jak tylko może: majstruje saniki, naprawia uprząż, wiąże sieci.

— Darmo mięsa w kołchozie nie jem — z godnością wtrącił po rosyjsku stary. — A kiedyś zabijałem po sto dwadzieścia dzikich renów na rok...

— Na pewno Bulczu zapędzał się za nimi bardzo daleko, widział dużo dziwnych rzeczy — jakby od niechcenia rzucił Sawczuk. — Powiadają, że był nawet w górach Byrranga, tam gdzie nikt nie był.

Zięć chrząknął. Za późno! Bulczu, mrużąc coś gniewnie pod nosem, zaczął wytrząsać popiół z maleńkiej drewnianej fajeczki.

— Dlaczego on jest taki niezadowolony? — szeptem spytałem komsomolca siedzącego obok. — Przecież każdemu przyjemnie jest wspomnieć młode lata.

— Boi się, że będziecie się z niego śmieli — odpowiedział mi na ucho.

Zdziwiłem się. Komsomolec znacząco mrugnął.

Bulczu na wszelkie sposoby starał się wykręcić od groźących mu pytań. Z niewinną miną zaczął opowiadać jakąś historię o gęsi, nie mającą najmniejszego związku z Krainą Zmarłych.

Bielutkie ptaki w kinie, jedzące z ręki kobiety, przypomniały mu gęś w Dudince. W zeszłym roku jeździł tam na Święto Rewolucji. Bardzo wiele dziwnych rzeczy

tam widział, ale najbardziej ze wszystkiego zadziwiła go gęś.

Wyszła z podwórka na ulicę i zobaczywszy Bulczu, zamiast uciec, wyciągnęła szyję, zasyczała i ruszyła na niego. Bulczu osłupiał. Może w tę gęś wcieliły się mściwe dusze gęsi zabitych przez znakomitego myśliwca w ciągu Jego całego długiego żywota?...

Rosyjski przyjaciel, z którym Bulczu chodził po mieście, chwycił gościa pod ramię i pociągnął dalej. Ale Bulczu długo nie mógł ochłonąć ze zdumienia i wciąż jeszcze oglądał się przez ramię na zuchwałą gęś. Wszystko w tundrze przewróciło się do góry nogami! Wszystko zrobiło się takie dziwne i niepojęte. Pomyśleć tylko: gąś gońiła myśliwego!

Bulczu pytająco podniósł na nas naiwne, wyblakłe ze starości oczy, w nadziei, że goście zadowolą się tą historią.

Nie, goście byli nieubłagani. Z dudińskiej gęsi Sawczuk zręcznie sprowadził rozmowę na inną gęś, „obraczkowaną”, która przyleciała z Tajmyru do Lenkoranu, a w tej chwili ma zaszczyt znajdować się w wielkim domu w Moskwie.

Niech się czcigodny Bulczu nie obawia — dodał etnograf. Jeśli go o coś pytamy, to nie z czezej ciekawości, lecz dla dobra nauki. Chcemy bowiem zapisać bajki Nganasanów i umieścić je w grubej księdze.

--- Bajki, bajki! Bulczu zmiękł, pokiwał głową. Wszystko to było tak dawno, że czasami jemu samemu wydaje się bajką...

Wtedy - według jego własnych słów — wierzył jeszcze w „kamiennych ludzi”, w duchy Byrrangi. Dziś nie może w nie wierzyć, bo widział kino. (Stary myśliwy z satysfakcją wymówił to słowo). Tak, widział je sześć, siedem — nie, więcej, dziesięć razy!

Bulczu rozcapierzył palce obu rąk i dumnie pokazał obecnym.

Sprawa jak widać brała pomyślny obrót. Usadowiłem się wygodniej, gotów do wysłuchania tak ważnej dla nas relacji naocznego świadka.

Otóż przed wielu laty, kiedy w Rosji panował jeszcze car, do tundry, stąpając bezgłośnie, przyszła ospa. Ludzie umierali jeden po drugim. Nie było komu grzebać trupów, psy oblizywały umierających, zaprzęgowe renifery błękały się wokół opustoszałych czumów.

Bulczu jednak nie zachorował. Od rana do nocy polował w tundrze, a że był młody i biegał bardzo szybko, ospa nie mogła go dogonić.

Zjawiała mu się we śnie. Ujrzał kobietę o żółtych włosach — tak w tundrze wyobrażano sobie ospę; siedziała na ziemi i gniewnie patrzyła na niego. W myśliwym serce zamarło. Kobieta była w czarnej sukni! Gdyby jej suknia była czerwona, Bulczu mógłby jeszcze mieć nadzieję na wyzdrowienie.

Krzyknął i obudził się. Nikt nie odpowiedział na jego krzyk. W czumie było ciemno i cicho. Odwrócił się do żony leżącej obok w śpiworze. Była martwa i przyciskała do piersi martwe dziecko. W kącie, przy wygasłym ognisku, tak samo w milczeniu leżał jej brat.

Bulczu wstał. Nogi się pod nim ugięły. Czuł w całym ciele nie znaną mu dotychczas słabość, szum w uszach. Przed czumem wyły psy. Wyszedł na dwór, zaprzągnął swe najlepsze reny i nie oglądając się, pomknął na północ. Na południe nie wolno było jechać. Jak wieść niosła, leśni ludzie (Dołganie) również chorowali na ospę.

Uciekinier dawał renom wytchnienie tylko na bardzo krótką chwilę. Przywiązał się do sanek, żeby nie spaść, i jechał, jechał, wymachując chorejem, przynaglając reny ochrypłym głosem, gdyż bardzo się bał depczącej mu po piętach choroby.

Bulczu umilkł i zabrał się do nabijania fajki.

— Historia dość banalna — mruknął Sawczuk z rozczarowaniem. A potem zwrócił się do mnie: — W „Materiałach Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, dział etnografii” z tysiąc dziewięćset jedenastego roku można znaleźć coś podobnego. Wiem już, co będzie dalej. Teraz

zjawi się brat, ściślej mówiąc — jego widmo, z twarzą wyżartą przez myszy. „Ja nie umarłem — powie. — Spałem”. Potem będzie usiłował wskoczyć na sanki Bulczu, by mu towarzyszyć do Krainy Zmarłych...

Nic na to nie odpowiedziałem. Bulczu rozpałił od węgielka fajkę i chrząknął na znak, że chce mówić dalej.

Nie, brat z wyżartą przez myszy twarzą nie zjawiał się. Widocznie, był to inny wariant. Wbrew obawom Sawczuka opowieść Bulczu nie szła utartym przez inne bajki torem.

Oglądając się wciąż bojaźliwie, Bulczu skierował reny na pokrytą lodem rzekę.

Kiedy ujrzał przed sobą skały, w pierwszej chwili był zdziwiony. Skąd się wzięły skały w tundrze? Potem się ucieszył: w górach łatwiej się skryć niż na otwartej przestrzeni.

Skały były wysokie, czarne, milczące — stały jak nieme strażę. Bulczu dał nura w pierwszy z brzegu wąwóz. Tak ptaki w czasie burzy zapadają w szczeliny między kamieniami.

Udało mu się przedostać w głąb gór. Tak daleko nie zapuścił się do tej pory jeszcze nikt z Nganasanów. Coś go phało wciąż naprzód i naprzód.

Po dwóch dniach jeden z renów pośliznął się i złamał nogę. Trzeba go było dobić. Drugi był do ostatecznych wyczerpany tą dziką gonitwą i z trudem poruszał nogami.

Mysliwy miał nadzieję, że choroba zgubiła jego ślad, niemniej jednak przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Zeskoczył więc z sanek, przeprowadził rena na brzeg rzeki i podpędził, szturchnąwszy go w bok chorejem. Niech ospa goni za pustymi sankami!

Sam zaś szybko wdrapał się na przeciwległy brzeg.

Szedł, szedł i śmiał się w duchu, gdy sobie wyobraził, jak się miota ze złości kobieta o żółtych włosach, szukając go wśród skał.

Na trzeci czy czwarty dzień znalazł się w ciasnym wąwozie, gdzie było bardzo mało śniegu.

Przeszedłszy pa jego dnie z pięćdziesiąt kroków, myśliwy usłyszał szum gałęzi nad głową. Podniósł oczy i ujrzał na zboczu kilka modrzewi, między którymi rosła wysoka, zielona trawa. Obok kwitły krzewy głogu i wiciokrzew.

Bulczu z lękiem zbliżył się do kwiatów.

Co to za wąwóz? Gdzie on jest?

W głowie mu się mąciło. A może, ogarnięty strachem w wymarłym koczowisku, zamiast na północ popędził reny na południe i znalazł się w Kamieniu, u progu tajgi?

— Nie, to nie mogło się zdarzyć w żadnym wypadku. Wtedy Wielki Czerpak<sup>2</sup> nie byłby widoczny przez cały czas nad rogami renów. Byłby w tyle, za nim.

Bulczu zorientował się, że nie jest w Kamieniu, nie w górach Putorana, lecz w górach Byrranga.

Myśliwca ciarki przeszły. A więc kobieta w czarnej sukni zapędziła go w Krainę Zmarłych!

Owa zakazana kraina, według świadectwa szamanów, leży właśnie w górach, na północy półwyspu. Tu przylatują szamani, by się naradzić z duchami w różnych życiowych sprawach.

Bulczu nie był szamanem i nie wiedział, jak należy się obchodzić z duchami. Mogły go pożreć wykorzystując jego niedoświadczenie.

Tymczasem im głębiej myśliwy zapuszczał się w wąwóz — ospy bał się bardziej niż duchów — tym mocniej upewniał się w przekonaniu, że istotnie trafił mimo woli do Krainy Zmarłych, zwanej inaczej Krainą Siedmiu Traw. Wszystko na to wskazywało.

W tundrze i w górach śnieg leżał jeszcze grubą warstwą. W wąwozie nawet śladu z niego nie pozostało, a ziemia była miękka i ciepła w dotyku.

Coraz ciaśniej zamykał się krąg lasu dokoła. Drzewa były wysokie, dwa, a nawet trzy razy wyższe od czło-

‘Kamień — tak nazywają Nganasanie góry Putorana. (Przyp. autora).

<sup>2</sup> Wielki Czerpak — Wielka Niedźwiedzica.  
wieka. Wśród modrzewi i jodeł rosły też kue, piękne drzewa o

gładkich białych pniach.

Wkrótce Bulczu natrafił na mszar, bujnie porośły borówkami moroszką, tekszlą i żurawiną. W pewnej chwili spłoszył zającą. Jeszcze parę kroków i spod nóg wyfrónęła kuropatwa.

Dalej myśliwy bał się iść.

W tym dziwnym wąwozie przebył Bulczu od wczesnej wiosny do połowy lata. Polował na ptaki i zające. Wszystkiego tu było w bród, a najważniejsze, było ciepło, jak gdyby luto — wbrew temu, co wiedział o nim myśliwy — przychodziło do tajmyrskiej tundry nie z południa, z tajgi, lecz z północy, omijając zimne, pokryte lodem morze.

Jedyna rzecz, która mu się tu nie podobała, to były duchy, Bulczu bardzo bał się duchów. Co prawda nie wyrządzały mu żadnej krzywdy, jednakże raz po raz wawóz przeważnie był zasnuty mgłą — dochodziły go jakieś głosy, urywki pieśni i głuche dźwięki przypominające odgłos szamańskiego bębna.

Bulczu znów zrobił pauzę, by zapalić fajkę.

Do licha z tymi pauzami!

Jeśli chodzi o mnie, z zainteresowaniem słuchałem staruszka. Jego prosta, bezpretensjonalna opowieść zawierała sporo żywych, barwnych szczegółów. Chwilami była

wręcz wzruszająca. Dziwiłem się, że Sawczukowi się nie

No cóż, być może, iż to wszystko dawno już jest

umieszczone pod takim a takim numerem w jakimś zbiorze etnograficznym, z zaznaczeniem odpowiednich miejsc kurasywą, zaopatrzone przypisami, uwagami, jak również uczonymi komentarzami z mnóstwem niezrozumia łych terminów.

Spojrzałem spod oka na Sawczuka. Siedział ze skrzyżowanymi po turecku nogami, pogardliwie wydymając grube wargi. Otwarty notes leżał nietknięty na kolanach.

<sup>1</sup> Moroszka (*Rubus chamaemorus*) — rodzaj malin (błotna roślina o białych kwiatach i żółtych, jadalnych jagodach).

‘Tekszla (*Rubus arcticus*) — malina polarna.

— Prymityw! — gwałtownie tchnął mi w ucho Sawczuk.  
— Prymitywne szamańskie brednie! Tułaczka po tundrze, choroba, zazarowany las, Kraina Zmarłych...  
Przeczytajcie Tana, Popowa, wreszcie moją broszurę, która wyszła niedawno.

Szturchnąłem go łokciem w bok. Staruszek opowiadał dalej.

...Tak, duchy bardzo mu dokuczały w wąwozie. Przez cały czas musiał się mieć na baczności. Chodził z duszą na ramieniu, spał na drzewie, przywiązując się do gałęzi.

Nieborak znalazł się między młotem a kowadłem: w górach były duchy, w tundrze — ospa. W końcu doszedł do wniosku, że przecież ospa nie może wiecznie czyhać na niego na przedgórzu Byrrangi. Ma na pewno jeszcze inne sprawy.

Myśliwy zebrał drzewo, które woda wyrzuciła na brzeg, zbudował sobie tratwę i „na grzbiecie potoku”, jak się wyraził, spłynął do jeziora Tajmyr.

Na drugim brzegu stały czumy Nganasanów, spędzających lato, jak zwykle, w okolicach jeziora.

Jesionią razem z nimi Bulczu powrócił na zimowe leże na skraju lasu.

— Gdzieżeś ty się podziewał przez całą wiosnę? — pytano go.

Bulczu, nie ukrywając niczego, opowiedział wszystko, jak było.

Szaman — wtedy był jeszcze w koczowisku szaman — bardzo się zdziwił:

— Szczęśliwiec z ciebie, Bulczu! Byłeś w Krainie Siedmiu Traw i nie będąc szamanem wróciłeś stamtąd żywy. A widziałeś duchy?

Bulczu przyznał się, że tylko z daleka. Pewnego razu, ukryty za skałą, widział we mgle płonące ogniska.

Czy podszedł bliżej do ognisk?

Nie, bał się podejść. Przeciwnie, przez kilka dni nie schodził z drzewa, przywiązując się na noc mocniej do

gałęzi, by nie spaść na ziemię, a potem postarał się czym prędzej opuścić wąwóz.

--- To zupełnie rozumiałe, że się bałeś — stwierdził szaman protekcyjnym tonem. — Jesteś przecież tylko myśliwy, ciemny, głupi myśliwy. Ja, na przykład, nigdy

się nie boję, kiedy latam w Krainę Siedmiu Traw.  
--- A ja ciebie tam nie widziałem — naiwnie powiedział Bulczu.

— Głupiś! Wtedy jestem niewidzialny. Gdybyś był szamanem, to także byłbyś niewidzialny i nieprzyjazne duchy nie mogłyby ci nic zrobić.

Jeden z nich o mały włos nie postrzelił mnie z łuku — poskarżył się Bulczu i splunął ze złością w ognisko. — Co za dureń z tego ducha! Wypuścił za mną strzałę, kiedy przepływałem na tratwie obok skał, ale na szczęście wpadła do wody.

Szaman ze zrozumieniem pokiwał głową.

W tym czasie Bulczu zyskał sobie i na bardzo długo zachował przydomek, w którym był odcień zaszczytnego podziwu: „Człowiek, który powrócił z Krainy Siedmiu Traw”. Z dalekich koczowisk przyjeżdżali ludzie, żeby popatrzeć na Bulczu. Siedział w milczeniu, skrzyżowawszy nogi i pykał fajeczkę, a obok niego stał szaman i udzielał wyjaśnień.

Jednakże zaszczytny przydomek Bulczu został później zamieniony na inny, wcale nie zaszczytny. Przykro go nawet powtórzyć, ale cóż, trzeba będzie. Niech już lepiej goście usłyszą to od samego Bulczu, a nie od jakichś plotkarzy. „Człowiek, który zagubił swój ślad” — oto jak przewano Bulczu w tundrze! To nieładnie! To bardzo obrażające... Ależ cóż mógł na to poradzić!

Na Tajmyr przybyli radzieccy ludzie i zaprowadzili w tundrze nowe porządki. Młodzież, a potem i starsi zaczęli się odnosić z niedowierzaniem do słów szamana. Nazbyt wiele cudów dokonywało się na oczach Nganasanów, żeby mogły ich zadziwiać brednie szamana. Znalazło się proste wyjaśnienie historii Bulczu.



— On bał się ospy — mówili radzieccy ludzie. — Ze strachu pomieszało mu się w głowie.

— A być może — dodawali inni — choroba mimo wszystko go dopędziła. Był chory i jak każdemu człowiekowi stojącemu na progu śmierci, zwidywali mu się umarli.

Zauważyłem, że Bulczu opowiada coraz wolniej, coraz niechętniej. Długo rozpala fajkę, kaszle, robi coraz dłuższe pauzy. Jego opowieść o „snach na ścianie” i dudińskiej gęsi była bez porównania żywsza. Może staruszek zmęczył się opowiadaniem, a może speszyła go mina Sawczuka.

Etnograf dyskretnie ziewał.

Sądząc po wszystkim naoczny świadek zawiódł jego oczekiwania. Właśnie tego obawiałem się od samego początku!...

## VIII. „Dobre drzewo“

1

W czumie było ciemno od dymu. W dodatku mocno kopciła paradna lampa naftowa, zapalona prawdopodobnie z okazji naszego przyjazdu. Przeprosiliśmy obaj z Sawczukiem gospodarzy i wyszliśmy trochę na powietrze.

— Dlaczego nie podoba się wam opowiadanie Bulczu? — spytałem półgłosem.

— Zbyt wiele szczegółów — odparł Sawczuk.

— Jak to? — zdumiałem się.

— Tak, zbyt wiele barwnych szczegółów. Uwierzyłbym Bulczu, gdyby mówił o smutnym, pozbawionym roślinności wąwozie, o kamienistych brzegach rzeki, porośniętych karłowatą wierzbą, o śniegu w głębokich rozpadlinach, który nawet w lecie nie taje. To byłoby naturalne, to byłoby prawdopodobne. Właśnie tak sobie wyobrażam krajobraz Byrangi. A Bulczu opowiada o jakimś rajku w tundrze. Las, jagody, pełno zwierząt...

Zapewne przesadza. To zupełnie możliwe. Jednakże w zasadzie...

Nie, pomyślcie tylko: skąd tam las? I to jaki las! Drzewa dwa, trzy razy wyższe od człowieka. Widzieliście drzewa w okolicy Nowotundryńska, na skraju lasu. A przecież Nowotundryńsk położony jest o wiele dalej południe! A przy tym pamiętajcie, że Byrranga to góry. Posępne obszary za siedemdziesiątym piątym równoleżnikiem, najdalej na północ wysunięty kraniec kontynentu! Tam nie ma lasu i być nie może!

A przecież ludzie tam żyją czy żyli. Sami przypuszczacie, że „Dzieci Słońca”...

Żyją. Jednakże w zupełnie innych warunkach! My nawet nie wyobrażamy sobie, jak trudne jest ich życie! O wiele trudniejsze, po stokroć trudniejsze, niż było kiedyś życie Nganasanów!... Zwróciliście uwagę, jak reagovali Nganasanie na widok Soczi w kinie? Po prostu nie uwierzyli w istnienie Soczi, i to wszystko. Zbyt wiele drzew, zbyt wysokie, by w nie uwierzyć. A Bulczu zmyśla diabli wiedzą co! I las, i gęsta trawa, i ciepło... Jakież okolice podzwrotnikowe za kręgiem polarnym!...

No, chyba nie podzwrotnikowe...

Dobrze, więc nie podzwrotnikowe. Ale tajga! Zakątek tajgi w górach Byrranga. Według opisu Bulczu, to typowy krajobraz lasu syberyjskiego, gdzieś w okręgu ewenkijskim, w dorzeczu Niżniej Tunguski. Byliście tam kiedyś?

Nie, nie byłem.

---Tam gdzieś wędruje teraz Liza... To nie siedemdziesiąty piąty, ale sześćdziesiąty równoleżnik! Po prostu w głowie się mąci. Gdzie tundra, a gdzie tajga! Gdzie Rzym, a gdzie Krym!

Sawczuk pokręcił głową i prychnął ze złością. Wszystko to tylko typowe fantastyczne brednie szamańskie nic więcej — ciągnął dalej, nie ukrywając już rozdrażnienia. — Przecież las, prawdziwy, wysoki las, to coś tak niezwykłego, wręcz baśniowego dla mieszkańca tundry, jak dla nas, powiedzmy, pałace czarnomorskie!

Nie darmo szamani „latają” do lasu w czasie odprawiania swych czarów. Czy widzieliście kiedyś ten ceremoniał?

— Nie. Nigdy.

— Ja się już dosyć na to w swoim życiu napatrzyłem... Powiadam wam, straszne widowisko. Ni to padaczka, ni to konwulsje szaleńca. Wściekłym skakaniem, krążeniem w miejscu doprowadzają się do ekstazy, do szału...

— Zdaje się, że używają naparu z grzybów trujących zamiast haszyszu czy opium?

— To na Czukotce. Oczywiście, element zasadniczy — to komedianstwo. Kiedy widzowie są już doprowadzeni do najwyższego podniecenia i sami gotowi puścić się w taniec, szaman pada na ziemię. Przygotowania zakończone. Teraz wije się na ziemi, rżęzi, charczy, chrapie jak człowiek, którego dręczą koszmary. Piana toczy mu się z ust. Wyrzuca z siebie oderwane zdania, słowa. A siedzący wokół, z nabożnym lękiem wysłuchują „świętego” bredzenia. „Lecę nad tundrą — wykrzykuje szaman. — Ptak musnął mnie skrzydłem po twarzy. Usiadłem na wysokim drzewie... Jestem w Krainie Zmarłych... Duchy otoczyły drzewo, na którym siedzę... Zaraz zacznę ich pytać”.

— A zatem szamani odbywają jakby służbowe loty do Krainy Zmarłych?

— Otóż to właśnie! Bardzo trafne określenie! To są ich regularne wyjazdy służbowe do władz zwierzchnich po instrukcje.

Roześmieliśmy się.

— Wyobraźcie sobie jednak — ciągnął dalej etnograf — jak dokładnie wystudiowano w związku z tym topografię mitycznej Krainy Zmarłych, czyli Krainy Siedmiu Traw. E, co tu gadać!...

— Więc sądzicie, że ci ludzie radzieccy, którzy słyszeli opowiadanie Bulczu przed nami...

— Odnieśli się do niego sceptycznie właśnie z tego powodu. To dla mnie nie ulega wątpliwości.

Lecz ja widziałem przed sobą naiwne i dobre, wyblakłe ze starości oczy myśliwego. Przypomniałem sobie, jak

siedział przy ognisku zapatrzony w żar i zgarbiwszy się, jakby był bardzo zmęczony, opowiadał wolno, apatycznie, z wyraźną niechęcią. Nie było w tym nic z przechwałki. Po prostu jakby sam się dziwił temu, co go spotkało. Nie, głowę bym dał — to może być wszystko, tylko nie oszustwo!...

--- Ja też nie przypuszczam, żeby to było świadome oszustwo — zgodził się Sawczuk. — I na mnie Bulczu wywarł jak najlepsze wrażenie. A więc on sam znajduje się w błędzie.

— To znaczy?

— Prawdopodobnie rację mają ci, którzy uważają, że choroba pomieszała mu w głowie. Rzeczywistość dziwacznie splotła się w jego umyśle z szamańskimi bujdami. Przecież nawet po wyzdrowieniu — „powrocie” — pozostawał przez dłuższy czas pod opieką, czyli kontrolą szamanów. Mieli więc możliwość „sprecyzować” szczegóły marszruty, narzucić jego wyobraźni pewne właściwości baśniowego krajobrazu, że tak powiem — nadać całości ostateczny polar.

— Szkoda! — odezwałem się w zadumie. — A może chociaż część tego, o czym mówił Bulczu, odpowiada rzeczywistości? Na przykład — kwiaty! Na podgórzu Byrrangi podobno jest dużo kwiatów.

— Słusznie. Ale kiedy? Kiedy pojawiają się w tundrze kwiaty?... W lecie. W pełni lata!... A Bulczu mówił o wiośnie! W dodatku o wczesnej wiośnie! Wszędzie, według jego słów, jeszcze leżał śnieg, a w baśniowym wąwozie lato! Kwiaty, trawa, i co więcej — ciepła ziemia! Niemal gorąca w dotyku!

— Tego już zupełnie nie rozumiem! Ciepła ziemia?

— Powtarzam: typowy przykład fantastycznych bredni szamańskich, obliczonych na to, by oszołomić wyobraźnię mieszkańców tundry. Tundra — to arktyczny step, czy tak?

— Tak.

— A więc w Krainie Siedmiu Traw — las, drzewa, bujna roślinność! W tundrze — lód, śnieg, ziemia prze-

marznięta na wskroś. Wobec tego w Krainie Siedmiu Traw — ciepło, wieczne lato, gorąca ziemia!... Czarodziejski obraz powstał na zasadzie kontrastu, rozumiecie?

— A jednak chciałbym wierzyć Bulczu — rzekłem. — Należy on do ludzi, którzy wzbudzają zaufanie. Ma taką dobroduszną, uczciwą twarz.

— Ja też chciałbym wierzyć — mruknął Sawczuk. — Gdyby nie ten fantastyczny, nie mający najmniejszego uzasadnienia krajobraz, z przyjemnością uwierzyłbym, że stary myśliwy w swej młodości był wśród „Dzieci Słońca”.

Westchnęliśmy obaj równocześnie i wróciliśmy do czumu.

Gospodarze układali się już do snu. Dla nas przygotowali wspaniałe posłania z reniferowych skór, na których leżało kilka pięknych śpiworów.

Sawczuk z posępną miną zaczął ściągać bakary — futrzane buty.

Rozumiałem go i w pewnym stopniu podzielałem jego przygnębienie. Wszystko wskazywało na to, że trafiliśmy pod niewłaściwy adres. Nieprawdopodobna Kraina Siedmiu Traw, gdzie przebywał Bulczu, nie mogła być tą krainą, do której zmierzaliśmy.

Sawczuk wszechstronnie, z surowym sceptycyzmem badacza rozważył historię starego myśliwego. Tak, bajka! Był na to przygotowany, że okaże się ona bajką. Ale u źródeł bajki często można znaleźć jakiś realny fakt.

Przez cały wieczór etnograf usiłował doszukać się tego właśnie faktu, cierpliwie odrzucał jeden po drugim baśniowe szczegóły, zdejmował lupinę warstwa po warstwie, próbując dostać się do jądra. I cóż się okazało? Orzeszek, którym nas Bulczu z dobrodusznym uśmiechem poczęstował, był niestety pusty.

Wysokie drzewa, trzykroć wyższe od człowieka, rozwiewały wszelkie złudzenia.

A jednak żał mi było także i Bulczu. Przecież nie narzucał się nam ze swoją historią. Sami do niego przyszliśmy, nawet goniliśmy za nim.

Czy stary myśliwy był obrażony, że mu nie dowierzły? Nie wiem. Jego pomarszczona twarz nic nie wyrażała. Odwrócony do nas bokiem, w milczeniu szykował sobie posłanie w kącie. Być może, przywykł już do tego, że jego historia nie ma powodzenia u Rosjan.

Nganasanie nie używają poduszek; zastępuje je — złożona odzież i obuwie. Zdziwiłem się widząc, że stary myśliwy kładzie pod głowę nieduży kawałek drzewa, jakiś klocek o dziwnym kształcie.

--- Po co mu ten klocek? — spytałem Kamsego.

Tulcie już ma przyzwyczajenie. Bardzo lubi to drzewo. To dobre drzewo.

Ach tak!

Tak. Wszędzie je wozi ze sobą. Kiedy koczuje, drzewo jedzie z nim.

--- Ciekawe! Słyszycie, Władimirze?

--- Słyszę — odparł Sawczuk. Uniósł się na łokciu, z ciekawością przyglądając się niewymyślnemu posłaniu Bulczu.

Okazało się, że staruszek wystrugał sobie ten klocek z drzewa, na którym wydostał się z Krainy Zmarłych. Miał całą tratwę, kilka pni, lecz reszta poszła na paliwo.

Sawczuk przykucnął obok oryginalnej „poduszki”. Bulczu ze zdziwieniem podniósł na niego pocziwe, wyblakłe

--- Tak, dziwnie drzewo! — mruknął Sawczuk. — Sądząc po słojach, musiało być bardzo grube... A jak wysokie ono było?

Myśliwiec odparł, że drzewo leżało do połowy w wodzie. Wtedy, w Krainie Zmarłych, nie przyszło mu do głowy zmierzyć pień krokami. Nie było zresztą czasu. Musiał jak najprędzej poobcinać gałęzie, związać pnie pasami, przygotować tratwę do ucieczki. Ale sądzi, że to drzewo nie było niższe od innych.

— Wysokości człowieka?

— Wyższe. Znacznie wyższe!

— A dlaczego zachowałeś klocek właśnie z tego drzewa, a nie z innego? Przecież miałaś całą tratwę...

— To kue. Podobało mi się najwięcej ze wszystkich. Było bardzo ładne. Jego kora była cienka i biała. Bielusieńka jak śnieg!

Biała? Czyżby brzoza?...

Towarzyszący nam Nganasanin-komsomołec niechętnie wysunął głowę ze śpiwora, do którego już zdążył się wpa-  
kować. Potwierdził, że Nganasanie nazywają brzozę — kue.

— Podoba ci się ten piękny klocek? — spytał Sawczuka Bulczu, zdejmując łokieć z „poduszki”.

— Bardzo!

Nadstawiłem uszu. Czyżby stary chciał ofiarować swoje „dobre drzewo” Sawczukowi?

— Mnie także się podoba — powiedział w zamyśleniu Bulczu. Powoli skrzesał ognia, zapalił fajkę i wypuścił ogromny kłąb dymu.

Z niecierpliwością czekaliśmy, co powie dalej.

— Nie mogę ci go podarować — rzekł Bulczu tonem usprawiedliwienia. — Rozumiesz, to byłoby nieładnie. Drzewo poratowało mnie w biedzie... Ale jak chcesz, pokażę ci mieliznę, gdzie jest dużo takich drzew. Niektóre z nich są białe. Widzę, że tobie i twemu towarzyszowi podobają się białe.

— Mieliznę? A gdzie jest ta mielizna, Bulezu?

Bulezu skrzywił się. Pytanie wydało mu się głupie.

— Oczywiście, że przy brzegu tej rzeki, po której spły-  
nałem na tratwie. Dużo drzew leży na brzegu jeziora, ale najwięcej na brzegu rzeki.

— A jak się ona nazywa? Łogata? Górna Tajmyra?

— Ja ją nazwałem Potaden — odparł Bulczu pykając fajkę.  
— Z ludzi, oprócz mnie, nikt tam nie był. Dlatego nazwałem tę rzekę tak, jak sam chciałem. Myślę, że nazwa Potaden nie jest gorsza niż Łogata czy Tajmyra...

— A gdzież ona wpada? To znaczy, w którym miejscu wpada do jeziora.

— W jego dolnej części.

Nganasanie, jak już o tym wiedziałem, nazywają „dolom” północny wschód, „górá” — południowy zachód. A zatem Bulezu miał na myśli północno-wschodnią część jeziora, bezpośrednio przylegającą do gór Byrranga!

Sawczuk drżącymi rękami wyjął z torby polowej mapę Półwyspu Tajmyrskiego i rozłożył ją.

— Ale tu nie ma żadnej rzeki — mruknął pokazując Bulczu mapę.

Biczu odsunął ją z wyniosłą miną, przykucnął, wziął do ręki ołówek i zabrał się do rysowania na kartce z notesu Sawczuka. Ruchy myśliwego były szybkie i pewne. Paroma pociągnięciami ołówka naszkicował jezioro Tajmyr; na południe od niego rozciągała się tundra, na północ — góry.

— Tu jest rzeka — oświadczył stary myśliwy. — Płynie z gór. Nie jest szeroka, ale bystra. Bardzo burzliwa. Do jeziora wpada — tu. W jej górnym dorzeczu leży Kraina Zmarłych, czyli Kraina Siedmiu Traw, i tam mieszkają duchy, od których uciekłem na tratwie.

Była to lakoniczna, lecz bardzo jasna i ścisła informacja, nieomal że wskazówka z przewodnika turystycznego. Co więcej, prawdziwość słów Bulczu zdawał się potwierdzać ocalały kawałek drzewa, i to brzozy!

Czyżby w Krainie Siedmiu Traw istotnie rosły wysokie drzewa, wśród których były nawet brzozy?...

Obaj z Sawczukiem w zdumieniu spojrzeliśmy na siebie.

— A więc rzeczywiście oaza — bąknął etnograf.

— Tak z tego wynika. Rejon mikroklimatu<sup>1</sup> w górach.

— Ale dlaczego tam jest ciepło?

— Być może, rzeźba terenu?... — rzuciłem bez przekonania. — Góry osłaniają go od zimnych wiatrów północnych... Nie byliście nigdy na stacji Apatyty?

— Nie, bo co?

<sup>1</sup> Mikroklimat — klimat niewielkiego obszaru cienkiej, przyziemnej warstwy powietrza, w którym warunki klimatyczne różnią się wyraźnie od warunków klimatycznych danego regionu.



— Tam jest znacznie cieplej niż w ogóle w całych Chibinach...<sup>1</sup>

— No, na Kaukazie są jeszcze bardziej uderzające kontrasty. W jednym wąwozie macie kilka klimatycznych mikrorejonów. Na dole — jeden, na szczycie góry — drugi, na zboczu nasłonecznionym — trzeci, na cienistym — czwarty.

— Nie wiem, czy można to nazwać mikroklimatem. Natomiast w wąwozie Bulczu... Czy zwróciliście uwagę na to, co mówił o ciepłej ziemi?

— Tak, gorąca czy ciepła w dotyku ziemia.

— Otóż to właśnie!... Dla istnienia rejonu mikroklimatu samo tylko ukształtowanie terenu nie wystarcza. Przecież tam jest las, trawa... A zatem ziemia musi być podgrzewana od dołu. Podgrzewana, podgrzewana... Co by to mogło być?...

Zamyśliłem się.

— Za wcześnie na hipotezy, nawet robocze — rzekł Sawczuk. — Rozporządzamy na razie zbyt małą ilością faktów,

— W tej chwili nie to jest najważniejsze. Rzeźba terenu, podgrzewanie, tysiące innych przyczyn... Najważniejsze, że wąwóz Bulczu nie jest wytworem fantazji, lecz istnieje naprawdę!

— Zdaje się, że tak. Nie tylko usłyszeliśmy relację naoczego świadka, lecz mamy również w rękach dowód rzeczowy.

— A wyście nie wierzyli, mieliście wątpliwości! — nie mogłem się powstrzymać, by mu nie zrobić wymówki. — Szczegóły wydawały się wam zbyt malownicze, zbyt barwne. Widzicie!

— Teraz wszystko jest jasne, zupełnie jasne! — oświadczył Sawczuk. Siadł na przygotowanym dla niego posłaniu, ale zaraz znów się zerwał. Był bardzo podniecony. — Nie ma potrzeby szukać w górnym dorzeczu Łogaty, Górnej Tajmyry czy Leniwej. Te rzeki nie wchodzą więcej

<sup>1</sup> Chibiny — góry na Półwyspie Kolskim.

w rachubę! Istnieje rzeka, której nie ma na mapie. Trzeba tylko dotrzeć do jej ujścia, a potem popłynąć w górę, ku źródłom i...

— Usiądźcie — poprosiłem. — Posłuchajcie, co mi przyszło do głowy. Namówmy Bulczu, żeby nas poprowadził. Przecież on tam był. Co wy na to? Gdyby tak jego wziąć na przewodnika? Jak sądzicie? Dojdzie?

— Gdzie tam!... Stary, słaby...

— Stary, stary — podchwycili Kamse i jego żona.

Ale nie docenili starego myśliwca.

Są takie zabawki-diabełki, które wyskakują z pudełka za najlżejszym naciśnięciem ukrytej wewnątrz sprężyny. Coś podobnego można by powiedzieć o Bulczu. W jednej chwili skoczył na równe nogi, uniósł głowę, rozprostował ramiona.

— Ja będę przewodnikiem! Ja! — zawołał uderzając się w pierś.

Kamse jednak z powątpiewaniem kręcił głową.

— Droga bardzo trudna — powiedziała — góry, rzeki... Zastanów się! Dojdiesz, doprowadzisz ich?...

— Byłem tam — odparł krótko Bulczu.

— Wtedy byłeś młody, silny. No i uciekałeś przed ospą...

Bulczu rozszłościł się. Jego mała twarz jeszcze bardziej zmarszczyła się, oczy błysnęły gniewnie. Bez słowa pchnął zięcia chudą piąstką w bok. Ten nie spodziewał się uderzenia i upadł jak długi na ziemię.

To ubawiło Bulczu. Śmiejąc się hałaśliwie, chwycił strzelbę i szcęknął kurkiem udając, że strzela. Potem przeszedł obok nas jakimś dziwnym, skradającym się krokiem. Staął, mruknął: „Tam” — i przesłonił oczy dłonią, niby wypatrując czegoś w dali.

Ta scena mimiczna wydała mi się bardzo przekonująca.

Przecież byliśmy pierwszymi, którzy okazali Bulczu zaufanie. Dlatego pragnął się nam przysłużyć. Mało tego! Stary myśliwy był ambitny, a teraz miał okazję odzyskać utracony szacunek u współplemieńców i pozbyć się

wreszcie poniżającego przewiska — „Człowiek, który zagubił swój ślad”.

— Trzeba pomówić z przewodniczącym — odezwał się Kamse spoglądając niepewnie na teścia. — Nie wiadomo jeszcze, co na to powie zarząd kolchozu...

— Pozwoli! — wykrzyknął stary. — Zobaczysz, że dla takiej sprawy pozwoli! Trzeba przecież pomóc przyjezdnym towarzyszom!

— No cóż! Zgoda, Bulczu? — uśmiechnął się Sawczuk i z rozmachem uderzył go po dłoni, umacniając układ tradycyjnym gestem.

### 3

Wśród nocy wymknąłem się z czumu, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Na niebie płonęły widmowe ognie zorzy polarnej. Tu, pośród śnieżnej pustyni, zjawisko to przejmowało lękiem. Wokół martwa cisza, ani śladu wiatru, tylko niesamowite różowe odbłaski wolno rozpływają się po niebie niby łuna jakichś fantastycznych pożarów.

Patrząc na nie myślałem o tym, że każde zjawisko natury można traktować bardzo różnie, zależnie od punktu widzenia. Dla artysty malarza zorza polarna to cudowny widok. Dla magnetologa to ślad burz elektromagnetycznych w górnych warstwach atmosfery. I wreszcie dla etnografa — niezbity dowód, że Jukagirzy to najstarszy naród Dalekiej Północy, gdyż inne narody nazywają zorzę polarną „jukagirskim ogniem”.

Przeszedłem się przed czumem. Śnieg skrzypiał pod nogami. Był silny mróz, co najmniej jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści stopni.

Nie chciało mi się spać, byłem zbyt poruszony opowieścią starego myśliwego.

Zorza polarna zaczęła stopniowo blednąć i gasnąć. Wkrótce znikła zupełnie. Nadę mną było czarne, bardzo głębokie, gwieździste niebo.

Zapatrzyłem się na gwiazdy. „Być może — myślałem - Piotr Arianowicz też w tej chwili patrzy na nie. Niby szklane kule na choince wiszą nad jego głową w rozłorzystych gałęziach drzew”.

Ale skąd drzewa w górach Byrranga?...

Nagle doszło mych uszu coś w rodzaju akompaniamentu do moich myśli, inaczej nie mogę tego nazwać. Słychać było wyraźnie szelest śniegu osypującego się z drzew.

Każdy, kto był zimą w lesie, słyszał podobny szelest. Powoduje go wiatr, który kołysze drzewa i strąca przy tym leżący na gałęziach śnieg. Niekiedy suchy szron opada sam, od własnego ciężaru.

Rozejrzałem się.

Co u licha! Przecież nie ma tu drzew! Dokoła tundra — bezleśny step arktyczny. Śnieżne pagórki, przypominające diuny, ciągną się na południe, na północ, na wschód i na zachód. Do najbliższego drzewa w Nowotundryńsku ze dwadzieścia kilometrów, jeśli nie więcej.

A jednak szelest wolno osypującego się z drzew śniegu trwał nadal. Wystarczyło przymknąć oczy, by mieć wrażenie, że się jest w zaśnieżonym, nieprzebytym lesie.

Las w górach Byrranga? Halucynacja czy co?

I naraz zawstydziłem się swego zdenerwowania.

To, co mnie tak wzburzyło, było niczym innym jak miżem, tylko nie wzrokowym, lecz słuchowym! To mój własny oddech zamarzał w powietrzu — normalne zjawisko na Dalekiej Północy, niejednokrotnie już opisane.

Jakuci nazywają je poetycznie „szepem gwiazd”, gdyż ten dziwny szelest słyszalny jest tylko podczas jasnych, gwieździstych nocy. Po prostu zapomniałem o tym pochłonięty myślami.

— Spać, spać, Aleksieju — zawołał na mnie z czumu Sawczuk.— Rano wracamy do Nowotundryńska! Trzeba przygotować łodzie, ekwipunek wyprawy.

## IX. W kraju miraży

1

Gdy wróciliśmy do Nowotundryńska, nalegałem, by jednak podjąć próbę przedostania się do oazy drogą powietrzną.

Szanse powodzenia były znikome — wiedziałem o tym. Wiosną na Tajmyrze pogoda jest niepewna, mgły raz po raz zasnuwają tundrę. Można latać i latać w góry i nic nie zobaczyć. Jednakże bardzo nęcąca była myśl, żeby od razu, „bez przesiadki”, znaleźć się w krainie „Dzieci Słońca”.

Dzielny pilot Zora, który jeszcze w Narjan-Marze uwierzył, że list na reniferowej skórze pochodzi od Wietługina, z entuzjazmem wziął udział w poszukiwaniach. W pierwszej połowie kwietnia odbyliśmy cztery loty nad górami Byrranga. Ja i Sawczuk lecieliśmy w pełnym marszowym ekwipunku, z zapasami żywności na wypadek, gdybyśmy znaleźli w okolicach miejsca pobytu „Dzieci Słońca” odpowiedni teren do lądowania.

Lecz nie udało nam się znaleźć ani „Dzieci Słońca”, ani odpowiedniego lądowiska. Samolot zda się płynął nad szarym, wzburzonym odmętym. Czasami tworzyły się we mgle jak gdyby wyrwy, na których dnie czerniły się i bieleły niewyraźne plamy o nieforemnych kształtach — skały i śnieg. To było wszystko, co udało się nam zobaczyć.

— Wiedziałem, że tak będzie — rzekł Aksionow, kiedy zziębnięci, zmęczeni i zawiedzeni weszliśmy do jego gabinetu po czwartej nieudanej próbie. — Z powietrza szukać wąwozu! Co za pomysł, towarzysze! Przecież Byrranga to cała górська kraina!

— Lecieliśmy tylko nad jej południowo-wschodnią partią — rzuciłem chmurnie. — Gdyby nie było mgły, jestem pewny...

Żora chrząknęła na znak, że podziela moje zdanie.

— Tam trzeba przeszukać każdy zakątek! Od samego

początku to mówiłem! — oświadczył Sawczuk, kładąc na stół mapnik, i ciężko opadł na krzesło. — Nic nie zobaczymy z samolotu. Żeby się dostać w góry, musimy płynąć rzeką, o której mówił Bulczu.

— To zajmie mnóstwo czasu — wtrąciłem.

— A jak wyście myśleli? Raz, dwa — i gotowe? Nie, to się tak nie da zrobić. Mam taki plan. Łodzie wyprawimy z Nganasanami na sankach. Przecież Nganasanie przenoszą się nad jezioro z początkiem maja? — zwrócił się do Aksionowa.

— Tak, w pierwszych dniach maja.

— No właśnie. Nad jeziorem będą w połowie czerwca.

— Może nawet wcześniej.

— Jeszcze lepiej! Do tego czasu rzeka uwolni się od lodu. Wtedy na samolocie podrzucacie nas nad jezioro. Odnalazszy ujście przesiadamy się na łodzie, ładujemy na nie nasz dobytek i ruszamy w górę rzeki. W liście na reniferowej skórze jest powiedziane: „górne dorzecze”.

— A co będziemy robić do czerwca? — spytałem z rozczarowaniem.

— Cierpliwości, Aleksieju. Zaznajomicie się bliżej z Nowotundryńskiem, z tutejszym życiem, zwyczajami. Dla mnie tu znajdzie się robota. A wy w najgorszym razie przez miesiąc, dwa, ponudzicie się trochę.

— Nie ma nic gorszego niż czekanie!...

— A po co mielibyście czekać? — rzekł Aksionow. — Jedźcie razem z Nganasanami. W drodze zapoznacie się z legendami o „Dzieciach Słońca”, o Ptaku Ma.uk, czyli Niogu. Legendy te mogą być dla was sprawdzianem, czy obrabaliście właściwą marszrutę. Przecież to wam też jest potrzebne?

— Oczywiście!

— Więc jedźcie! Rzeczywiście, po co siedzieć i nudzić się w Nowotundryńsku?

- Oby tylko jak najprędzej znaleźć ujście! — westchnął Sawczuk. — Dalej sprawa jest prosta. Wciąż w górę rzeki, aż do jej źródeł.

A jeśli są dopływy?

— Pamiętam znaki — skwapliwie wtrącił Bulczu, który przeniósł się do Nowotundryńska i za każdym razem towarzyszył nam do Aksionowa, w swej najlepszej, odświętnej odzieży. — W jednym miejscu jest urwisko, brzeg się osunął. W drugim, gdzie rzeka zakręca, trzyma straż dwóch kamiennych ludzi. Widzę ich przed sobą, tak jak ciebie teraz widzę.

— A ujście od razu znajdziesz? — z powątpiewaniem spytał Sawczuk. — To przecież nieznaną rzeką, nie ma jej na mapie.

— To prawda. I tu wypadnie raz jeszcze skorzystać z samolotu — zakończył Aksionow.

Umówiliśmy się, że samolot zostanie wysłany nad jezioro na pierwsze nasze żądanie.

— Bądźcie spokojni, zrobimy wszystko, co tylko w naszej mocy — zapewnił nas Aksionow na pożegnanie. — A możemy dużo — uśmiechnął się. I dodał: — Oczywiście, niełatwo wam będzie tam w górach. Ale muszę się przyznać, że wam zazdroszczę!

— Dlaczego?

— No, jakże! Podróż w Krainę Baśni. Pomyśleć tylko!... Bardzo jestem ciekaw, jak też ta baśń wygląda z bliska.

## 2

Całe życie tundry jest jak najściślej podporządkowane niezmiennemu rytmowi wiosennych i jesiennych wędrówek.

Na wiosnę ruchliwa, szara fala stad dzikich renów, a w ślad za nimi stad domowych, pędzonych przez Nganasanów, odbija od granic lasu i toczy się na północ, przez całą tundrę, ku brzegom jeziora Tajmyr, które leży u podnóża Byrrangi. W jesieni fala toczy się w odwrotnym kierunku, ażeby w październiku — listopadzie znów przybić do granicy lasu. Odpływ i przypływ!

'Kamienni ludzie — skały przypominające kształtem człowieka. (Przyp. autora).

Co zmusza reny do wiosennej ucieczki na północ? Gnuz <sup>1</sup> To on wygania je z tundry na lato. Na przedgórzu Byrrangi jest o wiele chłodniej niż w tundrze, od morza wieje rzeński wiatr, który odpędza przekłete owady. Co zmusza reny do jesienno powrotu na południe?

Brak pożywienia. Trawa i gałązki wierzby krzewiastej, doskonała letnia pasza, znikają już w końcu, sierpnia. Prócz tego lekki wiaterek, który tak przyjemnie orzeźwiał w lecie, zamienia się w lodowaty, przenikliwy wiatr. A reny bardzo nie lubią zimnego wiatru.

Szlaki wędrówek renów są niezmiennie. I na tych samych szlakach, udeptanych przez wiele pokoleń reniferów, koczują również Nganasanie.

Kwiecień i początek maja to okres wiosennej przerwy robotach. Kołchoźnicy przygotowują się do lata — reperują uprzęż, doprowadzają do porządku sprzęt myśliwski i rybacki. Wszyscy z niecierpliwością oczekują dnia, kiedy wreszcie będą mogli ruszyć w drogę.

Pewnym odprężeniem nerwowym dla mnie i Sawczuka był wielki pierwszomajowy raport radiowy, urządzony przez Akademię Nauk w przeddzień święta. Jeden po drugim meldowali się w eterze kierownicy ekspedycji naukowo-badawczych, które już pracowały w terenie, bądź też czyniły przygotowania do podjęcia prac tego lata.

Miałem nadzieję, że usłyszę przez radio dźwięczny głos Lizy. Lecz z obwodu ewenkijskiego odezwał się grzmiący bas jakiegoś geologa. Mówił, że jego grupa kończy badania złóż węglowych, które wypaliły się na skutek pożaru podziemnego. Złoża te zostają skreślone z bilansu węglowego ZSRR. Z intonacji głosu łatwo było się domyślić, że geologowi bardzo żal je skreślać. O Lizie, o jej pracy nie padło ani jedno słowo.

Pragnąłem też usłyszeć jakąś wieść od Andrieja Zwonkowa. Jednakże Andriej nie wziął udziału w audycji.

\* G n u z — owady, napastujące ludzi i zwierzęta, plaga tajgi i tundry.



Pod koniec wystąpił Sawczuk. Jego sprawozdanie było krótkie, nawet rzecz można suche. Powiedział o liście dostarczonym do Lenkoranu przez dziką gęś. Wspomniał nazwisko Wietługina. Większa część sprawozdania, poświęcona opowieści naszego przyszłego przewodnika, podawała opis baśniowej Krainy Siedmiu Traw, którą przypuszczalnie zamieszkiwały „Dzieci Słońca”.

Nie przywiązywaliśmy wówczas większego znaczenia do udziału naszej małej grupki w świątecznym raporcie radiowym. Jak się jednak później okazało, raport w eterze odegrał poważną rolę, jeśli idzie o dalszy przebieg etnograficznej wyprawy Sawczuka.

Jego wystąpienie w radio w przeddzień święta Pierwszego Maja usłyszeli Andriej na przylądku Czeluskin i Liza nad rzeką Wiwi. Każde z nich znalazło coś szczególnie ważnego dla siebie w wiadomości o „Dzieciach Słońca”, o Wietługinie i o wysokich drzewach za kręgiem polarnym. Co za tym idzie — żona i mój przyjaciel również włączyli się w poszukiwania.

Lecz wiosną w Nowotundryńsku, raz jeszcze to powtarzam, nie podejrzewaliśmy nawet nic podobnego. Byliśmy całkowicie pochłonięci przygotowaniem do ekspedycji i oczekiwaniem dnia, kiedy wreszcie Nganasanie wyruszą ku górcom Byrranga.

I oto nadszedł upragniony dzień! Naród Nia — kilkaset osób — opuścił swe zimowiska i ruszył na północny wschód pędząc przed sobą stada reniferów<sup>1</sup>.

Kołchoźnicy koczują ze swymi stadami nie zbitą lawiną, lecz jakby strumykami, rozbijając się na mniejsze grupy — argisze, czyli reniferowe karawany. W jednym z argiszów, który prowadzi brygadier Kamse, najstarszy zięć Bulczu, znajdujemy się również i my obaj z Sawczukiem, a za nami jadą dwie pary sanek, na które załadowaliśmy nieduże łodzie o płaskich dnach.

Tundra! Tundra! Mknijemy po jej śnieżnym przestwo-

<sup>1</sup> W opisywanym okresie nganasańscy kołchoźnicy jeszcze koczowali. (Przyp. autora).

RZE, niosąc wszystkim wieść o zbliżającej się wiośnie. Wyprzedziły nas wprawdzie dzikie reny — nasza awangarda lecz my wyprzedzamy przelotne ptaki, które nadciągną później z Lenkoranu, Iranu i Indii.

W twarz lecą tumany śniegu. Sankami rzuca jak łodzią na falach. Śnieżne pagórki połyskują w dali niczym lukrowane babki. Tundra łśni, skrzy się i płonie, sypiąc na wszystkie strony miriadami kłujących promyczków.

Ale to nam nie przeszkadza.

Idąc za przykładem naszych współtowarzyszy, nałożyliśmy okulary chroniące przed śnieżną ślepotą. Tylko że nie są one mosiężne ani drewniane, z wąskim przecięciem przez środek, jak u Nganasanów, lecz zwykłe ciemne okulary ochronne. Upodobniliśmy się w nich od razu do chorych przyjmujących kwarcówki.

Jak zawsze w podróży, najwięcej dokuczają drobne niewygody: wstrząsy na wybojach, pył śnieżny lecący w twarz, a najbardziej chłód. Chłód, którym tchnie niebo i ziemia, przenikający do szpiku kości przez grubą warstwę futer i swetrów. Na Dalekiej Północy zimno ani na chwilę nie pozwala o sobie zapomnieć.

Dziś mamy dziesiątego maja. Pomyśleć tylko!

W Soczi na pewno ludzie kąpią się. Co tam mówić o Soczi!... Jestem przekonany, że w Moskwie spacerują już w koszulach z wykładanymi kołnierzami i w płóciennych pantoflach, które są tak białe, że chciałoby się, idąc ulicą, ostrożnie nieść je w rękach.

A tutaj?...

Oto opis mego majowego stroju. Wyliczam wszystko, co mam na sobie: dwie pary wełnianych skarpetek, pończochy ze skóry reniferowej, futrzane buty-hakary, ciepła bielizna, spodnie z pyżyka<sup>1</sup>, dwa swetry, futrzany kombinezon. Uzupełnieniem tego stroju jest czapka, również z pyżyka, z rozwiewającymi się na wietrze długimi końcami.

Ponadto okutałem twarz szalikiem po same oczy ni-

\*P y ż y k — młody ren; skóra z młodego rena.

czym kobieta ze Wschodu. Podobnie ubrany jest Sawczuk. Korzystając z tego nazywam go hurysą proroka lub ukochaną żoną padyszacha. Wcale się o to nie obraża.

Warto na niego spojrzeć, jak w tym stroju zeskakuje z sanek i chcąc się rozgrzać, biegnie obok nich niezgrabnym, lecz żwawym kłusem.

W moich oczach dokonało się cudowne przeobrażenie. To wcale nie ten sam człowiek, który chodził po Moskwie w archijerejskich botach ze sprzączkami i skarżył się na nieodstępną grypę. To wytrawny podróżnik. Umie zaprząć i wyprzać reny, potrafi rozpalic ognisko, i to przy użyciu jednej jedynej zapalki, co — zapewniam was — nie jest takie proste.

O, czego on nie potrafi!

Jak zauważyłem, niektórzy podróżnicy lubią zadziwiać, straszyć tundrą. A przecież na trudy wędrówki po tundrze składają się tysiące drobnostek. I żeby je pokonać, trzeba mieć jasno wytknięty cel, a oprócz tego posiadać nieprzebrane zasoby cierpliwości, po prostu mieć wrodzony dar dobrodusznej, wesołej i skromnej cierpliwości, której nie brak naszemu rosyjskiemu narodowi.

Sawczuk posiadał ten dar w wysokim stopniu.

Takie właśnie niedźwiedzie, trochę nieśmiałe i mało-mówne, na pozór niezdecydowane, w chwilach próby okazują się naprawdę wspaniałymi ludźmi — nieraz obserwowałem to w Arktyce. Nie znoszę natomiast tak zwanych „wyjadaczy” — chwatów z pretensjonalnymi baczkami, o nonszalanckich ruchach. Są bardzo dzielni tylko przy stole zastawionym butelkami.

Po raz pierwszy Sawczuk zaimponował mi jeszcze na moskiewskim lotnisku, kiedy ładowaliśmy do samolotu worki z obarzankami. Z początku myślałem, że to suchary, tak mocno skrzypiały w workach.

— Suchary?

— Nie — odparł etnograf.

— A co takiego?

— Moskiewskie obarzanki.

— Ach tak!

obarzanki są lepsze, praktyczniejsze — wyjaśnił Sawczuk. — Na Dalekiej Północy nazywa się je „konserwami chlebowymi”. Ależ wy sami na pewno o tym wiecie!

— Oczywiście! — odparłem przyglądając się mu z zainteresowaniem

— Lecz wyobraźcie sobie, nie przypuszczałem, że wy też wiecie...

W tundrze ostatecznie się przekonałem, że mój towarzysz zna się nie tylko na dokumentach archiwalnych.

Piecuch? Mól książkowy? Nigdy w świecie!

### 3

Sawczuk nie zasypiał gruszek w popiele. Bezustannie wypytywał Nganasanów o wszystko, co się działo w tundrze w czasach przedrewolucyjnych, zwłaszcza jeśli to mogło mieć jakieś znaczenie dla dokładniejszego ustalenia naszej marszruty.

Zresztą, nasi współtowarzysze niechętnie opowiadali o przeszłości.

— Różnie bywało w tundrze — mówili wzruszając ramionami i odwracając wzrok. — Ospa. Głód. Żyliśmy ubogo... Po co wspominać złe czasy? To było tak dawno, bardzo dawno...

Uchwyciwszy się słowa „dawno”, Sawczuk z właściwą mu ostrożną natarczywością znów powracał do pytań na temat tego, jak było dawniej.

Mówiąc jego słowami była to „orka na ugorze etnograficznym”.

Trzeba było kopać w głąb.

Stare niezwykle szybko obumiera w tundrze. W ostatnich czasach pojawiło się tu mnóstwo nowych pojęć, nowych zjawisk, nowych obyczajów. Chociażby tylko kino ile jest warte! Przemiany, jakie dokonały się w codziennym życiu, w świadomości ludzi w związku z budownictwem socjalistycznym, również stanowią przedmiot badań etnograficznych i nie mogły nie interesować Saw-

czuka. Lecz teraz uważał, iż jest to nam „nie po drodze”, oddala cel.

Pewnego wieczora byliśmy świadkami „wyradzania się obrzędu”, jak się wyraził etnograf. Chodziło bodajże o zaklinanie niepogody, purgi, która mogłaby uniemożliwić Nganasanom odbycie wiosennej wędrówki we właściwym czasie.

Nie było w tym absolutnie nic ciekawego. Dwóch starsuszków w galowych, żółtych kaloszach, kupionych w nowotundryńskiej spółdzielni, przykucnąwszy przy ognisku, odprowadzały czary. Były to, że tak powiem, czary połowę, na chybicka, bez szamana, bez bębna i tradycyjnych tańców.

Sawczuk przysiadł się do starsuszków, długo z nimi o czymś rozprawiał, po czym oddalił się, mocno niezadowolony.

— Choć to brzmi paradoksalnie — powiedział z rozczarowaniem — okazuje się, że ja lepiej od nich znam ich obrzędy. Fakt!

— Studiowaliście je specjalnie na uniwersytecie — żartowałem.

— Nie, mówię poważnie!... Starodawny obrzęd zaklinania wiatru jest bardzo ciekawy. Opisałem go dokładnie w mojej książce o Nganasanach. Po raz pierwszy obserwowałem go w dziewięćset dwudziestym szóstym roku nad rzeką Boganią.

— Więc po cóż znów się tym zajmujecie?

— Myślałem, że znajdę nowy wariant. Nie, to nie to, nie to! Jakież urywki, strzępy... Wszystko poprzekręcane, zapomniane...

Jego zmartwienie wydało mi się tak komiczne, że się roześmiałem.

Sawczuk spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Dlaczego się śmiejecie?

— Czy przypadkiem nie ubolewacie nad tym?

— Ubolewam? — Sawczuk już gotów był się obrazić, lecz po chwili zastanowienia uśmiechnął się. — To rzeczywiście wygląda śmiesznie. Rozumiecie, to mnie cieszy

jako radzieckiego człowieka. Bardzo mnie cieszy, zapewniam was. Lecz jako etnograf muszą się przyznać... Wyjął z kieszeni gruby notes i przerzuciwszy szybko kartki pokazał mi nie zapisane, białe stronicze: — Wciąż pozostajemy w tyle! To wręcz nie do wiary! My, etnografowie, nie możemy nadążyć za czasem. Starodawne obrzędy, zabobony, przesady znikają niezwykle szybko. Sami widzicie. Po prostu nie zdąży człowiek wszystkiego zapisać, poznać. A to przecież jest potrzebne, ważne dla nauki!

Ująłem zawiedzionego etnografa pod ramię i odciągnąłem od ogniska, przy którym dwóch starsuszków w kaloszach wciąż jeszcze „nieprawidłowo” — jak mówił Sawczuk — zaklinało wiatr.

Z pobliskiego czumu Mantugany, zięcia Bulczu, dochodziły dźwięki patefonu. Pomyślałem, że to powinno poprawić humor memu towarzyszowi.

Powitano nas hałaśliwie i usadowiono na honorowym miejscu. Podczas gdy Sawczuk, zgodnie ze zwyczajem, statecznie wypytywał o zdrowie gospodarzy i o zdrowie ich reniferów, przyglądałem się siedzącym przy ognisku Nganasanom.

Z wyglądu przypominali północno-amerykańskich Indian. Takie same orle nosy, wystające kości policzkowe, szczupłe, gibkie postacie, jakaś wrodzona powściągliwość i majestatyczność w ruchach.

Pykając fajeczki goście w skupieniu słuchali patefonu.

Sam Mantugana z pełną namaszczenia miną kręcił korbkę i zmieniał płyty.

Repertuar, jak się okazało, był niestęchanie urozmaicony. Z dziwnym uczuciem słuchałem tu, za siedemdziesiątym równoleżnikiem, w czumie koczowników, słowicznych treli Barsowej czy skocznych tonów harmonii, akompaniujących chórowi imienia Piatnickiego. Słuchacze rytmicznie kołysali się do taktu, a Bulczu, siedzący przy samym patefonie, aż oczy przymykał z zachwyty.

Przez mgnienie wydało mi się to wszystko zupełnie nie-realne. Czyżbym naprawdę znajdował się na Tajmyrze?

Czyżby ci ludzie przy ognisku istotnie byli mieszkańcami najdalszych północnych krańców Europy i Azji? Czy za skórzanymi ścianami czumu rzeczywiście rozciąga się tundra?...

Ale przez szczeliny między reniferowymi skórami przenikały lodowate strumyczki zimna. Płomień ogniska oświetlał zakopcony czum. W krótkich przerwach, kiedy Mantugana zmieniał płytę, a jego najstarszy syn, przykucnąwszy obok, zaglądał przymilnie ojcu w oczy — a może jednak pozwoli chociaż raz pokręcić korbką patefonu — z zewnątrz dolatywał leciutki szmer. To słychać było oddech zaprzęgowych renów, które podeszły blisko namiotu.

Tak, znajdowałem się w tundrze. To mieszkańcy najdalszych północnych krańców Europy i Azji zabawiali się na popasie, by nazajutrz znów ruszyć dalej na północ, dokąd podążali z możliwie największą szybkością, jakby uciekając przed pogonią.

4

Pogoń? Tak, istotnie można to było nazwać pogonią.

Z nadejściem ciepłych dni, z południa, z tajgi, ciągnie na tundrę straszliwy wróg wszystkiego, co żyje — gnus!

Słusznie nazywają go „wampirem Dalekiej Północy”. W początkach lata miriady wstrętnych, dokuczliwych owadów z nieznośnym brzęczeniem wzbijają się w powietrze i suną zbitą, rozkołysaną ławą; wpadają do jedzenia, pchają się do uszu, oczu, nozdrzy, włosów, atakują każde nie osłonięte miejsce ciała, wynajdują najmniejszą szparkę w odzieży, wciskają się przez szczeliny w namiotach. Ludzi ogarnia szal. Swędzenie staje się nie do zniesienia. Pokąsane wargi puchną tak, że trudno otworzyć usta. Twarz upodabnia się do poduszki.

Słynny przyrodnik Humboldt mówiąc o gnusie oświadczył, że woli już parne, tropikalne dorzecze Orinoka od syberyjskich błot.

120

Jest tylko jeden ratunek przed gnusem — szybki ruch i dym ognisk.

Dają się we znaki również gzy.

Co prawda, według słów Bulczu, niekiedy ren bawi się z gzami w ciuciubabkę.

Staruszek przedstawiał to obrazowo, gestykulując z ozywieniem.

— Gzy gonią rena. Ten ucieka od nich prosto przed siebie, o tak... Nagle ostro zawrócił w bok i skrył się za dużym kamieniem! — Bulczu jak podcięty kosą runął na ziemię, wciągnął głowę w ramiona. — A gzy to durnie! Zgubiły rena — lecą dalej, nic nie rozumieją. A ren leży za kamieniem i śmieje się, że ich przechytrzył!... — Bulczu rozciągnął w szerokim uśmiechu bezzębne usta.

Bardzo żywo wyobraziłem sobie, jak to nieszczęsny, umęczony renifer chowa się za kamieniem, a potem „śmieje się” z głupich gzów.

Wpływ owej plagi (dręczącej zarówno tundrę, jak i tajgę) na ekonomię Dalekiej Północy jest ogromny. Gnus i gzy wypędzają ludzi z tundry. Hodowcy renów muszą uchodzić ze swymi stadami w góry lub nad morze, gdzie nie ma tego plugastwa. Myśliwi wędrują za dzikimi renami, które na lato również uciekają w tamte strony.

Cóż robić! Człowiek musi kapitulować przed owadami — tak już jest na Dalekiej Północy od niepamiętnych czasów.

Machając ogonkami reny biegną równym, solidnym, zamaszystym kłusem.

Przez cały czas przed oczami kiwają się białe ogonki renów. Zależnie od ich położenia określa się samopoczucie zwierzęcia. Jeśli ogonek sterczy do góry, ren jest zdrow i wesół. Jeśli natomiast jest opuszczony, ren jest zdżożony i smutny.

Towarzyszy nam rażny, drobny, rozchodzący się daleko po tundrze stukot. Przypomina rytmem wybijaną przez dziarskiego tancerza czeczotkę. Z początku myślałem, że odgłos ten wydają drewnienka, zwane tu „trzewnikami”, coś



w rodzaju dybów, które nakłada się reniferom na pastwisku, by nie odchodziły zbyt daleko. Ale w drodze oczywiście „trzewiki” się zdejmują.

Dopiero Bulczu mi wytłumaczył, że reny, prócz szerokich, rozdwojonych racic, mają jeszcze boczne raciczki, bardzo rozwinięte, pomocne przy rozgrzebywaniu śniegu. Właśnie te raciczki, zaczepiając w biegu jedna o drugą, wydają ów dziwny odgłos.

Po prostu — reniferowe kastaniety!

Za samicami biegną cielęta. Urodziły się zaledwie parę dni temu, ale dotrzymują kroku matkom, żwawo przebierając zgrabnymi nóżkami.

Nganasanie wymachują długimi chorejami popędzając reny.

Skrzający się, puszysty śnieg leci w twarz.

Tundra, tundra!

Mkniemy naprzód wśród wycia wichru, przy wtórze chrypliwych okrzyków wymachujących chorejami Nganasaków.

Lodowaty przeciwny wiatr pali, tnie jak nożem. Od szalika, którym musi się zakrywać twarz, mocno ucierpiał nos: zlodowaciały, sztywny brzeg niemiłosiernie go ociera, często aż do krwi. Ale nie można nawet myśleć o tym, by zdjąć szalik na takim wietrze.

„Cóż — pocieszam się — wszystko na świecie jest względne. Ten sam Humboldt, który z powodu gnusa przekładał nad Syberię dorzecze Orinoka, wedle jego własnych słów szczekał zębami przy dwudziestu stopniach ciepła w Afryce”.

Ciepło! Na naszych termometrach rtęć nie podnosi się powyżej dziesięciu stopni mrozu, i to przy zupełnie jasnej, słonecznej pogodzie. Lato na Tajmyrze nastanie dopiero w połowie czerwca i będzie trwać bardzo krótko — wszystkiego jakieś półtora, dwa miesiące.

Tym bardziej musimy się śpieszyć, byśmy zdążyli w tym czasie uporać się z naszą wyprawą w góry Byrranga.

Ani na chwilą nie zapominamy o celu podróży. Myśl, że jesteśmy potrzebni w górach Byrranga, że ktoś nas tam oczekuje, być może z ogromną niecierpliwością, pomaga nam znosić wszystkie trudy wędrówki.

5

Pod wieczór bywam zwykle bardzo zmęczony.

Gdy się człowiek wytłucze dwadzieścia kilometrów sankami po tundrze, dopiero wówczas potrafi właściwie ocenić takie zdobycze kultury materialnej, jak płomień ogniska i dach nad głową.

Ryzykując, że spotkam się z zarzutami młodych czytelników, ośmielam się twierdzić, iż każdy podróżnik, jeśli jest człowiekiem poważnym, a nie awanturnikiem, stara się podróżować bez przygód.

Nocleg na śniegu jest zawsze gorszy niż w domu. Samochód — „łazik” jest znacznie wygodniejszym środkiem lokomocji niż reniferowe czy psie zaprzęgi. „Romantykę nart”<sup>1</sup> — mówię to z pełną znajomością rzeczy — odczuwa się tylko przez pierwsze pół godziny, godzinę. Potem zaczyna boleć w krzyżu.

Ale oto zatrzymujemy się na popas. Wokół czernieją czумы, liliowe dymy ognisk idą prościutko w niebo. Tu też, w pobliżu ludzi, skupiają się reny, rozgrzebując śnieg i dobywając spod niego jagieł<sup>2</sup>. A między stadami i tundrą wolno krążą na sankach wartownicy, każdy ze strzelbą na kolanach i długim chorejem pod pachą.

Przelknąwszy naprędce kolację, pakuję się do śpiwora, zwijam w kłębek i zamykam oczy. Krótkotrwały to jednak sen. Budzi nas szczekanie psów, rwetes, wystrzały. Nie ma ani jednej nocy bez alarmu.

<sup>1</sup> N a r t a m i nazywa się na północy długie i wąskie sanki zaprzężone w reny lub psy.

<sup>2</sup> J a g i e l — mech reniferowy, nazwa nadawana chrobotkom: reniferowemu i alpejskiemu.

Przez cały czas ciągną za nami głodne wilcze stada. W nocy wychodzą zza śnieżnych pagórków i oblegają obóz.

Jeśli wilki chcą zaatakować stado renów, wartownik pędząc na swych sankach przecina im drogę.

Ale oto już minęła niespokojna noc, Budzi mnie przeciągły, głośny krzyk. To Bulczu zwołuje renifery.

Śpiwór zdaje się być najbardziej przytulny o świcie. Walcząc z sennością wyłażę z niego, szybko się ubieram i wybiegam na dwór. Myć się trzeba suchym, kłującym śniegiem. Topimy go tylko na herbatę i jedzenie — z paliwem u nas bardzo krucho.

Reny stoją półkolem przed czumem i patrzą na mnie łagodnymi, mądrymi oczami.

Poranek jest bardzo zimny. Niby zziębnięte ptaki, reny podnoszą to jedną, to drugą nogę. Niektóre z nich ziewają. Jeden zadarł tylną nogę i jak pies skrobie się za uchem, a potem kopytem strąca z nosa sople lodu: nozdrza obmarzły, trudno mu oddychać. Rozlega się ogłuszające kichnięcie. Leżący nie opodal ren zrywa się przestraszony — wygina przy tym grzbiet zupełnie jak kot.

Zadziwiająco zwierzęta! Mają w sobie coś z psa, coś z kota, nawet z ptaka, a najmniej — choć wyda się to dziwne — z konia, chociaż na ogromnych przestrzeniach kuli ziemskiej zastępują go człowiekowi.

Sawczuk mnie woła. Trzeba mu pomóc odsypać trochę soli z paczki. Dziś przypada jego kolej — on gotuje śniadanie. Rozwiązuję plecak, w którym przechowujemy prowianty, i przytrzymuję brzegi, podczas gdy Sawczuk zagłębia w nim łyżkę.

Nie zauważyliśmy nawet, kiedy jeden z renów, widąc najbardziej przedsiębiorczy, wsunął głowę do czumu w nadziei na poranny poczęstunek. Ledwo tylko etnograf wyjął pełną łyżkę z plecaka, gdy spoza mego ramienia wysunęła się pocziwa siwa mordą. Ham! Krótkie, zadowolone mlaśnięcie i łyżka wylizana do czysta.

Renifery przepadają za solą. Widocznie w „menu”,

jakie może im ofiarować tundra, brak soli. Solą zwabia się renifery, jeśli się rozbiegną.

Wyprowadziwszy nieproszonego gościa, zabieramy się do śniadania.

Siedzimy wokół ogniska, nad którym wisi czajnik. Słonina skwierczy apetycznie na patelni. Jedzenie smakuje mi, jak nigdy nie smakowało w najlepszych, pierwszorzędných restauracjach.

Ogorzała od wiatru, zaaferowana twarz Sawczuka pochyla się nad ogniskiem, ukazując się i znikając w obłokach dymu. Sawczuk celebrytuje parzenie herbaty.

W naszej porannej uczcie bierze udział również Bulczu.

Jest bardzo dumny ze swej nowej, odpowiedzialnej funkcji przewodnika. Wyniośle, cedząc słowa, rozmawia z licznymi zięciami i krewnymi, i nawet w dnie powszednie nosi swe odświeżające okulary ochronne.

Te okulary są dość oryginalne, wyglądają jak srebrna maseczka.

Zrobione są z dwóch rozklepanych carskich rubli. Na jednej stronie rozpościera skrzydła dwugłowy orzeł w koronie. Pod nim data — „1911 r.” Na drugiej stronie kokieteryjnie prezentuje profil Mikołaj II.

— W starych czasach poszedłbyś za to do kozy — powiedział Sawczuk na widok okularów naszego przewodnika i powiódł palcem po wąskiej szparze, która biegła przez oblicze cara od nosa do ucha. — Zniewaga pomażna bożego!

Bulczu, sapiąc, z niewzruszonym spokojem siorbał słodką herbatę.

Czytelnik przekona się dalej, jak ważną byłoby dla nas rzeczą, gdybyśmy jeszcze w tundrze zwrócili baczną uwagę na okulary Bulczu i bliżej się nimi zainteresowali. Niestety, nie uczyniliśmy tego.

Zresztą najczęściej tak bywa, że to, co jest dla nas zwykle, codzienne, do czasu pozostaje nie zauważone, choć leży tuż przed nosem.

W dodatku dzień po dniu naszą fantazję rozpalały wciąż nowe miraże.

Im dłużej przebywałem w tajmyrskiej tundrze, tym wyraźniej uświadamiałem sobie, że wszystko tu sprzyja powstawaniu bajek.

Już sama natura sprawia, iż umysł Nganasana jest wyjątkowo podatny do przyjęcia rzeczy najbardziej cudownych, czarodziejskich. Wystarczy rozejrzeć się dokoła, by się o tym przekonać.

Tundra to kraina czarów, kraina miraży. Słońce, wiatr, chmury, mgły — wszystko to razem stwarza ruchome, bajeczne obrazy, jakby powietrze między niebem i ziemią nie było w ogóle powietrzem, lecz mocno naciągniętym ekranem.

W tundrze nie wolno dowierzać wzrokowi.

Przez cały czas mamy przed oczami rozedrganą, skrzącą się mgielkę. Kontury przedmiotów wciąż się w niej zmieniają: kurczą się, to się wydłużają, zaczynają migać, aż do bólu w oczach, to znowu jakby się odrywały od powierzchni śniegu i płynęły nad ziemią.

Pewnego razu podczas popasu zobaczyłem Sawczuka spacerującego po tundrze głową w dół; pozycja niezbyt stosowna, a nawet, powiedziałbym, nie bardzo bezpieczna dla człowieka jego tuszy. Zbliżywszy się do mnie, wykonał w powietrzu imponujące salto i jak akrobata stanął na nogach. Lecz to wszystko było tylko złudzeniem optycznym, grą zwodniczego światła arktycznego.

Tego samego dnia — a dzień był mroźny, bezwietrzny — zdziwiły mnie niewielkie, mieniące się tęczowo obłoczki, które wolno płynęły tuż nad tundrą, dosłownie wlokąc się po ziemi.

— To reny — wyjaśnił krótko Bulczu, znajdujący się właśnie w pobliżu. I zaczął wyliczać pokazując, żółtym od tytoniu palcem: — Reny Mantugany! Reny Kamsego! A tam za pagórkim — widzisz? — moje reny!

Lecz ja nie widziałem żadnych renów.

Bulczu poprowadził nas ku jednemu z obłoczków. Gdyśmy podeszli bliżej, stary myśliwy, głośno cmoknął. Obło-

czek odpowiedział natychmiast przeciągłym chrapnięciem. Tak na głos gospodarza odzywał się jego ulubiony renifer zaprzęgowy.

Idąc za Bulczu zanurzyliśmy się w mglisty obłok i dopiero po zrobieniu paru kroków dostrzeżliśmy sylwetki renów.

— Ależ nachuchały! — powiedział Sawczuk rozglądając się.

W tym „nachuchały” leżało widocznie rozwiązanie zagadki niezwykłego zjawiska.

Przypomniałem sobie, że za biegnącym przez tundrę renem ciągnie się coś w rodzaju barwnej, powiewnej wstęgi. To ślad jego oddechu.

Kiedy więc zebrało się razem kilkadziesiąt reniferów, efekt był, oczywiście, jeszcze silniejszy.

Na jednym z postojów „mroźne mamidło” spletało mnie i Sawczukowi złośliwego figla, który mógł się smutno skończyć. Zmyliło nas zupełnie i powiodło w głąb tundry, zamiast do obozu. Uratował nas mój malutki kompas, z którym, jak czytelnikowi wiadomo, nigdy się nie rozstaję.

A było to tak.

Obserwowaliśmy myszkującego lisa polarnego, który bezgłośnie, z opuszczoną głową i wyprężonym ogonem skradał się po śniegu, wietrząc gdzieś w pobliżu leminga \*.

W odróżnieniu od swego najbliższego krewnego, lisa rudego, lis polarny ma zaokrąglone uszka i wzrostem jest nieco mniejszy. Nawiasem mówiąc, to stworzenie bezczelne i wiarołomne. W swoim czasie lisy polarne przysporzyły niemało kłopotów ekspedycji Beringa.

Zdarza się nieraz, że napadają nawet na swych współbraci uwięzionych w potrzasku i pożerają ich.

Właściwie nie powinienem źle mówić o tych zwierzętach. Przecież to one dopomogły w odnalezieniu Archipelagu Wysp Znikających — Ziemi Wietługina, zagubionej w oceanie.

Leming — zwierzątko o długiej, cętkowanej sierści z rzędu gryzoniów, żyjące na Północy.

Zaszedłszy myszkującego lisa pod wiatr, posuwaliśmy się wolno w ślad za nim. Powierzchnia śniegu, wyślizgana wichrami i ścięta mrozem, była twarda, można się było na niej utrzymać bez nart.

Nagle coś się zmieniło w oświetleniu. Przez chmury przedarł się promień słońca i oślepiający blask zagroził nam drogę. Gdyśmy otworzyli oczy, lis znikł. Zapewne uciekł. A może po prostu przypadł do śniegu, zlewając się z białym tłem.

— Wracamy? — spytałem i obejrzałem się. Wokół tundra, czumów ani śladu! — A gdzie nasz obóz?

— Tak, to dziwne... Pagórek stoi na miejscu, a czumów nie ma.

— Jaki pagórek?

— Nie opodał obozu. Zwróciłem na niego uwagę, gdyśmy wychodzili.

Ale pagórek też nie stał na swoim miejscu. Bardzo wolno przesuwiał się w bok, jakby płynął w powietrzu.

Cóż to znowu za czary? Przemęczenie oczu czy co?

Obok nas, czepiając się zasp, pełżyły szare strzępy mgły. Nagle ruchomy pagórek znikł. Wszystko przesłoniła mgła.

— Ależ nie, on musi tu gdzieś być — mruknął Sawczuk, przestępując ze zniecierpliwieniem z nogi na nogę. — Gdzieś tu obok, do licha!...

Po chwili ten sam pagórek, jakby drocząc się z nami, znów mignął nam przed oczyma, ale wcale nie w tej stronie, gdzie mój towarzysz go wypatrywał.

U stóp pagórka czerniały czumy, obok pasły się renifery. Tak, to był obóz Nganasanów.

— O, tam jest obozowisko — powiedział Sawczuk i pewnym krokiem ruszył w kierunku czumów. Chwyciłem go za rękę.

— Zbyt daleka droga — rzekłem. — Ze sto pięćdziesiąt kilometrów do najbliższego ludzkiego osiedla.

— Przecież jest tuż przed nami!

— Nie tam, lecz bardziej na lewo. Tak, zdaje się, że tam.

— Ależ ja widzę czumy! A obok pagórek.

— Wyście zauważyli pagórek, a ja spojrzałem na kompas, gdyśmy wychodzili z obozu. Przede wszystkim należy się kierować kompasem. Dość się napatrzyłem w Artyce na miraże.

Jakby na potwierdzenie moich słów pagórek i czumy u jego podnóża nagle znikły, rozpląnęły się, rzekłybyś, we mgle.

— Chyba sam diabeł nas za nos wodzi! — zażartowałem.

Sawczuk mruknął coś ze złością.

Wziąłem go pod rękę, co chwila sprawdzając kierunek według kompasu. Ledwo uszliśmy jakieś sto pięćdziesiąt metrów w gęstej mgle, natknęliśmy się na czumy.

— Uff, po takim tańcu z mirażem człowiek może w każdą bajkę uwierzyć — oświadczył Sawczuk.

— Nawet w wysoki las, w brzozy za kręgiem polarnym?

— Nawet w brzozy za kręgiem polarnym.

— Chcecie powiedzieć, że możemy dotrzeć do lasu w górach, do ziemi obiecanej Nganasanów i ta rozwieje się przed nami jak miraż?

— Nic nie chcę powiedzieć — uniósł się nagle etnograf. — Wiem tyle samo, co i wy, to znaczy, bardzo mało. Wprost śmiesznie mało!...

Przypomniał mi się „szept gwiazd”, złudzenie słuchowe, które tak podnieciło moją wyobraźnię jeszcze w koczowisku zimowym, obok czumu Kamsego, i cichutko westchnąłem. Nie warto było mówić o tym Sawczukowi. Po co go niepotrzebnie denerwować!

Jednakże myśl o mirażach nie dawała spokoju memu towarzyszowi. Na następnym popasie wziął mnie pod rękę, odprowadził na bok i zaczął tłumaczyć:

— Proszę was, nie sądźcie, że się waham, że zwątpiłem... To byłaby najgorsza rzecz, gdyby kierownik ekspedycji poddał się zwątpieniu, nieprawdaż? Po prostu miraże działają mi na nerwy, niech je lichy porwie! Wciąż pojawiają się przed oczami, zbijają z tropu, odrywają od pracy.



— Doskonale was rozumiem — odparłem. — Mnie też dały się one kiedyś we znaki. Jakby przez cały czas ktoś trącał w łokieć, szepcząc do ucha — taki, wiecie, zjadliwy, szyderyczy szept: „Czy przypadkiem nie gonisz za mirażem? Może wszystko w końcu okaże się mirażem?” To jest zupełnie naturalne. Analogia sama się naprasza.

## X. Ślad etnograficzny

1

Sawczuk z jeszcze większym uporem kontynuował swe badania. Z bajek czerpał otuchę. Tak, bajki były dla niego sprawdzianem słuszności naszej marszruty!

Obraliśmy właściwy kierunek — to nie uległo wątpliwości. Dopiero teraz okazało się, jak mądra była rada Aksionowa, byśmy wędrowali razem z narodem Nia. Po drodze zbieraliśmy bardzo cenne informacje o „Dzieciach Słońca”, zawarte właśnie w bajkach.

— W sam czas przyjechaliśmy na Tajmyr, w sam czas! — powtarzał etnograf. — Jeszcze trzy, cztery lata, a o „kamiennych ludziach” — duchach Byrrangi, nikt by już nawet nie wspomniał...

Zachwycony byłem taktem i cierpliwością etnografa, z jaką przeprowadzał swój natarczywy, lecz ostrożny wywiad.

Sawczuk wiedział, że nie wolno okazywać zbytnej niecierpliwości w rozmowie, że trzeba stosować się do obowiązujących w tundrze zasad dobrego tonu.

— Jeśli chcecie zadać mieszkańcowi tundry pytanie interesujące was jako etnografa — pauczał mnie — pamiętajcie o tym, że powinno to być dopiero jedenaste lub dwunaste pytanie w rozmowie. Najpierw zapytajcie o sprawy kołchozu, o zdrowie gospodarzy, o zdrowie renów, o polowanie na lisy i o połów ryb... Zmierzajcie do celu bez pośpiechu... Mieszkańcy tundry to ludzie powolni. Postarajcie się najpierw ująć swych współroz-

mówców, zdobyć ich zaufanie, sympatię. Traktujcie ich jak równych sobie. A kiedy rozmowa zejdzie w końcu na ich podania, legendy, zabobony, słuchajcie uważnie i z powagą. Przy tym przez cały czas patrzcie im w oczy...

Właśnie dzięki przestrzeganiu tych zasad udało się Sawczukowi stopniowo zdobyć sporo informacji o Krainie Siedmiu Traw.

Elementy fantastyczne nakładały się na realne. Przypominało to kliszę fotograficzną, na której ktoś przypadkiem czy też celowo zrobił dwa zdjęcia: poprzez zarysy jednych przedmiotów przebijają zarysy innych, zamglone i niewyraźne.

Kraina Zmarłych, czyli Kraina Siedmiu Traw, czyli Ngo-Mou, Ziemia Szamanów, leżała w północnej części Półwyspu Tajmyrskiego, w głębi gór Byrranga — w tym punkcie zgodne były wszystkie relacje. Natomiast jeśli idzie o inne dane, zdania były sprzeczne.

Według jednej wersji mieszkańcy gór żywili się mięsem nad podziw tłustych renów — po nganasańsku „bigado-bachi” (morskie renifery). Zimą i latem zwierzęta te nie opuszczały wyżyny, nie schodziły do tundry i nie odbywały uciążliwych wędrówek. Tym się tłumaczył fakt, że były niezwykle tłuste.

Każdemu z Nganasanów ślinka ciekła na myśl o renach Byrrangi. Ale „kamienni ludzie” zazdrośnie strzegli nieetykalności swych myśliwskich terenów.

W związku z tym opowiadano pouczającą historię pewnego śmiałka, który postanowił za wszelką cenę skosztować mięsa owych tajemniczych renów.

Nie bacząc na łzy matki i perswazje ojca, myśliwy puścił się bardzo daleko w góry. Wreszcie wśród czarnych głązów zobaczył to, czego szukał. Ogromny ren paś się na zboczu. Na widok myśliwego „bidago-bachi” dał susa w bok i zaczął uciekać.

Pościg trwał wiele godzin. Nganasanin dopędził rena i zranił go. I nagle ren znikł, rzekłbyś, zapadł się pod ziemię. Przed myśliwym wyrosły trzy niedźwiedzie. Stały na tylnych łapach, patrzyły na niego i kręciły głowami,

jakby chciały powiedzieć: „Dalej iść nie wolno. Tu tylko my polujemy”.

Myśliwego porwała złość, że uciekł mu taki wspaniały, tłusty ren. Spróbował obejść zagradzające mu drogę zwierzęta, lecz gdy wspiął się wyżej, ujrzał w wąwozie mnóstwo innych niedźwiedzi, które spały na słońcu, baraszkowały z młodymi, kręciły się przy swoich czumach. (Niedźwiedzie żyły w czumach, a między czumami dymiły ogniska). Śmiałek zrozumiał, że znalazł się wśród duchów gór i nieprzytomny ze strachu rzucił się do ucieczki. Powróciwszy do swoich opowiedział im o spotkaniu i padłszy na ziemię, na miejscu wyzionął ducha.

— Tłuste renifery to bardzo ważny szczegół — powiedział do mnie Sawczuk, gdyśmy zostali sami przy ognisku. — Gdzie jest mięso, tam musi być raj. Właśnie tak powinien wyglądać raj w wyobrażeniu Nganasanina — pełno w nim tłustych renów! Jest też rzeczą zrozumiałą, że nganasański raj to jakby zaczarowany zamek. Zakłętą niedźwiedzie bacznie strzegą wejścia.

— Niedźwiedzie żyjące w czumach?

— Nie niedźwiedzie, lecz „kamienni ludzie”, którzy noszą niedźwiedzie skóry włosom na wierzch. Fantazja w baśniach zawsze przeplata się z rzeczywistością.

Zresztą, według innej wersji, mieszkańcy Byrrangi wyglądali zupełnie inaczej.

— W lecie szary, w zimie biały, podobny do człowieka — szczegółowo opisywali ducha gór. — Podkradnie się z tyłu, krzyknie, zachichocze — jakby wiatr zawył nad uchem! Ma tylko jedną nogę, ale biega bardzo szybko. Głowy nie ma, a usta ma na brzuchu. Rodzi ich Byrranga, jak lichą trawę.

Spotkanie z duchem gór wróży niepowodzenie. Jeśli go spotkasz idąc na polowanie, lepiej od razu wrócić do domu, nic tego dnia nie upolujesz.

W tym miejscu opowiadający skwapliwie jednakże zastrzegali się, że tak było bardzo dawno temu.

Różnie nazywano mieszkańców gór: „kamiennymi ludźmi”, to znów po prostu duchami. A pewnego razu sędzi-

wy dziadek Mantugany nazwał ich „zagubionymi ludźmi” czy „ludźmi, którzy znikli”. Na to Sawczuk tylko rozłożył ręce.

Wiadomości o Ptaku Mauk — nazywano go również ptakiem Niogu — były jeszcze bardziej mgliste. Nie wiadomo dlaczego łączono z nim piorun i błyskawice, będące atrybutami jego potęgi.

Przypomniałem Sawczukowi, że jeszcze Middendorf spotkał na wysokim brzegu jeziora Tajmyr kamień podobny z kształtu do ptaka. Obejrząwszy go z bliska, podróżnik stwierdził, że gład jest ociosany, a to, co miało wyobrażać dziób, zachowało ślady tłuszczu i krwi. A więc był to bożek, któremu składano ofiary?...

Większość Nganasanów nie wierzyła w „kamiennych ludzi”. Młode wnuki Bulczu nawet ułożyły na ten temat zabawną piosenkę, chociaż, co prawda, wystrzegały się śpiewania jej w obecności starego myśliwca.

A jednak była granica w górach Byrranga, ściślej mówiąc na przedgórzu, poza którą Nganasanie nigdy się nie zapuszczali. Istniała jakby niewidzialna linia, biegnąca między czarnymi skałami, której nie należało przekraczać.

— Nie boimy się, nie! Po prostu tak już się przyjęło — mówili wymijająco Nganasanie. — Nasi dziadowie i ojcowie nie zapuszczali się dalej i my też dalej nie idziemy. Sami nie wiemy dlaczego...

Niektórzy z zażenowaniem uśmiechali się przy tym i wzruszali ramionami, zamieniając ze sobą zdziwione spojrzenia. Rzeczywiście, dlaczego właściwie nie zapuszczają się głębiej w góry Byrranga?

O tajemniczym zakazie świadczyła również mapa letnich wędrówek Nganasanów, sporządzona przez znanego radzieckiego etnografa, badacza Tajmyru, A. Popowa. Na mapie rzucało się w oczy, że w czasie swych corocznych wędrówek na północ Nganasanie omijają Byrrangę. Wyraźnie jakby ich coś tu zatrzymywało. Fala przypływu, uderzywszy o przedgórze, rozdwajała się, przy czym dochodziła znacznie dalej na północ na sąsiedniej Wyżynie Północno-wschodniej.

Nie umieliśmy sobie tego wytłumaczyć. Ludzie, którzy w większości nie wierzyli w duchy gór, słuchali patefonu i nie opuszczali ani jednego seansu filmowego w Nowotundryńsku — nie mieli odwagi przekroczyć niewidzialnej, tajemniczej granicy!

2

A jednak wśród fragmentarycznych, częstokroć sprzecznych ze sobą baśniowych relacji, splątanych śladów, był jeden ślad, wyraźny i niedwuznaczny, który prowadził prościutko w góry Byrranga. Jakkolwiek to bardzo dziwne, ślad ten odkryłem właśnie ja.

Stale towarzysząc Sawczukowi w jego poszukiwaniach etnograficznych, wciągałem się powoli w tę pracę.

Prawie od samego Nowotundryńska Sawczuk łamał głowę nad pewnym ornamentem — kolorową aplikacją, jaką Nganasanie ozdabiają swą odzież.

Wzór był dość prymitywny: trzy czerwone kółka, trzy czarne paski, znowu trzy kółka, odstęp, i dalej powtarzało się wszystko w tym samym porządku.

U pedantycznych Nganasanów każda aplikacja posiada własną nazwę, wyjaśniającą jej sens: „zęby”, „skaczący zając”, „kwiaty tundry”. Pokazywano nam nawet jakiś dziwaczny deseń: „śpi rozciągnięty”, rzeczywiście przypominający leżącego człowieka.

Ale wzór, który nas zainteresował, miał zupełnie inny charakter. Zdaniem Sawczuka nie mieścił się on w ramach nganasańskiego folkloru.

Mój towarzysz nic nie rozumiał. Ornament był nazbyt prosty. Nie przypominał ani rośliny, ani ludzi, ani zwierząt. Myśl etnografa nie miała żadnego punktu zaczepienia.

A jednocześnie znaczenie aplikacji było ściśle określone. „Zagubieni ludzie” — oto jak się nazywała! Innymi słowy, miała ona bezpośredni związek z celem naszej wyprawy.

Ale dlaczego „ludzie”? Dlaczego „zagubieni”?...

Sądzę, że etnograf przy całej swej erudycji nigdy nie odgadłby sensu dziwnego ornamentu, gdyby mu nie przyszedł z pomocą przedstawiciel zupełnie innego zawodu, a mianowicie hydrolog.

Później Liza mówiła, że moja intuicja była szczególnie wyczulona, gdyż przez cały czas myślałem o Piotrze Arianowiczu. Istotnie tak było. Lecz nie należy zapominać, że dużo pływałem na okrętach i byłem obowiązany znać morską sygnalizację, o której Sawczuk nie miał najmniejszego pojęcia.

Zastanawiało mnie, że ten wzór w odróżnieniu od innych był przerywany. Zestawienie — trzy kółka, trzy paski, trzy kółka, zawsze było oddzielone od następnego, identycznego zestawienia tych samych elementów. Dlaczego?

Czy przypadkiem te kółka i paski nie były jakimś szyfrem? W takim razie cały wzór byłby powtórzeniem krótkiego zdania, składającego się zaledwie z trzech słów, w którym pierwsze i ostatnie słowo brzmi tak samo.

I nagle mnie olśniło! Przede mną leżała taśma telegraficzna. Czerwone kółko było niczym innym jak wielką kropką, czarny pasek — kreską. Alfabet Morsego! Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki! W międzynarodowym kodzie oznaczało to „SOS” — początkowe litery trzech angielskich słów: „Ratujcie nasze dusze” — umowny sygnał katastrofy!

Do baśni, do folkloru wtargnęło coś najzupełniej realnego — wieść z dwudziestego wieku. Starcze bajdurzenie nganasańskich dziadków o zaklętych niedźwiedziach, o Krainie Siedmiu Traw, o legendarnych renach, nagle zagłuszył wyraźny, dobitny głos. Był to niewątpliwie głos współczesnego nam człowieka, który znał alfabet Morsego. I ten człowiek wzywał pomocy!...

Ale jakim sposobem sygnał katastrofy znalazł się na odzieży Nganasanów?

Wyjaśnieniem tej niezwykle ważnej okoliczności z zapalem zajął się Sawczuk.

Oto, co udało mu się ustalić.

Każda rodzina nganasańska posiada własny znak, który wypala na skórze swoich renów. Jest to coś w rodzaju faksymile czy prymitywnej pieczętki.

Regularnie co jakiś czas trzeba znaczyć reny na nowo, gdyż co roku tracą one sierść i piętno zarasta.

Przed dziesięciu laty do stada pewnego Nganasanina przybłąkał się dziki ren. Nganasanin natychmiast go zabił, ponieważ dzikie reny nie dają się oswoić.

Gdy jego syn zabrał się do oprawiania zabitego zwierzęcia, przywołał śpiesznie ojca, by mu pokazać, jaką popełnił omyłkę. Na skórze rena było widoczne na wpełń zatarte piętno. Świadczyło to, że ren był własnością innego hodowcy, i postępek ojca mógł wyglądać na kradzież. A Nganasanie są bardzo czuli na tym punkcie.

Właściciel stada udał się do starszyny plemienia i przyznał się do winy. Przeprowadzono śledztwo, które jednakże wykazało, że nikt z Nganasanów nie ma takiego znaku: trzy kółka, trzy kreski, i znów trzy kółka.

W trzy lub cztery lata po opisanym wypadku myśliwi upolowali w tundrze dwa dzikie reny. I te także były znaczone.

Znaleźli się tacy, którzy skłonni byli przypisywać tej historii mistyczne znaczenie. Czyż to wszystko nie potwierdzało na wpełń zapomnianej legendy o „bigado-bachi” — bajecznych morskich renach?

Dziwne piętno mogło być właśnie znakiem „zagubionych ludzi”, czyli duchów gór, do których należały reny. Czy warto zaczynać z duchami? Czy nie lepiej wywieźć zabite zwierzęta poza obręb koczowiska i nocą zakopać w śniegu?

Przeciwko temu podniosły się stanowcze głosy sprzeciwu. Po pierwsze, upolowane reny w niczym nie przypominały legendarnych „bigado-bachi”. Były niewielkiego wzrostu, zwykłej maści i wcale nie tłustsze od innych dzikich renów. Po wtóre, gdyby nawet przyjąć, że są własnością „kamiennych ludzi”, to przecież zabito je nie w górach, a nawet nie na przedgórzu, lecz w tundrze,

czyli na terenach myśliwskich, które od wieków należą do Nganasanów. Granice myśliwskich obszarów nie zostały więc naruszone. Wobec tego wszystko działo się zgodnie z prawami tundry.

Ostatnie słowo w tym sporze powiedziały kobiety.

Dla tundry nie wydaje się specjalnego „Żurnalu mód”, skąd można by zaczerpnąć ciekawe wykroje, wzory haftów, aplikacji itp. Toteż każda nowość przyjmowana jest tu z entuzjazmem. Tajemniczy znak — pochodził przecież z krainy baśni, co podnosiło ogromnie jego wartość — wywarł niezwykle silne wrażenie na kobietach narodu Kia.

— To jest piękne! — orzekł chór zachwyconych kobiecych głosów, nie nazbyt głośnych, lecz stanowczych. — To coś nowego. To jest bardzo, bardzo piękne!...

Wobec takiego obrotu sprawy kółka i kreski „przekoczywały” z upolowanych renów na odświętną odzież Nganasanów.

Wezwanie o pomoc przeszło w ten sposób podwójną metamorfozę: najpierw stało się piętnem, a potem aplikacją, nie utraciwszy jednak przy tym nic ze swej prostej a tragicznej wymowy.

Dla mnie i dla Sawczuka rozumowanie nieznanego podróżnika było zupełnie jasne. Liczył na to, że znaczone reny dostaną się w ręce Rosjan, pracowników stacji polarnych lub faktorii. Na każdej faktorii czy stacji polarnej powinna być radiostacja. Zauważywszy dziwne znaki, ludzie zaczną łamać głowę nad nimi, rozważać, odgadywać. I w końcu radiotelegrafista przypomni sobie morski szyfr i podsunie jedyne właściwe rozwiązanie:

— Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki — sygnał katastrofy. Ktoś wzywa pomocy!...

Sygnał katastrofy odbył jednakże znacznie bardziej skomplikowaną wędrówkę, idąc — można by powiedzieć — okrężną drogą, zanim wpadł w ręce ludzi, którzy go potrafili zrozumieć...



Naturalnie podzieliliśmy się natychmiast z Moskwą nowym odkryciem.

Wspomniałem już o tym, że wędrując przez tundrę, utrzymywaliśmy regularną łączność z Moskwą, jak również z Nowotundryńskiem.

Musieliśmy oszczędzać akumulatory, toteż rozmowa była zazwyczaj bardzo krótka i odbywała się tylko raz dziennie, w umówionej porze — o godzinie dziewiętnastej minut dwadzieścia. Przed tym pozwalaliśmy sobie na wysłuchanie „Ostatnich wiadomości”, ażeby orientować się w aktualnych wydarzeniach, czyli, jak mówił Sawczuk, nie „wypaść z dwudziestego stulecia”.

A maj 1940 roku bogaty był w różne wydarzenia. Najbardziej interesowała nas, oczywiście, wojna w Europie. Wydawała się ona dość dziwna. Niemieckie faszystowskie wojska z jednej strony i angielsko-francusko-belgijskie z drugiej, siedziały naprzeciw siebie w okopach, ograniczając się do pukaniny karabinowo-artyleryjskiej. Można było pomyśleć, że wróciły czasy wojny pozycyjnej z lat 1914—1918.

Okolo godziny siódmej czum Kamsego napełniał się Nganasanami. Bulczu, pozostający na prawach członka ekspedycji, witał gości i wskazywał im miejsca. Sam zwykle sadowił się jak najbliżej aparatu, jako że był nieco przygłuchy, chociaż za nic w świecie nie przyznałby się do tego.

Niestety, nie posiadaliśmy głośnika. Musiała nam wystarczyć jedna para słuchawek, które kolejno przechodziły z rąk do rąk. Gdyby nas ktoś obserwował z boku, mógłby odnieść wrażenie, iż ma przed sobą naradę indiańskiej starszyny, z tą tylko różnicą, że zamiast fajki pokoju krążyła z rąk do rąk okrągła słuchawka na długim sznurze.

Po wysłuchaniu „Ostatnich wiadomości” goście się rozchodzili, a ja nastawiałem aparat na falę, na której oczekiwała nas Moskwa, Instytut Etnografii. Rozmowa trwała

około dziesięciu minut. Wzajemna wymiana nowin, parę instrukcji, raz w tygodniu krótkie sprawozdanie z przebiegu naszych prac.

Nie wiedzieliśmy wówczas, że za każdym razem słuchają nas uważnie Andriej i Liza. Później dopiero wyjaśniło się, że każda nowa wiadomość z tundry — o „dobrym drzewie” Bulczu, o Krainie Siedmiu Traw, o nieznanym rzece, wpadającej do jeziora Tajmyr gdzieś w północno-wschodniej jego stronie, wreszcie o odszyfrowanym wzorze, oznaczającym sygnał katastrofy — była ostrogą dla myśli Andrieja i Lizy.

Pierwsza włączyła się aktywnie w poszukiwania Liza.

## XI. Wiosna depcze po piętach

1

Z początkiem czerwca nasi współtowarzysze wędrowki zaczęli zdradzać niepokój.

— Trzeba się śpieszyć! — burczał Kamse rozglądając się dokoła.

— Dlaczego?

— Wiosna depcze po piętach!

Lecz ani ja, ani Sawczuk nie zauważyliśmy najmniejszych oznak wiosny. Było wciąż tak samo zimno. I tundra skrzyła się jak dotychczas — oślepiająco biała, bez jednej ciemnej plamki.

Tymczasem pewnego dnia zobaczyłem, że Bulczu zmienia ciemną muszkę swej strzelby na jasną, mosiężną.

— Żeby widzieć lepiej muszkę na skórze rena! Wiosną reny ciemnieją — wyjaśnił myśliwy, pochwycawszy moje zdziwione spojrzenie.

Każdego ranka wychodząc z czumu Kamse bacznie i jak mi się zdawało, z niezadowoleniem spoglądał w górę. Nie podobało mu się niebo, jakkolwiek było bardzo czyste, jasnoblękitne. Śnieg też mu się nie podobał. Nga-

nasanin marszczył brwi i ze złością wbijał chorej w zaspę śnieżną. Śnieg rozsypywał się.

Tak, trzeba się śpieszyć! Wkrótce tundra popłynie.

Na wyścigi z renami popędzą bystre, szumiące strumienie, śnieg roztaje, wezbrane rzeki zagrodzą drogę ku góróm. Trzeba się śpieszyć, by w porę przeprowić się przez Wielką Bałachnę i nie ugrzęznąć w pół drogi.

Napisałem: „Każdego ranka wychodząc z czumu...”, ale przecież u nas nie ma już ranków, jak nie ma wieczorów ani południa. Słońce przestało zachodzić — wciąż krąży i krąży po niebie. Ledwo tylko muśnie horyzont i jak odbita piłka, znów wznosi się w górę.

Dotkliwie odczuwamy brak nocy. Nerwy są w stanie ciągłego napięcia. Nieprzerwany dzień, który ciągnie się wiele tygodni, jest bardzo nużący. W związku z tym nasz porządek dzienny uległ zmianie. Śpimy, gdy słońce stoi wysoko na niebie. Podejmujemy wędrówkę, gdy zaczyna się chylić ku linii horyzontu — powierzchnia śniegu jest wówczas twardsza, mocniejsza.

Odpozynek nie trwa długo. Śpimy jak ptaki, zaledwie po trzy, cztery godziny.

Wysypiamy się dopiero w czasie purgi. Wtedy argisz zatrzymuje się i Nganasanie szybko rozbijają czumy, dające schronienie przed burzą.

Któraś tam z kolei purga zaskoczyła nas już niedaleko Wielkiej Bałachny.

Leżąc w śpiworze, przysłuchuję się wyciu i świstowi nad głową.

Czum wstrząsa się od podmuchów wiatru — tylko patrzeć, jak go wichura porwie i uniesie w diabły! Po mocno naciągniętych skórkach reniferowych bębni śnieg. Nie pomogły staruszkóm w kaloszach ich żarliwe zakłęcia. Nie udało się przedostać do jeziora bez przygód.

Malutkie śnieżne wiry tańczą przede mną na ziemi. Śnieżny pył napełnił czum. Widocznie Sawczuk, jak zwykle roztargniony, nieszczelnie zasłonił wejście.

Nagle w kakofonię burzy wdarła się nowa, niezbyt głośna, lecz natarczywa nuta. Świergot? Czyżby?!...

Sawczuk wygramolił się do połowy ze śpiwora, jak niedźwiedź z barłogu i nasłuchiwał. Jego dobra, ogorzała od wiatru twarz powoli rozjaśniała się uśmiechem. Uśmiech stawał się coraz szerszy.

— Wiosna! Winszuję! Przyleciała wiosna!

Sawczuk wskazał na górę. Pod spiczastym dachem czumu siedział maleńki biały ptaszek i przyglądał się nam badawczo. Była to śnieguła — najwcześniejszy zwiastun tajmyrskiej wiosny, wyprzedzający inne ptaki przelotne.

Tundra niezbyt gościnnie przywitała ją purgą. Ptaszek nie miał się gdzie skryć przed burzą na otwartej przestrzeni i wleciał do naszego czumu.

W tej chwili już się uspokoił i starannie czyścił dziobkiem nastroszone piórka, od czasu do czasu zerkając na nas. Potem raczył nawet przyjąć ofiarowany mu przez etnografa poczęstunek — okruszki z moskiewskich obarżanków, wyśmienitych „konserw chlebowych”.

— Tak, to wiosna! Dotarła do naszych stron — najdalejszych północnych krańców europejsko-azjatyckiego kontynentu.

2

A tuż za śniegułą przyleciała Liza!

Jednak, mimo wszelkich wysiłków, nie usiadła nad rzeką Wiwi!

To zresztą leżało w jej usposobieniu — gwałtownym, porywczym i energicznym. Każda wiadomość od nas, podana przez radio pod adresem Instytutu Etnografii, była dla niej przeżyciem, rozpaliała jej niecierpliwość, wytrącała z równowagi, po prostu męczyła ją. I oto, wyblągawszy zezwolenie u swego bezpośredniego przełożonego, kierownika ekspedycji geologicznej, porozumiała się drogą radiową z Moskwą, szybko spakowała manatki i machnęła się na samolocie z ewenkijskiej tajgi do tajmyrskiej tundry.

W przeciwieństwie do Andrieja, interesował ją przede wszystkim las, jego opis w opowiadaniu Bulczu. O tym dowiedzieliśmy się od razu, ledwo wylądowała.

Aksionow uprzedził przez radio, że w drodze powinien nas dopędzić geolog. Nazwiska jednak nie podał, prawdopodobnie sam też go nie znał.

Niebo było zaciągnięte chmurami. Sypały duże, mokre płaty śniegu. I razem ze śniegiem zwała się nam na głowę Liza.

Lądowisko było zawczasu przygotowane — Kamse za-troszczył się o to. Zapomniano tylko wyłożyć znak w miejscu, gdzie samolot miał lądować. Lecz jeden z młodych Nganasanów, nie tracąc przytomności umysłu, rzucił się na ziemię i rozkrzyżował ręce, wyobrażając sobą literę "T".

Samolot, któremu asystował radośnie podniecony tłum, przerolował po śniegu kilkadziesiąt metrów i stanął.

Z kabiny wyskoczył Żora, machając do nas ręką na powitanie. A za nim wygramoliło się coś wielkiego i bezkształtnego, co przypominało byle jak związany tobół z odzieżą. Jednakże tobół sam stanął na nogi i zawołał gniewnie:

— A cóż to, towarzysze?... Stanęli i gapią się! Pomogli-byście rozwiązać szal!

To była Liza! Posiadała szczególny dar zjawiania się zawsze w najmniej oczekiwanym momencie!

W Nowotundryńsku opatulono ją jak przedszkolaka, a szal owinięty wokół szyi zawiązano z tyłu na kokardę. Bez pomocy drugiej osoby było rzeczą niemożliwą wy-plątać się z niego.

Wokół szumiał gwar widzów, dzielących się wrażenia-mi, słychać było śmiech, wesołe okrzyki.

Wydało mi się, że Liza zeszczuplała w ciągu tych paru miesięcy naszej rozłąki. Koło oczu pojawiły się zmarsz-czki. Jej jasne, rudawe włosy jakby ściemniały, a tu i ówdzie, niby wczesny szron lub niteczki babiego lata, srebrzyła się siwizna. Ale dziwna rzecz, to jej wcale nie postarzało. Przeciwnie, jeszcze bardziej podkreślało mło-

dzieńczy blask oczu. I głos miała taki jak zawsze — zadziwiająco czysty, świeży, dziewczęcy.

Liza była tak wstrząśnięta ujrawszy mnie przy samocie, że nawet nie przywitała się ze mną.

— Losza!... Ty tutaj?! Nie w Moskwie?...

— To wszystko ma związek z Piotrem Arianowiczem. Myślę, że Piotr Arianowicz...

— No, oczywiście! Powinieneś wypoczywać, leczyć się, a ty!... Czyż tak się spędza urlop? To na pewno wyście *go* w to wciągnęli, Wołodia?

Sawczuk bąknął coś niewyraźnie.

— Nikt mnie nie wciągał, co ty wygadujesz! Po prostu doszedłem do wniosku, że Piotr Arianowicz...

— Czyżbyś naprawdę wierzył, że Piotr Arianowicz jest tam?

Ze zdumieniem obejrzałem się na Sawczuka. Ten wzruszył ramionami.

— Ależ Lizo, jestem o tym przekonany — powiedziałem. — Święcie przekonany! Władimir Osipowicz też w to wierzy. Z początku, co prawda, miał wątpliwości, lecz teraz...

— Wybaczcie, Lizo — wtrącił się Sawczuk. — Ale przecież i wy tu przybyliście. Dlaczego?

— Tak, dlaczegoś tu przyleciała, skoro nie wierzysz, że Piotr Arianowicz jest w górach Byrranga? Na pewno słuchałaś naszych sprawozdań radiowych?

— Zainteresowało mnie w nich coś zupełnie innego.

— Co takiego?

— Las!

— Ach tak! Dlaczego właśnie las?

— Potem, potem!... Obaj jesteście stare, nudne piły. Nawet nie proście mnie na szklankę gorącej herbaty po podróży. Brrr! Zmarzłam na kość. I Żora też przemarzł. Prawda, Żora?

Nareszcie, wspiąwszy się na palce, pocałowała mnie, a potem chwyciła pod rękę i pociągnęła w stronę najbliższego czumu. Po drodze z ciekawością rozglądała się dokoła, odpowia-

dając uśmiechem na uśmiechy towarzyszących nam Nganasanów.

— A to kto? Bulczu? Ten zacny, nieustraszony myśliwy Bulczu, wasz przewodnik? A to Kamse? Dzień dobry, towarzyszu Kamse! A jak się nazywa ten wesoły mały człowieczek? Mantugana? Za długie imię dla niego... Witam, witam, towarzyszu Mantugana!

Moja żona jak zawsze tryskała życiem.

Starając się dostosować do jej szybkiego kroku, przypomniałem sobie, jak to Liza nie dawała spokoju mnie i Andriejowi, gdyśmy się zagrzebywali w swych geograficznych książkach.

„Mole książkowe! — irytowała się. — Nie bądźcie mólami! Nie znoszę takich!”

Wpadała do naszego cichego pokoiku jak świeży, orzeźwiający wiatr.

„Na ślizgawkę, na ślizgawkę, chłopaki! — komenderowała. — Patrzcie, jakie słońce na dworze! A jutro na „Wesele Niedźwiedzie». Przedtem będzie przemawiał sam Łunaczarski!”

I my, nieco otumanieni od ślęczenia nad książkami, pokornie wlekliśmy się za nią na ślizgawkę, potem biliśmy brawo Łunaczarskiemu i zamierali z grozy, słuchając ryków hrabiego zakłętego w niedźwiedzia.

„W przyszłym tygodniu zabawa w naszym instytucie — oznajmiała Liza. — Angażuję was: Andrieja do wszystkich tańców powolnych, Loszę — do skocznych”.

„Rezygnuję na rzecz Andrieja” — bąkałem. W tych czasach mylnie sądziłem, że Liza i Andriej są dla siebie stworzeni.

„Głupstwa pleciesz! Opamiętajcie się, chłopcy! Młodości nie przeżywa się dwa razy. Gdy będziecie czterdziestoletnim staruszkami (czterdziestoletni wydawali się nam wówczas staruszkami), zrozumiecie to, ale już będzie za

<sup>1</sup> Łunaczarski Anatolij Wasiljewicz (1875—1933) — wybitny mówca, publicysta, znawca sztuki, historii literatury, krytyk literacki, autor szeregu utworów dramatycznych.

późno! Gdzie młodość? Nie ma młodości!... Nie pójdziesz jeden z drugim do domu towarowego i nie powiesz: «Proszę o trzy metry młodości w kolorze błękitnym, i żeby wzór był wesoły...»”

Nie można było jej słuchać bez uśmiechu. Wszystko ożywało dokoła, gdy tylko Liza pojawiała się na horyzoncie.

Oto i teraz monotonna, surowa tundra jakby powesełała od jej uśmiechu, jej głosu.

Sawczuk taktownie pozostał w tyle i szedł za nami w przyzwyczajonej odległości jakichś dwóch, trzech kroków. Przycisnąłem mocniej ramię Lizy — bądź co bądź byliśmy kochającym, się małżeństwem i nie widzieliśmy się prawie pół roku!...

— Rozminęliśmy się w Moskwie, Loszeńka — szepnęła Liza. — Szkoda, kochany, prawda?

— Ale za to los zgotował nam spotkanie na Tajmyrze...

— Tak się cieszę! A ty?...

Nie zdążyłem odpowiedzieć.

— Losza! — zafrasowała się nagle Liza. — A radio? Zamknąłeś radio?

— Gdzie? — spytałem, by zyskać na czasie, chociaż doskonale wiedziałem, o co chodzi.

— Jak to gdzie? W domu, w Moskwie.

Nie odpowiedziałem.

— Naturalnie, nie zamknąłeś! — oświadczyła z przekonaniem moja żona. — Wiedziałaam, że tak będzie!

— Nic nie wiedziałaś i nie mogłaś wiedzieć — mruknąłem.

Liza obejrzała się.

— Rozumiecie, Wołodia — rzekła. — Mamy pokój we wspólnym mieszkaniu. Za ścianą mieszka pisarz, który nie znosi hałasu. A Losza przyjechał na jeden dzień z Arktyki...

— Na dwa — sprostowałem.

— Niech będzie na dwa! Otworzył radio i znów wyjechał do Arktyki na całe lato.

— No, no — usiłowałem obrócić wszystko w żart. —



Jak wam się to podoba, Władimirze? Zaczyna się idylla małżeńska...

Sawczuk okazał wielkoduszność, a nawet spróbował przyjść mi z odsieczą.

— Widocznie już tego wieczora zarazilem Aleksieja Piotrowicza swoim nastrojem — powiedział, uprzejmym gestem zapraszając Lizę i pilota do czumu Kamsego. — Opowiemy o wszystkim przy herbacie. Wy przecież znacie tę historię tylko w najogólniejszych zarysach.

I podczas gdy nasi goście rozgrzewali się gorącą, mocną herbatą, Sawczuk zabawiał ich rozmową na niewyczerpany temat tajemnic Byrrangi.

Trzymając spodek w palcach Liza rzuciła nagle najzwyczajszym w święcie tonem:

— A wiecie, że ja jadę z wami?

— Dokąd?

— W góry Byrranga. Najpierw na sankach, a potem łódką.

I żeby od razu przeciąć wszelkie ewentualne sprzeciwy, odstawiła spodek i poważnie ciągnęła dalej:

— Sprawa została uzgodniona z Moskwą. Ekspedycja w góry Byrranga będzie miała charakter geologiczno-etnograficzny.

— Dlaczego?

— Tak zwana oaza w górach zainteresowała geologów.

— Ach, więc to ty właśnie jesteś owym „specem od poszukiwań geologicznych”? Przecież nie jesteś geologiem, Lizo!

— Więc co z tego? — spojrzała na mnie wyniośle. — Zajmuję się problemami, które mają ścisły związek z geologią.

— Dość tej zabawy w ciuciubabkę — oświadczyłem stanowczo. — Wytlumacz, dlaczegoś tu przyleciała?

Liza uśmiechnęła się.

— Niezbyt mile mnie przyjmujecie, moi drodzy! To naprawdę nieuprzejmie — to po prostu bardzo brzydko z waszej strony. Szczególnie z twojej, Losza...

— Nie kłóćcie się z Lizą, Aleksieju — wtrącił Sawczuk

z westchnieniem. — Przecież ją znacie. To nic nie da.

— Liza lubi imponować — wyjaśniłem. — Chce nas zaskoczyć jakąś niespodzianką, ale potem...

— Mylicie się, słowo honoru — powiedziała Liza poważnie. — Po prostu to jest dopiero nieśmiała hipoteza, bardzo, bardzo nieśmiała. Zbyt mało faktów. Najpierw musimy dostać się w góry. A wtedy zobaczymy...

Nazajutrz, wyprawivszy Żorę w drogę powrotną, Liza urządziła surowe śledztwo, można powiedzieć — śledztwo z torturami.

Zamęczała naszego przewodnika wypytując o oazę w górach Byrranga. Interesowały ją najróżniejsze szczegóły, niekiedy nawet głupstwa, nie posiadające — jak się mnie i Sawczukowi zdawało — najmniejszego znaczenia.

Na niektóre pytania stary myśliwy nie umiał odpowiedzieć. Wówczas Liza starała się podsunąć mu odpowiedź.

Chwilami wpadała w zamyślenie i mruzczała do siebie:

— Rzeka!... Tak, powinna być rzeka! Gdyby nie było rzeki, byłoby jezioro... Las, oczywiście, rośnie wzdłuż linii pokładów, urywa się na grzbiecie góry? Zgadza się, tak powinno być. Sosny, modrzewie, brzozy... A wiciokrzew? — i szybko odwracała się do Bulczu: — Czy widziałeś w wąwozie wiciokrzew?

— Odnoszę wrażenie, że znasz krajobraz oazy — zażartowałem. — A może byłaś już kiedyś w wąwozie Bulczu?

— Rzeczywiście, Lizoczka! Czy nie odbyliście tam lotu razem z jakimś szamanem w czasie czarów? — podchwycił z uśmiechem Sawczuk.

Liza spojrzała na nas roztargnionym wzrokiem. Widać było, że jest w tej chwili daleko, w górach Byrranga, w jednym z wąwozów, po którego dnie biegnie podzwaniając kamykami bystra rzeka, a na zboczach rosną brzozy i kwitnie wiciokrzew.

— Ach, wąż Bulczu? — powtórzyła wolno, jakby budząc się ze snu. — Nie, nigdy nie byłam w wężowiu Bulczu.

W tym tkwił właśnie „sęk” — jak ze złością powiedział Sawczuk. Ale obaj znaleźli Lizę. Uparta jak kozioł!... Jeśli uważa, że nie czas jeszcze wtajemniczyć nas w swoje domysły, to szkoda się na nią gniewać czy prosić ją — nic nie powie, dopóki sama nie uzna tego za stosowne.

Od pierwszej chwili, gdy tylko wygramoliła się z samolotu, zdecydowanie, bez specjalnych zresztą wysiłków, zajęła należną jej pozycję w naszej wyprawie.

Małomówny, wiecznie zatroskany Kamse na sam jej widok szeroko się uśmiechał. Bulczu za jej zbliżeniem nieomal stawał na baczność. Wreszcie, nasz czcigodny etnograf po prostu czuł się onieśmiewiony w jej obecności. Liza przytłaczała go swoją pewnością siebie, rzeczowością i energią.

Sawczuk podzielił się ze mną uczuciami, jakie go nurtowały.

— Muszę się przyznać, że nie lubię kobiet w ekspedycji — zwierzył mi się poufnym szeptem, gdy Liza wyszła na chwilę z czumu. — Zawsze tylko zawracanie głowy z nimi. A to nie tak, a tamto nie tak... Wspomnicie moje słowa — będzie jeszcze niejeden kłopot z tą Lizą!...

Spostrzegł się nagle i zamilkł, w zakłopotaniu mrugając powiekami. Widocznie przypomniał sobie, że „ta Liza” — to moja żona.

Roześmiałem się.

— To nic, to nic, drogi Władimirze. I to będzie tak, i tamto. Bywałem z Lizą w Arktyce. To dzielny, doświadczony podróżnik, zapewniam was. Wszystko będzie dobrze.

Byłoby głupotą z mojej strony, gdybym ukrywał, że bardzo byłem rad z jej przyjazdu.

Nie zapominajcie, iż nie widzieliśmy się prawie pół roku, a w ogóle widywaliśmy się rzadko — byliśmy małżeństwem „koczowników”. Nietrudno w takich warunkach stęsknić się za sobą...

Ale tak wygląda, jakbym się usprawiedliwiał przed czytelnikiem. To wina złych tradycji literackich. Nie przysłoby mi nawet do głowy usprawiedliwiać się, gdybyśmy nie byli jeszcze małżeństwem.

Moim zdaniem, nasi pisarze niesłusznie w tak skąpych słowach opisują szczęście rodzinne. Wszystkie nowele i powieści najczęściej urywają się na wyznaniu miłości, jak gdyby miłość automatycznie na tym się kończyła. Czyż tak bywa w rzeczywistości? Czy prawdziwa miłość nie krzepnie z latami, nie nabiera nowych barw?

Zresztą nie mam wcale zamiaru pisać psychologicznej powieści na temat życia rodzinnego — jestem przecież podróżnikiem, hydrologiem i to, co piszę, jest tylko historią wyprawy w góry Byrranga, do tajemniczej oazy „Dzieci Słońca”.

Nawiasem mówiąc, przez całą dalszą drogę ku góróm, odbywaną razem z argiszem Kamsego, zawzięcie wykłocaliśmy się z Lizą. Chodziło o Piotra Arianowicza. Liza nie wierzyła, że to on „zaobrączkował” dziką gęś i znał oryginalnym piętnem dzikie reny, wzywając w ten sposób pomocy.

— Dziwi mnie bardzo twój upór — oburzałem się, a Sawczuk skwapliwie potakiwał. — Wszystko, wszystko przemawia za tym, że to jest Piotr Arianowicz. Właśnie ta charakterystyczna dla niego pomysłowość, giętkość umysłu! A wytrwałość? Zadziwiająca, zupełnie wyjątkowa wytrwałość i cierpliwość! Przypomnij sobie Piotra Arianowicza w Wiesjegońsku! To przecież on!... Widzę go! Po prostu widzę go! A ty?

— Nie — sucho odpowiadała Liza. — Widzę śmiałego człowieka w trudnych okolicznościach. Dlaczego musi nim być koniecznie Piotr Arianowicz?

Teraz zabierał się do niej Sawczuk. Sapiąc i chrząkając zaczynał — już po raz nie wiem który! — analizować piętno-ornament, powtarzał z pamięci „cytaty” z listu wysłanego za pośrednictwem gęsi, przytaczał bardzo trafne porównania i przypuszczenia.

Na próżno! Liza w odpowiedzi tylko pobłaźliwie, niemal ironicznie się uśmiechała.

Taki sceptycyzm wyglądał co najmniej dziwnie. Jakbyśmy się zamienili z Lizą rolami. Przecież to ona właśnie wykazała kiedyś najwięcej zapału, włożyła najwięcej energii w poszukiwania Piotra Arianowicza, wierząc święcie, że on żyje.

I nagle wszystko zrozumiałem. Umilkłem, uśmiechając się do siebie. To było takie typowo kobiece!

Liza bała się kusić los! Jej sceptycyzm był swego rodzaju samoobroną. Liza pragnęła, by wszystko ułożyło się lepiej, niż sama oczekiwała.

W tajemnicy podzieliłem się z Sawczukiem swoim pomysłem. Dało mu to sposobność do wygłoszenia, z najpoważniejszą w świecie miną, małego wykładu o rudymenciech<sup>1</sup> w ludzkiej świadomości, o przesądach i zaboronach, które, według jego obserwacji, spotyka się najczęściej u marynarzy, lotników, myśliwych i podróżników. (Liza zaliczała się do tej ostatniej kategorii.)

Tymczasem ja w zabawnym przesądzie Lizy widziałem po prostu przejaw jej kobiecej słabości. Cóż z tego, że niedawno obroniła dysertację kandydacką i wsławiła się wśród geologów swą niestrudzoną pracowitością? Pozostała kobietą w każdym calu!

A niech tam! Niech się bawi w ciuciubabkę z losem, jeśli się boi rozczarowania. Ja mocno wierzyłem w to, że Piotr Arianowicz czeka na nas.

## XII. Ptaki prowadzą...

1

Niestety, teraz nie pozostawało nam nic innego jak owe spory, które wiedliśmy siedząc naprzeciw siebie na szczycie maleńkiej, zupełnie mokrej wysepki, otoczonej

\*Rudymet (od łac. rudimentum) — początek, podstawa; tu pozostałość.

perłowszarymi, kłębiącymi się oparami i matowo połyskującą w słońcu wodą.

Co prawda, dzięki staraniom Kamsego, nasz argisz zdążył przeprowić się na drugą stronę Wielkiej Bałachny. Parę dni posuwaliśmy się wzdłuż jej lewego brzegu — rzeka ta wpada do Zatoki Chatańskiej — i mogliśmy się do woli napawać wspaniałym widowiskiem ruszenia lodów.

Z początku lód trzymał się na rzece; woda, tocząca się burzliwymi potokami ze zboczy, pędziła po lodowej pokrywie jak po dnie. W końcu jednak promienie słoneczne dobrały się i do lodu.

Na jednym z postojów obudził mnie złowrogi pomruk. To lody ruszały. Powierzchnia rzeki wzdymała się, napór wody łamał lód, wypychał go na brzeg. Trzeszczące, słoczone kry, zderzając się ze sobą, wolno spływały w dół rzeki.

Przezorny Bulczu przeniósł nasze czumy dalej od wody, na kamienisty pagórek, gdzie ziemia szybciej i głębiej odmarza. Za jego przykładem poszli inni Nganasanie.

Cały obóz przeniósł się na nowe miejsce. W samą porę! Teraz dopiero tundra naprawdę popłynęła!...

Lecz nasz argisz był już prawie u celu. Niekiedy w mglistej dali można było dojrzeć na północy wąziutkie, sinawe pasmo. To góry.

Zażywamy krótkiego odpoczynku przed szturmem na Byrrangę. Siedzimy na wysepce pośród „płynącej tundry”. Nie opodał, na takich samych wysepkach, czernieją czumy naszych współtowarzyszy wędrówki. Reny, otrząsając się co chwila, brodzą po kolana w wodzie.

Jesteśmy w podobnej sytuacji, jak ludzie zaskoczeni nagłą powodzią.

Namioty i skromny dobytek umieściliśmy na samym środku wyspy, gdzie jest mniej więcej sucho. Słońce już porządnie przypieka.

Coraz częściej nadlatują z południa podmuchy ciepłego wiatru.

A wraz z nim przybywają do tundry wciąż nowe i nowe pułki ptactwa.

Tuż za śniegłą przyleciały kuropatwy, zimujące nie-daleko — w lasotundrze. Pojawiły się krzykliwe wydrzyki i małe mewy polarne. Zamigotały czerwone, strojne kołnierze kazarek, nieco zmięte po dalekiej drodze — ptaki te leciały aż z Kaukazu.

I wreszcie — z wysiłkiem machając skrzydłami, zamykają długi orszak dzikie gęsi. Wśród nich są nie tylko lenkorańskie, lecz również irańskie i indyjskie. Ileż trudów musiały pokonać te „cudzoziemki”, by się dostać do tundry, do swych „letnisk” za siedmioma górami, za siedmioma rzekami!...

Teraz nie można już zbłądzić w tundrze, zmylić drogi. Wystarczy spojrzeć na niebo, po którym ciągną chmury ptactwa, wsłuchać się w ptasi gwar dochodzący z góry, by się od razu zorientować, gdzie północ, a gdzie południe.

„Na północ! Na północ!” — krzyczą przelatujące nad nami mewy, kuropatwy, gęsi wołając nas za sobą.

Bardzo mnie złości ta przymusowa bezczynność.

Jak długo jeszcze będziemy tu tkwić pośród zalanej wodą tundry? Kiedy wreszcie Kamse da sygnał do dalszej wędrówki?

Oglądam się na sanki; leżą tam nasze łódki. Czy nie będziemy musieli przesiąść się na łódzie? W każdym razie przed nami więcej wody niż ładu.

Jednakże szlaki koczowników są niezmiennie i doskonale im znane. Również reny są niezawodne. Na swych szerokich racicach — pozostawiających ślad wielkości talerza — bez trudu przeprawiają się przez grząskie trzęsawiska.

Śniegu już nie ma, ale trzeba znów wkładać okulary ochronne. Na ceglastoczerwonej, gładkiej powierzchni tundry migocą tysiące maleńkich jezior. Ich intensywny, jaskrawoniebieski kolor oślepia oczy.

Ziemia schnie bardzo szybko. Słońce pracuje sumiennie, bez wytchnienia.

Spod tającego śniegu wyłania się zeszłoroczna, brudnobura trawa. Tłoczą się na niej niezliczone stada ptactwa. Ptaki rozbiły się na pary, kłóć się o miejsca, odnawiają stare znajomości, dzielą się nowinami: „No, jak tam u was w Lenkoranie?...” — „Dziękuję. A co słyhać w Indiach?...”

Pisk, wrzask, gwizdy, świergot!

Sprawia to wrażenie jakiejś olbrzymiej ptaszarni w ZOO.

Czerwiec kroczy triumfalnie przez tundrę, grmiąc kra-  
mi na uwolnionych z okowów zimy rzekach, podzwaniając  
niezliczonym mnóstwem bystrych strumyków, rozśpie-  
wany tysiącem radosnych ptasich głosów.

2

A oto po niebie przetoczył się grzmot, pierwszy, we-  
soły letni grzmot.

Staliśmy na swej wysepce, zadzierając głowy. Niebo  
nad nami czyste, bezchmurne. Skądże więc grzmot?

— Patrzenie! Tam, tam! — wykrzyknął Bulczu, który  
miał z nas wszystkich najbystrzejszy wzrok, i popędził  
wzdłuż brzegu z wzniesionymi w górę rękami.

Nad nami krążył hydroplan. To huk jego motorów  
wzięliśmy za daleki odgłos grzmotu.

Samolot ostro poszedł w dół. Zalśniły w słońcu skrzy-  
dła — lekki plusk, bryzgi piany, i już płozy-pływaki  
ślizgają się po wodzie.

Sądziliśmy, że to Aksionow przysłał Żorę z  
Nowotundryńska. Tymczasem okazało się, że samolot przyleciał  
nie z południa, lecz z północy.

— Od towarzysza Zwonkowa — powiedział nieznajo-  
my pilot, wydostawszy się na brzeg, i podał jakąś paczkę  
zdumionemu Sawczukowi.

W paczce znajdował się list od Andrieja, akt zaopa-  
trzone sześciora podpisami i parę kartek zapisanych na  
maszynie i skrupulatnie ponumerowanych. U góry na-



pis: „Kopia”. Ze zdumieniem stwierdziliśmy, że wszystkie strony wypełnione są urywkami zdań i pojedynczymi słowami, rozdzielonymi wielokropkiem.

— Powietrzny ślad! — wykrzyknął nagle Sawczuk wpatrując się w tekst.

Tak, i tu powtarzało się wyrażenie „powietrzny ślad”, które tak nas uderzyło w liście na reniferowej skórze, a którego sensu nie udało się nam odgadnąć. Potem przeczytałem słowo „Byrranga”. Dalej rzuciło mi się w oczy zdanie: „Idąc na południe od strony morza...”

— Patrzenie: „Wietł”! — zawołała z przejęciem Liza.— Przecież to „Wietł”! A to — „tługi”! A więc razem „Wietługi”!

— Chwileczkę, Lizoczka, chwileczkę — mruknął Sawczuk starając się zapanować nad sobą. — W takich rzeczach obowiązuje systematyczność, porządek, dokładność. Najpierw przeczytamy załączony list.

Z właściwą mu skrupulatnością Andriej zawiadomił etnograficzną ekspedycję Sawczuka, że w pobliżu stacji polarnej na Przylądku Czeluskin, podczas ustawiania boi hydrograficznych, wyłowiono klocek, który — jak się po bliższym zbadaniu okazało — był w środku wydrążony. We wnętrzu skrytki znaleziono kawałek skóry reniferowej z wydrapanymi na niej słowami. Udało się odczytać tylko część tekstu. Należy przypuszczać, że klocek został spuszczonej na wodę u źródeł jakiejś górskiej rzeki. W tekście jest mowa o „Dzieciach Słońca” i dwukrotnie, w dziwnym zestawieniu, powtarza się wzmianka o Ptaku Mauk.

„Wiedząc z pierwszomajowego raportu radiowego — pisał Andriej — jak również z Waszych cotygodniowych sprawozdań przysyłanych Instytutowi Etnografii, o celu ekspedycji, pracownicy stacji polarnej doszli do przekonania, że ta rzecz może Was zainteresować i pomóc w poszukiwaniach. Na wyłowionym klocek jest znak: wycięte głęboko w korze, a następnie zamalowane farbą trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki, a więc sygnał «SOS». Nie ulega wątpliwości, że wysłał go wraz z pismem ten

sam podróżnik, który «zaobrączkował» gęś i tak osobliwie znaczył reny”.

„Można przypuszczać, — pisał dalej Andriej — że tym podróżnikiem był P. A. Wietlugin, którego szukacie. Wskazują na to na wpół zatarte litery: «Wietł» i «tługi» — najwidoczniej części nazwiska piszącego”.

W załączonym dokumencie — akcie uwierzytelnionym podpisami — mój przyjaciel dokładnie podawał okoliczności towarzyszące znalezieniu owego klocka.

Niestety, drzewo bardzo długo leżało gdzieś na miełźnie, rozeschło się pod działaniem promieni słonecznych, i przez szpary woda przedostała się do środka. Skóra zaczęła gnić, częściowo zamieniła się w lepłą, ciągliwą, zieloną masę.

Andriej i jego towarzysze nie potrafili odczytać wszystkiego. Możliwe, że gdyby pismo dostało się od razu do rąk specjalisty, udało by się odcyfrować większą część tekstu. Lecz hydrologowie przesadzili w gorliwości. Postanowili osuszyć skórę reniferową przy piecu, a tego nie wolno było robić. Skóra się zmarszczyła, poskręcała, a gdy ją chcieli rozprostować, kruszyła się w rękach.

Dobrze chociaż, że któryś z młodych pomocników Andrieja był na tyle przezorny i rozsądny, by przepisać te pojedyncze słowa i urywki zdań, które udało się odczytać jeszcze na brzegu. Oryginał pisma był bezpowrotnie utracony. Przed nami leżała tylko kopia, i to niepełna.

Sawczuk wziął do ręki przepisane na maszynie arkusze i wyraźnie drżącym głosem powiedział:

— No cóż, nic nie poradzimy, zajmijmy się kopią.

Ja i Liza niecierpliwie zaglądaliśmy mu przez ramię.

3

Tuż obok słyhać było przyspieszony oddech Nganasanów. Wielu z nich, dowiedziawszy się o liście z Byrrangi, przybrnęło do nas z sąsiednich wysepek (woda zaczynała już opadać). W tej chwili stłoczyli się dokoła, w podnie-ceniu przestępując z nogi na nogę, napierając na stojących na przodzie. Bulczu przykucnął obok

Sawczuka i zaglądając od dołu w zapisany na maszynie papier,

próbował dotknąć go palcem.

Czytanie pisma Wietługina odbywało się wobec zanego ludu Nia, pośród mokrej, połyskującej w słońcu tundry.

Nie cytuję pisma dosłownie, gdyż, jak się okazało, odczytano w całości zaledwie kilka pierwszych zdań. Po-tem coraz częściej zaczęły się powtarzać denerwujące luki.

Lecz Sawczuk nie darmo prześlęczał tyle lat w archi-wach nad różnymi, niezmiernie trudnymi i zawiłymi do-kumentami. Podziwiałem jego wprawę. Zatrzymywał się przeważnie tylko na moment i ze zdumiewającą pewno-ścią przerzucał myślowy pomost między słowami, prowa-dząc mnie, Lizę i zastygłych w milczeniu ludzi Nia wciąż dalej i dalej, najpierw po Oceanie Lodowatym Północnym, a potem po gładzach Byrrangi.

Już od samego początku stało się jasne, że moja hipo-teza co do ocalenia Piotra Arianowicza była słuszna<sup>1</sup>.

Po oderwaniu się od brzegu kra, na której znajdował się Piotr Arianowicz, przez kilka dni wędrowała po mo-rzu.

Lody płynęły na północny zachód, w kierunku szerokiego przejścia między Ziemią Północną i Wyspami Nowosyberyjskimi. To najbardziej przerażało Piotra Aria-nowicza. Przed nim był Ocean Lodowaty Północny. Na samą myśl o tych posępnych, bezkresnych przestworzach krew ścinała się w żyłach, serce zamierało w piersi.

Przez cały pierwszy i drugi dzień Wietługin nie odry-wał oczu od horyzontu, wypatrując masztów — całą na-dzieję pokładał w przypadkowym spotkaniu z jakimś statkiem. Lecz morze było wciąż jednakowo pustynne.

Pod koniec drugiego dnia ruch kry stał się wolniejszy. Natrafiła na wir i długo krążyła w jednym miejscu, jak można się było zorientować po słońcu. Wreszcie, orien-tując się wciąż według słońca, Wietługin stwierdził, że

<sup>1</sup> Od tego miejsca podaję treść pisma, ażeby zachować ciągłość relacji. (Przyp. autora).

lody znów ruszyły. Teraz jednak płynęły nie na północny zachód, lecz na zachód. Widocznie wiatr się zmienił i spychał je ku lądowi. Oby się tylko więcej nie zmienił!

Ten nowy kierunek ruchu lodów dawał pewną nadzieję na ocalenie — co prawda szanse były minimalne, ale jednak były!

Na szczęście zapobiegliwy Owczarenko przed ucieczką zapakował do plecaka ze trzy funty żytnich sucharów. Teraz Wietługin żywił się nimi, zresztą w sposób bardzo oszczędny — miały mu starczyć na długo.

Miał również ze sobą strzelbę, zapas kul i prochu. Ale przez cały ten czas tylko jeden jedyny raz udało mu się zabić dużą fokę, która wylegiwała się na przepływającej obok krze.

Kra z zabitaą foką za nic nie chciała się przybliżyć do kry Wietługina. Stale dzieliła je szeroka przestrzeń żywej wody. Wietługin próbował przedostać się do swej zdobyczy okrężną drogą przez inne kry. Na próżno! Przy wszystkich kombinacjach kra z foką pozostawała niedosiężna.

Co najmniej przez dwa dni utrzymywała się na „równoległym kursie” — drażniąc, wabiąc, wyprowadzając z równowagi. Potem Wietługin zapadł w drzemkę, która tym razem szczególnie długo trwała. A gdy się ocknął, zabitej foki w pobliżu nie było.

Nawet nie doznał rozczarowania i to go przeraziło. Obojętność na wszystko, apatia — to najstraszniejszy wróg. Nie wolno się rozklejać! Nie wolno tracić nadziei na ocalenie! Kto stracił nadzieję, ten wszystko stracił.

To, co się z nim działo, było tak niewiarygodne!

Czy możliwe, że to wszystko jest prawdą? Czy to istotnie on, Wietługin, leży twarzą do lodu, na krze kołyszącej się miarowo od uderzeń innych tafli lodowych, je śnieg, by ugasić pragnienie, skąpo, raz dziennie odmierza mokre okruchy sucharów i od czasu do czasu podnosi się na klęczki i obrzuca wzrokiem horyzont?...

Przez cały czas morzył go sen. Jakby szary całun zawisł przed oczami. Nie miał sił, by go odrzucić, rozerwać...

Nagle ocknął się, jakby pod wpływem jakiegoś bodźca

zewnątrznego. Coś ważnego zaszło lub też działo się w otaczającym świecie. Nie mógł sobie jednak uzmysłować, co mianowicie, i w zniecierpliwieniu przewracał się z boku na bok na swej krze.

Głos, który go przyzywał, dochodził z góry!

Skazaniec uniósł głowę.

Powoli zosłona przed oczyma rozproszyła się i Wietługin ujrzał nad głową ciągnące stada ptaków.

Dokąd lecą? Po co?...

Uniósł się i oparty rękami o lód odprowadził ptaki długim spojrzeniem.

Skrzydlate sylwetki jedna po drugiej przesuwały się na tle ogromnej, purpurowej tarczy. Słońce zachodziło. Kończył się polarny dzień.

Dopiero wtedy Wietługin uświadomił sobie, że już nastała jesień i że są to przelotne ptaki powracające z wysp Oceanu Lodowatego Północnego na kontynent, do ciepłych krajów.

O, dlaczego nie może polecieć z nimi?! Dlaczego nie ma u ramion skrzydeł, które uniosłyby go na południe, ponad skutym lodami morzem?

Lecieć! Dopędzić ptaki! Pragnienie to było tak silne, że Wietługin zerwał się na równe nogi i rozrzucił ręce, jakby mu rzeczywiście urosły skrzydła.

I wtedy zobaczył ziemię!

Niedaleko od niego ciągnęła się niezbyt szeroka, ciemna smuga.

Wietługin rozejrzał się ze zdumieniem.

Pola lodowe zwały się ciasno i znieruchomiały. Czyżby wreszcie przybiły do brzegu?

Tak, co do tego nie było wątpliwości. Skończyła się wędrówka po morzu!

Wietługin powłókł się po krach w kierunku ciemnej smugi. Mąciło mu się w głowie. Nogi się pod nim ugiwały. Ale zacisnął zęby, siłą woli pokonując straszliwe zmęczenie.

I przez cały czas towarzyszył mu zwycięski zew, płynący zda się z nieba, dodawał otuchy, przynaglał.

Kiedy Wietługin natykał się na zwały lodów, które przesłaniały ciemny pas ziemi, wystarczyło tylko podnieść głowę, by sprawdzić kierunek. Ciągące na południe karawany ptaków nie pozwalały zbłądzić, zbroczyć z drogi. Szedł ku ziemi za powietrznym śladem!...

Czołgając się dobrnął do stromego brzegu i padł na ziemię. Rozrzucawszy ręce przyłgął do niej, chciwie wciągając tak miły sercu zapach.

Tak, to ziemia! Był ocalony! Poczul się znów żywym człowiekiem!...

Odpocząwszy nieco Wietługin zaczął się rozglądać.

Gdzie jest?

Z tyłu za nim, przy wtórze zrywającego się wiatru — zgrzyt i jęk lodów stłoczonych przy brzegu. Gniewały się, rzekłbyś, na człowieka, który zdołał uciec od nich, wyrwać się z niewoli. Przed nim — gigantyczne stopnie gór.

Co to za góry? Przypuszczalnie Byrranga. A zatem on, Wietługin, znalazł się na Tajmyrze, na północno-wschodnim krańcu Półwyspu Tajmyrskiego?...

Więc aż tu „przywiozła” go pływająca kra.

Na tym urywał się stosunkowo zrozumiały tekst.

Dalej była zupełna gmatwanina.

Sawczuk tylko pojękiwał z żalu, a jego ręka tradycyjnym gestem zakłopotania podniosła się ku potylicy.

Bo rzeczywiście, co mogły znaczyć oderwane słowa: „pętlę na szyi dziecka”, „pośpieszyłem na pomoc”, „dużo wysokich drzew”, „prawdopodobnie wulkan”, „pokryte lasem”, „nazywają siebie «Dziećmi Słońca»”, „próba ucieczki” i w końcu „jeńcem Mauka”?...

Luki pomiędzy urywkami zdań, denerwujące przerwy zapełnione wielokropkiem były zbyt duże, by nawet Sawczukowi udało się przerzucić między nimi logiczne pomosty.

„Pętlę”? „Wulkan”? „Jeńcem Mauka”?...

Nic nie można było z tego zrozumieć!...

Sawczuk uważnie sprawdził numerację stronic. Może się gdzieś zawieruszyła jeszcze jedna, której nie przeczytał? Nie, tekst urywał się na słowach: „jeńcem Mauka”.

Etnograf wolno złożył list „przeadresowany” z przyłądka Czeluskin i schował do swej polowej torby. My wszyscy jak zahipnotyzowani śledziliśmy każdy jego ruch.

Pierwszy otrząsnął się z odrętwienia Bulczu.

Unosząc poły sokuja, żwawo skoczył na równe nogi.

— Mówiłem prawdę! — wykrzyknął. — Tam jest las, drzewa! Ten człowiek widział drzewa!...

Dreptał w miejscu, jakby za chwilę miał puścić się w taniec. Potem, żeby w jakiś sposób dać upust rozpie-  
rającym go uczuciom, złapał swą strzelbę i wypalił z obu  
luf w powietrze.

— Uspokój się, Bulczu! Siadaj! — wołano ze wszystkich  
stron. Nieomal przemocą posadzono starego na ziemi.

— On żyje! — powiedziałem, zwracając się do Sawczuka i  
Lizy. — Dlaczego milczycie? Czy zdajecie sobie  
sprawę z wagi tego odkrycia na przyłądku Czeluskin?...  
Piotr Arianowicz żyje!

— Żył — poprawił Sawczuk. — Żył w chwili wysłania  
listu...

— A kiedy list został wysłany?

— Nie ma daty! Ale sądzę, że wkrótce po przybyciu  
Wietługina w góry Byrranga.

— O, więc przeszło dwadzieścia lat temu!

— Tak, niemały szmat czasu!

— Więc coś się z nim stało potem, gdy się dostał  
w góry? — spytała Liza, przenosząc wzrok ze mnie na  
Sawczuka i znowu na mnie.

Sawczuk rozłożył ręce.

— Dowiemy się o tym, kochana, zapewniam cię —  
rzekłem otaczając ją delikatnie ramieniem. Była w tej  
chwili tak bezradna, cicha, nieśmiała, wcale niepodobna  
do zwykłej, głośnej i pewnej siebie Lizy. — Gdy przy-  
dziemy w góry, dowiemy się wszystkiego od samego

Piotra Arianowicza. To niemożliwe, żeby się nas nie do-  
czekał!...

Liza z wdzięcznością przytuliła się do mnie.

— Niech ich diabli porwą! Musieli się pośpieszyć! —  
burczał ze złością Sawczuk, wyciągając znowu z torby  
kopię listu i pochylając się nad nią. — O, co za głupie,  
bezsmyślne pały!

— Kogo tak błogosławicie?

— Waszego przyjaciela Zwonkowa razem z innymi  
hydrologami! Nie, jak można było zrobić takie głupstwo!  
Suszyć skórę! Boże mój!... I po co się śpieszyli? Nie mogli  
przesłać oryginału? Powiedzcie, kto ich prosił, żeby od-  
czytywali tekst, wtrącali się do nie swoich spraw?... Su-  
szyć skórę! Otóż to właśnie: „Nie wsadzaj nosa do cu-  
dzego prosa”.

Nawet nie próbowałem bronić moich kolegów po fa-  
chu. Zarówno ja, jak i Liza podzielaliśmy pretensje Saw-  
czuka do tych „niedźwiedzi polarnych”, którzy przez  
sвій pośpiech zniszczyli drogocenny tekst.

Nikomu z nas nie przyszło jakoś w tej chwili do gło-  
wy, że bez tych „niedźwiedzi” nie mielibyśmy w ogóle  
listu.

A sam Andriej w swej skromności nie podkreślał tego  
faktu.

To było zresztą bardzo charakterystyczne dla niego:  
o tak, wynurzywszy się z cienia, wyciągnąć pomocną  
dłoń, bez zbędnych słów, po prostu, a potem znów usu-  
nąć się w cień, unikając wszelkich objawów wdzięczności,  
jak gdyby oddana przysługa była sama przez się zrozu-  
miała.

Dość szybko jednak opamiętaliśmy się. Nasz Andriej to  
zuch, złoty chłopak — wierny, niezawodny przyjaciel!  
Pomyśleć tylko: przecież nawet nie wiedział, że ja i Liza  
bierzemy udział w ekspedycji Sawczuka!

Odpowiedź wysłana hydroplanem na przyładek Czelu-  
skin ułożona została w jak najcieplejszych słowach. Co  
prawda Sawczuk nie zmienił swego zdania. Chociaż pod-  
pisał odpowiedź, długo jeszcze nie mógł wybaczyć Andrie-



jowi zniszczonego tekstu i na wspomnienie jego imienia zaczynał burczeć pod nosem: „Bezmyślne szalały!... Suszyć skórę!...”

Kiedy lotnik wystartował w drogę powrotną, wszystkich nas ogarnęło dziwne znużenie, nie chciało nam się ruszać ani rozmawiać. Przyszła reakcja po nerwowym napięciu, po niezwykle silnym wstrząsie wewnętrznym.

Jednakże nie było czasu na długie próżnowanie. Zasiadłem do aparatu i pod dyktando Sawczuka zacząłem wystukiwać meldunek do Moskwy o piśmie przekazanym nam z przylądka Czeluskin.

A po kilku godzinach mieliśmy przyjemność usłyszeć radiogram Instytutu Etnografii adresowany: „Do wszystkich polarników, do wszystkich mieszkańców tundry i wszystkich marynarzy, znajdujących się w obecnej chwili na morzach arktycznych!”

Słowa radiogramu były mocne i zwięzłe. Nawoływał do poszukiwań pływających po wodzie klocków oznaczonych sygnałem „SOS” wyjaśniając przy tym, że chodzi o ocalenie rosyjskiego podróżnika i grupy ludzi, którzy z jakichś powodów zagubili się — lub też zabłądzili — w górach Byrranga.

Bardzo mądry i właściwy kroki Wystarczyło rzucić wezwanie, by poruszyć wszystkich mieszkańców naszej Dalekiej Północy: polarników, marynarzy, budowniczych, górników, rybaków, myśliwych. Już oni przeszukają każdą mieliznę przybrzeżną, nie przepuszczą ani jednego drewnianka!..

Najwięcej jednak nadziei pokładałem w mieliznie, o której opowiadał Bulczu. Sądząc z opisu starego myśliwego, znajdowała się ona nieco powyżej ujścia rzeki nie zaznaczonej na mapie. („Niedaleko, zupełnie niedaleko” — zapewniał nasz przewodnik.)

Możliwe, że tam, wśród kupy pni przyniesionych przez wodę z gór („Dużo drzewa, bardzo dużo” — z satysfakcją potwierdzał przewodnik), znajdowały się również pnie znaczone „bracia” tego klocka, który wyłowił Andriej.

A więc jeszcze przed spotkaniem z Piotrem Arianowi-

czem mogliśmy otrzymać jakąś wieść od niego — tym razem już „do rąk własnych”!...

Sawczuk uważał, że na razie została rozwiązana zaledwie pierwsza część zadania stojącego przed nami, ściślej mówiąc, jedna trzecia. Jeszcze nim dotarliśmy do gór, udało się przy pomocy polarników odpowiedzieć na pytanie: „Kim on jest?”

Tajemniczy podróżnik, który wysłał wezwanie o pomoc, „obrączkując” gęsi, znacząc renifery i pływające po wodzie pnie, był Piotrem Arianowiczem Wietługinem. Jak czytelnik widzi, intuicja mnie nie zawiodła.

Nie rozwiązane pozostały dalsze dwie trzecie zadania:

1. Dlaczego za kręgiem polarnym, w górnym biegu rzeki nie oznaczonej na mapie, rośnie las? 2. Dlaczego plemię czy naród, nazywający siebie „Dziećmi Słońca”, kryje się w górach i trzyma w niewoli Wietługina („jeniec Mauka”)?

Odpowiedź na te pytania powinniśmy byli znaleźć już w górach...

# CZEŚĆ DRUGA

## 1. Dziurka od klucza

1

Wydaje się, że Burranga jest zupełnie blisko – o jakieś dziesięć, piętnaście kilometrów od nas.

Jest to, oczywiście, złudzenie optyczne. Góry są znacznie dalej i są o wiele niższe. To refrakcja<sup>1</sup> „podnosi” je — normalne zjawisko w Arktyce. Rzekłbyś, zawisły nad falistą, szarą, połyskującą mnóstwem jeziorok równiną.

Często Byrrangę zasnuwa mgła lub zakrywają nisko pełną, poszarpane chmury. Potem błysnie słońce i jakby drażniąc się z nami, na mgnienie uchyli ruchomej zasłony.

Och, jakże posępne są te góry — czarne, surowe, milczące.

Przejmują lękiem, złowróżbnym poczuciem jakiegoś niebezpieczeństwa. A jednocześnie nie można od nich odebrać wzroku...

Ich kontury przybierają czasem kształt trapezu, kiedy indziej znów przypominają olbrzymią skrzynię stojącą pośród równiny — zależnie od perspektywy, od oświetlenia.

We wszystkich atlasach geograficznych Byrranga figuruje jako wyżyna. Jest to jednak określenie dość względne. Nganasanie rozróżniają tu kilka łańcuchów górskich: Chenka Byrranga (Czarna Byrranga), Syru Byrranga (biała Byrranga) i inne.

<sup>1</sup>Refrakcja — załamanie światła.

Prędzej, prędzej ku góróm!...

...Nasza niecierpliwość udzieliła się Nganasanom. Przy-  
naglali gwizdem swe renifery, bezlitośnie szturchali je  
ostrym końcem choreja\*.

W kotlinach było jeszcze pełno wody, miejscami nawet  
śniegu. Ale na pagórkach ziemia podeschła. Obok burej,  
zeszłorocznej trawy już zieleń się tu wesoło młoda  
trawka.

Wszystkie wiosenne przemiany dokonują się w tun-  
drze z bajeczną szybkością. Trzeba się śpieszyć, śpieszyć!  
Lato trwa bardzo krótko w tych szerokościach geograficz-  
nych.

Wreszcie z jakiegoś pagórka oczom naszym ukazała się  
oślepiająco jasna smuga, ciągnąca się u podnóża gór.  
Mgła? Nie, to migotał w słońcu ogromny obszar wodny —  
jezioro Tajmyr. Nganasanie z szacunkiem nazywają je  
Diamu-turku, co znaczy: jezioro-morze.

Gdzieś tam w północno-wschodniej jego stronie był  
przełaz, wąska szczelina, nieomal dziurka od klucza, przez  
którą mieliśmy się przedostać w góry...

Robiąc zapadniętymi bokami renifery przywiozły nas  
na południowy brzeg jeziora.

Brr, jak tu zimno! Jakbyśmy od razu z zielonej łąki  
wpadli do piwnicy pełnej lodu. Wokół piętrzyły się zwały  
lodów, wyrzuconych potężnym, wiosennym naporem wo-  
dy. Niektóre kry sterczały pionowo do góry, inne two-  
rzyły fantastyczne, błękitnobiałe labirynty. Wiało od nich  
przenikliwym chłodem.

Kamse powiedział, że większe kry przeleżą na brzegu  
do jesieni, nie zdążą nawet stopnieć.

W porównaniu z tym chaosem lodów, woda wydawała  
się czarna, bezdennie czarna.

Argisz szybko posuwał się wzdłuż południowego brzegu  
Diamu-turku.

Przybrzeżne skały pokryte były fantastycznym malo-  
widłem zielonkawych porostów. Tu i ówdzie zdarzały się

<sup>1</sup> Wiosną i latem także jeździ się po tundrze na sankach.  
(Przyp. autora).165

reliktowe paprocie. Na ziemi pełno było skorup dawnych mięczaków, odłamków kości wymarłych zwierząt.

Renifery brnęły brzegiem Diamu-turku jak przez olbrzymie cmentarzysko.

Chciwie wypatrywaliśmy znaczonych pni wśród drzewa wyrzuconego na brzeg. Nie było ich jednak widać. Przypuszczalnie wraz z wodami rzeki, nie zaznaczonej na mapie, spływały do jeziora, i dalej, do morza, gdzieś w innej stronie. Być może, wiatry południowe znosiły całe pływające po wodzie drzewo ku północnemu brzegowi jeziora.

Co prawda Lizie udało się znaleźć wśród lodów kawałek skamieniałego drzewa. Zachowało ono swój wygląd i kształt, lecz stało się twarde i ciężkie jak kamień.

Botanik byłby uszczęśliwiony, gdyby znalazł taki okaz. Sawczuk jednakże skrzywił się, jakby tyknął octu.

— Akurat coś dla nas — zażartowałem. — Wyprawiamy się przecież w epokę kamienną...

Sawczuk tylko spojrzał na mnie z roztargnieniem; widać było, że jest mocno niezadowolony.

— Nam przydałaby się inna drewniana koperta, trochę nowsza — podchwyciła Liza. — I koniecznie ze znaczkami.

— Z jakim znaczkami?

— Mam na myśli trzy kropki, trzy kropki...

— Trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki — poprawiłem.

Brzegi jeziora Tajmyr, drugiego pod względem wielkości jeziora Syberii po Bajkale, posiadają bardzo urozmaiconą rzeźbę. W jego północno-wschodniej stronie znajduje się duża zatoka, która nosi nazwę Jamu-Bojkura. Właśnie tu, według informacji Bulczu, należało szukać ujścia tajemniczej, nie oznaczonej na mapie rzeki.

Okrążywszy jezioro od wschodu, argisz znalazł się w końcu na jego północnym brzegu.

Krajobraz znów uderzająco się zmienił.

Rosło tu niezliczone mnóstwo kwiatów — bladoróżowych, żółtych, niebieskich, fioletowych. Można by pomyśleć, że to troskliwy ogrodnik zasadził klombę.

Kamse i Bulczu wyjaśnili nam, że na Północy kwiaty zawsze rosną ciasno jeden obok drugiego, zbijając się jak gdyby w gromadki. Tak łatwiej jest przetrzymać nie pogodę, nagle porywy wiatru, lak jest po prostu cieplej.

Powiadają: golec ma zawsze sprytnie pomysły. Lecz tutejszą roślinność trudno nazwać golcami. Zerwawszy jeden kwiat stwierdziłem ze zdziwieniem, że jego liście i łodyga są pokryte bardzo gęstym puszkciem, przypominającym puch edredonowy, tylko jeszcze delikatniejszym.

Z tego wynika, że w tundrze nawet kwiaty noszą futra!

Ale przecież mogłyby je przywdziać również i na południowym brzegu jeziora. Dlaczegoż więc południowy brzeg jest prawie zupełnie pozbawiony roślinności, podczas gdy na północnym pełno jest kwiatów?

Liza wskazała na góry. Oto, co sprawia, że rosną tu kwiaty!

Góry Byrranga zasłoniły zatokę Jamu-Bojkura od pożątecznego natarcia lodowców. I po dziś dzień stoją na straży życia, które dzięki nim ocalało. Byrranga stanowi naturalną zaporę, która zagraadza drogę zimnym północnym wiatrom. Pod osłoną gór co wiosny na południowych zboczach wyrastają śliczne „klomby” kwiatów.

Wśród tych „klombów” nasi współtowarzysze wędrowni mieli spędzić lato.

2

Biwakowaliśmy w lesie.

Trzeba było się schylić, by dotknąć wierzchołków drzew.

To las karłowaty. Najwyższe brzoźki nie osiągną nawet piętnastu centymetrów. Jednakże, jak w każdym uczciwym lesie, pełno tu grzybów. Prawdziwe grzyby, średniej, normalnej dla grzybów wielkości. Niektóre znacznie wyższe od drzew i górują nad nimi, z ciekawością wystawiając swe brązowe, okrągłe czapeczki.

Ściąłem równiutko małym kieszonkowym scyzorykiem jedną brzoźkę i zacząłem oglądać przez lupę powierzch-

nię przekroju. Oho-ho, ileż tu wegetacyjnych słów! Raz, dwa, pięć, siedemnaście... Sto cztery słoje! Malusieńkie drzewko liczyło ponad sto lat!

Patrzyłem na ten przedziwny las — przeszło trzy razy starszy ode mnie — z góry, jakby z samolotu. Trudno to nawet nazwać lasem — raczej krzaczki, zarośla. We wszystkie strony sterczały maleńkie gałązki o drobnusieńkich listeczkach. To była brzoza — kue po nganasańsku.

Dlaczego jednak w górach Byrranga, gdzieś w jednym z wąwozów, a więc znacznie dalej na północ od miejsca, w którym się znajdowałem, rosną nie karłowate, lecz normalne drzewa, brzozy trzy razy wyższe od człowieka?...

Zapatrzyłem się na góry.

— A ty dlaczego próżnujesz? Podziwiasz przyrodę — usłyszałem gderliwy głos Lizy. — Pomógłbyś lepiej roz-palić ognisko.

— Wulkan! — orzekłem, siadając obok kupy mchu, nad którą pochylał się Sawczuk. — Piotr Arianowicz znalazł w górach oazę. I odkrył jej pochodzenie. To wulkan!

— Dlaczego wulkan?

Obejrzałem się ze zdziwieniem. Liza, która zadała to pytanie, stała odwrócona plecami do mnie, wyjmując z worka suchary i naczynia.

— Dlaczego?... Przecież w jego piśmie jest powiedziane: „prawdopodobnie wulkan”! Wulkan chyba już nie-czynny. Jednakże w kraterze zachowało się ciepło, jego zbocza są „pokryte lasem”. Tuf wulkaniczny<sup>1</sup> jest nie-zwykle żywny.

Na każdym postoju mówimy tylko o tym. Tematem naszych dyskusji są te nieliczne słowa pisma Piotra Arianowicza, które pozostały dla nas niezrozumiałe i jakby zawisły w powietrzu.

Sawczuk, jako człowiek systematyczny, rozbił je na cztery grupy.

<sup>1</sup> T u f w u l k a n i c z n y — s k a ł a w y l e w n a z ł o ż o n a z l a w y i p o - p i o ł ó w w y r z u c a n y c h p o d c z a s w y b u c h u w u l k a n u .

Słowa: „nazywają siebie «Dziećmi Słońca»” nie wniosły nic nowego poza tym, co już wiedzieliśmy.

Dwa zdania — a raczej urywki zdań — „pętlę na szyi dziecka” i „pośpieszyłem na pomoc” wyraźnie odnosiły się do jakiegoś ofiarnego czynu Piotra Arianowicza. Prawdopodobnie ocalił lub próbował ocalić dziecko, któremu groziła śmierć.

Taki właśnie był nasz Piotr Arianowicz. Bezgranicznie dobry, wielkoduszny, gotów w imię sprawiedliwości poświęcić własne życie!...

Trzecią grupę, według klasyfikacji Sawczuka, tworzyły słowa: „próba ucieczki” i „jeńcem Mauka”. Wynikało z nich, że Piotr Arianowicz próbował ucieczki od „Dzieci Słońca”, chcąc podjąć dalszą wędrówkę na południe. Jednakże przeszkodzono mu w tym — kto i jak, nie wiadomo. Pozostał więc nadal w górach jako jeńiec czy zakładnik tajemniczego Mauka. (Przypuszczalnie Piotr Arianowicz nie był więziony, nawet posiadał pewną swobodę ruchów, skoro udawało mu się „obrączkować” gęsi, znaczyć reny i wysyłać listy w pływających pniach.)

Co do tego nie było różnicy zdań.

Lecz ostatnie, należące do czwartej grupy słowa: „wiele wysokich drzew”... „pokryte lasem” (zbocza, doliny lub wąwozy) i „prawdopodobnie wulkan” nie były takie proste i zrozumiałe.

— Tak, tuf jest bardzo żyzny — przyznała w zadumie Liza.

— W czasach Spartakusa — odezwał się Sawczuk, któremu udało się wreszcie rozpałić mech — w czasach Spartakusa krater Wezuwiusza był gęsto zarośnięty drzewami. Las był tak rozległy, że mogła się w nim ukryć cała armia zbuntowanych niewolników...

— Widzisz i nasz etnograf też to potwierdza!... Zresztą, nie darmo Piotr Arianowicz zajmował się zagadnieniem wulkanów. Przecież jeszcze będąc w Jakucku chciał sprowadzić odpowiednią literaturę. A więc już wtedy uważał, że i na Syberii są wulkany, nie tylko na Kamczatce...

— Piotr Arianowicz mógł się omylić.



Te słowa Lizy odczułem jak bluźnierstwo.

— Piotr Arianowicz?! No wiesz!...

— Nie masz się czego unosić. Na pewno nie mniej od ciebie lubię i cenię Piotra Arianowicza... Ale posłuchajcie, Wołodia. Bądźcie naszym rozjemcą. Przebywając na zesłaniu, Piotr Arianowicz był pozbawiony kontaktów z innymi uczonymi?

— Bez wątpienia.

— Nie mógł śledzić ostatnich nowości naukowych?

— Jakże mógł je śledzić w takich warunkach!

— Zaznaczam, że nie pozwolono mu sprowadzić ani jednej książki naukowej. Jestem przekonana, że nawet nie wiedział o istnieniu tak zwanych fałszywych wulkanów.

— A to co takiego?

— Są różne fałszywe wulkany... — Liza urwała. — Na razie opowiem tylko o jednym rodzaju. To dymiące sopki<sup>1</sup> w Sajanach.

— Tak. Na brzegach Jeniseju, w odgałęzieniach Sajanów spotkać można sopki, nad którymi unosi się jakby dym. Miejscowi ludzie nazywają je wulkanami. Ale to nie jest słuszne. Biorą oni za dym ciepłą parę wodną, wydobywającą się z licznych rozpadlin góry.

— A więc dobrze. Nie Sajany. Ale Kamczatka! — podchwyciłem. — Półwysep wulkanów! Jeśli chcecie wiedzieć, tak właśnie wyobrażam sobie Byrrangę!

— Przecież wy, Lizoczka, byliście na Kamczatce — wtrącił pojednawczo Sawczuk.

— Słusznie! W ubiegłym roku tam byłaś. Nawet zesłaś na dno jednego z kraterów. Jak on się nazywa?... Urona?... Uzora?...

— Uzona. W tym właśnie sęk, moi drodzy, że krajobraz Uzony jest całkowicie odmienny od wąwozu czy doliny „Dzieci Słońca”, o ile możemy sądzić z opisu Bulczu.

<sup>1</sup> S o p k a — nazwa nadawana stożkowatym szczytom i wygasłym wulkanom na Syberii i Kamczatce.

— Jak to — odmienny?

— Oszczędź sami. Krater Uzona — to prawie okrągła, o średnicy paru kilometrów kotlina. Jej środek zajmuje jezioro. Pejzaż iście dantejski — złowrogi, pozbawiony wszelkiego życia. Dla grzesznych dusz przygotowane są tu mniejsze i większe wanny — wrzące baseny o jedno-  
dwo - czy nawet trzymetrowej średnicy. Para bucha z nich kłębam! Nawiasem mówiąc, o mały włos nie wpadłam do takiego przyjemnego jeziora...

Mnie aż poderwało.

— Nic o tym nie wspomniałaś!

— Nie chciałam cię denerwować... No nie złość się, nie złość! Przecież nie wpadłam!... Ziemia tam istotnie jest gorąca w dotyku. Lecz na tym kończy się podobieństwo. Cała powierzchnia pokryta jest żółtawą skorupą krzemionki, bardzo brudną i niemiłą dla oka, chrzęszczącą pod nogami. Oczywiście mowy nie ma o jakiejś roślinności — żadnych kwiatów, żadnych drzew. Zlitujcie się, cóż to za oaza!

— To nie musi być wulkan — odezwał się Sawczuk. — Oaza może powstać bez udziału czynników wulkanicznych.

— A więc i wy występujecie przeciwko mnie?

— Pokażę wam na mapie taką oazę, nawet dwie!...

Wyjął z polowej torby znaną mi już mapę etniczną Syberii, przypominającą kapę z różnokolorowych gałganków.

— Zwróćcie uwagę: dwie brunatne wysepki jakuckie wśród żółtego morza tunguskiego.

— Owszem, widzimy wysepki.

— A jeśli spojrzeć na zwykłą mapę, te właśnie wysepki oznaczone są jasnozielonym kolorem. Dlaczego?

— Oazy?

— Otóż właśnie. W środkowym dorzeczu Leny, na obszarach lasostepów, zachowały się dwie reliktowe oazy stepowe. Przodkowie Jakutów, usłyszawszy o tutejszej wysokiej i soczystej trawie, przekoczowali tu znad Bajkału razem ze swymi stadami. W odróżnieniu od Tunguzów-myśliwych Jakuci są ludem stepowym, pasterzami. Dla bydła muszą mieć trawę. Oto oazy bez wulkanów...

— Wybaczcie — obruszyłem się — ale co ma piernik do wiatraka! W waszych oazach jakuckich rośnie trawa, i to wszystko! A w górach Byrranga — wysokie drzewa, kwiaty, wiosna zaczyna się bardzo wcześnie.

Naraz Liza roześmiała się. Popatrzeliśmy na nią ze zdumieniem.

— Jak dwaj malcy, co się pokłócili w czasie zabawy. Pobjście się jeszcze!

— Z tobą już się biłem — powiedziałem ostygając.

— Pamiętam przecież, a jakże!... Powaliłam cię na ziemię.

— Ty mnie? Jeszcze czego! Sam się potknąłem.

— Sam, sam — natychmiast ustąpiła Liza uśmiechając się. — Przypominam sobie — potknąłeś się o próg! — I zwracając się do Sawczuka dodała: — Nasza znajomość zaczęła się w dzieciństwie od bójki...

— Lepiej, jeśli przyjaźń i miłość zaczyna się od bójki niż odwrotnie — sentencjonalnie wygłosił Sawczuk podnosząc warząchew, którą mieszał zupę w kociołku; dzisiaj była jego kolej gotowania obiadu.

Nasze małe starcia zawsze kończyły się śmiechem. Liza w zadziwiający sposób umiała rozładować atmosferę, gdy widziała, że spór zbyt długo się zaognia. Żart — to była kłapa bezpieczeństwa, wypuszczająca nadmiar pary z kotła.

— Skoro już mowa o dziewczynkach i chłopcach — ciągnąłem dalej — pamiętacie, Władimirze, opowiadaliście kiedyś o pewnej dziewczynce i dwóch chłopcach, którzy przenikali przez „dziurkę od klucza”?

Sawczuk uśmiechnął się.

— To była książka, którą czytałem w dzieciństwie — wyjaśnił Lizie. — Przez zaczarowaną dziurkę od klucza dzieci przedostawały się w przeszłość: w wiek siedemnasty, czternasty, w epokę kamienną...

— Rozumiem! To mi się podoba! — Oczy Lizy rozbłysły. — Chcesz powiedzieć, Losza, że nas można porównać do nich.

— Oczywiście!

— A gdzie nasza „dziurka od klucza”?

Pokazałem na odnogę Byrrangi, podchodzącą prawie ku samemu jezioru.

— Gdzieś tam!...

— Myślisz o rzece nie zaznaczonej na mapie?

—Aha!

— No, tę „dziurkę od klucza” trzeba dopiero znaleźć. To zamek z sekretem!...

3

„Dziurkę od klucza” pomógł znaleźć Żora.

Brzegi Jamu-Bojkury to istny labirynt z mnóstwem wąskich, otoczonych zaroślami wikliny kanałów i zatoczek. Każdą z nich można wziąć za ujście rzeki, by dopiero zapuściwszy się w nią na dobre dziesięć kilometrów stwierdzić, że to tylko długi zalew.

Nganasanie unikali tych stron. Powstrzymywała ich jakaś niepojęta odraza czy lęk, związane z prastarymi zakazami. Właśnie tu przebiegała owa niewidzialna granica, której za nic w świecie nie chcieli przekroczyć.

Po Bulczu też nie spodziewaliśmy się zbyt wiele. Był na rzece wiele lat temu i strach, który go wówczas nie opuszczał ani na chwilę, musiał się chyba odbić na jego pamięci.

Sawczuk brał to wszystko pod uwagę, gdy umawiał się z Aksionowem w sprawie przysłania samolotu.

Nazajutrz po naszym przybyciu do podnóży Byrrangi, nad przycichłym, uspionym, rzekłbyś, jeziorem przetoczył się triumfalny warkot hydroplanu, idącego ostro w dół do wodowania.

— A ja na letniaka — wołał z uśmiechem Żora, osadziwszy maszynę na wodzie. — Przeżulem się, jak widzicie! Zamieniłem płozy na pływaki. No, kto leci ze mną na wywiad? Wy, Władimirze Osipowiczu? Czy wy, Aleksieju Piotrowiczu?

Ale na lot wywiadowczy postanowiliśmy wysłać Bulczu.

Usłyszawszy to, stary myśliwy bardzo się przejął. Lecieć — po raz pierwszy w życiu! — było trochę straszno. Nawet cofnął się o parę kroków od wody, a jego dwie córki, stojące tuż obok, spieszenie uchwyciły starego za poły sokuja. Wygląd Bulczu bynajmniej nie był bohaterski.

Mantugana — jeden z licznych zięciów — zachichotał. To zadecydowało. Przyglądając się wciąż jeszcze z nieufnością samolotowi, Bulczu zaczął się gramolić na skrzydło. Ktoś go podsadził. Córki z okrzykami przerażenia biegły wzdłuż brzegu za hydroplanem, biorącym rozbieg.

Hydroplan z Żorą i Bulczu oderwał się już szczęśliwie od wody, a obie Nganasanki wciąż jeszcze wznosiły ręce i wykrzykiwały coś piskliwymi, gniewnymi głosami. Ile to kłopotów z tym niemożliwym, niepoważnym człowiekiem — ich ojcem! Gdyby to jeszcze ktoś młody zaryzykował unieść się w powietrze, ale taki stary!... Czy to tak trudno w jego wieku wypaść z samolotu!

Jednakże, wbrew wszelkim obawom, niespokojny starsuszek wrócił po upływie pół godziny cały i zdrowy. Wyszedł z samolotu chwiejąc się na nogach, nieco oszumlony i ogłuszony.

Ale gdy tylko przyszedł do siebie, uśmiechnął się szeroko. Oho!... Teraz dopiero stał się naprawdę najpierwszym człowiekiem w tajmyrskiej tundrze: nie tylko słuchał radia i widział kino (dziesięć razy!), ale i latał w powietrzu na podobieństwo ptaka!...

— A jednak nie spotkałem ani jednego szamana — oświadczył, popatrując na spokorniałego Mantuganę.

— Jakiego znów szamana? — nie zrozumiałem.

— Tam nie latają szamani. Tylko jeden Bulczu lata! — I zadowolony z żartu, stary klepnął się po udach i wybuchnął śmiechem.

Ach, prawda! Przecież Bulczu był na „starej szamańskiej trasie”, na powietrznym szlaku, wiodącym do Krainy Siedmiu Traw!...

Żora przeszedł z hydroplanu na brzeg.

— Znaleźliśmy ujście rzeki. W prawym rogu zatoki — zameldował Sawczukowi i pokazał na mapie. — Stary dobrze mówił. Stąd jakieś dwanaście, piętnaście kilometrów. Przed wejściem na rzekę jest mielizna i pięć niedużych wysepek. Zresztą poprowadzę was.

Pocziwy hydroplan znów pomknął po jeziorze, wzbijając pianę na pęsej wodzie, i uniósł się w powietrze.

W ślad za nim ruszyliśmy brzegiem i my, odprowadzani przez wszystkich dorosłych mieszkańców koczowiska.

Dziś zapomniano dla nas o prastarym przesądzie. Nganasanie, którzy przyzwyczaili się już w czasie wspólnej wędrówki dzielić z nami nasze sprawy, pochłonięci niemniej niż my poszukiwaniami legendarnego narodu, bez lęku przekroczyli zakazaną granicę i zapuścili się w przedgórze Byrrangi...

Do rzeki, nie zaznaczonej na mapie, dotarliśmy około północy. Można to było stwierdzić jedynie spojrzawszy na zegarek. Słońce wciąż tak samo krążyło nad tundrą, powietrze było jasne i przejrzyste, jakoś dziwnie rozedrgane. Skały, trawy, kwiaty jakby się przyczyły w oczekiwaniu czegoś niezwykłego.

A może to ja po prostu swój własny nastrój przenosiłem na przyrodę? Przecież dziś powinno się było uchylić wreszcie wieczko zaczarowanej szkatułki pełnej tajemnic!...

Bez pomocy Żory na pewno nie udałoby się nam od razu odnaleźć ujścia rzeki.

Lód, spływający co wiosny z gór, naniósł tu kupy kamieni. Pięć wysepek i kanały pomiędzy nimi stanowiły deltę rzeki. Zarośnięta była gęsto kwiatami i trawą.

Wyobrażałem sobie, jak przed wielu laty młody Bulczu przypędził tu zdrożone renifery. Oto, co chwila lękliwie się oglądając, kluczy po lodzie, usiłując zbić z tropu niesamowitą kobietę w czerni. Potem decyduje się — na chybił trafił daje nura w jeden z wąwozów.

Spojrzałem na Bulczu. Stary myśliwy był wyraźnie zaniepokojony, raz po raz zatrzymywał się i rozglądał na wszystkie strony. Prawdopodobnie krajobraz uległ dużym zmianom od czasu jego bytności w tym miejscu.

Nagle twarz Bulczu się rozjaśniła. Potykając się podbiegł do głazu leżącego w pewnym oddaleniu od brzegu i jakby spotkał znajomego, zaczął skakać przed nim z radości.

— Pierwszy strażnik rzeki! — wykrzyknął z triumfem.

Myślałem, że zobaczę coś w rodzaju statui i byłem rozczarowany. Skała w niczym nie przypominała człowieka. Okazało się jednak, że trzeba na nią patrzeć z dołu, od strony rzeki. Wówczas istotnie miała pewne podobieństwo do człowieka siedzącego w oczekującej pozie.

Drugi „strażnik rzeki” znajdował się nieco wyżej. Na Czukotce takie głazy noszą nazwę: „kigilachy” — kamienie-ludzie.

A więc nie ulegało wątpliwości, że to istotnie ujście rzeki, po której ongiś wędrował Bulczu! Teraz trzeba było płynąć nią w górę, by się dostać do oazy „Dzieci Słońca”.

## II. Cień biegnie za nami trop w trop

1

Jeszcze w Nowotundryńsku przy omawianiu marszruty Aksionow proponował, byśmy płynęli łodzią motorową. Tak oczywiście byłoby najwygodniej. Bulczu jednak uprzedził, iż rzeka jest bardzo wąska, kręta, posiada niebezpieczne mielizny, a nawet progi i motorówka tamtędy nie przejdzie, na pewno ugrzęźnie.

No cóż, popłyniemy na łódkach!

Mieliśmy łodzie o płaskich dnach, zbite z desek, bardzo lekkie, zwrotne, przypominające trochę dwuosobowe kajaki, lecz bardziej pojemne. Siedziało się w nich, jak w kajaku, twarzą w kierunku „jazdy”. Dziób i rufa okryte były brezentem, w którym pozostawiono tylko niewielkie otwory dla pasażerów.

Jeszcze na jeziorze wypróbowałem tę dość kruchą łupinkę i na ogół byłem zadowolony. W takiej łódce czło-

wiek jest osłonięty do pasa. Jeśli nawet zacznie zalewać fala, to nic strasznego, woda spływa po brezencie.

Ledwo tylko zostało odkryte ujście rzeki nie oznaczonej na mapie, nie zwlekając wsiedliśmy do łódek. Do jednej — ja z Lizą, do drugiej — Sawczuk i Bulczu.

Na twarzach odprowadzających malowało się przejęcie i niepokój. W czasie wspólnej wędrówki Nganasanie bardzo zżyli się z nami.

Przedmiotem ich szczególnej troskliwości była Liza. Kamse starannie i to kilka razy sprawdzał, czy nasza łódź jest w porządku, czy brezent dobrze przylega. Mantugana i jego syn, stojąc po kolana w wodzie, przytrzymywali łódkę czekając, kiedy Sawczuk da sygnał do wyruszenia w drogę.

Tylko jeden z odprowadzających — młody człowiek w krótkim kożusku bez rękawów, z antypatią spoglądał na Lizę. Był to krewny Aksionowa, Dołganin, student meteorologii, którego mieliśmy ewentualnie zabrać na wyprawę jako czwartego. Przybycie Lizy przekreśliło jego nadzieje.

Zresztą, ten uparciuch do ostatka nie dawał za wygraną. Po drodze dzielił się ze mną swoimi obawami: Liza może się rozchorować, może się „rozkleić”, przestraszyć trudów wędrówki.

W tej chwili markotny kręcił się po brzegu, podchodził to do mnie, to znów do Sawczuka, niecierpliwie chrząkał, czyniąc wielce wymowne gesty. Chciał, abyśmy wzięli ze sobą kilka baloników meteorologicznych i przeprowadzili w górach obserwacje nad prądami powietrznymi.

— Jeśli nie możecie zabrać mnie, to weźcie chociaż moje baloniki — zanudzał nas. — Naprawdę, co wam to szkodzi. Nic przecież nie waży. Wręcz przeciwnie!... I miejsca nie będą zajmować. Można je przywiązać do burty, i to wszystko! Żaden kłopot!...

W końcu zgodziłem się i uwiązałem trzy baloniki do swojej łódki.

— Teraz już na pewno nie utoniemy! — zażartowałem.



Sawczuk, który był dziś w świetnym humorze, natychmiast podchwycił z uśmiechem:

— Wasza łódka przypomina teraz aerostat! Uważajcie, by was nie uniosło pod obłoki!...

W łodzi Sawczuka i Bulczu złożyliśmy zapasy żywności, koce i namiot. W naszej umieściliśmy połowę radiostację nadawczo-odbiorczą oraz akumulatory, starannie owinięte ceratą, by się do nich przypadkiem nie dostała woda.

Sawczuk spojrzął na zegarek, Bulczu podniósł wiosło. Na brzegu rozległy się pożegnalne okrzyki. Chciałem się odwrócić, by pożegnać Kamsego, i o mało nie wyrzuciłem łódki.

Była ona jednak wyjątkowo wywrotna. Człowiek musiał odmierzać i obliczać każdy ruch jak akrobata na linie. Po to, by się odwrócić, trzeba było obracać całą łódź.

Sawczuk odbił się wiosłem od brzegu.

Szybko wy płynęliśmy na środek rzeki. Prąd był bardzo wartki, musieliśmy uczciwie pracować wiosłami. Lecz było w tym coś podniecającego. Szliśmy do celu na przebój, przeciw prądowi!...

Nganasanie przez jakiś czas odprowadzali nas wzdłuż brzegu, skacząc niczym wróble z kępki na kępkę. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak trudno byłoby nam iść w góry na piechotę.

Mech ugina się pod stopami. Nogi się ślizgają. Rozmokłą po wiosennych deszczach ziemię pokrywa tylko cienka skorupka. Po takiej jeszcze niezupełnie podeschniętej ziemi znacznie trudniej iść, niż po głębokim śniegu. Siódme poty biją na piechura.

Ale nasi przyjaciele długo jeszcze szli brzegiem, machając rękami i wołając coś, co miało nam dodać ducha. To gremialne pożegnanie było naprawdę wzruszające.

— Cóż odprowadzają nas z honorami — powiedziałem do Lizy, — Spójrz, nawet z kwiatami!...

Nganasanie nie mieli w rękach bukietów. Kwiaty były wokół nas. W przeddzień spadł deszcz i tundra przybrała odświętną szatę.

Zadziwiająco są te kwiaty Północy, o skromnych, nie rzucających się w oczy, przyćmionych kolorach, jakby przesłonięte leciuteńką, prawie nieuchwytną mgiełką.

Kwiaty są szczególnie cenione za kręgiem polarnym. Nie wiem, czy są gdzieś na Południu wyspy nazwane na cześć jakiegoś kwiatka. A w Arktyce istnieje na przykład wyspa Siwiersji. Tak nazwał ją znany rosyjski podróżnik Toll, który znalazł się tam na wiosnę i oszołomiony był ogromną ilością kwiatów na stosunkowo niewielkiej przestrzeni.

Siwiersję nazywają też „różą tajmyrską!”.

Żółte, kruche kwiaty „tajmyrskiej róży” plastycznie rysowały się na tle śniegu. W skalnych rozpadlinach białł się jeszcze śnieg. Mignęły złociste jaskry, potem bladeżółte maki, a dalej ukazała się naszym oczom kotlinka prawie całkowicie zarośnięta niezapominajkami. Uderzył mnie tak silny zapach, jakby wiatr rzucał nam w twarz pachnące garście trawy.

— Przecież niezapominajki nie pachną?

— Na Północy pachną, Losza! — rzekła Liza. — Sam przecież mówił: kraina cudów, baśniowa kraina...

Idący brzegiem Nganasanie powoli zaczynali pozostawać w tyle. Najwytrwalej dotrzymywał nam kroku młody meteorolog. Szedł tuż nad wodą, gestykulując z ożywieniem. Głosu nie było słyhać — na pewno prosił, byśmy nie zapomnieli o balonikach. W końcu i jego młodzieńczo gibka postać zniknęła za zakrętem.

Jednakże długo jeszcze towarzyszył nam wesoły warkot samolotu. To Żora nie mógł tak od razu z nami się rozstać i odprowadzał nas w górę rzeki przez jakieś dobre piętnaście minut.

To leciał w przód, to zawracał, zataczał koła, chwilami zniżał się prawie nad samą wodę, tak że widzieliśmy jego szeroko uśmiechniętą, ogorzałą twarz.

Wtedy Bulczu przybierał bardzo godną minę. Uważał, że te ceremonie odbywają się na jego cześć. Pilot zęgnął śmiałego Nganasanina, który nie bał się wznieść pod

niebo, ażeby zobaczyć stamtąd ujście rzeki nie oznaczonej na mapie.

Myślę, że chodziło jednak o coś innego.

Delta rzeki była bardzo rozgałęziona. Troskliwy Żora chciał nam pomóc wydostać się jak najszybciej z labiryntu kanałów i zatoczek. Płynęliśmy za hydroplanem, jakby przywiązani niewidzialną nitką do wesoło połyskującego w słońcu srebrzystego ptaka.

Dopiero wyprowadziwszy łódki na szerokie wody, Żora uznał, że może już nas pozostawić samych. Jeszcze raz zatoczył krąg, pomachał na pożegnanie skrzydłami i poleciał w drogę powrotną do Nowotundryńska.

Bulczu odwrócił się i coś krzyknął. Podpłynęliśmy bliżej.

— Żora to wspaniały człowiek — stwierdził z przekonaniem Bulczu.

Oczywiście! Wszyscy, którzy pomagali naszej ekspedycji, byli wspaniałymi ludźmi.

## 2

Dość niepewnie czuje się człowiek na rzece w takiej wątlej, kruchej łupince. W górze obłoki, w dole ich odbicie. Wrażenie takie, jakbyśmy zawisli między niebem a ziemią.

Ale nie ma czasu oddawać się rozmyślaniom, analizować wrażeń. Całą uwagę trzeba skupić na tym, by utrzymać równowagę. To nie jest takie proste kierować łódką na bystrej górskiej rzece!

Staralem się nie patrzeć na kotłującą się, ciemną wodę, na groźne, podchodzące niemal do samej wody skały. Patrzyłem na kwadratowe plecy płynącego przed nami Sawczuka. Podobnie jak niedawno w tundrze, sam widok jego szerokich barów napawał mnie spokojem. Sawczuk prawdopodobnie już nieraz bywał w podobnych opałach — wyczuwało się to we wprawnych, pewnych ruchach jego wiosła.

Rzeka skręcała gwałtownie, wpadając w ciasny, szary wąwóz, po którego zboczach spływały, rzekłbyś, potoki granitu.

Kanion stawał się coraz węższy. Góry Byrranga zwierzały się, jakby chciały zagrozić nam drogę.

Nad głową wciąż tak samo jaśniało błękitne niebo, lecz rzeka pogrążona była w cieniu padającym od gór. Posuwaliśmy się naprzód w sinym mroku.

Mniej więcej co pół godziny Bulczu zarządzał odpoczynek. Upatrzywszy na stromym brzegu krzew polarnej wierzyby, podnosił wiosło w górę, co było sygnałem dla mnie i Lizi. Przybijaliśmy do sąsiedniego krzaka, chwytając się zwisających nisko nad wodą gałęzi, by prąd nas nie zniósł.

Odetchnąwszy nieco, po pięciu minutach ruszaliśmy dalej.

Od czasu do czasu robiłem pomiar głębokości, określałem na oko wysokość skał, nanosiłem na mapę zakręty rzeki.

Jak się okazało, mapa wydana w 1938 roku była zupełnie do niczego.

Gdyby jej wierzyć, wypadaloby, że płyniemy po łądzie. Mało tego. Na mapie w tym miejscu rozciągała się nizina. A my tymczasem płynęliśmy wzdłuż wąskich, górskich cieśnin. Wokół piętrzyły się skały Byrrangi, która podchodziła do jeziora Tajmyr znacznie bliżej, niż do tej pory mniemano.

Z tego wynikało, że po naszym powrocie kartografowie będą musieli zmienić kolory na mapach. Zamiast zielonego, jakim się oznacza niziny, nałożą na północny brzeg jeziora kolor ciemnobrązowy, oznaczający góry.

To rzecz prawdziwie pasjonująca śledzić bieg rzeki, iść jej naprzeciw, szukając, gdzie — za którym występem skalnym, za którym zakrętem — znajdują się jej źródła, początek! Właściwie to stanowi istotę prawie każdej naukowo-badawczej pracy. Lecz my szukaliśmy źródeł tajemnicy w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Na razie rzeka płynęła dokładnie z północy na połud-

nie. Nie było jednak wykluczone, że czekają nas jeszcze niespodzianki. Mogła zrobić nagle kapryśny zakręt, odciągnąć nas od gór daleko na wschód lub na zachód.

Tymczasem każdy kilometr zdobywaliśmy w ciężkim trudzie. Wiosłowanie pod prąd było bardzo męczące. Myślałem już o żaglu, ale wiatr w tych górach zmieniał się niestannie, jak koło przylądka Horn: raz dał prosto w twarz, to nagle uderzał w plecy, to znów, wyskoczywszy skądś zza zakrętu, z siłą nacierał na burzę.

Zanocowaliśmy na trzęsawisku. Ziemia ugięła się tu pod nogami, jakby była z gumy. Wokół piętrzyły się strome, urwiste brzegi. Ten mszar, wchodzący klinem między skały, był jedynym miejscem, gdzie można było rozbić obóz.

Tego samego wieczora odprawiliśmy przy ognisku „chrzciny” rzeki, której nie było na mapie.

Sawczuk zaproponował, by ją nazwać Rzeką Czasu, jako że podążając ku jej źródłom, odbywaliśmy jak gdyby wędrówkę w minione stulecie.

— Nazwa ta odpowiada charakterowi naszej wyprawy, zasadniczo etnograficznej — dodał skromnie.

Liza jednakże ujęła się za geologią, uważając się za jej przedstawiciela.

— Która początkowo była etnograficzna, drogi Wołodia — sprostowała. — Obecnie nasza ekspedycja jest geologiczno-etnograficzna. Moskwa tak postanowiła...

— No, oczywiście! Etnografowie odkryli oazę, zwrócili na nią uwagę, a teraz...

— No, skoro już o tym mowa — wtrąciłem — w imię sprawiedliwości nie należy zapominać o hydrologach.

— Słusznie — przyznał chętnie Sawczuk. — Okazaliście dużą pomoc w odgadnięciu śladu etnograficznego, sygnału „SOS”...

— Nie mówię o sobie. Ale bez Andrieja i jego współpracowników nie mielibyśmy pisma, znalezionego w pływającym drzewie.

— W ogóle to coś w rodzaju sztafety — rzekła Liza,



przerywając żartobliwą sprzeczkę. — Do poszukiwań włączają się po kolei przedstawiciele różnych zawodów...

— W tej liczbie również myśliwiec Bulczu. Jak to ty nazwałeś swoją rzekę, Bulczu? — zwróciłem się do starszka, który stał przy kociołku i z uroczystą miną przygotowywał kolację.

— Potaden — odparł nasz przewodnik.

— Co to znaczy?

— To przekręcone rosyjskie słowo „potajonnaja”<sup>1</sup> — podchwycił Sawczuk. — Nganasanin przeinaczył je po swojemu. Wyszło z tego: Potaden.

— W takim razie już lepiej Rzeka Tajemnic — powiedziałem. I z wolna powtórzyłem na głos: — Rzeka Tajemnic! Tak, to wcale nieźle brzmi.

— A ja nazwałabym ją Ognista... — rzuciła nagle Liza.

— Ognista? dlaczego Ognista?

— Jakoś mi się zdaje, że to by do niej pasowało — odparła w zadumie patrząc przed siebie.

— Zaczynasz się wymądrzać, mówić zagadkami. To nudne, moja droga. I bez tego mamy dość zagadek...

— Rzeka Czasu jest najlepsza — obstawał przy swoim Sawczuk. — Posuwamy się właśnie przeciw biegowi czasu, podążamy ku źródłom historii ludzkości.

I spojrzawszy w stronę Bulczu, dodał znacząco:

— A może, mówiąc bardziej konkretnie: ku źródłom historii Nganasanów!

— Ach tak!

— Tak. Przypuszczam, że w górach żyje starożytny naród Paleoazjatów<sup>2</sup>, przodkowie współczesnych Nganasanów!

— Którzy zatrzymali się w rozwoju?

— Coś w tym rodzaju...

Jeszcze trochę posprzeczailiśmy się i w końcu wszyscy się zgodzili na moją propozycję: Rzeka Tajemnic. Wpisałem na mapie nową nazwę i dwa razy podkreśliłem. Mapa

Potajonnaja — tajna, potajemna.

\*Paleoazjaci, czyli grupa paleosyberyjska — pierwotne ludy Azji północno-wschodniej.

od razu przybrała inny, bardziej sensowny wygląd, jakby ożyła.

A rano, gdyśmy się obudzili, stwierdziliśmy, że pozostała nam tylko jedna łódź. Obok niej na mokrej ziemi czerniała głęboka bruzda. Prawdopodobnie drugą łódkę woda zniosła z brzegu i prąd porwał ją, gdyśmy spali.

Co prawda Sawczuk — była to łódź Sawczuka i Bulczu — zaklinał się, że wyciągnął ją, jak należy do połowy na brzeg. Według jego zapewnień, doskonale to pamiętał.

— Nie jestem przecież dzieckiem ani to nie jest moja pierwsza wyprawa — zżymał się. — Nawet od dołu podparłem łódź kołkami, słowo honoru! Dlaczego milczycie? Dlaczego wszyscy patrzycie na mnie takim dziwnym wzrokiem?

— Kiedy umocowywaliście łódkę, myślami na pewno byliście już w oazie — mruknęła Liza.

— To moja wina, przyznaję — rzuciłem surowym tonem. — Powinienem był was przypilnować.

Bulczu nic nie powiedział, ale miał bardzo niezadowoloną minę.

Doganiać teraz uciekinierkę nie miało oczywiście sensu. Zajęłoby to nam zbyt wiele czasu.

Urządzając się poprzedniego wieczoru na nocleg, wyjęliśmy z łódki prawie wszystko, co się w niej znajdowało. Przepadły tylko dwie patelnie i koc. Ale i tak część ładunku trzeba było zostawić. Mogliśmy zabrać z sobą tylko to, co było najbardziej niezbędne: radiostację i broń. Przecież musieliśmy się teraz pomieścić we czwórce w jednej łodzi.

Dalsza wędrówka komplikowała się.

### 3

Na miejscu naclegu zostawiliśmy namiot, koce, wszystką mąkę, konserwy, a nawet cukier. Trzeba się będzie żywić „własnym przemysłem”. Nic strasznego! Latem w tundrze i w górach nie można umrzeć z głodu, gdy się ma broń.



Biały szlak piany biegnie wzdłuż brzegów Rzeki Tajemnic. Wygląda to, jakby dopiero co spłynęła z nich fala morskiego przyływu.

Przed chwilą znajdowało się tu ogromne stado dzikich gęsi. Za naszym zbliżeniem stado gwałtownie rzuciło się do ucieczki, gęgając i wymachując skrzydłami. „Piana” — to pozostałe na brzegu pióra i puch.

Czerwiec jest okresem pierzenia się dzikich gęsi. Utrata piór pozbawia je zdolności latania i upolowanie takiego ptaka nie wymaga najmniejszego trudu. Prawdę mówiąc, nie można tego nawet nazwać polowaniem. Bulczu po prostu biegł za upatrzoną gęsią i zabijał ją kijem. Potem, oskubawszy wkładał do wiaderka z wodą i stawiał na ogniu.

Z początku dotrzymywałem towarzystwa Bulczu w nadziei, że natrafimy na gęś „obrączkowaną”, jak ta, którą przysłano do muzeum. Ale „obrączkowanych” nie spotykaliśmy. To nie było takie proste. Przecież po tundrze brodziły teraz dziesiątki, setki tysięcy pierzących się gęsi!

Niestety, nie można powiedzieć, by nasze menu było zbyt urozmaicone. Gęsina figurowała w nim we wszelkich postaciach: gęś pieczona, gęś gotowana, rosół z gęsi, wątróbka gęsia. Wkrótce nie mogłem już patrzeć na gęsi ani żywe, ani zabite! Tylko jeden Bulczu rozkoszował się i z głośnym cmokaniem wysysał kości. Okres pierzenia się gęsi to dla Nganasanów coś w rodzaju naszych zapustów.

Wszyscy staraliśmy się, w miarę możliwości, jakoś urozmaicać nasz wikt.

Nawet Sawczuk, wiecznie pogrążony w rozmyśleniach o pranarodzie, o przodkach Nganasanów, pewnego razu postanowił nas uraczyć: podczas swego dyżuru podał wprawdzie na stół nieodzowną gęś — ale z garniturem. Były to cienkie, żółte korzonki, gorzkawe w smaku, nazywane nie wiem dlaczego dziką marchwią.

— Tutejsze witaminy — zalecał Sawczuk, próbując za pomocą naukowego komentarza uczynić „jarzynę” bardziej strawną.

Ja z kolei chciałem uraczyć towarzyszy jajecznicą. (Bulczu bardzo zachwalał jaja wydrzyka.)

Jednakże ptasie jaja zabawiły się ze mną w chowanego

Krążyłem wokół naszego obozu chyba z pół godziny. Właśnie krążyłem, gdyż jaja znajdowały się gdzieś w pobliżu. Byłem o tym przekonany, widząc, jaki niepokój wzbudziły moje poszukiwania u pary wydrzyków, które wykonywały nad moją głową skomplikowane ewolucje wyższego pilotażu: spadały jak kamień w trawę, wzbijały się nagle w górę tuż spod moich nóg, to znów się oddalały, lecąc bardzo nisko i udając, że mają złamane skrzydła — słowem, wszelkimi sposobami starały się odwrócić moją uwagę od jaj.

Gdyby ptaki się nie zdradziły, pewno machnąłbym ręką na wszystko i poszedłbym sobie. Ale to podnieciło mój apetyt. A więc — jaja były gdzieś tuż obok, tylko po prostu ich nie widziałem.

Wreszcie nadszedł Bulczu, zły i zaspany — obudził go Sawczuk, który był bardzo głodny. Po jakichś niepojętych dla mnie oznakach odnalazł gniazdo. Ku memu zdumieniu jaja nawet nie leżały w dołku, lecz wprost na ziemi, ale zupełnie zlewały się z szarym tłem.

Liza natomiast przekładała nad wszystko jagody, zbierając w czasie postoju moroszki i brusznice.

Sawczuk i ja prosiliśmy ją, by się nie oddalała od obozu, a przynajmniej zabierała ze sobą broń, lecz Liza zawsze postępowała według własnego uznania.

Któregoś dnia rąbałem drzewo. Przedemną rozciągały się gęste zarośla karłowatych cedrów. Ich gałązki spletały się ze sobą, jak gdyby te maleńkie, najwyżej półmetrowe drzewka mocno trzymały się jedno drugiego. Tylko w ten sposób mogły się ostać na górskich zboczach. Wiatry w tych okolicach są bardzo silne i wyrwałyby je z korzeniami, gdyby się wzajemnie przytrzymywały.

Lecz główną zaletą karłowatych drzewek jest co innego. W zimie okrywają się po wierzchołek śniegiem, niczym grubą puchową pierzyną.

Nigdy dotychczas nie miałem do czynienia z krzewia-

stym cedrem. Okazało się, że to drzewo jest diabelnie odporne. Uderzyłem w pień siekierą, lecz z bardzo małym efektem: ostrze uwięzło w prężnym, elastycznym drzewie.

Znów powtórzyłem próbę. Na próżno! To był jakiś czarowany las z bajki.

Ocierając pot z czoła wyprostowałem się i zobaczyłem na porośłym mchem bloku po drugiej stronie lasu uśmiechniętą Lizę. Śmiała się z mego niepowodzenia. Czym prędzej pochyliłem się znów nad cedrami.

Jakże kurczowo czepia się życia wszystko, co żyje na Dalekiej Północy, z uporem przystosowując się do surowej tutejszej przyrody! Drzewa tulą się do ziemi, szukając ochrony przed zimnem i wiatrem na jej matczynym łonie. Polarna sowa „przebrała się” cała na białe i nauczyła się widzieć w dzień, aby nie zginąć z głodu w czasie jasnego lata polarnego. Lemingi „przeżuły się”, żeby im było wygodniej rozgrzebywać śnieg w poszukiwaniu żywności. Ich pazury przypominają kopytka.

Cóż w takim razie mówić o ludziach! Dlaczego by nie można przypuszczać, że „Dzieci Słońca”, u których Piotr Arianowicz znalazł schronienie, przeżyły w górach i żyją do tej pory?

Nganasanie opowiadali o zaklętych niedźwiedziach. A może byli to po prostu ludzie, odziani w skóry niedźwiedzie włosom na wierzch?

Rozmyślając nad tym podniosłem oczy. Nie opodal mnie stał niedźwiedź, który nagle podniósł się na tylne łapy, pomrukując ze zdziwieniem.

Niedźwiedź brunatny z wyglądu sprawia wrażenie łagodniejszego niż biały. Nie ma takiej spiczastej mordy i jest bardziej krępy. Z zasady jest niby to wegetarianinem, ale podobno przy okazji chętnie od tej zasady odstępuje.

Nie od razu uświadomiłem sobie, że niedźwiedź zagraża nie mnie, lecz Lizie, którą dzieliło od niego jakieś dziesięć, piętnaście kroków.

Sytuację komplikowała jeszcze okoliczność, że była to niedźwiedzica z młodymi.

Dwa pocieszne niedźwiadki wlażyły do kałuży i stojąc na tylnych łapach, ochlapwały się wzajemnie wodą. Usłyszawszy jednak ostrzegawczy pomruk matki, przerwały zabawę i skryły się w zaroślach.

Rzuciłem się na pomoc Lizie, wymachując siekierą. Przeklęte krzaki nie puszczały mnie, jakby to były nie krzaki, lecz zasieki z drutu kolczastego.

Tak bywa niekiedy we śnie: człowiek dokądś śpieszy, chce coś zrobić, lecz czuje, że nie może oderwać nóg od ziemi ani podnieść rąk, które stały się ciężkie jak ołów.

Na szczęście Liza zachowała przytomność umysłu. Powiedziała do niedźwiedzicy „a kysz”, jakby do czupurnego koguta, i zaczęła się powoli oddalać.

Nie wiem, jak zachowałyby się niedźwiedzica, gdyby do akcji nie wkroczył ktoś czwarty. Akurat w tym czasie Sawczuk, który znajdował się na dole przy łodzi i nie widział dramatycznej sceny z niedźwiedzicą, postanowił, nie czekając na nas, wypuścić jeden z baloników meteorologa.

Nagle zza skały wyleciała czerwona kula i przemknęła nad lasem. Liza wydała okrzyk. A na niedźwiedzicy balon wywarł jeszcze silniejsze wrażenie. Jej delikatne damskie nerwy nie wytrzymały. Ryknęła dziko i rzuciła się do ucieczki, wysoko podrzucając chudy zad.

Liza była z tego bardzo niezadowolona.

— Co ci złego zrobiła ta niedźwiedzica rodzina? — wypominała mi przy kolacji. — Rzucił się z siekierą, przstraszył niedźwiadki!... Chciałam je sfotografować. Akurat się przygotowałam, a ten...

— Przecież niedźwiedzica szła na ciebie!

— Nic podobnego! Ona szła na ciebie. Od razu się jej nie spodobałeś. Dobrze ją obserwowałam. Z początku udawała, że nas nie widzi, i skromnie wygrzebywała koczowanie. A potem ty skoczyłeś, narobiłeś wrzasku, no i...

Skryłem się przed jej żartobliwym gniewem za szerokie plecy Sawczuka praktykowałem.

— To nasz etnograf je przestraszył — odparłem. — Balony to niezawodna broń.

Sawczuk nie zareagował na żart. Uśmiechał się do siebie i w ogóle cały promieniał.

— A przecież to spotkanie z niedźwiedzicą nie jest przypadkowe — odezwał się.

— Jak to?...

— To znaczy, że oaza powinna być gdzieś niedaleko. Inaczej, co by robiły tutaj niedźwiedzie. Pomyślcie tylko, z jak daleka przywędrowały. Widocznie czują bliskość lasu, zdążają ku niemu. Instynkt je prowadzi...

Z powątpiewaniem spojrzałem na Sawczuka. Znałem dobrze podobny stan ducha. W tej chwili etnograf nie widział przed sobą nic prócz oazy „Dzieci Słońca”, i wszystko, cokolwiek się działo, kojarzył z tą oazą.

A zresztą, może miał rację...

4

Już następnego dnia bliskość oazy potwierdził nowy, niezbity, lecz mocno niepokojący dowód.

Rano odkryłem ślady niedźwiedzia, który odwiedził nasz biwak. Nocny gość nie był złodziejem. Nawet nie tknął kociołka z nie dojezionej gęsiną ani ryby złowionej z wieczora i przeznaczonej na śniadanie. Natomiast z niepojętym zainteresowaniem oglądał naszą łódź. Musiał ją obejść najmniej z pięć razy dokoła. Tropy niedźwiedzie były tu szczególnie splątane.

To dziwne, że ani ja, ani Liza nie słyszeliśmy jego stąpania. Tej nocy akurat spaliśmy w łódce — Liza uważała, że na brzegu jest zbyt mokro, a namiotu i koców już nie posiadaliśmy.

— Mieliśmy dziś wizytę — oznajmiłem na głos. — Słyszysz, Liza? Może to nawet twoja znajoma. Chciała cię odwiedzić...

Sawczuk i Bulczu wysunęli głowy ze śpiworów. Liza już cesała się siedząc w łódce. Ziewnęła i ze zdziwie-

niem spojrziała na mnie. Potem jej zaspana twarz ożywiła się:

— Znajoma? Jaka znajoma?

— Powiedziałbym nawet, że wykazała dość dużo delikatności — ciągnąłem dalej. — Chodziła nieomal na paluszkach, żeby nas nie zbudzić.

Bulczu podszedł do mnie, przykucnął obok i zaczął się przyglądać śladom. Kiedy się wyprostował, uderzyła mnie zmiana, jaka zaszła w jego twarzy. Miał chmurnie ściągnięte brwi, oczy mu się zwężyły.

— Co jest, Bulczu?

Myśliwy nie odpowiedział. Niemal biegiem obszedł dookoła łódkę. Liza patrzyła na niego zdziwionym wzrokiem — ręka z grzebieniem zawisła w powietrzu. Bulczu skoczył w bok, w krzaki i nisko się nachylił, jakby szukał czegoś na ziemi.

Sawczuk postępując wygramolił się ze swego śpiwora.

— No co, Bulczu!

— To nie był zwykły niedźwiedź.

— Zaczarowany? — roześmiałem się, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Wzburzenie Nganasanina mimo woli udzieliło się i mnie. — Słuchajcie! — zwróciłem się do Lizy i Sawczuka. — Bulczu zrobił się zupełnie niemożliwy, wszędzie widzi czary.

— Nie. To był człowiek — rzucił myśliwy, wciąż jeszcze przyglądając się śladom.

— Co za człowiek?

— Dwóch lub trzech ludzi. Tak, trzech. Dwóch siedziało w krzakach, kurzyli fajki. Oto popiół... Trzeci był przy łódce...

— A ślady?

Myśliwy uśmiechnął się lekceważąco:

— Obuś się w łapy niedźwiedzie...

— Nie rozumiem?...

— Prosta rzecz. Zabił niedźwiedzia. Odciął łapy. Przywiązał sobie do nóg. Chodzi nocą i wypatruje. Niech sobie ktoś myśli, że to niedźwiedź chodzi, a nie człowiek.

Liza i Sawczuk przyłączyli się do nas.

— To dziwne! — rzekł Sawczuk marszcząc czoło. — Kto by to mógł być?

— Nganasanie? — wyraziła przypuszczenie Liza, — Może nas dopędzili?

— Skądże! Przyszliby jawnie. Nganasanie to przyjaciele. Po co im niedźwiedzie łapy?

— A zatem — wrogowie?

— Prawdopodobnie.

— Więc kto?

Milczeliśmy. Sądząc po wyrazie twarzy moich współtowarzyszy, mieli odpowiedź na końcu języka.

— Kamienni ludzie — powiedział półgłosem Bulczu i wciągnąwszy głowę w ramiona, obejrzał się. My też obejrzelśmy się.

Dziwna rzecz, jak nagle wszystko dokoła się zmieniło. Krajobraz wyglądał zupełnie inaczej niż pięć minut temu.

Tak samo migotała w słońcu rzeka. Nad wodą piętrzyły się te same spokojne, szare skały. Ale wiedzieliśmy teraz, że jest to spokój pozorny. Wszędzie mogli się ukrywać szpiedzy. Mogli przyczaić się za tym oto wielkim głazem, podobnym do żaby, mogli leżeć w tej oto kotlinie zarośniętej niezapominajkami — skupieni i cisi, nie zdradzając się niczym, jak to potrafią tylko ludzie pierwotni.

Poczułem dziwne skrępowanie ruchów.

Doznawałem nieprzyjemnego uczucia, jak gdyby ze wszystkich stron polany bieгло i krzyżowało się na mnie mnóstwo baczących spojrzeń, lepkich jak pajęczyna. Kiedy schodziłem do rzeki po wodę — dziś na mnie przypadała kolej gotowania — nawet się potknąłem.

Śniadanie zjedliśmy szybciej niż zwykle, zamieniając ze sobą tylko krótkie, skąpe zdania. Wszystko było jasne: natknęliśmy się na przednią straż „Dzieci Słońca”. Teraz szła ona za nami krok w krok, z biegiem Rzeki Tajemnic.

Być może, zniknięcie łodzi też nie było kwestią przypadku? Może niesłusznie obwiniliśmy Sawczuka o roztargnienie? Łódź mogli ściągnąć zwiadowcy „Dzieci Słońca”, by utrudnić nam wędrówkę!

Liza przyznała się, że nieomal od samego początku przebywania na rzece czuła się nieswojo.

— Trudno to nawet wytłumaczyć — mówiła, wstrząsając się jak od zimna i raz po raz oglądając się. — Jakbym weszła do ciemnego pokoju, a tam ktoś był. Nie widzę go, ale wiem, że jest!

— Po prostu jesteś bardziej wrażliwa niż my — zauważyłem.

— Rozumiecie, jakby ktoś stał w kącie, przywarłszy do ściany, i czekał. Jeśli wyciągnę rękę lub zrobię krok w ciemności, to...

— Lecz my mimo wszystko zrobimy ten krok — oświadczył stanowczo Sawczuk, podnosząc się. — Nic innego nam nie pozostaje, towarzysze. Mam nadzieję, że „Dzieci Słońca” zorientują się z naszego zachowania, iż przychodzimy do nich z pokojowymi zamiarami.

Ja jednak nalegałem, by wprowadzić nocną wartę. Należało się zabezpieczyć przed niespodziankami.

I znów rzeka łagodnie wije się przed nami. To płynie migotliwą, szeroką wstęgą, to znów przechodzi w posępny, wąski korytarz. Niezmacona cisza dokoła. Słychać tylko, jak spadają krople wody z miarowo unoszących się wioseł i jak pod dnem łodzi bulgocze woda.

A równolegle z nami przesuwiają się cienie. Być może, że to po prostu cienie przepływających po niebie obłoków. Nie chcę o tym myśleć i nie patrzę na boki — na rwącej górskiej rzece nie wolno się gapić. Ale przez cały czas pamiętam o tym, że za naszą łodzią biegną po brzegu bezgłośnie, szybkie cienie...

### III „Mól książkowy”

1

Czy daleko jeszcze do oazy? — spytałem Bulczu na następnym postoju.

— Niedaleko. Całkiem niedaleko. — Bulczu chwilę po-



myślał, popatrzył na skały, obliczał coś w pamięci: — Jeszcze jakieś pięć, sześć, może siedem dni! — oświadczył.

Musiałem mieć niezbyt zachwyconą minę, gdyż przewodnik dodał skwapliwie:

— Mielizna jest jeszcze bliżej.

— Co za mielizna?

— Już zapomniałeś? Gdzie dużo pływających pni. Są tam i białe. Ty i twój towarzysz lubicie białe drzewa.

Bulczu nas nie okłamał. Pod wieczór ukazała się zza zakrętu piaszczysta mielizna, a na niej — stopy drzewa.

Szybko przybiłem do brzegu. Wszyscy wyskoczyliśmy na piasek.

Sosny, jodły, modrzewie i brzozy leżały pokotem, jedne na drugich. Widocznie wiosną, w okresie wysokiej wody, spływały z gór. Część z nich docierała do jeziora, inne potykały się o progi i grzęzły na mieliźnie. Sterczały w górę połamane gałęzie, konwulsyjnie powykręcane korzenie.

Byliśmy wstrząśnięci. Wyglądało to, jakby las, do którego zmierzaliśmy, sam wyszedł nam naprzeciw. Teraz już nie można było wątpić w istnienie oazy.

Każde z nas inaczej zareagowało na ten zdumiewający fakt. Bulczu stał w dumnej pozie, oparty o wiosło, z niecierpliwością czekając na pochwały. Liza w podnieceniu przebiegała od pnia do pnia — dotykała ich, gładziła szorstką korę, jakby nie wierząc własnym oczom.

Sawczuk pośliznął się i o mało nie upadł, zapatrzywszy się na drzewa. Podtrzymałem go za łokieć.

— Nie możemy się skarżyć, oaza wysłała delegację na nasze przywitanie — zażartowałem, by rozładować nerwowe napięcie.

Wyciągnąwszy łódkę na brzeg i pozostawiwszy przy niej Lizę, my trzej ruszyliśmy piechotą wzdłuż mielizny.

Bardzo skrupulatnie badaliśmy pnie, przewracając je, oglądając z wierzchu, od spodu, z boków. Minęło pół

godziny. Znaku — trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki — nigdzie nie było.

— Czy jesteście pewni, że tu gdzieś jest list od Piotra Arianowicza? — spytał Sawczuk.

— Nie jestem pewny. Przypuszczam. — Sawczuk wyprostował się stojąc pośród pni. — Prawdopodobnie Wietługin wysłał tą drogą wiele pism — w każdym razie kilka. Część przedostała się do Morza Karskiego, na jedno z nich natknął się ten wasz narwaniec Zwonkow. Tak, tak, wiem: bardzo nam pomógł! Nie umniejszam jego zasług! Ale przecież na pewno były pnie, którym nie udało się przepłynąć i te musiały pozostać na mieliźnie.

— Listy na poste restante?

— Niech będzie tak. Na poste restante.

Z nową energią zabraliśmy się do poszukiwań.

Zdziwiło mnie, że Bulczu odłączył się od nas i chodzi nad samym brzegiem, co chwila zanurzając wiosło w wodę.

Wkrótce usłyszeliśmy jego triumfujący okrzyk. Podbiegliśmy bliżej. Znaczony pień „zawinął” do małej piaszczystej zatoczki w miejscu, gdzie rzeka ostro skręcała. Leżał na złocistym dnie, zaplątany w wodorostach i lekko się kołysał, niby jakiś drzemiący, cudaczny stwór. Gdy odwracał się do nas bokiem, widać było wyraźnie znak, na którego widok mocno zabiło mi serce: trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki— symbol graficzny sygnału katastrofy!

— Spójrzcie, brzoza! — wykrzyknął Sawczuk.

Tak, to była brzoza!

Piotr Arianowicz wybierał na „koperty” drzewa rzucające się w oczy, prawie nie spotykane na Tajmyrze, które muszą od razu zwrócić na siebie uwagę, zadziwić swą niezwykłością.

Zarzuciliśmy na ów znaczony kloc pętlę, i ostrożnie wyciągnęli go z wody. Okazało się, że jest to spękany, mocno sfatygowany kawał pnia, prawie zupełnie bez ga-

łęzi, sądząc po opisie Andrieją — rodzony brat tego, który zaplątał się między boje hydrograficzne na Morzu Karskim.

Ale młodszy czy starszy brat? Innymi słowy — wysłany wcześniej czy później od „karskiego”?

Za chwilę mieliśmy się o tym dowiedzieć...

Drzewo, jak się spodziewałem, było uszkodzone w kilku miejscach, czerwona i czarna farba na nim prawie zupełnie starta. Widocznie niełatwą miało drogę: musiało czołgać się na brzuchu przez płytkie miejsca i przedzierać się między kamieniami. Świadczyło o tym mnóstwo białych bruzd i szram.

— Goniec przebił się przez szyki nieprzyjacielskie i dostarczył wiadomość na miejsce przeznaczenia — powiedziałem.

— Popatrzcie, to drzewo nie ma ani jednej gałązki! — zawołała Liza ze zdumieniem, podchodząc bliżej. — Wszystkie są obłamane. Dlaczego?

— Nie obłamane — poprawił Sawczuk. — Obciosane. Po to, by drzewo szybciej mogło się dostać do swej stacji końcowej.

Pomyśleć tylko! Nawet to Piotr Arianowicz przewidział!

Sawczuk uzbroił się w lupę i ukląkł przy pniu. Obserwowaliśmy go z zapartym tchem.

— Jest! — Etnograf uniósł głowę. — Podajcie mi nóż. Tylko ostry!

W tej chwili niczym chirurg był całkowicie pochłonięty odpowiedzialną operacją; nie oglądając się nawet, władczym ruchem wyciągnął rękę i rzucał krótkie rozkazy. W lot chwyтали je asystenci, z respektem przestępując z nogi na nogę.

W pniu była bardzo wąska, ledwie widoczna szparka. Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności Sawczuk powolutku podważył końcem noża wieczko skrytki i ostrożnie ją otworzył.

Ujrzeliśmy wydrążone w drzewie wgłębienie wypełnione mchem. Sawczuk z gorączkowym pośpiechem zaczął wyjmować mech.

Nagle jego ręka, zagłębiona w otworze, znieruchomiała.

— Co się stało? — spytała niecierpliwie Liza. — No, Wołodia!...

Sawczuk zamarł z półotwartymi ustami, pobladły ze zdenerwowania.

— Pusto! — wykrztusił z trudem. — Wnętrze puste. Nie ma nic!

— Jak to nie ma? To niemożliwe! A pismo?

Oboje z Lizą, przeszkadzając sobie nawzajem, obmacaliśmy kloc, zajrzeliśmy do wnętrza. Tak, puste!...

Skrytka, w której spodziewaliśmy się znaleźć pismo, była dość prymitywnie wykonana, prawdopodobnie za pomocą bardzo prostych narzędzi. Rzuciło się w oczy, że brzegi otworu były tylko z grubsza ostrugane.

Natomiast we wszystkim innym uderzała wielka pieczołowitość. Widocznie Piotr Arianowicz obawiał się, by woda nie przedostała się do środka i nie uszkodziła pergaminu, co w konsekwencji utrudniłoby odczytanie tekstu. Dlatego przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności: wypełnił skrytkę mchem, a następnie szczelnie zaklinował otwór i zalał smołą.

Czyżby jednak zapomniał włożyć pismo?

Dopiero odwróciwszy kloc zrozumieliśmy wszystko.

Od spodu ziała dziura. Przypuszczalnie pień został uszkodzony w czasie przedzierania się wraz z innymi drzewami przez jakąś kamienistą stromiznę. Skutki głębokiej, szarpanej rany okazały się fatalne. To, co czyniło znalezione drzewo tak cennym i ważnym dla nas — pismo Piotra Arianowicza — przepadło bezpowrotnie na dnie Rzeki Tajemnic...

Długo milczeliśmy.

Pierwszy odezwał się Sawczuk.

— Nanieście, proszę was, na mapę nazwę tej mielizny — powiedział do mnie zwyczajnym tonem, podnosząc się z klęczek i starannie chowając lupę do skórzanego futerału. — Proponuję nazwać ją Mielizną Zagubionego Listu. Nie ma przeciwwów? A teraz jedziemy dalej.

Jakkolwiek nasz kierownik wyprawy nadrabiał miną, wszyscy byliśmy przygnębieni.

Wiosłowaliśmy zawzięcie, z opuszczonymi głowami, starając się nie patrzeć na boki. Nic dobrego tam nie było. Minał już tydzień, jak rozstaliśmy się z naszymi przyjaciółmi — Nganasanami, a wciąż te same posepne, bezludne góry otaczały nas dokoła. Nigdzie nawet najmniejszej oznaki obecności człowieka.

— Słuchajcie, przyszła mi do głowy straszna myśl — nieoczekiwanie rzekła Liza.

— Myśl? Jaka?

— Czy Piotr Arianowicz jest przy zdrowych zmysłach? Czy aby ocalał jego rozsądek?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Po prostu mógł nie wytrzymać psychicznie tylu ciężkich przejść. A jeśli wszystkie listy, które wysyła ze swego schroniska w górach, wypełnione są iluzjami, opisanymi halucynacji?

— Co za pomysł, Lizo! — oburzył się Sawczuk.

— Ależ zastanówcie się! Człowieka nosiło po morzu na krze, był o krok od śmierci. I nagle znajduje przedziwną oazę w głębi gór, lecz bezludną. Jakiż to musiał być dla niego wstrząs!... I wtedy otoczył się wytworami własnej fantazji... „Dzieci Słońca”!... Ptak Mauk!. Tajemnicze rytuały!... Te majaki to jakby akt samoobrony. A w rzeczywistości głucha pustka dokoła...

Ciarki mnie przeszły, gdy pomyślałem o takiej możliwości. Nieszczęśliwy, na wpół obłąkany człowiek tuła się wśród skał. Nie ma przy nim nikogo, jest sam jak palec, lecz wydaje mu się, że wokół pełno ludzi. Rozmawia z nimi, prowadzi spory, kryje się przed jakimś nie istniejącym Ptakiem Mauk...

Nie, nie mogłem się z tym pogodzić!

— Co ci strzeliło do głowy? — zaprotestowałem. — Przecież Bulczu także widział ludzi. Jeden z nich nawet wypuścił za nim strzałę.

— A niedźwiedzie ślady? — pochwycił Sawczuk. — A popiół? Jak można wątpić w to, że przychodzili do nas ludzie z oazy?...

Po chwili milczenia Liza przyznała, że istotnie poddała się zwątpieniu.

— To te góry mnie zmęczyły. Przytłaczają — bąknęła, energicznie zanurzając wiosło w wodę.

Tego wieczora kładliśmy się spać w nastroju trwożnego przygnębienia.

O drugiej w nocy obudził mnie Bulczu. Teraz ja miałem czuwać od drugiej do czwartej.

Dolina rzeki tonęła w mroku. Czarne chmury przesłoniły słońce.

Siedziałem przy ognisku, położywszy strzelbę na kolanach i wsłuchiwałem się w monotony plusk rzeki. Małutkie fale, bijąc o brzeg, bez przerwy zawzięcie o czymś szeptały. Mogło się zdawać, że to ludzie szepczą w krzakach, pochyliwszy ku sobie głowy i raz po raz spoglądając na mnie zza gałęzi.

Lecz starałem się nie poddawać uczuciu strachu. Od wczesnej młodości przywykłem trzymać na wodzy swoją fantazję. Usiłowałem więc myśleć o oazie, wyobrazić ją sobie.

Aby dobrze pracował, muszę widzieć jasno przed sobą cel mych wysiłków. By nie utknąć w pół drogi, muszę mieć wytkniętą metę.

Tak było pięć lat temu, w czasie poszukiwań Ziemi Wietługina. Tak jest i dziś, w czasie poszukiwań samego Wietługina.

W pewnej chwili podniósł się z ziemi Sawczuk i kuląc się z zimna, usiadł obok mnie.

— Pół do czwartej — powiedziałem, patrząc na zegarek. — Jeszcze za wcześnie. Zmiana o czwartej.

— Nie mogę spać — rzucił ochryplym głosem.

— Dlaczego?

— Wciąż myśli, troski... Dajcie mi papierosa!

— Przecież nie palicie!

— A jednak muszę zapalić.

Kurząc papierosy długo siedzieliśmy w milczeniu, myśląc każdy o swoim, a może nawet o jednym i tym samym.

— No, idźcie spać! — rzekł Sawczuk, biorąc z moich rąk strzelbę. — Już po czwartej, a o szóstej pobudka.

Ostrożnie, starając się nie obudzić Lizy, położyłem się obok niej przy wygasłym ognisku. Dopiero gdy się wyciągnąłem na posłaniu z mchu i gałęzi, poczułem, jak bardzo mnie ten dzień zmęczył.

Przed zamkniętymi oczami zamigotały jakieś błyski, słoneczne plamy. A! To listowie, prześwietlone słońcem!

Gałęzie się rozchyliły i na skraj lasu wyszedł Piotr Arianowicz, w okularach, mrużąc oczy krótkowidza.

Stał spokojnie i rozglądał się. Nie widział, że za nim, zawisłszy nad jego głową, czai się coś okropnego, jakiś bardzo długi, wolno kołyszający się cień...

Krzyknąć, ostrzec go? Ale mój głos nie doszedłby do niego...

### 3

Rano obudziły mnie zimne krople spadające na twarz. Pogoda się zepsuła. Niebo zawleczone było chmurami, kropił deszcz.

Rzeka od razu zrobiła się ponura, nieprzyjazna. Przybrzeżne zarośla drżały, jakby wstrząsane dreszczem. Dął ostry, przenikający do szpiku kości północny wiatr.

Jak poprzedniego dnia, panowała wśród nas atmosfera nerwowego napięcia. Liza zburczała mnie za to, że rozlałem kawę. Nie mogłem się pohamować i odpowiedziałem jej opryskliwie. Sawczuk tylko wzdychał i jadł więcej niż zwykle, co u niego było oznaką przygnębienia.

Bulczu spuścił łódkę na wodę. W milczeniu zajęliśmy miejsca.

Wstyd się przyznać, ale korciło mnie, by się pokłócić z naszym przewodnikiem. Drażniła mnie jego spokojna, pewna siebie mina.

— Czy już prędko? — pytałem raz po raz.

— Prędko, prędko — odpowiadał raźnie stary myśliwy.

— Drugi tydzień tak mówisz. Przecież już byłeś tutaj!

— Wtedy wydawało mi się bardzo blisko — od śmierci uciekałem — tłumaczył przewodnik, zwracając ku mnie uśmiechniętą, okrągłą twarz.

Co było robić? Bulczu miał rację. Człowiek, któremu depce po piętach śmierć, nie ma czasu rozglądać się i obliczać odległości. I tak jest rzeczą zdumiewającą, że Bulczu zapamiętał tyle znaków orientacyjnych na brzegu.

— Patrz — mówił wskazując wiosłem. — Tam brzeg się obsunął. Czerwona glina jest rozwarta jak paszcza. A zaraz będzie skała — Siedząca Sowa. Bardzo podobna do sowy.

Nie była to pamięć mieszczaucha, który wie, że w razie najmniejszej trudności może zapytać o drogę milicjanta. Nie, to chłonna pamięć myśliwego, który nie posługuje się nawet kompasem, gdyż przywykł dowierzać swoim wyostrzonym zmysłom wzroku i słuchu.

W dodatku żywa wyobraźnia, właściwa ludziom zżyтым z przyrodą, pomagała Bulczu odnajdywać znaki szczególne tam, gdzie nie każdy potrafiłby się ich dopatrzeć. Dla mnie, na przykład, skała, obok której przepływaliśmy, nie miała w sobie nic z siedzącej sowy. Bulczu jednakże przed wielu laty zobaczył podobieństwo i po tym ją poznał.

— Teraz już prędko — powiedział trzymając się jedną ręką występu skalnego, a drugą unosząc wiosło. — Słyszysz szum?

Wyteżyłem słuch. Spokojnie szemrała woda pod dnem łódki. Fala z pluskiem uderzała o brzeg i cofała się. Więcej nic nie usłyszałem.

— Bardzo wyraźnie słysząc — rzekł Bulczu spoglądając na mnie ze zdziwieniem. Nadął policzki: — O tak; hu-u, hu-u!...

Ale dopiero po godzinie czy po półtorej godziny, na postoju, ja, Liza i Sawczuk usłyszeliśmy coś, co przypominało odległy pomruk grzmotu.



Im dalej posuwaliśmy się w górę Rzeki Tajemnic, tym silniejszy stawał się grzmot, tym częściej Bulczu odwracał ku mnie szeroko uśmiechniętą twarz.

Łódź opłynęła kamienistą wysepkę, wyszła na szeroki zakręt i wtedy ujrzelśmy przed sobą progę.

Nad wodą sterczały mokre, matowo połyskujące głazy, niby groźnie wyszczerzone kły.

Niestety nie mieliśmy skrzydeł i nie mogliśmy przelecieć nad progami. O tym, by się przez nie przedrzeć, nie było mowy. Odstępy między głazami były bardzo wąskie. Woda kotłowała się tu groźnie. Wysoko wlatywały bryzgi piany.

Bulczu ostrożnie podpłynął do brzegu.

Trzeba było obejść przeszkodę po łądzie, holując łódź aż do czystej wody.

Podciągnęliśmy ją na przybrzeżny piasek. Liza zabrała się do opróżniania łodzi, by zmniejszyć jej ciężar, a ja i Bulczu ruszyliśmy wzdłuż brzegu na zbadanie terenu.

Jeden tylko Sawczuk pozostał przy progach. Stał zapatrzony w bryzgi piany, w drobnusieńki pył wodny wiszący nad głazami.

— Jak małe dziecko! — powiedziałem ze złością do Bulczu. Myśliwy tylko wzruszył ramionami.

Przystanęliśmy obserwując z dala Sawczuka.

W pewnej chwili wyprostował się, machnął ręką do Lizy — słów nie usłyszeliśmy, zagłuszał je szum wody. Liza podbiegła ku niemu, podała mu jakąś rzecz. Aha, lornetka! Teraz na zmianę patrzyli na progę przez lornetkę, gestykulując z ożywieniem.

— Wołają nas! — powiedział z przejęciem Bulczu. — O, machają. Coś znaleźli!

Poderwał się z miejsca i pobiegł z powrotem, potykając się i ślizgając na mokrej trawie. Pośpieszyłem za nim. Domyśliłem się już, co takiego mogli zobaczyć Sawczuk z Lizą, i bałem się w to uwierzyć.

— Gdzie, gdzie? — krzyczał Bulczu w biegu.

Liza pokazywała na progę.

Podbiegłszy do niej spojrzałem w tę stronę i zobaczy-

łem wierzchołek pnia, który uwiązał między dwoma spiczastymi głazami. Woda przelewała się przez nie. Wokół, kotłując się wściekle, wirowały strzępy piany. Ale od czasu do czasu wiatr rozdzierał zasłonę bryzgów i wtedy pień był doskonale widoczny. Mokry, połyskujący, bez jednej gałęzi! Sobowtór pnia znalezionego na mieliźnie!

— A sygnał katastrofy? Czy jest na nim sygnał katastrofy?

Zamiast odpowiedzi Sawczuk wetknął mi do rąk lornetkę.

Tak, to był znaczony pień! Gdy się wynurzał do połowy z wody, wyraźnie widziałem na nim trzy czerwone kółka, trzy czarne kreski i znów trzy czerwone kółka.

— Spodziewałem się, że go tu zobaczę. Byłem tego prawie pewny — mówił Sawczuk, z niecierpliwością odbierając mi lornetkę. — Wśród drzew, które przedzierały się do oceanu, musiały być takie, którym się nie powiodło. Jedno ugrzęzło na mieliźnie, drugie — o tam! — utkwilo między kamieniami.

— Ale może i to jest puste? — przerwała mu Liza — Czy jest w nim pismo? Czy ocalało?

Spojrzeliliśmy po sobie z niepokojem.

— Posłuchajcie — rzekłem. — Ja i Bulczu spróbujemy podплыć do niego na łódce.

— Nie można. Przewróci!

— Nie z dołu, Bulczu, nie... Od góry! Z prądem!

— Nie można! Rozbije o kamienie!

— W takim razie wpływ.

Bulczu tylko gniewnie łypnął na mnie spod oka.

Znaczony pień wystawał z wody mniej więcej pośrodku rzeki. Dzieliło nas od niego najwyżej jakieś dwadzieścia metrów. Lecz cała przestrzeń od brzegu do brzegu tworzyła jeden wzburzony odmęt. Najwytrawniejszy pływak nie zdołałby pokonać tego niebezpiecznego wodospadu.

— A gdyby się owiązać liną? Wolny koniec trzymać na brzegu? — spytałem niepewnie i umilkłem. Nowa myśl przyszła mi do głowy.

— Nie wpływ, lecz po kamieniach! — powiedziałem.

Sawczuk, Bulczu i Liza spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. — Naturalnie, po kamieniach... Masz długi rzemień, Bulczu?

Stary myśliwy w lot mnie zrozumiał i już pośpiesznie odwijał arkan, którym był opasany pod sokujem.

Na tego rodzaju arkan-maut, spleciony zwykle z czterech rzemieni, chwyta się reny, gdy się je chce oddzielić od stada.

Spróbowałem zarzucić arkan na jeden z głazów, między którymi uwiązał pień. Arkan spadł do wody. Powtórzyłem tę próbę, i znów bez powodzenia. Sawczukowi też się nie udało.

Ustał więc miejsca Bulczu.

— Gdy byłem młody, umiałem bardzo dobrze chwytać reny. Teraz wszystko zapomniałem — rzekł myśliwy z udaną skromnością, jak zwykle mówią w takich wypadkach mistrzowie w swej sztuce. Pokręcił w powietrzu arkanem, aby wypróbować rękę.

— Nie, zapomniałem. Nie trafię — powtórzył.

Za pierwszym razem rzeczywiście nie trafił. Pętla ześliznęła się z mokrego kamienia, koniec arkanu plusnął w wodę. Bulczu podciągnął go z powrotem, przeczekał, aż się rozwieje obłok pyłu wodnego i znów się zamierzył. Długi czarny wąż śmignął w powietrzu i Liza klasnęła w dłoń.

Pętla mocno zaciągnęła się na kamieniu. Bulczu zwolnił nieco napięcie i arkan zawisł nad progami; kołysał się lekko, jakby zachęcając do przeprawy.

— Świetnie, Bulczu — pochwaliłem. — Wolny koniec owiąż wokół tej skały. Tylko mocno! Będę się trzymał ręką arkanu.

Szybko zdjąłem buty i w samych tylko skarpetkach wstąpiłem na najbliższy oślizły kamień. Ale Sawczuk przytrzymał mnie za łokieć.

— Nie, ja pójdę — powiedział.

— Dlaczego wy? To mój pomysł.

— Jestem kierownikiem ekspedycji — oświadczył Saw-

czuk grzecznie, lecz stanowczo. — W tym wypadku pozwolę sobie skorzystać ze swych uprawnień.

Popatrzyłem na Bulczu i Lizę, szukając u nich poparcia. Milczeli.

Stojąc już jedną nogą na kamieniu, Sawczuk odwrócił się i dodał przeproszającym tonem:

— Bo to, widzicie, trzeba się umieć obchodzić z tymi wszystkimi skrytkami, schowkami w pniach i tak dalej. Musi się bardzo uważać. Nikomu nie mogę tego powierzyć. Nawet wam!...

Bulczu śpiesznie obwiązał go w pasie drugim rzemieniem. Sawczuk ostrożnie wstąpił na kamień. Posuwał się naprzód bardzo wolno, jedną ręką trzymając się arkanu, a drugą pomagając sobie w utrzymaniu równowagi.

Gdyby ktoś patrzył na to z boku, być może, śmieszny wydałby mu się widok tego korpulentnego mężczyzny w średnim wieku, który w samych tylko skarpetkach szedł ostrożnie po kamieniach, balansując jak linoskoczek. Ale dla mnie, Lizy i Bulczu nie było w tym nic śmiesznego.

Przeskoczywszy z piątego kamienia na szósty, Sawczuk nagle się zachwiał i o mały włos nie upadł. Ale znów się jednak wyprostował i poszedł dalej.

— To straszne! Nie mogę patrzeć — szepnęła Liza zakrywając dłonią oczy.

Arkan był mocno naciągnięty i wibrował jak struna. Natomiast lekki rzemień, którym opasaliśmy Sawczuka, zwisał swobodnie, wlokąc się za nim po wodzie. Koniec rzemienia mocno trzymaliśmy ja i Bulczu. Było to zabezpieczenie na wypadek nieszczęścia.

Sawczuk zbliżał się już do znaczonego pnia. Woda zakrywała niektóre kamienie, a odstępy pomiędzy nimi były teraz znacznie szersze. Etnograf musiał zdwoić ostrożność. Pochylił się i obiema rękami chwycił arkan. Groźnie kotłująca się woda zalewała go powyżej pasa.

Teraz nastąpił najbardziej niebezpieczny moment. Sawczuk zatrzymał się. Od znaczonego pnia dzieliło go jakieś

półtora metra. Trzeba było skakać nie zastanawiając się długo. Ale Sawczuk marudził.

Wydało mi się, że patrzy pod nogi, w biały odmęt. No, teraz koniec! Zakręci się mu w głowie i...

— Skacz! — ryknąłem. — Skacze, fujaro!...

Obawiam się, że w zdenerwowaniu wyraziłem się bardziej dosadnie.

Mój krzyk podziałał jak uderzenie bicia. Sawczuk skoczył. Widocznie jednak nie obliczył dobrze odległości, gdyż na naszych oczach zsunął się z oślizłego kamienia i znikł pod wodą.

Liza krzyknęła przeraźliwie.

Ale etnograf natychmiast wynurzył się ze spienionego wiru i uchwycił się kamienia. My zaś z gorączkowym pośpiechem wybieraliśmy z wody luźny koniec rzemienia, podciągając go do brzegu.

Sawczukowi zresztą udało się wdrapać na głaz bez naszej pomocy. Gramolił się wolno, czepiając się palcami występów, raz po raz osuwając się i ześlizgując w wodę. Wreszcie usadowił się na nim pewnie, tuż obok pnia.

Przez kilka minut odpoczywał. Potem pomachał do nas uspokajająco ręką i nachylił się nad pniem. Guzdrał się przy nim bardzo długo. Nie widzieliśmy, co robi, gdyż przesłaniały go bryzgi piany, lecz domyślaliśmy się, że próbuje otworzyć skrytkę i wyjąć z niej pismo, jeśli jeszcze tam było.

Praca ta wymagała największej ostrożności; chodziło o to, by nie uszkodzić drogocennego pergaminu.

Sawczuk w każdej chwili mógł znowu spaść do wody; jak ptak na grzędzie, siedział na oślizłym kamieniu, bezustannie zalewanym zimnymi falami.

Widocznie zgrabiwały mu palce, gdyż od czasu do czasu przerywał robotę i starając się ogrzać ręce, wykladał je pod pachy.

Gdy tak obserwowałem niezgrabną postać, która ukazywała się, to znowu zniknęła, przesłonięta kaskadą wlatujących nad progami bryzgów, w duchu robiłem sobie wyrzuty, że byłem niesprawiedliwy wobec Sawczuka

w Moskwie. Przecież uważałem go za piecucha, za szczura archiwalnego, mola książkowego. A oto ten „mól” pracuje jak tragarz, jak nurek, obdzierając sobie ręce do krwi, w każdej chwili ryzykując życie!

Tak, niełatwo przychodziło mu zdobycie dla nauki nowych faktów...

W ten sposób upłynęło chyba ze dwadzieścia minut (nie było kiedy spojrzeć na zegarek). Lecz oto Sawczuk podniósł się, stanął na kamieniu i przykładając do ust złożone dłonie zaczął coś wołać.

Trudno go było zrozumieć, szum wody zagłuszał słowa.

— Pusty? Nie ma pisma? Rozmokło? — pytaliśmy jeden przez drugiego.

Dopiero po kilkakrotnym powtórzeniu zrozumieliśmy wreszcie, o co chodzi. Sawczuk nie chciał ryzykować otwarcia skrytki. Jej wieczko było do połowy zatopione. Gdyby je uniósł, woda mogłaby się dostać do środka i uszkodzić pismo. Proponował więc, by wyciągnąć całe drzewo na brzeg. Na szczęście pień, chociaż uwiązał między głazami, tkwił tam niezbyt mocno. Po chwili Sawczukowi udało się go wyswobodzić z kamiennej pułapki. Z zachowaniem jak najdalej posuniętej ostrożności wyciągnęliśmy na brzeg naszą drogocenną zdobycz.

4

Nikt jednak nie patrzył na znaczony pień, chociaż to on był celem tego ryzykownego przedsięwzięcia. Staliśmy nad Sawczukiem, który leżał na piasku, łapiąc powietrze szeroko rozwartymi ustami.

Pochwyciwszy mój pełen niepokoju wzrok, próbował się uśmiechnąć.

— Stałem się ociężały... Brzuch wyhodowałem... — powiedział, ciężko dysząc po każdym słowie. — Zasiałem się... w archiwach...

— To wygląda, jakby się usprawiedliwiał! — oburzyła się Liza, drżącymi palcami rozpinając mu mokrą kurtkę.

207

Powoli przychodziła do siebie po przeżytym zdenerwowaniu. Świadczył o tym ton jej głosu, gdy zaczęła komenderować:

— Rozbierajcie się, Wołodia! Ja odchodzę, przygotowuję herbatę! Bulczu, tu jest spirytus! Natrzyjcie dobrze Władimira Osipowicza! Mocno, żeby skóra była czerwona! I przebrać go we wszystko suche!... A ty czego stoisz? — krzyknęła na mnie. — Nazbieraj chrustu, rozpal ognisko!... Albo nie, zaczekaj! Ja sama rozpalę. Pomóż Bulczu. Nacierajcie Sawczuka na cztery ręce!

Podczas gdyśmy energicznie, „na cztery ręce” nacierali Sawczuka, ten przeskadzał nam, wciąż się bowiem odwracał do leżącego obok znaczonego pnia, jak dziecko, któremu nie dają nowej, dopiero co przyniesionej ze sklepu zabawki.

Liza była jednak nieubłagana. Dopiero kiedy natarliśmy go, przebrali w suchą odzież i napiili gorącą herbatą z koniakiem, pozwoliła mu zająć się dalszą pracą.

Z krótkim trzaskiem, podobnym do wystrzału, odskoczyło wieczko zamykające skrytkę w pniu.

Pomyślałem sobie, że przed nami znów otwiera się okno na epokę kamienną, malutkie kwadratowe okienko, przez które można zajrzeć do tego tajemniczego światka, znajdującego się gdzieś niedaleko stąd, w górnym dorzeczu Rzeki Tajemnic.

Sawczuk okrągłymi, pewnymi ruchami wyjmował mech z wnętrza pnia. Od czasu do czasu zatrzymywał się, ostrożnie obmacywał jego zawartość i znów kontynuował swoją robotę. Słysząc było krótki, przyspieszony oddech klęczącej obok niego Lizy. Widać było, że chciałaby go przynaglić, lecz nie śmie tego uczynić.

I oto w końcu oczom naszym ukazały się czworokątne kawałki skóry reniferowej, troskliwie przełożone mchem. Były prawie suche.

— To dziwne... — stwierdziłem z rozczarowaniem. — Pamiętam dobrze charakter pisma Piotra Arianowicza. Było ono kanciaste, zamaszyste. A tu, patrzcie, literki

wprost lepią się jedna do drugiej. Jakiś staroświecki sposób pisania.

— To zupełnie zrozumiałe. Musiał oszczędzać pergamin, starał się zmieścić na nim jak najwięcej tekstu.

Jednakże ten argument nie wydał mi się dostatecznie przekonujący. Tak bardzo pragnąłem znów zobaczyć znajome pismo Piotra Arianowicza!... Przecież poprzedni list, a raczej to, co z niego pozostało, nie miał własnego oblicza, był tylko kopią, przepisaną na maszynie.

Zresztą, nie czas teraz na rozmyślenia.

— Jest data! — obwieścił Sawczuk zdławionym głosem. — Tysiąc dziewięćset siedemnasty rok!...

Zaczął wolno czytać, utykając co chwila na niezrozumiałych miejscach, zwracając się często do mnie i Lizy o radę.

Niestety, mimo szczelnego zamknięcia, woda jednak przedostała się do wnętrza „koperty” i zniszczyła niektóre partie tekstu.

Charakterystyczną cechą Piotra Arianowicza było to, że bardzo mało pisał o sobie. Geografowi zależało widocznie na przekazaniu zebranych przez siebie spostrzeżeń naukowych. Nauką była u niego na pierwszym planie. Dlatego też w miejscach dotyczących bezpośrednio Piotra Arianowicza musieliśmy się wielu rzeczy domyślać, uzupełniać własną wyobraźnią.

Nie chcę nużyć czytelnika wszystkimi szczegółami tej znużonej pracy. (Trudności jej zrozumieją chyba tylko naukowcy, którzy się zajmują badaniami starych rękopisów.)

Wystarczy, gdy powiem, że tekst, odcyfrowany na gorąco, roił się od nieokreślonych zwrotów, będących wyrazem naszej niepewności: „Prawdopodobnie Piotr Arianowicz ruszył...”, „Być może wiedział o tym, ponieważ...”, „Można przypuszczać, że...”

Potem, przepisując tekst na czysto, usunąłem te zwroty, by ułatwić czytanie.

W następnym rozdziale podaję treść pisma w formie ciągłej i rozszerzonej. Mam wszelkie podstawy, by tak



zrobić. Przecież czytając książkę wiele w jej treści uzupełniamy własną wyobraźnią. Pisarzowi wystarczy rzucić wzmiankę, parę słów, by czytelnik — jeśli posiada fantazję i utwór go porwie — odtworzył sobie całą scenę. Byliśmy właśnie takimi czytelnikami.

Nie przyszło to nam łatwo, gdyż pismo, przesłane w wydrążonym pniu drzewa, przypominało książkę z wyrwanymi lub uszkodzonymi kartkami.

Z mgieł Byrrangi wypływał jeden obraz po drugim. Epizod następował za epizodem. Nagle ukazywało się płaskie, sowie oblicze, a wokół niego kłębił się mrok. Coś się w tym mroku z trudem formowało, migały jakies kontury, wirowały krzyżując się ze sobą. I oto z tego chaosu wyłaniało się coś nowego. Obok sowiego oblicza pojawiały się inne twarze.

Czytanie tego drugiego pisma na reniferowej skórze odbywało się w dość oryginalnych okolicznościach.

Chmury, zbierające się już od dawna w północnej stronie nieba, spełzały coraz niżej i niczym posępne sklepienie zawisły nad nami. Zrobiło się od razu jakoś duszno. Jakbyśmy się znaleźli w ciasnym pomieszczeniu, którego granice zakreślał jasny krąg ogniska.

Długie języki płomieni wystrzelały w górę i natychmiast przygasały. Od czasu do czasu z sykiem wypadaj węgielek z ogniska. Szybko wrzucano go z powrotem.

Rzeka szalała na progach jakby z gniewu, że Sawczuk wyrwał jej zdobycz z paszczy.

Ale przy ognisku było ciepło — Liza kazała mnie i Bulczu podtrzymywać ogień, żeby Sawczuk nie przeziębził się po przymusowej kąpieli.

Zbiliśmy się w ciasną gromadkę wokół ogniska. Po naszych skupionych twarzach przebiegały czerwone odblaski ognia, a za plecami kołysały się kosmate cienie, jak gdyby zeszli się tu i obstąpili nas mieszkańcy gór, o których pisał Wietługin.

Jeden po drugim stawali przed oczami mej wyobraźni, zrodzeni z gry odblasków, z wiecznej walki światła i ciemności...

## IV. Oaza za kręgiem polarnym

Uniósłszy głowę, Wietługin zobaczył siną smugę na południu. Ziemia? Czyżby naprawdę ziemia?!

Skończyła się wędrówka po morzu. Pola lodowe przybiły do brzegu.

Czołgając się po chybotliwych, rozsuwających się krach Wietługin przedostał się na brzeg. Odpocząwszy nieco, rozejrzał się.

W południowej stronie widnokręgu czerniał jakiś masyw górski. Góry? Co by to mogły być za góry?...

Od ujścia Leny wzdłuż wybrzeża ciągnie się tundra, nizinna, błotnista, bezleśna — arktyczny step. Na zachód od Leny można było spotkać góry tylko na Półwyspie Tajmyrskim.

Byłby to więc Tajmyr?...

Oho! Aż tak daleko go zaniósł!

A jeśli tak, góry widoczne na południu to na pewne Byrranga.

Żeby tylko przejść przez góry! Potem już nawet nie tak daleko do rosyjskich osiedli...

„Stosunkowo niedaleko — natychmiast poprawił się Wietługin. — Naturalnie, że nie pięćdziesiąt i nie sto wiorst. Nieco więcej!”

W tej chwili nie chciał obliczać tego dokładnie. Po cudownym ocaleniu od prawie nieuchronnej śmierci wszystko wydawało mu się bliskie, proste, łatwo osiągalne. Jakby włożył na nogi bajeczne siedmiomilowe buty!

Odpocząwszy Wietługin ruszył na południe.

Widocznie wiedział o tym, że Nganasanie — wówczas nazywano ich Samojedami — na lato wędrują nad jezioro Tajmyr.

Zadanie polegało na tym, by się dostać do letnich koczowisk Samojedów i razem z nimi odjechać ku granicy lasu. Tylko czy mu się to uda? Czy zdąży na czas dotrzeć do Samojedów?

W przeciwnym razie czeka go śmierć!

Setki kilometrów pustynnej tundry dzieliło wędrowca od najbliższego ludzkiego osiedla. A najgroźniejszą przeszkodą na jego drodze były tonące w chmurach, bezludne góry Byrranga.

Przypuszczalnie jego późniejsze wspomnienia z tego okresu życia były bardzo mgliste; widział przed sobą jednostajne pasmo wciąż takich samych kamienistych wąwozów z osypującym się żwirem i wapiennym gruzem. Brnął po nim, zatrzymując się od czasu do czasu i z trwogą rozglądając się dookoła.

Kończyła się krótka tajmyrska jesień. Śnieg białł już teraz nie tylko w rozpadlinach skalnych, lecz gdzieś także na zboczach. Niebo, jak okiem sięgnąć, było ciemniejsze od skał, ołowianoszare, prawie czarne, posępne. Ugięło się, rzekłbyś, pod ciężarem mającego dopiero spaść śniegu. Tylko daleko, daleko na południu jaśniała wąska smużka nad horyzontem.

Wiatr dął w plecy, jakby popychał, przynaglał wędrowca. Ale on i bez tego wiedział, że zima go dopędza, depcze mu po piętach.

Każde nowe wzniesienie trzeba było zdobywać z ogromnym wysiłkiem. Skaliste góry piętrzyły się tarasowato ku południowi na kształt gigantycznej drabiny. Nad głową mknęły niskie chmury, coraz częściej prósząc śniegiem.

A Wietługin szedł i szedł, pochylony ku przodowi, wycierając rękami, jakby płynął.

Z początku prawdopodobnie polował w górach. Potem, gdy zapas prochu się skończył, porzucił strzelbę, która teraz było tylko zawadą.

Nóż myśliwski wpadł mu w głęboką zaspę śnieżną na jednym z biwaków. Jednakże ta strata nie wywarła na nim wielkiego wrażenia. (Nawiasem mówiąc, charakteryzowało to jego ówczesny stan psychiczny. Był w najwyższym stopniu wyczerpany — dosłownie u kresu sił.)

Jednej tylko rzeczy strzegł Wietługin — zapalek. Pie-

czołowicie owinał je w ceratę i nie pozwalał sobie zużyć więcej niż jedną na dzień.

Ostatnia zapalka miała mu posłużyć do rozpalenia ogniska, na którym chciał upiec schwytaną kuropatwę.

Złapał ją rękami.

Poszcześnie mu się. Już z daleka zauważył poruszający się po zboczu kłębuszek. Kuropatwa? Odwrócił się. Po co będzie na nią patrzył, skoro nie ma broni?

Ale nie wytrzymał i po chwili znów spojrzął w tę stronę.

To dziwne! Dlaczego ten przeklęty ptak skacze po ziemi zamiast lecieć? Aha! A więc to tak!... Kuropatwa ma złamane lub przegryzione skrzydło!

Zataczając się z osłabienia Wietługin pobiegł za ptakiem. Pod rękę nawinął mu się kamień. Rzucił nim w kuropatwę i widocznie trafił ją w nogę, gdyż uciekała teraz znacznie wolniej.

W końcu ją dopędził.

Mięso zwykle zjadał na wpół surowe, mimo że piekło się na ogniu. Mech spalał się bardzo szybko, a Wietługin nie miał innego paliwa. Ale w tej sytuacji nie mógł zwracać uwagi na takie drobnostki. Jakkolwiek było, zawsze to gorący posiłek.

Rozgrzebał śnieg, narwał białych porostów, które stanowią pożywienie renów, a potem starannie je ułożył i ubił w dołku, przezornie wykopanym w śniegu dla osłony ogniska przed wiatrem.

Zdawałoby się, że wszelkie środki ostrożności zostały zachowane. Ale ręce wędrowca drżały ze zdenerwowania czy osłabienia, gdy podnosił płonąca zapalkę do mchu. Płomyk zachybotał i zgasł.

Musiał zjeść kuropatwę na surowo.

To, że zużył ostatnią zapalkę, doszło do świadomości Wietługina dopiero wieczorem, gdy się urządzał na nocleg. Było bardzo zimno. Chciał się ogrzać przed snem. Pod nogami pełno mchu, a ogniska nie było czym rozpalić!...

Wcisnął się w zagłębienie między skałami, zwinął w kłębek i jakoś udało mu się zdrzemnąć.

Obudziły go krzykliwe głosy poświerek.

Ptaki te odlatują jesienią z Tajmyru jako ariergarda innych ptaków przelotnych. Z tą chwilą na półwyspie zaczyna się niepodzielne panowanie zimy.

Czy Wietługin wiedział o tym?

Poświerki jak oszalałe krążyły przed skałą, pod którą się schronił. Ćmiło mu się w oczach. Potem stado, jakby nagle czymś spłoszone, wzbiło się pod niebo i w jednej chwili znikło.

Przez jakiś czas Wietługin leżał bez ruchu, zbierając siły. Gdy znów spojrzał w górę, zobaczył, że ptaki wróciły. Ale teraz były one zupełnie białe. Bezgłośnie siały na ziemi i rozplaszczywszy się, zlewały ze śniegiem.

Wietługin nie od razu się zorientował, że to już nie ptaki, lecz płatki śniegu. Do licha! Nigdy jeszcze nie widział takich ogromnych płatów śniegu!

Utkwiwszy oczy w niebo, długo powtarzał: „Poświerki odleciały, poświerki odleciały...” Czuł, że to źle. Ale dlaczego? Tego nie mógł sobie uzmysłowić. Z jego głową działo się coś niedobrego. Mózg pracował leniwie, jakby na zwolnionych obrotach.

Nie potrafił, a może nie chciał doprowadzić do końca swej myśli: jaki jest związek między jego sytuacją i odlotem tych ptaków i dlaczego przejmują go to lękiem?

Było mu teraz znacznie trudniej iść, jakby wcale nie odpoczął przez noc, lecz jeszcze bardziej się zmęczył. A jednak trzeba było iść! Szedł więc i szedł, pochylony do przodu, ledwo powłócząc nogami.

Chwilami zatracił świadomość, przestawał odbierać wrażenia świata zewnętrznego. Przed jego oczami przesuwały się na wpół zapomniane twarze, w uszach dzwięczały znajome głosy. Raz przyłapał się na tym, że głośno i gniewnie z kimś się spiera, chociaż obok nikogo nie było.

‘Ariergarda — straż tylna.

Lecz przez cały ten czas jeden obraz majaczył wciąż przed nim — wyraźny i nieodstępny, przyspieszający bicie serca". Na tle ubogiej polarnej roślinności uwijają się maleńkie figurki. To Samojedzi szykują sanki, zwijają czumy gotując się do powrotu na południe.

Na południe! Na południe!...

Niekiedy Wietługin widział siebie na szybko mknących sankach. Samojed siedzący obok niego pokrzykuje na renifery i popędza je długim chorejem. Wyraźnie słychać skrzypienie płóz.

Wietługin potrząsał głową, jakby budząc się ze snu. Co za płozy? To świszczy porywisty wiatr, ciskając w twarz kłującym śniegiem.

Teraz wędrowiec nie widział—już jasnej smugi nad horyzontem, ale był pewien, że idzie we właściwym kierunku: wciąż na południe, na południe...

— Im bliżej szczytu, tym trudniej iść — rozmyślał na głos. — Przekłęty wiatr zmiata śnieg z kamiennych płyt, nogi się ślizgają.

W pewnej chwili potknął się i upadł na gładkiej drodze.

Żeby tylko dotrzeć do wierzchołka — potem już wszystko będzie dobrze, będzie ocalony! To niemożliwe, by za tym grzbietem były jeszcze inne. Ten szczyt jest najtrudniejszy, ale za to już ostatni.

Tak, na pewno ostatni! Do szczytu pozostało już niewiele. Jeszcze jakieś dwadzieścia, trzydzieści sążni wzniesienia i skończą się góry, a u stóp stromego, skalnego urwiska zamigoce woda. To jezioro Tajmyr, nad którym z niecierpliwością oczekują go Samojedzi. (Wmówił już sobie, że czekają na niego.)

Czepiając się występów skalnych, obdzierając ręce do krwi Wietługin na czworakach wczołgał się na szczyt.

Chwilę patrzył przed siebie, a potem osunął się na ziemię.

To było straszne!

W dali piętrzyły się nowe grzbiety górskie — czarno-białe, groźne, łańcuch za łańcuchem. Przez zasłonę wolno

padającego śniegu można było rozróżnić ich zębate, niczym wyszczerzone kły, wierchołki.

Wietługin długo leżał na kamieniach — pół godziny, może nawet godzinę. Odpocząwszy, z trudem się podniósł i ruszył dalej, zataczając się z wycieńczenia.

Naprzód!... Naprzód!... Do wieczora musi bezwarunkowo znaleźć się na następnym szczycie!

Stawiał sobie tylko takie skromne zadanie. Nie dopuszczał do siebie myśli o czymkolwiek innym, a przede wszystkim o tym, że nad jeziorem nie ma już nikogo, że Samojedzi dawno odkoczowali na południe i pozostawili go samego na pastwę losu w bezludnych, strasznych górach Byrranga.

Owionął go lodowaty wiatr. Płatki śniegu zawirowały dokoła. Niedobrze! Trzeba się będzie gdzieś skryć, przeczekać, żeby idąc na oślep nie wpaść w jakiś dół.

Wietługin zaczął śpiesznie wygrzebywać norę w śniegu, by się w niej zaszyć jak zwierzę w legowisku — i nagle zamarł.

Skądś z dołu wionęło na niego ciepłem!

— Jak z pieca — ze zdumieniem rzekł na głos. Nasłuchiwał. Nikt mu nie odpowiedział. Tylko wiatr świszcział nad głową.

Podniósł się, postąpił krok naprzód, z wyciągniętymi rękami jak ślepy, nie widząc przed oczami nic prócz wirującej bieli — i niemal w tej samej chwili zwałił się w dół, w próżnię...

## 2

Nie potłukł się, gdyż upadł w śnieg, i to z niewielkiej wysokości.

Nad głową rozpętała się zamieć śnieżna. Ale Wietługin prawie jej nie odczuwał — jakby dał nura na dno rzeki, gdzie nie dochodzi burza szalejąca nad powierzchnią.

Tu prawdopodobnie zaczynał się stok kotliny, z której wyraźnie tchnęło ciepłem.

Z zachowaniem największej ostrożności, bardzo wolno Wietługin zaczął się opuszczać w dół.

Wkrótce zrobiło się jeszcze cieplej, płatki śniegu wirujące w powietrzu zamieniły się w mgłę, a ręce coraz częściej zamiast śniegu napotykały wilgotny, miękki mech.

Im dalej się posuwał, tym wyraźniej czuł błogie ciepło, które rozbierało, obezwładniało. W końcu nie miał już sił walczyć z ogarniającą go sennością, i usnął w tej samej pozie, w jakiej się czołgał — twarzą do ziemi, rozciągnięty na śniegu.

Kiedy uniósł głowę, burza ucichła. W górze, w prześwitach między obłokami mgły, migotały gwiazdy.

Zejść w nocy do tajemniczej kotliny? Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Nie wiadomo, co tam czyha na niego.

Ale bardzo trudno było doczekać się rana.

Wietługin raz po raz nasłuchiwał, z niepokojem podnosząc głowę. Jego wyostrzony słuch łowił dziwne dźwięki dochodzące z kotliny.

Ryk zwierzęcia?... Tak, to bardzo podobne do ryku. Może dzikie reny przebiegły gdzieś w dole, niewidoczne we mgle?

A co to znów takiego?... Przeciągły krzyk!... Chrypliwy gniewny, rozkazujący... Czyżby jednak tam, w dole, znaj dowali się ludzie?...

Oto zamigotały jakieś ogniki. Zamigotały i znikły. Przywidzenie?...

A może to gwiazdy? Pojawiły się na mgnienie między chmurami, aby go drażnić, wabić swym odbiciem w wodzie?

A więc w dole jest woda? Tam, w nieprzeniknionej mgle, rozciąga się jezioro Tajmyr?...

To byłoby szczęście!

Jezioro! Zatem wszystko w porządku! Przeszkody, grzbiety górskie, przełęcz pozostały za nim. Teraz leży na samym skraju urwiska. (Wietługin wiedział, że południowe stoki Byrrangi opadają stromo ku jezioru.) Rano mgła się rozproszy, zza chmur wyjrzy słońce i oświetli



jezioro — tu i ówdzie pokryte już cienkim lodem — ni-  
ziutkie zarośla i gromadkę Samojedów, stojących w po-  
gotowiu obok swych sanek zaprzężonych w renifery.

Wędrowiec zasypiał, budził się, wpatrywał w mrok,  
czujnie nasłuchując, i znów zapadał w krótki, niespokojny  
sen.

A z dołu od czasu do czasu zawiewało znajomym  
zapachem dymu i ludzkiego osiedla. Czyżby jednak to  
wszystko było tylko złudzeniem?!...

Ranek na nieszczęście był pochmurny. Lecz chociaż  
słońce nie pokazało się zza chmur, powoli zaczęło się  
przejaśniać dokoła. Ukośne smugi mgły przepływały  
wolno w powietrzu. Od czasu do czasu, gdy mgła rzedła,  
przebijały przez nią jakieś zielone plamy, strzępy fan-  
tastycznego krajobrazu.

Wietługin podniósł się z ziemi, zrobił kilka niepew-  
nych kroków. I nagle jakby się przed nim rozsunęła za-  
słona.

Zamknął i przetarł oczy. Widzenie nie zniknęło. U jego  
stóp leżała rozległa, zarośnięta gęstym lasem dolina!

Od ciemnego tła wyraźnie odcinały się jaskrawozielone  
plamy. Widocznie były to miejsca pokryte drzewami  
szpilkowymi. Inne drzewa — trudno było stąd rozpoznać,  
jakie — nie miały zielonej szaty. Stały w szeregach ciche  
i nieruchome.

Między drzewami na dnie doliny wiała się kapryśnie  
rzeka. Nie była jeszcze skuta lodem: jej woda z góry  
wydawała się prawie czarna.

A dalej, w głębi, nad wierzchołkami sosen zawisła  
ciemna chmura. W kłębach dymu migotały raz po raz  
złowieszcze ogniki.

Wietługin nie zdążył przyjrzeć się wszystkiemu dokład-  
nie, gdy znów gdzieś z głębi kotliny naciągnęła mgła  
i przesłoniła miraż oazy, co jawiła się jego oczom za  
kołem podbiegunowym...

Zapadając co chwila w mokry śnieg, ślizgając się i po-  
tykając pobiegł w dół.

Wyprzedzały go szemrzące wesoło strumyki.

Teraz Wietługin poruszał się jakby w pustym, jasnym kręgu. Mgła rozstępowała się tylko na mgnienie, by natychmiast zewrzeć się za nim jak woda.

Powoli jasny krąg się rozszerzał. Coraz wyraźniej wyłaniały się z mgły sylwetki drzew. Na gałęziach mieniły się krople wody.

W miarę tego, jak wędrowiec schodził coraz niżej w kotlinę, zmieniał się charakter roślinności.

Wkrótce zamiast mchu pod nogami zaszedeściła trawa. Wyjrząwszy zza kamienia, mignął szkarłatnym płomieniem jakiś kwiatek.

Kwiaty w górach Byrranga? W końcu września?

O kilka kroków dalej Wietługin zobaczył dmuchawiec. Nie wierzył własnym oczom. Ostrożnie wyciągnął rękę, pewny, że natrafi na pustkę lub uchwyci kamień zamiast kwiatu.

Nie, to nie była halucynacja.

Trzymając dmuchawiec w drżących palcach, ze zdumieniem podniósł go do oczu. Nie mógł się powstrzymać od westchnienia.

Puszek dmuchawca uleciał, tylko maleńka gałeczka pozostała na wysokiej łądyżce.

Wietługin rozejrzał się ze strachem. Czy nie zniknie tak samo wszystko dokoła?

Lecz niepotrzebnie się lękał. W przedziwnej leśnej dolinie wszystko pozostało bez zmian.

Wietługin schodził coraz niżej.

Teraz pojawiły się nagle, jakby wyskoczyły spod ziemi, ścielące się nisko krzaczki polarnej brzozy, wierzy, olchy. Płatały się pod nogami, utrudniając przejście, lecz rychło pozostały w tyle, ustępując miejsca znacznie wyższej roślinności.

Z każdym niemal krokiem drzewa stawały się coraz wyższe i wyższe. Jak większość północnych drzew sięgały podróżnikowi tylko do kolan, potem, jakby ośmieliwszy się, doszły do pasa, a jeszcze dalej zrównały się z nim i wreszcie zaszumiały bujnymi koronami nad głową.

Lato? Nie, to nie było lato. Raczej jesień, ale wczesna.

Taka, jaką powinna być jesień we wrześniu gdzieś w głębi tajgi syberyjskiej, a więc w strefach leżących znacznie dalej na południe.

Rzecz nie do wiary!... Zdumiewająca!

Gdzież więc jest ten zaczarowany próg, po którego przekroczeniu nagle przeskoczył z tundry do tajgi, z zimy w jesień?...

Wietługin rozejrzył się. Nie widać było tego progu. Znikły, rzekłbyś, rozplynęły się we mgłę złowrogie, czarno-białe, pokryte śniegiem grzbiety Byrrangi. Las spowija błękitnawa mgielka. Tylko białe smugi oparów wolno, jakby od niechcenia przepływają między nieruchomymi modrzewiami.

I znów przeszła go straszna myśl: czy to jawa? A może tylko roi mu się oaza w dzikich wąwozach Byrrangi? Podobno, kiedy człowiek zamarza, śnią mu się drzewa, ciepło...

W gałęziach krzyknęło gniewnie jakieś zwierzątko.

Wietługin przystanął.

Cisza, Tylko krople wody wolno kapią z drzew. I znów w zaczarowanym lesie rozlega się niespokojny, zaczepny a zarazem jakby trwożnie-pytający pisk.

Wietługin przeniósł wzrok na ziemię.

Aha! Jest! W gąszczu leśnego podszycia mignął czarny koniuszek ogonka.

Jakieś zwierzątko to wysuwało się spod korzeni, to znów się chowało. Podobne było do łasicy, tylko nieco dłuższe. Miało rudo-bury grzbiet, który zaczynał już bieleć. Zwierzątko „przebierało się” — maść letnią zmieniało na zimową.

Biała skórka z czarnym ogonkiem? No, oczywiście! Skrawek królewskiego płaszcza! Dziesiątki podobnych skórek składają się na galowe okrycie królewskie.

Był to gronostaj!

Przez minutę, a może dwie, Wietługin i gronostaj patrzyli na siebie z wytężoną uwagą. Potem — energiczne machnięcie ogonkiem i ognistobiały kłębuszek śmignął w gęstwinę, niczym płonąca główia rzucona w krzaki.

Zbocze stawało się jeszcze bardziej urwiste. Trzeba było przełazić przez zwalone, pokryte mchem pnie, przedzierać się przez gęste zarośla.

Las otoczył wędrowca. Rozchyliwszy gałązki krzaków Wietługin nasłuchiwał.

Coś dziwnego działo się w lesie. Ze wszystkich stron dochodziły go jakieś odgłosy. Trzask gałęzi, tupot, łoskot... Rzekłbyś, nagle nawałnica runęła na las.

Co to?

„Ta-tam!... Ta-tam!...”

Coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy. Każde uderzenie bolesnym echem odbija się w sercu.

Wietługin wyrzwał zza drzewa.

Był przygotowany na każdy widok, włącznie do kopalnego jaszczura, podążającego do wodopoju, lub baśniowego wielkoluda kroczącego przez zarośla z masztową sosną pod pachą.

Zobaczył jednak zupełnie coś innego.

Zobaczył ludzi schodzących tłumnie z przeciwległego zbocza. Nosili jakąś dziwną, uszytą prawdopodobnie ze skór reniferów odzież z mniszymi kapturami. Tak, mogło to wyglądać na procesję mnichów, gdyby nad głowami nie kołysały się oszczepy.

Gluchy, przejmujący trwogą warkot był odgłosem małych owalnych bębenków; rytmiczny, złowieszczo-monotonny, przypominał ciężkie stąpanie.

Z daleka nie można było rozróżnić twarzy, tym bardziej że w większości były osłonięte kapturami. Wietługin raczej odgadł niż zobaczył w nich coś nieprzyjemnego, odrażającego.

Wydawało mu się, że wszystkie twarze pod kapturami są jednakowe!...

Procesja ludzi w skórach reniferowych, zeszedłszy po zboczach w dolinę, skryła się za drzewami.

Co robić? Nie ma czasu na długie rozmyślenia, nie wolno się wahać. Trzeba się natychmiast zdecydować!

Do jeziora nie zdoła już dojść, zima tuż-tuż. Zima dopędzała Wietługina.

Jedyna szansa ocalenia — to przezimować w oazie, w leśnej dolinie. Prawdopodobnie nie da się uniknąć zetknięcia z jej mieszkańcami. A więc im prędzej to nastąpi, tym lepiej!

Ech, niech się dzieje, co chce!...

Wietługin ruszył dalej, przesuając się od drzewa do drzewa, kryjąc się za pniami. Niemiłkący zgiełk bębenków przyciągał go jak magnes.

Na dnie kotliny matowo błysnęła rzeka. Promienie słońca z trudem przenikały poprzez gęste gałęzie. Dlatego panował tu głęboki mrok.

Zza drzew znów ukazali się ludzie.

Na czele pochodu szli dwaj mężczyźni z oszczepami, którzy prowadzili nagie dziecko. Było ono zupełnie małe, mogło mieć jakieś trzy, cztery lata; dreptało wypiąwszy brzusek i kołysząc się niezgrabnie na krzywych nóżkach, co chwila się potykało. Oto upadło. „Konwojenci” przystanęli, cierpliwie czekając, aż malec się podniesie.

Na szyi dziecko miało zarzuconą pętlę; końce sznura trzymali prowadzący.

Wietługinowi serce się ścisnęło.

Niektóre ludy tundry duszą w ten sposób renifery: zarzucają im pętlę na szyję i z całej siły ciągną końce rzemienia w przeciwnie strony. Czyżby ten sam los miał spotkać dziecko?...

Znów zahuczały przycichłe na chwilę bębunki. Jeden z uczestników procesji, ustrojony w różnobarwne, rozwiewające się wstęgi, zaczął skakać i krążyć przed tłumem, napełniając las przeciągłym zawrotem. „Konwojenci” pociągnęli opierającego się malca nad samą rzekę.

Z zamierającym sercem wpatrywał się Wietługin w ciemną, niemal czarną wodę. Oto zaraz po jej gładkiej powierzchni pobiegną kręgi i z dna rzeki wynurzy się straszna, na niezmiernie długiej szyi, pokryta muszelkami i wodorostami głowa jakiegoś potwora...



Ale powierzchnia wody była nadal nieruchoma.

Tłum zasłonił malca, ciasno obstąpiwszy go dokoła. Rozległ się żalorny dziecięcy płacz.

Wietługin podniósł się w zaroślach. Nie mógł dłużej przypatrywać się biernie temu, co się dzieje. Zapomniał o wszystkim — o tym, że jest chory, wycieńczony, bezbronny. Coś silniejszego niż głos rozsądku, silniejszego nawet niż instynkt samozachowawczy, poderwało go nagle i pchnęło w dół.

Musi ocalić dziecko!

Wietługin pobiegł w stronę rzeki.

Ku niemu odwróciły się uśmiechnięte twarze. Tak, ludzie się uśmiechali... Lecz był to jednakowy u wszystkich, nienaturalny, jakby przylepiony do twarzy uśmiech. Na brzegu powstało zamieszanie. Ktoś z krzykiem rzucił się do ucieczki, ktoś inny padł na ziemię i na czworakach zwinnie popęzł w bok. Z łoskotem potoczył się porzucony owalny bęben.

Wszystko to widział Wietługin tylko kącikiem oka. Szedł na przebój do celu. Jego obowiązkiem było ocalić dziecko!

Nie miał żadnego określonego planu. Zdał się zupełnie na los szczęścia, liczył tylko na jakiś nieprzewidziany przypadek, który mógłby zmienić dalszy tok wydarzeń.

Ale gdy dobiegł do rzeki, zatrzymał się. Co to? Ujrzał przed sobą pogrążony do połowy w wodzie drewniany klocek, coś w rodzaju dziecięcej zabawki „wańki wstańki”, tylko że zrobionej w pośpiechu, byle jak. Potworek nie miał ani rąk, ani nóg. Jego twarz wyciosana widocznie dwoma, trzema niedbałymi machnięciami topora, nos i oczy były ledwo zaznaczone. Za to usta, obwiedzione jaskrawą czerwienią, jakby umazane krwią, rozciągały się w szerokim, ohydny uśmiechu.

Wietługin uderzyło, że na drewnianej, krótkiej szyi potworka dyndała pętla — prawdopodobnie ta sama, którą przed chwilą widział na szyi dziecka.

Więc gdzież jest malec? Nie było go na brzegu.

Uśmiech, prymitywnie namalowany na klocu, stał się

jakby jeszcze bardziej drwiący, jeszcze szerszy, szkaradniejszy.

Wietługin obejrzał się. Co za cuda tu się dzieją? Gdzie jest? Dokąd trafił?

Krąg ludzi w reniferowych skórach zacieśniał się wokół niego. Zbliżali się wolnym krokiem, z groźnie naprężonymi karkami. Ale twarze się uśmiechały. Dopiero teraz Wietługin zrozumiał, dlaczego wszyscy mają ten sam przeraźliwie bezmyślny, nieruchomy uśmiech. To maski! Mieszkańcy kotliny byli w maskach.

Nagle wydało mu się, że ze wszystkich stron wyciągają się ku niemu ręce, chwytają za ramiona, za poły odzieży. Napięcie nerwowe doszło do szczytu. Kotlina napełniła się hukami i łomotem, jakby masztowe sosny z trzaskiem waliły się jedna po drugiej na ziemię.

Padając zdążył jeszcze pomyśleć: „To sen! To tylko sen! Zaraz się obudzę. Otworzę oczy i...”

V. Pod stropem pieczary

Otworzył oczy. Nad głową sklepał się mroczny strop. W nogach kopcił knot pływający w kamiennym kaganku. Nieco dalej na ścianie kołysały się miarowo kosmate cienie.

W tej chwili nad uchem rozległ się czyjś przytłumiony głos o zabawnej, ptasiej intonacji. Uniósłszy się na łokciu Wietługin zobaczył człowieka, który podawał mu czarę z napojem.

Zza jego ramienia wysunął się drugi człowiek i zachęcająco pokiwał głową. Wietługin rozejrzał się. Niektórzy z otaczających go ludzi mieli na sobie tylko krótkie skórzane spodnie, podobne do kąpielówek, inni byli okutani w futrzaną odzież z kapturami.

Wietługin nie wyczytał w ich twarzach ani wrogości, ani groźby — malowała się na nich tylko ciekawość. Nie



spuszczali z niego wzroku, siedząc na ziemi w pełnym skupieniu milczeniu i pykając krótkie fajeczki.

Łyknąwszy nieco ciepłego odwaru, Wietługin opadł na posłanie. Wszystko skakało mu przed oczami. Drażniły go cienie poruszające się na przeciwległej ścianie. Miał wrażenie, że siedzi na rozbujanej huśtawce i unosi się w górę, to znów leci gdzieś w dół.

Po chwili dopiero uświadomił sobie, że środek pomieszczenia zajmuje ognisko, a cienie na ścianie to cienie kobiet siedzących przy ognisku. Ich zwinne ręce bez przerwy się poruszały.

Dym ogniska unosił się wolno i rozpływał w górze. I jak ten dym, płynęła pod sklepieniem pieśń, przeciągła, monotonna. Kobiety śpiewały na przemian. Jedna z nich zaczynała, po czym inna półgłosem podchwytywała pieśń. Wychodziło z tego coś w rodzaju nie kończącej się śpiewnej rozmowy.

Wietługinowi zdawało się, że kobiety wybijają rytm kastanietami. Ale to było co innego. Podniósłszy oczy zobaczył wiszące nad jego głową rozmaite przedmioty: drewniane kotły i miski, skórzane okrągłe tarcze, kołczany pełne strzał, oszczepy, kapciuchy, a także mnóstwo pokracznych figurek z kości lub z drzewa, które przypuszczalnie służyły jako amulety. Kołysząc się od przeciągu wszystko to zderzało się ze sobą, wydając przy tym ów dziwny chrzęst i stukot.

Piotr Arianowicz zauważył również dwie czy trzy maski, podobne do tych, które przejęły go takim zdumieniem i lękiem wówczas w lesie.

Z niepokojem spojrzął na ludzi siedzących wokół niego. Tym razem byli bez masek.

Odetchnął z ulgą.

Otoczające go twarze nawet mu się podobały. Nie było w nich nic odpychającego, nic, co by mówiło o ich chytrych czy wiarołomstwie. Śniada skóra. Masywne, wystające kości policzkowe. Ciemne, czujnie patrzące oczy, Mocno zaciśnięte cienkie wargi. Lśniące włosy, opadające prostym kosmykiem na czoło. Ogólne wrażenie surowej

męskości potęgowały jeszcze mocne szczęki i ciężkie fałdy powiek.

Wietługin znów przeniósł wzrok na wiszące pod sklepieniem maski. Maski? Skąd przyszło mu do głowy, że to maski?

Były to w istocie okulary ochronne, jakie mieszkańcy tundry noszą w zimie, by uniknąć ślepoty śnieżnej. Szparaki na oczy okalał deseń, taki sam poprzeczny deseń zdołał okulary pośrodku. Rzeczywiście, mogło to wywołać złudzenie bezmyślnego, strasznego przez swą nieruchomość uśmiechu.

Lecz po co ludziom żyjącym w lesie śniegowe okulary? Być może, są one częścią odświętnego stroju?

Wietługin nie głowił się długo nad tym. W tej chwili myślenie sprawiało mu duży wysiłek, trudno mu było skupić uwagę na czymkolwiek.

Nagle ożywił się i z otuchą spojrział w dobrą, szeroką twarz, nachylającą się ku niemu.

— Słuchaj, przyjacielu — zaczął, i sam się zdziwił, jak słaby jest jego głos. — Dudinka? Nie wiesz?... Dudinka, Jenisiej!... Daleko stąd?...

Mieszkaniec gór przecząco pokręcił głową, a potem, uśmiechając się dobroduszenie, rozłożył ręce. Widocznie słowa „Dudinka, Jenisiej” nic mu nie powiedziały.

No, nie ma nieszcześcia! Później można jeszcze będzie popytać.

Amulety, śniegowe okulary, tarcze i kołczany wciąż chrzęściły i pobrzękiwały pod sklepieniem. Te niegłośne, monotonne dźwięki działały usypiająco. Wietługin znużony przymknął powieki...

## 2

Kilka dni przeleżał w takim stanie apatii i odrętwienia, jakby na pograniczu snu i świadomości.

Zdawało mu się, że ciągle jeszcze trwa ta sama długa, nieskończenie długa noc. Kiedykolwiek się ocknął, zawsze było ciemno wokół.

Dopiero znacznie później Wietługin zrozumiał, że znajduje się w pieczarze, zamienionej na mieszkanie.

Majaczyły mu się różne koszmary. Mieszały się wydarzenia, daty, twarze.

W wyobraźni chorego pojawiała się wykrzywiona gęba — purpurowa, okrągła, niezdolnie nadęta. Zawisła nad nim, wylaniając się z wolna zza burty. Okręt kołysał się na falach, a razem z nim kołysała się wstrętne gęba. W górę i w dół! W górę i w dół!...

Przecież to Heavens, amerykański butleger<sup>1</sup>, który już drugie lato z rzędu myszkuje przy brzegach syberyjskich, a niekiedy zakrada się aż do ujścia Leny!

Judasz przeklęty, oszust! W tej chwili ryczy z uciechy, włożywszy ręce do kieszeni obszernego, wspaniałego futra. Cała załoga statku pokłada się ze śmiechu.

Jakże nie mieliby się śmiać marynarze Heavensa! Szef na ich oczach zrobił świetny business. Wyłudził u dwóch łatwowiernych Rosjan — zesłańców politycznych — skórki lisów polarnych, cały ich majątek, jako zapłatę za przejazd do Ameryki, i porzucił zbiegów na pastwę losu! Mało tego! Zrobił doniesienie do władz rosyjskich. To ci dopiero spryciarz! Chytra sztuka! I skórki ma, i z władzami w porządku...

Amerykański szkuner wolno zawraca i odpływa.

Wietługin wzdrygnął się i otworzył oczy. Nie ma przed nim Heavensa ani amerykańskiego szkunera!

Od strony ogniska dolatuje monotonne mruczenie. To śpiew kobiet. Spokojnie mruga płomyk w kamiennym gąganu.

Wystarczyło jednak, by Wietługin opadł na skóry reniferowe i przymknął powieki, a natychmiast ziemia pod nim zaczynała się kołysać, niezbyt mocno, lecz nieustannie i rytmicznie. To kra kołysze się na falach, niesiona prądem w stronę morza, wraz z masą innych pól lodowych.

Wietługin widzi siebie na krze.

<sup>1</sup>Butleger — (ang. bootlegger) — przemytnik wódki.

Brzeg już dawno znikł z oczu. Wokół ani żywej duszy. Horyzont jest pusty.

Słychać tylko chrzęst płynących na północ lodów. Przybywa ich wciąż więcej, kry trą jedna o drugą, zwierają się coraz szczelniej...

Było to tak straszne, że Wietługin całym wysiłkiem woli starał się otrząsnąć z koszmarnego snu. Otwierał szeroko oczy i wpatrywał się w pełgający płomyk kaganka.

Nie chciał spać! Bał się spać!...

Przez jakiś czas udawało mu się utrzymać na powierzchni świadomości. Lecz powoli odporność jego słabła i znów pogrążał się jakby w odmęt, co wciągał go przemożnie i nieuchronnie.

Był to jakiś kolorowy, biało-czerwono-czarny wir.

We śnie, obok uśmiechniętej czerwonej gęby Heavensa i jednostajnej bieli pól lodowych, prześladował chorego czarny orzeł.

Miał dwie głowy z rozwartymi dziobami, z których wystawały cienkie jak żądła języki.

Ptak o dwóch głowach krążył nad lodami, zataczając coraz węższe koła rzucał na krę kanciasty cień.

Potem gdzieś znikły kry. Aż do samego horyzontu ciągnął się nieskończenie długi rząd szarych pudeł otoczonych wysokim murem. Więzienia, więzienia, punkty przesiedleńcze!...

Rozlegał się mrozący duszę skrzyp. W bramę wprowadzono jego, Wietługina. Wszystko skończone. Schwytano go. Ucieczka nie udała się. Orzeł jak posępny strażnik sadowił się na więziennej bramie.

Wietługin widział siebie w partii zesłańców. Pędzono ich etapem, wśród grubiańskich krzyków konwojentów. I wszędzie nad okutymi blachą, skrzypiącymi bramami spotykali zesłańcy tego samego czarnego ptaka o dwóch głowach — godło caratu...

Wietługin poruszył prawą ręką chcąc odpędzić orła i z wysiłkiem uniósł ciężkie powieki. Ludzie w reniferowych skórach spali wokoło. W ciszy mruczały tylko lub

pokrzykiwały przez sen dzieci i skwierczał knot w kaganku.

Ten natrętny obraz dwugłowego orła na frontonie więzienia prześladował go szczególnie często, z niewypowiedziane męczącą regularnością.

Na krótko przed wyzdrowieniem koszar, który dręczył Wietługina, dziwnym sposobem splótł się z otaczającą go obecnie rzeczywistością.

Choremu śniło się, że się obudził.

Wyrwało go ze snu nieprzyjemne uczucie. Miał wrażenie, jakby jakiś owad przebiegł mu po twarzy. Otworzył oczy i ujrzał stojącego obok człowieka, który patrzył na niego z jawną nieprzyjaźnią i ciekawością. W wysoko wzniesionej ręce człowiek ów trzymał kamienny kaganek, tak by światło padało wprost na twarz leżącego.

— Czego chcesz? — spytał przestraszony Wietługin mrużąc oczy od światła. Tamten nie odpowiedział.

Wietługin uniósł się na łokciu.

Jego posłanie otaczało siedem czy osiem milczących postaci w kapturach.

Konsylium? Może znachorzy, których sprowadzono do chorego?

Nie. To wygląda raczej na jakiś średniowieczny sąd

Wpatrując się wciąż w Wietługina, człowiek trzymający kaganek wypowiedział z trudem kilka słów. Było w nich coś znajomego. Widocznie usiłował mówić po rosyjsku. Ale słowa były do tego stopnia poprzekręcane, że nic nie można było zrozumieć...

Wietługin wzruszył ramionami. Twarz tamtego wykrzywił grymas gniewnego zniecierpliwienia. Znów powtórzył zdanie, tym razem znacznie wolniej. Intonacja jego głosu była jakby pytająca. A więc o coś Wietługina pytano.

— Nie rozumiem — odparł. Przecież powiedziałem: nic nie rozumiem.

Jego sędziowie (jeśli to byli sędziowie), nachyliwszy ku sobie głowy, zaczęli się naradzać.

Niepokój wyostrzył słuch chorego. Wietługin stwierdził, że ludzie w kapturach porozumiewają się teraz bez naj-

mniejszej trudności, a ich język jest zupełnie inny od tego, w jakim zadawano mu pytania.

Przysłuchiwał się głosom. Były drżące, naderwane, starcze. A zatem sami starzy ludzie? Rada starców? Starszyzna plemienia?...

Spór przy łożu chorego trwał dość długo. W końcu ludzie w kapturach rozstąpili się i przepuścili naprzód jakieś niewielkie, krępe stworzenie w odzieży po pięty. Stworzenie to przykucnęło przed Wietługinem i zajrzało mu w oczy. Wszyscy dokoła zamarli z wyciągniętymi szycjami, w jakimś trwożnym i niecierpliwym oczekiwaniu. Człowiek trzymający kaganek przybliżył go prawie do samej, twarzy chorego.

Nie spuszczać z Wietługina chmurnego, badawczego wzroku, istota w długiej odzieży wyjęła z zanadra jakieś zawiniątko i powoli zaczęła odwijać gałganek.

Wietługinowi przywidziało się, że w zawiniątku siedzi wrona. Uniósł się, by lepiej zobaczyć, i w tej chwili cofnął się z krzykiem, jakby go coś odepchnęło. Powtarzał się jego zwykły koszmar. Z zawiniątka wyrżał dwugłowy czarny orzeł!

— A kysz, przeklęty! A kysz! — bronił się słabym głosem, usiłując odpędzić ptaka.

Jego słowa zda się poskutkowały...

Z ogromną ulgą patrzył, jak orzeł, nastroszywszy się, wolno zgina się wpół i daje nura w kupkę gałganów.

Wietługin odetchnął.

Odpędził go!

Podniósł oczy na otaczających go ludzi. To dziwne! Wyraz ich twarzy zmienił się, był bardziej przyjazny. Jeden ze starców zaczął nawet wymownie coś tłumaczyć Wietługinowi, po czym poklepał go po ramieniu, chcąc ośmielić czy może wyrazić mu w ten sposób swoją życzliwość!

Tylko stworzenie z zawiniątkiem pozostało nadal niezadowolone. Warcząc głucho, odpełzło na czworakach do kąta. Jeszcze chwila i znikli również ludzie w kapturach, nagle rozplynęli się w ciemności.

Wietługin rozejrzał się dokoła.

Nie ma nikogo! Płomyk kaganka jak zawsze chybotce na przeciagu. Poza granicą oświetlonego kręgu zalega nieprzenikniony mrok.

Tak, to był zwykły koszmar.

Zlany potem, chory znów się położył i od razu usnął. Spał długo, bez majaczeń.

Od tej chwili zaczął powracać do zdrowia...

### 3

Wraz z siłami Wietługin powoli odzyskiwał zdolność rozumowania, orientacji w otaczającej go rzeczywistości.

Jego cały świat w tym czasie ograniczał się do obrębu mieszkania.

Była to niewysoka, sklepiona pieczara, łącząca się prawdopodobnie wąskim korytarzem z innymi, takimi samymi pieczarami. Na ścianach wisiały skóry podparte od dołu długimi żerdziami. Wszystkie przedmioty domowego użytku, wobec braku szaf, wieszano na tych żerdziach lub przymocowywano do nich rzemykami.

Skóry i żerdzie były odległym przypomnieniem czumu.

I podobnie jak w czumie mieszkała tu nie jedna, lecz kilka rodzin — chyba nie mniej niż dwadzieścia osób.

Niełatwo było ich policzyć, gdyż z początku wszyscy wydawali się Wietługinowi podobni do siebie. Wszyscy mieli szerokie twarze, skośne oczy, proste, czarne włosy.

Z czasem nauczył się rozróżniać swych sąsiadów z pieczary. Wcześniej niż innych zaczął poznawać młodego człowieka, który go poił odwarem ziół leczniczych i zawsze przy tym szeroko, życzliwie się uśmiechał. Młody człowiek nazywał się Nyrta.

Wietługin bez wahania zaliczył go w poczet swoich przyszyłych przyjaciół.

Jednak już- od pierwszych dni okazało się, że ma również wrogów.

Spoza ramienia Nyrty wyrzała ciemna od kopcia i brudu, skrzywiona nieprzyjemnym grymasem twarz. Po

mięsistym czole nieustannie przebiegały poprzeczne zmarszczki. Skóra była odrażająca, jakaś tłusta i obwisła. Na tej ruchliwej fizjonomii tworzyły się bez przerwy fałdy, zmarszczki, dołki. Spod wydatnych łuków brwi patrzyły chytrze przymrużone, przebiegłe czarne oczka.

Był to Jakaga, teść Nyrtu.

Instynktowną nieprzyjaźń, uczucie nieufności i lęku wzbudzała w Wietługinie również żona Jakagi, Chytyndo.

Miała grube i bardzo krótkie w stosunku do długiego tułowia nogi i głowę olbrzymki. Jej twarz, o niezwykle grubych rysach, pozostawała zawsze nieruchoma i nadęta: była uosobieniem głupoty, przy tym głupoty despotycznej, złej, agresywnej.

Chytyndo była szamanką narodu czy plemienia zamieszkującego kotlinę. Z początku Wietługin sądził, że ma tu do czynienia z teokratyczną formą rządów, innymi słowy, że władza religijna i świecka skupia się w jednych rękach — właśnie w rękach Chytyndo. Wymyślił nawet dla niej zabawne przezwisko — „Papieżyca”. (Później się jednak okazało, że sprawa wygląda nieco inaczej.)

Nyrta miał żonę imieniem Fano i siostrę-podlotka Sojtyne, którą Wietługin widywał tylko z daleka — dziewczyna nie ośmielała się podejść do niego. Za to jej głos nieustannie, nieraz aż do znudzenia dźwięczał mu w uszach. Widocznie Sojtyne uważana była za najlepszą Śpiewaczkę wciąż improwizowała przy ognisku pieśni o prostej, monotonnej melodii. A kiedy zaczynała śpiewać, inne kobiety z szacunkiem milkły.

Mężczyzn Wietługin widywał tylko wieczorami — już o brzasku wychodzili na polowanie. Całe dnie, przykuty chorobą do pośłania, spędzał w towarzystwie kobiet, dzieci i psów.

Rytmicznie pochylały się i prostowały przed nim kosmate cienie na ścianie.

Kobiety Byrrangi były bardzo pracowite. Cierpliwie skręcały nici, wyprawiały reniferowe skóry, szyły odzież,



gotowały jedzenie. Poza tym, co zręczniejsze wycinały i naszywały na odzież prymitywny ornament z farbowanej skóry.

Nie milkła cicha pieśń przy ognisku. Wietługin pomyślał, że tak rok za rokiem, wiek za wiekiem płynie to jednostajne życie przy wtórze chrzęstu i postukiwania amuletów zawieszonych pod stropem, przy owym beznadziejnie monotonnym, prymitywnym akompaniamencie.

W pieśni zapewne była mowa i o nim, gdyż łowił niekiedy zwrócone na siebie zamyślane spojrzenia kobiet. Obejrzą się, pomilczą chwilę, jakby dobierały słów dla porównania, i śpiewają dalej.

Raz po raz śpiew przerywało groźne warczenie lub żaloszny skowyt psów. Małe, o krótkich łapach i białej, skudłonej sierści, leżały u wejścia, płątały się pod nogami, gryzły się i biły o rzuconą kość.

Na noc wypędzano je na dwór. W pieczarze zostawały tylko szczenięta.

Całą tę niespokojną zgrają pakowano wieczorem do worka, by nie przeszkadzały śpiącym. Natomiast w dzień szczenięta cieszyły się nieograniczoną swobodą. Wszędzie było ich pełno, wtykały czarne nosy w naczynia z jedzeniem, goniły się, baraszkowały, niczym białe puszyste kłębuszki przetaczały się przez chorego. Były żywymi zabawkami małych mieszkańców pieczary.

Tutejsze dzieci miały również inne zabawki — zrobione z odpadków skóry, szczapek drzewa, kości pozostałych po jedzeniu. Dziewczynki kołysały pokraczne lalki otulone w gałganki. Chłopcy strzelali z maleńkich, mocno wygiętych łuków, a także paśli liczne „stada renów”. Te ich „reny” składały się zaledwie z jednej kości — a mianowicie kostki z nogi renifera. Niekiedy na „szyję” takiego „rena” dzieci zarzucały malutki arkan, wywlekały go ze „stada” i wrzeszcząc z podniecenia ciągnęły końce arkana w przeciwne strony — dusiły „rena”.

Pocieszne były tańce dzieci. Nagle kilkoro golasów —

chłopców i dziewczynek — ustawiało się gęsiego i trzymając się za łokcie ruszało paradnym klusem, zabawnie wypinając brzuszki. Mogły tak bez końca, aż do zawrotu głowy krążyć wokół ogniska.

W pieczarze, gdzie leżał Wietługin, było sześcioro czy siedmioro dzieci w różnym wieku.

Bardzo lubił je obserwować. Odrywało go to od niewesołych myśli. Jakoś lżej się na duszy robiło, gdy słyshał obok beztroski szczebiot, tupot zwinnych, małych nóżek i wybuchy wesołego śmiechu.

Najhałaśliwszy ze wszystkich był żywy malec w wieku lat trzech lub czterech, którego nazywano Kiejulkan.

Malec wydał mu się znajomy. Te pałkowate, rozkraczone nogi. Ta ruchliwa, okrągła buzia o zdrowych rumieńcach, widocznych nawet mimo grubej warstwy tłuszczu i brudu!

Ale Wietługin poznał go dopiero wówczas, gdy inni chłopcy, nieco starsi, rozbrykawszy się, narzucili na szyję Kiejulkana arkan i wykrzykując: „Mauk! Mauk!”, zaczęli go ciągnąć ku wyjściu. Kiejulkan opierał się ze wszystkich sił. Nie mógł się jednak utrzymać na nogach, upadł i wleczony po ziemi, z wrzaskiem czepiał się skór reniferowych.

Jedna z kobiet siedzących przy ognisku skoczyła ku łobuzom, szczerze rozdzielając klapsy.

Porządek został przywrócony. W różnogłośnym beku, jaki nappełnił teraz pieczarę, szczególnie wyróżniał się przeraźliwy, rwący się, kwikliwy płacz Kiejulkana, który oberwał na równi ze wszystkimi.

Ten płacz był jedyny w swoim rodzaju. Nie można go było absolutnie pomylić z jakimkolwiek innym płaczem.

Nie ulegało wątpliwości, że właśnie ten zabawny malec z okrągłym wypiętym brzuszkiem miał być złożony w ofierze tajemniczemu Maukowi i że to jemu na ratunek rzucił się Wietługin.

Tego samego dnia przywołał na migi do siebie Nyrte. Ten, usłużny jak zwykle, skwapliwie podał mu czarę sądząc, że chory chce pić.

Lecz Wietługin odsunął od siebie czarę.

— Kiejulkan — Mauk? — powiedział głośno, wskazując na kręcącego się obok Kiejulkana. — Mauk — Kiejulkan?...

Słowa Wietługina wywołały ogólny popłoch w pieczarze.

Nyrta wciągnął głowę w ramiona i bojaźliwie obejrzał się na wejście. Siedzący przy ognisku umilkli jak na komendę, a Fano rzuciła się ku dziecku i ukryła je pod połą swej odzieży.

Ciekawość Wietługina nie została zaspokojona. Toteż natarczywie powtórzył pytanie, postanowiwszy, że nie da spokoju Nyrce, dopóki ten mu nie odpowie, jaki związek zachodzi pomiędzy Kiejulkanem i Maukiem? Jednakże ostrzegawcze sykanie ze wszystkich stron poskutkowało. Uczony mimo woli umilkł.

Nyrta patrzył uważnie na Wietługina.

Nagle jakaś myśl rozjaśniła jego rozumną twarz. Położył rękę na głowie Kiejulkana, w drugą wziął szczapkę drzewa leżącą na ziemi i zaczął coś tłumaczyć półgłosem, oglądając się raz po raz na wejście. Pokazywał na usta, żałośnie przechylał głowę na ramię, mrużył oczy i podnosił szczapę ku dziecku, odchylając się przy tym do tyłu, jakby zachęcał, by je porównać. Niekiedy, zniżając głos do szeptu, z naciskiem wymawiał słowo „Mauk”.

Mimika Nyrty była tak wyrazista, gestykulacja tak żywa, że trudno było go nie zrozumieć.

Patrząc na szczapę drzewa Wietługin przypomniał sobie malowanego „wańkę-wstańkę” z pętlą na szyi, który leżał na brzegu rzeki i, zdawało się, bezgłośnie śmiał się z przybysza.

A więc to tak!... W ostatniej chwili mieszkańcy gór zamienili ofiarę i zamiast dziecka podsunęli „wańkę-wstańkę”, drewnianego bałwana!

Wietługin spojrział na Nyrte, uśmiechem dając mu do poznania, że rozumiał. Nyrta ostrzegawczo podniósł rękę. Lecz w jego żywych oczach zamigotały wesołe iskierki.

Wietługinowi podobała się taka bezceremonialność w postępowaniu z mrocznymi duchami wąwozu. A więc można duchy oszukać — wystarczy podrażnić ich apetyt widokiem dobrze odżywionego dziecka, a potem wśród gwaru, łoskotu bębnow i rytualnego zawodzenia zamienić je — podsunąć drewnianego bałwana zamiast człowieka.

Mieszkańcom Byrrangi nie można było odmówić zmysłu praktycznego.

A w jakiś czas potem Nyrta dał swemu gościowi do zrozumienia, co myśli o wzajemnych stosunkach Wietługina i Mauka.

Nyrta zacisnął pięści, a następnie z siłą je zderzył.

— Mauk! — mruknął wskazując głową na jedną pięść.—Teno! — powiedział pokazując na drugą.

Widząc, że Wietługin go nie rozumie, młody człowiek otworzył pięść i ostrożnie tknął go palcem w pierś.

— Teno! Teno! — powtórzył.

„Teno” znaczyło „ty”? Z tego wynika, że Wietługina uważano za wroga Mauka?

Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Już od pierwszych swych kroków w kotlinie rzucił wyzwanie Maukowi, usiłując mu odebrać przeznaczonego na ofiarę Kiejulkana.

Piotr Arianowicz robił sobie w duchu wyrzuty. Jak można być takim niezgodliwym człowiekiem? Nie zdążył jeszcze odetchnąć po ucieczce z zesłania, a już znowu napytał sobie biedy, z miejsca poróżnił się, i to widać poważnie, z jednym z najbardziej wpływowych duchów Byrrangi!

## VI. Jeniec Byrrangi

Wkrótce jednak Wietługin zapomniał o tajemniczym, obrażonym na niego Mauku. Pał to lichu! Ostatecznie, co go obchodzą te niedorzeczne, pierwotne bzdury?!

Bawić się w rozwiązywanie zagadki niepojętego kultu, grzebać się w zabobonach? Co to, to nie! Ma poważniejszą robotę.

Wietługin nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł wstać i wyjść z pieczary, by przed zapadnięciem nocy polarnej jeszcze raz spojrzeć na przedziwną oazę za kręgiem polarnym.

Zmusił się do wstania. Z początku chodził tylko po pieczarze, opierając się o żerdzie i potykając się o barszkujące na ziemi szczyenięta. Później, po trzech czy czterech dniach, zachęcony przez kobiety wyszedł na korytarz.

Odpoczął chwilę i otoczony dzieciarnią, wśród której był i Kiejulkan, wolno powlókł się ku wyjściu. Minął kilka skór reniferowych, zasłaniających wejścia do sąsiednich pieczar, i wreszcie znalazł się na dworze, na zboczu lesistej kotliny.

Świeże powietrze odurzyło go. Musiał usiąść na progu — płaskim, podłużnym kamieniu u wylotu korytarza.

Przez ten czas, kiedy Wietługin był chory, oblicze doliny zupełnie się zmieniło. I tu, choć ze znacznym opóźnieniem, zawitała zima.

Drzewa pokryły się szronem tak gęstym, iż mogło się zdawać, że to obłoki leżą na zboczach.

W lesie było pełno śniegu!

Śnieg mienił się czerwienią. To słońce zachodziło. Wisiało nisko, prawie dotykając brzegu kotliny. To znaczy, że wkrótce powinno skryć się zupełnie, na całą zimę, na trzy czy cztery ciemne zimowe miesiące.

Wietługin nie mógł uwierzyć, że znajduje się w górach Byrranga, za kręgiem polarnym. Nie, to nie jest

krajobraz tajmyrski. Tajga! Zakątek tajgi! Jak gdyby jakimś cudem przeniósł się z tundry do tajgi — o tysiące kilometrów na południe!

Surowe północne lasy stały po pas w śniegu, w całym swym majestacie: nieruchome, ciche, jakby pogrążone w zadumie. Ciemne kontury gałązek wyraźnie rysowały się na białym tle, niby ornament lub rzeźba z kości.

Nawet na krótki czas szkoda było Wietługinowi rozstać się z tą wspaniałą panoramą.

Jednakże Nyrta już wołał z głębi pieczary, a potem wyszedł po niego. Widać, niepokoił się o jego zdrowie.

Ale Wietługin, nim wrócił do smrodliwego zaduchu pieczary, rozpostarł ramiona i chciwie, pełną piersią wciągnął w płuca rześkie, mroźne powietrze — na zapas.

Poczuł, że go drapie w gardle.

Cóż to takiego?...

Z lasu zalatywało gorzkawym znajomym zapachem. Dym?... Naturalnie! Przedziwna kotlina pachniała dymem — jakże mógł o tym zapomnieć?!

Wietługin zaśmiał się i w przypływie energii rzucił śnieżką w Kiejulkana, tarzającego się po śniegu przy wejściu do pieczary.

A więc wulkan? Stara, odrzucona hipoteza o istnieniu wulkanów na Syberii jest jednak słuszna? On, Wietługin, ma oto przed sobą krater wygasłego wulkanu, kalderę!

Już sama nazwa z hiszpańskiego caldeira, kocioł — tłumaczy istotę zjawiska. Ziemia jeszcze nie ostygła. We wnętrzu „kotła” zachowało się ciepło. Podgrzewana od spodu gleba, jak również powietrze, obficie nasycone dwutlenkiem węgla (dym!), który wydobywa się wszystkimi szczelinami z ziemi, stwarzają warunki sprzyjające wegetacji roślin. A więc dlatego rośnie tu taki wysoki Jas! Dlatego przesunął się aż tak daleko na północ, przekroczywszy

zakazaną granicę kręgu polarnego.

Na północnym skraju Półwyspu Tajmyrskiego powstała swego rodzaju cieplarnia. — rezerwat leśny w nagiej, zimnej Byrrandze.

Wietługin nie zdziwił się, gdy zobaczył w dole kilka małych wodotrysków. Żeby obraz był pełny, brakowało właśnie tylko tego szczegółu.

Gejzery! Tryskające spod ziemi strumienie gorącej wody!

Przyjrząwszy się lepiej Wietługin zobaczył obok wodotrysków kilka ludzkich postaci. Ludzie ci coś tam robili, czołgali się na kolanach z miejsca na miejsce, zginali się i prostowali, jakby wybijając przed kimś pokłony.

Modlą się do gejzerów czy co?

Geograf niechętnie wrócił do pieczary, podtrzymywany przez Nyrkę, i położył się z głębokim przeświadczeniem, że widział gejzery.

Nazajutrz widoczność była znacznie lepsza. Mgielka nad lasem zrzedała i Wietługin, ku swemu rozczarowaniu, stwierdził, że nie ma gejzerów na dnie kotliny. To tylko para, słupy pary unoszącej się z przerębli.

W czasie choroby Wietługina rzeka przepływająca w dole zamarzła. Mieszkańcy pieczar przebili w lodzie otwory i teraz uwijali się przy nich, łowiąc ryby. Nie wiadomo tylko, po co czerniły się na środku rzeki czółna.

Około południa mgła zupełnie się rozwiązała i Wietługin zrozumiał ich przeznaczenie. Lód był jeszcze kruchy. Tylko tu i ówdzie jakiś ryzykant czołgał się na brzuchu lub na czworakach, by się przedostać do przerębli. Bardziej ostrożni wsiadali do czółen i wolno sunęli po lodzie, odpychając się od niego rękami.

W tej chwili, skupieni wokół przerębli, wodzili krótkimi wędziskami nad parującą wodą.

Wietługin nie mógł długo obserwować połowu ryb, gdyż strasznie rozboleła go głowa. Był jeszcze bardzo osłabiony po tyłu ciężkich przejściach.

Miał nadzieję, że powetuje to sobie, i za dwa, trzy dni zejdzie nad rzekę, a także wdrapie się na przeciwległe zbocze kotliny.

Jednak nie udało mu się tego zrobić. Przez parę dni czuł się tak słaby, że nie miał sił nawet dowlec się do

wyjścia z pieczary. A kiedy wreszcie znów wyszedł na dwór, było już za późno.

Słońce skryło się za górami do wiosny, mrok zgęstniał; i na cuda kotliny zapadła szczelna zasłona.

2

Na długo, na całą zimę, zasiadł Wietługin przy ognisku w pieczarze.

Wokół wesoło potrzebującego ognia skupiały się teraz nie tylko kobiety, ale i mężczyźni. Z nastaniem ciemności zaniechali myślistwa i rybołówstwa. Co prawda, w lesie zastawiano jeszcze sidła, a ten i ów — na przykład Nyrta — dalej polował w pojedynkę przy księżycu. Na ogół jednak myśliwi starali się wychodzić z pieczary jak najrzadziej.

Rytm tutejszego życia wyraźnie uległ zwolnieniu. Ludzie zaszyli się w swych norach niczym niedźwiedzie w barłogu pogrążone w zimowym śnie.

Wietługinowi nie chciało się ruszać, rozmawiać. Ot, siedziałby tak godzinami bez ruchu, patrzył na pełgające po gałęziach płomyki, łowiąc uchem nie kończącą się śpiewną rozmowę, jaką wiodły między sobą kobiety przy ognisku.

Czerwone błyski igrały na barwnym, obszytym świecidełkami napierśniku Sojtyne, wychwytywały z ciemności poruszające się miarowo ręce Nyrty — dla rozrywki strugał laseczkę — przebiegały śpiesznie po szerokiej twarzy Chytyndo, która pykała fajkę, od czasu do czasu spluwając w ogień. Obok, z brodą opartą o kolana, drzemał Jakaga.

Przez zimę Wietługin zdołał się bliżej rozeznać w tutejszych stosunkach. Jeśli idzie o „Papieżycę”, jego przypuszczenia okazały się mylne. Otyła karlica z twarzą olbrzymki była tylko szamanką tajemniczego narodu, który odosobnił się w górach Byrranga. Władzę świecką sprawował Jakaga. Nawiasem mówiąc, wszyscy wiedzieli, że jest on narzędziem w rękach swojej połowicy.

Kiejulkan to syn Nyrty i Fano, wnuk szamanki.



Pocieszny wesoły malec był ulubieńcem Chytyndo. Dla Kiejulkana odkładało się najtłustsze kęski mięsa, Kiejulkanowi wybaczało się każdą swawolę. Babka pozwalała mu nawet bawić się akcesoriami swego szamańskiego fachu — rytualnym bębniem i pałeczką z różnobarwnymi wstążkami.

Do córki szamanka odnosiła się chłodno, do zięcia — z jawną nieprzyjaźnią. Mało powiedzieć, że w rodzinie pomiatano Nyrta — nawet przy jedzeniu zbywano go lada kęskiem. A przecież on był jej głównym żywicielem — Jakaga wolał się wygrzewać przy ognisku, w filozoficznej zadumie wydzierając za pomocą noża rzadkie włosy z podbródka (zastępowało mu to golenie).

W pieczarze mieszkali jeszcze dwie dość liczne rodziny zajmujące w stosunku do rodziny Chytyndo pozycję podrzędną. Byli to jak gdyby ich lokatorzy, mieszkający kątem.

Wąski, słabo oświetlony kamiennymi kagankami korytarz oddzielał pieczarę, w której żył Wietługin, od trzech czy czterech mniejszych rozmiarami grot, gdzie znalazło pomieszczenie jeszcze jakieś siedem, osiem rodzin. Ogólna liczba plemienia wynosiła około siedemdziesięciu, osiemdziesięciu osób, licząc razem z dziećmi.

Na drugim końcu korytarza znajdowały się nie zamieszkałe pieczary, cały labirynt prowadzący gdzieś w samo serce gór. Tam odbywały się ceremonie rytualne, prawdopodobnie mające związek z myślistwem i rybołówstwem.

Spędzając cały czas przy ognisku, Wietługin z zapalem uczył się języka swoich gościnnych gospodarzy. Rozmowny, pełen życzliwości dla niego Nyrta stał się głównym „profesorem”, inni pomagali mu w miarę sił, nawet Jakaga, który nie pałał zbyt miłością do Wietługina, i jak dawniej trzymająca się z dala od przybysza, nieśmiała Sojtyne. Jedynie Chytyndo nie raczyła się zniżać do takich głupstw...

Mimika i gesty mieszkańców gór, jak u większości ludów pierwotnych, były niezwykle wyraziste. A kiedy

gesty i mimika nie wystarczały, któryś z gorliwych nauczycieli zrywał się z miejsca i chwyciwszy z ogniska węgielek, dla lepszego zrozumienia zaczynał rysować na klepisku pieczary.

Wszystkich ogromnie bawiła wymowa Wietługina. Raz po raz rozlegały się głośne wybuchy śmiechu, a Nyrta wprost tarzał się po ziemi. Było coś urzekającego w prostoduszności tych ludzi, którzy jak dzieci radowali się możliwością urozmaicenia sobie nieskończenie długich, nudnych wieczorów.

„Co to za ludzie? Dlaczego żyją tutaj? Skąd się wzięli w górach Byrranga?” — zastanawiał się geograf.

Gdy Wietługin nauczył się dość swobodnie porozumiewać z mieszkańcami oazy w ich ojczystym języku, odbyła się znamienna rozmowa między nim a Nyrta.

— Kim wy jesteście, Nyrta? — spytał go wprost. — Jak się nazywa wasz naród?

Był pewien, że Nyrta zbędzie go milczeniem lub ograniczy się do jakiejś wymijającej odpowiedzi, jak zwykle, kiedy w rozmowie próbował poruszyć jakiś zakazany temat.

Jednakże Nyrta odparł bez wahania:

--- Dzieci Słońca.

--- Jak powiedziałeś? Słońca? powtórzył Wietługin, sądząc, że się przesłyszał lub mylnie zrozumiał swego rozmówcę, (Nowe, nieoczekiwane zestawienia słów w mało znanym języku jeszcze go myliły.)

--- Słońca - potwierdził z niewzruszonym spokojem Nyrta i głęboko zaciągnął się fajką. A potem raz jeszcze powtórzył takim tonem, jakby to była rzecz sama przez się zrozumiała: — Ja jestem Synem Słońca!...

I na poparcie swych słów przedłożył dowód rzeczowy. Pociągnawszy za długi, czarny od brudu rzemyk, który nosił na szyi, młody myśliwy wyjął z zanadrza i pokazał Wietługinowi starannie wypolerowany krążek z kła mamuta. Krążek połyskiwał matowo w purpurowym odbłasku ognia.

— To dobra rzecz — powiedział z przekonaniem Nyr-

ta. — „Słoneczne oko szczęścia” — tak się u nas mówi!

Dalej wyjaśnił, że w kotlinie nie ma człowieka, który by nie nosił na piersiach takiego amuletu. Uważano, że na okres nocy polarnej zastępuje on w jakimś stopniu prawdziwe słońce i pomaga doczekać się jego powrotu.

Układając się do snu Wietługin długo rozmyślał nad tym. Malutkie, noszone na piersiach „słońce”, to tylko jeden z przejawów pierwotnej magii sympatycznej<sup>1</sup>. A jednak było w tym coś bardzo wzruszającego, poetycznego. Ludzie, zmuszeni żyć w ciasnej i ciemnej pieczarze, spędzać zimę w przygnębiającym mroku polarnej nocy, nie chcieli na długo rozstawać się ze słońcem. Unosili ze sobą jego cząstkę, jego odblask do wnętrza góry. Stanowiło to dla nich rodzaj moralnego oparcia.

### 3

A to oparcie było im tak potrzebne!...

Istnienie „Dzieci Słońca” wspierało się na bardzo kruchych podstawach. Żyli przecież dosłownie na wulkanie. Ziemia od czasu do czasu wstrząsała się pod nogami i kołysała.

Pierwszy wstrząs Wietługin odczuł wkrótce po przybyciu do oazy. (Wtedy leżał jeszcze całymi dniami w swym kącie.) Nagle doznał wrażenia, jak gdyby ktoś szarpnął leżącą pod nim reniferową skórę. Głucho brzęknęły amulety wiszące nad głową, ze sklepienia pieczary posypał się pył.

Zdziwił się, lecz nie przywiązywał do tego szczególnej wagi.

Pomyślał, że po prostu zakręciło mu się z osłabienia w głowie.

Jednakże wśród zimy wstrząs się powtórzył. Rodzina Jakagi jadła akurat kolację, siedząc przy ognisku. Nagle

<sup>1</sup> M a g i a s y m p a t y c z n a — magia, w myśl której każda rzecz wywiera na otoczenie wpływ odpowiadający jej właściwościom, np. szpilka, sól wywołuje W pewnych warunkach kłótnie, próg może rozdzielić przyjaciół itd.

drewniany kocioł, w którym gotowano mięso, przewrócił się i gorąca woda wylała się pod nogi. Wietługin zerwał się z miejsca i zdążył jeszcze zauważyć, że ze ściany spadło kilka kołczanów ze strzałami.

Nic więcej nie zaszło. Gospodarze pieczary odnieśli się do tego wypadku z zadziwiającym spokojem, jakby podobna rzecz trafiała się im już nieraz. Kobiety skrzętnie zaczęły zbierać rozrzucone po ziemi kawałki mięsa, mężczyźni nawet się nie ruszyli z miejsc i nie przerwali ani na chwilę swych zajęć.

Wietługin dopiero teraz uświadomił sobie, że było to trzęsienie ziemi.

Co tchu wyskoczył z pieczary. To bardzo ważne. Bardzo!... Trzęsienie ziemi, chociażby nawet niezbyt silne, lecz regularnie się powtarzające, potwierdza hipotezę o ostygającym wulkanie.

Księżyc wisiał nisko nad lasem. Widoczność była doskonała.

Czy krajobraz się zmienił? Oczywiście!

Wietługin widział wyraźnie, że na przeciwległym zboczu pojawiła się jakby polana wśród lasu. Aha! Zbocze się oberwało! Część lasu jeszcze teraz się osuwa.

Nagle zakłębił się śnieg i biały obłok przesłonił końcową fazę katastrofy. Przypuszczalnie razem z ziemią drzewa przewróciły się do góry korzeniami.

Nazajutrz Wietługin uprosił Nyrte, który szedł do lasu obejrzyć sidła, by go zabrał ze sobą.

Zeszli w dół wąską ścieżką i brnąc w puszystym śniegu, ruszyli wzdłuż zamarzniętej rzeki po dnie kotliny.

W zwodniczej, drżącej poświacie wszystko wokół płyneło, zmieniało się. Księżyc zniknął, to znów się pojawiał. Wietługin dopiero po dobrej chwili zorientował się, dlaczego tak się dzieje. Gęsta mgła zawisła nad wąwozem, przykrywając go jakby pokrywką. Chwilami „pokrywka” lekko się unosiła i wówczas ukazywało się w górze głębokie, czarne niebo.

Nyrta pewnie prowadził towarzysza. Wkrótce znaleźli się wśród wykrotów. Niektóre drzewa leżały zwalone na

bok, ze splątanymi gałęziami, inne sterzczały pionowo, korzeniami do góry, sprawiając wrażenie widm powstających z grobu, ze wzniesionymi ku niebu rękami.

Nie były to skutki jakiejś burzy. To były ślady trzęsienia ziemi.

Wczorajsza katastrofa, jak się okazało, przybrała znacznie poważniejsze rozmiary, niż przypuszczał geograf. Aż nad samą niemal rzekę stoczył się kawał góry porosłej lasem, pozostawiając po sobie szeroką czarną wyrwę, jakby po zboczu przeszedł gigantyczny pług.

A za zakrętem jaśniał mglisty, purpurowy odbłask. Nad lasem wisiała luna.

Nyrta i Wietługin dotarli w końcu do zakrętu, przełaząc przez zwalone pnie, przedzierając się przez sterzczące w górę korzenie drzew.

Pierwszą rzeczą, jaką geograf „zobaczył”, był wiatr.

Pędził po niebie niskie, poszarpane obłoki. Nie, to nie były obłoki, lecz kłęby dymu.

Nyrta, burcząc i sapiąc przysiadł na zwalonym pniu. Wietługin zrobił jeszcze parę kroków i ostrożnie rozsunął gałęzie, żeby lepiej widzieć.

Jego oczom ukazało się ogniste, rozwarte wnętrze ziemi. Wiatr z siłą uderzał w wierzchołek niewysokiego pogórka. Wylatywały stamtąd iskry i ku czarnemu niebu wzbijały się żagwie płomieni. Potem szczyt na długo otulił się kłębami dymu.

Wietługin odwrócił się do Nyrty.

— Góra ognia? — spytał, z trudem dobierając słowa.— Ziejąca ogniem góra?...

Nyrta obojętnie skinął głową. Ten widok nie był więc dla niego nowością.

Wietługin długo siedział na zwalonym pniu, podczas gdy Nyrta obchodził swoje potrzaski.

A zatem jest tu, w górach, nie tylko wygaśły, ale i czynny wulkan. Nie ma co mówić, ładne sąsiedztwo!...

Zresztą, myśl o niebezpieczeństwie natychmiast ustąpiła miejsca innej, przyjemniejszej. Dokonane przez Wiet-

ługina odkrycie z każdym dniem przybierało pełniejszy, wyrazistszy kształt.

Spotykał się nieraz w książkach z opisami kalder.

Kaldera to najczęściej płaska, szeroka wpadlina o niewysokich, łagodnych brzegach — coś w rodzaju ogromnego amfiteatru. Pośrodku wznosi się niewielki stożek — malutki wulkan „filialny”<sup>1</sup>, który przejął „spuściznę” po starym, wygasłym wulkanie i wciąż jeszcze wre, burzy się, pluje ogniem, a od czasu do czasu nawet wyrzuca z siebie lawę.

Czy nie pokrywało się to dokładnie z tym, co w tej chwili widział Wietługin?

Stary krater wygasłego wulkanu był bardzo szeroki i niski — prawdopodobnie na skutek erozji. Narzucało się porównanie z amfiteatrem. Tylko że ten „amfiteatr” posiadał niebywale imponujące rozmiary.

Geograf przypominał sobie wiadomości o największych znanych mu kraterach. Średnica Mauna-loa na Hawajach wynosi cztery tysiące metrów. Średnica Gunung-Tenger na Jawie — około sześć tysięcy. Ale to były karły w porównaniu z wygasłym wulkanem Byrrangi.

Z niecierpliwością oczekiwał wiosny, światła, by dokładnie obejrzeć wszystko: kalderę, las, maleńki czynny wulkan, a także, by zebrać próbki minerałów wulkanicznych i roślinności. Przecież nie mógł wrócić do Moskwy czy Petersburga z pustymi rękami! Nikt by mu nie uwierzył — jeszcze by go wyśmiano!...

4

Rozmyślając wiele nad pochodzeniem kotliny, Wietługin jednakże nie zapominał o najbliższym zadaniu, jakie go czekało.

Kaldera wulkanu, do której się tak w porę stoczył

<sup>1</sup> W geologii noszą one nazwę stożków wulkanicznych przybyszowych.

i gdzie skrył się przed ostrą tajmyrską zimą, była tylko czasowym schroniskiem, przystankiem w drodze. Kiedyś może wróci tu z ekspedycją geologiczną, ale teraz nie miał zamiaru się zatrzymywać. Ważne sprawy czekały go w Rosji.

Jego plan był prosty. Przesiedzieć w kotlinie zimę, potem zbić tratwę z leżącego nad wodą drzewa lub wyprosić łódkę, a następnie, gdy rzeka uwolni się od lodu, pożegnać gościnnych gospodarzy, uścisnąć rękę Nyrtu, ucałować Kiejulkana i — w drogę!

Splynie rzeką ku jezioru — cóż łatwiejszego! W porównaniu z tym, co przeszedł, to przyjemna wycieczka, nic więcej.

Trzeba będzie tylko wymyślić jakiś prawdopodobny pretekst dla Samojedów. Z nimi powinien się przedostać ku granicy lasu, wzdłuż której rozrzucone są koczowiska, a potem ulotnić się, zniknąć w lesie. Wtedy dopiero będzie musiał wysilić cały swój spryt, pomysłowość i energię, ażeby nie zwracając na siebie niepożądaną uwagę, przedzierając się tajnymi leśnymi ścieżkami, od jednej kryjówki do drugiej, wrócić niepostrzeżenie do europejskiej części Rosji.

Wielkie nadzieje pokładał Wietługin w pewnym zaufanym towarzyszku, który mieszkał w Dudince — punkcie przeładunkowym nad Jenisejem. Ten pomoże mu się ukryć, wskaże dalszą drogę, zaopatrzy w pieniądze, adresy, hasła...

A może te wszystkie środki ostrożności nie są już potrzebne? Może dokonała się upragniona rewolucja, o której zbliżaniu się doszły słuchy nawet nad Ocean Lodowaty Północny, do wioski Posledniaja? Wówczas sprawa powrotu do europejskiej części Rosji byłaby znacznie uproszczona. Wystarczyłoby Wietługinowi wymienić swe nazwisko, by mu okazano pomoc i wyprawiono dalej na południe.

Tak czy owak — trzeba się śpieszyć! Nad jezioro Tajmyr dostanie się w najlepszym razie na wiosnę, całe lato będzie musiał spędzić z Samojedami, a do granicy

lasu dotrze dopiero późną jesienią. Dobrze będzie, jeśli znajdzie się w Dudince w połowie przyszłej zimy!

A więc rok?... Czekać, dręczyć się, spalać z niecierpliwości jeszcze przez długi rok?...

Ale co robić? Przecież nie mógł przelecieć przez góry i tundrę w powietrzu! Przed nim była jedna jedyna droga — rzeka!

Niepokoilo go, czy aby wpada ona do jeziora? Wszystko przemawia za tym, że powinna wpadać. Pytał o to Nyrte, lecz ten zbywał go niezrozumiałym mruzeniem i niezręcznie zmieniał temat rozmowy. W każdym razie rzeka płynęła przez kotlinę w kierunku z północy na południe, a jezioro znajdowało się gdzieś na południu.

Zaraz z pierwszymi przeblaskami jasności dziennej trzeba będzie wejść na przełęcz, by zbadać stamtąd bieg rzeki.

Upragnione słońce wyrzało zza gór w połowie lutego.

Chyba nikt w kotlinie nie powitał jego ukazania się z większym entuzjazmem niż Wietługin. Nie mógł się doczekać tej chwili. Nareszcie zobaczy znowu odkryty przez siebie przedziwny światek, jak również sprawdzi domysły odnośnie rzeki, co było tak ważne dla jego dalszej wędrówki.

Z początku słońce tylko na krótko pojawiało się na niebie. Przez większą część dnia panował mrok. Samodzielna wycieczka w głąb lasu byłaby jeszcze zbyt ryzykowna.

W reszcie dnia stały się na tyle długie, że geograf odważył się wybrać na przełęcz sam jeden, bez Nyrty.

Ku jego radości dzień był jasny, prawie bez mgły, co zdarzało się tu bardzo rzadko.

W miarę jak wspinał się coraz wyżej po dość stromym zboczu, widnokrąg wciąż się rozszerzał. Okazało się, że oaza nie jest znów taka wielka. Las, mniej lub więcej gęsty, pokrywał tylko część kaldery. To tu, to tam przeświecały łysiny, puste miejsca, pozbawione roślinności. Gdzieniedzie drzewa rosły bardzo dziwnie, powykrzywiane w różne strony. („Pijany las” — pomyślał geograf.)



Gdy las się skończył, Wietługin ujrzał przed sobą zwykły, posępny krajobraz Byrrangi: biel i czerń, śnieg, śnieg i wystające spod niego granie skał.

Widok ten przypominał mu jego wędrówkę przez góry jesienią ubiegłego roku, przenikliwie, jakby oplakujące go krzyki poświerek, ogromne płatki śniegu wolno, niby w półśnie, opadające na ziemię.

Nie, to się więcej nie powtórzy! Nie może się powtórzyć!... On, Wietługin, dopłynie do Samojedów z prądem rzeki, na tratwie lub w łódce, i to bez specjalnego wysiłku.

Żeby tylko rzeka nie zawiodła. Czy rzeczywiście płynie na południe? Czy wpada do jeziora?...

Wietługin dalej wspinał się ku przełęczy, lecz teraz szedł znacznie wolniej, raz po raz oglądając się i nasłuchując. Mniej więcej od połowy drogi towarzyszył mu w lesie różnogłose ptasi gwizd.

Dla próby Wietługin kilka razy przystawał — gwizd natychmiast milkł. Gdy tylko ruszał z miejsca, gwizd znów się odzywał.

To nie był przypadek. Śledzono go! Kryjąc się za drzewami i krzakami, niewidzialna eskorta szła za nim krok w krok, gwizdem porozumiewając się między sobą.

Czy miało to oznaczać, że nie wolno mu zobaczyć czegoś, co jest zabronione, dowiedzieć się o czymś, czego nie powinien wiedzieć? A może obawiano się, że chce zbiec, chociaż ucieczka o tej porze roku byłaby szaleństwem?

Wietługin postanowił sprawdzić swe podejrzenia.

Mimo że nogi ugiwały się pod nim ze zmęczenia, szedł wciąż naprzód i doszedł już prawie do samej krawędzi kotliny. Nagle tuż obok, jakby spod ziemi, wyrósł Nyrta. Jego twarz była surowa. Milczał i tylko z wyrzutem kiwał głową.

Wietługin udał, że nie rozumie, o co chodzi.

Wówczas Nyrta, po chwili wahania, przyłożył dłoń do ust i zaczął uderzać palcami po wargach wydając przy tym dziwny głos — przeciągły a zarazem urywany, donośny, przypominający krzyk orła.

Natychmiast po drugiej stronie przełęczy rozległ się odzew.

Na górskim grzbiecie ukazały się dwie sylwetki z oszczepami — zupełnie jakby wypłynęły z mgły.

Wietługin był wstrząśnięty. Nigdy by się tego nie spodziewał. Straż graniczna? A więc przełęcz jest strzeżona?

Wolno zaczęli obaj schodzić w dół.

Gdy już byli w połowie drogi, Nyrta dotknął ramienia geografa.

W kotlinie, obok pieczar, panował niezwykły ruch.

Mężczyźni wybiegali na dwór, w pośpiechu zarzucając na plecy kołczany ze strzałami. Długi ich sznur ciągnął ku przełęczy. Ten i ów, w biegu wyjmował strzałę z kołczana i nakładał na cięciwę.

Tymczasem kobiety, chwyciwszy dzieci w ramiona i nawołując się strwożonymi głosami, biegnęły w dół, by się skryć w zaroślach nad rzeką.

Nyrta odwrócił głowę do zdumionego Wietługina.

— Mauk nie pozwala! — rzekł z powagą, wskazując na przełęcz.

W głębokiej zadumie wrócił Wietługin „do domu”, do pieczary.

Tu wszystko było po staremu.

Ogólne zdenerwowanie wywołane alarmem już przeszło. „Dzieci Słońca” rozmawiały z ożywieniem i śmiały się, spoglądając na sprawcę zamieszania, siedzącego w swoim kącie.

Lecz jemu było nie do śmiechu. Dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, jak skomplikowana i trudna jest jego sytuacja.

Mieszkańcy oazy obawiali się jakiegoś napadu czy najeźdy. Już sama lesista kotlina w górach przypominała oblężoną twierdzę, a przypadkowo zabłąkany tu wędrowiec znajdował się w niewoli.

Co do tego nie było już wątpliwości.

Tajemniczy Mauk zakreślił, rzekłbyś, krąg, którego granic nie wolno przekroczyć.

Wietługin był jeńcem Byrrangi!...

## VII. Uciekać, uciekać!

Mauk?... Co to za dziwo ten Mauk?... Okazuje się, że nie można go zbyć machnięciem ręki. Trzeba się z nim liczyć, i to poważnie.

„Mauk nie pozwala” — powiedział znacząco Nyrta, zagradzając Wietługinowi drogę ku przełęczy. A zatem właśnie ów tajemniczy, złowieszczy Mauk nie wypuszczał go z kotliny?

To dziwne!...

Wietługin nie miał zamiaru wnikać w wierzenia „Dzieci Słońca”. Nie uważał się za dostatecznie kompetentnego w tych sprawach.

„Później przyjdą tu specjaliści, etnografowie — myślał. — To akurat coś dla nich”.

Ale składa się tak, że jedno z wierzeń będzie musiał sam zbadać, i to jak najszybciej, nie zwlekając.

Trzeba dojść do tego, czym jest Mauk i unieszkodliwić go, grzecznie odsunąć na bok, by się nie pętał pod nogami i nie przeszkadzał mu w odejściu (czy w odjeździe) z kotliny.

Jednakże gdy tylko Wietługin próbował zadać jakies pytanie na temat Mauka, „Dzieci Słońca” natychmiast odwracały oczy, chmurzyły się lub nawet wręcz niegrzecznie przerywały rozmowę.

Był to więc temat zabroniony. Tylko raz jeden Fano bąknęła coś o „skrzydle, które zakryło słońce”. Skrzydło? Widocznie mieszkańcy kotliny wyobrażają sobie Mauka w postaci ptaka? Ptak Mauk?...

Z Maukiem związana była także jakaś bardzo daleka wędrowka „Dzieci Słońca”. Jak się okazało, ludzie ci nie zawsze żyli w górach. Tak przynajmniej można było wnioskować z mocno zawiłych objaśnień Nyrtę. Żyli gdzieś w tundrze. A w góry przybyli nie z własnej woli. Przyszli tu za sprawą Mauka. Uciekając przed nim czy prowadzeni przez niego, trudno było dociec.

Skąd przyszli?...

Wietługin był w stanie najwyższego napięcia, jak sędzia śledczy w czasie przesłuchania, który zdołał wreszcie pochwycić wymykającą się nić.

Nyrta zorientował się, że powiedział za dużo, i by pokryć zmieszanie, zaczął się śmiać zupełnie bez powodu. Gdy jednak Wietługin powtórzył pytanie, jego rozmówca uciekł się do zwykłego chwytu: ostrzegawczo położył palec na ustach i obejrzał się na wejście do pieczary, jakby w obawie, czy ktoś nie podsłuchuje.

Lecz geograf nie dawał za wygraną. Po tygodniu znów powrócił do tego tematu.

Wtedy Nyrta skierował rozmowę na reny. Według jego słów, w górach Byrranga żyły jakieś niezwykle tłuste reny, inne niż w tundrze. I właśnie w pogoni za nimi przyszły tu „Dzieci Słońca”.

To było wszystko, co udało się z niego wyciągnąć.

Wietługin sam ruszył głową. I doszedł do wniosku, że odpowiedź, tak starannie przed nim ukrywaną, znajdzie w pierwotnej „galerii obrazów”.

Mieściła się ona nie opodal mieszkalnych pieczar, ściślej mówiąc, stanowiła ich przedłużenie.

Geograf był tam dwa czy trzy razy z Nyrką i widział, jak artyści w naszyjnikach z niedźwiedziich pazurów, usadowiwszy się na wysokich „kozlach”, przy świetle kaganków pokrywają ściany malowidłami. W rękach mieli kamienne palety i kościane flakoniki ze sproszkowaną czerwoną ochrą, z białą gliną i rozpuszczonym pyłem węgla drzewnego. Artyści pracowali w głębokim, pełnym skupienia milczeniu.

Rysunki na ścianach przedstawiały przeważnie renifery. Lecz były tu też i inne zwierzęta, a nawet malutkie postaci ludzi uzbrojonych w łuki i oszczepy. Nie zapomniano również o rybakach z króciutkimi wędkami.

Wietługin nie zdążył jednak bliżej się temu przyjrzeć. Nyrta zaczął go przynaglać, niezbyt uprzejmie brać za łokieć, a nawet popychać.

Ciekawość geografa potęgowała się do najwyższego stopnia.

Czy przypadkiem te kolorowe rysunki na ścianach nie są swego rodzaju paleograficzną kroniką „Dzieci Słońca”?

Dzień po dniu, rok po roku sumienni kronikarze uwieczniają na kamieniu wszystko, co się dzieje w górach. Nie są to żadne nadzwyczajne wydarzenia. Polowanie i rybołówstwo, codzienna uporczywa walka o byt. To, co w zasadzie stanowiło treść życia „Dzieci Słońca”.

Tak, ale gdzie są pierwsze rozdziały, przedstawiające wędrowkę i przybycie do błogosławionej Ciepłej Doliny? Prawdopodobnie w głębi pieczary, gdzie Wietługin nigdy jeszcze nie był. Tam kryje się odpowiedź na pytanie zadane Nyracie: skąd przyszły „Dzieci Słońca”? Tam przypuszczalnie można znaleźć odpowiedź również i na inne pytania: kim są „Dzieci Słońca”, kogo i dlaczego się boją, i wreszcie, co to jest ten tajemniczy Mauk, który nie chce wypuścić go z kotliny.

Oto dlaczego, po nieudanej wyprawie ku przełęczy, Piotr Arianowicz postanowił podjąć nowe poszukiwania, tym razem we wnętrzu góry, w owej pierwotnej „galerii obrazów”. Zmusi wnętrze gór, by przemówiło, by powiedziało to, co jeszcze nie zostało powiedziane!...

W nocy, poczekawszy, aż wszyscy usną, Piotr Arianowicz cichutko wstał ze swego posłania.

Żar dopalał się w ognisku. Można było pomyśleć, iż to jakieś zwierzę sennie mruży ślepią jarzące się w ciemności. Oto, wreszcie, przymknęło je zupełnie.

Krzyknął przez sen Kiejulkan, zamruczało jakieś inne dziecko. Matka zaspanym głosem zaczęła je uspokajać.

I znów wszystko ucichło.

Wietługin stał na progu, nasłuchując, czy się jeszcze ktoś nie obudzi. Nie, nie drgnęło, nie poruszyło się ani jedno okrycie.

Geograf przeszedł szybko wąski, sklepiiony korytarz, oświetlając sobie drogę pochodnią.



Otóż i „galeria”! Na ścianach mającą barwne rysunki. Są wykonane dość prymitywnie, jakby ręką dziecka.

Smolna pochodnia drgnęła w ręce. Migoty światła pobiegły po ścianie, wrywając z mroku obrazy pierwotnego polowania. Oto ukazał się rozgałęziony róg uciekającego renifera, potem wygięty w kabłąk grzbiet gotującego się do skoku rosomaka, obok wyszczerzony pysk lisa polarnego, schwytanego w potrzask. Światło dymiącej pochodni, ledwo je musnąwszy, popłynęło dalej.

Odgłos kroków Wietługina głośnym echem odbijał się pod sklepieniem „galerii”. Pieczara zdawała się nie mieć końca. Czarna czeluść wciągała, rzekłbyś, wchłaniała w siebie człowieka. Ile już przeszedł? Prawa ręka, w której trzymał pochodnię, zupełnie mu zdrętwiała. Rozbolał go już kark od ciągłego zadzierania głowy.

Ale wśród umykających lemingów i lisów, wśród pędzących cwałem reniferów z odrzuconymi w tył rosochaczymi rogami, nie było niczego, co by przypominało ptaka.

Coś innego rzucało się w oczy: prawie wszystkie zwierzęta na rysunkach były oznaczone krzyżem, trójkątem lub malutkim daszkiem.

Czy to przypadek? Na pewno nie. Im dalej Wietługin zapuszczał się w głąb „galerii”, tym lepiej rozumiał sens ściennych malowideł.

To obrazy przyszłych, pomyślnych łowów — innymi słowy, wróżba za pomocą węgla i farb, malarstwo obrzędowe.

Mieszkańcy kotliny pragnęli, aby w czasie polowania stało się z prawdziwymi renami i lisami to samo, co z przedstawionymi na ścianach pieczary. Sztuka wyprzedzała życie. Była to sztuka użytkowa. Ludzie myśleli nie o swej przeszłości, lecz o przyszłości.

Gdzie się jednak ukrywa Ptak Mauk?

Wietługin wyciągnął rękę, niemal dotykając sklepienia pochodnią. Czy to przypadkiem nie ostry koniec czarnego skrzydła wystaje ze szczeliny? Nie, to tylko cień kamienia, sterczącego ze ściany. Mauka tu nie ma.

Pochodnia dogorywała. Robiło się coraz ciemniej. Cienie

podchodziły wciąż bliżej i bliżej do Piotra Arianowicza, jakby ściany pieczary zaczęły się z wolna zesuwać. Coraz trudniej było oddychać.

Nagle Wietługin drgnął, obejrzał się.

Co to? Szelest? Jakby szum skrzydeł nad głową?...

Przypomniały mu się nietoperze. A może w tym labiryncie ukrywa się jakieś żywe stworzenie, prawie ślepe, z czarnymi błoniastymi skrzydłami, zło i drapieżne — nie znany jeszcze zoologom wampir Północnej Azji?

Po chwili niepokojący szelest znów się powtórzył. To ziemia osypywała się ze sklepienia...

Wietługin zrobił jeszcze parę kroków, przyglądając się malowidłom na ścianach.

Nagle zza zakrętu wyłoniło się kilka obrazów, na których widok zapomniał o Mauku i swych poszukiwaniach.

Była to seria rysunków wiążących się ze sobą.

Pierwszy z nich przedstawiał masowe polowanie na reny, prawdopodobnie w czasie ich jesiennej wędrówki. Na ukos przez cały obraz biegła kręta wstęga. To rzeka, w której aż roiło się od rogów przepływających ją zwierząt. I właśnie tu, na przeprawie, zagrodzili im drogę myśliwi w łodziach, uzbrojeni w łuki i oszczepy.

Na drugim rysunku „Dzieci Słońca” uctowały. Słońce z rozchodzącymi się we wszystkie strony promieniami uśmiechało się życzliwie, oświetlając ogniska i siedzących wokół nich w dwa rzędy ludzi.

Wreszcie trzeci rysunek stanowił apoteozę udanego polowania. Na brzegu walały się sterty kości, mnóstwo kości, a biesiadnicy leżeli pokodem na ziemi. Odpoczywali po sutej uczcie. Może ten jeden raz w roku najedli się do syta!

W niedalekiej przyszłości Wietługin miał to wszystko zobaczyć na własne oczy: i polowanie na przeprawie, i ucztę, i „Dzieci Słońca” pogrążone w poobiednim, twarde śnie.

Stał w zamyśleniu przed ścianą, opuściwszy do samej ziemi dymiącą pochodnię. Cóż, chyba trudno o lepszy moment. Uda się uciec, gdy wszyscy usną w kotlinie, zmę-



czeniu polowaniem i biesiadą, gdy osłabnie czujność straży na przełęczy, z którymi myśliwi na pewno się podzielać tak obfitym jadłem.

To była kusząca myśl!...

Podniecony nią Wietługin nagle zawrócił i ruszył z powrotem ku mieszkalnym pieczarom.

„Ucieknę, ucieknę — powtarzał zaciskając pięści. — Nie chcecie mnie puścić po dobremu, to ucieknę. Zbudzicie się po uczcie, a mnie już nie będzie! Szukaj wiatru w polu!...”

Wychodząc z „galerii obrazów”, geograf obejrzał się i jeszcze raz oświetlił ją pochodnią.

Szare pyski renów patrzyły na niego wyczekująco ze ścian.

Mimo prymitywności, a nawet niedbałości rysunku, większość zwierząt była przedstawiona tak plastycznie, iż się zdawało — tylko patrzeć, jak ruszą z kopyta i pomkną naprzód, pociągając za sobą Wietługina.

Geograf zapomniał o nie rozwiązanej zagadce Mauka.

Ogarnęła go nagle radość — przecucie rychłej wolności. Poszukiwania w „galerii obrazów” nie były daremne. Reny powinny mu pomóc w ucieczce z kotliny!...

## 2

Wietługin słyszał od Nyrty, że w jesieni odbywa się masowe polowanie na reny, którego uwieńczeniem jest „Święto sytego brzucha”, zwane inaczej „Świętem Słońca”.

„Święto brzucha, a więc obżarstwa — wciąż powracał do tego geograf. — To świetnie! Doskonale! Po obfitym jedzeniu chce się spać...”

Dla niego to było konieczne, ażeby „Dzieci Słońca” usnęły po jedzeniu. Sen!... Sen!... Niechaj błogie poczucie sytości ześle sen na wszystkich: na podejrzliwego Jakagę, na ponurą Chytyndo, na rozmownego Nyrkę. Twardy sen! Jak najtwardszy!...

A wtedy pozostawiony sam sobie Wietługin będzie panem kotliny.

Nie wąpił ani przez chwilę, że zdoła uciec.

Przecież najgorsze ma już za sobą: zdradę Heavensa, morze pokryte dryfującymi krami, bezludne góry.

Czyż po tym wszystkim, co przeszedł, czego doświadczył, nie uda mu się przechytryć „Dzieci Słońca”?!... Bywał już przecież w znacznie gorszych opałach!

Wietługina nie opuszczało uczucie, że znajduje się pod nieustannym dozorem. Nawet w czasie samotnych spacerów po lesie ciągnęło go, by się obejrzeć. Czuł na sobie czyjś baczny wzrok. Wiedział, że dokądkolwiek skieruje kroki — czy nad rzekę, czy ku przełęczy — wszędzie śledzić go będą, z zarośli czy zza głązów, niedostępne, czujne oczy.

Nie było tego jedynie wtedy, gdy towarzyszył mu Nyrta.

— No, po co mnie tu trzymacie? Dlaczego nie chcecie mnie puścić? — z irytacją pytał Wietługin swego przyjaciela. I nie doczekawszy się odpowiedzi, rzucał przymilnie: — Puścilibyście po dobremu, no?

Nyrta z ubolewaniem rozkładał ręce, dając do zrozumienia, że nie leży to w jego mocy. (Kiedy rozmowa schodziła na temat zakazu Mauka, starał się wypowiadać raczej gestami, widocznie bał się wygadać.)

— Myślisz, że mnie upilnujesz? — mówił Wietługin z rozdrażnieniem. — Nie upilnujesz, nie! Ucieknę! Zobaczysz, że ucieknę!...

Nyrta odpowiadał na to najdobroduszniejszym, najbardziej olśniewającym ze swych uśmiechów i uspokajająco poklepywał geografa po ramieniu. Na Nyrte nie można było długo się gniewać.

Wtedy Wietługin zmieniał temat — zaczynał mówić o mającym się odbyć w jesieni masowym polowaniu, chcąc wyciągnąć ważne dla niego szczegóły od naiwnego towarzysza.

Wietługina pożerała niecierpliwość. Rzeka dawno już była wolna od lodu i toczyła przed

pieczarami spienione, bure wody, pluskiem fal wabiąc za sobą w daleką drogę.

Ale teraz wyłoniła się nowa, nieprzewidziana okoliczność.

Okazało się, że prócz straży na przełęczy był jeszcze drugi posterunek graniczny w nadrzecznych zaroślach na obu brzegach, w miejscu, gdzie rzeka, przeciskając się między skałami, wrywała się z kotliny na otwartą przestrzeń... (Miejsce to nazywał Wietługin „Wrotami”).

Jakże przemknąć się niespostrzeżenie przez Wrota?

Nocą?... W nocy jednak czujność „Dzieci Słońca”, strzegących Wrót, siłą rzeczy musi być zdwojona.

Co prawda, nigdy teraz nie zachodzące słońce polarne, które przez całe lato nieustannie krążyło nad kotliną, często kryło się w chmurach lub w gęstej mgłę, wiszącej nad rzeką. Może się uda zbiegowi w łódce czy na tratwie prześliznąć przez Wrota pod osłoną mgły?...

Nie. Na to nie wolno liczyć. Wrota były bardzo wąskie, a „Dzieci Słońca”, jak Wietługin zdążył zaobserwować, posiadały doskonały słuch. Ledwo by się tratwa pojawiła w cieśninie, z obu brzegów posypałby się grad strzał na zbiega. A mieszkańcy kotliny byli świetnymi strzelcami! Nie, takie ryzyko byłoby głupotą.

Więc co robić?...

Przychodziły mu do głowy różne pomysły. Lecz żaden go nie zadowalał. Dopiero na krótko przed masowym polowaniem znalazł wreszcie sposób, by przekraść się niespostrzeżenie

obok straży w cieśninie.

Piotr Marianowicz miał swoje ulubione miejsce w kotlinie.

Na mieliznie przybrzeżnej, nie opodal Wrót, mokło kilkadziesiąt zwalonych drzew, którym woda podmyła korzenie. Część z nich, porwana wiosenną wezbraną falą, spłynęła w dół rzeki. Pozostałe prąd wyrzucił na mieliz-

nę. Był to „skład” „Dzieci Słońca”; stąd brały drzewo na opał, jak również na rozmaite potrzeby gospodarskie.

Geograf przesiadywał tu godzinami, spoglądając na grube, do połowy pogrążone w wodzie pnie. Tak, można by z nich zbudować wspaniałą tratwę. Mocną, wygodną, lekką!

Ech! Jak ptak pomknąłby na takiej tratwie w dół.

Jak to jest w tej starej pieśni?

*Hej, barguzinie<sup>1</sup>, hej, rozkołysz fale,*

*Droga dla dzielnych otwarta!...<sup>2</sup>*

Ale natychmiast jego wzrok, przesunawszy się po kupie pni, jakby przyciągnięty niewidzialną siłą biegł ku nawisłym nad wodą skałom. Nie widać tam było nikogo. A jednak Wietługin wiedział, że czujne oczy straży nieustannie zwrócone są na rzekę.

Spróbuj przemknąć się na tratwie przez Wrota.

Zbliżał się dzień polowania. Wietługina ogarniało coraz większe podniecenie. Musi wykorzystać „Święto Słońca”, za nic nie wolno mu zmarnować okazji! Była to jego jedyna szansa.

Ale wciąż jeszcze nie znalazł sposobu ucieczki.

W przeddzień łowów Piotr Arianowicz przesiedział parę godzin na mieliźnie, wpatrując się jak urzeczony w pędzącą w dół wodę.

Wreszcie z westchnieniem podniósł się z ziemi. Dość tego! Można wracać do domu. Bo istotnie, po co tu siedzieć, rozpalać jeszcze bardziej swą niecierpliwość!

Przechodząc obok kupy zwalonych drzew nie mógł się powstrzymać i z rozdrażnieniem kopnął najbliższej leżącej pień.

U-u, przekłete drzewo! I co on ma z niego!

Drzewo, leżące ukośnie na innych w stanie chwiejnej

<sup>1</sup>Barguzin — nazwa wsch. wiatru na jeziorze Bajkał; również nazwa rzeki w Buriat-Mongolskiej ASSR.

<sup>2</sup>Z wiersza „Dumy biegleca na Bajkale” — Dmitrlja Pawłowicza Dawydowa (1811—1888).

równowagi, z wolna się odwróciło, ukazując bok oblepiony mokrym piaskiem. Coś zaczerniało wśród gałęzi.

Geograf z ciekawością pochylił się nad nim.

Oho! Jaka głęboka dziupla.

Nagle przykucnął i włożył rękę do dziupli. Była niemal zupełnie sucha. Widocznie, kiedy drzewo płynie po wodzie, dziupla znajduje się nad powierzchnią i woda jej nie zalewa!

Cóż, dziupla jest dość pojemna. Wprawdzie to nie kajuta pierwszej klasy na statku pasażerskim, zawsze jednak... Na pewno się w niej zmieści, oczywiście, jeśli podciągnie kolana pod brodę i skuli się w dziesięcioro.

Przecież to nie na długo. Trzeba tylko minąć cieśninę, prześliznąć się przez Wrota, zmyliwszy czujność straży na brzegu. A potem, człowieku, jeśli zechcesz, możesz stanąć wyprostowany na płynącym drzewie, krzyżeć, śpiewać! Nie dogonią!...

Wietługin rzucił okiem na przeciwny brzeg i uśmiechnął się.

Nieomal biblijny motyw: Jonasz w brzuchu wieloryba.

W ten sposób plan ostatecznie się skryształizował: ucieczka w dziupli drzewa.

Wietługin wyobrażał sobie chwilę, kiedy cała kotlina pograży się we śnie. Myśliwi leżą rozwaleni pośród stert ogryzionych kości, a powietrze drży od ich potężnego chrapania. Koło przewróconych kotłów przycupnęły kobiety. Pod drzewami śpią dzieci — na wznak, na brzuskach, w takiej pozie, w jakiej je zmorzył słodki, poobiedni sen.

Śpi cała kotlina. Tylko on jeden czuwa. Ostrożnie wstaje, balansując rękami obchodzi na palcach Chytyndo, Jakagę, Nyrte i schylony daje nura w zarośla karłowatej świerczyny.

Prędej, prędzej! Biegiem ku rzece, na mieliznę, gdzie leży upatrzone drzewo z dziuplą, które zastąpi zbiegowi tratwę.

Straże prawdopodobnie nie będą spały. No i cóż z tego? Komu przyjdzie do głowy jakieś podejrzenie na widok

niesionego prądem, samotnego drzewa z rozpostartymi gałęziami? A wewnątrz tego drzewa, skulony w dziupli, skryje się Wietługin.

Gdy „Dzieci Słońca” się obudzą, nie zobaczą już swego jeńca. Będzie wtedy daleko stąd, daleko!...

Będzie mknął na spienionej fali bystrej górskiej rzeki, siedząc okrakiem na pniu (po cóż miałby się chować w dziupli, kiedy Wrota pozostaną już poza nim?), kierując nim za pomocą wiosła i wyśpiewując na całe gardło!

Wietługin widział już to oczyma wyobraźni i drżał z podniecenia.

Teraz wszystko było dokładnie wyliczone, obmyślane w najdrobniejszych szczegółach.

Geograf włożył po kryjomu do dziupli zapasowe obuwie, małe wiosło, kościany nóż i kilka kościanych haczyków na ryby oraz trochę suszonego mięsa. Pozostawało tylko zepchnąć pień na wodę, wleźć do dziupli i zdać się na łaskę prądu.

Ech, niech się dzieje co chce! Pomóż wyrwać się z niewoli, bystra, bezimienna górska rzeko!

## VIII. Polowanie w epoce kamiennej.

1

Niestety Wietługin mógł tylko bardzo niewiele wziąć ze sobą. Z goryczą też stwierdził, że zebrane przez niego materiały naukowe, odnoszące się do oazy i jej mieszkańców, są bardzo skąpe, po prostu znikome.

Kto inny na miejscu Piotra Arianowicza na pewno by się tym tak nie przejmował.

W początkach swego pobytu w kotlinie uczony chorował, potem kotlinę spowiła noc polarna. Język „Dzieci Słońca” opanował jako tako pod koniec zimy. To również wpływało hamująco na jego prace badawcze.

Lecz Wietługin był zawsze w stosunku do siebie bar

dzo wymagający. I tym razem ustawicznie robił sobie wyrzuty, że był zbyt opieszwały, za mało obrotny, leniwy. Należało lepiej wykorzystać krótkotrwały pobyt w kotlinie, więcej się dowiedzieć, zobaczyć i poznać...

Nie potrafił nawet odgadnąć pilnie strzeżonej tajemnicy Ptaka Mauk. Co za dziwo kryło się pod tym imieniem? Jakie miejsce zajmowało na pierwotnym Olimpie, jaki „departament” mu podlegał?

Podjął znów poszukiwania w „galerii obrazów” byłoby rzeczą zbyt niebezpieczną. W lecie „Dzieci Słońca” przeniosły się z pieczar nad rzekę i tam rozbiły swe czumy. Do „galerii” było teraz dobre półtorej wiorsty, a w lesie Wietługinowi dniem i nocą towarzyszyła niewidzialna eskorta. Nie warto było ryzykować dla jakiegos tam Mauka, w dodatku tuż przed ucieczką.

Szkoda, pewnie że szkoda... Tajemnica Ptaka Mauk to bardzo ważne ogniwo. Wiązała się z nią bezpośrednio również do tej pory nie rozwiązana zagadka pochodzenia etnicznego „Dzieci Słońca”.

Kim są ci ludzie, skąd się wzięli w górach? Przypuśćmy, że przybyli tu z tundry, w pogoni za jakimiś niezwykłymi, osobliwie tłustymi reniferami; W czasie jednej z takich wędrówek przypadkiem natknęli się na kalderę wulkanu, na oazę, i zwabieni ciepłem osiedlili się tutaj. Tylko dlaczego żyją w warunkach zupełnej, o ile Wietługin mógł sądzić, izolacji. Kogo się boją? Przed kim lub przed czym się ukrywają?

„Natknęli się na kalderę wulkanu”... Czy to rzeczywiście kaldera?

Wiosną, gdy śnieg stajał, w Wietługinie zrodziły się wątpliwości, czy istotnie znajduje się w kalderze wulkanu.

Gdzie jest tuf? Zbocza i dno krateru powinny być pokryte tufem — glebą wulkaniczną, niezwykle urodzajną. Piotr Arianowicz do tej pory nie natrafił na ślad tufu.

Gdzie są gejzery? Gdzie fumarole \*? To są przecież

\*Fumarola (włos.) — wydzielanie się pary wodnej i gazów ze szczelin na zboczach wulkanów oraz na obszarach wygasłego wulkanu. 264

zwykłe oznaki kaldery. Ale ani gejzerów, ani fumaroli nie było w lesistej kotlinie.

Bardzo też dziwne wydało się Wietługinowi, że „Dzieci Słońca” sporządzają grotty swych strzał z rybich ości lub z krzemienia. Powinni by używać do tego celu obsydianu, szkła wulkanicznego, które bezwzględnie musi się znajdować w kraterze wygasłego wulkanu. Ale obsydianu również nie mógł Wietługin znaleźć.

Do licha! Dlaczego nie jest geologiem!

Jakże żałował Piotr Arianowicz, że jego wiadomości z zakresu geologii są tak skąpe, tak powierzchowne!... Specjalista od razu by się zorientował, od jednego rzutu oka określiłby charakter oazy.

Wulkan czy nie wulkan?

A jeśli nie wulkan, to dlaczego tu jest ciepło? Dlaczego w górach, położonych za kręgiem polarnym, rosną drzewa, trawa, kwiaty? Dlaczego w ciemną noc widać lunę nad lasem, tam gdzie ziejże ogniem rozwarte wnętrza ziemi?

Ziemia była ciepła, to fakt. Ale skąd brało się ciepło?

I ta zagadka pozostała nie rozwiązana...

Robiąc w myśli przegląd wszystkich zebranych przez siebie wiadomości, Wietługin doszedł do przekonania, że niestety są one bardzo niepełne.

Bo jakież znaczenie mogło mieć to, że Kiejulkan nazywał się kiedyś inaczej? (Wygadła się z tym Fano).

Widocznie zmieniono dziecku imię wówczas, gdy „złożono je w ofierze” Maukowi — to jest, podsunięto zamiast niego drewniany klocek.

Nietrudno się domyślić, że w ten sposób próbowano oszukać Mauka. Ale co nowego wносиło to do jego charakterystyki?...

„Dzieci Słońca” nie zawsze żyły w górach. Nim tu osiadły, odbyły jakąś bardzo długą wędrówkę, o czym zachowały się wzmianki w ich pieśniach.

Potwierdzeniem tego były również pewne szczegóły codziennego życia.

Na przykład mięso przechowywano w workach, po



uprzednim pokrajaniu go na cienkie paski i wysuszeniu na słońcu lub przy ognisku. W tej postaci nie bardzo smakowało ono wybrednemu Jakadze.

— Dawniej lepiej bywało — mawiał pokazując Wietługinowi ciemne paski, przypominające gruby makaron. — Mięso jadło się garściami. Było kruche, jak próchno. Dlatego, że długo się trzęsło.

Trzęsło się? A więc zapasy mięsa wożono na sankach?

Ale co ten fakt wyjaśniał w biografii mieszkańców oazy? I bez tego wiadomo było, że są tu przybyszami.

Obserwując faunę oazy Wietługin stwierdził, że wszystkie zwierzęta i ptaki znajdujące się w kotlinie to również przybysze z tundry. Żyły tu lisy polarne, lemingi, wilki, zające, dzikie reny, rosomaki, gronostaje, białe kuropatwy, polarne sowy. Nawet niedźwiedź brunatny — spotykany zresztą bardzo rzadko — w pogoni za mięsem zapędzał się z tundry aż w te strony.

Ale kiedy — przed ilu tysiącami, setkami, dziesiątkami lat — powstała oaza?

Wszystkie te nie rozwiązane problemy pozostawiał Wietługin na przyszość, „na potem”.

Pocieszał się, że wróci jeszcze kiedyś w góry Byrranga. Przecież po zwycięstwie rewolucji nauka w Rosji zyska nowe, niespotykane możliwości rozwoju. A wówczas i przed nim, Wietługinem, szeroko otworzy się świat.

Przede wszystkim pośpieszy na sam kraniec Morza Wschodnio-syberyjskiego, gdzie wśród wiecznych lodów leżą nie odkryte jeszcze wyspy, tający archipelag na kruchej, lodowej podstawie. Dopiero gdy spełni swój obowiązek wobec tych wysp, powróci do oazy.

I nie wróci tu sam jeden. W skład ekspedycji — być może, iż nawet nie on, lecz ktoś inny stanie na jej czele — muszą wejść geolodzy (zajmą się zbadaniem kaldery), zoologowie i botanicy (którzy opiszą świat zwierzęcy i roślinny) oraz etnografowie, (ci w końcu rozwiążą zagadkę Ptaka Mauk i „Dzieci Słońca”!).

A jednak uczucie niepokoju niezmiennie ogarniało geografa, gdy tylko zaczynał snuć plany przyszłej ekspedycji.

Z lękiem myślał o tym, że może wrócić do oazy i nie zastać jej!

Zbyt nietrwale było tu wszystko, za bardzo przypominało miraż...

## 2

Piotr Arianowicz pełnym zadumy spojrzeniem ogarnął kotlinę.

Jest bardzo miła dla oka, zielona, Niebieszcą się, czerwienią i bielą kwiaty w wysokiej trawie. Ale dziwna rzecz — nie są to normalne, żywe barwy kwiatów. Wszystko dokoła jest jakieś wyblakłe, zwiewne, niewyraźne — jakby się człowiek znajdował na dnie rzeki.

Mgła przeważnie wisi nad kotliną lub nawet wypełnia ją od góry do dołu. Dlatego kontury przedmiotów są zamazane, dźwięki — przytłumione.

Często z kotliny widać tylko chmury. Kłębią się nad skalistymi grzbietami, niekiedy przewalają się przez nie i zraszają dolinę chłodnym deszczem.

Cały ten świat jest jakiś nierealny. Wystarczy, zda się, by powiał wiatr, a widmowe sylwetki drzew zakołyszą się i popłyną razem z mgłą, znikną sprzed oczu. Ale w dolinie prawie nigdy nie ma wiatru.

„Żyje człowiek jakby w samym sercu mirażu” — tak sformułował Wietługin swoje wrażenia z oazy.

Ta dominująca cecha kotliny rozciągała się i na jej mieszkańców.

Wietługin nie mógł się nadziwić ich zdolności znikania i pojawiania się zupełnie zniemacka. Można by pomyśleć, że „Dzieci Słońca”, jeśli zechcą, czynią się niewidzialnymi, rozpływają się we mgle lub zlewają z listowiem.

— Tak, my jesteśmy ludzie niewidzialni — z powagą potwierdził Nyrta, gdy Wietługin mu o tym powiedział. I dodał coś, czego Wietługin nie zrozumiał: — Nikt nie wie, że my jesteśmy w górach. Czary Starej Kobiety osłaniają nas skrzydłem...

Geograf długo głowił się nad tymi słowami. Ludzie niewidzialni? Tak, nieomal gotów był się z tym zgodzić.

Niejednokrotnie w czasie wspólnych wycieczek Nyrta popisywał się swoją sztuką.

Oto dopiero co szedł obok Wietługina, opowiadał coś, śmiał się. Wietługin się odwrócił — nie ma Nyrty!

Gdzież on się podział?

Jakby go wiatr zdmuchnął. Ale w lesie nawet wiatru nie ma. Stoi nieruchomo wysoka trawa, ani drgną rozłożyste gałęzie drzew.

Wietługin bezradnie rozgląda się dokoła.

Nagle z zarośli, o jakieś dwadzieścia kroków przed nim, odzywa się znajomy, wesoły głos. Nyrta wychodzi mu naprzeciw, dumnie wypiąwszy pierś i uśmiecha się szeroko.

— Jakim sposobem mnie wyprzedziłeś? — dziwi się Wietługin. — Przebiegłeś po wierzchołkach drzew czy jak?

Słowa te pobudzają fantazję „Syna Słońca” do nowego figla.

— Dość tego, Nyrta, wystarczy! — zżyma się Wietługin oglądając się. Znowu pozostał sam jeden w lesie. — Gdzie jesteś? W ten sposób nigdy nie dojdziemy do potrzasków. A przecież umówiliśmy się, że je obejrzymy.

Las milczy.

Nagle gdzieś w górze rozlega się przekorne skrzeczenie.

Wietługin unosi głowę. Na wierzchołku sosny, zadarłszy pionowo ogonek do góry, siedzi jakiś ptaszek i ze zdziwieniem przygląda mu się spod oka.

Tfu, do licha. Gdzież jest Nyrta?...

Skrzeczenie dochodzi to z zagajnika, to znowu gdzieś zza głązów.

— Dość, Nyrta, dość! Nie chcę się więcej bawić!

Wietługin z rezygnacją macha ręką, siada pod sosną, lecz natychmiast zrywa się na równe nogi. Zza pnia, pokładając się ze śmiechu, wychodzi Nyrta.

— Widzisz, stałem się ptakiem — mówi, odsapnąwszy. — Mogę biegać po gałęziach,

Nyrta bardzo sobie ceni każdy taki malutki triumf.

— Mogę być i renem, i sową, i wilkiem — chwali się, zaginając palce jeden po drugim. — Chcesz będę wilkiem?

I przyłożywszy dłonie do ust wydaje takie przejmujące, żalodne wycie; że Wietługina ciarki przechodzą.

— Podobne?...

Wszyscy tutejsi mężczyźni posiadają zdumiewające zdolności imitatorskie. Ich podstawowym zajęciem jest polowanie, a jego powodzenie zależy często od umiejętności naśladowania głosu ptaków czy zwierząt.

Nyrta próbował nauczyć swego przyjaciela lekkiego kroku myśliwca — ostrożnego, bezgłośnego stąpania. Gdzie tam.

Widocznie mieszkańcy kotliny zaprawiali się w tej sztuce od najmłodszych lat, nieomal od kołyski.

Wietługin nie zdołał opanować nawet najprostszych jej prawideł.

— Zniknij, Nyrta! — mówił z uśmiechem i „Syn Słońca” natychmiast spełniał jego prośbę.

Zebrałszy się w sobie, lecz bez widocznego napięcia, myśliwy jakoś po zwierzęcemu odskakiwał w bok, rzucał się w trawę i rzekłbyś, rozplątywał się w niej. Nie słychać było najmniejszego trzasku ani szelestu. Gibkie, muskułarne ciało przewinęło się przez gąszcz niczym jaszczurka. Mglenie tylko — i znikło, zlało się z ziemią.

Można było przeszukać cały las, przebiec go wzdłuż i wszerz, ochrypnąć od krzyku — Nyrta pojawiał się dopiero wówczas, kiedy mu się znudziło kryć. A przecież całutki czas znajdował się tuż obok. Wietługin był o tym przekonany.

Oto i w tej chwili, obserwując w roztargnieniu grę światła i cieni w lesie, Wietługin poczuł, że za nim ktoś stoi. Obejrzał się. Nyrta! Okrągła, żywa, zupełnie chłopięca twarz wychyliła się spośród listowia, na którym drżały słoneczne plamy.

— A ja właśnie ciebie szukam — rzekł z uśmiechem Nyrta. — Zabiłem zająca. Fano go upiekła. Chodźmy jeść.

Wietługin podniósł się z ziemi.

— Niedługo już pójdziemy w Dolinę Czarnych Skał —

mówił Nyrta ocierając dłonią lśniąca od potu twarz. — Postawię cię na wysokim miejscu, Będziesz wszystko widział. Ja zabiję dużo renów!

3

Prawdę mówiąc, Wietługin wtedy pomyślał sobie: myśliwy zawsze pozostanie myśliwym — w każdej epoce, nawet w kamiennej, nie obejdzie się bez przechwałek.

Ale Nyrta nie przechwalał się.

Ku zdziwieniu Wietługina, właśnie Nyrte, wybrano na wodza wyprawy. Pomimo młodego wieku, ten śmieszek, zawsze gotów do swawolnych, niekiedy zupełnie dziecinnych figlów, uważany był za najwytrawniejszego myśliwca w całym plemienu.

Masowe polowanie na reny odbywa się niezmiennie w tym samym miejscu — na rzece, o jakieś sześć wiorst poniżej oazy.

Nie ma tu nawet śladu roślinności. Białe i szare zbocza górskie, niskie brzegi rzeki zavalone olbrzymimi, czarnymi głazami (stąd nazwa: Dolina Czarnych Skał) przedstawiają beznadziejnie smutny widok.

Nie leży w charakterze renów zmieniać swe upodobania. Są systematyczne jak Anglicy. Od niepamiętnych czasów to właśnie miejsce o wygodnych brzegach i kamiennym dnie było ich ulubionym punktem przeprawy.

Co roku, na wiosnę i w jesieni, przeprawiają się tędy ogromne stada, setki sztuk.

Na wiosnę owady wypędzają je z tundry w góry, a nawet dalej, nad ocean. Reny uciekają co sił w nogach, ciężko robiąc bokami i nawołując się trwożnym, wysokim bekiem.

W jesieni, odkarmione na soczystych pastwiskach, tą samą drogą wracają do tundry.

Zarówno Dolina Czarnych Skał, jak i szlaki wędrówki renów stanowią tabu. Pod groźbą najsurowszej kary nie wolno tu koczować ani polować w pojedynkę. Starszyzna

bacznie czuwa, by ktoś z młodszych nie naruszył zakazu. Za takie przestępstwo czeka winowajcę śmierć.

Niczym nie zmałona cisza panuje w czarnoszarej, mrocznej dolinie. Ożywa ona tylko raz w roku, w czasie masowych łowów na przeprawie, w których bierze udział całe plemię.

Wietługin oczekiwał tego zbiorowego polowania z ogromną niecierpliwością. Przecież po nim powinna nastąpić uczta, a więc i jego uciezka.

Nie tylko Wietługin gorączkował się. Myśliwi wążęśli się bez celu od czumu do czumu, rozmowy się nie kleiły.

Nagle wszczął się jakiś hałas, słyhać było podniecone głosy. Wszyscy poderwali się z miejsc. Wietługin pierwszy wybiegł na dwór.

Drózką między czumami, stapiając się na nogach, szedł człowiek w zakurzonej, podartej odzieży. (Później Wietługin dowiedział się, że człowiek ten, by wyprzedzić reny, śpieszył na przełaj przez górskie przełęcze.) Ujrawszy Nyrte podniósł rękę i krzyknął: „Ida!”

Jakąga wpał do czumu, chwycił oszczep, odrzucił go, zaczął gorączkowo ściągać z żerdzi kołczan ze strzałami. Ale w pośpiechu upuścił go i strzały rozsypały się po ziemi. Dopiero gniewny okrzyk Nyrty otrzeźwił Jakągę.

Nikt by nie poznał beztroskiego figlarza Nyrty! Twarz ma poważną, surową, ruchy pewne i energiczne. W dniu wielkiego polowania jemu przysługuje najwyższa władza.

Upragnione słowo „ida” poruszyło całą osadę. Migają tylko zwijane skóry, obnażając drewniane szkielety czumów. Kobiety, nawołując się piskliwie, zbierają sprzęt kuchenny. Biegną rośli młodzieńcy wlokąc po ziemi długie oszczepy. Inni już śpiesznie spychają na wodę łodzie — i oto długi ich sznur rusza w dół rzeki ku przeprawie.

To tu, to tam rozlega się gniewny, przynaglający głos Nyrty. Nie wolno marudzić! Tuż niedaleko, po drugiej stronie górskiego grzbietu, jednym z nielicznych wąwozów Byrrangi płyną szarą lawiną stada reniferów. Posuwają się jakby wąskim, skalistym korytarzem, śpiesząc ku przeprawie.

To nic! Nie uciekną!

Dolina Czarnych Skal wita renifery jak zwykle posepnym milczeniem. Nic się tu nie zmieniło. Te same zwały głazów na brzegu, ten sam śnieg, przez okrągły rok leżący na zboczach. Ludzie Nyrty są dobrze zamaskowani. Oszczepnicy na łodziach kryją się pod osłoną brzegów, łucznicy przyczaili się w rozpadlinach skalnych. Wiatr w dolinie wieje w pożądanym kierunku — od renów ku myśliwym.

Czujny prowodyr stada nie widzi liny przeciągniętej środkiem nurtu wzdłuż rzeki. Linę tę, silnie umocowaną na kotwicach, utrzymują na wodzie liczne pływaki. Reny nie zauważają tej niebezpiecznej bariery tak długo, póki zniecka nie uderzą o nią piersiami.

4

Stojąc na górze, na wysokim zboczu, gdzie zajęła stanowisko grupa łuczników. Wietługin obserwuje Dolinę Czarnych Skal. Obok słyhać przyśpieszony oddech Jakagi. U jego stóp, podane całym ciałem naprzód, zastygły w pełnej napięcia pozie dwa psy. Poczują zwierzynę, lecz milczą. Wiedzą, że jeszcze nie przysła ich kolej.

Słyhać już drobny tętent. Renów jeszcze nie widać.

Podniecenie ludzi siedzących w zasadzce dochodzi szczytu. Łucznicy co chwila wstają, to znów siadają — ich twarze są rozpalone, oczy płoną. Zamieniają między sobą oderwane, krótkie słowa — żaden z nich nie potrafiłby wypowiedzieć dłuższego zdania, brakłoby tchu.

Wreszcie ukazały się pierwsze renifery.

Sąsiedzi Wietługina, jak podcięci siekierą, padli na ziemię. I on rzucił się na śnieg, zaraziwszy się ich podnieceniem.

Dudni ziemia pod kopytami.

Na samym przodzie przemknęło kilka wspaniałych rudawoburzych, płowopodpalanych byków, za nimi — reszta

stada, do czterdziestu sztuk. Plusk wody! Fontanna bryzgów!... Reny rzuciły się do wody i popłynęły.

Dlaczego łucznicy i oszczepnicy trwają w bezruchu? Dlaczego Nyrta zwleka, nie daje sygnału?

Ale Nyrta, najlepszy myśliwy plemienia, dobrze wie, co robi.

Oszczepnicy na łodziach, ukryci za wysokimi, nadbrzeżnymi skałami, przepuszczają pierwsze renifery. Dopiero gdy zwarta masa stada weszła do wody i zapełniła rzekę, rozlega się urywany, dobrze znany Wietługinowi okrzyk, przypominający głos orła. Zaczyna się rzeź.

Oszczepnicy co prędzej wypływają z ukrycia i atakują z flanki płynące stado.

Piana! Bryzgi! Oszczepy wznoszą się w górę i opadają. Wokół łodzi kotłuje się czerwona od krwi woda.

Każdy ruch oszczepników jest doskonale obliczony — robią swoje z pełnym spokojem i ogromną wprawą. Wbiwszy oszczep w bok rena, natychmiast chwytają za wiosła, by odbić z łodzią do tyłu. Niebezpiecznie jest, znajdować się blisko rannego rena — w przedśmiertnych drgawkach może on wywrócić łódź.

Zwierzęta ze wszystkich sił pracują nogami, zmierzając ku przeciwległemu, zbawczemu brzegowi. Płyną zadarłszy łby, prując rogami wodę.

Jednakże w połowie drogi znów jakieś zamieszanie. Niektóre reny zawracają... Aha! Natknęły się na linę!

Wietługin widzi, jak jeden z myśliwych korzystając z tego rzuca się w największe kłębowisko, w sam środek miotającego się po wodzie stada.

Kto jest tym śmiałkiem? Czy to przypadkiem nie Nyrta?

Naturalnie, że Nyrta!

Szczodrze rozdzielając ciosy, uwijając się jak fryga w swej łódce, przyjaciel Wietługina jednocześnie nie zapomina o obowiązkach „łowczego”. Od czasu do czasu ogarnia wzrokiem pole bitwy — rzekę zbeltaną od jednego brzegu do drugiego.

Co się tam dzieje?



Kilku renom udało się wyrwać z bitewnego zgiełku i zawrócić. Oto już wyszły na brzeg, rozejrzały się i...

Nyrta staje wyprostowany w łodzi, którą wysoka fala niemiłosiernie kołysze, przykłada dłoń do ust i wydaje nowy okrzyk, zupełnie odmienny od poprzedniego. Na ten sygnał Jakaga i inni łucznicy wypuszczają psy.

Świs! Przerażone chrapanie! Wściekły jazgot psów! Psy atakują opierające się reny i zapędzają je z powrotem w wodę — pod oszczepy.

Lecz nagle staje się rzecz zupełnie nieprzewidziana.

Prowodyr stada, wielki, silny byk, postanowił widać „zapłacić” za wszystko. Oszałały od dzikich krzyków i zapachu krwi, groźnie ruszając „brodą” — skołtunioną kępą ciemniejszej sierści na szyi — odwraca się do Nyrty. Kilkoma silnymi ruchami rozcina spienioną wodę i oto już płynie obok łódki.

Wietługin pomyślał, że rozjuszony zwierzę chce przebić rogiem myśliwego. Lecz renifer jest jeszcze chytrzejszy! Wynurzywszy się do połowy z wody, z całej siły uderza przednimi kopytami o łódź i przewraca ją.

Jeden wielki okrzyk grozy wyrывa się z piersi ludzi stojących na brzegu.

Nyrta znikł w zamęcie walki. Przez minutę, a może dwie, nie widać nic prócz burych zwierzęcych grzbietów, splątanych ze sobą rogów, podnoszących się i opadających oszczepów. Czerwone bryzgi piany lecą na wszystkie strony.

Wtem radosne okrzyki na brzegu dają znać Wietługinowi, że jego przyjaciel zdołał się uratować.

Na środku rzeki ukazuje się czarna, okrągła głowa. To Nyrta. Uchwycił się ogona płynącego renifera i ten wynosi śmiałka na brzeg.

Później Wietługin dowiedział się, że dla Nyrty był to jedyny sposób ratunku. Znakomity myśliwy, jak większość zresztą mieszkańców Dalekiej Północy, wcale nie umiał pływać.

Ale dlaczego nie biorą udziału w walce łucznicy, tyle czasu stojący beczynnie na górze? Czyżby mieli być tylko widzami, tak jak Wietługin?

Wkrótce wyjaśnia się ich przeznaczenie.

Ledwo tylko Nyrtą wy dostał się szczęśliwie na brzeg, gdy stojący obok Wietługina jak na komendę odwracają głowy od „łowczego” i rzeki. Ich wzrok skierowany jest w przeciwną stronę.

Łuczników, którzy już od dawna niecierpliwie przystępowali z nogi na nogę, ogarnia teraz istny szał. Skaczą w miejscu, postępują z niecierpliwością, wydają przeciągłe, brzmiające jak wycie okrzyki.

Nagle Jak aga obiema rękami chwyta głowę Wietługina i odwraca ją gwałtownie, aż kręgi chrupnęły. Wietługin oszołomiony poprawia okulary.

Znowu reny!

Znów ziemia dudni i drży. Znów tętent kopyt.

Drugie stado, ponad trzydzieści sztuk, przemknęło zupełnie blisko, o jakieś pięćdziesiąt kroków od Wietługina.

Jakąga przez ramię wyrywa z kołczanu dwie czy trzy strzały i Wypuszcza jedną po drugiej w stado. Nic z tego! Reny już są daleko.

Na brzegu podnosi się przeraźliwy wrzask.

Wietługin nie może się w pierwszej chwili zorientować, co się dzieje.

Zwierzęta biegnące na przedzie drugiego stada, ujrawszy czy też poczuwszy krew, rzucają się w bok.

— Uciekną! Uciekną! — krzyczy Wietługin, któremu też udzieliło się ogólne podniecenie.

Teraz dopiero można ocenić w pełni, jak przewidujący był „główny łowczy”.

Nyrtą wprowadza do akcji „rezerwy”.

Na jego znak łucznicy zrywają się z miejsc i pędzą, toczą się w dół jak lawina, w obłokach śnieżnej kurzawy. Zamykają pierścień okrążenia, zagradzając renom strzałami wyjście z Doliny Czarnych Skał.

W tej chwili bardziej odpowiednia dla niej byłaby nazwa — Dolina Czerwonych Skał.

Nielicznym tylko zwierzętom udało się ująć cało. Strumienie krwi spływają po kamieniach, zastygają w kałużach.

Stojąc z boku, Wietługin patrzy, jak zarzuciwszy pętle na szyje zabitych zwierząt, myśliwi wyciągają je z wody na brzeg. Od razu na miejscu oprawia się je i patroszy. Zajmują się tym kobiety. Zręcznie operując małymi nożykami, ściągają z renów skórę, odcinają i składają osobno na kupki rogi i kopyta — wszystko przyda się w gospodarstwie, nic się nie zmarnuje.

Na brzegu leżą góry mięsa, a między nimi z wesołym krzykiem i uśmiechem gania dzieciarnia.

Mięso! Mięso! Jak dużo mięsa!

Nad ziemią unoszą się ciepłe opary, dusząca różowa mgła. Wietługin czuje, że kręci mu się w głowie.

Chcąc przezwyciężyć mdłości zmusza się, by myśleć o tym, że dziś jest wielki dzień dla „Dzieci Słońca” — jedyny dzień w roku, kiedy zaopatrują się w zapasy mięsa, mające im starczyć na bardzo długo.

Dalej Piotr Arianowicz myśli, że to, co widział, to nie jest po prostu rzeź. To polowanie, szczególny rodzaj polowania połączony z wielkim ryzykiem, jak się o tym na własne oczy przekonał. Nigdy prawie nie obywa się bez ofiar.

Co prawda Nyrta uszedł śmierci dzięki swej zręczności i pomysłowości. Lecz dwóch czy trzech myśliwych renifery porządnie poturbowały w walce, a jeden „Syn Słońca” miał nawet złamaną rękę i wybite rogiem oko.

Do Wietługina podchodzi Nyrta. W rękach trzyma długi oszczep, na głowie ma oznakę władzy — trzy reniferowe ogonki zebrane w pęczek. Nadają mu one wygląd młodego, czupurnego koguta. Zachowuje się z pełną dumy godnością.

— Widzisz, ile mięsa? — mówi do Wietługina, szerokim gestem wskazując na wawóz. — Dużo mięsa! To dobrze! Jutro będziemy ucztować!...

## IX. „Święto słońca”

1

W lesie wesoło płonęły ogniska. Wokół nich rozsiadły się „Dzieci Słońca”. Na oko było tu mniej więcej ze sto osób. (W zimie Wietługin naliczył ich w przybliżeniu około osiemdziesięcioro, lecz dziś na uczcie zjawili się nawet zgrzybiali starcy, nie wyłazący przedtem ze swych kątów.)

Cała ludność Byrrangi zmieściła się na niewielkiej leśnej polance.

Piknik?

Tak, piknik w epoce kamiennej. Nie było tu ani jednego przedmiotu z metalu. Nawet naczynia kuchenne — ogromne kotły ustawione w szeregu, były z drzewa. Po prostu wydrążone kłody, w których gotowano mięso. Sposób gotowania był równie niecodzienny, jak i kotły. Kucharki kościanymi szczypcami raz po raz chwyciły leżące obok na ogniskach rozpalone kamienie i wrzuciły je do Wody. Rozlegał się syk, kłęby pary buchały z kotłów.

Nieczęsto zdarza się „Dzieciom Słońca” najeść do syta. Toteż jedzą prędko, łapczywie, wychwytyjąc ze sterty mięsa łakome kąski.

W kotlinie nie ma zwyczaju nakładać mięso na talerze. Trzyma się je w zębach i jednym pociągnięciem noża odcina kawałki tuż przy samych ustach. Jak się to dzieje, że „Dzieci Słońca” nie odcinają sobie przy tym warg — trudno pojąć.

Wietługin zapatrzył się na Jakagę pochłaniającego nieprawdopodobne ilości jadła. Ten mrugnął chełpliwie, dumny, że zwrócił na siebie uwagę. Starannie, do czysta obgryzłszy nogę renifera, z głośnym cmokaniem wyszał szpik i wyciągnął rękę po drugą. Za nim wyrosła już spora górka kości.

Obok męża zasiadła Chytyndo. Jej wielka, nieruchoma twarz była zupełnie płaska. Na pewno, gdyby przyłożyć jej do policzków prostą laseczkę, ledwie dotknęłaby nosa.

Spod ciężkich, sfałdowanych, zawsze na wpół opuszczonych powiek połyskiwały oczy. To było spojrzenie złego psa. Biesiadnicy lękliwie odwracali się od Chytyndo, by z tym większą gorliwością zająć się jedzeniem.

Szamanka była na razie w swym zwykłym, codziennym odzieniu. Jej rytualny bęben, o asymetrycznym owalnym kształcie, i pałeczka — ładnie wygięta, płaska kość — były schowane w pokrowcu wiszącym na drzewie. Nie nadeszła jeszcze pora czarów.

Oto zabrał głos zapowiadacz, oznajmiając, że teraz odbędą się zawody strzeleckie. Nyrta, siedzący obok Wietługina, spiesznie zarzucił na plecy skórzany kołczan ze strzałami i opuścił swego przyjaciela.

Te zawody były dość oryginalne. Zwycięzał ten, kto potrafił utrzymać w powietrzu największą ilość strzał.

Żadni sławy wychodzili jeden po drugim na polankę i demonstrowali swą sztukę.

Strzelec wyrywał z kołczanu strzałę, naciągał ciężki łuku, puszczał, znów nakładał nową — a wszystko to robił z tak niebywałą wprawą, z tak błyskawiczną szybkością, że Wietługinowi wprost w oczach się ćmiło.

Na ogół udawało się strzelcom utrzymać w powietrzu jednocześnie trzy, cztery strzały. Krępy mężczyzna o chmurnej twarzy, oszpeconej bliznami (nazywał się Łankaj), zdążył wypuścić w powietrze szóstą, podczas gdy pierwsza jeszcze nie dotknęła ziemi. Za to nagrodzony został okrzykami uznania ze strony widzów. Wietługin, pełen podziwu dla jego zręczności, z niepokojem spoglądał na Nyrte, którego kolej przypadała po Łankaju.

Lecz nie miał potrzeby się niepokoić. Uśmiechając się szeroko, przyjaciel Wietługina bez specjalnego wysiłku wysłał w szarobłękitne niebo osiem strzał. Jedna po drugiej spadały na ziemię, opisując tęcze łuki (opierzenie strzał było kolorowe).

Zwycięzcą został Nyrta.

Ledwie tylko Nyrta, skromnie pochrzäkując, usiadł na ziemi obok Wietługina, na środek koła wyszła Chytyndo i podniosła rękę.

Sąsiedzi geografa natychmiast podnieśli się z miejsc. Zaczynał się taniec rytualny — pożegnanie słońca.

Dla mieszkańców kotliny słońce jest rodzaju żeńskiego. Innymi słowy — Matka-Słońce, a nie Ojciec-Słońce (może to dalekie echo matriarchatu?).

Rozstając się ze słońcem na długą polarną noc, wszelkimi sposobami starano się je udobruchać, żeby nie zapomniało wrócić. Wszędzie na drzewach były porozwieszane skóry reniferowe; pod lewą łopatką miały wycięty znak słońca — kółko z rozchodzącymi się promieniami.

Prócz tego wypuszczono na wolność dwa czy trzy cielątka, wzięte żywcem w czasie wczorajszego polowania, które również zostały poświęcone słońcu. Słońce nie będzie mogło się omylić; cielęta są oznaczone jego znamiem.

Mnóstwo rąk wyciągnęło się w tej chwili ku niebu wymownym gestem błagania. Taniec odbywa się w absolutnej ciszy, lecz każdy w duchu zwraca się do słońca z długim rejestrem prośb.

Ruchy tancerzy przypominają ruchy prządek snujących nici. „Dzieciom Słońca” widocznie się zdaje, że ciągną, przyciągają do ziemi czarodziejskie, cieniutkie, łatwo rwące się słoneczne niteczki.

Według ich wyobrażeń promienie słońca to nic innego jak właśnie długie nici opuszczające się z nieba na ziemię, za pomocą których duchy żyjące w roślinach porozumiewają się ze swą władczynią — Matką-Słońcem.

Wietługin przetarł oczy. Co to? Nad korowodem zamigotały szkarłatne plamy.

A! To dłonie tancerzy grubo wysmarowane czerwoną ochrą. Krążąc w tańcu, ludzie chwytają, zda się, pełnymi garściami promienie słońca, wieczorne, przesycone słonecznym blaskiem powietrze. Złudzenie wręcz uderzające!

Słońce łaskawie spoglądało z góry na rojący się pośród młodzieńskich jodełek tłum. Zresztą, gdyby nawet niebo zasnuło się chmurami, taniec trwałby dalej. Na ziemi znajdowała się miniaturowa podobizna słońca wiszącego na niebie, coś w rodzaju jego modelu.

Był to bardzo starannie wypolerowany krzemiennymi skrobaczkami lśniący zrzynek brzozonego pnia. Z początku Wietługin myślał, że to sok brzozonego zastygł na drzewie. Dopiero gdy przyjrzał się bliżej, stwierdził, że to nie sok tak połyskuje, lecz po prostu tłuszcz.

Mieszkańcy Byrrangi hojnie raczyli swoje bóstwo. Coraz to któryś z biesiadników zrywał się z miejsca, podbiegał do stojącego pionowo drewnianego krążka i szczodrze, od serca, wymazywał go kawałkami tłustego mięsa — dzielił się ze słońcem jedzeniem.

Drewniany krążek przypominał twarz — okrągłą, dobroduszną, pogodnie uśmiechniętą twarz sytego grubasa. Nawet w odpowiednich miejscach zaznaczone były na nim z grubsza zarysy ust, oczu, nosa.

Wietługin widział w kotlinie pnie zrąbane kamiennym toporem. Wyglądały jak podgryzione zębami. Lecz ten drewniany krążek, wyobrażenie słońca używane przy ceremoniach religijnych, był świetnie wypolerowany. Dlatego tak wyraźnie odznaczały się na nim koncentryczne słoje — ślady okresów wegetacyjnych. Widać było, jak rok po roku zwiększała się objętość pnia, jak stopniowo, warstwa po warstwie, narastało włókno drzewne.

Wietługin uważnie przyglądał się lśniącemu „obliczu słońca”, oceniał na oko grubość słojów. Ale znów łoskot bębna zwrócił jego uwagę w innym kierunku.

Taniec się skończył. Chytyndo gdzieś znikła. Ciężko dysząc i sapiąc „Dzieci Słońca” zasiały kołem na trawie. Chwila wyczekiwania. Przytłumione, podniecone szepty. I wreszcie kobiecy okrzyk: „Idzie! Idzie!”

Chytyndo prowadzono pod ręce — nie tyle może z szacunku dla szamanki, ile dlatego, że miała zawiązane oczy. Górną część twarzy zakrywała owalna, żółta przepaska z długą frędzlą, podobna do maski.

Stąpając wolno, wśród trwożnego szmeru widzów, Chytyndo szła przez polanę. Ubrana była w jakąś pstrą chlamidę. Mnóstwo ozdób z kości podzwaniało przy każdym

jej ruchu. Za szamanką, uderzając w bęben, kroczył dumnie jej mąż.

„A więc — zaśmiał się w duchu Wietługin — na zakończenie programu hokus-pokus z muzyką”.

2

Z bębniem w rękach, Jakaga drobnym kroczkiem okrążył polanę.

Do Chytyndo zbliżyło się kilku mężczyzn z „publiczności”. Z całym należnym jej szacunkiem sprawdzili, czy opaska na oczach jest dobrze zawiązana. Widocznie kontrola wypadła pomyślnie, gdyż zadowoleni odeszli na bok.

— Oczy nie są jej potrzebne — pełnym przejęcia szepciem tłumaczył Nyrta. — Teraz widzi ona innym, szamańskim wzrokiem.

Dwaj mężczyźni, prowadzący dotychczas szamankę pod rękę, również odstępili od niej. Stała teraz sama jedna na polanie, z szeroko rozpostartymi ramionami, jakby za chwilę miała zacząć zabawę w ciuciubabkę z „Dziećmi Słońca”.

Lecz oto, szurając nogami, Chytyndo bardzo wolno ruszyła po kole.

Jakaga szedł za żoną w pewnej odległości i nie spuszczać z niej wzroku bez przerwy, równomiernie uderzał w bęben, raz ciszej, to znów głośniej.

Siedzący na ziemi cichutko podsuwali pod nogi Chytyndo zwitki odzieży, kupki kości, postawione na sztorc noże, ale szamanka, jakby to wszystko widząc, wolno omijała przeszkody lub też ciężko przez nie przestępowała.

Jeden z widzów, najbardziej popędliwy, skoczył z miejsca, bezszelestnie podkraśl się z tyłu do Chytyndo i zamierzył się na nią kijem, udając, że chce ją uderzyć. Szamanka w tym momencie szybko się schyliła, wciągając głowę w ramiona.

Publiczność nagrodziła ten manewr radosnymi okrzykami.



Kołysząc się jak kaczka, w takt równomiernego głosu bębna, Chytyndo posuwała się dalej.

Za nią dreptał Jakaga, jej akompaniator.

Szamanka krążyła i krążyła po polance, pośrodku której uśmiechało się lśniąca „oblicze słońca”, jakby była przywiązana do niego na długim arkanie.

W tej chwili koło starej czarownicy kręciło się już kilku „kontrolerów”. Dokładali wszelkich starań, by zmylić Chytyndo, ciągnęli ją za odzież, poszturchiwali, nawet obracali w miejscu, chcąc zbić ją z tropu, zdezorientować. Na próżno! Szamanka nie dała się wziąć na żaden podstęp.

Oto „kontrolerzy”, mrugając porozumiewawczo, podprowadzili ją do dwóch jodełek, pomiędzy którymi przeciągnięty był rzemień z surowej skóry. Chytyndo zatrzymała się o parę kroków przed nim, jak ślepa wodząc przed sobą rękami, chwilę się namyślała, a potem energicznym ruchem uniosła pstrą odzież, schyliła się i przelazła pod rzemieniem na czworakach.

Gwar podziwu przetoczył się po łącznie...

Wietługin domyślał się, że te sztuczki są tylko swego rodzaju psychicznym przygotowaniem widzów.

Szamanka demonstrowała swe nadprzyrodzone zdolności. Wszyscy mogli się przekonać, że posiada szczególny, szamański dar widzenia, gdyż doskonale dostrzega przeszkody, nawet z zawiązanymi oczami — a zatem potrafi również przewidzieć przyszłość.

Teraz widzowie, oczywiście, bez trudu uwierzą w każdą przepowiednię Chytyndo.

Tak, ale jak się jej to wszystko udaje? Może żółta przepaska z frędzlą nieszczelnie przylega do oczu? Może są w niej otwory? Nie, skrupulatni „kontrolerzy” spośród publiczności nie dopuściliby do oszustwa. Na czymże więc cała rzecz polega?

Wietługin był zły, że daje się głupiej babie wystrychnąć na dudka. Nie spuszczał oczu z Chytyndo, uważnie śledząc każdy jej ruch.

Szamanka usiadła obok drewnianego krążka — kolorowa, ciężka, podobna do pogańskiego bałwana. Jakaga

z powagą podał jej bęben. Widocznie uważali, że nerwy widzów są dostatecznie napięte i można przejść do następnego punktu programu.

Teraz Chytyndo zacznie rozmawiać z duchami, z którymi jest za pan brat — co do tego nie mogło już być wątpliwości!

Szamanka mruczała coś, zbliżywszy usta do bębna jak do mikrofonu. Potem kilka razy uderzyła w bęben pałeczką i długo nasłuchiwała, przyłożywszy ucho do wibrującej, mocno naciągniętej skóry. Na polanie zaległa śmiertelna cisza.

— Prosi duchy, żeby w tym roku nie było chorób — rwącym się z wrażenia głosem wyjaśnił Wietługinowi Nyrta.

— A cóż duchy odpowiadają?

Nyrta chwycił go za rękę:

— Ciszej! Milcz!... Aha!... Słyszysz?...

Chytyndo monotonnym głosem obwieściła wolę duchów. Okazało się, że trzeba schować używaną zwykle przy wróżbach lisią skórkę, na której wyrysowane były figury magiczne. Jeśli szamanka od razu ją znajdzie, rok przejdzie bez ciężkich chorób.

Natychmiast, nie wiadomo skąd, pojawiła się zamówiona przez duchy lisia skórka i wśród ogólnego podniecenia zaczęła szybko przechodzić z rąk do rąk. Słysząc było tylko: „Podaj dalej! Podaj dalej!” Chytyndo siedziała oparłszy czoło o kolana, a nawet narzuciła na głowę jakąś szmatę, żeby nie widzieć, kto z obecnych schowa skórkę.

Bęben znów znalazł się w rękach Jakagi.

„Co za muzykalna jednak natura — z rozdrażnieniem pomyślał Wietługin. — Patrzcie ją, ta szarlatanka musi koniecznie czerpać natchnienie w muzyce!...”

Ruchy Chytyndo stały się teraz gwałtowne, nerwowe. Stała na czworakach, zwracając głowę to w tę, to w inną stronę. Potem opuściła ją ku ziemi i zaczęła niespokojnie obwąchiwać ślady.

Aha! To ma znaczyć, że szamanka przemieniła się w psa!

Chytyndo znów pobiegła po kole. Od czasu do czasu przystanie na chwilę, postoi przed tym czy owym, gniewnie potrząśnie głową i biegnie dalej.

Co za przemyślna aktorka!

Jeden z widzów ściągnął na siebie uwagę szamanki. Już dwa razy do niego wracała, pokręciła się przed nim i oddalała. Wreszcie wróciła po raz trzeci i teraz już bez wahania wyciągnęła rękę wyrywając z za pazuchy myśliwca ukrytą przez niego magiczną skórkę.

Ogólny entuzjazm! Radość! Uśmiechnięte twarze!...

A więc w tym roku nikt nie zachoruje!

Ach, ta Chytyndo!

— No, a polowanie? Zapytaj duchów, czy będą dobre łowy?

Cała ceremonia znów się powtarza od początku.

Wstrętna karlica, kołysząc się na krótkich nogach, podzwaniając niezliczonymi ozdobami swego stroju, miota się w środku kręgu przy nieustannym, raz cichszym, to znów głośniejszym akompaniamentem bębna.

Wietługin baczny spojrzeniem obrzucił skupionego Jakagę, który na krok nie odstępował swej małżonki.

Zaraz — zaraz, może cały dowcip polega po prostu na akompaniamentach?

Oczywiście! Jakąga akompaniuje Chytyndo raz ciszej, to znów głośniej, dając jej w ten sposób znaki, jakby postrzymując ją lub popychając naprzód.

Szamanka cała zamieniła się w słuch — widać to po jej pełnej napięcia twarzy. Oto zbliżyła się do człowieka, który schował lisią skórkę. Werbel bębna jest teraz głośny, wyraźny. Szamanka zatrzymała się w niepewności, postąpiła krok dalej. Werbel cichnie. To zupełnie zrozumiałe. Ukryty przedmiot znajduje się tuż obok!

Wietługin odwrócił się. Kuglarstwo zdemaskowane! Nie ma na co więcej patrzeć.

Radosne okrzyki oznajmiły, że Chytyndo znalazła skórkę.

Jaka mądra Chytyndo! Jaki ma przenikliwy wzrok!...

I nikomu — prócz Wietługina — nawet nie przyjdzie do

głowy, że w istocie jest ona nie tyle jasnowidząca, co już raczej „jasnosłyszcząca”!

Teraz Wietługin rozumie, w jaki sposób szamance udawało się chodzić w koło z zawiązanymi oczami, i nie potykać się o przeszkody. Jakągą głosem bębna wskazywał jej kierunek, ostrzegał przed przeszkodami, zawracał na właściwą drogę — słowem troskliwie prowadził Chytyndo, jak dziecko za rączkę. Werbel cichł, jeśli Chytyndo zboczyła z drogi, przybierał na sile, gdy wszystko szło dobrze.

Trzeba powiedzieć, że technika „cudów” nie była jeszcze idealnie wypracowana. Gdy Jakąga zagapił się i nie zdążył w porę dać znaku Chytyndo, ta myliła się. Szamanka jednakże nie przejmowała się tym zbytnio.

— Zły duch podbił mi rękę — tłumaczyła widzom. — Lecz ja sobie z nim poradzę!

Wietługin podchwytywał teraz każde niedomówienie, potknięcie, gafę — to, co aktorzy nazywają „wsypą” — nic nie uszło jego oka.

— Prowincjonalni magicy — ze złością mruczał pod nosem. — Czarodzieje! Szalbierze przekłęci!...

Był zawiedziony w swych nadziejach. Liczył, że podczas święta nareszcie zobaczy coś, co będzie miało jakiś związek z Maukiem. Widocznie jednak wszystko, co dotyczyło Mauka, trzymano w najściślejszej tajemnicy.

Nie było tu żadnych godnych uwagi ceremonii, misteriiów — ot, dwoje szarlatanów, niezbyt nawet zręcznych, nabierało tłum naiwnych gapiów, i to wszystko.

3

Wietługina ogarnęło zdumienie. Odwrócił się i zabrał do jedzenia.

W tej chwili zbliżyła się do niego szamanka, chmurna jak zawsze, i usiadła obok.

— Ja umiem wróżyć — odezwała się głośno. — Chcesz, to ci powiem, jaki będzie twój los?

I znów to spojrzenie złego psa spod sfałdowanych, napół opuszczonych powiek!

— Powróżę ci! — powtórzyła natarczywie Chytyndo. Jej chrypliwy głos stał się naraz łagodny, przymilny. — Będzie ci dobrze, jeżeli ja powróżę. Zobaczysz, bardzo dobrze!...

Ach tak? A zatem proponują mu już spółkę?

Wietługin był człowiekiem impulsywnym, u którego uczucie, ze szkodą dla niego, często brało górę nad rozsądkiem. Tak było, gdy bez zastanowienia rzucił się na ratunek Kiejulkanowi. Tak się też stało i teraz. Zbyt go oburzyła bezczelność tej Chytyndo, proponującej mu, by razem cyganili biednych, naiwnych ludzi, mieszkańców oazy.

Popierać oszustwa szamanki? Jeszcze czego!...

— Po co mi twoje wróżenie, Chytyndo? — rzekł siląc się na niedbały ton. — Ja sam mogę poznawać przeszłość i odgadywać przyszłość.

Stojące obok szamanki „Dzieci Słońca” przysunęły się do Wietługina. Zbliżyli się i ci biesiadnicy, którzy siedzieli opodal.

— A co ty możesz poznać? — spytał niecierpliwie Nyrta, zaglądając Wietługinowi w twarz.

Geograf w otoczeniu tłumu przeszedł polaną i zatrzymał się przed drewnianym krążkiem wyobrażającym słońce.

— Mogę wam powiedzieć, jak żyliście dawniej — rzekł przyglądając się koncentrycznym słojom. — Czy mocno przygrzewało słońce, czy często padały deszcze.

— Nyrta ci to opowiadał — rozległ się czyjś niedowierzający głos.

— Nic nie opowiadałem — gorąco zaprotestował Nyrta. — Prawdę mówię.

— Po co miałbym pytać Nyrte? — mówił dalej spokojnie Wietługin. — Drzewo mi wszystko powie.

— Ono nie pamięta.

— Dlaczego nie pamięta? Drzewo jest stare... Ile kółek? Raz, dwa, trzy, cztery. Weźmy cztery lata temu... Kółko jest szerokie. To znaczy, że lato było długie i ciepłe. Ciepłejsze niż w tym roku.

Jakaga, przecisnąwszy się do przodu, usiadł przy samym

krążku i przyłożył zwiniętą w trąbkę dłoń do uchu — może uda mu się posłyszeć, jak „oblicze słońca” rozmawia z cudzoziemcem.

— A dziesięć lat temu, możesz powiedzieć?

— Zaraz... Mogę! Jeszcze cieplejsze...

Nyrta był uszczęśliwiony i dumny z triumfu swego przyjaciela.

— Drzewo pamięta. Tak, było ciepłej!... A pięć lat temu? A dwa lata temu?...

Na przekroju widać wyraźnie — im dalej od środka pnia, tym słoje stają się węższe. Idzie to stopniowo, bez nagłych skoków — jest w tym jakaś prawidłowość. To znaczy, że lato w kotlinie z każdym rokiem jest krótsze.

Wietługin przeniósł wzrok na góry otaczające kotlinę. Nie słyszał ożywionego gwaru uznania, wpatrywał się badawczo w śnieg na szczycie grzbietu górskiego, w białe występy skalne, które zawisły nad lasem jak wzniesione miecze.

— I śnieg z każdym rokiem jest bliżej, prawda?...

Nyrta skinął potakująco głową.

— To także drzewo ci powiedziało?

— O, dawniej śnieg leżał daleko... — wtrącił Jakaga. „Dzieci Słońca”, pochłonięte zabawą w odgadywanie, nie zauważyły zmiany, jaka nagle zaszła w Wietługinie. Geograf zmarszczył czoło, sposepniał.

— A przyszłość? Nic nie powiedziałaś o przyszłości. Jakie będzie lato w przyszłym roku?

Patrząc na pierścień ośnieżonych szczytów, zacieśniających się wokół kotliny. Wietługin odparł niechętnie:

— Chłodne...

— A za trzy lata? Za pięć?

— Jeszcze chłodniejsze...

— A za dziesięć lat?

Wietługin milczał. Cóż miał tym ludziom odpowiedzieć? Czy życie przetrwa w kotlinie jeszcze dziesięć lat?... Wrócił na swoje miejsce, pograżony w zadumie.

Jego wzrok błędził po dolinie, a potem, jakby przyciąg-

nięty niewidzialną siłą, znów pobiegł ku śnieżnym szczytom Byrrangi, ku białym, zębatym wierzchołkom, nad którymi wisiało słońce.

I nagle — właśnie teraz, w czasie uczty — odsłoniła się przed nim tajemnica oazy. Wszystko zrozumiał: dlaczego rzeka tak długo nie zamarza, dlaczego kurzy się z wnętrza ognistej góry, dlaczego w powietrzu pachnie dymem.

Wulkan? Jaki tam wulkan! Nic podobnego! To pożar! Stopniowo wygasający pożar!...

Nyrta był zdziwiony milczeniem swego przyjaciela.

— Jak ty rozumiesz mowę drzew? — spytał z respektem. — Drzewo tyle ci powiedziało!...

— Więcej niż się spodziewałem — rzucił krótko Wietługin zajęty własnymi myślami.

Tak, znajdował się w samym sercu mirażu.

Dopiero teraz uświadomił sobie to, czego się przedtem tylko niejasno domyślał. W bardzo krótkim czasie rejon mikroklimatu w górach Byrranga zniknie, jakby go nigdy nie było. Zimno otaczających go, na wskroś przemarzniętych pustynnych obszarów wędrze się tutaj, pochłonie zielone polanki, zabije korzenie wysokich drzew. Trawa wyschnie, zblaknie, zgasną w niej różnobarwne ogniki. I wreszcie śnieg białym całunem zakryje ślady minionej świetności wąwozu.

A gdy Wietługin wróci tu z ekspedycją, zastanie tylko nagą, pozbawioną roślinności, przytłaczającą ponurym milczeniem pustynię. I nikt mu nie uwierzy, że w tym miejscu była kiedyś oaza.

Geograf z lękiem rozejrzał się wokoło.

Na razie wszędzie jeszcze było zielono, las stał na swoim miejscu. Lecz miał przed sobą niewiele życia. Jego lata były już policzone.

Piotr Arianowicz przypomniał sobie, jak to wówczas, gdy pierwszy raz schodził po zboczu w kotlinę, dziwił się wszystkiemu, co tu widział. Szczególnie silne wrażenie wywarł na nim widok dmuchawca. Dmuchawiec! W jesieni, w głębi Półwyspu TajmyrskiegoL.

Zerwał kwiatek i długo, nie wierząc własnym oczom,

patrzył poprzez puszystą kulkę na tchnący niezmaconym spokojem krajobraz.

Dmchnął. Puszek uleciał. I wędrowca ogarnął strach. Czy tak samo nie zniknie wszystko dokoła?...

Pierwsze wrażenie bywa podobno najprawdziwsze. I w tym wypadku nie omyliło Wietługina. Odkryty przez niego zielony, zaciszny światek był nietrwały. To był świat-jednodniówka, świat, który ginał, zatracił żywość barw, blaknął w oczach — świat-efemeryda.

Dmchnąć na niego — i zniknie!...

## X. Opóźniony termin doręczenia

1

Trzymając w rękach ostatni, dwunasty kawałek pergaminu, Sawczuk ze zdziwieniem spojrzął na nas.

— To wszystko — powiedział. I nie wierząc sam sobie, jeszcze raz zajrzał do tekstu: — Tak, wszystko! Pismo na tym się urywa.

— To niemożliwe!

— Nic więcej nie ma. Popatrzcie sami!

Okazało się jednak, że się mylił. Oprócz przeczytanych dwunastu „kartek” — dużych czworokątnych kawałków skóry reniferowej — we wnętrzu pnia znalazł się jeszcze trzynasty, nie zauważony przez nas maleńki kwadracik.

Nagryzmołone było na nim w pośpiechu kilka krótkich zdań.

„Ucieczka się nie udała. Schwymano mnie. Sam jestem temu winien. Rozgniewałem Chytyndo. Jutro pojedynek z Nyrta. Spieszę wysłać to pismo. Pień z dziupłą przydał się. Jeśli przeżyję, napiszę jeszcze...”

I na samym końcu króciutki dopisek: „Postaram się przeżyć! Przeżyję!... P. Wietługin”.

— Przeżyję — powtórzyłem w zamyśleniu, biorąc z rąk Sawczuka pergamin i odczytując raz jeszcze na wpół za-



tarte słowa. — Czy przeżył?... Władimirze, kiedy to pismo zostało wysłane.

— Na pierwszej „kartce” jest data — tysiąc dziewięćset siedemnasty rok. Sądząc po treści, wysłano je w jesieni tysiąc dziewięćset siedemnastego roku...

— Prawie ćwierć wieku temu! — Liza załamała ręce. -- Taki szmat czasu, pomyśl tylko, Losza! Tyle lat!...

— Nie trzeba tracić nadziei, Lizoczka! — uspokajał ją Sawczuk. — Termin doręczenia istotnie mocno opóźniony. Ale nam, etnografom, znane są podobne wypadki.

Według jego słów, w 1937 roku etnograf Dołgich znalazł na Tajmyrze list datowany w roku 1837. Osobliwością tego listu było, że przez cały czas znajdował się w drodze.

W czasach panowania Mikołaja I pewien syberyjski Kozak wręczył list swemu znajomemu z tym, by ten oddał go drugiemu, tamten trzeciemu i tak dalej. Łańcuch był długi — adresat mieszkał daleko.

W tej formie łączności nie było zresztą nic nadzwyczajnego. W tundrze właśnie w taki sposób przekazuje się ustne wiadomości.

Jednakże ów list wysłany przez okazję przechodził jakieś dziwne koleje i w końcu ugrzązł na jednym z etapów. Minęło sto lat, nim znalazł się w rękach uczonego. Nie był nawet otwarty.

— Ładna pociecha, Wołodia, nie ma co mówić! — zdenrowowała się Liza. — Ten przykład ma nas uspokoić?

Sawczuk zrozumiał, że nie w porę wyrwał się ze swym opowiadaniem.

— W danym wypadku — bąknął — minęło nie sto, lecz wszystkiego jakieś dwadzieścia dwa, trzy lata. Zapewniam was, że dla historyka to bardzo krótki okres czasu, nieomal mgnienie...

— Niejedno mogło się zdarzyć z Piotrem Arianowiczem w tym mgnieniu — powiedziałem wpatrzony w żar ogniska.

— Właśnie! — podchwyciła Liza, — To jakaś straszna bestia ta Chytyndo!

—A Jakaga, myślisz, lepszy?

— Jaką to głupiec, a Chytyndo jest chytra i zła.

— Ale dlaczego pojedynek z Nyrta? Przecież Nyrta był jego przyjacielem, najbliższym mu człowiekiem w kotlinie?

— Nyrta mógł otrzymać taki rozkaz. Posłuszeństwo u ludów pierwotnych... — zaczął Sawczuk.

— Nyrta nigdy nie chybia — powiedziała nagle Liza. Widocznie była zupełnie pochłonięta myślą o wyniku tego niezrozumiałego pojedynku.

Sawczuk zaczął dokładać chrustu do ogniska.

— Muszę oddać sprawiedliwość Wietługinowi — oświadczył kaszląc od dymu. — W niezwykłych dla niego i trudnych warunkach wykazał ogromnie wiele męstwa.

— No! — mruknęła Liza.

— Jak prawdziwy rosyjski uczonec — dodałem.

— Otóż to właśnie, ani na chwilę nie przerywał swych obserwacji naukowych... Oczywiście, nie jest on etnografem, i to wielka szkoda. Trudno mu samemu dojść do właściwych wniosków. Lecz jego opisy etnograficzne są wyjątkowo dokładne, obrazowe, gruntowne. Weźmy chociażby polowanie na renifery...

Sawczuk ze złością kopnął wypadającą z ogniska głownię.

— Ale ten człowiek miał szczęście! Po prostu niebywałe szczęście!... Brać udział w tego rodzaju polowaniu, być naocznym świadkiem najrzadszego w świecie widoku!

W jego głosie dzwięczała tak jawna zazdrość, że oboje z Lizą, choć nam było bardzo ciężko na duszy, nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu Bulczu, który nie wszystko rozumiał z naszej rozmowy, na wszelki wypadek też się uśmiechnął.

— Tak, tak, widok najrzadszy w świecie! — powtórzył etnograf. — Niemal to samo, co zobaczyć żywego mamuta! Słyszeliście kiedyś o Majatach?

— Nie.

- Jeszcze w tundrze, słuchając opowiadań starców, odkryłem pięć wariantów podania o przyjsciu Nganasanów

z północnego wschodu. Swych przodków nazywali oni Majatami.

Uważacie więc, że Majaci i „Dzieci Słońca” — to jedno i to samo?

— Na razie to tylko hipoteza! Robocza hipoteza — skwapliwie zastrzegł się etnograf. — Nie specjalizowałem się przecież w historii Nganasanów. Badania takie prowadzili Dołgich i Popow. Lecz niektóre fakty rzucają się w oczy... Zaczniemy chociażby od odzieży... — Sawczuk zwrócił się do Bulczu: — Jak, twoim zdaniem, ubierali się Majaci?

Nasz przewodnik, który uważnie przysłuchiwał się rozmowie i od czasu do czasu kiwał głową, jakby na znak zgody, drgnął:

— W krótką futrzaną odzież.

— Słyszycie?... A jak łowili ryby?

— Przebijali otwory w lodzie i wylawiali zdobycz.

— Zdumiewające! — zawołałem.

Sawczuk pytał dalej:

— Jak polowali na reny?

— Urządzali masowe polowania na rzekach.

— Jak mieszkali?

— W ziemiankach.

— Piotr Arianowicz pisze o pieczarach — wtrąciła nieśmiało Liza.

Sawczuk uczynił niecierpliwy gest.

— Mogą być nieznaczące odchylenia. A zresztą, ziemianki czy pieczary — to niewielka różnica.

— Ale czy to wszystko ma jakieś znaczenie?

— O! Ogromne! Jak możecie tego nie rozumieć? My... Wietlugin, a potem my — poprawił się — odkryliśmy na Tajmyrze najstarszych mieszkańców Syberii, naród jeszcze starszy niż Jukagirzy!...

Sawczuk przymknął oczy i pokręcił głową, jakby olśniony tym odkryciem.

Milczeliśmy, wsłuchując się w szum wody na progach.

Bulczu, który od jakiegoś czasu zdradzał oznaki niepokoju, wstał i wziąwszy strzelbę, poszedł w stronę łodzi.

— A ja myślę, że odkrycie oazy — powiedziałem, z roz-

targnieniem patrząc za nim — posiada dla nauki jeszcze większe znaczenie niż wasi Majaci. Przecież to...

Lecz w tej chwili przerwał mi wzburzony głos Bulczu.

Stojąc przy łodzi myśliwy wołał nas. Coś tam musiało się stać z naszą łódką!

Pędem pobiegliśmy do niego.

Łódź, przechylając się nieco na bok, była odwrócona burtą do fali. Jeszcze chwila i prąd porwałby ją ze sobą. A przecież doskonale pamiętałem, że przed czytaniem pisma Wietługina sam wyciągnąłem ją do połowy na brzeg. Nie całkiem, nie! Bardzo się śpieszyłem, chciałem jak najprędzej przystąpić do czytania. W tej chwili jednak kadłub co najmniej w dwóch trzecich spleźł do wody.

Mimo wszystko nie znaleźliśmy żadnych śladów. Co prawda grunt był kamienisty, bardzo twardy.

Rzuciłem się do akumulatorów. Były suche. Nie ucierpiała również radiostacja, owinięta w ceratę.

Wyjęliśmy ją z Sawczukiem z łodzi i ostrożnie postawili przy ognisku.

Tymczasem Bulczu i Liza wyciągnawszy łódkę na brzeg pilnie ją oglądali.

Okazało się, że w okolicy dzioba dno jest w kilku miejscach przedziurawione. Zrobił to ktoś jakimś ostrym narzędziem — być może kindziałem lub oszczepem.

Podnieśliśmy się z klęczek i stojąc nad przewróconą łodzią, z której wylewała się woda, w milczeniu spojrzeliśmy po sobie. Wszystko było jasne bez słów.

Ale w jakiż sposób udało się nieprzyjacielskim szpiegom, owym niewidzialnym ludziom (wyrażenie Piotra Arianowicza), zrobić to niepostrzeżenie? Przecież łódź znajdowała się nieco poniżej progów, o jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków od obozu. Przez cały czas mieliśmy ją na oczach — nawet nam do głowy nie przyszło, że trzeba przy niej postawić straż.

Jedynym usprawiedliwieniem mogło być tylko to, że całkowicie byliśmy pochłonięci czytaniem pisma — myślami przenieśliśmy się w głąb gór, do oazy.

Widocznie „Dzieci Słońca” podkrały się do łodzi przez

zarośla wikliny. Bulczu uważał, że z początku chciały po prostu zepchnąć łódź do wody, a więc powtórzyć to, co już zrobiły z pierwszą łódką kilka dni temu. Potem jednakże powzięły bardziej przewrotny plan: przedziurawić łódkę, żeby zatonała na rzece, gdy ruszymy w dalszą drogę. Uratowało nas to, że zatrzymaliśmy się przy ognisku, debatując nad pismem.

Bulczu był bardzo zawstydzony. Przykucnąwszy obok przewróconej łódki, bezustannie wymyślał sam sobie, a nawet — co miało być karą za głupotę — bił się po po twarzy. Naszego przewodnika bardzo niepokoiło, że po powrocie Rosjanie opowiedzą jego licznym zięciom, jak to się zblażnił najlepszy myśliwy na Tajmyrze.

— My też wyszliśmy na durniów, Bulczu — powiedziałem, by go pocieszyć.

— Wy to nic, wam to nie szkodzi — odparł z właściwą mu naiwną szczerością. — Jesteście przecież z miasta. A ludzie z miasta są zawsze w tundrze durniami...

Liza nie mogła się powstrzymać od nerwowego śmiechu.

Trudno było uwierzyć, że zwiadowcy tajemniczego górskiego narodu dopiero co byli tuż obok.

Cóż jednak przeszkadzało „Dzieciom Słońca”, żeby napisać na nas, zarzucić oszczepami, zasypać nasz obóz gradem strzał?... Ręka była wzniesiona, gotowa do ciosu. Dlaczego więc go nie zadała?

Widać, taki był rozkaz. Zwiadowcy „Dzieci Słońca” mieli nas zastraszyć, zmusić do powrotu. Lecz nie mieli rozkazu zabijać.

Było w tym mimo wszystko coś pocieszającego. W naszym położeniu musiała nam wystarczyć nawet ta skromna pociecha.

2

Z zapalem i pośpiechem zabraliśmy się do naprawiania szkody, wyrządzonej nam przez „Dzieci Słońca”.

Moje doświadczenie marynarza bardzo się przydało.

Dziury w dnie zaklinowaliśmy, zatkali, uszczelnili mchem, a potem spuściliśmy łódź na wodę, by porządnie namokła. Teraz nie odchodziliśmy już od niej ani na krok.

To wszystko zatrzymało nas przy progach przez półtora dnia.

Od nie milknącego szumu wody, kotłującej się między kamieniami, rozboleła mnie głowa. Rzeka Tajemnic pędziła w dół z rykiem i wyciem. Dopiero przedarłszy się przez progi milkła i spokojnie płynęła dalej szerokim nurtem.

Uważnie obejrzałem przez lornetkę jej brzegi. Nie było tam nawet śladu człowieka.

Bulczu, stojący obok mnie, wyciągnął rękę po lornetkę. Podałem mu ją i pokazałem, jak się z nią obchodzić. Ale Bulczu też nic nie zobaczył. Jeśli „Dzieci Słońca” leżały gdzieś między skałami, to umiały tak się maskować, że całkowicie zlewały się z tłem. Tajemnicze cienie, idące naszym śladem, wyłoniły się na mgnienie z mroku i znów skryły się w nim, rozplynęły...

--- Nie boisz się „Dzieci Słońca”? — spytałem.

--- A czego miałbym się ich bać? — odburknął myśliwy. -- To przecież nie duchy, tylko ludzie! Jedną łódź ukradli, drugą przedziurawili nożami. Dwa razy wywiedli mnie w pole. Ale trzeci raz im się nie uda, o nie!

I energicznie zaczął układać rzeczy w łodzi.

Bulczu był bardzo zły na „Dzieci Słońca”; zadrasnęły one ambicję naszego przewodnika, jego najczulszą strunę.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Powyżej progów woda była bardzo płytka. Z początku odpychaliśmy się z wysiłkiem wiosłami. Ale łódź coraz częściej tarła o piasek i żwir na dnie rzeki. Kilkadziesiąt metrów dosłownie pełzała na „brzuchu”.

— Stop! — powiedziałem. — W ten sposób łódź wkrótce się przetrze. Cała nasza robota pójdzie na marne.

— Tak, dość się już napływała! — zgodził się Sawczuk. — Pójdziemy brzegiem i będziemy ją holować.

Sawczuk miał rację. Wysiedliśmy więc i wprzęgli się do łodzi.

Troje nas szło brzegiem, ciągnąc ją za sobą, a czwarty siedział w niej i sterował wiosłem. Zmienialiśmy się kolejno co godzinę — sternik zmieniał jednego z „burłaków”.

Niekiedy mielizny sięgały tak daleko, że łódź z trudem przepływała samym środkiem koryta — ledwo starczało nam liny. To znów rzeka się zwężała, skały podchodziły nad samą wodę, a niektóre wprost nawisały nad nią. Wtedy wszyscy płynęliśmy w łódce, posuwając się naprzód jakby wąskim skalistym korytarzem.

Mimo wszystko jednak przez cały czas staraliśmy się żartować, by podnieść nastrój.

Oglądając swe dłonie, na których wyskoczyły pęcherze, powiedziałem:

— Mam świetny tytuł dla artykułu!

— Jaki?

— Uczeni przedzierają się ku źródłom rzeki, czyli odciski od pracy naukowej!

— Moim zdaniem — żywo podchwycił Sawczuk — właśnie w naszej sytuacji zacierają się granice między pracą umysłową i fizyczną.

— Komedia! Siedzą sobie jeden naprzeciw drugiego i ubolewają z powodu odcisków — zaśmiała się Liza. — Pomyślcie o siedowcach! A papaninowcy? Do upadłego kręcili korbę dźwigarki robiąc pomiary głębokości oceanu...

— Ależ my się nie skarżymy. Po prostu stwierdzamy fakt...

Na postojach, zupełnie wyczerpani, rzucaliśmy się na ziemię, jedli bez najmniejszego apetytu i natychmiast zapadali w kamienny sen. Czuwał tylko dyżurny z bronią w ręce.

Nie chciało się nam więcej dyskutować na temat pisma. Ale gdy zśliśmy brzegiem jedno za drugim, holując łódź, każde z nas pozostawione było własnym myślom. A myśli te, ma się rozumieć, krążyły wokół oazy.

Nie wulkan, lecz powoli wygasający pożar? Co by to mogło znaczyć?...

Męczyło nas, że tak wolno posuwamy się naprzód. Pierwszego dnia zrobiliśmy siedem kilometrów, drugiego — dziewięć, a trzeciego — zaledwie trzy i pół kilometra.

„Dzieci Słońca” niczym nie zdradzały swej obecności. Być może, wyprzedziły nas i teraz śpieszyły tajemnymi ścieżkami do oazy, żeby powiadomić o naszym zbliżaniu się?...

Co dzień o godzinie 19.20 łączyliśmy się z Moskwą, a co drugi dzień z Nowotundryńskiem. Ale nieraz nam to nie wystarczało.

3

Któregoś ranka, na jednym z postojów, poprosiłem Sawczuka, by mi pozwolił włączyć radio.

Użyłem wyrażenia: włączyć. To takie proste, codzienne słowo.

Wyobraźcie sobie: w pokoju siedzi samotny człowiek. Smutno mu. Jest zmęczony. Może nawet ogarnęła go apatia lub nuda. W pokoju jest bardzo cicho. Posępne cienie przyczały się po kątach. Zapada zmrok.

I oto człowiek wyciąga rękę i włącza radio.

Pokój natychmiast napelniają rześkie głosy, dźwięki muzyki. To życie wdarło się tu rwącym, szumnym strumieniem z głośnika.

Byliśmy właśnie w położeniu takiego człowieka. Błysnęły światełka lamp, zaterkotał sygnał Morsego, od czasu do czasu przerywany okropnym zgrzytem, jakby ktoś przejeżdżał gwoździem po szkłe. Spod palców, ostrożnie obracających gałkę, popłynęła muzyka. Z Kijowa nadawano „Zaporożca za Dunajem”.

Posłuchaliśmy trochę duetu Odarki i Karasia. Potem złąpałem Swierdłowski. Członek Akademii Bardin wygłaszał przez radio odczyt o rozwoju uralskiej metalurgii. Lisiczańsk w Donbasie donosił o budowie urządzeń dla podziemnego zgazowania pokładów węglowych. Wę-



giel miał się spalać pod ziemią, a gaz uchodzić w górę do zbiorników. Na Kubaniu kończył się już sprzęt zbóż. Do elewatorów ruszyły pierwsze tabory z ziarnem.

Związek Radziecki żył, oddychał, pracował, śpiewał po drugiej stronie jasnego prostokąta. I to było wspaniałe! To nas cieszyło i napawało spokojem.

Potem, nachyliwszy się nad aparatem, puściłem się w daleki rejs po falach stacji zagranicznych.

Był to rejs przejmujący trwogą. Lipiec 1940 roku grzmiał nad Europą zachodnią nie letnimi burzami, lecz artyleryjską kanonadą. Nad polami Francji niosły się nisko bombowce ze swastyką, rzucając cień na ciężkie czołgi sunące ich śladem.

Coraz częściej zaczęły się wdzierać do uszu chełpliwe głosy hitlerowskich komentatorów radiowych.

— Zamknij im gęby! — rozkazała Liza.

Przekręciłem nieco gałkę i krzykliwe głosy umilkły.

Udało mi się złapać Tartu (stare rosyjskie miasto Jurjew w Estonii).

Tego lata narody łotewski, estoński i litewski zjednoczyły się z bratnim narodem rosyjskim, od którego zostały oderwane przez burżuazyjnych nacjonalistów przed dwudziestu trzema laty.

Z Tartu nadawano pieśni w wykonaniu chóru szkolnego. Cieniutkie dziecinne głosy zadzwoniły przy naszym ognisku jak krusze soplek lodu.

Liza, Sawczuk i Bulczu z uśmiechem przysunęli się bliżej do aparatu. Słyszalność była nieszczególna; przeszkadzały szmery, gwizdy, trzaski. Gdzieś w pobliżu musiała się rozciągać „martwa strefa”. Może to miało wpływ na działanie aparatu?

Ostrożnie kręcąc gałką, by wyregulować odbiór, pomyślałem sobie, że tak samo głos Piotra Arianowicza przebija się ku nam z daleka, poprzez szum, gwizdy i inne przeszkody. Nieraz „słyszać” go stosunkowo dobrze, a potem znów zanika, nie odzywa się, choćby nie wiem jak szukać.

Wreszcie złapałem Moskwę. I od razu natknąłem się na komunikat o naszej wyprawie!

„...wytrwale posuwając się w górę rzeki, w głąb Byrrangi... — usłyszeliśmy. (Widocznie trafiłem na środek audycji.) — Ekspedycja Władimira Sawczuka przykuwa uwagę radzieckich etnografów”.

— Głośniej! — denerwowali się Sawczuk i Liza. — Jeszcze głośniej! Wyraźniej!

Z wielkiego pośpiechu zgubiłem fałę, znów ją złapałem i uchwyciłem się jej obiema rękami.

„Przypuszcza się — równym głosem czytał spiker — że osiągnięcia naukowe tej ekspedycji, w razie jej pomyślnego przebiegu, wykroczą daleko poza ramy etnografii. Wzdłuż całego wybrzeża Syberii miłośnicy krajoznawstwa, wśród nich wielu uczniów szkolnych, zawzięcie szukają znaczonych pni. Nasz korespondent donosi z wyspy Dickson, że znaleziono tam w tych liniach pień drzewa, na którym zachował się znak: trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki. Niestety, sądząc po wyglądzie zewnętrznym, drzewo to pływało przez długi czas po morzu i zostało mocno uszkodzone przez kry lodowe. Jeśli we wnętrzu pnia znajdowało się nawet kiedyś jakieś PISMO, to bezpowrotnie przepadło. Więcej szczęścia mieli sportowcy — myśliwi z Dudinki. Udało się im zabić «obraczkowną» gęś. Na zdjętym z jej łapki kwadraciku reniferowej skóry zdołano odczytać tylko datę — tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty rok i kilka słów: «nie do zniesienia», «czekając tyle lat», «ziemnym pożarem». Specjaliści pracują nad odczytaniem reszty tekstu”.

Spiker umilkł. Po krótkiej przerwie kobiecy głos zaczęła mówić o nowej metodzie obróbki części na tokarce.

Były to prawdopodobnie „Nowości nauki i techniki”, nadawane raz w tygodniu.

— Ziemnym pożarem? — powtórzyłem, ze zdumieniem spoglądając na Lizę, Sawczuka i Bulczu. — Co by to mogło znaczyć?... Ziemnym?

— A inne słowa rozumiałaś? — spytała Liza.

— Nietrudno je zrozumieć — wtrącił śpiesznie Sawczuk, patrząc sobie pod nogi. Słuchając audycji zdążył zapisać prętem na ziemi: „nie do zniesienia”, „czekając wiele lat”, „ziemnym pożarem”.

— Towarzysz Wietługin pisze, że jego sytuacja staje się nie do zniesienia — ciągnął dalej Sawczuk. — Następnie żali się, iż czeka na pomoc już wiele lat. Lecz ostatnich słów, przyznam się, nie rozumiałem.

— Dobrze je zapisaliście — zauważyła Liza, nie odrywając wzroku od ziemi. — Z wielokropkiem na początku. Tak też powinno być. Pierwsze słowo jest niepełne.

— Niepełne?

— Należy czytać: „podziemnym pożarem”.

— Podziemnym?... Jak to podziemnym?

Liza rzuciła na mnie dziwne, długie spojrzenie.

— Ale nie to jest najważniejsze — przerwał mi Sawczuk. — Najważniejsza jest data! Czy zdajecie sobie sprawę — nie siedemnasty, lecz dwudziesty dziewiąty rok! Piotr Arianowicz żył jeszcze w dwudziestym dziewiątym roku!...

— Tak, to cudownie! Zuchy, ci z Dudinki! I jak ta gęś w samą porę nawinęła się im pod strzelbę!

Długo jeszcze, do głębi poruszeni nowinami, omawialiśmy je przy ognisku. Pomyśleć tylko! Piotr Arianowicz żył jeszcze w 1929 roku, a więc jedenaście lat temu!

W porównaniu z dwudziestu trzema latami okres ten wydawał się nam zupełnie krótki.

Z tego wynikało, że zbliżamy się do niego nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie.

— Będziemy spać tylko po cztery godziny — oświadczyła Liza, wycierając naczynie. — Stanowczo za dużo czasu tracimy na sen...

Ale po kolacji zwała się na ziemię przy ognisku i przespała w tej samej pozycji, bez ruchu, sześć godzin. Byłaby spała jeszcze dłużej, gdyby Sawczuk (który trzymał wartę), jakkolwiek z bólem serca, jej nie obudził.

# XI. Rama bez obrazu

1

Nazajutrz, zbierając rzeczy, spostrzeżliśmy brak broni. Sawczuk miał strzelbę przy sobie, gdyż tej nocy czuwał nad bezpieczeństwem obozu. Bulczu w ogóle nie rozstawał się ze swoją starą dwururką, nawet spał razem z nią. Znikł jednak malutki winchester Lizy i moja tulska dubeltówka.

Rozejrzałem się po ziemi, pewny, że zobaczę niedźwiedzie ślady. Teraz już wiedziałem, co to za niedźwiedzie kręcą się koło naszego obozu!

Jednakże śladów takich nie było widać. Natomiast ciemna, mokra ziemia przy ognisku była wzdłuż i wszerz zdeptana gumowymi buciorami Sawczuka (nosił czterdziesty piąty numer!).

— Po co biegaliście tam i z powrotem? — spytałem ze złością. — Pewnie szlifowaliście hipotezę o Majatach?

Sawczuk, czując swą winę, tylko westchnął.

— A czy nie odchodziliście od ogniska? — spytała Liza, wpatrując się w niego badawczo.

— Ale skądże, Lizoczka! Chociaż... Podciągnąłem tylko łódź nieco wyżej, bałem się, że prąd ją zniesie.

— No właśnie! Wystarczyło odejść na chwilę, na sekundę się odwrócić! Czy to dużo trzeba tym niewidzialnym ludziom?

Z nadzieją spoglądaliśmy na Bulczu, który dotychczas nie odezwał się ani słowem. Zafrasowany obchodził wkoło ognisko, podnosił Co chwila to jakiś kamyk, to znów gałązkę, przyglądał się im i z niezadowoloną miną odrzucał.

Naraz twarz mu się rozjaśniła. Pokazał nam kilka brudnożółtych włosów.

— Lisy! — Stary myśliwiec pokiwał głową i dodał z satysfakcją. — Tak też myślałem.

— To niemożliwe! Jak to? Ludzie obuli się w lisie łapy?!

— Nie ludzie! — z rozdrażnieniem odparł Bulczu, wy-

prowadzony z równowagi naszą niepojętnością. — Prawdziwe lisy! Wasze strzelby porwały lisy.

Ze zdumieniem spojrzeliśmy po sobie.

Okazało się, że oprócz broni brak placuszków, które Liza upiekła wieczorem. Znikły też resztki nie dojedzonej gęsi.

Myśliwiec pewnie poprowadził nas między głązy porośnięte mchem.

Teraz już sami widzieliśmy, że broń włókł ktoś właśnie tędy, ale w żaden sposób nie mogliśmy zrozumieć, po co lisy miałyby ją porywać. Bulczu nie raczył nas oświecić.

Zagadka wyjaśniła się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od obozu. W zaroślach wikliny leżała moja dubeltówka i winchester Lizy. Rzemieni przy nich nie było.

— A gdzie są pasy? — zawołała Liza.

— W lisich brzuchach, a gdzieżby miały być! — roześmiałem się sarkastycznie. — Ale patrzcie no, toż one głodne jak diabły! Pogryzły nawet drewniane łożyska!

— Hm, to nieprzyjemna oznaka! — Sawczuk potrzymał chwilę w rękach winchester i w roztargnieniu podał go Bulczu. — Bardzo nieprzyjemna!...

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Bulczu twierdzi, że znajdujemy się o dwa, trzy dni marszu od oazy. Niedobrze się tam dzieje...

— Dlaczego tak sądzicie? Co to ma wspólnego z oazą?

— O, bardzo dużo! — Sawczuk w zamyśleniu powtórzył moje słowa: — Głodne jak diabły! Tak, jak diabły w piekle!...

Na domiar złego nagle zepsuła się gwałtownie pogoda.

Dalszą drogę zagroziła nam purga.

W swoim czasie obserwowałem podobne nawałnice śnieżne na Morzu Barentsa. Ni stąd, ni zowąd — w lecie i przy pogodnym niebie — nadlatywała śniegowa chmura i wszystko dokoła spowijała mglista, nieprzejrzana zasłona. Wiatr zaczynał wściekle świszcząć w rejach. Na parę minut okręt dosłownie pogrążał się w chmurze, skąd zaciął ukośny, mokry śnieg. Potem, równie nagle, mgła się

rozpraszała, okręt znów płał w słońcu, cały lśniący od wody, jakby świeżo wymyty, a nawałnica, niesiona wiatrem, pędziła dalej.

Nic jednakże, moim zdaniem, nie zapowiadało śnieżnej burzy w górach Byrranga. Słońce świeciło jasno, nie było wiatru.

Tymczasem nasz przewodnik był bardzo niespokojny.

— Purga się zbliża — powiedział. A potem dodał znacząco: — Ciemna purga...

W chwilę później ujrzeliśmy rosomaka; zgarbiony jeszcze bardziej niż zwykle, pędem przeciął wąską ścieżynkę biegnącą wzdłuż brzegu i dał nura w szczelinę między skałami. Chciałem o coś spytać Bulczu, gdy nagle myśliwy błyskawicznie się schylił, a nad naszymi głowami rozległ się ogłuszający łopot skrzydeł. Z gwizdem i szczebiotem przeleciała cała chmara ptactwa, która na moment przesłoniła słońce. Wszyscy mieszkańcy tej części Byrrangi szukali schronienia przed purgą w dolinie rzeki.

Bulczu pokazał na niebo. Było wciąż tak samo szarobłękitne, ale zza gór wyłaniała się ciemna plamka.

Nie było ani chwili do stracenia.

— Natychmiast do groty! — krzyknął Sawczuk, dojrawszy jakieś większe wgłębienie pod nawisem skalnym. — Tutaj — ładunek i łódkę!

Rzuciliśmy się ku łódce. Wyładowaliśmy ją z szybkością, jaka jest możliwa tylko w czasie alarmu. Radio, akumulatory, toboły, broń wnieśliśmy do groty, a potem wciągnęliśmy tam również łódź.

Gdy rozwijałem na brzegu brezent, by owinąć akumulatory, nagle wyrwał mi się z rąk i jak ptak uleciał w powietrze. Mignął tylko i znikł.

Zrobiło się bardzo zimno.

Purga nadeszła z północnego wschodu. Wiatr toczył się w dół rzeki, pędząc tumany śniegu, lecz niebo było jeszcze czyste. Śnieg zakręcił się pod nogami, rzekłbyś — tysiące rozdrażnionych naszym pojawieniem się malutkich żmij przeżyło się w górę. Rosły w oczach, wijąc się i wirując,

i oto już kołysały się na brzegu potężne białe słupy, sięgające wierzchołkami do samego nieba.

Purga szła na nas wałem. W jednej chwili światło dnia zgasło. Szczyty górskie, spiętrzone fale na rzece, zarośla wikliny, co lekko przypadła do ziemi — wszystko skryło się w wirującym tumanie.

Nagle wtargnięcie zimy w czerwcu. Zdarza się to niekiedy na Dalekiej Północy...

Dolina rzeki była teraz najpewniejszym schronieniem. Wiatr pędził tony śniegu nad wysokimi brzegami. Burza przechodziła górą.

Na otwartej przestrzeni byłoby z nami znacznie gorzej. Zbici w gromadkę, musielibyśmy leżeć twarzą do ziemi, by się nie udusić w śnieżnym huraganie. Ale w tej chwili, siedząc na tobołkach w grocie i przytuliwszy się ciasno jedno do drugiego, czuliśmy się zupełnie bezpieczni.

Gdyby jeszcze nie było tak zimno!...

Patrzac na białą śnieżną zasłonę, która wzdymała się i trzepotała u wejścia do groty, myślałem o oazie.

Czyżby i tam było wokół białe?

Nie, białe i czarne! Wyobraźnia malowała przed moimi oczami martwą kotlinę, zasypane śnieżne i wystające z zasp pniaki — wszystko, co pozostało z lasu.

Ale przecież w oazie są jeszcze ludzie! W przeciwnym razie nie natknęlibyśmy się na strażę, wysłaną w dół rzeki. Lecz jakże nędzne musi być życie „Dzieci Słońca”!

Wyobrażałem sobie mroczne pieczary, skulone postacie wokół wygasającego ogniska, kobiety w obszarpanej i wytartej skórzanej odzieży, kołyszące w ramionach dzieci, starców z załzawionymi oczami, utkwionymi w dal...

Jaskiniowi ludzie epoki lodowcowej!

Przez asocjację pomyślałem o Grenlandii — owym gigantycznym, białym grobowcu, jak ją nazwał jeden z podróżników.

Myślałem o niej i później, gdy purga już przeszła, a my, spuściwszy łódź na wodę, znowu wprzęgliśmy się do niej.

Słońce, jak gdyby nigdy nic, jasno świeciło na niebie. Od razu zrobiło się cieplej. Połyskiwały mokre skały.

Nieśmiało prostowała się przyprószona śniegiem nadbrzeżna wiklina.

Ale ja byłem myślami daleko stąd...

2

W ostatnich latach zajmowałem się badaniem przyczyny ocieplania się klimatu Arktyki i przeczytałem prawie wszystko, co na ten temat napisano.

Zjawisko to nie jest na razie wyjaśnione. Być może, iż związane jest ono z nasileniem promieniowania słonecznego, które przyspiesza wszystkie procesy atmosferyczne na ziemi. Przecież ziemia przechodzi okresy ocieplenia i ochłodzenia. Nawet w ostatnim tysiącleciu klimat uległ poważnym zmianom.

W związku z tym zainteresowałem się Grenlandią. Gronland w tłumaczeniu znaczy — Zielony Kraj. Właśnie tak nazwali ją Islandczycy w 982 roku.

Niektórzy uczeni uważają, że była to tylko swego rodzaju reklama, mająca na celu zwerbowanie kolonistów do nowo odkrytej ziemi. I rzeczywiście, już w następnym roku wyruszyło tam z Islandii dwadzieścia pięć okrętów.

Pamiętałem jednak, że Piotr Arianowicz, który dużo czytał o Grenlandii, był innego zdania.

— Kolonie przetrwały blisko pięćset lat — mówił do mnie i do Andrieja. — Oszustwo nie mogłoby się ostać tyle czasu.

I nasz nauczyciel geografii zaczynał przerzucać swoje notatki dotyczące Grenlandii, które zebrał jeszcze za czasów studenckich. (Później, idąc w ślady Piotra Arianowicza, ja również zebrałem niemało materiałów w Bibliotece Leninowskiej.)

Szczególnie ciekawe były wyciągi ze staronorweskiej kroniki z XIII wieku. Nieznany autor pisał, że Grenlandia słynie z dobrego klimatu. „Gdy słońce stoi wysoko na niebie, raduje się wszystko, co żyje, a ziemia rodzi pożyteczne rośliny”.



— Sądząc z tego opisu, mieszkańcy Grenlandii mieli w XIII wieku nader sprzyjające warunki życia. Oprócz wsi, na wyspie były dwa większe miasta, piętnaście kościołów, trzy klasztory.

Potem zaszło coś dziwnego. Nad Grenlandią jakby zapadła zasłona.

Dla Europejczyka XVI wieku Grenlandia jest już niemal jakąś mityczną krainą. Na mapie, wydanej w Strassburgu w 1513 roku, jest przedstawiona jako długi półwysep leżący obok niedawno odkrytej Ameryki, który łączy się z Europą na północy, powyżej Skandynawii.

Cóż więc zaszło w okresie pomiędzy XIII i XVI wiekiem?

Katastrofa. Zagłada kolonii islandzkich w Grenlandii.

Na ziemi nastąpiło silne ochłodzenie. Z centralnej Arktyki ruszyły na Atlantyk zwarte masy lodów i odcięły od Europy grenlandzkie miasta, wsie, klasztory.

Dostawa żywności i materiałów budowlanych na wyspę była coraz bardziej utrudniona, a wreszcie stała się zupełnie niemożliwa. Mieszkańcy kolonii wymarli z zimna i głodu, a opustoszałe miasta zasypał śnieg aż po same choraławki na dachach domów.

Po raz drugi odkryto Grenlandię z końcem XVI stulecia. Wtedy wyglądała już tak, jak dziś — martwa i pępna, spowita białym śmiertelnym całunem...

Analogia z losem oazy w górach Byrranga sama się narzucała. Tylko że przemiany w oazie dokonały się prawdopodobnie w znacznie krótszym czasie — nie w przeciągu dwustu, trzystu, lecz dwudziestu, trzydziestu lat.

Na postoju rozwinąłem tę myśl, i to bardzo szczegółowo.

— Można zresztą znaleźć też inną, mniej smutną analogię — dodałem, widząc jak się wydłużyły i bez tego zatroskane, zmęczone twarze moich współtowarzyszy. — Na przykład, z Ziemią Wietługina, dawnym Archipelagiem Wysp Znikających. Przecież udało się ocalić Archipelag od zagłady, czyż nie tak? Stoi pośród oceanu i wytrzyma jeszcze tak długo, jak długo nam będzie potrzebny... Czemu nie można byłoby tego zrobić również z oazą

„Dzieci Słońca”? Zachować ją lub odrodzić na jakiejś nowej zasadzie? Zapewniam was, że to jest całkiem możliwe!

Liza spojrzała na mnie spod oka:

— Losza, ty dotąd masz w sobie coś z dziecka...

Od razu ostygłem:

— O! Stare dziecko? To bardzo smutne, jeśli tak:

— Stare? Co też wygadujesz!... Podobają mi się właśnie, kiedy dojrzały, silny mężczyzna potrafi aż do siwych włosów zachować w sobie coś kanciastego, miłego, chłopięcego...

— Cóż więc takiego znalazłaś we mnie? — zainteresowałem się, nieco dotknięty.

— Zdumiewa mnie zawsze, jak ty się łatwo zapalasz. Wystarczy najlżejsza podnieta, by pobudzić twoją fantazję. A wtedy już nie ma dla ciebie hamulca!...

— Po prostu staram się wyobrazić sobie cel, do którego zmierzam.

— Słyszycie, Wołodia? On się usprawiedliwia!

— W zupełności podzielam zdanie Lizy — wtrącił się Sawczuk. — Czy nigdy nie myśleliście o tym, by zostać pisarzem lub dziennikarzem?

— Ustrzegł mnie od tego Piotr Arianowicz — odpowiedziałem żartem. — Pamiętacie ów aforyzm: Jeśli człowiek posiada zbyt wiele talentów, niech nie traci nadziei, może jeszcze zostać dziennikarzem. Ale poważnie: uświadomiłem sobie moje powołanie już w czternastym roku życia. Powinnością moją było doprowadzić do końca to, czego nie dane było dokonać Piotrowi Arianowiczowi... Poczucie obowiązku, rozumiecie?

— A jednak szkoda, że nie piszecie. Opisałibyście naszą wyprawę...

— Na pewno opiszę. Będzie to jak najdokładniejsze sprawozdanie z wykresami, tablicami i danymi statystycznymi. Pod tytułem: „Przyczynek do zagadnienia...”

— Nie, żeby to było jak w rzeczywistości! Ze wszystkimi przygodami, z naszymi rozmowami przy ognisku.

--- Losza — ze zdumieniem stwierdziła nagle Liza —

teraz dopiero widzę, jak bardzo jesteś podobny do Piotra Arianowicza!

— Cóż znowu!... — roześmiałem się.

W moim wieku Piotr Arianowicz był niewysokim, krępkim mężczyzną o okrągłej twarzy. A ja jestem chudy, wysoki, mam twarz pociągłą.

— Nonsens! Ani trochę nie jestem podobny!

— Ależ tak! Ty tego nie rozumiesz. Nie chodzi mi o powierzchowność. Myślę, że tak powiem, o obliczu duchowym. Macie obaj jakieś wspólne rysy...

— Pokrewieństwo duchowe — odpowiedział Sawczuk.

— O właśnie, pokrewieństwo duchowe! Szczególnie, wiesz, spojrzenie! Gdy się zamyślisz, także patrzysz gdzieś daleko, daleko... Prawda, Wołodia?

— Przecież nigdy nie widziałem Piotra Arianowicza — westchnął Sawczuk z żalem.

— Ach tak!...

— To dziwne — rzekłem.—Nigdy tego nie zauważyłem.

— Piotr Arianowicz na pewno tak samo, jak ty, rwałby się do oazy. Myśl wyprzedzałyby nogi...

— To prawda! Gdyby tak można było przeskoczyć góry!... Dałbym wszystko za to, byle się tam znaleźć jak najprędzej!...

Nieoczekiwanie zabrał głos Bulczu, niechętnie przysłuchujący się naszej rozmowie, której sens mu się wymykał.

— Po co się kłócić, złościć, zgadywać? — powiedział. — Będziemy tam niedługo i wszystkiego od razu się dowiemy.

— A kiedyż to będzie?

— Bardzo prędko. Jutro...

Ale myśmy się nawet nie uśmiechnęli w odpowiedzi na te słowa. Ileż to już razy słyszeliśmy: „Jutro, jutro!”...

### 3

Purga wyczerpała nas do reszty. Zmęczenie, narastające stopniowo przez całą drogę, dawało się szczególnie odczuć właśnie w tym dniu. Szliśmy, z trudem powłócząc nogami,

częściej niż dotychczas ślizgając się i potykając na stromym kamienistym brzegu.

Okropnie chciało się spać. Po burzy powietrze się ociepliło i działało rozmarzająco. Mocno, do bólu w palcach ściskając szleję na piersi, by zwalczać ogarniającą mnie senność, usłyszałem nagle przejmujący okrzyk:

— Mysz, mysz!...

To Bulczu śpiewa! Wytrzeźwiawszy od razu, ze zdziwieniem wsłuchuję się w słowa pieśni:

— Mysz, mysz przed nami!... Uczepiłem się jej ogona i mysz ciągnie mnie. Przez sto dołów, przez sto przepaści, przez sto kęp, ciągnie mnie...

Głos Bulczu jest drżący, słaby, rwie się co chwila. Nie mogę powiedzieć, by motyw pieśni i jej wykonanie zbyt-  
nio mnie zachwyciły. Dziwne zwłaszcza wydają mi się słowa:

— Kamienie podniosły się z wody. Obeszliśmy te diabelskie kamienie. Purga zagroziła nam drogę. Przechytrzyliśmy purgę...

I dalej:

— Prowadzę ludzi, którzy szukają swego człowieka W Krainie Siedmiu Traw żyje rosyjski człowiek...

Wygląda na to, że Bulczu opiewa naszą wędrowną, układając słowa na poczekaniu. Tak, rzeczywiście tak jest!

Przewodnik obejrzał się i widząc, że patrzę na niego, zaciągnął jeszcze głośniejsze:

— Ludziom rosyjskim podoba się pieśń Bulczu. Przy śpiewie lepiej się idzie. Piękną pieśń śpiewa Bulczu...

Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że Bulczu śpiewa po rosyjsku, to znaczy specjalnie dla mnie, Sawczuka i Lizy. Postanowił pieśnią dodać nam otuchy!

— Rosyjscy ludzie mają dużo dobrego tytoniu — wyspiewuje dalej nasz przewodnik. — Nigdy nie paliłem tak dużo dobrego tytoniu. Dawniej bałem się Krainy Siedmiu Traw. Ale teraz jestem mądrym człowiekiem. Teraz się niczego nie boję!

Głos mu się rwie coraz częściej. Musi robić przerwy

między jednym zdaniem a drugim, gdyż jest nie mniej od nas zmęczony.

— Kraina Siedmiu Traw — to piękna kraina! Są tam bardzo tłuste reny! Tam dużo ptaków! Tam zawsze ciepło!...

I znowu:

— Mysz, mysz! Prędeż ciągnij mnie naprzód! Mysz!...

Przyszło mi na myśl, że Bulczu — drobny, zwinny, w swym srokatym sokuju i kapturze z reniferowym ogonkiem, sam jest podobny do ruchliwej małej myszki.

— Motyw myszy jest charakterystyczny dla nganasańskiego folkloru — rzekł Sawczuk, przyspieszając kroku.

— To brzmi jak zaklinanie — odezwała się Liza. — Zupełnie przypomina zaklinanie!...

— Już raczej przewodnik! Przewodnik dla turystów — odparłem i rozejrzałem się wokoło.

Niestety — ani drzew, ani wysokiej trawy. Otaczająca nas dzika, posępna przyroda rażąco kontrastowała ze słowami pieśni!

Czarne i czerwonawe urwiska skalne. Głazy, szare, jednostajne piargi. Sterty gruzu skalnego.

Wąwóz był tak głęboki, że nie widzieliśmy słońca, tylko jego odbłask — różową obwódkę na ośnieżonych szczytach.

— Jesteśmy już bardzo blisko! — odezwał się Bulczu przerywając pieśń. — Widzisz? Uszy Psa!...

I pokazał gdzieś w górę.

Liza z powątpiewaniem chrząknęła.

— Tak, na mojej mapie są „Uszy Psa” — ująłem się za Bulczu. — Jeszcze w tundrze nakreśliłem według jego słów szkic doliny rzecznej. Dotychczas wszystko się zgadzało. To znaczy, że dobrze prowadzi.

— Tak, ja dobrze prowadzę — potwierdził przewodnik.

— A jaki jest następny punkt orientacyjny po „Uszach Psa”?

Zajrzałem do notesu.

— Teraz powinna być skała „Szepiły się rogami”.

Bulczu z godnością skinął głową.

Minęliśmy już skalę „Szcepiły się rogami”, jak również skalę „Skradający się człowiek”, ale drzew wciąż jeszcze nie było.

Pociemniała rzeka (jej dno, dotychczas piaszczyste, była teraz gliniaste) wolno toczyła swe fale, wiernie powtarzając kapryśne zakręty wąwozu.

Podniecenie Bulczu doszło do szczytu. Już nie szedł, lecz biegł w zaprzęgu, ciągnąc mnie za sobą, jak leniwego, ociężałego konia naręcznego.

— Zaraz! Zaraz! — powtarzał zdyszany.

Obeszliśmy wysoką, nawisłą nad brzegiem skalę.

— Jesteśmy na miejscu! — wykrzyknął z triumfem Bulczu i w biegu wyciągnął przed siebie rękę. — Patrzcie!..

I nagle urwał.

Przed nami wznosiły się nagie, skaliste zbocza, niczym nie różniące się od tych, które pozostawiliśmy za sobą. Jak okiem sięgnąć piętrzyły się amfiteatralnie ku nisko wiszącym nad wąwozem, skłębionym chmurom. Wrażenie było bardzo przygnębiające. Zdawało się, że ten kamienisty wąwóz nigdy się nie skończy.

— Bulczu, ty tu byłeś? — ze zdumieniem i lękiem w głosie spytał Sawczuk.

Bulczu rozglądał się w milczeniu.

Tak, on tu był, co do tego nie mogło być wątpliwości. Oto trzy skały przypominające czumy — „straże”, o których mówił jeszcze w Nowotundryńsku. Oto osypisko głazów, o którym nam też opowiadał.

Trzymając przed sobą otwarty notes, gdzie miałem nakreślony szkic wąwozu, porównywałem go z tym, co widziałem.

Cechy charakterystyczne terenu, zakręt rzeki, kształty szczytów i pojedynczych skał — wszystko dokładnie zgadzało się z opisem Bulczu. Dolina nie przyśniła mu się. On tu był, żył tu.

Cóż się więc stało?

Gdzie są masztowe sosny, brzozy, modrzewie, soczysta trawa, kwiaty, krzewy głogu?..

Ten sam nagi, monotony, smutny krajobraz. Te same szare, strome urwiska i biały śnieg w skalnych rozpadlinach. Dolina przypominała pustą ramkę, z której ktoś wyjął i wyrzucił wesoły, barwny, radujący oczy obraz.

Nasz przewodnik zrobił jeszcze parę kroków i osunął się na ziemię.

Sawczuk pomógł Lizie zdjąć szleję. Chciałem zapalić papierosa, ale zapalki łamały mi się jedna po drugiej. Wszyscy milczeli.

Bulczu zwrócił ku nam pomarszczoną twarz, po której spływały łzy.

— Widziałem ten wawóz, widziałem! — powiedział łamiącym się głosem. — Byłem tutaj, i wtedy był on zielony...

Padł twarzą na przybrzeżny żwir, ściskając głowę rękami.

Oszołomieni niepowodzeniem rozglądaliśmy się dokoła. Niczego nie było: ani zielonej trawy, ani głogu, ani cieniowych drzew!

Smutno i głucho pluskała rzeka u naszych stóp.

Ale przecież Piotr Arianowicz opisywał oazę „Dzieci Słońca” ze wszystkimi szczegółami, i to znacznie barwniej niż Bulczu. I „listy z epoki kamiennej” przesyłane były w drewnianych „kopertach”, w wydrążonych brzozowych pniach.

Lecz tu nie rosła ani jedna brzoza.

Gdzież się więc to wszystko podziało? Dokąd odeszli ludzie? Co się stało z drzewami?...

Zaczepiając o ostre iglice skał, leniwie przewaliła się przez szczyty śniegowa chmura i popęzła dalej, siejąc mokrymi płatkami.

Przysiedliśmy z Sawczukiem na kamieniu obok Bulczu, który wciąż jeszcze leżał na ziemi.

Czułem nieprzyjemne osłabienie w całym ciele.

To nie żarty odwalić bez mała sto kilometrów po rzece, robiąc wiosłami pod prąd, to znów holując łódź! Można się było zmęczyć! Ręce mieliśmy zupełnie zdrętwiałe, nogi pod nami drżały.

E, do licha! To wszystko nic, wszystko w jednej chwili poszłoby w niepamięć, gdyby się tylko znalazła Kraina Siedmiu Traw, oaza „Dzieci Słońca”.

Ale jej nie znaleźliśmy. Znikła, rzekłbyś, zapadła się pod ziemię.

A jednak wszystkie znaki szczególne, które podał Bulczu, pozostały na miejscu. I „Uszy Psa”, i „Szepiły się rogami” i „Skradający się człowiek”.

Posępne, czarne i szare głazy pozostały.

Tylko oazy nie było...

## XII. Zagadka w dwóch trzecich rozwiązana

1

Gdzież się więc podział las? Może przeszło tędy trzęsienie ziemi i jakaś wyjątkowo ogromna rozpadlina pochłonięła nagle oazę wraz ze wszystkimi jej drzewami, „trzy razy wyższymi od człowieka”, pięknymi kwiatami, wysoką trawą i zamieszkującymi ją ludźmi?...

Czy to by znaczyło, że Piotr Arianowicz zginął?...

Zrobiłem parę kroków rozglądając się badawczo.

Tak, ziemia tu była pagórkowata, bardzo nierówna, spękana, miejscami dziwnie wzdęta, niczym kora brzozowa wyjęta z ognia.

Z przerażeniem ujrzałem przed sobą uskok. Krawędź rozpadliny była jakby nadłamana. U moich stóp ziała złowieszcza otchłań. Nieco dalej czerniały jeszcze dwa czy trzy większe uskoki.

— Nic nie rozumiem — mruknął Sawczuk podchodząc do mnie. — Przypomina to wykop. Ni to sztolnia, ni to dół na fundamenty pod jakąś olbrzymią budowę. Co powie o tym Liza?

Obejrzałem się.

Bulczu wciąż tak samo leżał twarzą do ziemi, objawszy głowę rękami, w pozie rozpacz. Lizy jednak przy nim nie było.



— A gdzie Liza? Liza-a!

— Jestem tu! — odkrzyknęła.

Spojrzelśmy w górę. Liza chodziła po zboczu, od czasu do czasu schylała się, podnosiła grudki ziemi i z uwagą się im przyglądała. Jedną z nich nawet obwąchała.

Przez pewien czas obaj z Sawczukiem obserwowaliśmy ją ze zdziwieniem. Naraz Sawczuk ożywił się i ruszył w jej stronę.

— Coście znaleźli? — spytał. — Może ślady istnienia „Dzieci Słońca”?

— Nie — odparła. — Ślad istnienia oazy. Czerwony ślad.

I wskazała na czerwoną smugę, dość wyraźnie odbijającą od szarej kamienistej ziemi. Smuga ta, wijąc się wśród skał, ciągnęła się gdzieś na północ, w głąb wąwozu.

— Co to jest?

— Ślad pożaru.

— Jakiego pożaru? Czyżby tu był pożar? Kiedy? — Rozejrzałem się ze zdumieniem, szukając wzrokiem szczerńniętych, osmalonych pni. Żadnych pni nie było.

— Las palił się pod ziemią — wyjaśniła Liza. — Ściślej mówiąc, to, co było lasem przed milionami lat...

— Węgiel?!...

— Tak. Pokłady węgla wypalały się stopniowo do poziomu wód gruntowych. Był to podziemny pożar. Zjawisko znane na Syberii.

Podeszliśmy do niej bliżej. Liza trzymała na dłoni czarną, spaloną grudkę, przypominającą z wyglądu żużel, jaki się wygrzebuje z pieca.

— Powiedziałeś kiedyś — zwróciła się do mnie — że odłupujemy po kawałeczku tajemnicę Byrangi. Oto drugi kawałeczek tajemnicy.

— Co to jest?

— Przepalony węgiel!

— Wytlumaczże jaśniej! — obruszyłem się. — Ty o tym wiedziałaś?

— Domyślałam się.

— Dlaczego więc nic nie mówiłaś?

— Nie dowierzałam sobie. Chciałam przekonać się na własne oczy.

— To dziwne! Ja bym tak nie potrafił... Domyślać się i milczeć!...

— Co się jednak stało z lasem? — spytał Sawczuk. — Przecież Piotr Arianowicz w nim przebywał. I Bulczu go widział. Wreszcie my sami widzieliśmy drzewa na mie-  
liźnie.

— Las był. Nad płonącym pokładem węglowym powstał rejon mikroklimatu. I oto oaza!

Liza powiodła ręką dokoła.

— Ależ oazy nie ma!

— Była.

— I to wszystko, co z niej pozostało? — Sawczuk z niedowierzaniem nachylił się nad czarną grudką, leżącą na dłoni Lizy.

— Oczywiście, że nie. Po prostu jesteście obaj zbyt oszo-  
łomieni, by spostrzec pewne rzeczy. Przypatrzcie się tylko lepiej.

Rozejrzeliśmy się i zobaczyli to, na co przedtem nie zwróciliśmy uwagi: korzenie, mnóstwo korzeni na wpo-  
ł zasypanych ziemią.

Ze wszystkich stron wyciągały się ku nam drzewne macki — połamane, okaleczone. To tu, to tam wyglądał spod ziemi skłębiony, poszarpany cały system korzeniowy. W jednym miejscu zauważyłem nawet zwalony pień drzewa.

— Dlaczego tylko korzenie? Co się tu dzieje?

— Pokład stopniowo się wypalał — powiedziała Liza. — Pod ziemią utworzyła się pustka. To było przyczyną po-  
stawiania uskoków.

— Trzęsienie ziemi w miniaturze?

— Tak, coś w rodzaju trzęsienia ziemi, tylko że ściśle zlokalizowanego.

Moje pierwsze wrażenie z wąwozu — ramka bez obra-  
zu — można było teraz określić jeszcze dokładniej: ramka, wisząca krzywo na gwoździu.

— Jeśli to wam nie robi różnicy, może byśmy usiedli — rzekła Liza. — Jestem zmęczona.

Wróciliśmy do łódki. Bulczu jeszcze wciąż leżał bez ruchu.

— Las odszedł stąd — łagodnie zaczęła przemawiać Liza, nachylając się nad starym i gładząc go jak małe dziecko po głowie. — Ale my go dogonimy, Bulczu! O ile — Liza podniosła na mnie oczy — pożar podziemny nie wygasł, tylko przesunął się naprzód,

— Może mu dać lekarstwo? — zatroskał się Sawczuk spoglądając na Bulczu.

Nasz przewodnik bardzo lubił się leczyć. Chcąc się popisać swoją znajomością rzeczy, uroczyście rozwijał papierek, potem bez pośpiechu, zerkając na nas spod oka, wysypywał proszek na dłoń i z widoczną satysfakcją połykał. Pewnego razu, przez moje niedopatrzenie, za jednym zamachem połknął całe pudełko salolu.

Ale w tej chwili Bulczu nie chciał lekarstwa.

Podniósł na Lizę zapłakane oczy, przecząco pokręcił głową i znów ją opuścił. Nie wierzył Lizie. Myślał, że chce go tylko pocieszyć.

— Słuchamy — przynagliłem Lizę.

— Widzicie — podjęła znowu — pod jednym względem jestem szczęśliwsza od was. Widziałam już podobną oazę...

— Gdzie? Kiedy?

— W tym roku na wiosnę, bardzo daleko stąd. Nad rzeką Wiwi... A wiecie, jak się ta rzeka nazywała na starych mapach?

— Coś sobie przypominam... — zaczął Sawczuk.

— Gorielaja<sup>1</sup>!... Wiwi — to nazwa ewenkijska.

— Dlaczego Gorielaja?

— Gdyż było tam wiele pożarów podziemnych. Większość z nich przeważnie miała miejsce bardzo dawno, jeszcze w okresie trzeciorzędu.

\*Gorietyj — noszący na sobie ślady ognia.

— Co je powodowało?

— Na przykład — pioruny. Pożary mogły powstać na skutek wyładowań atmosferycznych!... Nasza grupa geologiczna przeprowadzała badania tych pogorzelsk.

— Po co?

— Badaliśmy właściwości nowego materiału budowlanego — strawionych podziemnym ogniem minerałów, zmieszanych z popiołem. Pisałam ci o tym, Losza... Prócz tego pokazano nam taki pożar stosunkowo niedawnego pochodzenia. Wybuchł prawdopodobnie jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu.

— A jak to wyglądało?

— Wyobraźcie sobie górę, która stale dymi, zupełnie jakby w jej głębi krył się nie wygasający wulkan. Według opowiadań miejscowej ludności, śnieg nie utrzymuje się tam w ciągu całej zimy. Gdzie tam! Przecież we wnętrzu góry jarzy się ogień. Przekonałam się o tym na własne oczy. Umocowałam na końcu długiego kija hubkę i wsunęłam do szczeliny. Hubka się zapaliła. Najlepszy dowód!

— A roślinność? — z niecierpliwością dopytywał się Sawczuk.

— Wspaniała! Soczyste łąki! Gaje brzoźowe! Pełno jagód!... Potem przejrzałam odpowiednią literaturę. Podobne opisy można spotkać u Eichwalda, Tretiakowa, u Elizy Reclus.

— A więc to nie jest tak rzadkie zjawisko?

— Na Syberii zdarza się to często. W Zagłębiu Kuznieckim jest pokład węgla, który pali się już ponad sto lat...

Rzuciłem okiem na Bulczu, który siedział skulony przy ognisku.

— Teraz rozumiem — odezwałem się — dlaczego tak dokładnie wypytywałaś Bulczu o Krainę Siedmiu Traw.

— Porównywałam szczegóły krajobrazu.

— Jakie szczegóły? — zdziwił się Sawczuk.

— Bardzo ważną rzeczą było dowiedzieć się, czym pachnie Kraina Siedmiu Traw. Jeśli siarką — wówczas mimo

wszystko mielibyśmy do czynienia nie z pożarem podziemnym, lecz z wulkanem. Co prawda, niektóre gatunki węgla posiadają znaczną domieszkę siarki. Ale wątpię, czy w takim wypadku byłaby możliwa tak bujna roślinność. Byliście kiedyś w fabryce chemicznej, produkującej siarkę? Zwykle takie zakłady otoczone są wyjątkowo nędznymi skwerami.

— Dalej interesował was koloryt oazy — przypomniał Sawczuk.

— A tak! Koloryt oazy ma ogromne znaczenie. Bulczu potwierdził, że w niektórych miejscach ziemia rzeczywiście jest ceglasczerwona. Przecież glina wypala się jak cegła.

— A więc wszystko wskazywałoby...

— Tak. Stopniowo upewniłam się w przekonaniu, że Piotr Arianowicz natknął się na pożar podziemny w górach Byrranga.

— Ale on sądził, że to wulkan.

— Tylko z samego początku. Podobieństwo między takim pożarem i wulkanem jest dość duże. Nie darmo geologowie nazywają to zjawisko „fałszywym wulkanem”.

— Ach tak!

— Piotr Arianowicz niewątpliwie czytał w swoim czasie Spafariusa, Humboldta, Siemionowa-Tiań-Szańskiego. Przecież spór na temat wulkanów Syberii ciągnie się już dwa i pół wieku.

Okazało się, że dwieście pięćdziesiąt lat temu Spafarius słyszał o wulkanach na brzegach Niżniej Tunguski. Strahlenberg opisał zionącą ogniem górę niedaleko ujścia Jeniseju. Wreszcie Humboldt, opierając się na relacjach chińskich podróżników, wspomina o istnieniu „licznych wulkanów” na Syberii.

Przeciw Humboldtowi wystąpił Schrenck, a potem Siemionow-Tiań-Szański.

Jednakże jeszcze w 1932 roku, w gazecie „Syberia Radziecka”, pisano o tym, że u podnóża Kuznieckiego Ałatau odkryto wygasły wulkan.

Na brzegach niedużego jeziora, leżącego nie opodal wsi,

były jakoby rozrzucone kawałki zastygłej lawy. „Czy jezioro nie jest przypadkiem kraterem wulkanu?” — wysuwał przypuszczenie autor artykułu.

Członek Akademii Nauk Obruczew odrzucił tę hipotezę. Rzeczywiście, podziemny ogień przepalił skały i stąd żużel, znaleziony przez korespondenta „Syberii Radzieckiej”. Ale nie był to ogień wulkaniczny.

Pod jeziorem znajdowały się pokłady węgla kamiennego. Kiedyś buszował tu pożar podziemny. Węgiel się spalał. Gorejące gazy wydobywały się na powierzchnię i buchały płomieniem niby gigantyczne pochodnie. Z daleka przypominało to ogniste języki unoszące się nad szczytem wulkanu.

Potem na miejscu wypalonego pokładu utworzyła się pustka, nastąpiło obsunięcie się ziemi. W olbrzymiej kotlinie zaczynała się gromadzić woda deszczowa i powstało jezioro.

— Tak, to by się zgadzało. Aż strach pomyśleć... — mruknąłem rozglądając się po wąwozie.

— Dlaczego?

— Przecież węgiel już się wypalił.

— Pokład spala się wolno. Bardzo możliwe, że oaza po prostu oddaliła się od nas o dwa, trzy dni marszu, w kierunku, gdzie leżą inne pokłady, na które ogień się przerzucił...

3

— No cóż, towarzysze? — rzekł Sawczuk, podnosząc się. — Przegryziemy coś niecoś i dalej w drogę?

Ale mnie ponosiła niecierpliwość. Chciałem choćby kącikiem oka zerknąć na to, co jest przed nami. Liza i Sawczuk zabrali się do pitraszenia przy ognisku (Bulczu nie ruszał się), a ja wyprawilem się na zwiady.

— Weź ze sobą broń! — krzyknęła za mną Liza.

Pokazałem jej dubeltówkę, którą trzymałem pod pachą.

Nie wolno było zapominać o tego rodzaju środkach

ostrożności wobec „opieki”, jaką zaszczycali nas tajemniczy mieszkańcy oazy...

Wąwóz wił się krętymi zygzakami.

Gdzieś obok monotennie podzwaniała kamykami rzeka, ginąc chwilami z oczu wśród wysokich skał.

Z przykrością myślałem o tym, że trzeba będzie zostać łódkę u „progu” oazy i dalszą wędrówkę odbywać piechotą. To nie będzie łatwe. Ale przecież oaza, o ile jeszcze istnieje, powinna się znajdować zupełnie blisko, gdzieś tuż przed nami. To niemożliwe, byśmy mieli na to stracić — mając nawet tak trudną trasę do przebycia — więcej niż dobę.

I naraz, przeczołgawszy się na czworakach przez któreś tam z rzędu osypisko, ujrzałem za zakrętem upragniony las.

Ale był to jakiś fantastyczny, żalobny las.

Rosły tu przeważnie nieduże — na wysokość człowieka — modrzewie. Po długich, zwieszających się z drzew „brodach” ciemnoszarego mchu i porostów domyśliłem się, że mam przed sobą czcigodnych starców świata roślinnego.

Gdy podszedłem bliżej, stwierdziłem, że to coś więcej niż starcy — to trupy drzew.

Wierzchołki ich były obłamane, pnie powykręcane, jakby drzewa skuliły się z przejmującego zimna. Lodowate palce mrozu poobrywały z nich liście, korę. Żalobna krepka zwisała niemal z każdego pnia.

Zagłębiając się w ten dziwny las, w którym drzewa stawały się coraz wyższe, zauważyłem obok modrzewi również ogołocone ze szpilek jodły. Nieco dalej rosło parę brzóz.

Szczególnie niesamowite wrażenie sprawiały modrzewie. Drzewa, rzekłbyś, zastygły w mękach konwulsji, w pozie, w jakiej zaskoczyła je śmierć.

Wrażenie to potęgował jeszcze martwy bezruch wszystkiego, co mnie otaczało. W powietrzu nie było najlżejszego powiewu wiatru. Drzewa stały jak wykute z kamienia.

Pomyślałem sobie, że w zimie musi tu być jeszcze straszniej. Kiedy wiatr, stoczywszy się z gór, wpada do wąwozu, kikuty drzew zaczynają skrzypieć i kołysać się — z początku niechętnie, potem coraz szybciej i szybciej, ze złowieszczym, jednostajnym stukotem. Jakiś makabryczny taniec szkieletów, całego tłumu grzechoczących piszczelami szkieletów!...

Tfu, do diabła! Co za myśli przychodzą do głowy w tym lesie!...

Wystrzeliłem ze strzelby w powietrze, by dać znać w ten sposób towarzyszom o swym odkryciu.

Po kilku minutach zza grzbietu ukazali się Sawczuk, Liza i Bulczu. Biegli co tchu — o mało nie stoczyli się z góry pod moje nogi.

— Co z tobą?... „Dzieci Słońca”?... Co się stało? — pytała w biegu Liza dysząc ciężko. Bulczu z posępną miną rozglądał się, trzymając broń w pogotowiu.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak przestraszyłem swoich towarzyszy.

— Znalazłem las... Chciałem, abyście i wy także... — bąknąłem zmieszany.

Liza, Bulczu i Sawczuk ze zdumieniem rozglądali się wokoło.

— Wszystko w porządku! Tak powinno być — odezwała się Liza, odsapnąwszy nieco. — To druga faza ostygnięcia oazy. Kiedy ogień doszedł do granicy wód gruntowych, pożar stopniowo wygasał na poszczególnych odcinkach. Na skutek nierównomiernego ciśnienia przedostały się do wąwozu masy zimnego powietrza, powstały trąby powietrzne, wichury o straszliwej sile.

— To znaczy, że prawdziwy, żywy las znajduje się gdzieś niedaleko? — spytałem z niecierpliwością.

— Prawdopodobnie. Całkiem możliwe, że nawet za tym zakrętem.

— No więc chodźmy! Prędej! Co będziemy tu stać?

— Zapomnieliście, że za dwadzieścia minut macie rozmawiać z Nowotundryńskiem — rzekł Sawczuk spoglądając na zegarek.



— Tak, to prawda.

Jedząc w pośpiechu obiad, spojrzeliśmy raz po raz na głęboki przełom w górach, za którym kłębił się błękitnawy mrok. Każdy kęs stawał nam w gardle.

Z Nowotundryńskiem połączyłem się bardzo szybko. Przy aparacie oczekiwał mnie Aksionow.

— No jak? — pytał niecierpliwie. — Powiodło się wam czy nie? Znaleźliście? Doszli?

— Jeszcze niezupełnie. Znajdujemy się u progu oazy — w martwym lesie.

I w krótkich słowach poinformowałem go o dokonanym dopiero co odkryciu.

— Czy potrzebna wam jakaś pomoc?

— Na razie nie. Dziękujemy! Gdy będzie coś nowego — zawiadomimy...

Łódkę musieliśmy zostawić. Odsłużyła swoje. Dalej można było iść tylko pieszo.

Bulczu, któremu cała słabość od razu przeszła, jakby ręką odjął, zaczął starannie zadeptywać żar ogniska. Pomogłem Lizie umocnić plecak na ramionach.

A zatem drugą część zagadki Byrrangi można było uważać za rozwiązaną. Oaza — Kraina Siedmiu Traw — powstała dzięki spalaniu się złóż węglowych. Górne dorzecze Rzeki Tajemnic objęte było podziemnym pożarem!...

I gdzieś tam oczekiwały nas, wcale dla nas przyjaźnie nie usposobione, „Dzieci Słońca”. Mogły się ukrywać za czerwonymi osypiskami żwiru, za wystającymi korzeniami, za pniami martwego lasu, w każdej skalnej rozpadlinie. Mogły czatować wszędzie po drodze, usiłując za wszelką cenę nas powstrzymać.

A jednak musieliśmy iść naprzód, musieliśmy tam dojść — nawet jeśliby Piotr Arianowicz już nie żył — aby rozwiązać ostatnią, trzecią część zagadki: kim są „Dzieci Słońca” i dlaczego ukrywają się w górach.

# CZEŚĆ TRZECIA

## I. Martwy goniec

### 1

Chwileczkę! — rzekł grzecznie Sawczuk i położył rękę na mojej strzelbie, którą chciałem wziąć pod pachę. — Chciałbym, żebyście mi ją dali...

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Tymczasem tylko, na przechowanie — wyjaśnił etnograf.

— Nie rozumiem...

— W tym lesie nie wolno strzelać. A wy jesteście człowiekiem porywczym, łatwo się zapalacie...

Zmieszałem się.

— Przepraszam, Władimirze Osipowiczu. Przyznaję się do winy. Niepotrzebnie wam i Lizie napędziłem strachu.

— Ależ nie o to chodzi! Mam w tej chwili na myśli „Dzieci Słońca”... Chciałbym, żebyście mnie źle nie zrozumieli... Wybaczcie, że zwracam wam uwagę.

— Proszę bardzo. Nie szkodzi. Zasłużyłem na to.

— Widzicie, wiele rzeczy dotyczących „Dzieci Słońca” pozostało jeszcze dla nas tajemnicą. Ludzie ci obawiają się jakiegoś napadu, prześladowań. To wszystko jest bardzo skomplikowane... Dlatego, by uniknąć konfliktu, musimy przejść przez las bez jednego wystrzału.

— Bez względu na to, co się zdarzy?

- Tak, bez względu na wszystko — z naciskiem potwierdził etnograf. — Musimy na każdym kroku podkreślać nasze pokojowe zamiary. Ostatecznie jesteśmy

przecież wysłannikami wielkiego Związku Radzieckiego, o którym „Dzieci Słońca” na pewno nawet nic nie wiedzą.

Pokornie podałem mu swą dubeltówkę.

Sawczukowi złagodniała mina.

— Zresztą, jeśli mi dacie słowo honoru...

— Gotów jestem nawet wyjąć naboje.

— Nie, po co! Wierzę wam... Tylko pamiętajcie, że to bardzo ważna rzecz...

I zwracając się do Lizy i Bulczu, którzy stali obok, gotowi już do marszu, dodał:

— To samo, oczywiście, odnosi się i do was.

Liza skinęła głową. Bulczu z niezadowoleniem burknął coś pod nosem, ale mimo wszystko przerzucił strzelbę z piersi na plecy.

Autorytet Sawczuka, jako kierownika wyprawy, był niezachwiany.

Zaczynał się ostatni — pieszy etap naszej wędrówki.

Bagaż rozdzieliliśmy odpowiednio do fizycznych możliwości każdego z uczestników ekspedycji. Ja i Sawczuk mieliśmy na zmianę nieść aparat i akumulatory. Plecaki ze śpiworami i naczyniem przypadły w udziale Lizie i Bulczu.

Liczyliśmy, że pozostało nam już niewiele drogi, nie więcej niż jeden dzień marszu, lecz wszystko wskazywało na to, że dzień ten będzie dość trudny.

Rzeczywiście, wciąż nowe przeszkody wyłaniały się jedna po drugiej. Musieliśmy ostrożnie obchodzić ziejące jamy i rozpadliny, na których dnie matowo połyskiwała woda, to znów zgarbieni, czepiając się rękami korzeni i głazów, brnęliśmy przez osuwające się spod nóg nadrzeczne osypiska.

Gdzie okiem spojrzeć, zryta, splekana ziemia — obraz ruiny wręcz przynębiający.

Wreszcie, za piątym zakrętem (skrupulatnie nanosiłem na mapę wszystkie szczegóły terenu) weszliśmy w martwy las.

Teraz było jeszcze trudniej iść.

Drogę zagrodziły nam wykroty.

Część drzew zwała się w jedną stronę, część w drugą, zależnie od tego, jak przechodziła rozpadlina i gdzie osunęła się ziemia. Niektóre drzewa utrzymały się w pozycji pionowej, osunęły się, tak jak stały, razem z ziemią.

Trzeba było przeskakiwać przez korzenie, nieustannie płaczące się pod nogami, schyliwszy się wymijać gałęzie, które czyhały tylko na sposobność, by chlasnąć boleśnie po twarzy.

Gdy zarośla stawały się nie do przebycia, przerąbywaliśmy się przez nie, puszczając w ruch siekiery.

Nieraz siódme poty na nas biły, nim udało się nam posunąć o pięćdziesiąt — sto metrów.

— Czymże jest ten Ptak Mauk, który nie wypuszcza „Dzieci Słońca” z kotliny? — westchnęła Liza. — Zaczarył skrzydłem zaczarowany krąg...

— W tej chwili jesteśmy już w jego obrębie...

— Aha!

— Właśnie zaczarowany krąg — ciągnąłem dalej. — Oaza ginie, ostyga, rozpada się, a „Dzieci Słońca” nie schodzą z gór do tundry. Coś je tu trzyma, jakieś czary, niepojęty zakaz.

— Chytyndo, Chytyndo — rzuciła gniewnie Liza.

— Myślę, że to nie jest sprawa tylko Chytyndo, chociaż i ona, niewątpliwie, odegrała tu swoją rolę.

Pomogłem Lizie przegramolić się przez zwałony pień.

— Przed dziesięciu laty — zacząłem — gdy byłem na Czukotce, opowiadano mi o podobnym tabu. Niedaleko Zatoki Opatrzności znajdowało się „zakłete” koczowisko.

— Jak to zakłete?

--- No, określenie, oczywiście, niezbyt ściśle. Zakłete W tym sensie, że otoczone było pierścieniem. Miejscowy szaman pokłócił się ze swymi owieczkami i opuszczając koczowisko objechał je trzykrotnie dokoła.

— Po co?

— Zrobił to z zemsty. Straszliwa zemsta czarownika, rozumiesz? Według wierzeń Czukczów, nie wolno przekroczyć śladu szamana.

— Więc coś w rodzaju blokady?

— Tak. Mieszkańcy zakłętego koczowiska siedzieli bojąc się poruszyć. Zaczął się głód. W końcu przyjechał do nich ktoś z faktorii. Wtedy poprosili o przywiezienie szamana z sąsiedniego koczowiska, by ich odczarował.

— Nie jesteście oczywiście szamanami — powiedziała Liza i energicznie przerzuciła plecak na drugie ramię. — Ale żebyśmy się tylko jak najprędzej dostali do „Dzieci Słońca”. Już my ich odczarujemy!...

— Tylko przy pomocy Sawczuka. Ten od razu się połapie w tych pierwotnych zakazach. Ale czym on jest tak zajęty?

Etnograf wolno szedł przed nami, patrząc uważnie pod nogi. Posuwał się naprzód jakoś dziwnie, zygzakami, co jakiś czas przystawał i grzebał kijem w na wpół zasypanych igliwem kupkach ziemi.

— Czego tam szukacie, Wołodia? — zawołała Liza.

Sawczuk zatrzymał się, szeroko rozstawiwszy nogi i spojrzał na nas roztargnionym wzrokiem.

— Może zachował się kawałek „listu”, strzęp jakiejś starej koperty...

Spojrzeliśmy na niego ze zdziwieniem.

— Macie nadzieję znaleźć list od Piotra Arianowicza?

— Nie.

— Dlaczego? Przecież on czeka na ekspedycję ratunkową. Być może, iż odchodząc stąd razem z „Dziećmi Słońca” pozostawił jakąś choćby króciutką wiadomość dla nas.

— On tu w ogóle nie przebywał. Ta część oazy, sądząc po martwych drzewach, wymarła, stała się nieprzydatna do życia jakieś trzydzieści lat temu, to znaczy jeszcze przed przybyciem Piotra Arianowicza.

— Czegóż więc szukacie?

— No, szczątków naczyń... kościanych noży... przedmiotów codziennego użytku „Dzieci Słońca”...

Biję się w pierś, ale nie mogłem się powstrzymać od zgoła niepoważnej uwagi.

— Grzebiąc się w kupkach... — mruknąłem pod nosem. Etnograf dosłyszał, ale się nie obraził.

— Zupełnie słusznie. Badając pozostałości kuchenne — powiedział z prostotą. — Archeologowie zawsze przywiązali do nich ogromne znaczenie, gdyż zbadawszy je mogli odtworzyć sobie kulturę wymarłego narodu.

Przeprosiłem Sawczuka.

Potyając się o wystające korzenie etnograf przechodził od jednego drzewa do drugiego. Jego podniecenie udzieliło się i nam. Tu żyły zagadkowe „Dzieci Słońca”, gotowały strawę, polowały, odprawiały przy głuchym warczeniu rytualnych bębnow swe tajemnicze obrzędy.

Dlaczego jednak w lesie nie pozostało najmniejszego śladu pobytu człowieka?

Na brzegu rzeki ujrzałem niewielki kopczyk na równym miejscu, który wydał mi się dość dziwny. Czy to nie jest przypadkiem mogiła?

Podszedłem bliżej i długim kijem zacząłem rozgrzebywać grubą warstwę igliwia. Na spodzie natrafiłem na popiół. Jeszcze głębiej zazieleniało coś długiego, skręconego jak sprężyna, niby zmija gotująca się do skoku.

Nie wierząc własnym oczom wyciągnąłem na wierzch skręconą lufę strzelby, zupełnie zaśniedziałą.

Sawczuk, Liza i Bulczu podbiegli do mnie.

Tak, to była mogiła, lecz wcale nie taka, jak sobie wyobrażałem. Pochowano tu, po uprzednim „spaleniu na stosie”, najróżniejsze przedmioty z metalu.

Wygrzebaliśmy z ziemi około dziesięciu, luf i zamków od strzelb (drewniane łożyska spłonęły), pięć miedzianych kotłów, dwie żelazne patelnie, sześć siekier i kilkadziesiąt kling bez rękojeści, formy na kule, świdry oraz mnóstwo bezkształtnych obecnie, mosiężnych przedmiotów, których przeznaczenie wyjaśnił nam Sawczuk. Były to, jak się okazało, kobiece ozdoby, noszone na piersiach i biodrach przez Nganasanki.

— Co się tu stało? — zawołała w zdumieniu Liza, oglądając się na Sawczuka. — Gdybyśmy znaleźli jeszcze kości ludzkie, wtedy bym zrozumiała...

— Naturalnie! — podchwyciłem. — U jakich to narodów, Władimirze — zdaje się, że również u naszych słowiańskich przodków — grzebano zmarłych z ich całym dobytkiem? Uroczyście palono na olbrzymim stosie i...

— Ale tu nie ma ludzkich kości — krótko uciął Sawczuk.

— Tak, to najdziwniejszy grób, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać — mówiła dalej Liza, w zamiśleniu przerzucając zardzewiały zamek strzelby z ręki do ręki, niczym gorący pieczony kartofel. — Pogrzebano rzeczy...

— Dodaj: rzeczy metalowe. To znaczy, rzeczy najważniejsze w codziennym życiu mieszkańców Dalekiej Północy.

— Czyżby to wszystko należało do „Dzieci Słońca”? Zakopać w ziemi taki skarb? Dlaczego? — zwróciłem się do Sawczuka, który nie odrywał oczu od przedziwnego grobu.

Etnograf nie odpowiedział; pogrążony w rozmyślaniach na pewno nie słyszał nawet mego pytania.

Zatrzymaliśmy się na krótki postój obok tajemniczej mogiły, wciąż ze zdziwieniem spoglądając na stos metalowych przedmiotów, uwieńczony miedzianymi kotłami. To wprost nie mieściło się w głowie! Dlaczego „Dzieci Słońca” zrezygnowały z całego tego bogactwa i posługiwały się jakimiś drewnianymi kotłami, grotami z rybiej ości itp.?

Ogarnięty sennością wyciągnąłem się na ziemi. W półśnie słyszałem głos Sawczuka. Etnograf siedział ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko Bulczu, wyczekująco patrząc mu w twarz.

Ach, znowu sprawy rodzinne!

Nasz przewodnik ziewnął. Sawczuk zamęczał go okropnie niemądrymi, zdaniem Bulczu, pytaniami. Etnografa

interesowało, dlaczego tak nieliczny był ród Niorcho, z którego myśliwy pochodził.

Bulczu z początku złościł się, obrażał, dopatrując się w tym czezej ciekawości, a nawet jakiegoś podstępu, chęci ponizenia go.

— Powiadam ci przecież, że ród jest wielki — krzyczał ambitny staruszek. — Posłuchaj, ile rodzin!

I zaczynał zaginać palce.

— Ale dawniej, przed rewolucją, był mały? — dopytywał się Sawczuk.

— To prawda, przed rewolucją był mały — niechętnie przyznawał Bulczu.

— Dlaczego?

— Przyszło nieszczęście. Krewniacy wymarli od ospy.

— A gdzie są ich groby?

— Nie wiem. Gdzieś daleko, na północy. Powiadają, że umarli w czasie letniej wędrówki.

— To wstyd! Stary człowiek, a nie wie, gdzie są mogiły jego krewnych!

Bulczu gniewał się i zżymał.

Nazwy nganasańskich rodów — Asjandu, Ngojbu, Niorcho, Kokary — powtarzały się w rozmowie z usypiającą regularnością. Dla mnie była to zupełna abrakadabra. Toteż szybko usnąłem.

Gdym się obudził, zobaczyłem, że i Bulczu zmorzył sen — stary przycupnął u stóp Lizy. Wszyscy uczestnicy ekspedycji spali. Tylko Sawczuk siedział nieruchomo wciąż w tej samej pozie, ze skrzyżowanymi nogami, podobny do pogrążonego w kontemplacji Buddy. Na jego kolanach leżała zielona klinga noża.

— Nowa hipoteza?... — spytałem domyślnie.

Sawczuk drgnął.

— Widzę, widzę — mówiłem dalej. — Odkrycie tajemniczej mogiły skierowało wasze myśli na nowe tory.

— Ważną rzeczą byłoby dojść do tego — zaczął wolno Sawczuk — która z legend zrodziła się w tundrze wcześniej: legenda o Krainie Siedmiu Traw czy o „kamienych ludziach”?



— Jakież to może mieć znaczenie?  
— Bardzo wielkie...  
— I to ma związek z małą liczebnością rodu Niorcho?  
— Zaczynam sądzić, że tak.  
— Jednak nie rozumiem...  
— Widzicie, być może, że omyliłem się w chronologii. Ku mojemu głębokiemu ubolewaniu. „Dzieci Słońca” nie są owym pranarodem, najstarszym ludem Syberii, jak przedtem sądziłem.

— Cóż wpłynęło na zmianę waszej pierwotnej hipotezy?

— O, te wszystkie ciekawe kawałki! — podrzucił na dłoni klingę, a potem wskazał na kupę żelastwa wygrzebanego z ziemi. — One to właśnie podsunęły mi nieoczekiwane proste rozwiązanie problemu. Zresztą... — Sawczuk urwał i spojrzął na zegarek: — Minęło pół godziny. Wstawać! Aleksieju, budźcie towarzyszy!

## 2

Pomagając mi wziąć na plecy aparat radiowy, Bulczu szepnął:

— Nic nie zauważyłeś?

— A co takiego? — spytałem również szeptem.

— W lesie ktoś jest.

— Oprócz nas?

— Tak.

Szliśmy obok siebie rozmawiając półgłosem.

— Myślałem, że to tylko mnie się tak zdaje. Wyobraź sobie, że i ja to wyczuwam. Jakby ktoś niewidzialny towarzyszył nam przez cały czas. Nieprzyjemne uczucie... — wstrząsnąłem się.

— A Wołodia zabronił strzelać! — mruknął Bulczu. (Podobnie jak Liza nazywał Sawczuka po prostu Wołodią).

Przyśpieszyłem kroku i zrównawszy się z Sawczukiem powiedziałem mu o naszych obawach.

— Już od dawna to zauważyłem — odparł etnograf. — Od pierwszej chwili, gdyśmy tylko weszli w las. Dlatego nie spałem na postoju. Trzeba się teraz mieć na baczności!

— A co wyście zauważyli? — zainteresowałem się. — Od czasu do czasu jakiś szelest, co? Niegłośny trzask, przyspieszony oddech?

— Nie. „Dzieci Słońca” umieją się maskować. Po prostu intuicyjnie, „przez skórę” wyczuwam obecność obcych ludzi. Oczywiście, że to nie jest przyjemne. Trzeba się jednak uzbroić w cierpliwość. Nie sądzę, żeby mieli do nas strzelać. Do tej pory nie strzelali.

Mimo to, na jego rozkaz skupiliśmy się i szli zwartą gromadką. Sawczuk, jako dowódca, szedł na czele, Liza w środku, a Bulczu i ja osłanialiśmy flanki i tyły.

W lesie słychać było tylko trzask gałązek pod nogami i nasze przytłumione głosy.

Nie było tu ptaków ani zwierząt. W martwym lesie panowała nienaturalna, przejmująca lękiem cisza. Taka bywa stojąca woda bagna, na którego czarnej powierzchni raz po raz pojawiają się pęcherzyki, jakby jakiś potwór ciężko przewracał się na dnie.

Wszystko wokół było dziwne, nierealne.

Taki zwalony las, sterczący korzeniami do góry, przechylony raz w lewo, to znów w prawo, mógł się tylko przyśnić, i to podczas ciężkiej choroby, przy bardzo wysokiej gorączce.

Liza westchnęła.

— O czym myślisz? — spytałem.

— Nie wiem, nie wiem — bąknęła. — Chwilami mam wrażenie, że uganiamy się za jakimś mamidłem, które wiedzie nas za rękę przez te góry, przez doły i zwały pni, przez ten straszny, martwy las, nad głębokimi przepaściami...

— Nerwy — wtrącił Sawczuk. Po prostu jesteś bardzo zmęczona, kochanie — powiedziałem i zrównawszy się z nią, z niepokojem zajrza-

łem jej w twarz. Liza maszerowała zgięta pod ciężarem bagażu. Do czoła przyłgął jej kosmyk rudawych włosów. Odrzuciła go śpiesznie, zauważywszy moje spojrzenie...

3

Upłynęły już blisko trzy godziny od czasu, gdyśmy zostawili łódź i weszli w las, ale uszliśmy bardzo mało — jakieś trzy, cztery kilometry.

Las zwykle usposabia do refleksji, zadumy. Tundra, step — szeroka, otwarta przestrzeń — rozprasza myśli. Tak przynajmniej jest u mnie.

Ten martwy las nasuwał bardzo niewesołe myśli.

O, jakże mroźno, pusto, smutno musi tu być na pewno w zimie!

— Tak, tak, strasznie smutno — odezwała się Liza, odgadłszy widocznie z wyrazu mej twarzy, o czym myślałem. — Pnie sterczą niby krzyże na starym wiejskim cmentarzu...

— A mnie przypominają tłum żebraków w kruchcie...

— Raczej dusze grzeszników w piekle — sprostował Sawczuk. — Pamiętacie, w jednym z kręgów dantejskiego piekła jest zakłęty las?

— Oczywiście! Dusze grzeszników zamienione w drzewa.

— Tak. Jęczą i płaczą, wyciągając ku niebu powykręcane palce.

Nerwowe napięcie wciąż narastało.

Prócz nas był jeszcze ktoś, a może coś, w martwym lesie. I my zbliżaliśmy się ku temu tajemniczemu „komuś” czy „czemuś”...

Bulczu pierwszy zobaczył strzałę i podniósłszy rękę, ostrzegawczo krzyknął.

Wszyscy przystanęliśmy.

Nad stertą kamieni, o parę kroków od nas, kołysało się leciutko barwne opierzenie strzały — rzekłbyś, motyl przysiadł na kamieniu, by odpocząć.



Nie bez obawy podeszliśmy bliżej. Ale śmierć, przynajmniej w tej chwili, nam nie zagrażała. Gościła tu przed nami.

Bez wątpienia mieliśmy przed sobą grób, lecz kamienie były narzucone w pośpiechu, byle jak. Przyjrząwszy się lepiej, zauważyliśmy wystający spod nich grot oszczepu.

Kto był tu pogrzebany?

Ostrożnie zaczęliśmy zdejmować górne kamienie. Pod nimi ukazało się ramię, a potem, gdyśmy odwalili i dolne, ujrzelśmy całe ciało.

Nieboszczyk leżał twarzą do ziemi. Strzała, tkwiąca w plecach, dosięgła go widocznie w chwili, kiedy przełaził przez zwałone drzewo. Leżał brzuchem na pniu, nogi ginęły w gałęziach, głowa i prawa ręka zwiślały po drugiej stronie pnia. Natomiast lewa ręka, dziwnie zgięta, była mocno przyciśnięta do piersi.

— Ten człowiek został dawno zabity — rzekł Bulczu, przyglądając się zwłokom. — Kilka lat temu.

Skupiliśmy się wszyscy wokół rozwalonej mogiły.

— Umarł od razu — mówił dalej Bulczu. — Strzała trafiła prosto w serce.

Dotknął brzechwy strzały i ta posłusznie się zakołysała, jakby przytakując jego słowom.

Stąpając bezgłośnie stary myśliwy obszedł polankę, uważnie obejrzał kupy igliwia, krzaki. Twarz jego była skupiona, poważna. Widocznie okoliczności zabójstwa stawały się dla niego coraz bardziej jasne.

— Tu jest miejsce dogodne dla zasadzki — oświadczył. — Człowieka tego widać ktoś ścigał i wyprzedził go. Zabójca stał o tu, w krzakach.

Bulczu odmierzył krokami odległość dzielącą krzaki od mogiły.

— A jednak zabity musiał być dzielnym, odważnym człowiekiem — z szacunkiem orzekł nasz przewodnik. — Bali się go. Bali się podejść bliżej...

— No, wszystko już powiedziałeś? — przerwał mu niecierpliwie Sawczuk.

— Niby wszystko — z godnością odparł Bulczu, usuwając się na bok. — Jeszcze ci mało?

— A kto przywalił go kamieniami. I po co?

— Jak to po co? Pochowano go. Żeby lisy nie zżarły trupa.

— A więc pochowali go przyjaciele.

— Tak.

— Nie, wrogowie. Jego zabójcy...

— Ależ, Wołodia! — zdumiała się Liza. — Zabójcy porzuciliby go na pastwę losu!

— Nic nie rozumiecie. Przywalili go kamieniami, żeby nawet jego duch nie mógł iść dalej.

— Duch? O czym mówicie?

— A dlaczego on ma lewą rękę przyciśniętą do piersi? — rzucił Sawczuk, nie odpowiadając na pytanie i nachylił się nad trupem.

— Chwycił się za pierś, gdy go raniono.

— Mylisz się, Bulczu. Tu chodzi o co innego... Pomóżcie go podnieść, towarzysze!

Unieśliśmy malutkie ciało. Liza odwróciła się, by nie widzieć strasznej twarzy, która utraciła wszelkie podobieństwo do ludzkiego oblicza.

Gdy położyliśmy zabitego na wznak, jego lewa ręka z krótkim, suchym stukiem upadła na ziemię. Palce były kurczowo zaciśnięte.

— To goniec — mruczał Sawczuk, pochylając się nad trupem. — Niósł pismo od Wietługina... — Oto ono!

Etnograf wyjął spod futrzanej odzieży zwiniętą w rulon skórę reniferową, pokrytą znajomym drobnutkiem pismem.

— Domyśliłem się, że to goniec — z przejęciem ciągnął dalej Sawczuk, podnosząc się z drogocennym zwitkiem w dłoni. — Od razu się domyśliłem ujrzawszy zgiętą lewą rękę... W momencie gdy poczuł, że jest ranny, chwycił się za pierś, gdzie miał ukryte pismo...

— Niewiarygodne! — zawołała Liza. — W takiej chwili pamiętał o nim!

--- Czytajcie, czytajcie! — nagliłem.

Sawczuk rozwinął rulon.

Początek zalany był krwią człowieka, który chował pismo przy samym ciele. Wielka czarna plama rozpełzła się po skórze reniferowej i prawie zupełnie zakryła niektóre wiersze.

„Zostałem więc u nich i minęło wiele lat, i ich życie stało się moim życiem” — to zdanie pierwsze rzuciło się nam w oczy.

W odróżnieniu od pisma, które ugrzęzło między progami, a w którym opisane były wydarzenia jednego tylko roku — od jesieni 1916 do jesieni 1917 — to pismo obejmowało bardzo duży okres czasu — od roku 1917 aż do 1936 włącznie.

Fakt, że pismo przekazał nam nieboszczyk — rzucał jak gdyby złowieszczy refleks na pergaminowe „stro-nice”. Z uczuciem lęku przystąpiliśmy do czytania.

Na początku Piotr Arianowicz krótko opisywał znane już nam wypadki. (Prawdopodobnie, nie mając wielkiej nadziei, że poprzednie „listy” doszły, w każdym swym nowym piśmie powtarzał w skrócie ich treść, w porządku chronologicznym.)

Ku naszemu ubolewaniu plama krwi rozlała się akurat w miejscu, gdzie była mowa o nieudanej ucieczce. Przepuszczalnie Chytyndo wysłała w ślad za Wietługinem swoich szpiegów i ci go zatrzymali.

Według praw „Dzieci Słońca” ten, kto naruszył zakaz Mauka, podlegał karze śmierci. Przedstawiciel plemienia staczał z nim pojedynki. (Widocznie było to coś w rodzaju sądu bożego, jakiemu ongiś poddawano obwinionych. również na Rusi.)

Z dopisku do poprzedniego listu wiedzieliśmy już, że plemię powierzyło to zadanie Nyracie.

Jednakże pojedynek z jakichś powodów został odroczo-ny. (Może na prośbę Piotra Arianowicza?) Odbył się dopiero w początkach zimy, kiedy w oazie leżał już głęboki śnieg. Dla przebiegu pojedynku miało to bardzo duże znaczenie...

## II. Pojedynek z Nyrta

1

Opisując dalsze wydarzenia, moim zdaniem, Piotr Arianowicz potrafił wprost zdumiewająco głęboko wniknąć w duszę pierwotnych ludzi, żądną niezwykłych, mocnych wrażeń tak jak dusza dziecka. Oddał cały przebieg pojedynku jak gdyby z punktu widzenia „Dzieci Słońca”.

A zatem pojedynek Nyrty z cudzoziemcem został wyznaczony na czas pełni księżyca.

Z pieczary Chytyndo dolatywało przeraźliwe zawodzenie. Od łoskotu bębna huczało w uszach.

„Dzieci Słońca” przechodząc obok oglądały się ze strachem. Stara kobieta odprawiała czary nad Nyrta. Bądź co bądź cudzoziemiec też znał się z duchami i trzeba było przedsięwziąć wobec niego specjalne środki ostrożności!

Szeptem podawano sobie z ust do ust, że Chytyndo wrzuciła do naczynia pęczek siedmiu traw i powiedziała: „Niech męstwo cudzoziemca zniknie jak dym! Niech padnie, nim Nyrta wypuści strzałę. Niech jego serce pęknie na dwoje!” I cisnęła naczyniem z trawą o ziemię, i naczynie się rozbiło.

Potem po pieczarach rozeszły się nowe słuchy: Chytyndo szykuje dla Nyrty obuwie mściciela. Były to zaczarowane wysokie futrzane buty z przypiętymi gęsimi piórkami. Teraz Nyrta mógł przejść po śniegu, nie pozostawiając śladów — magiczne piórka zacierają je.

Tak, to jasne, że krucho będzie z cudzoziemcem!... A czy on sam czyni jakieś przygotowania do pojedynku?

Tego nikt nie mógł powiedzieć z całą pewnością.

Cudzoziemiec mieszkał obecnie w osobnej pieczarze, pozostając pod nieustanną obserwacją. Dwa razy dziennie, zresztą, pozwalano mu wychodzić na spacer — oczywiście pod strażą. Któregoś dnia przywłókł z lasu parę grubych gałęzi i długo się nimi bawił — mierzył, wygi-



nał, strugał krzemiennym nożem. Zajęcie to nie wywołało niczyjego sprzeciwu. „Dzieci Słońca” też lubią strugać z drzewa. Szybciej przy tym mija czas w długie zimowe wieczory.

I oto nadeszła pełnia księżyca! Ogromna purpurowa kula wypłynęła na niebo. Z wolna wznosiła się wciąż wyżej i wyżej, aż wreszcie oświetliła całą leśną kotlinę, czerniejącą w dole między białymi stokami Byrrangi.

Wtedy przed pieczarą Wietługina głucho zawarczały bębny i rozległ się wysoki głos Jakagi:

— Obudź się, cudzoziemcze! Mauk się mści!...

Zaskrzypiał śnieg. Stojący u wejścia niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę. Znów zabrzmiał nawołujący głos bębnow.

Wyszedłszy przed próg Wietługin ujrzał tłum ludzi między drzewami. Cała ludność Byrrangi zebrała się, by patrzeć, jak on będzie umierał.

Przez tłum przebiegł gwar zdziwienia. Co to za broń niesie cudzoziemiec? Na plecach miał, jak być powinno, kołczan i łuk, ale prócz tego trzymał pod pachą coś w rodzaju wiosła, dwa długie płaskie kije z zagiętymi ku górze końcami. Czyżby umyślił mocą swego czarodziejstwa płynąć po śniegu?...

„Dzieci Słońca” są bardzo skore do śmiechu. Wystarczy lada głupstwo, by ich nastrój od razu się zmienił. Dopiero co z zamierającym sercem oczekiwały mającego się rozegrać na ich oczach krwawego widowiska, drżały i wzdychały, a oto już niepowstrzymana, dziecinna wesołość ogarnęła wszystkich. Cudzoziemiec będzie widać wpływ po śniegu zmykał przed Nyrta!...

Ludzie parskają śmiechem, zasłaniają usta, chichoczą, kaszlą, wiją się, przysiadają, klepią się wzajem po plecach z zachwytem.

Nawet Nyrta, który stał w milczeniu, wsparty na oszczepie, mimo woli się uśmiechnął.

Jednakże władczy okrzyk Chytyndo przywołał wszystkich do porządku. Powiodła po tłumie surowym spoj-

rzeniem spod obrzękłych powiek i śmiech natychmiast ucichł. Znów zaległo przytłaczające milczenie.

Zaraz zostanie wykonany wyrok śmierci!

Tłum ciekawych otoczył Wietługina i Nyrte i ruszył za nimi, przeskakując zaspę śnieżną, przebiegając między niewysokimi, chyłącymi się pod ciężarem śniegu drzewami.

Przeciwników rozdzielono.

Księżycowe dróżki przecinały las. Cienie drzew stawały się coraz krótsze.

Wietługin niecierpliwie spojrział na księżyc. Powodzenie jego planu zależało od tego, czy kotlina będzie dostatecznie jasno oświetlona.

W tłumie zauważono to. Zaczęto szeptać. Widzieliście, widzieliście? Porozumiewa się z księżycem! To znaczy władca księżycy trzyma z cudzoziemcem. Inaczej nie byłby on tak spokojny, tak pewny siebie! Ale co on zrobi? Trudno powiedzieć! Może otuli się w światło księżycowe i od razu stanie się niewidzialny? Oj, Nyrta, uważaj, strzeż się!...

Nieustraszony Nyrta splunął tylko sobie pod nogi. Jego strzały nie były zwykłe, lecz zaczarowane, a przecież on i zwykłą strzałą jak nic trafiał na pięćdziesiąt kroków.

Ale widać i cudzoziemiec specjalnie uzbroił się do tego pojedynku. Oto schylił się, położył przyniesione ze sobą kije na śniegu, stanął na nich i przywiązał sobie do nóg.

Nyrta patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami. Tak się zagapił, że przeoczył moment, kiedy „arbitr” pojedynku machnął ręką i krzyknął „Zaczynajcie!”

Ledwo myśliwy zdążył nałożyć zaklętą strzałę na cięciwę, gdy jego przeciwnik odbił się oszczepem od ziemi, zgiął kolana i niczym biały ptak, w obłokach śnieżnego pyłu sfrunął z pagórka.

Pierwsza opamiętała się Chytyndo.

— Goń go, Nyrta! — zakomenderowała ochrypłym głosem.

Myśliwy, co chwila zapadając się w śniegu, puścił się w pościg za cudzoziemcem.

Właściwie mówiąc, nie była to nawet pogoń — raczej coś w rodzaju dziecinnej zabawy w ciuciubabkę. Cudzoziemiec na swych przedziwnych, ślizgających się po śniegu płaskich kijach pojawiał się to tu, to tam. Nyrta, wycelowawszy, puszczał strzałę w migający przed nim cień, a w następnej chwili cień wyrastał z tyłu za nim.

— Jestem tu, Nyrta — rozlegało się za jego plecami.

Myśliwy odwracał się niezgrabnie, jak rozdrażniony niedźwiedź. Nogi grzęzły w puszystym, miękkim śniegu.

„Syn Słońca” zupełnie stracił głowę. W którąkolwiek stronę się rzucił, wszędzie napotykał pustkę, spóźniał się. Musiał skakać po śniegu, więznąc w zaspach, a cudzoziemiec jak wichur krążył wokół niego na swych cudownych kijach.

Tak, to było nowe czarodziejstwo, jakiego jeszcze nikt nie widział!

### 3

Widzowie z ochrypłym wyciem i krzykami przebiegali po zboczu.

W tej chwili za nic już nie można było ręczyć. Ile strzał zużył Nyrta? Więcej niż dziesięć? Aha!... A cudzoziemiec nie wystrzelił ani razu. Oszczędza strzały. Chce bić na pewniaka!

Nyrcie zrobiło się gorąco. Zrzucił z siebie wierzchnią odzież i cisnął na śnieg. Mokra od potu twarz była czerwona, oczy płonęły gniewem. Myśliwy rozpalał się coraz bardziej.

Nyrta niechętnie zgodził się na pojedynek ze swym byłym przyjacielem. Przywiązał się do cudzoziemca, który był dobrym, miłym człowiekiem. I mężnym! W kotlinie pamiętano, jak odważnie rzucił się na ratunek

Kiejulkanowi, wprawiając wszystkich w osłupienie swoim nieoczekiwanym pojawieniem się.

Ale cudzoziemiec naruszył zakaz, próbował ucieczki i rada starszyny plemienia skazała go na śmierć. A Nyrta nie śmiał okazać nieposłuszeństwa starszynie.

Wolałby, oczywiście, żeby cudzoziemca zabił ktoś inny, na przykład Łankaj. Wiele już lat trwała rywalizacja między nimi, ale teraz Nyrta z chęcią ustąpiłby Łankajowi. Rada jednakże wybrała Nyrte.

A prócz tego niewielki to honor dla takiego sławnego myśliwca zabić człowieka prawie nie umiejącego walczyć bronią. Nyrta chciał skończyć z tym wszystkim za jednym uderzeniem.

Cudzoziemiec jednakże przechytrzył go. Włożył na nogi zadziwiające obuwie. Ach, jakie cudowne obuwie!... Nie to, co jego wysokie buty, które grzęzną w puszystym śniegu, choć są zaczarowane. Marne to, widać, czary!

I zakłute strzały wcale nie lecą tam, dokąd trzeba, chociaż Chytyndo powiedziała Nyracie, że same znajdą cel. Nyrta wypuścił już dwanaście strzał z łuku, a przeciwnik jego jeszcze żył. Myśliwy czuł się głęboko dotknięty w swej ambicji. Wystawiono go na pośmiewisko ludzkie! Dziesiątki gapiów przyglądają się jego hańbie i szydzą z niego!

Ten głupiec Łankaj na pewno podskakuje teraz z radości i mruczy: „O Nyrta! O marny myśliwcze! I po cóż rada starszyny wybrała ciebie, byś zabił cudzoziemca! Nie, widzę, że to cudzoziemiec ciebie zabije!”

Również Fano, żona Nyrty, stoi wśród innych kobiet w tłumie i patrzy, jak jej mąż, który chwalił się, że pierwszą strzałą położy cudzoziemca, biega za nim, zdyszany i zasapany, grzęznąc w śniegu. Wstyd jej patrzeć na męża. Odwraca się i zakrywa twarz rękawem.

Nyrte ogarnął gniew. W przystępie wściekłości rzucił się za obłokiem śnieżnego pyłu. Zabić cudzoziemca, zabić!...

Ale cudzoziemiec śmignął tylko po zboczu i znikł między drzewami. Trzynasta strzała z żalnym świstem

przeleciała obok niego, nie wyrządzając mu najmniejszej szkody.

Księżyc wzniósł się już dość wysoko nad zębatymi grzbietami gór i lał spokojne, jasne światło na tłum ludzi w rozwianej w biegu, futrzanej odzieży.

„Dzieci Słońca” zasmakowały w zabawie i starały się nic nie uронić z tego niebywałego widowiska. Chytyndo już dawno pozostała w tyle — wlokła się gdzieś na samym końcu, z trudem stawiając krótkie, grube nogi, co chwila zapadając w śnieg i klnąc chrapliwym głosem. Jakąga zapomniał o niej i przebiegając w susach od drzewa do drzewa, podjudzał Nyrte przeraźliwymi okrzykami.

4

Ale Nyrta był kompletnie wyczerpany. Zdawało mu się, że już wiele nocy krąży tak po lesie, w pogoni za cieniem, za nieuchwytnym śnieżnym obłokiem. Mąciło mu się w głowie od bezustannego migania czarnych i białych smug. Blask księżyca, prześwietlający las na wskroś, nadawał mu baśniowy urok. Drzewa, pochylone pod ciężarem śniegu, stały bez ruchu, rozpostarłszy szeroko ręce-gałęzie, jakby chowając za sobą cudzoziemca.

Gdzie jest cudzoziemiec?...

Kończan Nyrty był pusty.

Porwany hazardem pościgu myśliwy zużył wszystkie strzały. Teraz pozostał mu w ręku tylko oszczep.

Mocno ściskając drzewce rozglądał się dokoła. Widmowy w świetle księżyca las otoczył go zwartym pierścieniem. Gdzieś w dole, pod górą, rozległy się głosy. To tłum się zbliżał.

Myśliwy zazgrzytał zębami.

Jego przeciwnik schował się naturalnie za którymś z tych drzew. Ale dlaczego do tej pory nie wypuścił ani jednej strzały? Na co czeka?

Wyostrzony słuch Nyrty pochwyił lekki szelest. Gałęzie rozłożystej jodły, stojącej w odległości jakichś dwudziestu kroków od niego, drgnęły.

— Aha! Tu jesteś!

Wkładając w uderzenie całą swą złość, Nyrta z siłą cisnął oszczepem w tym kierunku. Oszczep mignął nad zaspami śniegu i ze świstem poleciał ku jodle, pod którą przyczał się wróg.

I w tejże samej chwili, w zupełnie innej stronie, rozległ się głośny śmiech. Ten śmiech zabrzmiał w uszach Nyrty jak grzmot. Z gałęzi posypały się płatki śniegu i myśliwemu włosy stanęły dęba. Zrozumiał, że został wywiedziony w pole.

Tak!... Cudzoziemiec dobrze zapamiętał sobie lekcje, jakie mu dawał w czasach ich przyjaźni. I teraz pobił Nyrte jego własną bronią! Siedząc gdzieś z boku, rzucił śnieżkę czy kamień pod jodłę, by Nyrta myślał, że to wróg tam się przyczał.

Wszystko przepadło! Teraz jest bezbronny. Wszystkie strzały rozsiały jak głupi po całym lesie. Oszczep chwije się, wbity w pień jodły. A cudzoziemiec ma jeszcze w kołczanie dwadzieścia nie tkniętych strzał.

Podbiec, wyrwać oszczep? Gdzież tam!... Strzały wroga zatrzymają go wpół drogi, przygwożdżą do ziemi.

Czując w plecach zimno dosięgającej go strzały, Nyrta dał nura w zarośla i stoczył się ze zbocza.

— Nyrta, jestem tu! — usłyszał za sobą.

Myśliwy uskoczył w bok, rzucił się na ziemię i popęzł po śniegu. Nagle zwałił się w głęboki dół.

„Teraz koniec” — pomyślał.

Tuż obok zaskrzypiał śnieg. Do dołu posypały się grudki, potem nachyliła się nad nim szeroka, brodata twarz, która wydała się Nyrce w tej chwili większa i czerwiejsza od księżycy. Przywoławszy na pomoc całe swe męstwo, zerwał się na równe nogi — nie przystoi „Synowi Słońca”, wojownikowi i myśliwemu, umierać leżąc lub siedząc.

Cudzoziemiec milczał.

— Jestem gotów — rzucił ochryple Nyrta, patrząc na niego od dołu. — Zwyciężyłeś. Zabij!

Ale zamiast odpowiedzi cudzoziemiec wyciągnął do niego rękę. Gest był zrozumiały. Nyrta uchwycił się ręki i zwinnie wylazł z jamy.

Zza drzew ukazali się już ludzie. Gwarny tłum zbliżał się — słychać było skrzypienie śniegu pod nogami, trzask łamanych gałęzi.

A więc cudzoziemiec chce zabić go przy wszystkich? Cóż, ma prawo!

Nyrta stał przy nim pokornie, z opuszczonymi rękami, dysząc ciężko. Wszelkie próby stawiania oporu byłyby bezcelowe. Wróg miał w kołczanie dwadzieścia strzał, a w ręku oszczep.

Ale zamiast wbić go w pierś Nyrty, jak ten oczekiwał, były przyjaciel nachylił się i szybko rozwiązawszy rzemyki zaczarowanych kijów, podniósł je i podał myśliwemu.

— Daruję ci — rzekł.

Nyrta nie zrozumiał. Obejrzał się na swych współplemieńców, którzy zatrzymali się w zdumieniu.

— Bierz, bierz — powtórzył cudzoziemiec. — Bierz szybko, bo jak nie, to dam Łankajowi.

Żartował oczywiście. To było jasne. Niemniej Nyrta pośpiesznie obiema rękami uchwycił kije.

— Ależ ja będę teraz silniejszy od ciebie — bąknął rwącym się głosem. — Będę biegać najszybciej ze wszystkich ludzi w górach!...

Cudzoziemiec tylko się uśmiechnął do niego, jak do niepojętnego dziecka.

Zapomniawszy o całym świecie, Nyrta przymocował czarodziejskie obuwie do nóg i ruszył między drzewami, tonącymi w poświacie księżycy — z początku niepewnie i nieśmiało, rozstawiwszy ręce, potem coraz szybciej, odważniej.

Któryś z wyrostków popędził za nim, lecz pośliznął się, upadł i zjechał z góry na plecach, rozpaczliwie wierzgając w powietrzu nogami. W tłumie rozległy się śmiechy.

Zachwyceni widzowie — popychając się i grzęznąc w śniegu — runęli ze zbocza w ślad za Nyrta, by podziwiać, jak ten przejmuje magiczną sztukę cudzoziemca.

Widocznie Nyracie się nie powiodło, musiał upaść tam w dole, gdyż do uszu Wietługina, który pozostał sam jeden w lesie, znów dobiegł wybuch śmiechu.

Tak więc — śmiechem — zakończył się ten niezwykle pojedynek!

Chytyndo mogła sobie krzyczeć, zawodzić i pluć, ile się jej tylko podobało. Teraz dla każdego, nawet najgłupszego człowieka było rzeczą jasną, że szamanka się omyliła. Cudzoziemiec, jakkolwiek naruszył zakaz — na pewno przez nieświadomość — nie mógł źle życzyć „Dzieciom Słońca”. Przecież nie zabił Nyrty, chociaż miał możliwość to uczynić. Przeciwnie, podzielił się z nim (a tym samym i z całym plemieniem) swą cudowną, magiczną siłą!

### III. Wysyłanie wieści w świat

1

Piotr Arianowicz w dalszym ciągu dzielił się z „Dziećmi Słońca” swą „magiczną” siłą.

Prawdę mówiąc, to wypełniało mu wszystkie następne lata jego pobytu w kotlinie.

Sam nie przypuszczał, że zabawny epizod z nartami stanie się początkiem poważnych przeobrażeń w oazie. Jeszcze za czasów studenckich, mając zamiar zostać kiedyś badaczem Arktyki, Piotr Arianowicz z zapałem uprawiał sport narciarski i lubił imponować znajomym wyczynami na skoczni,

Przebywając jako zesłaniec na Syberii, przemierzył setki kilometrów na szerokich myśliwskich nartach. Nawet mieszkańcy osady Pośledniaja wyrażali się z uznaniem o jego kunszcie narciarskim!

W kotlinie ta umiejętność nieoczekiwanie mu się przydała.



Jakkolwiek wydaje się to dziwne, „Dzieci Słońca” nie znały zastosowania nart\*. „Czarodziejskie kije” cudzoziemca, na których można biegać po głębokim śniegu nie zapadając się, były prawdziwym objawieniem dla mieszkańców Byrrangi.

Z czasem udoskonalono narty Wietługina. Zaczęto je podszywać skórą reniferową. Futrzane spody ślizgały się doskonale, kiedy narciarz szedł po równej drodze lub zjeżdżał z góry, natomiast przy podejściu włos hamował ześlizgiwanie się desek do tyłu.

Uzyskawszy dzięki nartom możliwość swobodnego poruszania się po śniegu „Dzieci Słońca” rozszerzyły znacznie granice swoich terenów łowieckich. Teraz, w poszukiwaniu zdobyczy, myśliwi zapuszczali się daleko na północ, wschód i zachód (na południe, w stronę tundry, po staremu nie chodzili).

„Nauczywszy „Dzieci Słońca” jazdy na nartach”, Wietługin zajął się innymi problemami, które w danej chwili uważał za najważniejsze. Na przyszłe lato zamierzał powtórzyć próbę ucieczki. Trzeba więc było do tego czasu poszerzyć i pogłębić swoje wiadomości o dziwnym światku, w który rzuciła go śnieżna burza.

Za pomocą dość prymitywnych środków ustalił w przybliżeniu współrzędne geograficzne oazy oraz sporządził szkic terenu, najpierw na klepisku swej pieczary (po „Święcie Słońca” zamieszkał w oddzielnej pieczarze), a potem na skórze reniferowej. Było to już coś w rodzaju mapy.

Mieszkańcy kotliny nazywali rzekę Fabigaj, to znaczy — Leśna Rzeka. Tę też nazwę przyjął na swej mapie Wietługin.

Przez zimę uczył się dalej języka „Dzieci Słońca”, a jednocześnie zapoznawał się bliżej z ich obyczajami i wierzeniami. Lecz nadal pozostawało dla niego tajemnicą, skąd przybyły „Dzieci Słońca” i dlaczego ukrywają się w kotlinie.

<sup>1</sup> Ogiś narty były znane rdzennym mieszkańcom Tajmyru, lecz potem o nich zapomniano. (Przyp. autora).

Za to wiosną 1918 roku upewnił się ostatecznie, że znajduje się nie w kraterze wulkanu, jak pierwotnie przypuszczał, lecz w rejonie mikroklimatu, który powstał nad spalającym się pod ziemią pokładem węglowym.

Przekonał się o tym podczas pewnego polowania. (Później Piotr Arianowicz pisał: „Nyrta polował na ptaki, ja — na kamienie.”)

Rzeka uwolniła się już od lodu. Ze wszystkich stron bieżyły ku niej bystre, szemrzące strumyki. W górach, otaczających kotlinę, tajały śniegi.

Wietługin i Nyrta wyszli na skraj lasu, w miejscu gdzie rzeka ostro zakręca. Geograf przystanął zachwycony; oczom jego ukazał się niezwykle malowniczy widok. Brzegi rzeki po lewej i prawej stronie przecinały faliste smugi, mieniające się bladoróżowymi, białymi, złocistymi i szarymi tonami.

Spalający się pokład węglowy pozostawia po sobie różowy, szary i biały popiół. Przyległe piaskowce na skutek podziemnego pożaru przyjmują czerwony odcień, skały gliniaste — różowawy, przypominający kolor dachówki.

Ale Wietługin nie był geologiem i po raz pierwszy widział ślady podziemnego pożaru.

Musiał mieć jakiś niezbity dowód.

Przez dwie, a może trzy godziny chodził Piotr Arianowicz nad rzeką, ale nie udało mu się znaleźć owego niezbitego dowodu. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Ciężki padł na rzekę. Teraz jej wysokie brzegi sprawiały wrażenie ścian korytarza porysowanych różnokolorowymi ołówkami. Powietrze się ochłodziło.

Wstrząsając się od zimna, Piotr Arianowicz zeszedł nad samą wodę, a potem, czepiając się krzaków, nieomal na czworakach zaczął się wspinać w górę.

Po drodze spłoszył leminga.

Srokata myszka z ciekawością wystawiła zza krzaka spiczasty pyszczyk, zabawnie strzygąc uszami.

Wietługin przyczał się, ale spod nogi usunęło mu się kilka drobnych kamyczków i ze stukiem potoczyło się

w dół. Przestraszone zwierzątko skoczyło w bok. Pracując wszystkimi czterema łapkami, z błyskawiczną szybkością zaczęło ryc norę w prawie pionowym brzegu. Po chwili mysz znikła, rzekłbyś, dała nura w ziemię.

Podciągnąwszy się na rękach, Piotr Arianowicz wdrapał się jeszcze wyżej. Nie zdziwiło go, że w ziemi wyrzuconej z mysiej nory była domieszka podobna do sadzy.

Istotnie, była to sadza, zwykła sadza, jaką wymiata się z pieca. Piotr Arianowicz powąchał ją, niecierpliwie roztarł w palcach. Tak, nie ulegało wątpliwości, że natrafił na ślad podziemnego pożaru, który buszował w łonie Byrrangi i ogrzewał kotlinę „Dzieci Słońca”.

Świat-efemeryda? Oczywiście!

Wcześniej czy później płonący pokład węglowy musi się skończyć. A wtedy?... Co będzie wtedy?

Wystarczy wejść na grzbiet góry, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie. Wokół leśnej kotliny rozpościera się martwa, lodowata, posępna pustynia.

Ale Wietługin był z natury optymistą. Nie chciał nawet myśleć o tym, że i krajobraz oazy może kiedyś stać się tak samo martwy i pustynny. Nie, w mglistej dali przyszłości roily mu się białe domy mieszkalne, wznoszące się na brzegu rzeki i na zboczach wąwozu.

Piotr Arianowicz uczył przyływ dumy.

Dokonał zdumiewającego odkrycia geologicznego, które posiadało ogromne znaczenie dla Rosji. I to odkrycie, można powiedzieć, po prostu leżało na drodze. Wystarczyło się tylko schylić, by je podnieść.

(W tej chwili Piotr Arianowicz nie myślał o tym, że sam stał się niewolnikiem własnego odkrycia.)

Wietługin usłyszał naraz głos Nyrty, który go wołał.

— No, jak tam polowanie, Nyrta?

— Udało się — odparł zadowolony z siebie myśliwy, podnosząc w górę kilka zabitych ptaków. — A jak tobie poszło?

— Też dobrze.

— Cóż takiego upolowałeś? — spytał z ciekawością „Syn Słońca”. — Pokaż!

Wietługin podniósł się z ziemi i z uśmiechem wyciągnął ku niemu dłoń. Zdumiony Nyrta ujrzał na niej garść sadzy...

2

...Nie udało się Piotrowi Arianowiczowi uciec latem 1918 roku. Spaliła również na panewce próba ucieczki w następnym, 1919 roku.

Na nic się zdały wszystkie wysiłki, cała jego pomysłowość i upór. Wyjście z kotliny było pilnie strzeżone.

A w 1920 roku, to znaczy po upływie czterech lat od jego przybycia w góry, Piotr Arianowicz był zmuszony zaniechać dalszych prób ucieczki.

Miało to ścisły związek z knowaniami Chytyndo.

Szamanka doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma dla nich obojga miejsca w kotlinie, że cudzoziemiec wcześniej czy później swym niezrozumiałym dla niej czarodziejstwem zachwieje, a być może nawet zupełnie poderwie jej autorytet. (Nieustanna, raz zaostrzająca się, to znów słabnąca walka z szamanką trwała przez wszystkie lata pobytu Wietługina w oazie „Dzieci Słońca”.)

Lecz Chytyndo nie miała już odwagi wystąpić otwarcie przeciwko Piotrowi Arianowiczowi. Po pojedynku z Nyrta jego osoba specjalną uchwałą rady starszyzny uznana została za „tabu”, i każdy „Syn Słońca” obowiązany był czuwać nad jego bezpieczeństwem.

Toteż szamanka postanowiła uciec się do skrytobójstwa.

Piotr Arianowicz miał ulubioną ścieżkę w lesie, po której spacerował obmyślając plany ucieczki.

Pewnego razu zwrócił jego uwagę jakiś dziwny kamień, leżący w trawie. (Przypominam, że w tym czasie geograf interesował się szczególnie geologią kotliny.)

Piotr Arianowicz zrobił kilka kroków w bok, nachylił się...

W krzakach zadźwięczała spuszczone cięciwa.

Prawie nie odczuł bólu. Długa, gruba strzała z ciemnym opierzeniem drasnęła tylko kolano i drgając jeszcze, upadła u jego stóp.

Piotr Arianowicz nie miał zwyczaju cofać się przed niebezpieczeństwem. Skoczył ku krzakom, skąd strzelano, szybko je rozchylił... ale tam nikogo nie było!

W krzakach znajdował się tylko łuk bez Strzelca.

Wietługin z zainteresowaniem zaczął oglądać starannie zamaskowaną broń. (Jak zawsze, ciekawość uczonego wzięła górę nad innymi uczuciami, zagłuszyła strach.)

Łuk z modrzewia był umocowany w szczelinie pnia. Na nim znajdowało się coś w rodzaju celownika ramowego z otworem. Służył on do nadania strzale właściwego kierunku. Od środka cięciwy ciągnęła się długa nić z żył. Dokąd prowadził jej wolny koniec? Gubił się w gęstej trawie? Tak, to jasne! Nić przegradzała ścieżkę. Wystarczyło ją potrącić, by wprowadzić w działanie niewymyślny „mechanizm”.

Wietługin widział już w kotlinie podobne samostrzały — „pierwotne miny”, jak je nazywał. Łuk z naciągniętą cięciwą ustawiano przy ścieżce zwierzęcej, najczęściej w pobliżu wodopoju.

Piotr Arianowicz podniósł długą strzałę z kościanym grotem i przyłożył do łuku. To dziwne! Łuk nastawia się zawsze na wysokości serca ofiary, jako że strzała leci poziomo. W tym wypadku strzała powinna była przejść niezwykle wysoko.

To wzbudziło w nim niejasne podejrzenie. Z lekka kulając — draśnięcie, na które w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi, zaczynało przypominać o sobie — Wietługin zmierzył krokami odległość od samostrzału do miejsca, gdzie dopiero co stał. Zdumiewające! Nigdy nie widział, żeby łuk umieszczano tak daleko od ścieżki.

I to przecież nie jest ścieżka zwierzęca. Tutaj spacerował tylko on jeden, co było dobrze wiadome wszystkim w kotlinie.

A więc ktoś chciał zabić właśnie jego?

Rozejrzał się. Trawa wokół stała nieruchoma, tylko nad głową, ledwo dostrzegalnie kołysały się rozłożyste gałęzie drzew.

Piotr Arianowicz jeszcze raz sprawdził nastawienie strzały, porównał odległość. Obliczenie było bardzo dokładne. Geografa uratowała jego ciekawość. Gdyby nie zainteresował się kamieniem i nie zrobił kilku kroków w bok, strzała trafiłaby go w samo serce.

Chciał już podnieść się z ziemi, gdy na krzaki, obok jego cienia, padł drugi cień.

Wietługin odwrócił się. Za nim stał Nejaptu, młody „Syn Słońca”, który okazywał mu zawsze dużo sympatii. (W tym dniu przypuszczalnie znajdował się w „niewidzialnej eskorcie”, towarzyszącej nieodstępnie cudzoziemcowi.)

Unióśszy wysoko brwi Nejaptu patrzył ponad głowę Piotra Arianowicza na ukryty na krzakach łuk. Jego zdumienie było tak ogromne, że wszelkie podejrzenia Wietługina co do niego od razu się rozwiały. Nie, on nie był, nie mógł być współuczestnikiem zamachu na jego życie.

Kręcąc głową Nejaptu przykucnął obok Wietługina.

Brzydka sprawa! Bardzo brzydka sprawa!... Każde zwierzę — czy to zając, czy lis, czy ren wymaga innego ustawienia strzały. Ta strzała była wymierzona w człowieka!

Nagle Najaptu zauważył krew na odzieży Wietługina i to go bardzo zaniepokoiło. Bez dalszych wyjaśnień wziął Piotra Arianowicza pod rękę i odprowadził do jego mieszkania.

Ból w nodze stawał się coraz silniejszy. Pod wieczór Wietługin dostał dreszczy. Na drugi dzień nie mógł się już poruszyć.

Nyrta, który opatrzył swego przyjaciela, powiedział mu, że przed użyciem zamoczono grot strzały w zgnitym tłuszczu. Był to ogólnie przyjęty przez „Dzieci Słońca” sposób zatrucia strzał.

Wietługin miał szczęście, że zatruta strzała tylko dra-

snęła mu kolano i jad nie podział na ważne ośrodki życiowe. Jeszcze była nadzieja na wyzdrowienie.

Przez parę dni Piotr Arianowicz był między życiem a śmiercią.

W tym czasie chodziła koło chorego siostra Nyrty Sojtyne. Ze szczupłego, płochliwego podlotka, jakim była cztery lata temu, Sojtyne wyrosła na bardzo miłą, spokojną dziewczynę, o wdzięcznej matowośniadej, prawie bez rumieńca twarzy.

Już przedtem geograf niejednokrotnie łowił zwrócony na niego jej nieśmiały, pełen zachwytu wzrok. Nieraz też słyszał, jak wysławiała jego czyny w swych pieśniach (jak dawniej Sojtyne była najlepszą śpiewaczką w kotlinie). Ale dopiero teraz, widząc, z jakim samozaparciem i troskliwością go pielęgnuje, Piotr Arianowicz zrozumiał, że siostra Nyrty go kocha...

Chory bardzo wolno powracał do zdrowia.

Dwa czy trzy razy w tym czasie nawiedził go stary koszmar, który się powtarzał wraz z atakami wyczerpującej gorączki, i to właśnie w okresach psychicznego lub fizycznego załamania.

Znów potworny czarny ptak ścigał kołyszącą się na falach krę. Znów siadał na bramie carskiego więzienia, zupełnie jak orzeł stepowy, który siada na mogile, wypatrując zdobyczy.

Pewnego razu posępną sylwetkę dwugłowego orła przesłonił klucz dzikich gęsi.

Piotrowi Arianowiczowi przyśniły się gęsi, które go wyprowadziły na ląd. Szedł za nimi, stawiając coraz większe i większe kroki, by nadążyć za ich lotem. I nagle sam wzbił się w powietrze i poleciał w ślad za ptakami!

Obudził się z uczuciem radości. Od tej chwili stan chorego zaczął się wyraźnie poprawiać...

Wietługin wyzdrowiał. Jednakże zamach na jego życie nie przeszedł bez śladu. Zraniona noga prawie nie zginęła się w kolanie. Teraz mógł chodzić tylko opierając się na lasce. O ucieczce z kotliny, oczywiście, nie można już było nawet marzyć.

Przecież na drodze do jeziora, według słów Nyrty, znajdowały się niebezpieczne progi. Wioślarz musiał mieć nie lada wprawę, by przeprowadzić tratwę między głazami, wystającymi z wody. Czy Wietługin mógł się teraz na to porywać? Wątpliwe, czy utrzymałby się na śliskich klocach.

Mało tego! Część drogi prawdopodobnie trzeba by przejść pieszo. Puszcząć się w góry Byrranga z laską w ręce?...

Ale wrogowie Wietługina — szamanka i jej szanowny małżonek — też się przeliczyli. Zamiast pozbyć się niepożądanego konkurenta, jeszcze mocniej przywiązali go do kotliny.

### 3

Tym ważniejszą sprawą było teraz nawiązanie łączności ze światem zewnętrznym, zawiadomienie Rosyjskiej Akademii Nauk o dokonany odkryciu.

A więc — listy!

Pierwsze pytanie: na czym pisać?

To nawet nie było pytanie, lecz cały problem. W warunkach, w jakich się Piotr Arianowicz znajdował, każdy drobiazg urastał do rozmiarów problemu.

Po namyśle doszedł do wniosku, że dobrze wyprawiona skóra reniferowa może mu zastąpić papier.

Z atramentem nie było kłopotu — wystarczy rozpuścić trochę sadzy w wodzie. Pióra? Można je zrobić z rybiej ości.

Ale teraz wyłoniło się nowe, znacznie trudniejsze i bardziej skomplikowane zagadnienie: jak przesyłać listy?

Z początku geograf postanowił zastosować metodę obciążania ptaków. Najbardziej odpowiednia do tego celu okazała się gęś.

Latem polowanie na pierzające się gęsi zamienia się w obławę, przypominającą masową rzeź reniferów na przeprawie. Nagonka okrąża odcinek rzeki, gdzie pływają gęsi, i podnosi okropną wrzawę, bijąc kijami po wodzie;



ponadto paru ludzi wypływa w łodziach na rzekę i zapędza gęsi w stronę brzegu... Tu już czekają "Dzieci Słońca" ustawione w dwa szeregi. Wystraszone stado wpada jakby w wąski korytarz, który w istocie jest ślepą *uliczką*, gdyż wyjście z niego jest zagrodzone. Gęsi są w pułapce. Pozostaje już tylko chwycić je za nogi i skręcać im szyje. Myśliwi czynią to z wielką namietnością i ogromną wprawą.

Dla Wietługina nie przedstawiało specjalnej trudności złapać pięć czy dziesięć gęsi żywcem. Teraz zabawił się przez jakiś czas w właściciela niedużej farmy gęsiej. Upatrzył sobie małe jezioro w lesie z dala od osady, i odosobnił się tam ze swoją zdobyczą.

Przez półtora czy dwa tygodnie Piotr Arianowicz wytrwale pasł stado, pilnując je przed psami. (Jedzenie przynosiła mu Sojtyne.)

"Dzieciom Słońca", które nie umieją oswajać ptaków, postępowanie cudzoziemca wydawało się czymś bardzo dziwnym. W wolnych chwilach ciekawi przechadzali się "gesiej farmy" rzucając pod adresem jej właściciela mniej lub więcej dowcipne uwagi. Niektórzy spośród nich, szczególnie życzliwie usposobieni dla Wietługina, tłumaczyli mu, że gęsi należy zjeść. Po prostu wziąć kamień lub kij, rzucić w gęś, zabić ją i zjeść! To przecież głupota siedzieć na brzegu i łykać ślinkę, patrząc jak po jeziorze pływa taki wyśmienity obiad!

Ale Wietługin tylko się uśmiechał i przecząco kiwał głową.

Parę razy przeszedł się nad jeziorkiem Jakaga, z mocno zafrasowaną miną. Węszył, co się tu dzieje? Co znów nowego wymyślił niepoprawny cudzoziemiec? W każdym najzwyczajniejszym postępku Wietługina "Dzieci Słońca" doszukiwały się teraz ukrytego, magicznego sensu.

Któryś z widzów, z filozoficzną miną pykając fajkę, oświadczył, że jego zdaniem to jakieś nowe czary. Za pomocą kilku schwytych żywcem gęsi cudzoziemiec chce rzucić urok na wszystkie gęsi, które przelatują na

lato w góry Byrranga. Tylko czy te czary się udadzą – to jest pytanie! Jakąga nachmurzył się przyjął pozę wymagającego i surowego egzaminatora. Kto jak kto, ale on najlepiej znał się na tych rzeczach! Przez bite półtorej godziny stał obok Wietługina, założywszy ręce do tyłu i w skupieniu, obserwował jak cudzoziemiec wymachuje długim prętem. Wreszcie nic z tego nie rozumiawszy, odwrócił się do siedzących na brzegu współplemieńców, którzy czekali na jego orzeczenie.

Bzdura! Najbardziej głupi i niedorzeczny pomysł! Cudzoziemiec nie zwabi do jeziora ani jednej nowej gęsi, choćby przesiedział tu sto lat i przez cały czas wymachiwał swoim prętem. Nawet taki długi pręt to jeszcze za mało, żeby się udały czary. Trzeba mieć do tego wrodzony dar, jak Chytyndo. Oto kto umie radzić, sobie z duchami nie to, co ten samochwał!

Jakąga jeszcze raz pogardliwie splunął i pospieszył do osady, by zdać relację małżonce. Nie było powodu do niepokoju. Cała historia z gęśmi -- to po prostu dzieciń<sup>na</sup> zabawę, która jest nawet na rękę, gdyż ośmiesza cudzoziemca w oczach „Dzieci Słońca”.

A kiedy i inni gapie się rozeszli, Wietługin przystąpił do najważniejszej sprawy: starannie "zaobrączkował" swoje gęsi.

Nie miał oczywiście prawdziwych, metalowych obrączek. Zamiast obrączki mocno przywiązywał do nóżki, każdego schwytanego ptaka maleńką rureczkę ze skóry, na której wydrapany tekst notatki.

Wietługin pisał ostrą rybią ością. Na brzegu leżało mnóstwo wspaniałych gęsich piór -- miałby w czym wybierać jakiś dawny poeta czy uczoney. Wietługin jednak był zmuszony pisać właśnie ością. Wydrapywał nią litery na skórce, żeby się nie starły, a dopiero potem wypełniał je mieszaniną, która zastępowała mu atrament.

Litery były bardzo drobne. Ale też i sama notatka -- czworokątny kawałeczek cienkiej skóry reniferowej -- była zupełnie malutka. Mogło się na niej zmieścić niewiele

słów. Toteż Wietługin musiał być lakoniczny. Zawiadamiał tylko o istocie odkrycia i wskazywał swe miejsce pobytu: góry Byrranga na Tajmyrze, górny bieg rzeki nie oznaczonej na mapie, wpadającej prawdopodobnie do jeziora Tajmyr. Notatka zaadresowana była do Akademii Nauk.

Minęło półtora czy dwa tygodnie nieustannego, nużącego dyżuru nad ustronnym leśnym jeziorkiem, i „obrączkowanym” wychowankom Wietługina odrosły nowe pióra. Pewnego pięknego dnia wzbily się w powietrze i poleciały, ciężko wymachując śnieżnobiałymi skrzydłami — z początku zupełnie nisko nad przycichłym jeziorkiem, potem coraz wyżej i wyżej.

Ich urywany krzyk, przypominający brzęk blachy, brzmiał dla Wietługina jak muzyka.

Zrobił wszystko, co było w jego mocy. Reszta zależała teraz od gęsi...

Niedługo potem zaczął się masowy odlot na południe całego ptactwa spędzającego lato na północy Półwyspu Tajmyrskiego.

Gdzieś tam, w tej pstrej, krzykliwej kompanii, znajdowały się również gęsi „zaobrączkowane” przez Wietługina, jego skrzydlaci posłańcy. Odlatywały na zimę do ciepłych krajów, na żółte piaszczyste wybrzeże Morza Kaspijskiego, do Lenkoranu...

Doniosą wieść z Tajmyru, czy nie doniosą?...

Stojąc na brzegu rzeki nie zaznaczonej na mapie, długo odprowadzał je spojrzeniem.

„Cóż — myślał — ptaki, w gruncie rzeczy, przywiodły mnie z oceanu na ten półwysep. Być może, że właśnie one mnie stąd wyprowadzą?...”

4

Nie wolno się jednak zbyt ludzić! Trzeba raczej być z góry przygotowanym na najgorsze.

Piotr Arianowicz doskonale zdawał sobie sprawę z całej niedoskonałości „gęsiej poczty”.

Po pierwsze, na miniaturowym kawałeczku skóry mieściło się bardzo mało tekstu. Wystarczyło, by się starły dwa, trzy słowa, a już sens notatki stawał się niemożliwy, względnie bardzo trudny do zrozumienia.

Po wtóre, musiał liczyć na przypadek. Ileż to gęsi trzeba „zabrządkować”, żeby chociaż jedna z nich nawinęła się na oczy myśliwym, została zabita i żeby w ten sposób notatka trafiła na miejsce przeznaczenia!...

Niemniej Piotr Arianowicz regularnie każdego lata dalej „zabrządkował” pierzące się gęsi. W ciągu pierwszych trzech czy czterech lat geograf za ich pośrednictwem wysłał ponad sto „listów” w otaczający go niemy świat.

Potem, co prawda, zmniejszył liczbę „zabrządkowanych” gęsi, jako że zaczął stosować inne sposoby łączności.

Z kolei zainteresował się ofiarnymi renami, które uroczyście wypuszczano na wolność raz w roku (po masowym polowaniu), na cześć łaskawej dla swoich dzieci, dobrej Matki-Słońca.

Uprzednio takiego rena piętnowano, to znaczy wypalano mu na lewej łopatce (naprzeciw serca) specjalny znak słońca, w obawie, by nie doszło do nieporozumień i ofiarne zwierzę nie dostało się przez omyłkę do siedziby jakiegoś innego ducha.

Co się działo z nim dalej? Prawdopodobnie wracał na zimę do tundry wraz z innymi, nie piętnowanymi renami. Tam czatowali już na nie myśliwi, Samojedzi.

Ofiarny ren zostaje zabity, myśliwi podchodzą bliżej, oglądają skórę i widzą na niej...

Tak zrodził się pomysł umieszczania własnego znaku obok znamienia słońca.

Tu Wietługin musiał być jeszcze bardziej lakoniczny niż w wypadku „gęsiej poczty”.

Litery zastąpił znak umowny. Trzy kropki, trzy kreśli, trzy kropki oznaczały wezwanie o pomoc, sygnał „SOS”, znany radiotelegrafistom całego świata.

Wietługin miał nadzieję, że Samojedzi, odkrywszy na zabitym reniferze niezrozumiałe znaki, zaniósą skórę do

najbliższej faktorii czy też stacji polarnej (możliwe, że na Tajmyrze są już faktorie i stacje polarne). A tam powinna być radiostacja. Wystarczy, radiotelegraficie rzucić okiem na skórę, by od razu zrozumiał, że gdzieś na półwyspie żyje człowiek, który przesyła o sobie wieść i prosi o pomoc. W każdym razie trzeba było to robić w największej tajemnicy (nawet przed Sojtyne i Nyrtą). Z punktu widzenia mieszkańców Byrrangi cudzoziemiec dopuszczał się na poświęcone słońcu ofiary, usiłując je "przedadresować".

Wkrótce jednakże Piotr Arianowicz przekonał się na własne oczy, że "reniferowa poczta" jest jeszcze bardziej zawodna niż "gęsia".

Pewnego razu natrafił na charakterystycznego renifera. Zwierzę miało rozdwojony ogon i pokierszowaną mordę. Widocznie zostało okaleczone w czasie godów, kiedy to byki ogarnięte szałem, walczą ze sobą o samicę.

Kładąc swoją "pieczęć" na skórze chrapiącego ze strachu, wierzgającego nogami renifera. Wietługin pomyślał sobie, że tym razem mieszkańcy kotliny okazali się skąpi i podsunęli Matce-Słońcu dar wątpliwej wartości, w każdym razie nie najlepszym gatunku.

Jakież było zdumienie geografa, kiedy biorąc udział w następnym polowaniu na przeprawie, sam własnym oszczepem zabił renifera, którego napiętnował przed rokiem. Wszelka omyłka była wykluczona. Ta sama zeszpecona mordą, ten sam rozdwojony kikut zamiast ogona.

Wietługin przewrócił zabite zwierzę z lewego boku na prawy, by popatrzeć na wypalony znak. Nie było go. W tym miejscu lśniła nowa jasnoszara sierść. Tylko parę zabliznionych już prawie szram świadczyło o tym, że renifer był niedawno pietnowany. Ostrożnie wypytując Sojtyne, Piotr Arianowicz dowiedział

się od niej, że renifery linieją raz do roku. A więc razem z sierścią schodziło naturalnie również i piętno. Nie, trzeba było znaleźć nowy, doskonalszy sposób łączności.

## 5

Wietługin pomyślał o tym jeszcze wiosną 1917 roku, gdy wracał raz z Nyrta z dłuższego spaceru. Schodzili właśnie z góry, gdzie oglądali nastawione potrzaski.

Skazany na życie w kotlinie, zamkniętej ze wszystkich stron kamiennymi ścianami, Piotr Arianowicz korzystał z każdej sposobności, by chociaż na krótko wyrwać się z wąwozu.

Teraz, jak z lotu ptaka, ogarniał spojrzeniem otaczający go groźny, pierwotny chaos -- dzikie, posępne góry Byrranga. W rozpadlinach skalnych bielily się zwały śniegu. Czerniały obnażone granie, z których wiatr zmiatał śnieg.

Stojąc tu Wietługin czuł się jak na wyspie. Wokół rozpościerało się morze skał. Znajdował wiele podobieństwa między swoją sytuacją a sytuacją rozbitków, którzy po zatonięciu okrętu znaleźli się na bezludnej wyspie. W jaki sposób dawali znać o sobie? Wkładali list do pustej butelki i zakorkowawszy ją szczelnie, puszczali na wodę, w nadziei, że na otwartym morzu ktoś je zauważy z jakiegoś okrętu. Geograf w zamyśleniu patrzył na rzekę migoczącą w dole.

Przebijając się przez potężne góry, płynęła po dnie wąwozu, rzucała się to w tę, to w inną stronę, niby zbieg szukający ratunku przed pogonią, i znikwała na południu, za mglistą linią widnokrzęgu, gdzie już zaczynał się równinny obszar tundry.

Należało więc puścić butelkę z prądem rzeki!  
Ale butelek w wąwozie, oczywiście, nie było i być nie mogło. Czymże więc je zastąpić?...

Kiedy jesienią 1917 roku, po „Świecie Słońca”, spelzła na niczym pierwsza próba ucieczki, Wietługinowi przyszedł nowy pomysł do głowy. Jemu samemu nie udało się wprawdzie ukryć w dziupli pływającego pnia, ale mógł przecież tam schować list.

Prawdę mówiąc, geograf nie bardzo wierzył w powodzenie. Ale wypróbował pocztę „gęsią”, a potem „reniferową”, doszedł do wniosku, że to może być jeszcze najpewniejsza droga wysyłania listów, i postanowił spróbować z kolei tego sposobu.

Regularnie co roku, gdy tylko ruszyły lody, Wietługin wysyłał dwa lub trzy takie „listy” z prądem rzeki. Rzeka zastępowała mu teraz skrzynkę pocztową.

Rozglądając się bacznie, ściągał z brzegu przygotowany uprzednio pień i spuszczał go ra wodę. Starał się to robić jak najostrożniej, by nie zwrócić na siebie uwagi straży u Wrót.

No, chyba się udało. Ani plusku, ani najmniejszego szmeru!

Która to już z kolei przesyłka?...

Kołysząc się na falach, pień odpływa coraz dalej i dalej. Oto minął wodospad, zaczepił o wystający z wody głaz! Zakreślił się w miejscu. Ugrzęźnie? Nie. Prąd na środku rzeki porwał go i poniósł...

Spuszczając na wodę swe drewniane „koperty”, geograf spoglądał na nie z trwożnym wyczekiwaniem. Co je spotka w drodze? Czy dojdą do adresata — jakiegoś rosyjskiego uczonego — czy przepadną, zawieruszą się w tundrze?...

A może daremny jest jego trud?

Może to Leta, mityczna rzeka zapomnienia, toczy przed nim swe fale, matowo połyskujące w świetle księżyca? Czy to nie ona pluszcze u jego stóp, z monotonnym, beznadziejnym łkaniem przypadając do brzegu?

„Przypuśćmy — rozważał Wietługin — że prąd wyniesie znaczony pień na morze lub wyrzuci na brzeg, gdzieś w pobliżu koczowisk Samojedów. Kto go znajdzie? Prości ciemni Samojedzi. Czy domyślą się, że to

nie jest zwykłe drzewo? A jeśli tak, komu je przekażą? Tęym, nierozgarniętym carskim urzędnikom, którzy gwizdzą na naukę?...”

Syberia — miejsce zesłania, kraina mroku i milczenia. Czy znajdzie się tu ktoś kto się zatroszczy o los zagubionego w górach narodu? A jeśli chodzi o niego, Wietługina, gdyby nawet podjęto poszukiwania, to chyba tylko po to, by go ukarać za ucieczkę i znów skazać na zesłanie.

Cóż, nie tacy uczeni — wybitniejsi od niego i nieporównanie zdolniejsi — ginęli, znikali bez wieści w carskiej Rosji. Nie takie odkrycia naukowe, jak znaleziona przez niego w górach oaza, na zawsze tonęły w mroku i zapomnieniu...

Szansę na ocalenie były tylko w jednym jedynym wypadku. Jeśli w Rosji dokonała się już rewolucja — owa nieunikniona, upragniona rewolucja socjalistyczna, o której z takim przekonaniem mówił Owczarenko. Wtedy wszystko byłoby dobrze. Trzeba więc wysłać znaczne pnie, „obrączkować” gęsi, wzywać pomocy. Tam, za górami, świeciła jutrzeńka nadziei!...

## IV. Czas ze znakiem minus

1

Nieraz, oderwawszy się od pisania, Piotr Arianowicz ze zdumieniem rozglądał się dokoła, jakby po raz pierwszy widział swoje mieszkanie.

W półmroku pieczary otaczały go dziwne, niezgrabne sprzęty — urządzenie nowego Robinsona.

Na szorstkim, prymitywnie skleconym drewnianym stole stało coś masywnego, co bez przerwy cichutko dzwoniło. Był to zegar wodny własnej roboty. Z górnego stożka do dolnego dźwięcznie spadała kropla po kropli, odmierzając z wolna upływający czas.

Od chwili kiedy Piotr Arianowicz, czepiając się krza-



ków, potykając się i ślizgając na wilgotnej trawie, doszedł do przedziwnej oazy, czas jakby zatrzymał się dla niego.

To uczucie nie opuszczało go do tej pory. Rzekłbyś, skrzydła złowrogiego Mauka (którego tajemnicy dotychczas nie udało mu się przeniknąć) rozpostarły się nad kotliną, odgradzając ją od świata zewnętrznego.

Piotr Arianowicz w *dzienniku*: „Tutejszy czas — to czas ze znakiem minus. Czas przed naszą erą.

I dalej wyjaśniał sens tego niezwykłego określenia... Dwudziesty wiek pozostał gdzieś daleko poza nim, za górami. Tu był wiek kamienny — okrutny i niepojęty, surowy i ciemny, bez wszelkich upiększeń i przydatków. Trafiwszy do kotliny Wietługin znalazł się nagle poza tym obrębem współczesności, ludzi wieku kamiennego. Dowodów nie trzeba było daleko, szukać. Nie było tu nic z metalu. Wszystko wyrabiano wyłącznie z kamienia, drzewa i kości: kamienne topory, drewniane przedmioty codziennego użytku (kubki, łyżki, kotły), kościane igły, krzemienne groty strzał i oszczepów. Groty robiono ponadto z rogu łosia, z dzioba nurka i kłów mamuta.

Przypominało mu to obraz Wasniecowa, znajdujący się w jednej z pierwszych sal moskiewskiego Muzeum Historycznego. Przedstawia on polowanie na mamuta. Jaskiniowi ludzie, odziani w skóry włosem na wierzch, z maczugami i toporami w rękach, tańczą wokół dołu, z którego bezskutecznie usiłuje się wydostać olbrzymi mamut o potężnej tracie i zagietych do góry potwornych kłach. Jakże się nie cieszyć! Żywa góra mięsa — kosmaty olbrzym wpadł w pułapkę!

Odwiedzając muzeum Wietługin zawsze przystawał przed tym obrazem, oczarowany realizmem szczegółów i dziwnie przygaszonym, jakby wyblakłym kolorytem. Czy mógł wtedy przypuszczać, że sam znajdzie się wśród ludzi uzbrojonych w maczugi i kamienne topory?!...

W , kotlinie, co prawda, nie polowano na mamuty, bo ich tu nie było. Pozostały po nich tylko kły, służące do

różnych wyrobów. Kły te ceniono więcej niż kości innych zwierząt, gdyż odznaczały się plastycznością i piękną żółtawą barwą.

Geograf całymi godzinami z niesłabnącym zainteresowaniem obserwował, z jaką zręcznością i wprawą odlupują "Dzieci Słońca" kawałki krzemienia czy kości na grotty do strzał i oszczepów, sporządzają drewniane ochraniacze na ręce, zabezpieczające przed odrzutem cięciwy (coś w rodzaju szerokich bransolet, bardzo podobnych do bojowych naręczników rosyjskich kozaków XVII wieku) lub starannie okładają korą brzożową przyszłe łuki - wąskie, sklezione jesiotrowym klejem listewki, które wycina się z brzozy i modrzewia. W zamyśleniu przerzucał Wietługin dopiero co zrobione strzały ostre jak żądła, są inne, dziwne, z grotem w kształcie trójzęba, by więzły w ranie, są i tępe, z kulką na końcu, które mogą zwalić z nóg zwierzę, lecz nie uszkodzą przy tym jego cennej skóry. Na różne zwierzęta używa się różnych strzał.

Gdy podnoszą oczy -- zapisał geograf w dzienniku —widzę przed sobą własnoręcznie przeze mnie zrobioną lampę. To tylko kamienny kaganek w którym pływa knot. Szkła naturalnie nie ma, lecz zmajstrowałem coś w rodzaju kominka nad knotem. To daleki przodek szkiełka lampowego!"

Dopiero teraz Wietługin uświadomił sobie, że prototypem świecy była tak prosta rzecz jak łuczywo. Pęczki smolistych szczapek zastąpiono z czasem pakułami nasyconymi tłuszczem. Potem z pakuł powstał knot, a spalający się tłuszcz, oblepiwszy go z zewnątrz, utworzył świecę.

W głowie mu się mieszało, gdy zaczynał myśleć o tym, jak daleko w głąb historii ludzkości rzucił go los (a raczej purga, która dopadła zbiega w górach Barranga).

Tak, od osiedli rosyjskich na Dalekiej Północy, od upragnionej Dudinki dzieliły go teraz nie tylko tysiące wiorstw, ale i lata, dziesiątki tysięcy lat...

Świadomość tego była straszna...

Nieraz Wietługinowi zdawało się, że już nigdy nie wydostanie się z tej głuszy.

Był zupełnie odcięty od świata cywilizowanego, który znajdował się gdzieś daleko, za czarno-białymi łańcuchami gór i który dla niego stał się czymś prawie nie-realnym, jakby nigdy nie istniał, jakby Wietługin czytał o nim tylko w książkach.

Jakże dziwnie, jakby na dwie części przełamało się jego życie!

Czy to możliwe, że mieszkał kiedyś w wielkim mieście, chodził do teatru, jeździł tramwajem? Że spotykał się z przyjaciółmi na wesołych studenckich wieczorach? Że słuchał wykładów w wysokich, amfiteatralnych audytoriach?

Czy naprawdę były kiedyś czasy, gdy po jego lewej ręce stał nie kamienny kaganek z pływającym knotem, lecz stołowa lampa z przytulnym zielonym abażurem? A biurko, przy którym tak szybko mijały szczęśliwe bezsenne noce, naprawdę było zavalone stosami książek?...

Książki! Jakże tęsknił za nimi!... Oddałby chyba wszystko, by tylko móc znowu wziąć do rąk książkę, niecierpliwie przerzucić kartki, wciągnąć w nozdrza ów jedyny w swoim rodzaju zapach tekturowej okładki, papieru, farby drukarskiej!...

Nieraz śniło mu się, że czyta. O, jakże smutne było wtedy przebudzenie!

Przecież książki były mu potrzebne nie dla rozrywki, w nich szukałby rady, pomocy. Może nigdy dotychczas nie odczuwał tak dotkliwie ich braku!...

2

W tym przedziwnym światku, w oazie za kręgiem polarnym, Wietługin wiódł aktywne życie uczonego-badacza, uczonego-reformatora.

Tak, Piotr Arianowicz został rzucony o wiele wieków

wstecz. Z tym większym jednakże uporem pracował nad zbliżeniem mieszkańców Byrrangi do współczesności, do XX wieku.

Zegar wodny, stojący przed nim na prymitywnie skleconym stole, wolno, kropla po kropli, odmierzał czas.

Czy naprawdę tak wolno? Nie. Podczas gdy poprzednie stulecia i tysiąclecia posuwały się niespiesznym krokiem naprzód, od chwili pojawienia się Wietługina w kotlinie czas zaczął mknąć galopem. Wietługin go podpedzał.

Ożywiony gorącym pragnieniem, by pomóc „Dzieciom Słońca”, starał się nie tylko poznać i zrozumieć, ale także zmienić ów dziwaczny świat, dokąd go rzucił los.

„Zresztą moja przewaga człowieka dwudziestego wieku, który znalazł się w warunkach epoki prehistorycznej — zapisał Piotr Arianowicz — wcale nie jest wielka, jakby się to mogło na pozór wydawać. Nawet Robinson na swej bezludnej wyspie był o wiele lepiej wyposażony niż ja”.

Rzeczywiście, Wietługin nie miał ze sobą ani broni, ani prochu, ani zapalek. (Zwrócono mu tylko nóż.) Wszystko to przepadło gdzieś po drodze do wąwozu, w śniegu lub rozpadlinach skalnych. Wędrówka przez góry była bardzo trudna. Pod koniec Wietługin włókł się już na wpół przytomny, prawie nie uświadamiając sobie, co się wokół dzieje.

Do „Dzieci Słońca” podróżnik przyszedł z pustymi rękami. Ale za to przyniósł ze sobą wspomnienia. Wśród ludzi epoki kamiennej Wietługin był ucieleśnieniem ludzkiej pamięci.

Co prawda, jeśli idzie o zastosowanie praktyczne, czerpać z niej można było tylko w bardzo ograniczonym zakresie.

Geograf nie mógł, na przykład, zbudować maszyny parowej czy choćby pługa, nawet gdyby potrafił to zrobić. Nie miał pod ręką żelaza ani rudy żelaznej. Nie posiadał też najprostszych narzędzi.

Trzeba się było brać do rzeczy bardziej dostępnych.

Przede wszystkim Piotr Arianowicz zajął się sprawą

wyżywienia "Dzieci Słońca", uzupełniając poważne ich "menu".

Chodziło o to, że zdobycie mięsa reniferowego, które było podstawą ich pożywienia, z każdym rokiem stawało się coraz trudniejsze. Stada przeżedziły się, zmieniły szlaki wiosennych i jesiennych wędrowek, przenosiły się z gór Barranga na sąsiednią Wyżynę Północno-wschodnią. Rozmyślając nad tym, jakby tu pomóc "Dzieciom Słońca", Wietługin sięgnął pamięcią do czasów swego pobytu w rosyjskiej osadzie Posledniaja, na wybrzeżu Oceanu Lodowatego Północnego. Jej mieszkańcy trudnili się niemal wyłącznie rybołówstwem.

W ciągu owych lat spędzonych na zesłaniu Wietługin stał się wytrawnym rybakiem. I teraz, gdy znalazł się w górach Barranga i rozejrzał w sytuacji, postanowił wykożystac swe doświadczenie w tej dziedzinie.

„Dzieci Słońca” zostawiły wprawdzie sieci, ale nie były one wiele warte. Piotr Arianowicz wprowadził niewody i nauczył, jak je zarzucać z łodzi.

Prócz tego nauczył "Dzieci Słońca" łowić ryby pod lodem.

W tym celu wyrabywało się na rzece przeręble, mniej więcej o dwadzieścia kroków jedna od drugiej. Potem opuszczało się w wodę długą sieć i przeciągało pod lodem między przerębiami.

Sieć taką wyciągało się trzy razy dziennie. Asystowało przy tym zwykle całe plemię. Mężczyźni krzatali się przy przeręblach. Dzieci głośnymi okrzykami witały każdą nową rybę, wybieraną z sieci; nawet kudłate ponure psy, postawiwszy do góry uszy, siedziały na brzegu, udając zupełną obojętność wobec takiej obfitości wspaniałego jedzenia.

To, że "Dzici Słońca" zajęły się poważnie rybołówstwem, było rzeczą zupełnie naturalną. Wcześniej czy później

musiały się nim zająć. Przecież rybołówstwo, w odróżnieniu od myślistwa, związane jest z życiem osiadłym. A dziwne zakazy, które przykuły "Dzieci Słońca" do kotliny, zmuszały je do osiadłego życia, choć jest to tak bardzo sprzeczne z naturą myśliwych. Lecz była to tylko część reform dokonanych przez Wietługina. Uporządkował on miejscowy kalendarz, który odznaczył się wielką chaotycznością. Ludność kotliny liczyła czas podług miesięcy księżycowych, przy czym okres trwania takiego miesiąca nie był określony. Purga, chmury, a najważniejsze, stale zasnuwająca kotliną mgła nie zawsze pozwalały ustalić, kiedy księżyc jest w nowiu i kiedy nastaje pełnia.

W podobnie swoisty sposób liczyły "Dzieci Słońca" lata. Normalny rok astronomiczny dzielił się na rok zimowy i rok letni, co wносиło jeszcze większy zamęt w ich rachubę czasu. Również i tu geograf ustanowił porządek.

Następnie, nie bez trudu zresztą, wprowadził prymitywne zegary wodne. Do tej pory w dniu pochmurne i mgliste nastanie poranka określało się najzupełniej do wolnie, najczęściej według tego, kiedy wygłodzone psy, które wypędzano na noc z mieszkań, zaczynały prosząco skomleć pod progiem. Teraz pojawił się w kotlinie znacznie dokładniejszy wskaźnik czasu. Wodne zegary były to naczynia z podziałką od wewnątrz, w kształcie dość pojemnego lejka. "Nakręcało się" je raz dziennie. Mieszkania "Dzieci Słońca" nappełnił szmer równomiernie spadających kropel.

Wietługin miał pełne prawo powiedzieć o sobie, że nie tylko przyspieszył bieg czasu w kotlinie, ale go uregłował.

Nieraz Nyrta, dręczony ciekawością, pytał swego przyjaciela:

— Jak ty to wszystko robisz? Z taką łatwością wyjmujesz te wspaniałe rzeczy z głowy.

--- Ja ich nie wymyślałam -- odpowiadał Wietługin

z uśmiechem — po prostu przypominam je sobie. W moim kraju jest bardzo dużo takich rzeczy.

— Aha, wyjmujesz te rzeczy ze swej pamięci — z powagą stwierdzał myśliwy.

W ciągu tych lat imię Piotra Arianowicza zmieniano się kolejno aż trzy razy. Najpierw nazywano go po prostu Cudzoziemcem. Po pojedynku z Nyrką przemianowano go na Ślizgającego Się Po Śniegu. A po upływie trzech lat już na dobre przyłgnęło do niego imię Tynkaga, co w tłumaczeniu znaczy Mocarz, Mocny Człowiek.

3

„Pierwotna mina” spowodowała zasadniczy zwrot również i w osobistym życiu Piotra Arianowicza.

Oczywiście, gdyby po dawnemu miał nadzieję na ucieczkę nigdy nie pozwoliłby sobie na to, by związać swój los z losem kochającej go „Córki Słońca”...

Lecz teraz nie mógł już liczyć na ucieczkę. Pozostało mu tylko jedno — wysłać wieści w daleki świat za górą Byrranga i czekać pomocy z zewnątrz. A to mogło się ciągnąć wiele lat.

W swym dzienniku Piotr Arianowicz mgliście wspomina kobiece imię. Jeszcze przed zesłaniem kochał pewną dziewczynę.

Z wolna wracając po wypadku do zdrowia, Wietługin zrozumiał, że musi się pożegnać również i z tą nadzieją. Kiedy potrafi wyrwać się z niewoli? Za piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści lat? I czy w ogóle kiedyś stąd wyjdzie? Czy ma prawo żądać od ukochanej, by czekała, dręczyła się, cierpiała?...

Nie, ona jest dla niego nieosiągalna. Nieosiągalna, niedostępna — jak ten oto śnieżny szczyt, na którym leży teraz czerwony odbłask zachodzącego słońca.

Wiele rzeczy przemyślał Piotr Arianowicz w czasie swej rekonwalescencji, siedząc wieczorami przed progiem

na troskliwie rozestłanych przez Sojtyne skórach reniferowych.

Sojtyne nie przeszkadzała mu myśleć. Cichutko i zwinnie krzątała się wewnątrz pieczary, nie pozwalając nikomu więcej chodzić koło chorego. Przepędzała nawet Nyrte, gdy ten na prawach przyjaciela ofiarowywał swą pomoc.

A potem Piotr Arianowicz zaczął od nowa uczyć się chodzić. Dziwny to na pewno musiał być widok! Krępy, brodaty mężczyzna niepewnie stawiał kroki, powłócząc chorą nogą i opierając się na ramieniu niewysokiej, ale krzepkiej dziewczyny w białej odświętnej odzieży.

— Mocniej oprzyj się, mocniej. Mnie wcale nie jest ciężko — powtarzała raz po raz dziewczyna, potrząsając warkoczykami i unosząc ku niemu zarumienioną twarz z miłymi, odrobinę skośnymi oczami. A on w odpowiedzi kiwał z uśmiechem głową.

Na każdym kroku spozstrzegał teraz mnóstwo drobnych, wzruszających dowodów troskliwości, które tak ułatwiają życie mężczyźnie.

Sojtyne nauczyła się mówić po rosyjsku jeszcze nie będąc jego żoną. Było to w 1917 lub 1918 roku, kiedy to Piotr Arianowicz umyślił dawać lekcje Nyrce. Sojtyne przysłuchiwała się tylko z daleka, zajęta, jak zwykle, pracą domową.

Nyrta był niestety dość tępy do nauki, nie bardzo uważny, a najważniejsze — nie potrafił ani chwili usiedzieć spokojnie. Wietługin aż nazbyt często musiał go karcić. Pewnego razu myśliwy w żaden sposób nie mógł sobie poradzić z długim, trudnym zdaniem. Biedził się nad nim, jękał się, stękał, chrząkał i znów zaczynał od początku, w nadziei, że „z rozbiegu przeskoczy”. Piotr Arianowicz ze zniecierpliwieniem bębnił palcami po ścianie. Nagle Sojtyne roześmiała się. Wszyscy obejrzel się zdziwieni. Wtedy dziewczyna bardzo szybko wypowiedziała trudne rosyjskie zdanie i popatrzyła na Wietługina oczekując pochwały.

Prawdopodobnie uczucie Piotra Arianowicza dla Soj-



tyne z czasem rosło i pogłębiało się. Można powiedzieć, że przeszło szereg faz w ciągu ich stosunkowo krótkiego pożycia (Wietługin jakby przeczuwał jej tragiczną śmierć).

„Mój najmilszy słowiczek” — nazywał ją Piotr Arianowicz.

Sojtyne bardzo lubiła śpiewać. Z latami jej zdolności do układania pieśni jeszcze się rozwinęły.

Siedząc przy ognisku zaczynała nucić — cichutko, aby nie przeszkadzać Piotrowi Arianowiczowi, który wieczorami robił zapiski w swym dzienniku.

— Mój mąż jest najsilniejszym człowiekiem w górach — śpiewała Sojtyne, w zadumie patrząc w płomień ogniska. — Żaden z myśliwych, ani Nyrta, ani Łankaj, ani Nejaptu, nie może się z nim równać...

Wietługin przerywał swoje pisanie i przysłuchiwał się z uśmiechem.

— Ryby w rzece są mu posłuszne — śpiewała dalej Sojtyne ze wzrastającym uniesieniem. Widać było, że słowa pieśni same przychodzą jedno po drugim. — Słuchają jego głosu i wyskakują na brzeg, gdzie czekają rybacy... Księżyc pojawia się na niebie i schodzi z nieba bez opóźnienia, bo tak nakazał mój mąż...

Obejrawszy się na wejście i zniżywszy nieco głos, wspominała również o wrogach:

— Wrogowie obawiają się go, gdyż jest silny i dobry. Lecz on nie boi się nikogo, bo to mój mąż...

Tak, wszystkie swe „reformy”, choć bardzo proste, musiał Piotr Arianowicz przeprowadzać w nieustannej walce z wrogami...

4

Przechodząc w myślach wszystko, co zrobił dla „Dzieci Słońca” (a zrobił na ogół znacznie mniej, niżby pragnął), Wietługin zapisał w swoim dzienniku:

„Próbowałem przyspieszyć naturalny bieg rzeczy, że

tak powiem — galopem przeprowadzić «Dzieci Słońca» po szczeblach rozwoju kultury materialnej, pomóc im tu i tam od razu przeskoczyć któryś z tych stopni...”

Na drodze tej, oczywiście, spotykał niemało przeszkód. Szczególnie bruździły mu dwie złowieszcze postacie, stojące na jednym z najniższych szczebli i zagradzające drogę wzwyż — Chytyndo i Jakaga. Sowie oblicze szamanki było zawsze nieruchome, natomiast twarz jej męża wykrzywiała się, a w jego chytrych oczkach pod wypukłymi łukami brwi malował się niepokój i najwyższe natężenie uwagi, gdy patrzył na Wietługina...

Tych dwoje ludzi wykorzystywało dla swej wygody jedno z najbardziej powszechnych na ziemi uczuć — strach. W danym wypadku był to strach przed zjawiskami niepojętymi, strach przed żywiołami przyrody.

Dla "Syna Słońca" cały otaczający go świat rządził się dziwnymi, niekiedy bardzo skomplikowanymi prawami. W jego wyobrażeniu wszystko wokół żyło, wszystko posiadało duszę, nawet martwa przyroda. Kamień, spadający z góry, był istotą żywą. Wiatr, kołyszący wierzchołkami drzew, żył tak samo jak drzewa.

Nawet rzeczy, będące dziełem rąk człowieka, uważano za istoty żyjące. Nie darmo wyciągając w jesieni na brzeg łódzie, ich właściciele wzruszająco żegnali się nimi, obchodzili je, głaskając i przygadując: „Nie gniewajcie się, że was porzucamy. Nie porzucamy was na zawsze. W lecie, kiedy rzeka uwolni się od lodu, znów przyjdziemy i będziemy razem łowić ryby i polować na reny”.

Mało tego — żywa wyobraźnia pierwotnych ludzi gęsto zaludniła otaczający świat duchami. (Według żartobliwego określenia Wietługina, w epoce kamiennej było ich tyle, co bakterii i wirusów w wieku dwudziestym.

Z duchami trzeba było utrzymywać najściślejsze, a nieraz, z konieczności, zgoła praktyczne stosunki.

Były duchy potężne, dobre, łaskawe (na przykład Matka-Słońce), z którymi nietrudno było sobie radzić.

Znacznie więcej kłopotu przysparzały duchy złe.

Tych -była niezmierna ilość, dosłownie roiło się od nich wokoło. Mieszkańcy Byrrangi kroku nie mogli zrobić, by nie obrazić takiego ducha; natychmiast też zwracali się do niego z pełnymi szacunku słowami przeproszenia.

Żył się tu ustawicznie z duszą na ramieniu.

Stale trzeba się było liczyć z całą masą „złych znaków”. „Syn Słońca” zasepiał się, gdy zdarzyło mu się upuścić fajkę, a już zupełnie twarz mu się wydłużała, jeśli jeszcze przy tym wysypał popiół. Krzyk polarnej sowy w nocy przejmował drżeniem nie tylko dzieci i kobiety, lecz również głowę rodziny, odważnego myśliwca.

Obcowanie z ogromną ilością duchów, zamieszkujących „zaczarowane” góry Byrranga, było dla „Synów Słońca” rzeczą zupełnie normalną. Każdy z nich był w pewnym stopniu sam dla siebie szamanem.

Szczególnie szerokie zastosowanie miała magia na polowaniu.

Nastawiając potrzask na lisa czy zającą, Nyrta długo odprowadzał nad nim swe czary. (Wietługin nazywał to „magią amatorską”.) Myśliwy udawał, że wpadł w pułapkę, skakał na jednej nodze, piszcząc i robił przestraszone miny.

Wszelkie wyjaśnienia były tu zbędne. I bez tego Wietługin rozumiał, że jego prostoduszny przyjaciel za pomocą magicznych środków ściąga śmierć na zwierzęta.

Udając się na polowanie Nyrta niezmiennie zwracał się na wszystkie cztery strony świata i mówił: „Duchy! Nie przeszkadzajcie mi w zdobywaniu mięsa! Nie podbijajcie mi ręki, gdy będę strzelał! Nie zbijajcie mnie z tropu! Nie niszcźcie moich przynęt! Jestem Nyrta, doświadczony myśliwy. Wiem, co do mnie należy i podzielę się z wami zdobytym mięsem!”

Mieszkańcy kotliny, jak sądził Wietługin, doskonale mogliby się obejść bez szamanów — specjalistów. Tymczasem w kotlinie była szamanka Chytyndo i ona tu wszystkim rządziła. Dlaczego?

Być może, że Chytyndo i Jakaga pierwsi doszli do tego, by z magii uczynić zawód i zmonopolizować prawo do bezpośrednich kontaktów z zaświatami?

Istotnie, wiele rzeczy zdradzało w nich nowicjuszy. Nie byli to jeszcze kapłani, ofiarnicy o dostojnych manierach, z wypracowaną techniką ogłupiania. Jakaga, który usługiwał Chytyndo w czasie rytualnych ceremonii, był ruchliwy, nerwowy, często się mylił i popełniał gafy.

„Ogólnie biorąc, pop-samouk — z uśmiechem zanotował w myśli Wietługin — pop, który nie ukończył seminarium duchownego”.

Matactwa „popów-samouków” były bardzo niewybredne. Za pośrednictwem Jakagi Chytyndo zbierała plotki w oazie, a potem, wykorzystując odpowiedni moment, oszałamiała łatwowiernych współplemieńców znajomością ich domowych tajemnic.

„Cuda” przybierały różne formy, zależnie od okoliczności. Czasem Jakaga podrzucał komuś do pieczary martwą mysz, która uważana była przez „Dzieci Słońca” za zwiastuna choroby. Następnie, na zaproszenie gospodarzy, zjawiała się Chytyndo w swoim rytualnym stroju. Przy akompaniamencie bębna okadzała mieszkanie, mrużąc pod nosem jakieś magiczne brednie. Kiedy uznano, że choroba została już odegnana, gospodarze obdarowywali szamankę, dzieląc się z nią, aczkolwiek bez wielkiego entuzjazmu, skąpymi zapasami żywności.

Ulubioną sztuczką Jakagi było ściągnąć komuś jakąś cenną rzecz, a następnie podnieść gwałt z powodu kradzieży. Nie szczędzono w takich wypadkach wyrazów ubolewania oraz obłudnych życzeń. Sypały się podejrzenia (na sąsiadów, jak również na nieprzyjazne duchy). Wreszcie, na długo zepsuwszy wszystkim humory, para szarlatanów odnajdywała skradzioną rzecz — ku większej swej chwale i korzyści.

„Jestem u źródeł tysiącletniego oszukaństwa zwanego religią” — z gniewem pisał Wietługin w swych notatkach.

## V. Lód, który nie taje

1

W 1933 roku, a więc w trzynaste lat po nieudanym zamachu na życie Wietługina, zdarzyło się coś, co miało niezmiernie doniosłe znaczenie.

Geograf znalazł w kotlinie „swoją duszę”.

A było to tak.

W pieczarze Nyrty, gdzie Piotr Arianowicz często bywał, znajdowało się niemało rozmaitych trofeów myśliwskich. Rogi renifera sąsiadowały tu ze wspaniałym lisim ogonem. Naszyjnik z niedźwiedziej pazurów malowniczo odbijał od tła pstrokatego dywanika, zeszytego ze skórek gronostajów, lemingów i wiewiórek.

Któregoś dnia, nie mając nic innego do roboty, Wietługin grzebał się w tych skarbach i nagle zobaczył odłamek rogu. Obracał go w palcach, zastanawiając się, do jakiego zwierzęcia należał ten dziwny róg? Do renifera? Rogi reniferowe leżały tuż obok. Łatwo było porównać. A może to kawał kła? Nie, to nie był kieł mamuta. Cóż to jest w takim razie?

— A, zdobyłem to nad Słoną Wodą — umyślnie niedbałym tonem odezwał się Nyrta, zauważywszy, że jego przyjaciel trzyma w rękach interesującą go kość. — Taki był zębaty zwierz. (Nyrta zrobił przy tym odpowiedni grymas, uniósłszy górną wargę.) Bardzo leniwy. Nie chciał chodzić, tylko pełzał na brzuchu...

Opis był bardzo obrazowy, jak każdy opis myśliwego. W leniwym zębatym zwierzęciu Wietługin bez trudu poznał morsa. Trofeum myśliwego było kawałkiem kła morsa.

A zatem Nyrta przekraczał granice gór, dochodząc aż do oceanu („Słona Woda”) i polował na morsy? Jakże więc ośmielił się naruszyć zakaz Mauka?

Tym razem geograf nie pytał o nic więcej, nie chcąc pokazać, jak bardzo go to interesuje. Dopiero w jakiejś dwa czy trzy tygodnie później, ostrożnie, kołując z da-

leka, wznowił swe pytania. Dowiedział się, że wyprawy nad morze urząda się tylko w wypadkach ostatecznej konieczności. Celem ich bywa tłuszcz fok, rzecz bardzo ważna w codziennym życiu „Dzieci Słońca”. To w nim właśnie pływają knoty owych kamiennych kaganków, które oświetlają pieczary przez całą długą polarną zimę. Wszystko odbywa się w największej tajemnicy. Wyznaczeni przez Chytyndo myśliwi (pięciu lub sześciu ludzi) wychodzą w nocy i również nocą wracają, a pozostali mieszkańcy kotliny udają, że nic o tym nie wiedzą.

Podczas ostatniej takiej wyprawy myśliwi natknęli się na nie znane im dotychczas zwierzę. Było ono tak straszne, że ten i ów z „Synów Słońca” stracił odwagę i rzucił się do ucieczki. Jednak nieustraszony Nyrta nie cofnął się i zabił zwierzę.

Wiadomość o wyprawach nad morze już sama w sobie była bardzo interesująca. Ponadto posłużyła ona niejako za pomost do następnej, jeszcze ważniejszej informacji — o „duszy Tynkagi”. Okazało się, że była ona ukryta w kawałku morskiego lodu, który znajdował się w rękach Chytyndo!...

Piotr Arianowicz wiedział, że w pojęciu „Dzieci Słońca” dusza może istnieć oddzielnie od ciała. Jest to dość kłopotliwe, gdyż człowiek musi ustawicznie mieć się na ostrożności, by wrogowie nie ukradli jego duszy.

Niejaką zresztą pociechę dla „Dzieci Słońca” stanowiło to, że Chytyndo od pewnego czasu wzięła na siebie obowiązek strzeżenia przed grabieżą dusz swych współplemieńców.

Dowiedziawszy się o swej duszy, która przebywa w kawałku lodu, Piotr Arianowicz niczym nie zdradził ciekawości. Był to najlepszy sposób, by sprowokować Nyrte do dalszych wynurzeń.

Dotknięty obojętnym milczeniem przyjaciela myśliwy dodał, że w kotlinie znajduje się nawet specjalny „skarbiec”, gdzie przechowuje się dusze. Asortyment ich musiał być niezwykle różnorodny. Dusze niektórych myśliwych zamknięte były w rogach lub kopytach zabitych

przez nich reniferów. Dusze innych przebywały w kamieniach.

Wietługin dalej milczał, zajęty swoją robotą.

Takiej obojętności myśliwy nie mógł już w żaden sposób znieść. Nadał się, a potem rzucił gniewnie:

— Twoja dusza też tam jest...

Wygadawszy to mimo woli, Nyrta natychmiast się spostrzegł i zaczął się bić po ustach. Ale było już za późno.

— Tylko ty milcz — mruknął, oglądając się. — Jej tam dobrze! Twoja dusza jest w kawałku lodu. Taka okrągła bryłka lodu, który nie taje... Ale nie mów o tym nikomu, dobrze? — prosił. — To wielka tajemnica, a ja ci powiedziałem. Nie chciałem mówić, a powiedziałem. Dlaczego ze mną zawsze tak jest?...

Jeszcze raz uderzył się dłonią po ustach.

Widać Chytyndo knuła coś nowego...

Tylko ogromnym wysiłkiem woli Wietługin powstrzymał się od pytań.

## 2

Ale im bardziej Piotr Arianowicz niepokoił się, tym mniej okazywał to Nyracie.

Wiedział, z kim ma do czynienia. „Dzieci Słońca” nie znoszą gwałtu, nerwowego pośpiechu i przy całej swej dobroduszości są niesłychanie podejrzliwe. Wystarczy jedno nieostrożnie wypowiedziane słowo, by natychmiast zamknęły się w sobie jak ślimak w skorupie.

— Tylko powoli, ostrożnie — powtarzał sobie — żeby nie spłoszyć.

Towarzysząc Nyracie na polowaniu, Piotr Arianowicz niejednokrotnie obserwował, z jaką cierpliwością, całymi nieraz godzinami, czatował on na zdobycz w zasadzce, ukryty gdzieś w skalnej rozpadlinie czy za głazami. Geograf nauczył się coś niecoś w czasie tych wspólnych wypraw

i teraz stosował cierpliwość i wytrzymałość jako najpewniejszą broń przeciwko Nyracie.

Myśliwy jednakże nie powracał do pasjonującego tematu duszy Wietługina. Tylko niekiedy w obecności innych znacząco spoglądał na swego przyjaciela i podnosił palec do ust. Wietługin uspokajająco kiwał głową.

Trwało tak ponad miesiąc. Geograf zaczynał się denerwować. Po Chytyndo można się było wszystkiego spodziewać. Co znów knuje przeciwko niemu ta stara wiedźma?

Narzucano się proste wyjaśnienie: Chytyndo ukradła Piotrowi Arianowiczowi jakąś rzecz należącą do niego i teraz sobie używa, odprawiając nad nią swe czary. Gdyby tylko o to chodziło, nie byłoby wielkiego nieszczęścia. A czaruj sobie na zdrowie, czaruj, niech cię diabli! Ale z jego osobistych rzeczy nic nie brakowało, sprawdził to. Zresztą niewiele mu pozostało, tylko to, co miał na sobie.

Przypomniały mu się słowa: „okrągła bryłka lodu, który nie taje”, „twoja dusza jest w kawałku lodu”. Co Nyrta przez to rozumiał?

Być może, iż Wietługin w końcu nie wytrzymałby i wdał się z Nyrką w rozmowę o swej „duszy”. Jednakże obeszło się bez tego. Z pomocą przyszedł mu przypadek.

Pewnego razu, gdy spacerowali obaj po lesie, Piotra Arianowicza zainteresowało coś w opowiadaniu przyjaciela. Postanowił to zapisać, by nie zapomnieć. Zwykle starał się robić zapiski tak, by nikt z „Dzieci Słońca” tego nie widział. W tej chwili jednak przez roztargnienie, zabrał się do pisania w obecności Nyrty.

Usiadłszy na kamieniu, pogrążył się całkowicie w pracy, gdy nagle usłyszał za sobą jego oddech. Odwrócił się. Nyrta, który zbliżył się, jak zwykle bezszelestnie, stał za nim i wspierawszy się na palce, z ciekawością zaglądał mu przez ramię.

— Robisz malutkie ślady na skórze? — spytał ze zdziwieniem

— Tak.

— A ja widziałem taki ślad.



— Gdzie?

Obejrząwszy się, Nyrta szepnął:

— Na tym kawałku lodu, w którym jest ukryta twoja dusza!...

Wietługin zerwał się z kamienia.

Litery! Słowa! Na „bryłce lodu, który nie taje”?...

Ale Nyrta spostrzegł się, że jego długi język znów wypaplał tajemnicę, i zamilkł nie odpowiadając na pytania swego przyjaciela.

Usiadł na ziemi, skrzyżowawszy nogi i założywszy ręce na ramiona, i na wszystko przecząco kręcił głową.

— Pokaż tylko! Pokaż i nic więcej — gorąco przekonywał go geograf. — Przyniesiesz tutaj bryłkę lodu, który nie taje, ja tylko na nią popatrzę i zaraz ją odniesiesz z powrotem. Chytyndo się nie dowie.

Nyrta zrobił taki ruch głową, jakby się opędział od towarzysza. Nawet przymknął oczy, żeby go nie widzieć.

Ale Piotr Arianowicz nie ustępował. Wynajdywał coraz to nowe argumenty. Powiedział, że zerwie z nim przyjaźń, lecz Nyrta, usłyszawszy to, tylko boleśnie jęknął. Zagroził, że rzuci na niego swe najstraszniejsze czary — a Nyrta przecież już nieraz widział, że on umie czarować! Myśliwiec zadrżał jeszcze silniej i próbował wstać, żeby uciec, ale Wietługin go przytrzymał.

— Chcesz, nauczę cię robić takie same znaczki? — zaproponował geograf. — Wtedy będziemy mogli odnajdywać jeden drugiego po tych śladach, rozmawiać na odległość. Wszyscy będą się dziwić! powiedzą: Ach, ten Nyrta!

Uparciuch otworzył jedno oko — propozycja była bardzo ponętna, ale zaraz się połapał i zamknął oczy jeszcze mocniej.

— No prosz, o co chcesz — denerwował się Piotr Arianowicz. — Słuchaj! — powiedział wolno, akcentując każde słowo. — Jeśli mi pomożesz zobaczyć moją duszę, podaruję ci wszystko, co tylko zechcesz!

Nyrta otworzył oboje oczu i spojrzał uważnie na Wietługina. Czy on nie żartuje?

— Wszystko, wszystko? — powtórzył „Syn Słońca” z niedowierzaniem. — Wszystko, co zechcę?...

— Oczywiście! Powiedz tylko — co. No, zastanów się, o co chciałbyś prosić?...

Nyrta milczał. Jego żywe czarne oczy błysnęły, by natychmiast znów przygasnąć. Myśliwy westchnął. Widać było, że męczy go jakieś dawne, nie wypowiedziane pragnienie.

— No mówże! — zachęcał geograf, uradowany, że sprawa bierze pomyślny obrót.

Nyrta bąknął coś pod nosem.

— Głośniej! Powtórz!

— Guziki — powtórzył wstydliwie myśliwy i spuścił głowę.

Geograf ledwo się opanował, by nie wybuchnąć śmiechem — transakcja powinna się odbyć z całą powagą. To nie żarty! Chodziło tu ni mniej, ni więcej, tylko o duszę!

Nyrta uniósł głowę i z nie ukrywaną poządlivością spojrział na guziki Wietługina. Oto co urzekło jego obrażnię! Guziki!

W osadzie Poślednia ja Wietługin nosił czarną satynową rubaszkę. Miał ją na sobie również w dniu ucieczki. Jak w większości ówczesnych rubaszek, kołnierzyk jej zapinał się na białe, perłowe guziki; cały rząd biegł od góry aż do pasa, mieniając się i odbijając wyraźnie od czarnego tła. Było ich chyba z półtora, a może nawet dwa tuziny.

Co prawda rubaszka dawno już się zniszczyła, część guzików Wietługin zdążył pogubić. Ale nawet te, co ocalały — naszyte teraz na jego odzież z pięknie wyprawionej skóry reniferowej — wystarczyły, by wyrzucić wrażenie na elegantach w kotlinie. A Nyrta był elegantem.

Już pierwszej zimy guziki zwróciły jego uwagę.

— Jakie ślicznie białe krążki! — szepnęła Nyrta. A potem nieśmiałym, dziecinnyim gestem wyciągnął rękę i pieśczożliwie je pogładził.

— To są guziki — wyjaśnił Wietługin.

— Gu-zi-ki — powtórzył myśliwy z wielką tkliwością, nie odrywając od nich oczarowanego wzroku.

Wietługin nawet nie podejrzewał, że ich urok jest aż tak potężny!

I oto teraz te upragnione przez myśliwego guziki zacydowały o całej sprawie.

— Oczywiście, przyjacielu! Nie ma o czym mówić! — zawołał wesoło Piotr Arianowicz. — Daruję ci wszystkie! Bierz!

Przysiadł na trawie i gorączkowo zaczął odrywać guziki jeden po drugim.

Kiedy Wietługin podniósł oczy, Nyrty już nie było. Myśliwy znikł, popędził po „bryłkę lodu, który nie taję”.

### 3

Geograf drżał z niecierpliwości. Zdawało mu się, że czas wlecze się niezmiernie wolno, jakkolwiek, sądząc po cieniach drzew, minęło nie więcej niż piętnaście-dwadzieścia minut.

Nie mógł doczekać się Nyrty. To wstawał i zaczynał chodzić tam i z powrotem, to siadał, by po kilku minutach znów się zerwać. W końcu zmusił się, by usiąść na trawie; siedział nieruchomo, podany do przodu, ze wzrokiem utkwionym w zarośla, skąd powinien był ukazać się myśliwy. W wyciągniętej ręce trzymał pełną garść guzików.

Słowa na bryłce lodu? Czyżby to była odpowiedź na jego wezwania o pomoc, których tyle wysyłał za pośrednictwem reniferów, przelotnych ptaków i wreszcie w pniach drzewnych?...

Nyrta pojawił się na polanie z nagłą jak zawsze. Rozsunął zarośla ramieniem — miał obie ręce zajęte — ostrożnie rozglądając się dookoła. Potem przykucnął i ruchem ręki przywołał do siebie Piotra Arianowicza. Obok niego leżało coś okrągłego, białego, matowo połyskując w wysokiej trawie.

Jajko jakiegoś olbrzymiego ptaka? Chyba nie.

Mrużąc krótkowzroczne oczy, Piotr Arianowicz nachylił się nad tajemniczym przedmiotem.

— Tylko popatrzeć! — uprzedził szeptem Nyrta. — Umówiliśmy się. Tylko popatrzeć!

Wietługin w milczeniu skinął głową, przyglądając się owemu przedmiotowi, który jakby pływał w trawie.

Była to kula — prawdopodobnie ze szkła, ale jakiegoś specjalnego, bardzo grubego i nie tłukącego się. Coś w niej wewnątrz czerniało, a po zewnętrznej stronie opasywał kulę dziwny napis złożony z czterech rosyjskich liter: „SSSR”.

Co by to mogło znaczyć?...

— Skąd to się tu wzięło, Nyrta? — wolno spytał Piotr Arianowicz, jak urzeczony nie odrywając oczu od kuli.

Nyrta milczał.

— Przecież nie spadło z nieba?

— Dlaczego z nieba! — obruszył się myśliwy. — To kawałek lodu, który nie taję. Wyrzuciła go na brzeg Słona Woda. Tak jak ciebie... — dodał znacząco.

W zeszłym roku polowanie na foki dało obfitą zdobycz. „Dzieci Słońca” zbierały się już do powrotu, gdy nagle Nyrta zauważył kawałek lodu, który kręcił się na wodzie przy brzegu. Fale jakby się nim bawiły: to przynosiły go zupełnie blisko, to znów odrzucały.

„Dzieci Słońca” zainteresowała malutka okrągła bryłka lodu. Najciekawszi z myśliwych weszli po pas w wodę i długimi oszczepami przygnali upartą bryłkę ku brzegowi. Ledwo jednakże wzięli ją do rąk, natychmiast upuścili. Na lodzie były jakieś tajemnicze znaczki. To był zaczarowany lód!

Łankaj uważał, że najbezpieczniej będzie wrzucić go z powrotem w morze, ale Nyrta nie zgodził się na to. Wobec tego postanowiono zanieść bryłkę lodu Chytyndo — niech powie, co to za czary, przecież do niej takie rzeczy należą!

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że lód jest zaczarowany. Myśliwi przekonali się o tym w drodze powrot-

nej. Okrągła bryłka lodu nie tajała na słońcu, a kiedy ten, któremu poruczono ją nieść, zagapił się i upuścił ją na kamienie, nie rozbiła się.

Jednakże jej przeznaczenie wyjaśniło się dopiero w domu. Chytyndo oświadczyła, że wewnątrz ukryta jest dusza cudzoziemca — nie darmo bryłka lodu trafiła do kotliny tą samą drogą co i on, z północy, i podobnie jak on została wyrzucona na brzeg razem z pływającymi krami. Zresztą, nie ma w tym nic dziwnego: dusza odnalazła swego właściciela.

Kiwając w roztargnieniu głową, Piotr Arianowicz ze wzruszeniem przyglądał się szklanej kuli, wyrzuconej przez morze na brzeg Tajmyru.

Domyślał się już istotnego przeznaczenia „zaczarowanej bryłki lodu”. Była to boja hydrograficzna, jedna z tych, jakie spuszcza się z okrętu lub z brzegu na wodę, dla zbadania i określenia kierunku oraz szybkości morskich prądów. Do środka wkłada się kartkę pisaną w kilku językach, zawierającą prośbę o podanie czasu i współrzędnych geograficznych miejsca, w którym boja została wyłowiona.

Czy to nie taka właśnie kartka czerniała we wnętrzu szklanej kuli?... Piotr Arianowicz pochylił się nad nią jeszcze niżej. Okazało się, że w boję była wpuszczona metalowa rurka.

Co się tam kryje? Jaka wiadomość z Rosji?

Geograf spod oka zerknął na Nyrte.

Dobroduszny „Syn Słońca” był całkowicie pochłonięty swoim najnowszym, bezcennym nabytkiem. Śmiejąc się jak dziecko, bawił się perłowymi guzikami, które go tak oczarowały. Potrząsał nimi w garści i przechyliwszy głowę, w upojeniu przysłuchiwał się, jak dzwonią, uderzając o siebie, to znów układał je w dwa lub trzy rzędy na ziemi. Po chwili w skupieniu zabrał się do nawleknięcia guzików. Widocznie miały ozdobić jego mężną pierś w postaci naszyjnika.

„Tego zajęcia starczy mu na długo” — pomyślał Piotr

Arianowicz i odwrócił się do Nyrty plecami, zasłaniając sobą szklaną kulę.

Gdzież jest nakrętka? Aha, tu! Jednak bardzo mocno zakręcona! Bez klucza nie można tego otworzyć. Ale gdzie tu znajdzie taki klucz? Nie, poddaje się. Jeszcze parę obrotów! Jeszcze!...

Wietługin otworzył rurkę wpuszczoną w kulę. Potem, drżąc z niecierpliwości, wyjął stamtąd zwiniętą w rulonik karteczkę.

Pierwsza wieść z dalekiego, milczącego świata! Pierwsza od tylu lat!

Wszystko wirowało mu przed oczami, litery na kartce zlewały się. Opanował się wysiłkiem woli. Litery przestały skakać i ustawiły się w szereg, tworząc słowa, których sens nie od razu doszedł do jego świadomości. Wreszcie Piotr Arianowicz przeczytał:

„Tę boję hydrograficzną spuszczone na wodę 12 sierpnia 1932 roku z pokładu łamacza lodu «Sybiriakow» na Morzu Karskim, takie a takie współrzędne geograficzne. Zwracamy się z usilną prośbą o podanie czasu i współrzędnych geograficznych miejsca, gdzie boję wyłowiono, co jest bardzo ważne dla poznania prądów i dryfu lodów na polarnych morzach ZSRR. Adres: Leningrad, Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny ZSRR”.

Ten sam tekst był powtórzony w języku angielskim i norweskim.

Wietługin podniósł się z ziemi. Kartka drżała mu w ręce.

— Leningrad!... Le-nin! — powtórzył na głos. — Rozumiem! Wszystko rozumiem! Tam, w Rosji, dokonała się rewolucja. Zwyciężyliśmy! Jakieś miasto zostało nazwane imieniem Lenina. To znaczy — rewolucja!...

Nyrta, odłożywszy naszyjnik, ze zdziwieniem patrzył na swego przyjaciela. Nie poznawał Tynkagi. Zawsze spokojny, opanowany, teraz był blady, drżał cały, z jego ust padały niezrozumiałe dla Nyrty słowa:

| — Ale kiedy to się stało? W którym roku? W szesnastym?... Ja uciekłem w szesnastym. Rewolucja mogła więc

wybuchnąć w tym samym roku, wkrótce po mojej ucieczce. A może później? W dwudziestym? W trzydziestym?

I Tynkaga bez sił osunął się na trawę.

Może to czarodziejstwo lodu, który nie taje, tak na niego podziałało? Nyrta podbiegł do kuli i z zaniepokojeniem ją obmacał. Nie, kula jest cała! Myśliwy uważnie obejrzał ją ze wszystkich stron, od góry, od dołu. Nigdzie najmniejszej rysy ani pęknięcia.

Ciekawe, co takiego powiedziała Tynkadze jego dusza, ukryta w bryłce lodu?...

Nyrta przysiadł obok, zajrzał Wietługinowi w oczy, a potem niezgrabnym, pieszczotliwym ruchem, jak małemu dziecku, otarł mu dłonią mokrą twarz.

4

Wietługin nie odrywał oczu od szklanej kuli, jak gdyby jej gładka powierzchnia zachowała jeszcze na sobie odbicie niewypowiedziane piękne, oślepiająco jasnego świata, z którego kula przybyła.

Ach gdyby ta „bryłka lodu” była naprawdę zaczarowana! Wówczas mógłby zobaczyć na jej powierzchni sylwety nowych, nie znanych mu nadmorskich miast, obok których przepływał łamacz lodu „Sybiriakow”, może ujrzałby nawet na niej odbicie energicznych, śmiałych twarzy, pochylających się troskliwie nad boją przed wyprawieniem jej w daleką drogę.

Niestety, „bryłka lodu” leżąca w trawie nie była zaczarowana. W boi hydrograficznej znajdowała się tylko króciutka notatka.

Ale za to było w niej słowo, które w jednej chwili przeobraziło dla Wietługina cały świat. „Leningrad” — to znaczy miasto nazwane imieniem Lenina!

Rosja, na której mapie pojawił się Leningrad, bez wątplenia musi być inna. A więc jaka?...

Wietługin próbował ją sobie wyobrazić — i nie potrafił! To przekraczało zdolność jego wyobraźni.

Dotychczas cała Rosja za górami Byrranga była jakby pogrążona w nieprzeniknionym mroku. Teraz niezmiernie obszary — od Bałtyku po Ocean Spokojny — zalewa oślepiający blask. Ołśnione oczy nic nie widzą!...

Rosja! W notatce dwukrotnie powtarza się „ZSRR”. Co by to mogło znaczyć?...

Co się działo po tamtej stronie gór przez ten czas? Jak skończyła się wojna z kajzerowskimi Niemcami? Jaki przebieg miała rewolucja? Czy przeciwstawiali się jej wrogowie? Kiedy przybył do Rosji Lenin, by stanąć na czele rewolucji?

Miriady wirujących różnokolorowych błysków jak w kalejdoskopie migotały przed oczami. W głowie mu się mąciło...

Piotr Arianowicz poczuł się nieprawdopodobnie zmęczony. Nie miał sił podnieść się z ziemi. Nastąpiła reakcja nerwowa.

Leżał bez ruchu, starając się uspokoić. Próbował wyobrazić sobie wędrówkę boi hydrograficznej. Było to łatwiejsze niż próba wyobrażenia sobie nowej, rewolucyjnej Rosji tam, za górami Byrranga.

Widział przed sobą potężną rzekę ruchomych pól lodowych. Brała ona początek u wybrzeży Syberii, a jej ujście gubiło się w mglistej dali, hen, gdzieś między Norwegią i Grenlandią.

Tak, geograf na pewno więcej wiedział o tej przedziwnej rzece, niż o górskiej, pędzącej kamienistym korytem rzece Fabigaj.

Ileż to bezsennych nocy spędził nad mapą Arktyki, studiując dryf pływających lodów!...

Czy to nie dziwne, że właśnie z tamtej „rzeki” przyszła upragniona, radosna wieść?

Płyną kry lodowe, zderzają się, trą o siebie z chrzęstem i skrzypieniem. A między nimi widnieją tu i tam okrągłe boje hydrograficzne. Niestraszne jest dla nich zwarcie kier — napór lodów wyrzuca kule na powierzchnię. Nie boją się też burzy — leniwie, jak mewy, kołyszą się wtedy na falach.



Połykując w słońcu, płyną i płyną szklane kule — zwiadowcy Arktyki. Główna ich masa wolno przecina cały Basen Polarny, by po dwóch czy trzech latach znaleźć się u wrót Atlantyku. Lecz pewna, nieznaczną część boi hydrograficznych, porwana przez przybrzeżne prądy, zmienia kierunek i zawraca ku ojczystym brzegom syberyjskim.

Tak się właśnie stało z boją, która przyniosła wieść o rewolucji w Rosji.

Piotr Arianowicz potrząsnął głową. Widzenie pływających lodów znikło. Przed nim siedział Nyrta, z wyrazem niepokoju i współczucia na twarzy. Gdzieś za pniami sosen i rzadkimi nadbrzeżnymi krzakami miarowo podzwaniała kamykami rzeka.

Tak, to była jego „skrzynka pocztowa”. Tu wrzucał swe „listy” w drewnianych „kopertach”.

Rzeka Niżniaja Tajmyra, wypływając z jeziora Tajmyr, wpada do oceanu. A więc były szanse, że kiedyś pień, oznaczony sygnałem SOS napotka na otwartym morzu rosyjskich hydrografów, którzy spuszczają boje. Wyłowią go z wody, wciągną na pokład okrętu, otworzą skrytkę i wtedy...

Wtedy krąg się zamknie. O Wietługinie i jego odkryciu dowiedzą się w Rosji, w nowej, rewolucyjnej, potężnej Rosji!...

## VI. W labiryncie

1

Na zebraniu plemienia Piotr Arianowicz w prostych słowach, dostosowując się do pojęć „Dzieci Słońca”, opowiedział o tej ogromnej przemianie, jaka się dokonała na północy, za górami.

Jego opowiadanie wywarło wielkie wrażenie.

— To jego dusza mu to powiedziała — szeptały między sobą „Dzieci Słońca”. — Jego dusza, ukryta w zaczarowanej bryłce lodu...

Jednakże o tym, by zejść z gór do tundry, nawet słyszeć nie chciały.

— Mauk nie pozwala — powtarzały półgłosem, zamieniając ze sobą znaczące spojrzenia.

Mimo najusilniejszych starań Wietługin nie potrafił nic więcej od nich wydobyć.

Było dla niego rzeczą jasną, że nie wyprowadzi ze sobą „Dzieci Słońca” do tundry, dopóki nie pokona Ptaka Mauk. Przedtem jednak musi odgadnąć jego tajemnicę!...

Przychodziły mu na pamięć dawne poszukiwania w niemej „galerii obrazów”, gdzie miał ongiś nadzieję znaleźć koniec przewodniej nici, a które jednak nie dały żadnego rezultatu.

Wiele już lat błądził w tym labiryncie.

Z początku myślał, że w kotlinie żyje jakiś rzadki ptak, któremu „Dzieci Słońca” oddają cześć — coś w rodzaju ich totemu, czyli wcielenia przodka — patrona rodu i plemienia. (Podobnym przywilejem cieszy się po dziś dzień pewien gatunek papug w osadach południowoamerykańskich Indian.)

Ptak Mauk musiał być bardzo stary, gdyż jego kult zrodził się przed wielu laty.

Ornitologzy znają około trzynastu tysięcy gatunków ptaków. Bagatela! A jednak nieraz Piotr Arianowicz skłonny był przypuszczać, że w górach Byrranga zagnieździł się jakiś trzynastotysięczny pierwszy gatunek.

Bo już ponad wszelką miarę niezwykle i fantastyczne były cechy Mauka.

„Od jego głosu pękają skały — mówiły, oglądając się trwożnie, «Dzieci Słońca» — a ludzie bez życia padają na ziemię. W szponach trzyma on pęk śmiertelnych strzał...”

Co by to mogło znaczyć?...

Geografa ogarniały zresztą chwilami wątpliwości. Czy to w ogóle jest ptak?

„Wyobraźmy sobie — rozumował Piotr Arianowicz — że Mauk to pewne symboliczne uogólnienie, uosobienie

złych, wrogich człowiekowi sił przyrody. Co mogą przeciwstawić przyrodzie «Dzieci Słońca»? To ludzie epoki kamiennej. Ich broń jest bardzo niedoskonała. Ich topory są ciężkie. Ich oszczepy często się łamią.

Ale dlaczego w takim razie jest to ptak, a nie ryba czy niedźwiedź? Albo rosomak?...”

Wietługin wiedział o tym, że niektóre narody Syberii oddają boską cześć kamieniom. Pierwotny człowiek uduchowiał naturę, tchnął życie w kamienie. Ich kształty nasywały najbardziej fantastyczne porównania.

Czy przypadkiem również i Mauk nie jest jakimś osobliwego rodzaju kamieniem?

Może ten zagadkowy ptak to meteoryt, nawet bliźniak owego olbrzymiego meteorytu, który jakieś osiem lat przed ucieczką Wietługina z zesłania wywołał taki popłoch w tunguskiej tajdze, a potem i w nauce?

Atrybuty Mauka — błyskawice, ogień, pioruny — potwierdzały, zda się, to przypuszczenie.

Gdyby przyjąć tę hipotezę, samo się napraszało kuszące rozwiązanie zagadki Mauka. Był to ognisty Ptak, który z głębi nieba zleciał w ustronny światek „Dzieci Słońca”. Widok wysłannika niebios, zjawiającego się nagle wśród huku piorunów i wycia burzy, musiał wstrząsnąć umysłami owych pierwotnych ludzi.

Taki był początek mitu.

Z czasem powstał kult Mauka, zaczęto oddawać boską cześć przedziwnemu kamieniowi. Ptak Mauk (meteoryt) ścigał „Dzieci Słońca” tak długo, aż w końcu dopędził je w kotlinie.

Takie rozwiązanie miałoby ogromne znaczenie praktyczne. Meteoryt — a więc żelazo! Gdzieś w pobliżu leży ogromna bryła czystego kosmicznego żelaza!

Ileż to gwiazdnych toporów, gwiazdnych grotów do strzał i oszczepów wykułby Wietługin! Od razu, jednym mocnym pociągnięciem wyrwałby „Dzieci Słońca” z epoki kamiennej i wwiódł je w epokę żelaza!

Ale nigdzie nie spotkał śladu istnienia meteorytu.

Z zagadką Ptaka Mauk ściśle wiązała się druga zagadka: sprawa pochodzenia „Dzieci Słońca”.

Kim są? Skąd przybyły? Dlaczego same odgrodziły się murem od świata?

„Syn Słońca” nie było nazwą plemienną w ścisłym tego słowa znaczeniu — raczej przydomkiem, oczywiście bardzo pochlebnym. Pokrewieństwo ze słońcem — to nie bagatela!... Być może, że to nawet Nyrta, który jak wiadomo lubił się pochwalić, wymyślił ten wspaniały przydomek, by zaimponować cudzoziemcowi?

Nawet w rozmowach między sobą mieszkańcy kotliny nie wypowiadali swej „zakonspirowanej” nazwy. Mówili o sobie: „wypuszczający strzałę na rena”, „żyjący na brzegu (rzeki)”, „noszący ogon (renifera) na głowie” itd. Jedno z takich aluzyjnych określeń było bardzo wymowne: „przybyli z daleka”. To potwierdzało domysły Wietługina: „Dzieci Słońca” nie zawsze żyły w górach Byrranga, przywędrowały tu z daleka.

A więc uchodźcy? Ludzie bezimienni? Ludzie, którzy się ukrywają?

W ostatnich czasach Piotr Arianowicz zaczynał mieć wątpliwości co do niektórych rzeczy, choć przedtem wydawały mu się oczywiste. Teraz już nie był taki pewny, czy w swej wędrowce z wybrzeża ku jezioru Tajmyr istotnie trafił „po drodze” w epokę kamienną.

W związku z tym zainteresował się zabawami dzieci.

Siedząc na kamieniu w zupełnym bezruchu, godzinami obserwował, jak dzieci bawiące się u jego stóp zapamiętale przestawiają z miejsca na miejsce reniferowe kostki — swoje „reny” — „spędzają je w stada” itd.

Dzieci bawiły się nie w myśliwych, lecz w pasterzy! I to właśnie było zastanawiające.

Bo przecież mieszkańcy kotliny nie znali hodowli reniferów. A może znali, lecz zapomnieli?

W swoim czasie Piotr Arianowicz czytał o czymś podobnym.

Wyteżył pamięć. Przed oczami stanęła mu książka w skromnej ciemnej okładce. Do uszu dobiegł niepowtarzalny szelest szybko odwracanych kartek. I nagle od razu przypomniało mu się słowo w słowo potrzebne miejsce zakreślone czerwonym ołówkiem u dołu strony:

„Polinezyjczycy nie posiadali łuków przed przybyciem Europejczyków, jednakże ich dzieci bawiły się małymi łukami. Na tej podstawie etnografowie doszli do wniosku, że po przeniesieniu się z Azji na wyspy Polinezyjczycy posługiwali się jeszcze łukami, lecz potem je zarzucili, gdyż nie było tu zwierząt i nie mieli na co polować”.

Mimo woli nasuwała się analogia z mieszkańcami kotliny.

Ale hodowla renów w porównaniu z myślistwem (jako podstawą egzystencji) stanowiła wyższy stopień rozwoju.

A zatem „Dzieci Słońca” cofnęły się na niższy stopień?...

Świadczyły o tym również inne drobne fakty z życia codziennego, na które Piotr Arianowicz nie zwracał dawniej uwagi.

Długo na przykład głowił się nad zagadką palenia.

Zdawałoby się — prosta rzecz! W kotlinie wszyscy palą, nie tylko mężczyźni, lecz nawet dzieci i kobiety. Ale co palą?

Tytoniu w oazie naturalnie nie było i być nie mogło. Dostarcza się go na Daleką Północ z Rosji. „Dzieci Słońca” paliły mech zmieszany z suszonymi liśćmi i wiórkami brzozy. Niektórzy namiętni palacze dodawali do tego jeszcze, jako „przyprawę” — kłaczki sierści, wyskubane wprost z odzieży.

— Marne palenie, bardzo marne — żalili się półgłosem przed Wietługinem. — Przedtem było lepsze, mocniejsze. W głowie robiło się od razu jaśniej i weselej. Ale nie wolno o tym mówić...

I palacze lękliwie się oglądali, czy przypadkiem Jakaga lub Łankaj nie podsłuchują.

Czyżby „Dzieci Słońca” paliły kiedyś prawdziwy tytoń, a nie ową śmierdzącą mieszanekę?...

3

Na te wszystkie nurtujące Wietługina pytania mogłoby odpowiedzieć dwoje ludzi w kotlinie — szamanka i jej mąż, strzegący tajemnicy Mauka. Tylko oni, nikt więcej.

Jednakże od niejakiego czasu geografowi zaczęło świtać w głowie, że może coś niecoś opowiedziałby mu, gdyby go bardzo poprosił, jeszcze trzeci człowiek.

Tym trzecim był Kiejulkan, wnuk Chytyndo, jej pupilek.

Niezbyt bystremu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że w rodzinie szamanki powtarza się aż nazbyt często spotykana sytuacja: zazdrosna babka nierozsądnie, jak wszystkie babki, rozpieszcza jedyne wnuka i pragnąc przeciągnąć chłopca na swoją stronę, stara się go poróżnić z rodzicami.

Kiejulkan stale otrzymywał najlepsze kąski w czasie posiłków. Kiejulkan spał do późna. Kiejulkana nikt nie trudził zbieraniem chrustu czy innymi pracami domowymi. Kiejulkanowi wolno nawet bawić się rytualnym bębniem i przymierzać różnokolorowe ozdoby, które Chytyndo nakładała na siebie odprawiając swe magiczne ceremonie.

I właśnie w tym prawdopodobnie leżało sedno sprawy. Szamanka chciała z niego zrobić swego następcę. Jakaga był głupi, niezręczny, zapominalski. Na starość te wady jeszcze bardziej się wzmogły. Coraz częściej podczas wróżb Chytyndo musiała rzucać na męża znaczące spojrzenia i burczeć gniewnie: „Znowu zły duch podbił mi rękę!”

Kiejulkan był znacznie sprytniejszy. Już w dzieciństwie wyróżniał się bystrością umysłu i ruchliwością — jak fryga kręcił się pod nogami. Z latami wyrósł na smukłego młodzieńca, prawie o głowę wyższego od Nyrty. Jego twarz o szeroko rozstawionych czarnych oczach miała zawsze

łobuzerski wyraz, nawet w czasie uroczystych występów rytualnych, kiedy towarzyszył majestatycznej, obwieszonej brzęczącymi ozdobami szamance, w charakterze jej drugiego asystenta.

Szamanka niewątpliwie dążyła do tego, by władza pozostała nadal w jej rodzinie. Nyrta i jego żona Fano nie posiadali w mniemaniu Chytyndo odpowiednich zdolności. Oto dlaczego zaczęła stopniowo, od najmłodszych lat, przyuczać wnuka do swego „fachu”...

Od dziesiątego roku życia babka trzymała go nieodłącznie przy sobie. U Chytyndo przysły szaman przechodził wstępne szkolenie, uczył się posługiwać bębniem, „latać we śnie pod obłokami”, przepowiadać przyszłość itd.

Piotr Arianowicz wiedział o nim tyle: pupil szamanki, spryciarz, łakomczuch, w dodatku próżniak, i nie darzył go zbyt dużą sympatią.

Ich stosunki urwały się jeszcze we wczesnym dzieciństwie Kiejulkana. W późniejszych latach szamanka zażdrośnie strzegła wnuka przed wpływem cudzoziemca.

Kiejulkan podjął pierwsze próby zbliżenia się do Wietługina wkrótce po zebraniu plemienia, na którym geograf opowiedział o przemianach, jakie zaszły za górami.

Jakkolwiek nie udało mu się namówić „Dzieci Słońca”, by szły za nim do tundry, Piotr Arianowicz był pełen najlepszych nadziei. Teraz już niedługo będzie czekał! Pomoc nadejdzie zza gór! Jego listy na pewno doszły do adresata, nie mogły nie dojść!

A tymczasem, w niecierpliwym oczekiwaniu owej pomocy, geograf starał się uzupełnić swoje odkrycie, uczynić je jak najpełniejszym.

Przeprowadzając obserwacje pogody, Piotr Arianowicz posługiwał się przyrządami własnej roboty. (Pewne doświadczenie w dziedzinie meteorologii zdobył jeszcze w 1915 roku w okręgu akmolińskim, na granicy stepu Głodowego, na pierwszym etapie zesłania.)

W meteorologii bardzo ważną rzeczą jest systematyka, dokładność i regularność obserwacji. Jeżeli się już raz rozpocznie, trzeba je stale kontynuować i bezwarunkowo

doprowadzić do końca. Toteż geograf bez względu na to, czy chorował lub zajmował się rozwiązaniem innych zagadnień naukowych, czy dręczyła go tęsknota do stron ojczystych i rodzinnego domu lub niepokój w związku z nowymi intrygami Chytyndo — niezależnie od tego wszystkiego prowadził swoje meteorologiczne obserwacje cztery razy dziennie, o określonej porze.

Pewnego razu, pochylony nad swymi przyrządami, Piotr Arianowicz usłyszał podejrząny szelest i obejrzał się. Zdążył jeszcze zauważyć tego łobuza Kiejulkana, który wychylił się na mgnienie z zarośli.

„Szpicel Chytyndo” — pomyślał z rozdrażnieniem geograf i wzruszywszy ramionami, znów pochylił się nad swoją robotą. Ale szpieg nie odchodził. Po jakimś czasie szelest się powtórzył. Tym razem Kiejulkan już nie myślał się kryć. Stał w zaroślach, wyprostowany, z rękami non-szalancko założonymi do tyłu i spokojnie przyglądał się, co robi Wietługin.

Takie natręctwo oburzyło geografa. Kazał Kiejulkanowi natychmiast się wynosić. Uśmiechnąwszy się, przyszedł szaman oddalił się nieśpiesznym krokiem.

Jednakże nazajutrz znów przyszedł. Usadowił się wygodnie w pewnej odległości i nie kryjąc się wcale, patrzył, jak Piotr Arianowicz zapisuje wskazania przyrządów meteorologicznych. Jakoś przykro było go przepędzić. W zachowaniu się chłopca nie było nic wyzywającego — po prostu siedział i patrzył.

Od tego czasu Kiejulkan zaczął przychodzić niemal codziennie. Piotr Arianowicz powoli przywykł do jego obecności. Czuł na sobie badawczy wzrok chłopca, ale postanowił nie denerwować się takim głupstwem. „Szpieguje? A co mi to szkodzi! — myślał. — Taki szpieg jest zawsze jeszcze przyjemniejszy niż ta mała Jakaga”.

Któregoś dnia klęcząc przy małym higrometrze<sup>1</sup> zrobionym naprędce z dwóch źdźbeł trawy, zauważył, że wnuk szamanki naruszył dobrowolnie przez niego samego

‘Higrometr — przyrząd do oznaczania wilgotności powietrza.



ustalony, przyzwoity dystans. Zbliżywszy się bezszelestnie, stanął w tej chwili tuż obok Wietługina, bardzo zabawnie, zupełnie jak ptak, przechylając głowę na ramię. Żywe czarne oczu Kiejulkana były szeroko rozwarłe.

— Teraz rozumiem — odezwał się wolno, nie odrywając oczu od hygrometru. — Kiedy w powietrzu jest mokro, źdźbła wilgotnieją i rozchodzą się. A znaczki na desce zrobiłeś po to, żeby wiedzieć: czy jest bardzo wilgotno, czy nie. Wszystko rozumiem!

Roześmiał się z triumfem, a potem przykucnął i ostrożnie dotknął hygrometru. Widocznie już od dawna korciło go, by to zrobić.

W tym dniu rozmowa obracała się wyłącznie wokół hygrometru. Nazajutrz Kiejulkan ze dwie godziny stał przy wiatrowskazie, w skupieniu obserwując, jak się obraca maleńka strzałka, umocowana na dwóch patyczkach.

— Twoje czarodziejstwo jest bardzo ciekawe — powiedział Kiejulkan do Wietługina. I po chwili namysłu dodał z przekonaniem: — Znacznie ciekawsze niż czarodziejstwo Chytyndo.

Odszedł i więcej nie przychodził na „stację meteorologiczną”. Ale teraz geograf coraz częściej spotykał się z uważnym spojrzeniem żywych, czarnych oczu chłopca.

Piotr Arianowicz nie był więc zdziwiony, kiedy wróciwszy któregoś dnia do domu zastał go u siebie. Kiejulkan siedział przy ognisku i bez szczególnego apetytu, co było zupełnie do niego niepodobne, jadł suszone mięso, którym Sojtyne poczęstowała bratanka.

— Jak to możliwe, że babka puściła cię do nas? — pytała ze zdumieniem Sojtyne. W odpowiedzi Kiejulkan bąknął coś niewyraźnie.

Tym razem chłopiec wydał się Wietługinowi jakiś dziwny, osowiały. Widać było po nim, że chce coś powiedzieć, lecz się waha, boi się. Kilka razy, bez wyraźnego związku z tematem rozmowy, wspomniał o Ptaku Mauk, ale natychmiast urywał i milkł.



Korzystając z momentu, kiedy Sojtyne wyszła na dwór, Piotr Arianowicz spytał wprost:

— Co ty wiesz o Mauku?

— Wiem, gdzie on żyje — wymamrotał chłopiec ledwo dosłyszalnie.

Spojrzał Spod oka na Wietługina i dodał proszącym tonem:

— Ale ty tam nie idź. Tam jest strasznie. Umrzesz!...

Wróciła Sojtyne. Kiejulkan umilkł i zaczął się zbierać do wyjścia.

Nazajutrz Wietługin spotkał go w lesie, gdy wyszedł obejrzeć potrzaski.

Wierny swej taktyce, która okazała się tak niezawodna w wypadku „bryłki lodu”, geograf nie powracał na razie do tematu Mauka, chociaż wewnętrznie drżał cały z niecierpliwości. Porozmawiali o zbliżającym się masowym polowaniu, o połowie ryb, o dwóch ździebełkach, które przepowiadają deszcz.

Rozstając się już z Wietługinem, Kiejulkan bąknął:

— W strasznym miejscu żyje. Duchy go strzegą...

Piotr Arianowicz dyplomatycznie zbył to milczeniem.

Był pewny, że Kiejulkan nie utrzyma długo swego sekretu. I rzeczywiście, już przy trzecim spotkaniu chłopiec opowiedział wszystko, co mu było wiadome o Mauku.

Według jego słów, uwił on sobie gniazdo w niedostępnym miejscu, w Dolinie Czarnych Skał.

Okazało się, że Chytyndo nie pozwoliła Kiejulkanowi towarzyszyć sobie aż do końca drogi i nie udało mu się zobaczyć Mauka. Ale dobrze zapamiętał drogę, każdy zakręt tajemnej ścieżki.

— Zaprowadzisz mnie tam! — oświadczył stanowczo Piotr Arianowicz.

Kiejulkan długo milczał, opuściwszy głowę. Wreszcie energicznie nią potrząsnął.

— Dobrze. Zaprowadzę cię — powiedział. — Ale pamiętaj: lepiej, żebyś tam nie szedł. Nikt jeszcze nie wrócił stamtąd, oprócz jednej Chytyndo. Ta ścieżka — to droga do śmierci...

## VII. Kamienna pułapka

1

Jednej z najbliższych nocy Wietługin i Kiejulkan wyprawili się na poszukiwania Mauka.

Piotr Arianowicz zawczasu zaopatrzył się w długi mocny rzemień — na wypadek, gdyby przyszło opuszczać się z urwiska — uzbroił się w oszczep, włożył do kieszeni krzesiwo i hubkę i teraz, siedząc na progu swego czumu, czekał na Kiejulkana. (Sojtyne już spała, nie podejrzewając nawet, w jak niebezpieczną drogę wybiera się jej mąż.)

U stóp Wietługina wiała się rzeka, znad której podnosiły się skłębione opary. Na dalszym planie ciemniały przybrzeżne zarośla, a jeszcze dalej wspinały się na zbocze niewysokie świerki i modrzewie.

Ale on widział i nie widział tego wszystkiego.

Spoza zwykłego krajobrazu kotliny wolno wylaniał się w wieczornym zmierzchu inny, nieznanym i dziwnym krajobrazem, który malowała jego wyobraźnia.

Rzeka zamieniła się w bagnistą lagunę, miejscami zupełnie czarną od wodorostów i mułu.

Smugi wody przeświecają między drzewami. I same drzewa wyglądają inaczej. Ich gigantyczne sylwety wznoszą się ku niebu, sięgając obłoków.

Roślinność na bagnie tworzy jakby kilka kondygnacji. Wprost z wody, obok węzłowatych korzeni innych drzew, wynurzają się drzewiaste skrzypy, zbite w gęste zarośla. Górują nad nimi piękne, o symetrycznych rowkach kolumny. To pnie widłaków. Nad widłakami królują wyniosłe sigillaria <sup>1</sup>, przypominające wielogłową hydrę, unoszącą się na ogonie.

Ale najwięcej jest tu paproci, ścielących się, pnących, drzewiastych. Ich liście wyraźnie rysują się na tle szarego, niskiego nieba.

‘Sigillaria — olbrzymie drzewa kopalne, które występowały w okresie węglowym.

Raz po raz rozwierają się upusty niebieskie... Ciężkie, wolno sunące chmury wylewają potoki wody na tę prehistoryczną dżunglę. Ciepłe ulewy na zmianę z mżącym „deszczem” zarodników. Niemal bez przerwy sypią się one na ziemię i w wodę z ogromnych guzów pokrywających pnie.

Stoi nieporuszenie fantastyczny las. Tylko od czasu do czasu zmaści jego ciszę przeciągłe skrzypienie, szelest liści, plusk wody. To jedno, to drugie drzewo, którego korzenie podmyła woda, nagle z ogłuszającym łoskotem wali się w lagunę. Teraz będą gnić na jej dnie, razem z innymi, wcześniej obalonymi drzewami...

Tak musiała wyglądać kotlina „Dzieci Słońca” przed wielu milionami lat.

Któż zamieszkiwał ją wtedy?

Przed zamkniętymi oczami Piotra Arianowicza przesunął się długi sznur potwornych stworzeń, podobnych do bajecznych smoków. Pomiedzy gigantycznymi paprociami, wlokąc ciężki brzuch po ziemi, pełzły stegozaury \*, iguanodony<sup>2</sup>, triceratopsy<sup>3</sup>. A nad nimi rozlegał się bezustannie chrzęst twardych, błoniastych skrzydeł. W powietrzu unosiły się skrzydlate jaszczury — pterodaktyle<sup>4</sup>.

Skrzydlate jaszczury?

Piotr Arianowicz zerwał się na równe nogi i w podnieceniu przeszedł się tam i z powrotem przed czumem.

Czyżby znalazł rozwiązanie?

Nagle z przeraźliwą wyrazistością ujrzał przed sobą Ptaka Mauk.

Miał on błoniaste jak u nietoperza skrzydła, ostre pazury wyszczerzoną paszczę. Był to skrzydlaty gad, odrażające połączenie ptaka i jaszczurki.

<sup>1</sup>Stegosaurus — zwierzę z rodziny gadów kopalnych, duże o dość małej głowie, z płytami na grzbiecie tworzącymi grzebienie.

<sup>2</sup>Iguanodon — wielki jaszczur z epoki przejściowej między jurajską a kredową; zwierzę roślinożerne; posiadało długi ogon, a na czole przypuszczalnie duży róg.

\* Triceratops - zwierzę z rodziny gadów kopalnych o trzech rogach i wielkiej kryzie kostnej osłaniającej szyję.

<sup>4</sup>Pterodaktyl — kopalny gad latający.

Tak, tak pterodaktyl!

Zaczepiając skrzydłami o wierzchołki drzew, latał w prehistorycznym lesie i zginął razem z nim.

Posępne, wilgotne dżungle przerzedzały się, gigantyczne drzewa jedno po drugim waliły się na dno, pokrywając się wodorostami i mułem. Minęły wieki. I oto laguna, i las, i żyjące w nim jaszczury pogrzebane już pod grubą warstwą ziemi. Ale w jej wnętrzu nadal trwa skomplikowany proces chemiczny, sprasowane rośliny kamienieją. Po upływie milionów lat pradawne paprocie, skrzypy i widłaki zamieniły się w węgiel.

Z początkiem lub w połowie XIX wieku wybuchł tu potężny pożar podziemny. W następstwie spalania się pokładu węglowego na ziemi, podgrzewanej od dołu, wyrósł las.

Potem do oazy za kręgiem polarnym przybyli ludzie i tu się osiedlili.

To właśnie podobalo się Piotrowi Arianowiczowi w jego nowej hipotezie: Mauk był nierozdzielnie związany z oazą!

Ale co się z nim dalej działo? Jak powstał kult Mauka?

Prawdopodobnie w jakiejś ustronnej pieczarze, w jednym z zakamarków Doliny Czerwonych Skał, znajduje się skamieniały szkielet pterodaktyla. Możliwe też, że jego ciało i kości już dawno zetlały, lecz na skale zachowały się ślady, odbicie potwornego cielska, i „Dzieci Słońca” zobaczyły „wyobrażenie” skrzydlatego jaszczura na ścianie pieczary.

Cóż z tego, że Mauk nie żyje? Właśnie to sprawia, że jest jeszcze groźniejszy, bardziej zagadkowy. Z czasem powstała legenda, jakoby ten potwór prześladował „Dzieci Słońca” i w końcu, zapędziwszy do kotliny, zamknął, uwięził je tu na wieki.

W ten sposób zrodził się kult Mauka.

Zresztą, coś w tym dziwnego, że ludzie epoki kamiennej oddają cześć szkieletowi? Co w tym dziwnego, że skamieniały jaszczur stał się symbolem owych niepojętych ży-

wiołów, wobec których tak bezsilnym czuł się pierwotny człowiek.

Dym wijący się nad ofiarnymi stosami nadawał pozory życia stworzeniu, które zginęło przed milionami lat. Mogło się zdawać, że Ptak Mauk wygina szyję, opuszcza się coraz niżej. Tylko patrzeć, jak się zerwie ze ściany i rzuci na ludzi, rozpostarłszy potężne błoniaste skrzydła...

Tak, ta hipoteza wydawała się wcale logiczna i prawdopodobna.

## 2

Długie cienie padające od skał zlewały się, otulając kotlinę mrokiem. Na niebo wysypał się rój gwiazd. Kiejulkan nie przychodził. Może Chytyndo się czegoś domyśla i zamknęła Kiejulkana? Ale wnuk szamanki nie należał do tych, którzy by się pozwalali zamykać.

Piotr Arianowicz wzdrygnął się nerwowo. Pragnął jak najprędzej znaleźć się w przybytku Mauka, by się przekonać, czy słuszne są jego przypuszczenia.

Nie usłyszał nawet, kiedy nadszedł Kiejulkan. Chłopiec zbliżył się swym bezszelestnym, skradającym się krokiem i zawołał go półgłosem.

Zachowywał się bardzo dziwnie: spoglądał spod oka na Wietługina i raz po raz ciężko wzdychał. A kiedy geograf podniósł się, dotknął jego ramienia i powiedział prosząco: „Nie idź! Nie idź dzisiaj, lepiej pójdziemy jutro!”

Ale Piotr Arianowicz był tak pochłonięty oczekującym go spotkaniem z Maukiem, tak się cieszył, iż wreszcie będzie mógł za jednym zamachem przeciąć ten węzeł, że nie zwrócił uwagi na wzburzenie Kiejulkana.

Rozglądając się ostrożnie, wymknęli się z osady i weszli w las.

Piotr Arianowicz kuśtykał, ciężko opierając się na oszczepie. Trzeba się było śpieszyć, by zdążyć tam i z powrotem w ciągu nocy.

Nagle rozległ się gwałtowny trzask gałązek, potem stłumione ciche westchnienie.

Wietługinowi serce zamarło. Czyżby to był „niewidzialny konwój”, szpiedzy Chytyndo?

Ale północne wyjście z kotliny prawie nie było strzeżone. Poza tym, w ostatnich latach kontrola nad Wietługinem osłabła — „Dzieci Słońca” przekonały się, że chromy człowiek nie potrafi zejść daleko i w razie ucieczki łatwo go będzie dopędzić i zavrócić.

— To zając się obudził. Spłoszyliśmy zająca — rzekł spokojnie Kiejulkan, nie zatrzymując się nawet.

Las pozostał za nimi. Droga stawała się coraz trudniejsza. Już nie miękki mech był pod nogami, lecz nagie, ostre kamienie i osypujący się żwir.

Piotr Arianowicz z niepokojem spojrział w górę. Ogromna tarcza gwiazdowego zegara bardzo wolno przesuwała się na niebie — zbliżała się północ.

Lecz Dolina Czerwonych Skał (tak Piotr Arianowicz nazwał na swej mapie Dolinę Czarnych Skał, miejsce masowych polowań) była już przed wędrowcami.

Ustronie to ożywało jeden jedyny raz w roku. Rozbrzmiewało wtedy tętentem kopyt, pluskiem wody, chrapaniem przerażonych renów, przeraźliwymi krzykami myśliwych, zwielokrotnionymi przez echo odbite od skał. W tej chwili dolina trwała w posępnym, czujnym milczeniu.

Nagle Kiejulkan usiadł na ziemi, założywszy ręce na ramiona.

— Nie pójdę dalej! — mruknął. — I ty nie idź! Umrzesz!...

Piotr Arianowicz bez słowa obszedł go i wyszukując ścieżkę oszczepem, ostrożnie zaczął schodzić w dół. Z dna wąwozu podnosiła się mgła, bardzo gęsta, przesycona jakąś ostrą, błotną wonią. Odzież od razu przesiąkła wilgocią.

Schodził wąskim żlebem, opierając się ręką o mokre, oślizłe glazy. Miał wrażenie, jakby przedzierał się między dwiema chmurami, które tocząc się w dolinę, zaczepiły o grzbiec góry i zawisły na nim jak mokra bielizna na sznurze.

W pewnej chwili usłyszał za sobą wołanie:



— Tynkaga, idę z tobą!

Piotr Arianowicz uśmiechnął się. Wiedział, że Kiejulkan nie pozostawi go w połowie drogi.

A było rzeczą niezmiernie ważną, by Kiejulkan doszedł do celu i na własne oczy zobaczył Mauka.

To nic, że szkielet (lub odbicie) kopalnego jaszczura wyda mu się koszmarnie straszny. To nic, że chłopiec padnie na ziemię, zakrywając twarz rękami. Wtedy on podejdzie do niego, ostrożnie dotknie jego ramienia i powie: „Jeszcze nie wszystko widziałeś, Kiejulkanie. Patrz! Oto zabijam Mauka!...”

Uniesie oszczep, zamierzy się i — niech mu wybaczą paleontologowie! — uderzy z całej siły, Tak, uderzy! I ptak Mauk na oczach „Syna Słońca” rozsypie się w proch...

Może to będzie wyglądać zbyt teatralnie? Trudno! Chytyndo przyzwyczała mieszkańców kotliny do efektów teatralnych.

Nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że razem ze skamieniałym szkieletem rozsypie się w proch również i stare zakłęcie Mauka. A wtedy już nic nie potrafi utrzymać „Dzieci Słońca” w górach!...

Wędrowcy posuwali się teraz wolno po wąskim gzymsie. Z lewej strony był stromy oślizły stok, z prawej kłębiła się mgła.

W miarę jak schodzili coraz niżej w dolinę, wciąż szczelniej otulała ich mgła. Gwiazdy na niebie gasły jedna po drugiej. Przypominało to zejście do podziemi.

Wietługin zapalił pochodnię i uniósł ją wysoko nad głowę. W pamięci stanęła mu owa odległa noc, kiedy to błądził po „galerii obrazów”. Tak samo rozglądał się na wszystkie strony. I także przyświecał sobie pochodnią.

Kiejulkan znów usiadł na ziemi.

— Nie pójdę — zawołał. — I ty nie idź... Nie wolno!...

Obrzucił Piotra Arianowicza gniewnym a zarazem żalnym spojrzeniem. Ale i tym razem geograf go nie rozumiał. Myślał tylko o czekającym ich spotkaniu z Maukiem.

— Wstawaj, Kiejulkan! — przynaglił chłopca. — Niczego się nie bój!

Kiejulkan z niechęcią powlókł się za nim, mrużąc coś pod nosem i zawzięcie wymachując rękami, jakby spierał się z kimś niewidzialnym.

— Sama prowadź — doszło uszu Piotra Arianowicza. — Nie jestem przynętą na lisa, a on nie jest lisem... I nic złego mi nie zrobił...

Z mgły wynurzyło się coś ciemnego i wielkiego.

Piotr Arianowicz uniósł wyżej pochodnię i aż gwizdnął.

Nad wąską górską ścieżynką zawisł ogromny głaz. O tym, żeby go obejść, nie było mowy. A przestrzeń dzieląca głaz od ścieżki była tak niewielka, że można się było wtedy chyba tylko przeczołgać.

Kiejulkan nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

— Nie idź — powiedział rwącym się głosem. — Zabije!...

— Przecież Chytyndo chodziła — ze zniecierpliwieniem rzucił Piotr Arianowicz, zbliżając się do niebezpiecznego miejsca. — I nie zabiło jej. Dlaczego by nas miało zabić?

Kiejulkan chciał coś odpowiedzieć, lecz tylko ciężko westchnął. Wietługin oddał mu pochodnię, a sam stanął na czworakach, zamierzając w tej niezbyt heroicznej pozie sforsować przeszkodę.

Nagle zza jego ramienia wysunął się oszczep. Zakołysał się w powietrzu i uderzył w drewnianą podpórkę. (Okazało się, że pod głazem była podpórka!) Kamień z głuchym loskotem zwałił się na ziemię. Pułapka zatrzasnęła się.

Tak to była pułapka!

Piotr Arianowicz oniemiał ze zdumienia.

Ileż to razy zastawiał na lisy podobne kamienne pułapki w tundrze nazywa się je paściami). I oto o mały włos sam nie wpadł w taką paść!

Przeszedł go spóźniony dreszcz strachu. Gdyby Kiejulkan nie zorientował się w porę i nie uderzył oszczepem w podpórkę, Piotr Arianowicz leżałby pod tym głazem. Wspaniały nagrobek, nie ma co mówić!

Ale dlaczego taka duża paść?

Czyżby była zastawiona nie na lisa, lecz na człowieka?...

Wietługin odwrócił się do swego towarzysza, by go o to zapytać. Wnuk szamanki trzymał w ręce złamany oszczep i przyglądając mu się uważnie, dalej wiodł spór ze swym niewidzialnym rozmówcą.

— Mogłaś sama prowadzić — mrucał gniewnie. — To twój wróg, a nie mój. I jego czarodziejstwo jest znacznie ciekawsze od twojego. A ja nie jestem przynętą na lisy!..

Dla Piotra Arianowicza wszystko od razu stało się jasne.

Był to nowy „dowód pamięci” ze strony Chytyndo.

Jednakże Kiejulkan niepotrzebnie gniewał się o to, że jego, syna myśliwca, który miał również w przyszłości być sławnym myśliwym, chciano użyć jako przynętę. Przynętą był Ptak Mauk!

Geograf wspiął się na zagradzający drogę głąz i wyciągnął przed siebie rękę z pochodnią. Dalej nie było ścieżki.

A więc nie ma również żadnego przybytku Mauka?

Dopiero teraz Wietługina ogarnął prawdziwy strach. Czyżby obrał niewłaściwą drogę? Czyżby jego hipoteza o latających jaszczurach była fałszywa?

— Mauka tam nie ma — odezwał się z niechęcią Kiejulkan. — Chytyndo trzyma go przy sobie. Chowa za pazuchą!...

### 3

Wnuk szamanki zupełnie upadł na duchu. W drodze powrotnej raz po raz zatrzymywał się i bojaźliwie się oglądał. Piotr Arianowicz był zdziwiony, widząc, że jego towarzysz nie zdejmuje strzały z cięciwy.

W pierwszej chwili geograf sądził, że chłopiec boi się Chytyndo, ale okazało się, że sprawa jest znacznie poważniejsza.

— Duchy mogą uderzyć na nas z tyłu — rzekł Kiejulkan, szcękając zębami.

— Jakie duchy?

— Chytyndo posłała za mną duchy. Powiedziała, że jeśli nie będę posłuszny, duchy mnie rozszarpią.

A przecież chłopak ośmielił się sprzeciwić babce, nie wypełnił jej rozkazu!

Na każdym kroku przywidywali mu się teraz niewidzialni wrogowie.

Palce Kiejulkana kurczowo ścisnęły łuk. Co to? Jakieś ogromne kołyszące się rogi pochyliły się zagradzając drogę.

Wietługin odwrócił się:

— Co z tobą, Kiejulkan?

— O, tam!

— Gdzie, Kiejulkan? To mgła! To smugi mgły!

Tak, to rzeczywiście mgła.

Ale oto tam dalej widać jakieś cienie. Sterczące w górę uszy, zjeżona sierść... Zupełnie podobne do widmowych psów!

Chłopiec starał się opanować. To przecież tylko psy, a on nie bał się żadnego psa na świecie. Najbardziej zjadł rozdzielał, gdy zaczynały gryźć. Po prostu chwycił za kark i odrzucał w różne strony. Ale tamte to były żywe psy, z nimi umiał sobie radzić. A to były psy martwe, dusze psów. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak się z nimi obchodzić.

— To kamienie, Kiejulkan! — powiedział Piotr Arianowicz. — Wierz mi, to tylko kamienie.

Ale oglądając się co chwila, by uspokoić Kiejulkana, geograf przestał patrzeć pod nogi. Toteż w pewnej chwili potknął się i upadł, upuszczając pochodnię na ziemię.

I wtedy Kiejulkan dokonał czynu, z którego później był bardzo dumny. Własnym ciałem osłonił leżącego na ziemi Tynkę i jak szalony zaczął wypuszczać strzałę za strzałą w skłębioną mgłę, kryjącą w sobie tysiące groźnych widm.

Sam potem nie potrafił nigdy wytłumaczyć, co się mu właściwie przywidziało. Po prostu cały ów mityczny, zaziemski świat, o którym tyle mówiła „Dzieciom Słońca” Chytyndo, otoczył chłopca i ruszył na niego. Ale on zebrał całą swą odwagę i stawił mu czoło z bronią w ręku..

Świtało już, gdy Wietługin i Kiejulkan — zziębnięci, przemoczeni i zmordowani — wrócili do domu.

Z nerwami geografa nie było dobrze. Długo nie mógł usnąć i przewracał się z boku na bok. Wciąż jeszcze miał w uszach głuchy łoskot zatraskującej się pułapki, a przed oczami — chłopięcą postać Kiejulkana, który w ogromnym napięciu, gorączkowo wyrwijąc strzały z kołczanu, strzelał do duchów doliny.

Chłopiec strzelał w pustkę.

A może w tym właśnie tkwi tajemnica Mauka? Może nie ma on nawet szkieletu i istnieje tylko w fantazji „Dzieci słońcu”?

## VIII. „Ogniste wrota”

1

Po nocnej wyprawie w Dolinę Czerwonych Skał Kiejulkan jawnie zerwał z Chytyndo. Rano przeniósł swoje manatki do czumu Nyrty i tu już pozostał.

Szamanka mogła kasać sobie ręce, kopać Bogu ducha winnego Jakagę, zawodzić i biesić się, ile się jej tylko podobało. Ludzie spoglądali na siebie porozumiewawczo i kiwali głowami. Jakąż moc jednak musi mieć Tynkaga, jeśli nawet rodzony wnuk Chytyndo, którego uczyła na szamana, odwrócił się od niej!

Ale sam Piotr Arianowicz, jakkolwiek cieszyło go to skromne zwycięstwo, zaprzątnięty był czymś zupełnie innym.

Zagadka Mauka pozostała nie rozwiązana i to paraliżowało wszelkie jego wysiłki. Tajemnicza istota nadal trzymała w swych drapieżnych szponach maleńki naród „Dzieci Słońca”, nie wypuszczając go z gór.

A tymczasem nie wolno było dłużej zwlekać.

Coraz trwoźniej dźwięczał w uszach Wietługina miarowy odgłos spadających kropeł w wodnym zegarze, który stał przed nim na stole. Czas istnienia oazy zbliżał się ku końcowi.

Potężne siły podziemne, które dały jej życie i podtrzymały je, były na wyczerpaniu.

Czy na długo jeszcze starczy węgla w „piecach”? Tego Piotr Arianowicz nie mógł powiedzieć. Tchnienie otaczających zimnych przestworów, rok po roku stawało się bardziej odczuwalne. Teraz całymi dniami lodowaty, przenikliwy wiatr hulał po dolinie, przygniatając do ziemi trawę, garściami zrywając liście z drzew.

Ludzie stopniowo przesuwali się w głąb kotliny, przenosząc się coraz dalej w górę rzeki. Poza nimi pozostawał martwy las, uschnięte, pozbawione liści i igliwia drzewa, wyblakła, szerniała trawa.

W miejscach gdzie pokład węglowy się wypalił, powstawała próżnia i ziemia osiadała.

Mieszkańcy kotliny żyli w zatrważających warunkach — ciągłe obrywy, osuwiska, lokalne trzęsienia ziemi. Krajobraz coraz to się zmieniał. Pewnego lata obryw zagroził rzekę i kilka czumów znalazło się w wodzie. Innym razem osunął się z góry potężny płat ziemi wraz z brzozowym zagajnikiem.

Oaza w oczach zmieniała się w ruinę.

Równie niepokojące były obserwacje nad fauną kotliny.

Z każdym rokiem przylatywało mniej gęsi, kuropatw i mew. Niezawodny instynkt przelotnych ptaków mówił im, że tu dzieje się coś niepokojącego, coś, co grozi niebezpieczeństwem.

Także zwierzęta opuszczały skazaną na zagładę oazę. Zdarzało się, że nawet Nyrta wracał do domu bez zdobyczy, z pustymi rękami.

Wiosną 1934 roku Piotr Arianowicz zanotował w swoim dzienniku, że z kotliny zupełnie zniknęły zające, a w rok później był świadkiem masowej ucieczki lemingów. Łowił właśnie razem z Kiejulkanem ryby, gdy nagle ujrzał dziwny pochód. Lemingi szły wąską krawędzią przeciwnego brzegu. Trudno było na oko określić liczbę, w każdym razie było ich co najmniej kilkaset sztuk.

Zwierzątka nie zwracały na rybaków najmniejszej uwa-

gi, mimo iż rzeka w tym miejscu nie była zbyt szeroka. Sunęły zwartą ławą, tłoczyły się; idące z tyłu napierały na przednie szeregi, próbowały nawet włączyć im na grzbiety.

Można było być pewnym, że gdzieś zza skał wysuwają się stojące, spiczaste uSzka i połyskują paciorki czujnych czarnych oczu. Gdzie lemingi, tam i lisy!

W ślad za lemingami i lisy wracały do tundry...

Geograf dokładnie opisał w dzienniku swe spotkanie z lemingami, tuż pod notatką o kolejnym osunięciu się ziemi. Oba te fakty pozostawały ze sobą w ścisłym związku.

Tak, wszystko, co żyło, uciekało z kotliny! Tylko ludzie tkwili tu nadal, przykuci do gór jakimiś niewidzialnymi łańcuchami, których Wietługin nie mógł rozerwać.

Konieczna była pomoc wielkiej, potężnej, nowej Rosji, która teraz tak dziwnie się nazywa — ZSRR. Tylko stamtąd, z południa, od strony tundry, mógł przyjść ratunek.

Ale nie przychodził!

Z tym większym uporem Piotr Arianowicz robił wszystko, by nawiązać łączność z Rosją. Co wiosny wysyłał już nie po jednym liście w drewnianej „kopercie”, ale po pięć-sześć, dając w nich zwięzły opis wydarzeń.

Odpowiedzi na listy też nie było.

Nieraz Wietługinowi zdawało się, że już nigdy nie wydobędzie się z „zaklętego” lasu i zginie tu razem z „Dziećmi Słońca”.

Ale chyba ktoś znajdzie jego notatki? Wcześniej czy później rosyjscy podróżnicy przybędą w góry Byrranga i natkną się na szczątki oazy.

Cóż, i w górach Byrranga Wietługin stał na posterunku. Wypełni swoją powinność do końca. Zrobi wszystko, co w jego mocy. Będzie dalej prowadził badania przedziwnego światka, w jaki rzucił go los, i podsumuje swe długoletnie obserwacje dla dobra nauki.

„Oby tylko moje notatki zachowały się, doszły do właściwych rąk — zapisał Piotr Arianowicz w dzienniku. — Niech inny rosyjski uczonego bada dalej historię mieszkańców kotliny. Będzie to robił w znacznie dogodniejszych

dla pracy naukowej warunkach: w zacisznym gabinecie z ciężkimi storami na oknach, przy lampie z zielonym abażurem, przy biurku zawalonym grubymi księgami...”

Jak bardzo charakterystyczne dla Piotra Arianowicza były te słowa!

„Mnie wystarczy — pisał dalej — jeśli moje nazwisko zostanie wymienione gdzieś w odsyłaczu, w komentarzach, w bibliografii! To cała moja ambicja. Dla mnie jest najważniejsze, żeby mój trud nie poszedł na marne, żeby o odkrytej oazie, jak również o »Dzieciach Słońca«, dowiedziała się ojczysta nauka. Przecież to część historii mojej Ojczyzny! Myśl o jej sławie i pomyślności zawsze podtrzymywała i podtrzymuje mnie w mojej niedoli.

Sława — cóż po sławie? Nie, szczerze mówiąc, nie myślę o sławie. Życie to ruch, rozwój, właśnie w nauce widać to najwyraźniej. Ciągnie się przez wieki nieskończenie długi łańcuch, a ja jestem tylko jednym z ogniw tego łańcucha.

Z tej myśli czerpię odwagę i zadowolenie.

Życie ludzkie jest tak nietrwałe, człowiek jest śmiertelny... Cóż z tego? Niechże więc trwa wiecznie życie idei!...”

## 2

Pochłonięty myślami o nieuchronnej zagładzie odkrytego przez siebie światka, Piotr Arianowicz mało uwagi poświęcał sprawom etnografii. Ciemny żywioł zabobonów i przesądów — żywioł Chytyndo — przypomniał o sobie niespodziewanie, w najbardziej tragicznej dla niego formie.

W zimie 1937 roku Wietługin wybierał się na przełęcz, by sprawdzić, do jakiego poziomu obniżyła się granica śniegu pokrywającego grzbiety gór. (Sprawdzał to każdego roku.)

Tym razem jednakże wahał się. Sojtyne zachorowała. Twarz jej pałała, wargi były spieczone, puls przyśpieszo-



ny. („Dzieci Słońca”, żyjące stale w wilgotnym klimacie, często chorowały na febrę.)

Piotr Arianowicz zastosował zwykle domowe środki: dał chorej na głowę zimny okład, poił ją odwarem obniżającym gorączkę.

Nazajutrz Sojtyne poczuła się lepiej. Wiedząc, jak ważną rzeczą dla Piotra Arianowicza jest bytność na przełęczy właśnie w pełni zimy, zaczęła go namawiać, by nie odkładał wyprawy. Do jej próśb dołączył się Kiejulkan, który miał towarzyszyć geografowi; chłopiec zjawił się w pełnym marszowym ekwipunku i teraz niecierpliwie przestępował z nogi na nogę u progu pieczary Wietługina.

Chcąc pokazać, że czuje się dobrze, Sojtyne usiadła na swym łożu i zaśpiewała im na drogę pieśń. Piotr Arianowicz uśmiechnął się, usłyszawszy takie słowa:

— Wiatr czeka w górach na mego męża. Nie wolno kazać czekać wiatrowi. Oni mają bardzo ważne sprawy, wiatr i mój mąż...

Żona Nyrtu, która miała pozostać z chorą, kiwała uspokajająco głową.

I Piotr Arianowicz poszedł, unosząc w pamięci kochający, promienny wzrok swojej Sojtyne.

Któż mógłby przypuszczać, że już nigdy więcej jej żywej nie zobaczy!...

W drodze zatrzymali się z Kiejulkanem dłużej, niż przewidywali — byli nieobecni nie dwa, lecz cztery dni.

Schodząc do kotliny usłyszeli wysoki, nieznośnie wysoki krzyk. Do przenikliwego kobiecego głosu dołączyły się inne kobiece głosy. Był to tradycyjny lament pogrzebowy.

Piotr Arianowicz przyśpieszył kroku, biegł prawie. Przeczucie nieszczęścia ścisnęło mu serce.

Podtrzymywany przez Kiejulkana, przeciął w poprzek osadę. Przed jego pieczarą stał tłum ludzi. Rozstąpili się, robiąc mu przejście. Płaczki umilkły wyczekująco.

Wciąż jeszcze nie wierząc, że stało się nieszczęście, Wietługin przestąpił próg.

Na gołej ziemi leżała Sojtyne.

Dlaczego ona leży na ziemi, a nie na swym łożu ze skór reniferowych? Dlaczego jej ciało jest tak wyprostowane, a oczy szczelnie zamknięte?

— Czy to ty, Sojtyne?!...

Piotr Arianowicz padł na ziemię obok swej żony, objął jej zimne, skostniałe ciało, które stało się dziwnie ciężkie i obce.

Nyrta z pobladłą twarzą wyprowadził z pieczary „Dzieci Słońca”, których pełno się tu napchało. Nie wolno im widzieć Tynkagi, najsilniejszego człowieka gór, w takim stanie!

Umilkłe na chwilę kobiety zaczęły snuć przypuszczenia. Czy Tynkaga ożywi swoją żoną? Nie, chyba mu się to nie uda...

W jakieś pół godziny później Nyrta wszedł na palcach do Wietługina. Jego przyjaciel leżał wciąż na ziemi jak nieżywy.

Myśliwy przykucnął obok niego i ostrożnie pogłodził go po głowie.

--- Tynkaga! — zawołał cichutko. — Czy słyszysz mnie, Tynkaga?

Wirtługin milczał.

--- Zrobiliśmy, co tylko było w naszej mocy, Tynkaga — i głębokim przekonaniem mówił dalej Nyrta. — Strzelałem w powietrze, aby odegnać złe duchy. Strzelał także Nejaptu i Nuchu, i Sojmu — wszyscy twoi przyjaciele. Wypuściliśmy w powietrze wiele strzał...

Wietługin nawet nie drgnął.

— Chytyndo ani na krok nie odstępowała Sojtyne. Jakąga bił w bęben. Potem podrzucaliśmy Sojtyne na skórach. Ale i to nie pomogło. Wtedy przenieśliśmy ją przez „ogniste wrota”. Silniejszego już środka nie ma, Tynkaga...

Ledwo powstrzymując krzyk, wrywający się z piersi, Piotr Arianowicz zaczął drzeć paznokciami ziemię.

Wiedział, jak „leczą” swych chorych ludzie epoki kamiennej. Jego biedną Sojtyne okadzano śmierdzącymi ziołami, ogłuszająco walono nad nią w bęben. Chytyndo

skakała wokoło, wystrojona w swoją pstrą odzież, obwieszona brzęczącymi ozdobami i groźnie ryczała.

Na wszelkie sposoby — wrzaskiem, smrodem, potrząsaniem, biciem — starano się wypędzić złe duchy z ciała chorej!

A potem powleczono Sojtyne ku „ognistym wrotom”...

Wietługin jęknął.

Z przeraźliwą aż do bólu wyrazistością ujrzał przed sobą ten straszny obraz.

Cofając się do progu, Chytyndo wypadła z pieczary. Za nią śpieszyły kobiety, dźwigając na skórach chorą. Sojtyne na pewno krzyczała ze strachu, ale jej krzyk zagłuszyły bębny i wrzaski „Dzieci Słońca”.

Łucznicy otoczyli ją zwartym kołem. Przy chybotliwym świetle pochodni ostrzeliwali czarne, niskie niebo, odpędzając niewidzialnego wroga.

A w głębi lasu już buchały w górę długie języki płomieni. Biedną Sojtyne czekała tortura — oczyszczenie w ogniu...

„Ogniste wrota” były to dwa wysokie kamienie, ustawione w niewielkim odstępnie jeden od drugiego. Na nich leżał poprzecznie trzeci kamień. Tworzyło to coś w rodzaju bramy, w której rozpalano ogień. Przez tę właśnie bramę należało przenieść na skórach chorą.

Wietługin przymknął oczy, ale wciąż widział przed sobą bladą twarz swej żony i ogniste bryzgi lecące we wszystkie strony z ogniska...

Nie dopuścił więc nikogo do jej ciała i sam pogrzebał Sojtyne obok ich mieszkania. Nawet po śmierci powinna być razem z nim!...

W stypie Piotr Arianowicz nie brał udziału.

Nie mogąc spać, usiadł na pniu przed progiem. Po osadzie krążyły migotliwe ogniki. Zgodnie z rytuałem całe plemię odprowadzało duszę Sojtyne w daleką drogę.

Jakże jednak nietrwałe było to wszystko, czego próbował nauczyć „Dzieci Słońca”! Wystarczyło, by spadło nieszczęście, i od razu ujawniła się ich zastraszająca ciemnota. Jakby mroczna otchłań rozwarła się u jego stóp...

Tej nocy, przysłuchując się monotonnemu łoskotowi bębna, Wietługin boleśniej niż kiedykolwiek odczuwał swą samotność w górach Byrranga. Zagarnął go przyływ rozpaczliwego, zabójczego smutku.

Zewsząd otaczał go polarny mrok. Zaciągnięte chmurami niebo — ani jednej gwiazdki, najmniejszego prześwitu — zawisło nisko nad głową.

Umarła... Sojtyne umarła — powtarzał Piotr Arianowicz, wsłuchując się w te słowa, i nie wierzył w nie, nie rozumiał...

Szesnaście lat przeżyli razem.

Sojtyne bardzo bolała nad tym, że nie mają dzieci. Za to całą duszę włożyła w swą miłość do Tynkagi. Z każdym rokiem lepiej go rozumiała. A to tak pomagało mu żyć i walczyć! Kochająca kobieta zawsze odgaduje w mężczyźnie to, co jest w nim najlepszego...

Czy to możliwe, że już nigdy nie podniesie na niego swych skośnych, błyszczących oczu, nie powie z tklwym uśmiechem: „Mów jeszcze. Ja zrozumieję. Niedługo już będę rozumiała wszystko, co ty mówisz!”

Czy to możliwe, że nie będzie już nigdy śpiewała, pochylona nad swoją robotą przy ognisku: „Mój potężny, silny mąż — najsilniejszy człowiek w górach! Jemu posłuszne są śniegi w wąwozie i woda w rzece!”

Gwałtowny spazm ścisnął gardło Piotra Arianowicza. Wszedł do pieczary i usiadł przy stole.

Nie zapisał jeszcze w dzienniku ostatnich obserwacji nad granicą śniegu na przełęczy. Trzeba było prowadzić dalej swą pracę. W żadnym wypadku nie wolno mu jej przerwać! Zagłuszyć ból pracą!

Wietługin nie usłyszał, jak odrzuciwszy futrzaną zaslonę wszedł Nyrta. Gość stał u progu już chyba od kilku minut i dopiero po jego przerywanym oddechu geograf zorientował się, że ktoś jeszcze jest w pieczarze.

Na twarzy myśliwego malował się ból. Nyrta bardzo kochał Sojtyne i był dumny ze swej siostry, najlepszej śpiewaczki wśród kobiet kotliny. Przy tym męczyły go

wyrzuty sumienia. Nie zrobił tego, co powinien był zrobić. Przecież Sojtyne prosiła, by posłał po Tynkagę.

— Siadaj, Nyrta — odchrząknąwszy rzekł Piotr Arianowicz.  
— Odpocznij! Zaraz skończę pisanie i będziemy pić gorącą wodę...

Nyrta nachylił się nad ogniskiem, by zaparzyć suszonych ziół zastępujących w kotlinie herbatę, gdy nagle usłyszał za sobą dziwny kaszel. Odwrócił się. Tynkaga ciężko dyszał, jego ramiona unosiły się i opadały. Z gardła wyrwały się krótkie, chrapliwe dźwięki. Oczy były suche.

Nyrcie zrobiło się straszno. Nigdy jeszcze nie widział płaczącego mężczyzny. Tynkaga nie umiał płakać. Płacz był dla niego męczarnią. Siedział przy stole i szlochał, tracąc dech, kaszłąc i nie spuszczać oczu ze swego przyjaciela.

Kiedy pierwszy paroksyzm bólu minął, Nyrta podniósł się w milczeniu i skierował ku wyjściu.

Już w progu myśliwy zatrzymał się, jakby przypomniał sobie coś bardzo ważnego.

— Słuchaj! — Jego głos zabrzmiał nadspodziewanie głośno. — Chcę cię o coś zapytać. Ale powiedz mi prawdę.

— Dobrze.

— Odpowiedz: gdyby „Dzieci Słońca” żyły tam, w tundrze, czy Sojtyne żyłaby?

Wietługin milczał. Nyrta gwałtownie chwycił go za rękę:

— Nie rozumiesz? Kiedy znalazłeś swoją duszę w bryłce lodu, który nie taje, pamiętasz, powiedziałaś: „Teraz w tundrze jest dobrze! Chodźmy tam!” Ale Chytyndo mówiła: „Nie, tam jest źle, nie wolno tam iść”. Czy ona mówiła nieprawdę? Czy w tundrze nie daliby Sojtyne umrzeć?

Podany całym ciałem ku Wietługinowi, czekał na odpowiedź.

Cóż, za kręgiem polarnym na pewno powstały nowe miasta, muszą tam też być doświadczeni lekarze, którzy by udzielili pomocy biednej Sojtyne.

— Tak, Nyrta — odparł Piotr Arianowicz. — Sojtyne zostałyby przy życiu.

Nyrta nic na to nie odpowiedział. Bez słowa naciągnął kaptur na głowę i wyszedł.

Nazajutrz odnalazł geografa, gdy ten zapisywał właśnie poranne wskazania przyrządów meteorologicznych, znajdujących się nie opodal jego mieszkania.

Cokolwiek by się działo, pomiary trzeba było robić regularnie cztery razy na dzień, w określonych godzinach. Inaczej poszłaby na marne cała praca minionych lat.

Piotr Arianowicz nachylał się nad swymi przyrządami, wpisując dane do dziennika.

Ale przez cały czas w skroni pulsowała jakaś dokuczliwa żyłka, natrętnie i boleśnie wystukując: „Umarła! Sojtyne umarła!...”

W pobliżu nikogo nie było. Nyrta dotknął ramienia swego przyjaciela i powiedział półgłosem:

--- Pójdę na południe, do tundry. Wyślij mnie, Tynkaga!

Wietługin wyprostował się i ze zdumienia aż upuścił dziennik z rąk.

--- Sojtyne była moją siostrą wyjaśnił Nyrta. — Nie chcę, aby ktokolwiek z moich braci i sióstr umierał tak, jak umarła Sojtyne... I widziałem twoją boleść, przyjacielu...

— Z tobą zostanie Kiejulkan — dodał spieszenie, mylnie tłumacząc sobie milczenie Piotra Arinnowicza. — On zawsze będzie z tobą. Tak mu nakazałem. To mój syn. A ja zaniosę skórę reniferową. Zrób na niej malutkie znaczki, Po tych śladach przyjdą tu twoi przyjaciele, i w górach nikt więcej nie umrze!...

— A gniew Chytyndo?

Myśliwy przechylił głowę na ramię, przymrużył oko. W tym ruchu na mgnienie ukazał się dawny, pewny siebie, tryskający życiem Nyrta.

— Biegam szybciej od tej góry tłuszczu — odparł niefrasobliwie. — Jej gniew mnie nie dogoni!...

# IX. Echo Byrrangi

1

Sawczuk opuścił zwitek skóry reniferowej na kolana i w zdumieniu spojrzął na nas.

Oto kim był martwy goniec!

To był Nyrta, dobry odważny Nyrta, wierny przyjaciel Piotra Arianowicza, który kiedyś stoczył z nim pojedynek, a potem poświęcił dla niego własne życie!...

Jak to on powiedział, odchodząc: „Chcę, aby nikt więcej nie umierał w kotlinie!” I sam umarł wkrótce po tym,

Jednakże wysłani w pościg zabójcy bali się spotkania z Nyrta twarzą w twarz. Wyprzedzili go i czekali w zasadzce, maskując się tak doskonale, że nawet czujne ucho znakomitego myśliwca ich nie usłyszało.

W przeciwnym razie zobaczylibyśmy wokół trupa Nyrty kilka trupów jego wrogów. Na pewno sprzedałby drogo swe życie, starając się przebić do tundry, do przyjaciół i współplemieńców Tynkagi.

Widocznie zabójcy nic nie wiedzieli o piśmie albo też instrukcja, dana im przez Chytyndo, była niedokładna. Upewniwszy się, że ten, który naruszył zakaz, nie żyje, nie obszukawszy nawet trupa pośpieszyli z powrotem po nagrodę. Lecz przedtem przywalili Nyrte kamieniami. Może bali się, że duch Nyrty będzie ich ścigał? A może chcieli mocniej przygwoździć do ziemi ciało odszczepieńca, żeby nawet jego duch nie przekroczył zakazanej granicy?

Wykonawszy swą brudną robotę, natychmiast, jak spłoszone kruki, rozpierzchli się po lesie, kryjąc twarze pod nasuniętymi nisko kapturami.

Ale Nyrta wypełnił polecenie.

„Przyprowadzę twoich przyjaciół, Tynkaga” — obiecał. I oto staliśmy obok jego trupa, trzymając drogocenne pismo w rękach.

Wierny, rzetelny człowiek! Podjął się donieść wieść i doniósł! Martwy uchował ją i doniósł!

Liza nastawała na to, żeby pogrzebać Nyrkę. I chociaż bardzo nam się śpieszyło — każda nowa wiadomość od Piotra Arianowicza była trwożniejsza od poprzedniej — zatrzymaliśmy się na pół godziny przy stosie kamieni, by oddać Nyrce ostatnią posługę.

— On tak kochał Piotra Arianowicza — szepnęła Liza kryjąc przed nami zaczerwienione oczy.

I te słowa zabrzmiały jak krótkie, wzruszające epitafium nad mogiłą śmiałego „Syna Słońca”, przyjaciela rosyjskiego podróżnika...

Potem ruszyliśmy dalej, zagłębiając się w przyczajony ciemny las.

Sawczuk pierwszy przerwał ciężące wszystkim milczenie.

— Czy zwróciliście uwagę na datę pisma? — spytał.

--- Tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy rok.

--- A teraz mamy czterdziesty. Trwa wciąż zadziwiające przesuwanie się wydarzeń w czasie. W miarę naszego zbliżania się do oazy i one przybliżają się do nas nie tylko fi w przestrzeni, ale i w czasie...

Tak, teraz już tylko trzy lata dzieliły nas od wypadków znanych nam z ostatniego pisma. Ale jakże tragicznie były te wypadki, jak groźne!...

Czy zastaniemy jeszcze Piotra Arianowicza i „Dzieci Słońca” w kotlinie?

Sawczuk, pragnąc widocznie podnieść nas na duchu, ciągnął dalej rześkim głosem:

— Im bliżej z listów poznaję Piotra Arianowicza, tym więcej go podziwiam!

— Myśle!... — mruknęła Liza nie odwracając się.

— Mam na myśli przede wszystkim jego badania naukowe — wyjaśnił Sawczuk.

— No — odezwałem się, starając się być obiektywnym — jego przypuszczenia odnośnie Ptaka Mauk na razie nie potwierdziły się. Prawdopodobnie nie jest to ani me-



teoryt, ani pterodaktyl. W wypadku Mauka Piotr Arianowicz, według jego własnych słów, zabrnął w ślepią uliczkę...

— Nie macie racji. Wcale nie macie racji — gorąco zaprotestował Sawczuk. — W nauce czasami nie mniej ważną rzeczą jest powiedzieć „nie”, niż powiedzieć „tak”... Ślepa uliczka? No cóż! To znaczy, że trzeba jak najszybciej z niej się wydostać i szukać innej, nowej drogi.

— To prawda. W nauce bardzo ważne jest nie tylko słowo „tak”, ale również i „nie”.

— A weźmy etnograficzne badania Piotra Arianowicza. Mówię tu jako fachowiec. Jeśli chcecie wiedzieć, jego analiza zabaw dziecięcych, na przykład, dowodzi prawdziwego talentu.

— Szczególnie gdy pisze o kostkach reniferowych.

— Otóż to właśnie! Czy zdajecie sobie sprawę, że Piotr Arianowicz nie opisuje po prostu faktów, lecz je zestawia, stara się dotrzeć do ich źródeł. I dochodzi do zupełnie słusznego wniosku. „Dzieci Słońca” rzeczywiście kiedyś trudniły się hodowlą reniferów, a potem cofnęły się w rozwoju — ograniczyły wyłącznie do myślistwa. Gdyby Piotr Arianowicz miał pod ręką odpowiednią literaturę lub posiadał swobodę poruszania się po Półwyspie Tajmyrskim, bez wątplenia rozwiązałyby zagadkę pochodzenia etnicznego „Dzieci Słońca”.

— A wyście ją rozwiązali? — spytałem bez ogródek.

Sawczuk zawahał się.

— Jakby to wam powiedzieć... — bąknął, zerkając z ukosa na idącego obok w milczeniu Bulczu. — Oczywiście, skonfrontowałem pewne fakty. Przecież Piotr Arianowicz hojnie wyposaża mnie w materiały etnograficzne.

— Kimże więc są, waszym zdaniem, „Dzieci Słońca”?

— Nie, nie, to są tylko domysły. Przedwcześnie byłoby o tym mówić. Brak mi jeszcze jednego, bardzo ważnego ogniwa. Gdybym tak wiedział, czym jest Ptak Mauk!...

— Nie nalegaj, Losza — z rozdrażnieniem rzuciła Liza.. — Rozumiem was, Wołodia. Uczony powinien być powściągliwy, nie śpieszyć się z opublikowaniem swego

odkrycia. Dopiero kiedy wszystko jest jasne dla niego samego, kiedy postawi ostatnią kropkę, wtedy...

Urwała, brakło jej tchu. W tej chwili właśnie gramoliła się przez zwalone drzewo.

2

Myślałem o tym, jaki wpływ posiada indywidualność badacza na rozwiązanie tego czy innego problemu naukowego. I w tym wypadku, jak zresztą w ogóle w życiu, dużo, jak sądzę, zależy od charakteru danego człowieka.

Utarło się mniemanie, że uczeni zawsze kierują się wyłącznie rozumem. Nonsens! Nauka jest emocjonalna, głęboko emocjonalna.

Dlaczego, na przykład, Sawczuk z takim zapałem zajął się wyjaśnieniem etnicznego pochodzenia „Dzieci Słońca”? Czy tylko dlatego, że wchodziło tu w zakres przygotowywanej przez niego dysertacji? Nie wierzę! W historii najdalej na północy żyjącego narodu Syberii było coś, co zaimponowało Sawczukowi, co poruszyło nie tylko jego umysł, ale i serce.

Powiedziałem o tym etnografowi, kiedy przedostawszy się z trudem przez wyjątkowo strome usypisko, usiedliśmy, by odpocząć.

— Być może — zgodził się. Jakoś przedtem nigdy mi to nie przyszło do głowy.

I po chwili milczenia dodał w zamyśleniu:

— Bezimienni...

— Co za bezimienni?

— Takie nazwisko noszą niektórzy sybiracy. Wiecie chyba, że ja sam też po trosze jestem sybirakiem?... Spotykałem Bezimiennych, Boznazwiska...

— A ja znałam pewnego sybiraka, Bezojca — wtrąciła Liza. — Tak miał napisane w dowodzie osobistym: Iwan Sergiejewicz Bezojca.

— Otóż, widzicie, zainteresowało mnie, jak mogły powstać takie nazwiska. Zacząłem się rozpytywać. Okazało się, że ci Bezimienni i Beznazwiska są potomkami prze-

siedleńców, którzy nie chcieli podać władzom swego nazwiska. Innymi słowy, były to wnuki i prawnuki zbiegłych chłopów pańszczyźnianych, ukrywających się przed policją... Być może, że moje zainteresowanie „Dziećmi Słońca” stąd bierze początek...

— Rozumiem was. Pomyśleć tylko! Cały naród składający się z takich Bezimiennych, Beznazwiska, nie znających swego pochodzenia!...

— No, ich krewnych to już jakbym odnalazł — mruknął Sawczuk.

— Zawsze mówiłam, że jesteście głęboko uczuciowym człowiekiem — oświadczyła naraz Liza.

Sawczuk roześmiał się.

— Cóż też powiadacie!... Wręcz przeciwnie! Mam opinię oschłego...

— Nigdy w świecie! Jesteście bardzo uczuciowi!... Takim zresztą powinien być każdy Rosjanin, każdy radziecki uczonec! Czyżbyśmy się tu znaleźli, gdyby tak nie było?

Nagle Bulczu, który od chwili gdy opuściliśmy mogiłę Nyrtu, nie wyrzekł ani słowa, chwycił mnie za rękę.

— Dym! — rzucił krótko, wskazując w górę.

Unióśszy głowy zobaczyliśmy słup dymu unoszący się nad wierzchołkami drzew. Widocznie ognisko było rozłożone na najbardziej widocznym miejscu, na szczycie góry.

Pięć minut temu żadnego dymu tam nie było.

— O, jeszcze! Tam, tam! — zawołała Liza.

Idąc za jej wzrokiem ujrzałem drugi słup dymu, a jeszcze dalej, spoza drzew wolno wzbił się w górę trzeci. Wszystkie trzy kołysały się od silnych podmuchów wiatru i były dobrze widoczne na tle błękitnego nieba.

— Sygnały?

— Tak!

Usta Sawczuka były mocno zaciśnięte, oczy zwężone.

Nie było wątpliwości. To „Dzieci Słońca”, towarzyszące nam niewidzialnie, przekazywały w ten sposób wiadomość o naszym zbliżaniu się...

— A cóżemy się tu rozsiedli? — gniewnie rzuciła Liza. — Sytuacja jest tego rodzaju, że mamy jedno jedy-

ne wyjście: iść wciąż naprzód i naprzód, bez wahania, nie zatrzymując się.

Nasz mały oddziałek zwarł się jeszcze ciaśniej.

Szliśmy teraz nie po dnie wąwozu, lecz mniej więcej środkiem zbocza, przed nami otwarło się znacznie szersze pole widzenia. „Dzieciom Słońca” trudniej byłoby się zbliżyć niepostrzeżenie i zaatakować nas zniecka.

Idąc, wymienialiśmy między sobą półgłosem krótkie zdania.

W tym przeklętym lesie było jakieś bardzo dziwne echo; wystarczyło powiedzieć głośno słowo, a natychmiast podchwytowało jego koniec i zaczynało powtarzać, przekręcając na różne sposoby, jakby przedrzeźniając nas.

Z początku mnie to bawiło. Szybkie, zwinne echo przeskakiwało z grani na grani jak górski kozioł. Potem jednakże ten natrętny szwargot, nie milknący ani na chwilę, zaczął mnie drażnić, a w końcu poważnie niepokoić.

Czy nie jest to przypadkiem jakiś fortel „Dzieci Słońca”, które depczą nam po piętach i próbują zastraszyć, powstrzymać nas różnymi czarodziejskimi sztuczkami? Po Chytyndo i jej pomocnikach można było się spodziewać najbardziej nedorzeczej złośliwości.

Nie chciałem jednak wypowiadać swych podejrzeń na głos. Po co niepotrzebnie straszyć Sawczuka, Lizę i Bulczu. I bez tego twarze moich towarzyszy zdradzały utajoną trwogę.

W dole połyskiwała matowo rzeka. Była znowu stosunkowo głęboka. Kamieniste progi i mielizny, które kosztowały nas tyle sił, pozostały daleko za nami. Teraz znów można by płynąć naszą łodzią. Szkoda, że musieliśmy ją zostawić u progu martwego lasu.

Nagle zobaczyłem na rzece człowieka. Był to widok tak nieoczekiwany, że ze zdumienia stanąłem jak wryty. Moi towarzysze również przystanęli.

Człowiek ów płynął środkiem nurtu w maleńkim czółenku i wiosłował ze wszystkich sił, zrećźnie przerzucając krótkie wiosło z boku na bok. Był z gołą głową. Długie włosy rozwiewały się na wietrze.

Nie zdążyliśmy się opamiętać, gdy zza zakrętu ukazały się jeszcze trzy łodzie. Od wściekłych uderzeń wiosła zapieniała się wąska górską rzeka.

To była pogoń.

Człowiek nachylił się. Wiosło zamigotało w jego rękach jeszcze szybciej, połyskując w słońcu jak skrzydła ważki.

— Strzelają! Strzelają do niego! — krzyknął Bulczu.

Ujrzałem, jak jeden ze ścigających spuścił cięciwę łuku. Strzała przeleciała nad głową uciekiniera i zanurzyła się w wodę.

Odległość między łodziami wciąż się zmniejszała. Jeden z pogoni, pracując wiosłem z nieprawdopodobną szybkością, zaczął się już wysuwać do przodu. Próbował obejść zbiega, by przeciąć mu drogę i przyprzeć go do brzegu, lecz ten zdwoił wysiłki.

Dopiero w tym momencie strzeliło mi do głowy, że uciekinierem może być Piotr Arianowicz, i pędem rzuciłem się w dół, ku rzece. Za mną z głośnym krzykiem biegli Bulczu, Sawczuk i Liza.

Nasze nagłe pojawienie się na brzegu wywołało popłoch wśród ścigających. Nawołując się gardłowymi okrzykami, zaczęli pospiesznie zawracać swe łodzie i popłynęli z powrotem, przeciw prądowi. W mgnieniu oka wszyscy trzej znikli za zakrętem.

Tylko zbieg pozostał na rzece. Teraz zobaczyliśmy, że to nie Piotr Arianowicz. Był to szczupły młodzieniec w postrzępionej i wytartej futrzanej odzieży. Podpłynął do brzegu, bacznie wpatrując się w nas żywymi, czarnymi oczami.

Silnym ruchem wiosła pchnął swą łódkę naprzód i wyskoczył na piasek.

Minutę lub dwie staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Oczy młodzieńca trwożnie przebiegały ode mnie do Sawczuka i od Sawczuka do Lizy i Bulczu. Potem powiedział coś niewyraźnie i umilkł wyczekująco.

Widocznie jednak domyślił się z naszych twarzy, że nie dosłyszeliśmy jego słów, gdyż znowu powtórzył, głośniejsze i wyraźniej, skandując:

— Le-nin-grad!

Wypowiedział to słowo niezbyt pewnym głosem, z dziwnym akcentem, z jakąś ptasią intonacją.

Młodzieniec czekał na odpowiedź, podany całym ciałem naprzód. Wiosło, na którym się opierał, silnie drżało w jego ręce.

Nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie „bryłkę lodu, który nie taje” i tekst kartki włożonej do boi hydrograficznej. Ze słowa „Leningrad” Piotr Arianowicz domyślił się, że w Rosji dokonana się rewolucja.

Teraz słowo „Leningrad” zastępowało hasło.

A jakież był odzew?

Oczywiście „ZSRR” — drugie słowo, które tak uderzyło Piotra Arianowicza w notatce.

Wystąpiłem naprzód i powiedziałem pewnie i wyraźnie:

— ZSRR!... Leningrad, ZSRR!...

Twarz młodzieńca, do tej chwili chmurna i pełna napięcia, od razu się rozjaśniła.

— Dobrze powiedziałeś: Leningrad, ZSRR — ucieszył się. Mówił bardzo szybko, łamanym rosyjskim językiem. — Szedłem naprzeciw ciebie i twoich przyjaciół. Posłał mnie Tynkaga. Jestem Kiejulkan!

I wyjąwszy z zanadru czworokątny kawałek skóry reniferowej, na którym ręką Piotra Arianowicza była narysowana mapa oazy, podał go mnie.

## X. „Czerwone słońce” Kiejulkana

1

Chciewie, z wielką uwagą obejrzelśmy mapę. Sądząc po niej osada znajdowała się od nas w odległości nie więcej niż kilometra.

Tak samo w milczeniu Kiejulkan podał mi coś zmiętego i bezkształtnego.

W pierwszej chwili wziąłem to za flagę lub chustkę czerwonego koloru. Dopiero przyjrzawszy się bliżej,

uświadomiłem sobie, że mam przed sobą powłokę balonu. Przymocowana była do niej linka z deszczułką, na której czerniały litery: „ZSRR”, a niżej data — „1940 r.”.

Czymże innym mogło to być, jak nie jednym z owych baloników, których używa się do badania prądów powietrznych?

Spełniając uczciwie przyrzeczenie dane studentowi meteorologii, siostrzeńcowi Aksionowa, wypuściliśmy w powietrze wszystkie jego baloniki po drodze do oazy. Wąwóz wciągnął je niczym jakiś potężny tunel aerodynamiczny i baloniki pomknęły naprzód, wyprzedzając nas.

Widocznie któryś z nich wylądował szczęśliwie w samej oazie. Być może, nawet ten sam, który tak przstraszył niedźwiedzicę z niedźwiadkami w początkach naszej wędrówki?

Obstąpiwszy Kiejulkana, zarzuciliśmy go niecierpliwymi pytaniami.

— Czy Tynkaga żyje? Co się działo w ostatnich latach W oazie? Kto wysłał za tobą pogoń? Dlaczego na górach palą się ogniska? Czy daleko stąd do waszej osady?

Kiejulkan milczał, nie wiedząc, komu ma najpierw odpowiadać. W końcu odpowiedział na pytanie, które według jego mniemania było najważniejsze.

— Tynkaga żyje.

Westchnienie ulgi wyrwało się jednocześnie z naszych piersi.

— Żył, kiedy opuszczałem osadę — natychmiast poprawił się młodzieniec. — Biegłem bardzo szybko...

I dodał:

— Tynkaga posłał mnie naprzeciw was. On wiedział, że jesteście blisko. Powiedziało mu o tym malutkie czerwone słońce...

I z czułością wygładził na kolanach powłokę balonika.

— Trzeba go dokładnie wypytać — odezwał się Sawczuk półgłosem. — Powinniśmy wiedzieć, jakie przywitanie gotuje nam Chytyndo.

Skinąłem głową.

— A poza tym on musi chociaż trochę odpocząć — do-

rzuciła z przejęciem Liza. — Patrzcie! Przecież on dyszy jak zajeżdżony koń.

— Czy twoi prześladowcy nie wrócą? — spytał Bulczu. Przycupnąwszy obok chłopca podawał mu właśnie zapaloną już fajkę.

Kiejulkan zaciągnął się kilka razy.

— Dobre palenie — stwierdził z satysfakcją. — Bardzo dobre. Jeszcze nigdy takiego nie paliłem...

— Czy nie wrócą twoi prześladowcy? — powtórzył nasz przewodnik.

„Syn Słońca” lekceważąco machnął ręką.

— Nie — odparł z przekonaniem. — Oni się was boją. Myślą, że wy jesteście wysłannikami Mauka!

My wysłannikami Mauka? Coraz lepiej!...

— No mówże, Kiejulkan! — przynagliła chłopca Liza.

## 2

Przez ostatnie trzy lata Kiejulkan, według jego słów, czuwał nad bezpieczeństwem Tynkagi. Spał na progu jego mieszkania i towarzyszył mu wszędzie jak cień. Tak mu nakazał Nyrta.

— Powinieneś się stać cieniem Tynkagi — powiedział do syna na pożegnanie. — Ja odchodzę ty mnie zastąpisz. Przrzekasz?

— Tak — odparł Kiejulkan.

Ale o samym Nyracie nie było żadnych wieści. Tynkaga i Kiejulkan domyślali się, że Nyrta zginął. W przeciwnym razie na pewno dostarczyłby wiadomość na miejsce przeznaczenia i przyprowadził w góry przyjaciół Tynkagi.

Imienia myśliwego prawie nie wymawiano w osadzie. Tylko czasem wieczorami, siedząc przy ogniskach, „Dzieci Słońca” wspominały o współplemieńcu, który odszedł, by już nigdy nie wrócić.

— Nyrta chciał naruszyć zakaz — szeptali ludzie, bojaźliwie się oglądając. — I wtedy on go zabił...



Oczywiście mieli na myśli Ptaka Mauk. Ale Kiejulkan wiedział, że to Chytyndo, jego babka, zabiła ojca...

Tajna wyprawa w Dolinę Czerwonych Skał otworzyła oczy Kiejulkanowi. Od tego czasu dużo myślał o życiu w kotlinie, o złej i mściwej Chytyndo, o Tynkadze, który wyświadczył „Dzieciom Słońca” tyle dobrego.

Wciąż dźwięczał mu w uszach jego spokojny głos: „To mgła. To tylko mgła. Żadne widma, żadne złe duchy. A to kamienie. Zwyczajne kamienie, Kiejulkan!”

Syn Nyrty myślał o tym, że właściwie mówiąc tak było zawsze. Tynkaga na każdym kroku starał się krzepić, uspokajać „Dzieci Słońca”, odpędzać od nich straszne przywidzenia, koszmarnie sny. Wiódł jak gdyby cały naród za sobą, jak prowadził owej nocy Kiejulkana po stromych zboczach, nad samym skrajem przepaści. Prowadził go pewnie przez gęstą, kołyszącą się mgłę, pełną duchów, i te, lękając się jego głosu, usuwały się z drogi, dając im przejście.

Tynkaga postępował zupełnie inaczej niż szamanka, która straszyla ludzi, by przez to umocnić swą władzę w kotlinie.

O tym Kiejulkan wiedział lepiej niż ktokolwiek inny. Dopiero teraz zrozumiał, że biorąc udział w magicznych ceremoniach, w istocie pomagał szamance ogłupiać własnych współbraci.

Przedtem wydawało mu się to zupełnie niewinną zabawą. Chłopiec razem z Chytyndo i Jakagą pokpiwał sobie ze strachu „Dzieci Słońca” i upajał się swoją wyższością nad nimi. Teraz wstydził się tego, szczególnie Wobec Tynkagi.

Wspominając wyprawę w Dolinę Czerwonych Skał zastanawiał się też nad czymś innym. Jak to mogło się stać, że on, Kiejulkan, nie usłuchał groźnej Chytyndo i mimo wszystko pozostał przy życiu? Jest tak samo zdrow i rześki, jak przedtem. Duchy, które szamanka, według jej słów, wysyłała za nim w pościg, nie zamieniły go ani w mysz, ani w kamień. Nic nie mogły mu zrobić!

To znaczy, że duchy nie są wcale tak potężne, jak myślą

ludzie w kotlinie? A może babka oszukała go tak samo, jak oszukiwała inne „Dzieci Słońca”?

Niekiedy syn Nyrty lękał się własnych myśli i wciągnąwszy głowę w ramiona, pośpiesznie się oglądał. Czy nie zakradła się gdzieś z tyłu Chytyndo i nie podsłuchuje jego myśli?

Od wątpliwości był już tylko krok do walki, do buntu przeciw Maukowi i Chytyndo.

Różnymi drogami doszli do tego samego Kiejulkan i jego ojciec. Nyrte pchnęły do buntu śmierć ukochanej siostry i ból Tynkagi, łyzy najsilniejszego człowieka w górach. W porywie współczucia myśliciec bez wahania, bez zastanowienia uczynił to, co było dobre zdaniem Tynkagi, któremu bezgranicznie ufał.

Kiejulkanem jednakże powodowała nie tylko miłość i współczucie dla „Dzieci Słońca”, lecz również namiętne zainteresowanie wszystkim, co robił i czego uczył mieszkańców kotliny Tynkaga. Bystry chłopak, obdarzony żywym umysłem i bogatą wyobraźnią, uczył się zestawiać fakty, porównywać. Dlatego też poszedł dalej w praktycznych wnioskach.

Kiejulkan zaczął gorliwie pomagać Tynkadze w jego naukowych obserwacjach. Cała robota na stacji meteorologicznej spoczęła na jego barkach.

Wieczorami Tynkaga uczył chłopca czytać i pisać po rosyjsku. Ogromną satysfakcję sprawiało Kiejulkanowi samo pisanie. Umowne znaczki-literary w cudowny sposób układały się w słowa, a te tworzyły całe zdanie, które wyrażało myśl. Rozumiał już, że to jest coś więcej niż czarodziejstwo — to wiedza!

Pierwszy piśmienny człowiek wśród „Dzieci Słońca”! A przecież jego ojciec, który przepadł bez wieści, prostoduszny, naiwny Nyrta, patrząc, jak Tynkaga pisze, mawiał: „Po co robisz na skórze maleńkie ślady...”

Kiejulkan nie mógł już tak powiedzieć!

Mimo to jednak pozostawał nadal „Synem Słońca”. W jego pojęciach panował jeszcze zamęt.

Świadczył o tym pomysł, na który w końcu wpadł Kiejulkan.

Postanowił mianowicie odczarować „Dzieci Słońca”!

Wystarczyło mu przyknać oczy, by ujrzeć przed sobą niewysokie jodły na polanie, ludzi siedzących przy świątecznej uczcie i Chytyndo, która krąży wokół szcudrze wysmarowanego tłuszczem drewnianego „słońca”.

Ten usypiający brzęk kościanych ozdób na rozwiewającej się pstrokatej odzieży! Te wyciągnięte przed siebie ręce z drapieźnie rozcapierzonymi, drżącymi palcami!...

Chytyndo zaczarowywała swój naród, wciąż zacieśniając kręgi. Zbici w gromadkę ludzie lękliwie tulili się do siebie...

Nie, on, Kiejulkan, nie będzie przypochlebiał się słońcu, nie będzie krążył po polance, wyjąc i wykrzykując szamańskie zaklęcia. Zapyta Matkę-Słońce wprost, jak jej syn: co ma zrobić, ażeby pomóc swoim współbraciom, którym grozi zagłada?...

### 3

Od starców Kiejulkan słyszał o pewnym, na wpół zapomnianym zwyczaju.

Gdy nieszczęścia zaczynały prześladować naród, znajdowali się śmiałkowie, którzy rzucali złym duchom wyzwanie i w walce z nimi dokonywali bohaterских czynów.

„Walczący ze złymi duchami”, jak ich nazywano, odchodzili daleko od osady i spędzali parę dni w zupełnej samotności.

W tym czasie nikt nie powinien był do nich się zbliżać, a krewni pościli i na znak postu nawet nie wytrząsali z fajek popiołu. Szczególnie surowo przestrzegali postu odosobnieni od wszystkich śmiałkowie.

Głodem i kontemplacją „walczący ze złymi duchami” doprowadzali się do ekstazy. Wszystko, co się im wtedy zwidywało, śniło czy po prostu przychodziło do głowy, przejmowali za objawienie, cudowny znak, zesłany z góry.

Dobre duchy miały im podszeptać, co należy robić, jakiego dokonać czynu, ażeby odwrócić nieszczęście od narodu.

Kiejulkan postanowił wskrzesić ten stary zwyczaj. Nikomu nie powiedział o swym zamiarze — uprzedził tylko Tynkagę, że idzie na trzy dni w górę rzeki łowić ryby, i uprosił dwóch myśliwych, Nejaptu i Nuchu, przyjaciół nieboszczyka Nyrty, by nie odstępowali na krok Tynkagi.

W południowej stronie kotliny były zakątki, gdzie nikt nigdy nie zaglądał. W jednym z takich zakątków odosobnił się Kiejulkan.

Chłopiec był bardzo surowy i wymagający wobec siebie. Jedzenia wyrzekł się zupełnie. Pił tylko raz dziennie wodę z przepływającego w pobliżu strumyka.

Pod koniec drugiego dnia Kiejulkan siedział na skale, patrząc na dymiące w dole dalekie ogniska osady. W całym ciele czuł dziwną lekkość. Zdawało mu się, że wystarczy zrobić niewielki wysiłek, odbić się od ziemi i uleci w powietrze. Umysł jego był zadziwiająco świeży i jasny.

Oto mignął między drzewami przechodzący w dole Jakaga. Jego grzbiet z pstrokatymi łatami co chwila wynurzał się z krzaków, to znów w nich znikał. Aha, zbiera suchy chrust! Widać starucha posłała go po opał, jak przedtem posyłała Kiejulkana. (Zbieranie chrustu należało w kotlinie do obowiązków kobiet, ale szamanka, oczywiście, nie mogła się poniżyć d'o takiej czarnej roboty.)

Chłopiec odwrócił się od Jakagi i natychmiast o nim zapomniał. Wpatrzył się w oblicze nie zachodzącego lipcowego słońca.

— Zapomniałaś o nas, Matko-Słońce — mrucał Kiejulkan. — Zapomniałaś o swoich dzieciach...

Robił wyrzuty słońcu, spierał się z nim, błagał, by nie dręczyło go dłużej i dało jakiś znak, który by wskazał, co ma dalej robić.

W pewnej chwili zaczęły mu latać przed oczami kolorowe plamy. Zobaczył cały sznur maleńkich różnobarwnych słońc, które oderwały się od prawdziwego słońca i szybko toczyły się po niebie.

Tak bywało i dawniej, gdy Kiejulkan długo patrzył na słońce. Chłopiec przymknął na chwilę oczy, by odpocząły, i znów je otworzył. Wszystkie złudne słońca znikły, na niebie pozostały tylko dwa. Jedno — większe, żółte — wciąż tak samo wisiało nieruchomo nad górami. Drugie — czerwone, płynęło nad wierzchołkami sosen, opuszczając się coraz niżej i niżej.

Znak! To był upragniony znak! Słońce wysłuchało próśb Kiejulkana!

Co sił w nogach chłopiec rzucił się w pogoń za malutkim słońcem.

Biegł przedzierając się przez krzaki, przeskakując przez zwalone pnie. Las przecinały świetlne smugi. Były to sło neczne promienie, które jak gdyby wskazywały Kiejulkanowi drogę.

Ale i bez tego znalazłby miejsce, gdzie opadło na ziemię malutkie czerwone słońce.

Nyrta nauczył syna zapamiętywać drogę w lesie według charakterystycznych drzew. A tam akurat rosła krzywa sosna, przypominająca suchego, zgarbionego staruszka.

I nagle, rozsunawszy krzaki, zdyszany Kiejulkan zobaczył pod sosną Jakagę.

Wiązka chrustu leżała obok w trawie, a Jakąga trzymał w rękach jakiś czerwony przedmiot, podobny do strzępu odzieży i przyglądał mu się ze zdziwieniem.

Tak, to było malutkie czerwone słońce, które oderwało się od wielkiego słońca. Ale teraz — widocznie dlatego, że dostało się w obce ręce — gwałtownie zmieniło wygląd, skurczyło się, zrobiło się całkiem maleńkie.

Chłopiec chciał przyskoczyć do Jakągi i odebrać mu swą własność. Jednakże wysiłkiem woli opanował się. Przecież to, że gotuje się do bohaterskiego czynu, musi być zachowane w tajemnicy, a szczególnie przed Chytyndo. To jest zasadniczy warunek powodzenia.

Przemykając bezszelestnie między drzewami, szedł krok w krok za Jakągą. Zapomniawszy o wiązce chrustu leżącej w trawie, stary śpieszył do domu ze swą osobliwą zdobyczą. Widocznie nie chciał, by ktokolwiek z „Dzieci



Słońca” dowiedział się o niej, gdyż spotkawszy kilka kobiet, zbierających chrust skrył się w krzakach i przecze-kał, aż przejdą.

Tak doszli do czumu szamanki, i Jakaga znikł we wnętrzu razem ze swym drogocennym łupem.

4

Chłopiec stał jak na szpilkach.

Podły stary złodziej! Porwał sprzed nosa to, co było przeznaczone dla innego. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że słońce zesłało znak właśnie jemu, Kiejulkanowi! Nie darmo pościł dwa dni pod rząd. Pragnął dokonać bo-haterskiego czynu, tylko nie wiedział, jaki to ma być ten czyn. Ale gdyby miał w rękach malutkie słońce, na pewno od razu wszystko byłoby jasne.

Lecz co robili Chytyndo i Jakaga z zagrabionym Kiejulkanowi słońcem? Może włożyli je do kamiennego ka-ganka i rozkoszują się teraz jego równomiernym czerwonym światłem? A może wrzucili w ognisko i pieką na nim mięso?

Kiejulkan nie mógł dłużej wytrzymać. Korzystając z tego, że nastąpiła pora snu i cała osada jakby wymarła, przebiegł szybko polanę i padł w wysoką trawę obok czumu szamanki.

Przez szparę między skórą widział doskonale jeden kąt czumu. Na ziemi leżało jego malutkie słońce. O jakże się zmieniło w rękach złej czarownicy!...

Chytyndo siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i przyglądała mu się w zamyśleniu. Oto wzięła je w ręce, podniosła do oczu. Jakaga uniósł wyżej płonący kaganek, by mogła lepiej widzieć.

Ale teraz i Kiejulkan widział lepiej. Z trudem powstrzymał okrzyk. Do malutkiego słońca przywiązana była deszczułka, na której czerniły się litery i cyfry!

Chytyndo zakreśliła koło na ziemi. Potem wolno, z po-

mocą Jakagi, zaczęła naciągać na siebie strój, w którym wykonywała swe szamańskie tańce.

Ach, to tak!... Chcąc odgadnąć sens tajemniczych znaczków, Chytyndo ucieka się do pomocy swej sztuki czarodziejskiej.

Do uszu Kiejulkana doszły ciche, wciąż narastające dźwięki bębna. Szamanka mruczała zaklęcia.

Czadzący kaganek rzucał na nią ruchome blaski. Chytyndo krążyła, przysiadła, spierała się z kimś niewidzialnym, wabiła gestami, przynaglała.

Na jakiegoś innego „Syna Słońca” na pewno wywarłoby to ogromne wrażenie, a jego ręce i nogi same zaczęłyby podrygiwać — taniec Chytyndo zawsze działał zaraźliwie.

Ale Kiejulkan nawet nie drgnął. Dobrze wiedział, co to wszystko jest warte. A przy tym zanadto zły był w tej chwili — myślał tylko o tym, jakby odebrać grabieżcom należące do niego malutkie słońce.

Szamanka wreszcie się zmęczyła i usiadłszy na ziemi przed tajemniczym przedmiotem, coś krótko powiedziała do Jakagi.

A zatem zaklęcia nie pomogły. Nie udało się odgadnąć przeznaczenia dziwnego przedmiotu, który tak niezwykle drogą — z powietrza — dostał się do kotliny.

Zataczając się ze zmęczenia, Chytyndo odeszła do swego kąta i zwała się na skóry reniferowe. Kiejulkan wiedział, że po czarach zapada ona zawsze w ciężki sen.

Wkrótce do wyczulonego słuchu chłopca doszło potężne, miarowe chrapanie. Również Jakaga usnął, odwrócony plecami do ogniska.

Ostrożnie rozsunąwszy dwie żerdzie Kiejulkan wśliznął się do czumu. Stojący na ziemi kaganek dopalał się, rzucając świetlne plamy na rozwieszone na ścianach maski zwierząt, reniferowe rogi, skrzydła ptaków, pęczki suchych ziół.

Kiejulkan przestąpił przez Jakagę i przykucnął na ziemi.

Oto jego słońce! Jest zupełnie podobne do okrągłego



kawałka czerwonej skóry! A deszczułka? Tak, jest i deszczułka! Podniósłszy ją do oczu, Kiejulkan przeczytał bez trudu — litery były duże i wyraźne — „ZSRR”. A niżej cyfra: „1940”.

Błogi uśmiech wolno znikał z twarzy chłopca. Kiejulkan nasłuchiwał: chrapanie umilkło, w czumie panowała cisza.

Nie oglądając się wciągnął głowę w ramiona i padł plackiem na ziemię. Gdyby się spóźnił o ułamek sekundy, już by nie żył. Krótki kamienny nóż, rzucony przez Jakagę, świsnął mu nad głową i wbił się drgając w jedną z czarodziejskich masek.

Krzyknęła przeraźliwie obudzona Chytyndo i wczepiła się w połą odzieży Kiejulkana, tak że włókł ją kilka kroków po czumie. Po drodze syn Nyrty kopnął kaganek, który przewrócił się i zgasł.

— To moje, moje! — powtarzał Kiejulkan, przebijając się ku wyjściu. — Zabieram to! To moje!

Z siłą odtrącił Jakagę, wyrwał się z uchwytu szamanki, pozostawiwszy w jej rękach oderwaną połą, i wybiegł z czumu przyciskając do piersi malutkie czerwone słońce.

Jak burza wpadł Kiejulkan do Tynkagi.

— Zbudź się! — krzyknął od progu. — Przyniosłem ci dar słońca. Na nim jest słowo: „ZSRR”!...

...Druga wieść z Rosji! I to już nie boja hydrograficzna, przygnana prądem przybrzeżnym, Bóg wie skąd. To balonik meteorologiczny. Gdzieś niedaleko meteorologowie muszą badać prądy powietrzne, kierunek wiatru. Są już nie za siódmą górą, za siódmą rzeką, ale zupełnie blisko, być może o dwa trzy dni marszu od oazy!

Nie było ani chwili do stracenia.

Osada już się budziła. Do czumu Tynkagi, który stał na osobności na wzgórku, dolatywały wzburzone głosy. Wśród nich wybijał się zwłaszcza przenikliwy głos Jakagi.

— Łankaj! Łankaj! — krzyczał.

Tynkaga wyjrzał na dwór, chwilę nasłuchiwał.

Zrozumiał wszystko! To wrócił Łankaj z kilkoma myśliwymi.

Rada starców wysłała ich w dół rzeki, na południe. Przynieśli oni wieść, która poraziła „Dzieci Słońca”. „W stronę kotliny idą wysłannicy Mauka!”

Rozległ się tupot mnóstwa nóg. Do Jakagi i Łankaja biegli ze wszystkich stron wojownicy, zarzucając na plecy kołczany ze strzałami. „Dzieci Słońca” gotowe były z bronią w rękę zagrozić wrogom drogę u Wrót.

— Biegnij, Kiejulkan! — nakazał Tynkaga. — W górę rzeki idą moi przyjaciele. U Wrót — zasadzka. Trzeba ich przeprowadzić okreźną drogą.

Przebiegając pomiędzy drzewami, kryjąc się w trawie, Kiejulkan przedostał się nad wodę i wskoczył do łódki. Ledwo jednak wypłynął na środek rzeki, zauważono go. Paru ludzi, przynaglanych przez Chytyndo, rzuciło się za nim w pogoń...

## XI. Dalecy krewni

1

Dosłuchaliśmy pośpiesznego i dość chaotycznego opowiadania „Syna Słońca” już na stojąco, zarzucając na ramiona plecaki i broń.

Nie było czasu do stracenia!...

Nigdy jeszcze sytuacja Piotra Arianowicza nie wydawała się nam tak niebezpieczna. Ręka mściwej Chytyndo uniosła się nad naszym nauczycielem, a jego obrońcy, Kiejulkana, nie było przy nim.

Nejaptu i Nuchu, o których wspomniał Kiejulkan, nie wzbudzali zaufania. Czy potrafią obronić Piotra Arianowicza przed ogarniętym paniką tłumem? Czy nie przejdą na stronę Chytyndo i Jakagi?

Widocznie po zniknięciu Nyrty do wielkiej władzy w kotlinie doszedł zawistny Łankaj, jego długoletni rywal. Pomyślałem o trupie z tkwiącą w plecach strzałą

i wzdrygnąłem się wewnątrz. Łankaj był zdolny do wszystkiego!

— Czy tylko zdążymy? — szepnęła do mnie Liza, drżącymi palcami zapinając na piersiach rzemienie plecaka.

— Postaramy się zdążyć.

— Ale dlaczego uważa się nas za wysłanników Mauka?

— Nie mam pojęcia.

— Bardzo się boję o Piotra Arianowicza. Przecież Chytyndo wie, że to on wysłał Kiejulkana...

— Jesteśmy gotowi — rzekł Sawczuk obrzucając spojrzeniem swój malutki oddziałek. — Prowadź, Kiejulkan!

„Syn Słońca” z powątpiewaniem popatrzył na Lizę.

— Tynkaga kazał was prowadzić okrężną drogą — bąknął. — Na rzece zasadzka.

— Doskonale. Pójdziemy okrężną drogą.

— Podejście jest bardzo strome. To ścieżka mężczyzn.

— Ja przejdę, Kiejulkan — rzuciła krótko Liza. —

Gdzie wy przejdziecie, tam i ja...

Kiejulkan przyjął jej słowa z niedowierzaniem, ale nic nie odpowiedział.

Z początku prowadził nas wzdłuż rzeki, raz po raz zatrzymując się i nasłuchując. W lesie było cicho. Widocznie nikt nas teraz nie szpiegował. Łankaj przypuszczalnie ścigał wszystkie swe siły ku Wrotom, w kotlinę.

Podniosłem do ucha rękę z zegarkiem. Tak samo na pewno „tykał” wodny zegar Piotra Arianowicza. Krople spadały jedna po drugiej, szybko nerwowo...

Co robi w tej chwili Piotr Arianowicz? Może z toporem lub oszczepem w ręku odpiera ataki rozjuszonego Łankaja? A może zrzuciwszy na ziemię ostatnie notatki padł na nie i leży nieruchomo z rozbitą głową, a Chytyndo gospodaruje w jego czumie, łamiąc przyrządy, niszcząc drogocenne, zbierane przez dwadzieścia lat kolekcje!...

Zacisnąwszy zęby odpędziłem od siebie te myśli.

Była już dziesiąta wieczór, lecz słońce lipcowe świeciło wciąż tak samo jasno.

Jednakże z głębi wąwozu nadciągał mrok.

Nie był to mrok nocy, to była mgła.

Z początku ścieliła się dołem, zakrywając tylko korzenie drzew, potem zaczęła się unosić wciąż wyżej i wyżej. Zwarliśmy się ciśnień — nietrudno było się zgubić.

Mgła pełzła teraz mniej więcej na jednym poziomie. Mnie sięgała do piersi, niziutki Bulczu pograżył się w niej aż po szyję.

Cały czas towarzyszył nam monotony szmer rzeki. Po-tem stopniowo zaczął się oddalać. Domyśliłem się, że Kiejulkan skręcił w bok i prowadzi nas w górę zbocza.

Nagle nasz przewodnik zatrzymał się, podniósł ręce, jak-  
by zamierzał dać nurka, i znikł. W zdumieniu spojrze-  
liśmy po sobie. Dopiero co głowa i ramiona „Syna Słońca”  
kołysały się przed nami (tułów i nogi ginęły we mgle),  
i oto już go nie ma!

— Gdzież wy jesteście — niecierpliwie zawołał Kiejul-  
kan znów pojawiając się przed nami.

Okazało się, że w skale jest rozpadlina, bardzo wąska,  
przez którą trzeba się było przecisnąć, by dotrzeć do Kiejulkana.  
Czepiając się kurczowo jej ścian, podtrzymując  
wzajemnie, zaczęliśmy się wspinać w górę.

Rozpadlina wyprowadziła nas na niewielką półkę.  
Mogło na niej stanąć tylko trzech ludzi. Wyżej wznosiła  
się druga kondygnacja skał, która wydała mi się zupełnie  
nieдоступna.

Ale Kiejulkan, nie tracąc czasu na wyjaśnienia przy-  
wiązał cienki, bardzo mocny rzemień z surowej skóry do  
oszczepu i wycelowawszy, rzucił go w górę. Oszczep  
utkwiał w szczelinie między głazami.

„Syn Słońca” mocno pociągnął do siebie rzemień. Osz-  
czep drgnął, lecz pozostał w szczelinie.

Wtedy Kiejulkan zaczął wspinaczkę trzymając się jedną  
ręką rzemienia, a drugą chwytając się występów skalnych,  
krzaków, korzeni. Gdy doszedł do oszczepu, stanął mocno  
na nogach i opuścił koniec grubego, silnego rzemienia,  
którym był opasany.

Po kolei i my wszyscy wdrapaliśmy się do Kiejulkana.  
Chłopiec znów rzucił w górę oszczep, tym razem nieco na  
ukos, gdyż tam była odpowiednia szczelina.

Wystające ponad szarą zasłonę wierzchołki drzew pozostały u naszych stóp. Coraz niżej i niżej osuwał się las, jakby się zapadał na dno wąwozu.

W końcu znaleźliśmy się wszyscy na grzbiecie góry.

Tu byliśmy widoczni z daleka. Wciągnąłem głowę w ramiona, jak gdyby to mogło uchronić mnie przed strzałami.

Ale „Dzieci Słońca” prawdopodobnie zgubiły nas z oczu.

Szliśmy teraz grzbietem góry.

Na północy piętrzył się nowy łańcuch górski. Na południu, bardzo daleko, siniąła tundra, a raczej odgadywaliśmy ją za falującymi obłokami mgły.

## 2

Tak, to była ścieżka mężczyzn!...

Idąc po dnie wąwozu, pod osłoną zboczy, prawie nie odczuwaliśmy wiatru. Za to teraz przypomniał on o sobie.

Zastawiwszy nam drogę, uporczywie usiłował strącić nas w przepaść. Czego on nie wyczyniał! Wirował z szatańskim wyciem, nadlatywał nagle to z lewej, to znów z prawej strony, lub spadał z góry, jak sęp na swą ofiarę.

„W górach Byrranga — opowiadał kiedyś Bulczu — żyje spadający wiatr”.

W tej chwili zrozumiałem, co to znaczy. Nagle przejął nas straszny, zabójczy ziąb. Mieliśmy wrażenie, jakby ktoś bezustannie sypał na nas z góry odłamki szkła, które cięły i parzyły twarz. Zapierało nam dech w piersi. Serce ścisnęło bolesny skurcz.

Obejrzałem się. Twarze moich towarzyszy przypominały maski. I moje policzki zupełnie zdrętwiały. Oczy zachodziły łzami. Trudno było rozewrzeć wargi.

A odwrócić się plecami do wiatru nie wolno. Tuż obok ziejąca przepaść. Jeden niewłaściwy ruch, i...

Borykając się z wiatrem, przebijaliśmy się naprzód z takim trudem, jakbyśmy brnęli w lodowatym górskim potoku przeciw prądowi!

Liza wyjęła z apteczki polowej gęsi smalec i zaczęła na-

cierać nim twarz i ręce. Ale było już za późno. Wiedziałem, że wkrótce skóra popęka, z pęknięć wystąpi krew, przyschnie i pokryje te miejsca twardą skorupą.

Sawczuk wyprzedził mnie, dopędził Kiejulkana i położywszy mu dłoń na ramieniu, coś do niego powiedział.

Nasz przewodnik zatrzymał się i podniósł na etnografa pytający wzrok.

Wymienili między sobą parę krótkich zdań. Nie dosłyszałem, o czym mówili. Ich głosy zagłuszało wycie i świst wiatru.

Kiejulkan opuścił głowę i przyśpieszył kroku.

— Powiedziałem mu, że natknęliśmy się na zwłoki Nyrty — wyjaśnił Sawczuk, kiedy się z nim zrównałem.

— A cóż on na to?

— Spytał tylko, jakiego koloru było opierzenie strzały.

— Powiedzieliście mu?

— Tak. „Tak też myślałem — odparł Kiejulkan. — To Łankaj zabił ojca. Dzisiaj Łankaj zginie!...”

Były to ostatnie, najbardziej męczące minuty marszu.

Chociaż ze słów Kiejulkana wiedziałem, że do osady jest niedaleko, chwilami zdawało mi się, że wędrujemy tym górskim grzbietem już od wielu dni i że to się nigdy nie skończy. Idąc prawie zasypiałem, zatracając poczucie rzeczywistości. To bardzo przykry stan!... Potem znów, jak poderwany niewidzialną siłą, podnosiłem głowę i rozglądałem się.

Niekiedy miałem wrażenie, że drepczę w miejscu, z ogromnym wysiłkiem wyciągając nogi grzęznące w śniegu, a wszystko wokół płynie: i zaspy śniegu, i ostre skały, i czarne osypiska piargów...

Potrząsnąłem głową, by się uwolnić od uczucia mdłości. Przeszło. Plecy Kiejulkana mającą przede mną.

Powtarzało się to coraz częściej.

Moi towarzysze również byli u kresu sił. Sawczuk dwukrotnie potknął się i upadł.

— Noga mi się powinęła — tłumaczył się z zakłopotanym uśmiechem. Ale wiedziałem, że nie o to chodzi.

Z niepokojem spojrzałem na Lizę.

Jej twarz zrobiła się szara ze zmęczenia, kości policzkowe wystąpiły jeszcze wyraźniej, zaostrzyły się. Szła zgarbiona, stąpając ciężko.

Pochwyciwszy moje spojrzenie Liza próbowała uśmiechnąć się do mnie spieczonymi wargami.

— Wiesz, o czym myślę, Losza? — Odkaszlnęła, żeby głos nie brzmiał tak ochryple. — Coś mi wpadło do gardła — wyjaśniła. — Już miesiąc jesteśmy w drodze. Dziś akurat mija miesiąc...

— No i cóż z tego? — patrzyłem na nią, nie rozumiejąc, dlaczego o tym mówi.

— Jakiż ty jesteś!... Przecież od czasu ślubu nigdy nie udało nam się być razem przez cały miesiąc... To nasz miódowy miesiąc, Loszeńka... Któż mógłby przypuszczać, że tak go spędzimy?!...

Na mgnienie przytuliła policzek do mego ramienia i zająrzała mi w oczy.

— Ale ja nie żałuję, że właśnie tak go. spędziliśmy — szepnęła.

Pomogłem jej umocnić plecak, który ciągle zjeżdżał na bok.

Jakże głupi byłem w młodości! Co za brednie plotłem, kiedy to, przyjąwszy malowniczą pozę, opisywałem przyjaciółom swoją przyszłą żonę!... Wyobrażałem sobie kobietę, która będzie cierpliwie czekać na męża przy ognisku domowym, i z szeroko rozwartymi oczami, z zapartym tchem słuchać pełna podziwu i przejęcia — gdy po powrocie z podróży zacznę jej opowiadać o swoich wycieczkach.

Czyż jednak nie lepiej dzielić z kochanym człowiekiem wszystkie radości i smutki ekspedycji?...

Pronczyszczew, Czerski, Fiedczenko byli szczęśliwymi ludźmi. Dokonywali odkryć geograficznych razem ze swymi żonami — odważnymi, wiernymi, pracowitymi pomocnikami, pełnoprawnymi uczestniczkami ich naukowych triumfów.

Może właśnie tego brakowało mi przez całe życie — iść z Lizą, o tak, jak teraz, po ostrych, osypujących się ka-

mieniach, po wąskim grzbiecie góry, pod bladym północnym niebem, wciąż naprzód i naprzód do celu!...

Dobrnęliśmy do pięciu skał stojących na uboczu i na znak Kiejulkana, dysząc ciężko, padliśmy w śnieg.

W dole zieleniła się lesista kotlina.

Manewr okrążający udał się. Wypełniając polecenie Piotra Arianowicza, Kiejulkan przyprowadził nas do oazy od tyłu.

Podczołgałem się na skraj zbocza i spojrzałem w dół.

Tak, byliśmy u celu!

Przed nami legendarna Kraina Siedmiu Traw, która przez tyle czasu mamiła nas i umykała jak miraż!

Daleko w dole, wśród świerków, brzoź i modrzewi, w miejscu, gdzie rzeka ostro zakręcała, widać było osadę. Spiczaste czumy wyglądały stąd jak zabawki.

Ludzi nie było. Las jakby wymarł!

Czyżby, dowiedziawszy się od zwiadowców, że się zbliżamy, „Dzieci Słońca” wyniosły się z oazy, uciekły jeszcze dalej na północ? Ale przecież razem ze swym dobytkiem zabrałyby i czumy.

— No, teraz w dół do osady! — usłyszałem obok siebie chrypliwy głos Lizy. Próbowwała się podnieść opierając się na rękach, lecz znów upadła twarzą do ziemi.

— Co z tobą, Liza?

Chciałem pomóc jej wstać, ale ręce załamały mi się w łokciach. Nogi też były jak nie moje — ciężkie niczym ołów. W stawach czułem dokuczliwy ból. Tak, „ścieżka mężczyzn” była niewiarygodnie trudna.

— Przed zejściem do kotliny musimy trochę odpocząć — rzekł Sawczuk. — Ogłaszam dziesięciminutowy postój. Tymczasem popatrzmy na mapę...

Sapiąc, położył się obok mnie i rozwinął na śniegu mapę, którą Piotr Arianowicz przesłał przez Kiejulkana.

Kotlina była widoczna jakby z lotu ptaka w najdrobniejszych szczegółach.



Oto na prawo od nas cieśnina, która na mapie Piotra Arianowicza nosiła nazwę Wrót. (To tam zapewne czekali na nas wojownicy Łankaja.) Oto polanka, nazwana imieniem najmilszej Sojtyne. Biegła tu Ścieżka Rozmyślań, a w dali, niczym potężny znak orientacyjny, wznosiła się stożkowata śnieżna góra królująca nad doliną. Na mapie nazywała się ona szczytem Weroniki

Obejrzałem się.

Liza leżała twarzą do ziemi z szeroko rozpostartymi rękami i starała się opanować oddech. Dyszała ciężko, wciągając powietrze przez nos i wypuszczając bardzo wolno ustami.

Kiejulkan i Bulczu czuli się znacznie lepiej od nas.

„Syn Słońca” siedział obok Lizy, z wygasłą fajką w zębach, i patrzył w dół na daleką osadę. Być może, szukał wzrokiem znieawidzonego Łankaja.

Bulczu owijał nogi onucami. Nasze obuwie, zdarte na ostrych kamieniach, było w okropnym stanie.) Potem zaczął wyładować na śnieg różne rzeczy ze swego plecaka.

Stary myśliwy miał mocno zaaferowaną a zarazem urażoną minę. Uśmiechnąłem się do siebie, gdyż doskonale znałem przyczynę złego humoru Bulczu. Staruszek był zazdrosny o nowego przewodnika, który odebrał mu zaszczyt doprowadzenia nas do oazy. W drodze czepiał się o byle co Kiejulkana, podawał w wątpliwość jego wskazówki i przez cały czas z niezadowoleniem burczał pod nosem.

Balsamem na jego rany było oświadczenie Sawczuka, że uważa Bulczu za starszego przewodnika ekspedycji. W tej chwili starszy przewodnik postanowił wystroić się, by odpowiednio do swego wysokiego stanowiska, godnie zaprezentować się mieszkańcom kotliny. Wydobył swój sławny, znany już nam zegarek i przypiął go agrafką na piersi. Potem, spoglądając znacząco na pogrążonego w milczeniu młodszego przewodnika, zaczął się cesać.

Jednakże ani widok zegarka, ani grzebyka nie oszłomił Kiejulkana. Poraziło go natomiast coś innego — coś, czym Bulczu wcale nie miał zamiaru się chlępić.

Usłyszeliśmy przestraszony okrzyk „Syna Słońca”. Zerwał się na równe nogi i zrobił parę kroków ku Bulczu.

— Mauk! — wykrztusił wskazując na ochronne okulary starego myśliwca, które ten wyjął z plecaka razem z grzebykiem i zegarkiem.

— Mauk? Gdzie? Co ty wygadujesz!

Nie podnosząc się z ziemi, spojrzeliśmy zaskoczeni.

Oryginalne okulary starego myśliwca jeszcze w tundrze zwróciły moją uwagę. Ale wtedy byłem daleki od myśli, że klucz do zagadki Ptaka Mauk leży tuż obok, dosłownie w naszych rękach. Te okulary składały się z dwóch rozklepanych, starych srebrnych rubli z poprzecznymi wycięciami na oczy. Na jednej stronie wybity był profil Mikołaja II, na drugiej — dwugłowy orzeł, symbol caratu.

A więc to nazywano w kotlinie Ptakiem Mauk!...

— Gdzie to widziałeś? — z przejściem w głosie spytał Sawczuk.

Okazało się, że jeszcze w tym czasie, gdy Chytyndo chciała uczynić Kiejulkna swoim następcą, pokazała mu wyobrażenie ptaka-potwora, ptaka o dwu głowach. Chłopiec pomyślał wtedy, że na pewno takiego ptaka niełatwo zabić. Trzeba na niego zużyć co najmniej dwie strzały.

— A na czym był wyobrażony Ptak Mauk?

Tego Kiejulkan nie pamiętał. To było zbyt straszne, a przy tym kaganek, który trzymał Jakaga, bardzo kocił. Ale wyobrażenie było malutkie, prawie takie samo, jak to, które w tej chwili leżało przed Kiejulkanem.

— Dlaczego nie opowiedziałeś o tym Tynkadze?

Chłopiec wytłumaczył, że Chytyndo wzięła od niego przysięgę, której nie może naruszyć żaden „Syn Słońca”. Dlatego musiał milczeć. I teraz nic by nie powiedział, gdyby nie zobaczył Manka na okularach Bulczu.

— A więc to dwugłowy orzeł, symbol caratu — mruczał Sawczuk, obracając w palcach odświętne okulary starego myśliwca.

— A przecież Piotr Arianowicz, jak z tego wynika, był bliski rozwiązania zagadki!

— Kiedy?

— Pamiętacie? Zastanawiał się, czy to nie pterodaktyl, potwór wykopaliskowy? A Mauk był niemal równie stary... Przynajmniej dla nas, ludzi radzieckich...

Patrzyliśmy na ochronne okulary Bulczu, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

— A zatem goniliśmy za ułudą — rzekła Liza. — Czy pamiętacie, jak mówiłam: jakieś mamidło nas wiedzie przez martwy las wśród osypisk i obrywów.

— Ten ptak już nie żyje przyjacielu — zwróciłem się do Kiejulkana, który wciąż jeszcze wytrzeszczał oczy na Mauka. — Zginął bardzo dawno, przeszło dwadzieścia lat temu. Rzeczywiście zużyto na niego dużo strzał...

— W wyobraźni „Dzieci Słońca” żyje on dotychczas — przypomniał Sawczuk.

— Ale dlaczego oni uciekli przed Ptakiem Mauk?

— Potem będziemy o tym mówić! — zawołała błagalnie Liza próbując się podnieść. — Przecież Piotr Arianowicz czeka...

— Nie, nie, Lizoczka! Dziesięć minut odpoczynku! Przed nami jeszcze najtrudniejsza próba...

— A jednak nie rozumiem, dlaczego „Dzieci Słońca” uciekły przed dwugłowym o:łem? — powtórzyłem pytanie.

— Na razie nie potrafię na to odpowiedzieć. Natomiast z całą pewnością powiem wam, skąd uciekły.

— Skąd?

— Z tundry. Z tych samych stron, gdzie byliśmy miesiąc temu.

— Kimże więc są „Dzieci Słońca”?

Sawczuk wskazał wzrokiem naszych przewodników. Bulczu i Kiejulkan siedzieli obok siebie i na przemian, podając sobie z rąk do rąk, przyglądali się okularom, które nabrały dla nas takiego znaczenia.

— To właśnie jest owo ognivo, którego mi brakowało — rzekł etnograf biorąc od Kiejulkana dwa rozklepane carskie ruble. — Mauk łączy Bulczu i Kiejulkana...

— Jak to łączy? Dlaczego?

— Czyż nie zauważyliście podobieństwa między nimi?

Ze zdziwieniem spojrzałem na Bulczu i Kiejulkana.

Tak, podobieństwo było, bez wątpienia. To dziwne, że nie zauważyłem tego wcześniej. Co prawda, Bulczu przekroczył już na pewno sześćdziesiątkę, Kiejulkan zaś miał jakieś dwadzieścia pięć lat, a wyglądał jeszcze młodziej, na osiemnaście. Usposobienie mieli też zupełnie różne. Bulczu był ruchliwy, próżny, gadatliwy; Kiejulkan, przeciwnie, milczący, zamknięty w sobie, powściągliwy. A jednak było w nich obu coś nieuchwytnego, co ich do siebie upodabniało. Może ciężkie, sfałdowane powieki, przykrywające bystre oczy, może wystające kości policzkowe o szczególnym kształcie, a może sposób bycia, mówienia, czy wreszcie sposób, w jaki odpoczywali, skrzyżowawszy nogi i rozluźniwszy wszystkie mięśnie.

Zwykle określa się to mianem podobieństwa rodzinnego. Tak też powiedziałem Sawczukowi.

— Rodzinne? — powtórzył w zamyśleniu etnograf. — Powiedziałbym raczej rodowe...

— Ach, tak! — zawołałem. Pamiętasz, Liza? Przecież „Dzieci Słońca” to pranaród, najstarszy naród Syberii! A Nganasanie to ich potomkowie, prawda? Z tego wynika, że Kiejulkan jest dla Bulczu czymś w rodzaju dziadka!

Sawczuk chrząknął ze zmieszaniem.

— To była moja pomyli a, przyznaje. Teraz odrzuciłem hipotezę o pranarodzie. Nie dziadek z wnukiem, lecz kuzynowie... Pokrewieństwo, że tak powiem, w linii poziomej, nie w pionowej. Przypominacie sobie, jak wypytywałem po drodze Bulczu o rozmaite rody, z których składa się plemię wadiejewskich Nganasanów?

— Naturalnie! Dla mnie i Lizy była to abrakadabra. Niorcho, Ngojbu, Łaptucha i jak tam jeszcze?...

— Najbardziej interesowały mnie rody Ngojbu i Niorcho.

— Cóż was tak w nich zainteresowało?

— Ich mała liczebność... Przeglądając swego czasu stare akta urzędowe w Turuchańsku, zwróciłem uwagę, że w przededniu ogólnorosyjskiego spisu ludności w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku liczebność tych dwóch rodów gwałtownie spadła. Bulczu potwierdził

ten fakt, lecz nie znał jego przyczyny. Zmniejszenie się rodów pozostawało nie wyjaśnione... Dopiero u progu Krainy Siedmiu Traw zrozumiałem, że „Dzieci Słońca” to Nganasanie, którzy uszli z tundry w góry właśnie w przededniu spisu ludności.

— Zbiegłych Nganasanów podstawiacie pod pojęcie narodu „iks”?

— Określenie „zbiegli” jest zdaje się trafne. Większość rodzin z rodu Ngojbu i rodu Niorcho uciekła w góry pod wpływem jakiegoś niepojętego strachu.

— Teraz już wiemy, czego się bali. To Mauk wypędził ich z tundry.

— Ale dlaczego? Jakim sposobem? — niecierpliwie spytała Liza. — Przecież wszystkie inne rody pozostały.

— Zaraz się o tym dowiemy — odparł po prostu Sawczuk i opierając się rękami o głazy, zaczął schodzić w kotlinę.

Ruszyliśmy za nim.

## XII. W sercu mirażu

1

Ale usieliśmy najpierw zejść z urwistej skały. Dalej zaczynało się spadziste zbocze. Być może, iż właśnie tą drogą włókł się kiedyś Piotr Arianowicz.

Przeszliśmy już około trzystu metrów w głąb oazy, nie spotkawszy nikogo na swej drodze.

Zejście stawało się coraz łagodniejsze. W dole między drzewami błysnęła rzeka. Wróciliśmy nad nią, obszedłszy Wrota. Mech ustąpił miejsca trawie. Tu i tam z trawy nieśmiało wyglądały kwiaty.

Okazało się, że pewne miejsca w „listach” zrozumieliśmy niewłaściwie. Przede wszystkim mocno przesadziliśmy, jeśli idzie o wysokość drzew. Wyobrażaliśmy sobie ogromne masztowe sosny. To było efektowne, jednakże nie odpowiadało rzeczywistości. Drzewa w oazie były nieco

wyższe od człowieka, a tu i ówdzie nawet niższe. (Niestety i Bulczu nie był bez winy. Opisywał Krainę Siedmiu Traw w znacznie żywszych barwach, niż na to zasługiwała.)

Wszystko wyglądało tu o wiele prościej, zwyczajniej.

Jedyne, co w zupełności zgadzało się z naszym wyobrażeniem o zaczarowanym światku „Dzieci Słońca”, to mgła. Pełzła nam naprzeciw czepiając się trawy i korzeni, kołysała się nad głowami, kłębiła, snuła wśród gałęzi.

W tej części kotliny las był bardzo gęsty. Oceniając na oko odległość, obliczyłem, że znajdujemy się mniej więcej o dwadzieścia kilometrów od miejsca, skąd koczująca oaza zaczęła swą powolną, trwającą dziesiątki lat wędrówkę po wąwozie.

Liza z krytyczną miną rozglądała się dokoła, krzywiła z niezadowoleniem, niekiedy wzruszała ramionami. Widziałem, że się jej tu nie podoba.

Znałem dobrze jej zamiłowanie do czystości i porządku, jej zdumiewającą umiejętność zagospodarowania najbardziej pustynnych i dzikich miejsc. Jeszcze w dawnych, studenckich czasach powiedziałem o niej, że potrafiłaby się zadomowić na pływającej krze, grzecznie usunąwszy na bok białe niedźwiedzie. I nie omyliłem się. Właśnie dzięki niej ocalały wyspy na Morzu Wschodnio-syberyjskim, powstałe z lodu kopalnego, które, zdawało się, były już nieuchronnie skazane na zagładę.

Moja Liza była urodzonym organizatorem, budowni czym.

Oto i teraz na pewno już medytuje, jakby tu zaprowadzić porządek w kotlinie, obmyśla, z czym można jeszcze poczekać, a co trzeba robić natychmiast, „zakasawszy rękawy”.

Powiedziałem jej o tym.

— Naturalnie! -- podjęła żywo Liza. I z uśmiechem ciągnęła dalej: -- Przecież sam widzisz, że „Dzieci Słońca” zaniedbały swoją Krainę Siedmiu Traw. Przydałyby się tu ze dwie koparki, kilka traktorów, no i ze trzy brygady budowlane. Pożądani by byli ludzie doświadczeni, którzy

pracowali już w warunkach polarnych, chociażby na Archipelagu Wysp Znikających... Dobrze by też było sprowadzić na samolotach kilku specjalistów od marzłoci, leśników. No i oczywiście termofizyków.

— Cóż, to akurat coś dla was, Lizo! — wtrącił Sawczuk. — Ratowaliście przecież Archipelag, a przedtem braliście udział w utworzeniu Zbiornika Rybińskiego...

— Potrafiłabyś podtrzymać ogień podziemny? — spytałem.

— Na razie nie wiem. Zobaczylibyśmy... Nie można przecież zostawiać oazy na pastwę losu. Szkoda!

— Przecież ci się nie podoba.

— Oczywiście, mogłaby być lepsza — Liza wyduła usta. — Tu, rozumiecie, trzeba przyłożyć ręki. A wtedy... O!

— Nie opowiadałem wam, że Kamczadale z pogardą odnosili się do swego boga Kuszki, stwórcy nieba i ziemi? — spytał Sawczuk.

— Dlaczego?

— Bo stworzył marny świat — same skały i woda...

Uśmieliśmy się z nieudolnego Kuszki. Dobrze mu tak!

Chętnie śmieliśmy się teraz z najbliższego, najbardziej niewymyślnego żartu, by rozładować nerwowe napięcie, pokazać, że panujemy nad sobą, zachowujemy zimną krew.

A to było w tej chwili bardzo potrzebne. Przecież znajdowaliśmy się już w obrębie mirażu, a więc w obozie nieprzyjacielskim.

Nagle Kiejulkan zatrzymał się nasłuchując. Zatrzymaliśmy się również i my.

— „Dzieci Słońca”?

Kiejulkan skinął głową.

Na pozór nic nie wskazywało na obecność ludzi w lesie. Ani jedna gałązka nie poruszyła się, ani jeden liść nie drgnął. A jednak gdzieś tuż obok byli ludzie, co do tego nie mogło być wątpliwości. Wystarczyło tylko spojrzeć na Bulczu i Kiejulkana — lekko pochylonych, skupionych i czujnych.

Nasz malutki oddział znów ruszył dalej. Ogarnęła nas

leśna cisza, zupełnie jakbyśmy się pogrążyli w zieloną, spokojną toń wody.

Ale oto w zaroślach rozległ się trwożny ptasi świergot. Potem zza szarego, na wpół omszałego głazu doleciało krakanie kruka. W jednej chwili ptasie głosy napełniły las, choć ptaków nie było widać.

Straże, na które natknęliśmy się, mogły się ukrywać o tam, za szarym głazem lub za tym grubym pniem drzewa albo po prostu w trawie. Ludzie ci byli wszędzie i nigdzie. Niczym nie zdradzali swej obecności, poza porozumiewawczymi gwizdami.

Spojrzałem na Kiejulkana. Kroczył na czele, nie okazując zdenerwowania. A przecież wiedział, że w niego pierwszego polecą strzały i oszczepy, gdy tylko cierpliwość „Dzieci Słońca” się wyczerpie.

Smągła twarz naszego przewodnika była spokojna. Tylko długie, silne palce kurczowo się zaciskały.

Sawczuk kazał mu trzymać oszczep pod pachą, by pokazać współplemieńcom, że nie zamierza z nimi walczyć.

Podkreślaliśmy usilnie nasze zamiary pokojowe. Strzelby mieliśmy demonstracyjnie przewieszane lufą w dół. Ja z najspokojniejszą w świecie miną, jak na spacerze, zapaliłem papierosa.

Lecz „ptasi” świergot towarzyszył nam przez cały czas, stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej niespokojny.

Przytrzymałem Kiejulkana za łokieć.

— Co oni wołają? Przecież ty rozumiesz język tych ptaków?

Chłopiec odwrócił się. Jego czarne oczy błysnęły.

— Tak, ja rozumiem język ptaków. Wołają jeden do drugiego: „Oto idą wysłannicy Mauka! Prowadzi ich zdrajca Kiejulkan!”

Od tych słów nieprzyjemny chłód przeszedł mi po plecach. Nieśpiesznie (ileż nas to kosztowało!) szliśmy ścieżką, niczym wąskim, zielonym korytarzem.

Rozważałem w duchu, gdzie może być granica, poza którą nie wolno nas puścić. Miałem wrażenie, że przed nami, między pniami rozłożystych jodeł, przeprowadzono



na ziemi niewidzialną linię. Gdy się tylko do niej zbliży-  
my, natychmiast z za każdego krzaka posypią się strzały.

A jednak jakaś siła niepowstrzymanie parła nas naprzód.

Musimy dojść do Piotra Arianowicza i wyzwolić go z niewoli! Musimy do końca rozwikłać zagadkę — co łączyło dobrowolnych uchodźców z dwugłowym orłem carskim! Musimy zrobić wszystko, by „Dzieci Słońca”, znajdujące się już o krok od zagłady, wróciły do rodziny narodów ZSRR!

Niemniej było nam straszno.

Pełne napięcia wyczekiwanie musiało być równie mę-  
czące dla eskortujących nas „Dzieci Słońca”. Nerwy jed-  
nego z nich nie wytrzymały.

Cieniutko świsnęła strzała i wyleciawszy skądś z za  
drzewa, wbiła się w ziemię pośrodku przesieki.

„Stop! — zdawała się mówić. — Dalej iść nie wolno!”

Zatrzymaliśmy się. Trzepocząc opierzeniem, strzała ko-  
łysała się u samych stóp Sawczuka.

Chwila była krytyczna.

I wówczas nasz kierownik ekspedycji okazał imponują-  
cą, już nieraz podziwianą przeze mnie pogardę niebezpie-  
czeństwa. Schylił się, wolno wyjął strzałę z ziemi i nie  
odwracając się powiedział parę słów do Kiejulkana. Ten  
wyrwał ze swego kołczanu strzałę i skwapliwie mu ją  
podał.

Jakby szmer przeszedł po lesie. I znów cisza, pełna  
oczekiwania.

Etnograf tak samo wolno i spokojnie, niczym w audy-  
torium uniwersyteckim przed słuchającymi go w uważ-  
nym milczeniu studentami, skrzyżował obie strzały i pod-  
niósł nad głową, by wszyscy mogli widzieć. Następnie  
rzucił strzały na ziemię, nadepnął na nie i złamał.

My nie chcemy wojować. Przychodzimy do was z po-  
kojem! — tak należało go rozumieć.

Nie wiem, czy Sawczuk został właściwie zrozumiany.  
Być może, iż jego postępek przyjęto jako obrzęd magicz-  
ny, który miał zaczarować strzały, unieszkodliwić je. Nie  
jest też zresztą wykluczone, że na żywą wyobraźnię

„Dzieci Słońca” podziałała po prostu spokojna odwaga Sawczuka.

Ale las jakby się przed nami rozstał.

Wyczuliśmy to z nieuchwytnych oznak. Pohukiwanie i gwizdy znów się odezwały, nie zbliżając się jednak i nie oddalając, jakby opływały nas.

2

Starając się nie oglądać za siebie, wszyscy, jak uwiązani do Kiejulkana, ruszyliśmy za nim.

Przeszliśmy tak parę kroków i znów przystanęliśmy. Skądś z głębi lasu doleciał przeciągły, nawołujący okrzyk. Moja intuicja była tak wyczulona, że od razu się domyśliłem: oddział czołowy otrzymał rozkaz odwrotu. Ale dlaczego? Czy to dobrze, czy źle? Może Chytyndo, Jakaga i Łankaj zbierają siły, żeby wydać nam bój przed czumami?

Ptasie głosy nagle umilkły. Rzekłbyś, fala ukośnego deszczu przeszła nad lasem — gałęzie zakołysały się, tu i tam osypało się igliwie, i zapadła cisza. Zrozumieliśmy, że pozostaliśmy w lesie sami.

— Dlaczego oni wycofali się? — spytała półgłosem Liza.

— Nie wiem... Zobaczmy!...

I Sawczuk zdecydowanie ruszył naprzód.

U wylotu ścieżki, na przeciwległym zboczach kotliny już widać było polanę, na której czerniały czumy.

Polana była pusta zaledwie przez parę minut. Nagle zza czumów ukazały się długie, kołyszące się oszczepy.

Wojowników przybywało coraz więcej i więcej. Zebrali się przed czumami, a potem wszyscy razem, zbitą ławą ruszyli w dół po zboczu.

Było ich chyba ponad sto osób. Widzieliśmy dokładnie nawet idących z tyłu. „Dzieci Słońca” szły zwartą gromadą, lecz był w tym jakiś określony porządek. Mężczyźni wzięli kobiety i dzieci w środek koła, wojowniczo najeżonego oszczepami. Na skrzydłach biegły truchtem kudłate, wychudłe psy, z opuszczonymi ku ziemi pyskami.

451

Pochód ten miał w sobie coś groźnego, a zarazem coś aż do bólu tragicznego, chwytającego za serce.

To skazańcy szli na nas! „Dzieci Słońca” gotowe były na śmierć!

Przecież ci ludzie uważali, że jesteśmy wysłannikami Ptaka Mauk, „złej tundry”, ich odwiecznymi wrogami, i nie oczekiwali zmiłowania. Przyszliśmy tu za nimi, dopędziliśmy ich!...

Obejrzałem się. Z wyrazu twarzy moich towarzyszy domyśliłem się, że i oni przeżywają to samo, co ja. W tej chwili zupełnie zapomnieliśmy o grożącym nam niebezpieczeństwie.

Czyżby to rzeczywiście byli „kamienni ludzie”, mieszkańcy Krainy Siedmiu Traw, ludzie z bajki we własnej osobie? Dzieliło nas od nich jeszcze jakieś trzysta, czterysta metrów...

Zwarty tłum szedł naprzód w absolutnej, przytłaczającej ciszy. Nawet tupotu nóg nie było słyhać. Ludzie mieli na nogach miękkie obuwie, w którym bezgłośnie stąpali po trawie.

Im bardziej się zbliżali, tym dokładniej mogliśmy rozróżnić pojedyncze szczegóły: rozkołysane oszczepy, wytartą futrzaną odzież, kolorowe opierzenie strzał wystających z kołczanów.

Ludzie ci nie mieli ani okularów, ani masek. Lecz ich twarze były jak maski — przerażająco posępne, zastygłe, nieruchome..

Skazańcy szli ramię przy ramieniu, nie przyśpieszając, ale i nie zwalniając kroku. Utkwiwszy w nas oczy, zbliżali się w głębokim milczeniu.

Nagle ujrzelśmy, jak flanki wolno, niczym skrzydła, zaczęły się rozsuwać — mężczyźni rozstępowali się, przepuszczając naprzód kobiety i dzieci, ukryte do tej pory za ich plecami.

Nie można się było wyrazić bardziej lakonicznie i jasno!

Mieszkańcy kotliny wysunęli na czoło pochodu swoje

kobiety i dzieci, pokazując w ten sposób, że mają do nas pełne zaufanie.

Wyglądało to tak, jak gdyby człowiek, zbliżający się z opuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami, nagle szerokim gestem rozwarł ramiona i pokazał dłonie: Patrzcie, nic w nich nie mam, jestem przyjacielem, nie wrogiem!

Równocześnie oznaczało to jeszcze coś innego.

— Piotr Arianowicz zwyciężył! — zawołała Liza. — Piotr Arianowicz żyje! Żyje!...

Miała rację. Teraz zrozumieliśmy, że geografowi udało się pokonać Chytyndo, Jakagę i Łankaja! Czy w walce, czy na zebraniu plemienia — na razie nie wiedzieliśmy. Ale w decydującej chwili został rzucony na szalę autorytet rosyjskiego człowieka, który przeżył razem z „Dziećmi Słońca” ponad dwadzieścia lat. I zaufanie do Tynkagi przeważyło wieloletnią nieufność do „złej tundry”, gdzie zamieszkuje Ptak Mauk.

Lecz wątpliwości jeszcze pozostały. Co będzie, jeśli Tynkaga się omylił? Jeśli to idą wrogowie, a nie przyjaciele?

„Dzieci Słońca” były już zupełnie blisko, tak że widzieliśmy ich twarze. Usta były mocno zaciśnięte. W tych twarzach żyły tylko oczy, takie same czarne i bystre, jak u Kiejulkana, zwrócone na nas z nie dającym się opisać wyrazem dręczącego pytania.

Tłum posuwał się wciąż w milczeniu. Na rękach jednej z kobiet zapłakało dziecko. Natychmiast je uciszyła, nie spuszczać z nas wylęknionego wzroku. Słysząc było pobrzękiwanie kościanych ozdób na odzieży, urywany, przyśpieszony oddech.

Spazm ścisnął mi gardło. Wystąpiłem naprzód z wyciągniętymi rękami.

— Jesteśmy waszymi przyjaciółmi! — krzyknąłem. — Tynkaga mówił prawdę! Przyszliśmy, by wam pomóc!...

Liza wyprzedziła mnie.

Ona pierwsza zobaczyła w tłumie człowieka, który wyróżniał się wśród otaczających go „Dzieci Słońca” długą, siwą brodą.

Niezgrabnie, z widocznym trudem, schodził po zboczu, silnie utykając i opierając się na lasce. Usłyszawszy mój głos chciał biec naprzeciw, lecz potknął się i o mało nie upadł. Podtrzymali go ostrożnie idący obok wojownicy.

Czyżby to był Piotr Arianowicz?...

Pamiętałem go tak, jak go ostatni raz przed wielu laty widziałem: młodego, pełnego radości życia, ze śmiałym i wesołym uśmiechem, z bujną, niesforną jasną czupryną. Tymczasem przede mną był siwy, niewysoki człowiek, odziany w ubogie, wyleniałe skóry reniferowe.

Widać niełatwe były te dwadzieścia z okładem lat, które spędził w posępnych górach Byrranga...

Podbiegłem do Piotra Arianowicza. Patrzył na mnie niepewnie i nieśmiało przez staromodne owalne okulary. Jedno szkiełko było pęknięte, oprawa okularów powiązana jakimiś rzemykami.

— Jestem Losza, Losza, wasz uczeń — mówiłem przezywany głosem. — Pamiętacie, mieliście ich dwóch — Losza i Andriej?

— Losza, no jakże! — odparł Piotr Arianowicz, wciąż wpatrując się we mnie. — Losza, Andriej... Losza i Andriej!...

Spojrzał niezdecydowanie na Sawczuka, myśląc zapewne, że to Andriej, i nie poznając go.

Postąpił krok naprzód i jego głowa ze zmierzwionymi siwymi włosami mocno przywarła do mej piersi. Głowa ukochanego nauczyciela na poziomie mojej piersi!

Przyznam się, że nie bardzo wiedziałem, co się wokół mnie dzieje, nie byłem zdolny w tej chwili do żadnych spostrzeżeń — nie widziałem nikogo poza moim nauczycielem, którego odnalazłem na krańcu świata, za kręgiem polarnym. Ale na nas zwrócone były setki czujnych oczu. Każdy ruch, intonacja każdego słowa były obserwowane i odpowiednio oceniane.

Kącikiem oka zobaczyłem, że twarze otaczających nas ludzi rozjaśniły się. Nie było pomyłki! Tynkaga poznał przybyszów! To byli rzeczywiście ludzie z tego samego co i on plemienia — a zatem przyjaciele „Dzieci Słońca”!...

Ja i Liza zapoznaliśmy Piotra Arianowicza z Sawczu kiem i Bulczu.

Sawczuk zaczął coś mówić o cennych odkryciach, jakich dokonał uczony w górach Byrranga.

— Co też powiadacie! — zdziwił się szczerze nasz nauczyciel. — Zrobiłem bardzo mało. Cóż mogłem sam jeden zrobić?

— Nie, nie, dokonaliście naprawdę wiele — odparł z przekonaniem etnograf. — Zatrzymaliście „Dzieci Słońca” na skraju przepaści.

Okazało się, że „Dzieci Słońca” bardzo się bały nadchodzącej zimy.

— Nie byliśmy pewni, czy przeżyjemy tę noc polarną — powiedział Piotr Arianowicz swym przytłumionym głosem. — Żywność, niestety, jest na wyczerpaniu. W kotlinie pozostało bardzo mało zwierząt...

Opowiedział, że — przygotowany na najgorsze — ukrył w bezpiecznym schowku wszystkie swe notatki i dzienniki obserwacji, jakie prowadził w ciągu długich lat pobytu w kotlinie.

— Zaraz wam pokażę — powiedział i dodał: — To jest najcenniejsza rzecz, jaką posiadam... Mój, że tak powiem, wkład w rewolucję...

Piotr Arianowicz chrząknął zmieszany. Widocznie wyrażenie to wydało mu się zbyt szumne.

— Nie chciałem, widzicie, wracać do domu z pustymi rękami — przyznał się i naraz uśmiechnął się tak miło, z taką dobrocią, jak umiał się uśmiechać tylko nasz Piotr Arianowicz.

— Ale przecież to także wasz wkład — podchwyciła Liza, wskazując na tłoczące się wokoło nas „Dzieci Słońca”.

Tak, to był również „wkład”, i to niemały!...

— Będzie tu chyba ze sto osób — rzekłem.

— Sto trzydzieści dwie — pedantycznie poprawił Piotr

Arianowicz. — W czumach są jeszcze chorzy i starcy, którzy nie mogą chodzić...

Ruszyliśmy wzdłuż osady.

„Dzieci Słońca” nie szły za nami tłumem, jakby się można było tego spodziewać. Na znak Piotra Arianowicza każdy zajął się swoją robotą. Jedni nabierali wody do drewnianych kotłów, drudzy ściągali drzewo na ogniska, inni znów oszczędnie nakładali na małe miseczki kawałki mięsa.

Widocznie, chociaż bardzo biedni byli gospodarze Krainy Siedmiu Traw, z okazji przybycia współplemieńców Tynkagi przygotowywano poczęstunek.

Mężczyźni siedzieli odwróceny do nas bokiem lub plecami, wykazując rzadko spotykane opanowanie. (Widać, uważano za nieprzyzwoitość naprzykrzanie się gościom przesadnymi względami.) Tylko kobiety, krzątające się przy ogromnych drewnianych kotłach, ukradkiem odprawiały nas ciekawymi spojrzeniami.

— I pomyśleć tylko, że oni wszyscy mogli paść ofiarą fikcji urojenia, od dawna już nie istniejącego dwugłowego ptaka — mruknął Sawczuk.

— Ach, wy już wiecie? — spytał z ożywieniem Piotr Arianowicz.

— W najogólniejszych zarysach — pośpiesznie odparł Sawczuk. — Nie rozumiem jeszcze, jaki zachodzi związek między symbolem caratu i ucieczką „Dzieci Słońca” w góry.

— W takim razie ja wiem więcej od was — rzekł geograf. — Ale chodźmy dalej. Chcę wam „przedstawić” Chytyndo i Jakagę. Są pod strażą... Otóż, widzicie, do dzisiejszego dnia ja również błądziłem w ciemności. Pomogli mi Nuchu i Nejaptu — wskazał na dwóch starszych już myśliwych, którzy w milczeniu szli za nami krok w krok. — Wdarli się do czumu Chytyndo i odebrali jej zazdrośnie strzeżony przez nią „talizman”.

— Gdzież on jest?

— Proszę! — I Piotr Arianowicz podał nam kawałek papieru, pożółkłego na brzegach i zgięciach. Był to „list” z przeszłości.

Z rozczarowaniem stwierdziłem, że jest to raptem instrukcja w sprawie spisu ludności, nosząca datę 1897 r. U dołu czarna plama — tłusty odcisk pieczęci państwowej. Na niej dość wyraźnie widoczny dwugłowy orzeł o rozpiętych skrzydłach.

Sawczuk ostrożnie wziął od Piotra Arianowicza arkusz i uważnie go obejrzał.

— Tak — rzekł etnograf z zadowoleniem — za pomocą tego dokumentu można teraz powiązać wszystkie pojedyncze nici...

Przerwały mu wzburzone okrzyki. „Dzieci Słońca”, krzątające się przy kotłach, zaczęły się podnosić z miejsc i pokazywać na górę.

Skierowaliśmy wzrok w tym kierunku. Prawie samym grzbietem góry biegł jakiś człowiek. Oto przyklęknął, odwrócił się i spuścił strzałę z cięciwy. Potem, schylony, pobiegł dalej.

Zza skał ukazał się drugi człowiek. Ścigający nie strzelał, widocznie obliczał każdy ruch. W wyciągniętej ręce miał oszczep. Domyśliłem się, że to Kiejulkan.

Syn Nyrty pędził długimi susami, całym ciałem podany naprzód. Jego szczupła sylwetka wyraźnie rysowała się na tle bladobłękitnego nieba. Po chwili obaj — zarówno ścigający, jak i ścigany — znikli za skałą.

Przypomniały mi się słowa: „To Łankaj zabił ojca. Dziś Łankaj zginie!...”

A zatem nasz przewodnik odnalazł Łankaj a, a ten tak stracił głowę, tak się bał odwetu, że nie przyjął otwartej walki.

— Znaleźliśmy zwłoki Nyrty — wyjaśniła Liza Piotrowi Arianowiczowi. — Kiejulkan stwierdził, że Nyrte zabił Łankaj...

— Rozumiem! — energicznie potrząsnął głową. — Kiejulkan mści się...

Odwrócił się do idących za nim Nejaptu i Nuchu i rozkazującym tonem coś do nich powiedział. Myśliwi spojrzeli po sobie, nachmurzyli się i przecząco pokręcili głó-



wami. Potem jeden z nich, z urazą w głosie wypowiedział długie zdanie.

— Piotr Arianowicz kazał zawrócić Kiejutkana — szybko przetłumaczył mnie i Lizie Sawczuk. — Ale oni odmawiają. Nuchu czy Nejaptu, jeszcze nie mogę ich rozróżnić, odparł: „Mam tylko jedno słowo”, to znaczy, że nie może opuścić Tynkagi, gdyż przyrzekł to Kiejulkanowi.

Piotr Arianowicz nadal przekonywał o czymś swoją straż przyboczną. Wreszcie jeden z myśliwych niechętnie oddalił się i znikł za drzewami.

— Nie chcę, by Kiejulkan stał się zabójcą — rzekł Piotr Arianowicz. — Mam nadzieję, że Nejaptu go powstrzyma... Ale wracajmy do waszej analizy instrukcji z pieczęcią państwową...

Usiedliśmy na trawie obok jednego z czumów.

W dawnych czasach, według Sawczuka, mieszkańcy tundry bali się spisu ludności. Rozumowali w ten sposób: im więcej ludzi zostanie zapisanych, tym większe będą podatki. I tu na pierwszy plan wysunęli się Chytyndo z rodu Ngojbu i Jakaga z rodu Niorcho.

Prawdopodobnie oszukańcza kombinacja stopniowo dojrzewała w głowie Chytyndo. Być może, iż uprowadzając ze sobą na północ większą część dwóch rodów, chciała tylko przeczekać spis ludności, a potem wrócić. Nie jest wykluczone, że jej apetyty wzrosły dopiero później, kiedy się przekonała, jak wygodnie dla niej jest trzymać swych współplemieńców w strachu przed Maukiem.

Tak czy owak, inicjatorzy ucieczki zajęli główne miejsce w swoich rodach. Bezustannie podsycali paniczne nastroje, lęk przed spisem ludności.

„W tundrze zrobiło się bardzo ciasno — straszliwi Chytyndo i Jakaga. — Nganasanów chcą wytracić. Spiszą, a potem wszystkich wytracą...”

Tymczasem na północy półwyspu, w górach Byrranga, gdyby wierzyć baśniom, znajdowało się coś w rodzaju pierwotnego raju: Kraina Zmarłych, czyli Kraina Siedmiu Traw. (Widocznie złoża węglowe już się w tym czasie paliły).

Namowy Chytyndo i Jakagi zrobiły swoje. Część rodów Ngojbu i Niorcho w tajemnicy odkoczowała na północ.

Niedługo po tym w tundrze wybuchła epidemia ospy i pozostali Nganasanie doszli do wniosku, że ich współplemieńcy wymarli gdzieś w rejonie swej letniej wędrówki.

Jednakże pierwotny raj okazał się daleki od raju.

Domowe renifery padły w drodze lub zostały zjedzone. W górach Nganasanie musieli porzucić hodowlę reniferów i zająć się wyłącznie myślistwem. Odosobniwszy się w swej oazie, zerwawszy wszelkie więzy ze światem zewnętrznym, „Dzieci Słońca” powoli zapominały wszystko, czego się nauczyły od Rosjan, musiały powrócić do techniki pierwotnej obróbki kamienia, cofnęły się w rozwoju.

Życie koczownicze — to w istocie poszukiwanie lepszego.

Ale rody Niorcho i Ngojbu w poszukiwaniu lepszego zawróciły w przeszłość. I to był ich zasadniczy błąd.

Szkodliwe skutki dobrowolnej izolacji z każdym rokiem dawały się mocniej odczuwać. Oderwawszy swych współplemieńców od rosyjskiego narodu, Chytyndo i Jakaga poprowadzili ich fałszywą drogą, zapędzili w ślepią uliczkę.

— Rozumiem! — zawołałem, przerywając wyjaśnienia Sawczuka. Wszyscy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

— Rozumiem, dlaczego u progu oazy znajdowały się te wszystkie miedziane kotły, klingi, strzelby!

— A wyście je znaleźli? - spytał z zainteresowaniem Piotr Arianowicz. -- Dowiedziałem się o tym zakopanym skarbie dopiero niedawno.

— W przeciwnym razie, oczywiście, staralibyście się go odnaleźć? — uśmiechnęła się ciepło Liza.

— Na pewno — potwierdził Piotr Arianowicz. — Ale Nejaptu powiedział mi o tym dopiero przedwczoraj. On sam nie pamiętał wydarzeń związanych ze „spaleniem” żelaza. Opowiedział mu o tym w największym sekrecie

jego nieboszczyk ojciec. O, to jedna z najbardziej tragicznych kart historii „Dzieci Słońca”!...

Okazuje się, że u progu Krainy Siedmiu Traw Chytyndo kazała swoim współplemięcom pozostawić wszystkie posiadane przez nich metalowe przedmioty.

Żelazo i miedź — strzelby, kotły, formy na kule, topory, noże, świdy — zostały przez nią uznane za plugawe, nieczyste. A zatem — w ogień z nimi.

Ogień, w pojęciu Nganasanów, to najsilniejszy środek oczyszczający. Toteż rozpalono u progu ziemi obiecanej ogromne ognisko i każdy, przechodząc obok, wrzucał w nie „nieczyste” żelazo i „nieczystą” miedź.

Żal było rozstawać się z wiernymi strzelbami, które zapewniały powodzenie na polowaniu, z nożami — na Północy mężczyźni zwykli je nosić u boku nieomal od trzeciego roku życia — z miedzianymi kotłami, z których tak apetycznie pachnie gotowanym mięsem. Ale autorytet Chytyndo i Jakagi był w owych dniach szczególnie duży. Przecież wypełnili przyrzeczenie i przywiedli swych współplemięców do obiecanej Krainy Siedmiu Traw!...

Szamanka i jej mąż pilnowali, by rozkaz został ściśle wypełniony. Jeżeli któraś z elegantek próbowała z płaczem zachować jedną z miłych sercu metalowych ozdób, Chytyndo rzucała się na kobietę, jak sowa na mysz, wyrwała jej z rąk ozdobę i ciskała w ogień.

Za to teraz już rody Niorcho i Ngojbu były w zupełności oczyszczone od „plugastwa” i mogły wreszcie przestąpić próg baśni.

Drzwi wiodące z powrotem z wieku żelaza do epoki kamiennej z łoskotem zatrzasnęły się za nimi!...

Byliśmy tak pochłonięci rozwijaną przed naszymi oczami tragiczną, a zarazem naiwną historią „Dzieci Słońca”, iż dopiero podniósłszy oczy zobaczyliśmy, że przyłączyli się do nas Nejaptu i Kiejulkan.

— Jestem, Tynkaga — rzekł po prostu Kiejulkan.

Piotr Arianowicz uważnie obejrzał chłopca od stóp do głowy. Nie było na nim śladów krwi.

— A gdzie jest Łankaj?  
— Uciekł przede mną i skrył się w górach.  
— Dobrze, Kiejulkan. Pozostań przy mnie. Nie chcę, by twoje ręce były splamione krwią zabójcy.

Kiejulkan milczał, spuściwszy głowę.

— Łankaj wróci, gdy zgłodnieje — mówił dalej Piotr Arianowicz tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Przyrzekam ci, że Łankaj zostanie surowo ukarany. Nyrta będzie pomszczony!...

Kiejulkan usiadł posłusznie na trawie u nóg Piotra Arianowicza. Ale jego szeroką pierś unosił przyśpieszony, chociaż bezgłośny oddech.

4

— A Mauk, Mauk? — przypomniała Sawczukowi Liza.

Tak, Mauk! Wyobraźnia stopniowo oblekała Mauka w żywy kształt.

Heraldyczny ptak jakby powrócił na swą pierwotną pozycję — znów stał się totemem. Przecież herby powstały z totemów, to znaczy z owych zwierząt i ptaków, które w pojęciu ludów pierwotnych patronowały rodowi. Emblematem Anglii stał się lew, Francji — kogut. Całe stado orłów rozleciało się na wszystkie strony świata. Jednogłowy czarny uwił sobie gniazdo w Niemczech, dwugłowy czarny — w Rosji, dwugłowy czerwony — w Austrii, jednogłowy biały — w Stanach Zjednoczonych itd.

Większość tych posępnych, drapieżnych ptaków została potem wytępiona, wyginęła, legła na ziemi, utraciwszy pióra. Tylko w górach Byrranga ocalał cień dwugłowego czarnego orła.

— No, a instrukcja? — spytałem niecierpliwie.

O, tu tragedia nieoczekiwanie zamieniła się w komedię!

Przybyli do tundry urzędnicy, przeprowadzający spis ludności, prawdopodobnie pokazali Nganasanom instruk-

cję z pieczętą, która wywarła ogromne wrażenie na Jakąę. Postanowił ją ukraść, by tym samym „sparaliżować czary”..

Słuchając Sawczuka Piotr Arianowicz kiwał potakująco głową.

— Tak — powiedział. — Znając dobrze „Dzieci Słońca”, jestem przekonany, że wszystko odbyło się właśnie tak.

— „Dzieci Słońca” — to gałąź narodu nganasańskiego — powtórzył Sawczuk. — Gałąź, która się odłamała od pnia i zaczęła usychać...

— W rzeczywistości wszystko to wygląda znacznie prościej — szepnąłem do Lizy. — Ludzie z baśni okazali się zagubionymi ludźmi, Nganasanami, którzy uciekli przed spisem ludności w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku... Legendarna Kraina Zmarłych, czyli Kraina Siedmiu Traw, to, jak widzisz, zwykły las, a raczej, powiedziałbym, lasek...

— Według miar Północy to jednak oaza.

— Ale chciałem wam pokazać Chytyndo i Jakąę — przypomniał sobie Piotr Arianowicz.

Przeszliśmy jeszcze kawałek i zatrzymaliśmy się przy grupie „Dzieci Słońca”, na którą przedtem nie zwróciłem uwagi.

Obok drewnianego kotła, gdzie wrzucano rozpalone w ognisku kamienie (woda już zaczynała wrzeć), siedział niewysoki, stary człowiek z dwoma starannie zaplecionymi, cienkimi warkoczykami. Właśnie coś żuł, ale ujrawszy nas, z wysiłkiem przełknął kęs, a twarz jego wykrzywiła się ze złości. W tej chwili przypominał rozwścieczone drapieżne zwierzątko, które się odgryza jeszcze w pułapce.

Nie opodal, na stosie skór reniferowych, siedziała otyła kobieta. Kiedy przystanęliśmy, by się jej przyjrzeć, nawet nie drgnęła i dalej patrzyła w jeden punkt. Tak, jej opis w listach Piotra Arianowicza był rzeczywiście bardzo trafny: głowa olbrzymki, ręce i nogi karlicy.

I ta wstrętna istota przez wiele lat była panią życia

i śmierci ponad stu ludzi, a nawet ośmieliła się targnąć na naszego Piotra Arianowicza!...

— Chodźmy stąd! — szepnęła Liza, wstrząsając się z odrazą. — Byłoby mi nieprzyjemnie, gdyby ona na mnie popatrzyła...

5

— Aleksieju Piotrowiczu, już kwadrans po siódmej — zawołał Sawczuk, spojrzawszy na zegarek. — Czas na rozmowę z Nowotundryńskim...

Zakrzątnęliśmy się przy radiostacji.

Wokół ze skupieniem w twarzach stały „Dzieci Słońca”.

Najpierw plusnęła o lesiste zbocze wąwozu jakaś fala zza oceanu, niosąc na swym grzbiecie tańczącą parę. Potem ktoś zakatarzonym głosem, z naciskiem podkreślając początkowe zgłoski słów, powiedział: „Rodion, Jelisawieta, Paweł, Klaudia, Anna. Powtarzam: Rjepka! Brygada towarzysza Rjepki, pracująca przy wykopkach buraków wykonała z nadwyżką...” Ale zagłuszył go świergot alfabetu Morsego.

Poprzez ten chaos dźwięków przedostały się sygnały rozpoznawcze Nowotundryńska. Aksionow czekał już na rozmowę z nami.

Zacząłem wystukiwać depeszę.

Sawczuk był bardzo zwięzły. Zawiadomił, że natychmiast potrzebna jest pomoc.

Aksionow odpowiedział, że zapasy żywności i ciepłej odzieży zostaną wysłane do kotliny samolotem. „Przygotujcie lądowisko nad rzeką” — zakończył.

Potem wezwałem stację polarną na przylądku Czeluskin. Andriej jeden z pierwszych powinien złożyć życzenia szczęścia, pomyślności i zdrowia Piotrowi Arianowiczowi. Mój przyjaciel zasłużył sobie na ten zaszczyt i radość — przecież zaocznie pomagał naszej ekspedycji. *Jego* pomoc była wprost nieoceniona.

— Nie, to jeszcze nie wszystko! — zawołałem, kiedy Piotr Arianowicz uczynił ruch, jakby chciał odejść od aparatu.

Zacząłem szukać dobrze mi znanej fali w eterze. Liza domyśliła się, jaką radiostację chcę złapać, gdyż serdecznym ruchem ujęła Piotra Arianowicza pod ramię.

Nasz nauczyciel stał zupełnie oszołomiony. Radio nie było dla niego nowością, ale zastosowanie jego w takich warunkach widział po raz pierwszy.

— Ziemia Wietługina? — spytałem głośno.

Piotr Arianowicz spojrział na mnie ze zdumieniem.

— Sinicki? Poproście kierownika stacji polarnej Sinickiego. Mówi Aleksiej Ładygin... Sinicki? Cześć!... Zaraz będzie z wami rozmawiał Wietługin... Tak, tak, Piotr Arianowicz Wietługin! Znaleźliśmy, znaleźli!... Na Tajmyrze, w górach Byrranga... — Odwróciłem się do Piotra Arianowicza. — Ziemia Wietługina przekazuje wam najgorętsze arktyczne pozdrowienia!... O, słyszycie?...

W ten sposób stary geograf usłyszał swoją Ziemię, swój Archipelag Wysp Znikających, o którego odkryciu wcale nie wiedział...

— Tak, dużo muszę się jeszcze uczyć — rzekł w zamyśleniu, kiedy skończyła się krótka rozmowa z Ziemią Wietługina. — Powiniennem zasiąść w ławce z uczniami czwartej klasy... Pomyślcie tylko! W moich czasach Rusanow wyruszył na wyprawę bez radia. Aeroplany, wy nazywacie samolotami, mogły unieść tylko jednego człowieka i były podobne do latających etażerek...

Liza chciała coś powiedzieć, ale Piotr Arianowicz przerwał jej:

— Nie pocieszajcie mnie. Nie trzeba. Jestem szczęśliwy, że mogę się jeszcze tylu nowych rzeczy dowiedzieć. Muszę też doprowadzić do końca historię „Dzieci Słońca” — historię odłamu rodów Niorcho i Ngojbu — poprawił się. — No, cóż! Zrobię to!... A wy mi pomożecie, prawda?...

Doszły nas ożywione głosy. Obejrzałem się. W kręgu odzyskanych swojaków dumnie wodził rej Bulczu.

Starszy przewodnik ekspedycji z protekcyjną miną pokazywał zegarek — który otrzymał w nagrodę jako najznakomitszy myśliwy — a nawet, jeśli ktoś chciał, pozwalał posłuchać, jak tyka.

Jeden z zachwyconych widzów powiedział długie zdanie i Bulczu z satysfakcją skinął głową.

— Takiego nie ma nawet Tynkaga — przetłumaczył Piotr Arianowicz z uśmiechem. — Ma rację. Ja mam tylko wodny zegar... A teraz wasz przewodnik mówi... Co on opowiada?... Sny na ścianie — to nie czary!... Nic nie rozumiem...

Nasz nauczyciel spojrział na nas pytającym wzrokiem.

O! Sławne sny na ścianie! Bulczu w swoim repertuarze! Lecz nigdy jeszcze ten oklepany, znany całej tundrze tajmyrskiej repertuar nie był tak na miejscu, jak w tej chwili!

A przecież Bulczu opowiadał tylko „Dzieciom Słońca”, jak żyją teraz ich krewni, którzy pozostali w tundrze!...

Przylapałem spojrzenie Chytyndo, jakie rzuciła na nas spod ciężkich, sfałdowanych powiek.

Następnie wydobyła z zanadru żółtą przepaskę z frędzlami i zasłoniła sobie twarz. Zrozumiałem, że to szamańska przepaska. Chytyndo nie chciała widzieć triumfu Tynkagi, nie chciała widzieć Tynkagi i jego przyjaciół. Chciała żyć i umrzeć w tym fantastycznym świecie fikcji i urojeń, który sama stworzyła, by straszyć swych współplemieńców i — strasząc ich — niepodzielnie panować nad nimi...



# POSŁOWIE

Utwór L. Płatowa to pierwsza radziecka powieść o etnografach.

W powieści „Kraina Siedmiu Traw” autor daje opis życia Nganasanów, zamieszkujących Tajmyrski Okręg Narodowy.

W przeszłości był to chyba najbardziej zacofany naród Związku Radzieckiego. Ale już około r. 1940, w którym toczy się akcja powieści, Nganasanie przy pomocy wielkiego narodu rosyjskiego zrzeszyli się w kołchozy i znacznie podnieśli swą kulturę.

W r. 1940 Nganasanie jeszcze koczowali. Obecnie, to jest w r. 1954, niemal wszystkie kołchozy nganasańskie prowadzą życie osiadłe. Koczują w tej chwili tylko brygady myśliwych i hodowców reniferów.

Wszystkie dzieci nganasańskie uczą się w szkołach. Wielu dorosłych ukończyło różnego rodzaju kursy. Pracują oni jako przewodniczący kołchozów, kołchozowi brygadziści, księżowi, felczerzy weterynaryjni, zootechnicy itd. Wraz ze wzrostem dobrobytu i kultury narodu radzieckiego, dzięki staraniom partii komunistycznej i rządu radzieckiego, wzrasta również materialny dobrobyt Nganasanów i podnosi się ich poziom kulturalny.

L. Płatów barwnie i zajmująco opisuje ekspedycję w głąb tundry tajmyrskiej. Oczywiście, zarówno oaza w górach Byrranga (Kraina Siedmiu Traw), jak i historia „Dzieci Słońca” to fikcja autorska, jak zresztą wszyscy bohaterowie powieści. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że podania o jakichś nieznanych narodach, rzekomo zamieszkujących — w przeszłości czy nawet współcześnie — te czy inne niedostępne okolice — tundry, góry, wyspy — były bardzo rozpowszechnione na północnej Syberii.

Fantazja pisarza rozwinęła i niesłychanie wzbogaciła hipotezę, jaką nasuwały pewne fakty etnograficzne, powiązawszy ją z wątkami i bohaterami swych poprzednich powieści podróżniczo-fantastycznych. Jeszcze w r. 1948, zapisując podania Nganasanów, słyszałem o legendarnym ptaku Niogu, ogromnym czarnym orle — ptaku Mauk z powieści.

Jednym z zasadniczych punktów wyjścia dla akcji powieści L. Płatowa jest mała liczebność dwóch rodów nganasańskich. W latach 1926—27, gdy przeprowadzałem spis Nganasanów wadiejewskich (w owym czasie Nganasanów nazywano jeszcze Samojedami i naród ten dzielił się na dwa plemiona: Samojedów wadiejewskich i Samojedów awamskich), ród Ngojbu składał się z dwóch rodzin, a w rodzie Niorcho była tylko jedna rodzina. W przeciwieństwie do tego pozostałe rody nganasańskie obejmowały z zasady po dziesięć, dwadzieścia, a nawet trzydzieści rodzin. Co prawda nie posiadamy żadnych wcześniejszych danych i liczebności każdego z tych rodów z osobna, lecz L. Płatów miał podstawy dla hipotezy, że rody Ngojbu i Niorcho uległy zmniejszeniu dlatego, iż większa ich część odkoczowała w swoim czasie do Krainy Siedmiu Traw. Na tej właśnie podstawie zbudował on historyczno-etnograficzną ośnowę swej powieści.

Zasadniczą ideą, motywem przewodnim powieści L. Płatowa jest słuszna myśl, że tylko ścisły kontakt i przyjaźń z masami pracującymi wielkiego rosyjskiego narodu mogły przynieść postęp narodom Północy. Oderwanie się od narodu rosyjskiego, zerwanie więzi z narodem rosyjskim, samoizolacja doprowadziły Nganasanów, którzy zbiegli do Krainy Siedmiu Traw — do regresu, do upadku i zagroziły wręcz fizycznemu istnieniu „Dzieci Słońca”. Ale i w tych warunkach postępowe siły narodu rosyjskiego, w osobie bolszewika-zesłańca Wietługina, przyszły im z pomocą i w końcu, już przy współudziale przybyłych na Tajmyr badaczy radzieckich, ocaliły „Dzieci Słońca” od nieuchronnej zagłady.

*starszy pracownik naukowy Instytutu Etnografii Akademii Nauk ZSRR Kandydat nauk historycznych*

*B. Dołgich*

Zasadniczo akcja powieści — aż do szczęśliwego rozwiąza-

nia — toczy się na Tajmyrze, w „oazie”, która powstała w następstwie spalania się podziemnych złóż węgla kamiennego.

Proces ten znany jest obecnie w całym szeregu okręgów węglowych naszego kraju (okręg kemerowski i prokopiewski Zagłębia Kuznieckiego, wschodnie zbocze Uralu, zabitujsko-załaryjski okręg Zagłębia Irkuckiego i in.). Na tej podstawie autor zbudował swą hipotezę o pochodzeniu oazy tajmyrskiej, przy czym takie uzasadnienie nie jest sprzeczne z istniejącymi faktami i z punktu widzenia geologii nie wzbudza zastrzeżeń.

*Laureat Nagrody Stalinowskiej zasłużony działacz na polu nauki i techniki RSFRR doktor nauk geologiczno-mineralogicznych*  
*Prof. A. Gapiejew*

## SPIS TREŚCI

Kłębek i nici (Zamiast prologu) .....	5
CZĘŚC PIERWSZA	
I. Przejazdem w Moskwie .....	9
II. Kto to są „Dzieci Słońca” .....	24
III. „Obrączkowana” gęś .....	36
IV. Żyje?... Umarł?.....	46
V. Na Tajmyr .....	59
VI. Kino w tundrze .....	73
VII. Naoczny świadek.....	85
VIII. „Dobre drzewo” .....	98
IX. W kraju miraży .....	110
X. Ślad etnograficzny .....	130
XI. Wiosna depcze po piętach.....	139
XII. Ptaki prowadzą .....	150
CZĘŚC DRUGA	
I. „Dziurka od klucza” .....	164
II. Ciężko będzie za nami trop w trop .....	176
III. „Mól książkowy” .....	193
IV. Oaza za kręgiem polarnym .....	211
V. Pod stropem pieczary .....	225
VI. Jeniec Byrrangi.....	238
VII. Uciekać, uciekać!.....	252
VIII. Polowanie w epoce kamiennej.....	263
IX. „Święto Słońca” .....	277
X. Opóźniony termin doręczenia .....	289
XI. Rama bez obrazu .....	301
XII. Zagadka w dwóch trzecich rozwiązana .....	313

## CZĘŚĆ TRZECIA

- I. Martwy goniec ....
- II. Pojedynek z Nyrta .
- III. Wysyłanie wieści w świat
- IV. Czas ze znakiem minus
- V. Lód, który nie taje .
- VI. W labiryncie .
- VII. Kamienna pułapka
- VIII. „Ogniste wrota” .
- IX. Echo Byrrangi .
- X. „Czerwone słońce” Kiejulkana
- XI. Dalecy krewni ....
- XII. W sercu mirażu ....
- Posłowie.....